



POWIEŚĆ
AUTORKI BESTSELLERA
I ŻE CIĘ
NIE OPUSZCZĘ

MICHELLE RICHMOND

ROK WE MGLE

Ocena za trzymanie czytelnika w napięciu? Najwyższa z możliwych.

THE WASHINGTON POST



MICHELLE RICHMOND

ROK WE MGLE

TŁUMACZENIE KRZYSZTOF ULISZEWSKI


OTWARTE
KRAKÓW 2018

Dla Bonnie i Johna

Aparaty fotograficzne z wizjerem wyposażone są w proste, plastikowe okienko, nieposiadające systemu regulacji ostrości. Wizjer umieszczony jest tuż nad obiektywem lub obok niego i pokazuje przybliżony obraz tego, co znajdzie się na zdjęciu (choć ze względu na zjawisko paralaksy i związane z tym problemy występują różnice między tym, co widzi oko przez wizjer, a faktycznym obrazem zarejestrowanym przez obiektyw).

Henry Horenstein, *Black and White Photography. A Basic Manual*

Światło pamięci, czy też raczej światło, którego pamięć użycza przedmiotom, jest najbledszym ze wszystkich światła...

Eugène Ionesco, *Present Past, Past Present*

ROZDZIAŁ 1

Oto cała prawda, wszystko, co wiem: spacerowałyśmy po Ocean Beach, trzymając się za ręce. Był chłodny letni poranek, typowy dla lipcowych dni w San Francisco. Nad plażą i oceanem wisiała gęsta biała mgła – tak gęsta, że widziałam tylko na metr przed sobą.

Emma szukała pieniążkowców. Czasem morze tuzinami wyrzuca je na brzeg, całe, olśniewające bielą, ale tamtego dnia plaża była jedynie zaśmiecona połamanymi. Emma czuła się zawiedziona. Jest dzieckiem, które woli świat w formie idealnej: jeżowce muszą być całe, podręczniki szkolne w nienagannym stanie, włosy ojca schludnie przycięte i opadające zaraz nad kołnierzykiem.

Myślałam o włosach jej ojca, o miękkich ciemnych kosmykach dotykających jego szyi. Nagle Emma pociągnęła mnie za rękę.

– Pospiesz się – powiedziała.

– Po co się spieszyć?

– Fale mogą je zmyć.

Mimo że szczęście nam jak dotąd nie dopisywało, Emma wciąż wierzyła, że na plaży czeka prawdziwy skarb nienaruszonych pieniążkowców.

– Może zamiast tego pójdziemy do Louis's Diner? – spytałam. – Jestem głodna.

– A ja nie.

Spróbowała uwolnić palce i odsunąć się. Chociaż nigdy nie powiedziałam

tego na głos, często myślałam, że ojciec ją rozpieszcza. Rozumiałam dlaczego: nie miała matki i próbował jej to zrekompensować.

– Puść – powiedziała, z zadziwiającą siłą wykręcając dłoń z mojego uścisku.

Pochyliłam się i spojrzałam jej w twarz. Zielone oczy patrzyły na mnie śmiało. Wiedziałam, że to ja jestem osobą dorosłą, większą, silniejszą, sprytniejszą, ale wiedziałam też, że to Emma wygra każdy sprawdzian silnej woli.

– Zostaniesz w pobliżu?

– Tak. – Uśmiechnęła się, wiedząc, że wygrała.

– Znajdź mi ładnego pieniążkowca.

– Znajdę ci największego – powiedziała, szeroko rozkładając ręce.

Pobiegła naprzód w podskokach. Mała sześciolatka tajemnica, cudowne kobiece odwzorowanie własnego ojca. Nuciała pod nosem jakąś piosenkę, którą chwilę wcześniej słyszałyśmy w radiu. Patrząc na nią, poczułam nagły przypływ radości i strachu. Za trzy miesiące miałam wyjść za mąż za jej ojca. Nie wytłumaczyliśmy jej jeszcze, że wprowadzę się na stałe, że będę robić śniadania, odprowadzać ją do szkoły, chodzić na baletowe występy, tak jak robiła to jej matka. Nie, tak jak to powinna była robić jej matka.

„Jesteś dobra dla Emmy – mawiał Jake. – Będziesz znacznie lepszą matką niż moja była żona”.

A ja za każdym razem zadawałam sobie pytanie: skąd wiesz? Dlaczego jesteś tego taki pewny? Obserwowałam Emmę spacerującą z żółtym wiaderkiem w dłoni, jej płócienne niebieskie buty, jej czarny kucyk podskakujący na wietrze, gdy w podskokach odbiegała ode mnie, i zastanawiałam się, jak mam to zrobić. Jak mogę stać się matką dla tej dziewczynki?

Podniosłam holgę do oczu, wiedząc, że kiedy pstryknie migawka – raz,

lekką jak zabawka – Emma zostanie zredukowana do niewyraźnego, czarno-białego obrazu o rozmiarach sześć na sześć. Ruszała się zbyt szybko, a światło było zbyt słabe. Obróciłam pokrętło, pstryknęłam, znowu podeszłam bliżej. Kiedy po raz ostatni przycisnęłam, Emmy już prawie nie było widać.

ROZDZIAŁ 2

I właśnie wtedy popełniłam błąd, największy błąd. Każdy z nas podejmuje w pewnej chwili decyzję, którą potem za wszelką cenę najchętniej by zmienił. Właśnie taka była tamta decyzja: zwrócenie uwagi na jakiś kształt na piasku. Z początku myślałam, że to koszulka dziecka, być może maleńki kocyk. Instynktownie podniosłam aparat do oka – w końcu tak zarabiam na życie: robiąc zdjęcia, rejestrując to, co widzę. Kiedy podeszłam bliżej, w polu widzenia pojawiła się puchata głowa, grzbiet i czarne plamy na białej sierści. Mała foczka obsypana była piaskiem, jej głowa przekręcona w moją stronę, a płetwy leżały spokojnie po obu stronach ciała.

Przykucnęłam, wyciągnęłam rękę, by jej dotknąć, ale coś mnie zatrzymało. Otwarte wilgotne czarne oczy nie mrugały, postrzępione wąsy rozkładały się wachlarzem, a długie rzęsy poruszały się na wietrze. Wtedy zobaczyłam długą ciętą ranę wzdłuż jej brzucha i poczułam w sobie jakąś macierzyńską chęć działania. Jak długo przyglądałam się foczce – trzydzieści sekund? Minutę? Dłużej?

Malutki krab przebiegł po piasku niedaleko mojego dużego palca, a jego widok przypomniał mi te miniaturowe stworzenia, którymi zasłana była plaża w Gulf Shores, kiedy byłam dzieckiem. Moja siostra Annabel chwytiała je w słoje i przyglądała się ich różowym podbrzuszom, gdy próbowały wydostać się na wolność, stukając nóżkami o szkło. Krab wykopał norkę w piasku i zniknął; minęło najwyżej kolejne dziesięć sekund.

Spojrzałam na wschód, w stronę parku, gdzie nagle kończyła się mgła, a zaczynała ściana błękitu. Jako przybysz ze słonecznego i dusznego Południa pokochałam tutejszą mgłę, jej dramatyczną obecność, sposób, w jaki tłumi dźwięki. To, że po prostu się kończy, a nie stopniowo zanika – nieprzezroczysta biel nagle zmienia się w przejrzystość. Wychodząc z mgły na słońce, człowiek może odnieść wrażenie, że właśnie skądś się wydostał. Natomiast podróż w drugą stronę jest jak zagłębianie się w tajemniczą, bajkową otchłań.

Tuż za plażą przez Great Highway na południe w stronę miasta Pacifica jechał karawan, a za nim długi sznur samochodów. Przypomniał mi się ostatni pogrzeb, na którym byłam – zdrowy facet po dwudziestce złamał kark podczas górskiej wspinaczki. Był kolegą kolegi, nie znałam go zbyt dobrze, ale ponieważ rozmawiałam z nim na przyjęciu dwa tygodnie przed wypadkiem, wydawało mi się, że wypada pójść na pogrzeb. To wspomnienie zabrało kolejne pięć sekund.

Spojrzałam w dal, gdzie powinna znajdować się Emma, ale nie zobaczyłam jej, więc ruszyłam w tamtą stronę. Wszystko było nasycone chłodną bielą, a dystans niemożliwy do oszacowania. Ścisnęłam w dłoniach aparat fotograficzny, wyobrażając sobie wspaniałe zdjęcia, które za chwilę zrobię – głęboką czerń włosów Emmy na tle zimnej białej plaży.

Nie mogłam przestać myśleć o martwej foczce, o tym, jak wytłumaczę to Emmie. Wierzyłam, że było to coś, co matki wiedziały instynktownie. To miał być swego rodzaju test, jeden z wielu; akurat w tym momencie nie myślałam tylko o Emmie. Przyspieszyłam, chcąc sprawdzić, czy widziała fokę – to był zdecydowanie dobry moment, by właśnie tego dnia, spacerując ze mną po plaży, natknęła się na martwe zwierzę, i nawet chciałam, żeby się przestraszyła, bo mogłabym delikatnie wejść w rolę macochy.

Nie wiem, kiedy zdałam sobie sprawę, że coś jest nie tak. Szłam coraz

dalej, ale wciąż nie widziałam Emmy. Wyciągnęłam ręce przed siebie, choć wiedziałam, że to absurdalny gest, że w ten sposób nie można rozproszyć mgły.

– Emma! – zawołałam.

Panika ogarnęła mnie nie od razu. Nie, na to potrzebowałam jeszcze kilku sekund, prawie całej minuty. Początkowo było to tylko uczucie jakby ześlizgiwania się, utraty gruntu, tak jak w dzieciństwie, kiedy stojąc po kolana w ciepłej wodzie Zatoki Meksykańskiej i zamykając oczy przed gorącym słońcem Alabamy, pozwalałam falom wymywać piasek spod stóp. Najpierw znikał ten spod pięt, potem spod podbicia, wreszcie spod palców, aż w końcu traciłam równowagę i przewracałam się twarzą w morską pianę. Kiedy usta wypełniała słona woda, otwierałam oczy na jasny, wirujący świat.

– Emma!

Krzyknęłam głośniej, coraz bardziej czując falujący, niepewny piasek pod stopami. Pobiegłam naprzód, potem z powrotem po swoich śladach. Chowa się, pomyślałam. Na pewno się chowa. Kilka metrów od martwej foczki dostrzegłam betonowy mur oporowy pokryty graffiti. Pobiegłam w tamtą stronę. W myślach ujrzałam tam Emmę, przykucniętą, chichoczącą, z wiaderkiem na kolanach. Wizja była tak wyraźna i tak prawdziwa, że prawie w nią uwierzyłam. Ale kiedy dotarłam do ściany i małej nie było, oparłam się, poczułam skurcz w żołądku i zwymiotowałam na piasek.

Z miejsca, w którym stałam, widziałam zarys budynku plażowych toalet. Biegnąc w ich stronę, czułam, jak ogarnia mnie strach. Już wiedziałam, że w moich poszukiwaniach zaszła jakaś zmiana. Przecięłam podwójną alejkę i sprawdziłam damską toaletę – była ciemna i pusta. Przeszłam na stronę męską. Przez matowe szkło w oknach wpadało przytłumione światło. Wsadziłam dłoń do kosza na śmieci, szukając jej ubrań, butów, i na czworakach zajrzałam za pisuary, wstrzymując oddech w obronie przed

smrodem. Nic.

Kiedy wracałam na plażę, zaczęłam się trząść. Moje palce były sztywne, a gardło suche. Wspięłam się na szczyt wydmy i obróciłam dookoła. Przez nieprzeniknioną mgłę nie widziałam jednak nic, nie słyszałam niczego oprócz cichego mrużenia samochodów na Great Highway. Przez moment stałam w bezruchu.

– Myśl – powiedziałam na głos. – Nie panikuj.

Na wprost tylko mgła, około kilometra plaży, potem wzgórze prowadzące do Cliff House, Camera Obscura, ruin Sutro Baths i Louis's Diner. Na prawo długi chodnik, droga, a za nią park Golden Gate. Za mną kilometry plaży. Na lewo Pacyfik, szary i pieniaący się. Stałam w środku otoczonego mgłą labiryntu o niewidzialnych ścianach i myślałam: dziecko znika na plaży. Dokąd idzie?

ROZDZIAŁ 3

Będę jeszcze wiele razy wracać do tego momentu. Będę prowadzić zeszyt, w którym zapiszę wszystkie szczegóły. Znajdą się w nim kiepsko zrobione szkice, wykresy czasu i ruchu... strona po stronie będę próbowała odzyskać przeszłość. Będę udawała, że to wspomnienie jest rzetelne, że nie zaciera się tak szybko i nieodwracalnie jak nietrwale linie na znikopisie. Będę sobie wmawiać, że gdzieś, schowany w zawiłym labiryncie mojego umysłu, znajduje się jakiś detal, jakaś wskazówka, jakaś mała rzecz, która zaprowadzi mnie do Emmy.

Później wszyscy będą chcieli znać dokładny moment, kiedy zauważyłam, że jej nie ma. Będą chcieli wiedzieć, czy widziałam kogoś dziwnego na plaży, czy słyszałam coś tuż przed jej zniknięciem lub tuż po nim. Oni – policja, dziennikarze, jej ojciec – będą wciąż zadawać te same pytania, z uwagą wpatrując się w moje oczy, jakby to powtarzanie wystarczało, bym sobie coś przypomniała. Jakby siła woli mogła stworzyć wskazówki, mimo że nigdzie nie było żadnych śladów.

To właśnie im mówię. Wszystko, co wiem: spacerowałam po plaży z Emmą. Było zimno i bardzo mgliście. Puściła moją dłoń. Zatrzymałam się, żeby zrobić zdjęcie martwej foczce, a potem spojrzałam na Great Highway. Kiedy się odwróciłam, Emmy już nie było.

Jedyną osobą, której opowiem całą tę historię, będzie moja siostra Annabel. Tylko ona dowie się, że straciłam dziesięć sekund na kraba i pięć na

kondukt żałobny. Że chciałam, by Emma zobaczyła martwą fokę, że tuż przed jej zniknięciem zastanawiałam się, jak sprawić, by mnie pokochała. Rozmawiając z innymi, będę uważnie dobierać słowa, oddzielając ważne szczegóły od złudnych, nic nieznaczących informacji. Im przedstawię tę wersję: jest sobie dziewczynka, ma na imię Emma, spaceruje po plaży. Patrząc w drugą stronę, mijają sekundy, a kiedy spoglądam z powrotem, jej już nie ma.

Ta jedna chwila rozwija się jak kwiat na serii zdjęć poklatkowych, jak zawity labirynt. Stoję w jego centrum, niezdolna zobaczyć, które ścieżki prowadzą do ślepych zaułków, a która do zaginionego dziecka. Wiem, że muszę zaufać wspomnieniom. Wiem, że mam tylko jedną szansę na trafny wybór.

Pierwsza historia, którą opowiem, pierwsza odkryta wskazówka zdecyduje o kierunku poszukiwań. Zły szczegół, zła wskazówka wprowadzi zamieszanie, właściwa doprowadzi do tego ślicznego dziecka. Czy powinnam powiedzieć policji o listonoszu na parkingu, o motocyklu, o mężczyźnie w pomarańczowym chevelle'u, o żółtej furgonetce? Może to foka ma największe znaczenie albo karawan, mur oporowy, fala? Jak odróżnić szczegół ważny od tych niezwiązanych ze sprawą? Jedna pomyłka w narracji, jeden błąd w wyborze szczegółów i wszystko się rozpada.

ROZDZIAŁ 4

Pi razy promień do kwadratu równa się pole koła. Czas jest ciągłością, bez końca rozwijającą się w przód i w tył. Nauczyłam się tego w szkole.

W dziewiątej klasie Liceum imienia Murphy'ego doktor Thomas Swayze, wesoły, choć nieco tajemniczy, o którym krążyły plotki, że dostał swój doktorat pocztą, narysował na tablicy ogromne koło. Na zewnętrznej krawędzi i na linii prowadzącej od środka do brzegu koła naskrobał liczby i wzory. Jego biceps napiął się, naciągając biały rękaw koszulki.

– Promień, średnica, obwód – powiedział swoim radiowym głosem, wzbudzając we mnie młodzieńcze pożądanie. Odwrócił się do klasy, obracał kredę to w jednej, to w drugiej dłoni i patrzył prosto na mnie.

Słońce wpadające przez długi rząd okien zmieniło miedziane włosy siedzącej przede mną dziewczyny w żywy płomień; pachniała jak owocowa guma do żucia. Moja dłoń leżała na ławce na plamie piekącego światła; dookoła paznokcia na kciuku miałam plamki krwi, ponieważ przygryzłam skórkę. W głowie czułam nieustanne, doprowadzające do szału mruczenie. Doktor Swayze odwrócił się do tablicy, a jakiś przedmiot schowany w tylnej kieszeni jego niebieskich dżinsów odcisnął na tkaninie idealny jasny okrąg.

– I największym z nich jest pole – powiedział.

Rozsunęłam kolana i poczułam pot zbierający się pod udami na plastikowym krzeselku.

Lata wcześniej pani Monk, nauczycielka ucząca mnie w trzeciej klasie,

ruszała wskazówkami ogromnego kartonowego zegara i wysławiała zalety czasu. Sekundy były ziarenkami piasku, minuty kamykami, godziny natomiast cegłami, z których zbudowana jest przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Mówiła o dniach i latach, dekadach, stuleciach. Mówiła o przełomie tysiącleci, o czasie, kiedy wszyscy będziemy już dorośli. Szeroko otworzyła swoje duże ramiona i wyszeptła słowo „eon”. W naszej niewielkiej klasie, z klimatyzacją umiarkowanie walczącą z kwietniowym gorącem, pani Monk, nauczycielka rocznika 1977, głosiła swoje kazanie, lśniła i pociła się.

Siedziałam w drewnianej ławce, patrząc do góry na to wielkie koło z wiecznie uwięzionymi wskazówkami, i zapłakałam. Podeszła do mnie i położyła ciepłe, wilgotne palce na mojej szyi.

– Co się stało, Abby? – zapytała.

Przytuliłam się do jej rozłożystej, matczynej talii, schowałam twarz w głębokich fałdach poliestru i wyznałam:

– Nie rozumiem czasu.

To nie sam zegar mnie tak zmieszał, nie „wpół do” i „za kwadrans”, „za pięć” i „dziesięć po”, ale raczej natura czasu. Nie mogłam znaleźć słów, by wytłumaczyć to pani Monk.

Najbardziej niepokoiły mnie stracone chwile pomiędzy pójściem spać a pobudką, te mroczne godziny, kiedy mój umysł wyruszał w fantastyczne i okropne podróże. Wiedziałam, że czas jest miejscem, w którym człowiek może się zgubić, w którym szczęście i okropności mogły trwać w nieskończoność, chociaż – kiedy się obudziłam – matka wyglądała tak samo, siostra Annabel się nie postarzała, a ojciec wstawał, wkładał garnitur i szedł do pracy, jakby nic się nie wydarzyło. Wierzyłam, że żyję w świecie innym niż oni, a rodzina spała, kiedy ja podróżowałam. Czułam się za nich odpowiedzialna, jakbym została wybrana, by dźwigać na swoich barkach

brzemie za nich wszystkich.

Głos pani Monk został w mojej pamięci i długo jeszcze, nawet wtedy, gdy nauczyłam się odczytywać czas, miarowy, niemożliwy do zatrzymania rytm zegara wciąż mnie niepokoił. Siedząc na lekcji u doktora Swayze'ego i spoglądając na ciemny chromowany zegar wiszący na ścianie nad tablicą, marzyłam, by istniała możliwość zatrzymania czasu, by dni trwały dłużej.

– Jak obliczamy pole koła? – zapytał doktor Swayze.

Wyobrażam sobie, że koło zaczyna się jako kosmiczna główka od szpilki, mała jak ciało dziecka. Dziecko stoi pochylone na plaży, wyciągając rękę po pieniążkowca. Wysoka postać pojawia się we mgle, dłoń zaciska się na ustach dziecka, a silne ramię podnosi je do góry. Z każdym uczynionym przez nieznajomego krokiem koło się powiększa. Z każdą sekundą rośnie pole możliwości.

Gdzie jest dziecko? Odpowiedź leży w doprowadzającym do obłędu równaniu: π razy promień do kwadratu.

ROZDZIAŁ 5

Pokój jest mały, z twardymi plastikowymi krzesłami i betonową podłogą. Mozaika i ładna lampa w rogu zdają się do niego nie pasować, jakby umieściła je tam sekretarka albo troskliwa żona. Lampa cicho buczy, a we wnętrzu klosza trzepocze ćma. Słysząc rytmiczne tykanie dużego metalowego zegara. Jake siedzi w pokoju obok, za zamkniętymi drzwiami, podłączony do jakiegoś urządzenia. Człowiek obsługujący wariograf zadaje mu pytania, sprawdza ciśnienie krwi, szukając ukrytego motywu, starannie zatuzszowanego kłamstwa.

– Najpierw musimy wyeliminować rodzinę – poinformował wczoraj detektyw Sherburne. – W dziewięciu przypadkach na dziesięć to albo ojciec, albo matka, albo oboje.

Mówiąc to, patrzył mi prosto w oczy i czekał, aż zadrzę. Nie zadrżałam.

– Nie jestem matką. Nie jestem nawet macochą. Jeszcze nie. Matka trzy lata temu zostawiła rodzinę. Czy już jej szukacie?

– Musimy wziąć pod uwagę wszystkie możliwości.

Zegar tyka, pole poszukiwań poszerza się, ja czekam na swoją kolej.

Na całym posterunku, pojedynczo i parami, kręcą się policjanci. Piją kawę ze styropianowych kubków, żartują między sobą. Jeden z nich opiera dłoń na pistolecie, delikatnie obejmując metal, jakby broń była częścią jego ciała. Jeszcze wczoraj Jake był w Eurece, u znajomych, lecz kiedy usłyszał, co się stało, natychmiast wrócił do domu. Całą noc spędziliśmy na

posterunku, wypełniając formularze, odpowiadając na pytania, rozpatrując każdy szczegół. Teraz jest ósma rano, minęły już dwadzieścia dwie godziny. Siedzę i czekam. Kto jej szuka?

Wiadomo, że im więcej czasu minie od momentu zaginięcia dziecka, tym trudniej je znaleźć. Niebezpieczeństwo rośnie z sekundy na sekundę. Czas to najwspanialszy przyjaciel porywacza i najpotężniejszy wróg rodziny. Z każdą minutą porywacz oddala się w nieokreślonym kierunku, a pole poszukiwań i ilość możliwości rośnie.

Kiedy wczoraj Sherburne przyjechał do Beach Chalet, mniej więcej dziesięć minut po pojawieniu się pierwszego wozu policyjnego, natychmiast przejął dowodzenie. Teraz pracuje przy swoim biurku, ubrany w jasnoniebieską koszulę i niespotykany opalizujący krawat; pewnie dostał go w prezencie i nosi, bo tak wypada. Wyobrażam go sobie w domu, jak przygotowuje się do pracy. Widzę jego szczęśliwą żonę, dwoje zadbanych dzieci. Jest w nim coś kojącego. Porusza się z jakimś staroświeckim wdziękiem i przypomina Franka Sinatrę z jego szerokim czołem, nieskazitelną fryzurą, głęboko osadzonymi niebieskimi oczami.

Patrzę mu w oczy. Wykonuje gest dłonią, chce, żebym poczekała.

– Pięć minut – szepcze.

Sięga po kawę, podnosi kubek do ust, łyka i odstawia na miejsce. Mija kolejne sześć sekund. Załóżmy, że Emma jest w samochodzie, który jedzie z prędkością stu kilometrów na godzinę. W sześć sekund przejechałby sto pięćdziesiąt metrów. Podnieść do kwadratu i pomnożyć przez pi. W czasie, kiedy pił łyk kawy, obszar poszukiwań poszerzył się o osiemdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych. Jeżeli każdy łyk kawy to kolejne osiemdziesiąt tysięcy metrów kwadratowych, a w kubku jest sto łyków, to jak duży będzie obszar poszukiwań, kiedy skończy, i ile kubków kawy musi wypić, żeby rozszerzył się na całą kulę ziemską?

Zastanawiam się, jak ludzkie ciało może się przemieszczać. Czy porywacz wziął ją za rękę? A może podniósł? Jeżeli tak, to jak długie są jego kroki? Ile metrów może przejść w ciągu minuty? Jak daleko poszedł pieszo? Ile kilometrów przejechał samochodem? Czy się szamotała, a jeśli tak, to czy dzięki temu opóźnił się jego odjazd? Czy porywacz nakarmi ją, kiedy będzie głodna?

Wyobrażam sobie furgonetkę zaparkowaną przy zapomnianej autostradzie. W przydrożnej knajpie siedzi jakiś podejrzany typ i dziewczynka. Jedzą śniadanie. Może chce zdobyć jej zaufanie i próbuje przekupić ją naleśnikami z czekoladą i niezdrową ilością polewy, może nawet mlekiem czekoladowym. Czy Emma będzie jeść powoli, żeby zyskać na czasie? Nie spiesz się, zaklinam telepatycznie, chcąc wierzyć, że Emma w jakiś niewytłumaczalny sposób mnie usłyszy. Dokładnie przeżuwasz każdy kęs. Przypomina mi się piosenka z letniego obozu w Karolinie, z czasów, kiedy byłam nieszczęśliwą członkinią zespołu Dziewczyny w Akcji: „Każdy kawałek pogryź dokładnie i sokiem popij...”. Nie mogą się przemieszczać, kiedy jedzą śniadanie, więc w tym czasie obszar się nie powiększa.

Porwanie to nie jedyna możliwość. Policja już skłania się ku wersji, zgodnie z którą Emma utonęła.

Wczoraj, krótko po przyjeździe radiowozów, zjawiała się także Straż Przybrzeżna. Stałam wtedy na plaży i odpowiadałam na pytania. Obserwowałam, jak łódź powoli płynie po lodowatej wodzie. Nad moją głową nagle pojawił się pomarańczowy helikopter. Ogłuszający hałas śmigieł przypominał mi filmy o Wietnamie. Po kilku godzinach późnym wieczorem łódź Straży Przybrzeżnej zniknęła. Ocean przybrał ciemnoniebieski odcień, niebo stało się jeszcze ciemniejsze, wiatr się nasilił, a mgła przesunęła się na wschód. Ziarenka piasku dostawały mi się do oczu i martwiłam się o Emmę. Miała na sobie lekki sweter, musiało jej być zimno na tym wietrze. Miałam

nadzieję, że włożyła skarpetki, ale nie mogłam sobie tego przypomnieć. Oby tak.

Nawet nie zauważyłam, kiedy przyjechał Jake. Pamiętam tylko, że bardzo długo nie było go przy mnie, a potem nagle się zjawił. Czerwono-niebieskie światła wozów policyjnych oświetlały ciemną plażę. W powietrzu unosił się charakterystyczny zapach spalenizny, jakby ktoś dogaszał ognisko. Kilku ociekających wodą surferów w czarnych piankach dopłynęło do brzegu. Policjanci przesłuchiwali każdego z osobna.

W końcu podszedł do nas ktoś ze Straży Przybrzeżnej. Jego mundur wyglądał schludnie, choć przecież pracował cały dzień.

– Ściemnia się. Nie możemy teraz wiele zdziałać – powiedział. – Jutro z samego rana wznowimy poszukiwania.

– Jeśli Emma rzeczywiście gdzieś tam jest, to jaka jest szansa, że ją znajdziecie? – spytał Jake.

Strażnik spojrzał w dół, stopą zaczął rysować wzory na piasku.

– Trudno powiedzieć. To zależy od prądu. Czasem ciało jest wyrzucane na brzeg, czasem nie.

– Emma panicznie boi się wody – powiedziałam i spojrzałam na Jake’a, żeby potwierdził. – Nie zbliżyłaby się do oceanu.

Sherburne zwrócił się w moją stronę. Wiatr targał żółtymi kartkami jego policyjnego notesu.

Opowiadałam mu, jak zabrałam Emmę na przyjęcie urodzinowe nieznoszącej sprzeciwu dziewczynki o imieniu Melissa. Rozkrzyczane dzieci grały w berka w wyłożonym żółtymi kafelkami basenie w miasteczku Millbrae, a Emma siedziała po turecku na leżance i męczyła biedronkę, która wpadła do jej lodów.

– Emma nie chciała wejść do basenu – powiedziałam.

Oczami wyobraźni wyraźnie widziałam siedzącą na leżance Emmę

w niebieskim kostiumie kąpielowym. Co jakiś czas spoglądała na basen, zbierała się w sobie, jakby chciała wejść do wody, ale się nie zdecydowała. W samochodzie, kiedy wracałyśmy do domu, zapytałam ją, czy dobrze się bawiła. Oparła chude stópki na desce rozdzielczej i powiedziała: „Nie lubię tej Melissy”.

Sherburne spojrział na mnie ze współczuciem, jakby to niczego nie dowodziło, ale po sposobie, w jaki spuścił głowę i położył dłoń na ramieniu Jake’a, pomyślałam, że chce mi wierzyć.

– To bardzo mądre dziecko – powiedziałam. Pragnęłam, żeby zrozumiał.
– Gdybym myślała, że choćby zbliży się do wody, nie puściłabym jej ręki.

Jake obrócił się w stronę oceanu. Zdałam sobie sprawę, że rozważa taką możliwość. Że on – racjonalista do szpiku kości – bierze pod uwagę ten mało prawdopodobny, ale jednak możliwy scenariusz, że Emma mogła utonąć.

– Mam dwoje dzieci – powiedział Sherburne. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Teraz Jake wyłania się zza drzwi ze spuszczoną głową. Jego ramiona opadają, a gdy dotykam jednego z nich, kiedy się mijamy, Jake wyrywa się gwałtownie, jakby mój dotyk go zabolął. Spogląda na mnie podkrążonymi, czerwonymi oczami. Z widocznym wysiłkiem przesuwa dłoń w moim kierunku, chwyta moje palce, za chwilę jednak je puszcza.

„Jak mogłaś? – pytał zrozpaczony, kiedy mu o tym powiedziałam. – Boże, Abby, jak mogłaś?” Rozmawialiśmy przez telefon, musiałam zamówić międzymiastową z Eureka. Jego głos drżał. Płakał. Teraz widzę na jego twarzy, ile kosztuje go niepowtarzanie z wściekłością tego pytania. A ja myślę: jak mogłam? Poczucie winy jest niczym fizyczny ból, nieustający, mdlący ból.

Człowiek obsługujący wariograf stoi w drzwiach, ręce opiera na biodrach. Uśmiecha się przyjaźnie, jakby znał mnie z widzenia.

– Norm Dubus – przedstawia się i ściska moją dłoń. – Jest pani gotowa?

Pokój jest biały, bez wyrazu i jest w nim bardzo ciepło. Pod oknem stoi i furkocze piecyk gazowy. Czuć zapach słodkiej czarnej kawy. Norm zamyka za sobą drzwi i każe mi usiąść, a potem podłącza mnie do wykrywacza kłamstw i prosi, żebym się wyprostowała. Reguluje wysokość krzesła tak, żeby moje stopy stały płasko na podłodze.

– Proszę się rozluźnić. Zadam pani kilka pytań.

Na stole przed nim leży notes, obok stoi maszyna z igłą. Norm wciska guzik i rozlega się cichy szum urządzenia. Igła zaczyna przesuwać się po papierze, rysując cztery niebieskie linie. Początkowo pytania są oczywiste:

Czy nazywa się pani Abigail Mason?

Czy urodziła się pani w Alabamie?

Czy ukończyła pani Uniwersytet Tennessee?

Czy pani aktualny adres to Arkansas 420 w San Francisco w Kalifornii?

Norm zapisuje moje odpowiedzi w notesie, patrzy na ruch igły, robi notatki. Chwilę potem atmosfera zmienia się i zaczynają padać trudne pytania:

Czy ostatnio kłóciła się pani z Jakiem?

Czy ma pani dzieci?

Czy chciałaby pani je mieć?

Czy kiedykolwiek kłóciła się pani z Emmą?

Włosy Norma są czarne i lśniące, jeśli nie liczyć kilku szarych pasemek na skroniach. Na czole ma ciemne plamy. Pachnie jabłkami. Pewnie ufarbował włosy wczoraj wieczorem albo nawet dzisiaj rano.

To już pół godziny, odkąd włączył wykrywacz kłamstw.

Czy kiedykolwiek karała pani Emmę?

Czy wie pani, gdzie ona jest?

Czy brała pani jakikolwiek udział w zniknięciu Emmy?

Czy straciła pani panowanie nad sobą?

Czy utopiła pani Emmę?

Czy ją pani zabiła?

Przy ostatnich pytaniach załamuję się. Norm podaje mi chusteczkę i odłącza kable. Słodki jabłkowy zapach jego szamponu staje się intensywniejszy.

– Emma uwielbia mus jabłkowy – mówię ni stąd, ni zowąd.

Norm spogląda z nieobecny uśmiechem. Przypominam sobie fragment bezsensownej rymowanki, której uczyłam się w przedszkolu: „J jak jabłka, K jak klatka, L jak lampka, M jak małpka...”.

– To wszystko – mówi Norm. – Może pani iść.

Po czym delikatniej dodaje:

– To standardowa procedura. Musimy ją przeprowadzić.

– Wiem – odpowiadam.

N jak nie wiadomo gdzie.

Przed posterunkiem stoją reporterka i operator kamery z Channel 7. Jake patrzy prosto w obiektyw i mówi do mikrofonu, który kobieta trzyma w ręce.

– Jeśli to ty zabrałeś mi Emmę, proszę, wypuść ją. Po prostu zostaw ją w jakimś miejscu, gdzie jest wielu ludzi. Nikt się nie dowie, kim jesteś.

Reporterka podsuwa mi mikrofon. Jej makijaż wygląda sztucznie, konturówka optycznie powiększa usta.

– Kim pani jest dla dziecka? – pyta.

– Narzeczoną jej ojca.

Kobieta wciska się między mnie a Jake’a.

– Ślub jest ciągle aktualny?

– Ja chcę tylko znaleźć córkę – mówi Jake.

Zasypuje Jake'a kolejnymi pytaniami, nie czekając na odpowiedzi:

– Jak pan się teraz czuje? Co się stało z matką Emmy? Czy podejrzewa pan kogoś?

Widzę, że ma nadzieję na jakąś chwytliwą wypowiedź, nagły przyptyw łez, sugestię, że winę ponosi matka, a może Jake napomknie o dziwnym sąsiedzie czy szalonym wujku, cokolwiek, byle tylko wiadomość była ciekawsza.

Jake odpowiada spokojnie, wręcz profesjonalnie. Ani razu nie okazuje zniecierpliwienia, nie zaczyna płakać. Ten zawsze opanowany, krzepki Kalifornijczyk jest stworzony do takich kryzysowych sytuacji. Jego praprapradziadek przybył do San Francisco w 1849 roku w czasie gorączki złota, jego ojciec grał w drużynie futbolowej San Francisco 49ers i był świetnym zawodnikiem, właściwie bohaterem. Jego nazwisko do tej pory pojawia się w sportowych rubrykach gazet. Futbol był całym jego życiem. Zniszczył go alkohol. Zmarł w wieku czterdziestu kilku lat. Jake też grał w szkolnej drużynie futbolowej i był całkiem dobry, ale po śmierci ojca bez wahania zrezygnował. Do dziś jednak porusza się z zuchwałością typową dla futbolistów, a jego życzliwość i pewność siebie sprawiają, że ludzie szybko się do niego przekonują.

Patrzę na niego i wiem, że w telewizji będzie wyglądał świetnie. Widzom na pewno spodoba się jego rzeczowy ton, gęste, falujące, trochę potargane włosy, sposób, w jaki gryzie dolną wargę, kiedy się nad czymś zastanawia, a także jego dyskretne okulary, nadające mu wygląd intelektualisty. Jego chłopięce dołki w policzkach, to, jak zerka na swoje stopy, kiedy słyszy komplement – to wszystko wzbudzi ich sympatię. Myślę o widowni, która ogląda i osądza, tak jak ja kiedyś, w lepszych czasach.

Wracamy do domu Jake'a na rogu Trzydziestej i Lawton. Przed drzwiami czeka kolejny reporter. Jake zatrzymuje się i jeszcze raz prosi porywacza, by

Emma mogła bezpiecznie wrócić do domu. Po wejściu do środka zaciągamy zasłony i stajemy naprzeciwko siebie w ciemnym salonie, nic nie mówiąc i nie dotykając się. Stoimy tak z opuszczonymi rękami. Po całym pokoju porozrzucane są rzeczy Emmy. Na ławie leży własnoręcznie przez nią zrobiona różdżka, w koszyku przy schodach widzę rękawicę kuchenną szytą dla nauczycielki, a spod kanapy wystają jej czerwone kapcie.

Przytulam się do Jake'a i obejmuję go. Zawsze idealnie do siebie pasowaliśmy. Stawałam przy nim, moja głowa sięgała jego mostka, a on mnie obejmował. Czułam się bezpieczna w jego ramionach. Tym razem nie obejmuje mnie, tylko poklepuje parę razy po ramieniu, jak poklepałby znajomego na pogrzebie.

– Przepraszam – mówię.

Jego dłoń opada.

– To nie twoja... – Nie kończy.

Nie może powiedzieć, że to nie moja wina, że wcale tak nie myśli, bo to jest moja wina i on tak właśnie myśli.

Uwalnia się z mojego uścisku. Idzie na górę, do pokoju Emmy, i zamyka za sobą drzwi. Słyszę, jak kładzie się na łóżku i zaczyna płakać. Pościel Emmy jest żółta w białe kwiaty. Mała ma zwyczaj chowania swoich rzeczy pod poduszkami. Znajdowałam tam już przeróżne skarby: kredki, ubranka dla lalek czy nawet drobne pieniądze. Mija kilkanaście minut. Słyszę wreszcie, jak Jake wychodzi, idzie do łazienki i puszcza wodę.

W Channel 7 Leslie Gray podaje następujące informacje: „Wczoraj na Ocean Beach w San Francisco zaginęła sześciolatka dziewczynka, wnuczka legendarnego gracza San Francisco 49ers, Jima Balfoura. Policja nie wyklucza z kręgu podejrzanych ojca dziewczynki i jego narzeczonej. Nieoficjalnie dowiedzieliśmy się jednak, że oboje zostali poddani badaniu wykrywaczem kłamstw, z którego wynika, że nie mieli związku

z zaginięciem. Trwają poszukiwania matki dziewczynki. Policja obawia się, że dziecko mogło utonąć”.

Na ekranie pojawia się szkolne zdjęcie Emmy z zeszłego roku. Ma na nim nierówno przyciętą grzywkę, we włosach spinkę, a ubrana jest w niebieski sweter. Uśmiecha się szczerbato – akurat wtedy wypadł jej przedni ząb. Pamiętam dzień, kiedy robiła sobie to zdjęcie. Pomagałam jej wybrać spinkę, a ona prosiła mnie, żebym ułożyła jej grzywkę. Wsunęłam palec między lokówkę a jej czoło, żeby się nie sparzyła, tak jak robiła to kiedyś moja mama. Emma szczebiotała o chłopcu imieniem Sam, który zatruł szkolnego kanarka, a ja zdałam sobie wtedy sprawę, że zaczyna się do mnie przekonywać.

Leslie Gray marszczy czoło w wyuczony sposób, a na jej brzoskwiniowym makijażu pojawiają się bruzdy: „Każdy, kto widział dziewczynkę, proszony jest o przekazanie informacji pod podany numer telefonu”. Na ekranie pojawia się numer. Podnoszę słuchawkę i wybieram go. Dziewczyna, która odbiera telefon, ma może siedemnaście lat.

– Infolinia o zaginionych dzieciach – mówi radośnie. – W czym mogę pomóc?

Chcę ją prosić, żeby znalazła Emmę. Powiedzieć, że Emma uwielbia chipsy pomidorowe z solą i octem, że uczy się grać na wiolonczeli, że dostała szóstkę z testu z ortografii, że uczę ją obsługiwać aparat fotograficzny. Słowa nie mogą mi przejść przez gardło. Milczę.

– Halo – mówi. – Słucham – powtarza zniecierpliwiona. – Słucham. – Po czym się rozłącza.

ROZDZIAŁ 6

W pracy zawsze używam aparatu Leica R8. Łatwo nim manipulować, daje fotografowi największe możliwości regulacji zdjęć. Jednak od pewnego czasu mam wrażenie, że moim pracom czegoś brakuje – jakiejś nieokreślonej głębi. Tamtego dnia na Ocean Beach chciałam wypróbować aparat bez dodatków, bez obiektywów, bez dokładnego ogniskowania, dlatego zdecydowałam się na holgę. To najprostszy z aparatów z wizjerem optycznym, bez ogniskowania, jedynie z dwiema przysłonami.

Emma zaginęła wczoraj. Teraz jest środek nocy. Jake jej szuka. Kilkudziesięciu ochotników przeczesuje park Golden Gate. Mają zamiar przeszukać całą powierzchnię parku, ponad czterysta hektarów – gęste lasy, olbrzymie boiska, ogrody botaniczne, stawy, place zabaw, nawet stadniny koni. Straż parkowa porusza się konno pod wodzą kobiety, której na imię Bud. Rozpoznałam ją, bo spotkaliśmy się wiosną w stadninie Presidio, kiedy urządziliśmy sobie jedną z naszych wspólnych wycieczek. Funkcjonariuszka Bud pokazała wtedy Emmie, co robić, żeby konie jadły marchew z ręki. Teraz mam wrażenie, że tamten dzień był bardzo dawno temu. W wycieczce uczestniczyły też inne dzieci i ekscytacja Emmy wprawiała mnie w zakłopotanie. Przecisnęła się nawet ukradkiem do pierwszego rzędu. Ja jako dziecko nie byłam tak zuchwałą, więc zastanawiałam się, trochę rozbawiona, a trochę zaniepokojona, w co za kilka lat przerodzi się ta przedwczesna zaradność Emmy.

Mnie poszukiwania prowadzą do mojego mieszkania, do chłodnej, pachnącej chemikaliami ciemni. Wyjmuję rolkę z holgi, wyciągam kliszę i delikatnie nawijam ją na szpulkę. Robiłam to setki razy, ale teraz trzęsą mi się ręce. Wkładam szpulkę z kliszą do puszek, odkręcam kurek i zaczynam naświetlać. Sprawdzam temperaturę wywoływacza, wlewam inne roztwory i delikatnie kołyszę puszką. To samo robię z przerywaczem i utrwalaczem. Uważnie patrzę na zegar – nie chcę się pomylić – wywołuję najważniejsze zdjęcia w swoim życiu. W końcu zdejmuję pokrywę z puszek, zwilżam szpulkę wodą. Rozwijam kliszę i zawieszam do wyschnięcia.

O trzeciej w nocy rozcinam negatywy. Wsuwam je po kolei do powiększalnika, kładę pod nim papier fotograficzny i zaczynam wywoływać zdjęcia, na każde przeznaczając cztery sekundy. Polewam wywoływaczem, przerywaczem i utrwalaczem. Na koniec wkładam odbitki do wody.

Chociaż każde zdjęcie trafnie przedstawia pojedyncze chwile, to razem nie składają się w pełną historię. Jedno z nich to zbliżenie uśmiechniętej szeroko Emmy, której zabrudzona mąką twarz znajduje się centymetry od obiektywu. Robiła tego ranka naleśniki. Na drugim jest już dalej, widać jej zasłonięty włosami profil, kiedy pochyla się nad pieniążkowcem. Na trzecim stoi plecami do aparatu. Mała rozmazana sylwetka po lewej stronie kadru. To tajemnicze, ale sympatyczne zdjęcie, można by je powiesić w galerii czy w salonie: czarne włosy dziecka, a nad olbrzymią plażą biała mgła.

Ale zdjęcia nie pokazują najważniejszego. Nie pokazują prawdy, nie udzielają odpowiedzi. Po raz kolejny przyglądam się im przez lupę. Szukam tajemniczej postaci ukrytej gdzieś w cieniu. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Z uporem szukam poszlak, ukrytego sensu, czegoś oczywistego, co wcześniej mi umknęło. Szukam, aż obraz rozmazuje mi się przed oczami. Nie chcę wierzyć, że nie mam czego szukać. Jest siódma rano. Wychodzę z ciemni bardzo zawiedziona.

Kiedy moja mama mawiała, że nie ma problemu, którego by nie można rozwiązać, zawsze w to wierzyłam. Teraz jej słowa tracą znaczenie, stają się niemożliwą do spełnienia bajką dla grzecznych dzieci. Wiem jedno. Jest pewna dziewczynka, na imię jej Emma, spacerowałam z nią po plaży. Była przy mnie i nagle zniknęła. Nie jestem w stanie przypomnieć sobie chwili, kiedy zniknęła, odtworzyć tego, co się stało. Nie mogę cofnąć czasu.

ROZDZIAŁ 7

Nikt nie odbiera telefonu. Widzę siebie jakby z daleka. Ściskam słuchawkę w dłoni. Na serdecznym palcu mam zaręczynowy pierścionek ze szmaragdem. To nie może być prawda, to nie mogło przydarzyć się właśnie mnie.

W końcu ktoś odbiera. Słyszę wysoki, nienaturalny męski głos.

– Policja – mówi. – Czy coś się stało?

– Zaginęła dziewczynka – mój głos drży.

– Kiedy zauważyła pani, że jej nie ma?

– Trzydzieści pięć minut temu. – Patrzę na zegarek z niedowierzaniem. Trzydzieści pięć minut. Co może przydarzyć się dziecku w ciągu trzydziestu pięciu minut?

– Gdzie widziała ją pani po raz ostatni? – pyta mężczyzna.

– Na Ocean Beach. Szukałam na parkingu, ale tam jej nie było.

– Proszę zachować spokój – mówi.

Ale nie mogę zachować spokoju. Zachować spokój to znaczy odpoczywać, siedzieć wygodnie, czekać.

– Gdzie pani teraz jest?

– W restauracji Beach Chalet.

– Proszę mówić głośniej, nie słyszę pani.

– W restauracji Beach Chalet – powtarzam tak głośno, że aż mnie to

przeraża.

Ludzie w restauracji zwracają na mnie uwagę. Mężczyzna w fartuchu układający srebrne sztucce na serwecie, wytatuowana para przy oknie dzieląca się omletem i grupa licealistów z Niemiec studiujących menu – wszyscy podnoszą głowy. Podchodzi do mnie kelnerka. Mówi z silnym rosyjskim akcentem. Przedwczesne macierzyństwo wyraźnie odbiło się na jej wyglądzie. Kobieta załamuje rękę.

– Czy ta dziewczynka to pani córka? – pyta mężczyzna, z którym rozmawiam.

– Nie, mojego narzeczonego.

– Ile ma lat?

– Sześć i pół. – Znowu podnoszę głos. – Proszę, niech pan kogoś tu wyśle. Kiedy pan kogoś wyśle?

– Proszę się uspokoić. Właśnie wzywam wóz patrolowy.

– Kiedy tu dotrze?

– Za pięć minut. Proszę zostać na miejscu i czekać na policję. – Jego głos brzmi spokojnie, pewnie.

Porządek, z jakim odbywa się cała ta procedura, trochę poprawia mi samopoczucie. Wyobrażam sobie, jak wezwanie przez eter dociera do grupy dobrze wyszkolonych policjantów. Za chwilę wsiądą do radiowozu i popędzą w kierunku Ocean Beach, a chwilę później na pewno znajdą Emmę.

– Przyniosę pani kawy – mówi Rosjanka i znika w kuchni.

Mężczyzna od sztucców podchodzi i kładzie dłoń na moim ramieniu.

– Jak jej na imię?

– Emma. Emma Balfour.

– Poszukam w parku. – Zdejmuje fartuch i rzuca go na ladę.

Walczę z wizją, w której Emmę, gdzieś za drzewami, na skalistej ścieżce,

przetrzymuje jakiś nieznajomy. Patrzę na zegarek. Trzydzieści dziewięć minut. Emma może być wszędzie.

Wytatuowana para z zapalem zjada ostatnie kawałki omletu.

– Czy możemy jakoś pomóc? – pyta dziewczyna, wkładając kurtkę.

– Nie wiem – odpowiadam. – Nic nie przychodzi mi do głowy.

– Moglibyśmy spisać numery rejestracyjne samochodów na parkingu – mówi chłopak. Jest gorliwy, niemal podekscytowany, jakby cała sytuacja była filmem z nim w roli głównej.

– Weźcie mój aparat. – Podaję im holgę. – Zostało tylko pięć klatek.

– Oddamy, jak skończymy – mówi dziewczyna.

Kładzie na ladzie dwudziestodolarówkę i razem z chłopakiem idą na parking. Licealiści z Niemiec patrzą znad menu i szepczą między sobą. Myślą chyba, że to część programu rozrywkowego ich wycieczki, specjalnie dla nich zainscenizowana.

Rosjanka wraca, w rękach trzyma kubek kawy ze śmietanką, cukrem i łyżeczką.

– Pani córka – mówi – znajdziemy ją.

Znowu podnoszę słuchawkę. Tym razem wybieram numer komórki Jake'a, mając nadzieję, że nie odbierze. Zadzwoiłabym wtedy do niego później, już po odnalezieniu Emmy. Chcę wierzyć, że za kilka chwil się znajdzie, że bawi się ze mną w chowanego, że poszła poszukać łazienki, że zgubiła się we mgle i szuka parkingu, że zaraz wszystko wróci do normalności. Pewnie czeka już na mnie przy samochodzie. Na pewno. Powinnam zostać na parkingu i zaczekać na nią.

Telefon Jake'a odzywa się dwa, trzy razy, a ja wiem, że kiedy mu powiem, koszmar stanie się rzeczywistością. Po pięciu dzwonek słyszę jego głos:

– Abby?

Dobiegają mnie odgłosy tego, co tam się dzieje. Tłum hałasuje, spikerzy komentują wydarzenia na boisku. Nie wiem, jak zacząć.

– Jesteś tam? – pyta.

– Muszę ci coś powiedzieć.

Rozlegają się głośne wiwaty tłumu, Jake wydaje okrzyk radości.

– Delago właśnie zaliczył home run!

– Jake, musisz wrócić do domu – mówię i obliczam, ile czasu zajmie mu przejechanie czterystu trzydziestu kilometrów, jeśli będzie jechał szybciej, niż powinien, jeśli nie będzie tankował i jeśli nie będzie korków.

– Co?

– Chodzi o Emmę. Musisz przyjechać.

– Ledwo cię słyszę.

– Emma – powtarzam.

– Czy coś się stało? – Ton jego głosu się zmienia.

– Zniknęła – mówię.

– Co?

– Emma zniknęła.

– Jak to: zniknęła? – pyta nieznanym mi, spanikowanym głosem.

– Byłyśmy na plaży, spacerowałyśmy.

Co mam mu powiedzieć? Cała ta sytuacja jest nierealna. Wiem, że są słowa, których należałoby w takiej sytuacji użyć, ale nie mam pojęcia jakie. To jakaś pomyłka, żart, błąd. Za chwilę Emma pojawi się w drzwiach.

– Jak to: zniknęła? – powtarza Jake.

– Na plaży leżała martwa młoda foka. Odwróciłam się na chwilę, dosłownie na chwilę. I Emmy nie było.

– Ale... co się z nią stało?

Co się z nią stało? Słuszne pytanie. Pierwsze, które przychodzi na myśl.

Jak na nie odpowiedzieć?

– Zaginęła – odpowiadam. Jakby po prostu oddaliła się od domu. Jakby cierpliwie czekała gdzieś na mnie. – Wezwałam policję.

Jake milczy przez kilka sekund. Nieznany głos pyta, czy wszystko z nim w porządku. Później dowiem się, że głos należał do sprzedawcy hot dogów. Jake osunął się na ziemię. Stał, przyglądając się meczowi, chciał kupić dwa hot dogi, a chwilę później siedział... nie, klęczał na betonie.

– To niemożliwe – mówi Jake. – Abby, jak mogłaś?

Znowu słyszę uderzenie kija baseballowego i krzyki tłumu.

Spotkałam Jake'a rok temu w liceum, w którym uczy. Pokazywałam wtedy uczniom pierwszych i drugich klas slajdy przedstawiające krajobrazy południowo-zachodnich Stanów. Zanim wyłączyłam światło, zauważyłam, że z tyłu siedzi jakiś mężczyzna. Trochę nie pasował do tego miejsca. Miał czarne falujące włosy, nosił okulary w cienkich srebrnych oprawkach i niebieską koszulę. Kiedy światło znów się zapaliło, uśmiechnął się do mnie.

Spytałam, czy są jakieś pytania albo uwagi. Nie było. Kilka prostych pytań zadała więc nauczycielka historii sztuki, wychudzona brunetka z krótką grzywką. Z dźwiękiem dzwonka młodzież wybiegła z klasy, szturchając się wzajemnie i pokrzykując. Korytarze wypełniły nieprzyjemne zapachy tanich perfum, lakierów do włosów, potu i tłumionej chuci. Kiedy zgiełk ucichł, mężczyzna podszedł do mnie.

– Całkiem dobrze ci poszło – zagadnął.

– Chcesz po prostu być miły.

– Naprawdę. To trudne dzieciaki, ale poradziłaś sobie z nimi. – Wyciągnął do mnie dłoń – Jestem Jake.

– Możesz tak chodzić po szkole bez identyfikatora?

– Na poprzedniej przerwie zostawiłem go w pokoju nauczycielskim, a nie

znoszę tam długo siedzieć.

Nagle zgasło światło i znów zapanowała ciemność.

– Program oszczędnościowy – wyjaśnił Jake. – Światła wyłączane są automatycznie.

W sali nie było nikogo oprócz nas. Wyciągnęliśmy ręce, żeby wyłączyć rzutnik, a nasze palce się dotknęły i poczułam ukłucie elektryczności.

– Iskrzymy – powiedział.

Uśmiechnęłam się.

Przeciskaliśmy się przez zatłoczony korytarz, ogłuszeni hałasem rozmów, głośno grających ipodów, komórek. Zdawało mi się, że dosłownie widzę burzę hormonów. W tym nieprzewidywalnym miejscu czułam się zagrożona, jakby zaraz miała rozgorzeć walka, a ktoś mógł wyciągnąć broń. Chudy dzieciak w rozciągniętym swetrze przybił z Jakiem piątkę, dziewczyna w minispódniczce posłała mu całusa, kilku uczniów zawołało go po imieniu. Ciekawiło mnie, jak zdobył ich zaufanie. Nigdy nie lubiłam nastolatków, nawet kiedy sama miałam kilkanaście lat. Byłam pewna, że moje odczucia są odwzajemnione, że oni widzą mój strach i wyczuwają niechęć.

– Czego uczysz? – Ominięłam wózek z telewizorem i pchającego go otyłego łysiejącego chłopca.

– Filozofii.

– Podoba ci się to?

– Prawdę mówiąc, mam tylko parę godzin w roku na filozofię. Resztę przeznaczam na futbol i historię USA.

– Człowiek renesansu.

– Raczej najemnik – odpowiedział. – Kto cię w to wrobił?

– W chwili słabości zgłosiłam się na ochotnika. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego: uroczych trzecioklasistek z warkoczami, rozumiesz.

– Jakim rodzajem fotografii się zajmujesz?

– Każdym, za który mi płacą. Głównie duże imprezy, koncerty, wesela. Trochę zabezpieczania starych zdjęć.

– Moja mama robiła czasem zdjęcia – powiedział Jake. – Fotografowała pociągi, krajobrazy, opuszczone ulice. Takie hobby, ale była dobra. Szkoda, że nie odziedziczyłem po niej talentu.

Wyszliśmy z ciemnego, wilgotnego korytarza na słońce. Z parkingu widać było ocean, a mgła pokrywająca miasto pięknie komponowała się z błękitem wody. Jake włożył rzutnik do bagażnika mojego samochodu, uścisnął mi dłoń i powiedział:

– Chyba musimy się rozstać.

Miałam wrażenie, że czeka na moje zaprzeczenie, ale ja dawno już nie zapraszałam nikogo na randkę i zapomniałam, jak to się robi.

– Dzięki za pomoc – powiedziałam w końcu, z nadzieją, że zapyta o mój numer telefonu.

On tylko pomachał i odszedł.

Przekręcałam właśnie kluczyk w stacyjce, kiedy zobaczyłam go przez okno. Oparł ręce na drzwiczkach.

– Masz plany na jutrzejszy wieczór? – spytał.

– Cóż, mam dwa bilety na mecz Giants.

– Naprawdę? – Jake był zaskoczony.

– Bądź jutro pod pomnikiem o wpół do siódmej.

– Będę.

Pomachałam mu, próbując sprawiać wrażenie, że robię to ciągle. W drodze do domu myślałam o jego dłoniach opartych na drzwiczkach i prawej stopie, którą uroczo stawiał palcami do środka.

Następnego wieczora, kiedy dotarłam pod pomnik Williego Maysa, Jake

już czekał. Podjadając frytki i hot doga, zasypał mnie pytaniami. Udało mu się wyciągnąć ze mnie to, gdzie pracowałam, ile trwały moje związki, jakie płyty trzymam w domu, a nawet imię mojego cocker-spaniela, którego miałam w wieku siedmiu lat. Niespecjalnie zwracaliśmy uwagę na mecz.

Gdy gra miała się ku końcowi, strzepnęłam okruchy z ubrania.

– Czuję się jak po rozmowie kwalifikacyjnej – przyznałam.

– Zadaję tylko najistotniejsze pytania. – Wzruszył ramionami.

– Dostałam pracę?

– To zależy. A chcesz ją dostać?

– Zbyt mało wiem o pracodawcy.

Giants wygrywali już ośmioma punktami.

– Przyjechałaś samochodem? – spytał Jake.

– Nie, kolejką miejską.

– Dobrze, odwiozę cię do domu.

Później długo staliśmy pod moim domem i rozmawialiśmy – nie chcieliśmy się żegnać. Po paru minutach włożył ręce do kieszeni, wbił wzrok w ziemię i zapytał:

– Chciałabyś mieć dzieci?

– Chyba trochę za wcześnie na takie dyskusje. – Roześmiałam się – Nawet mnie jeszcze nie pocałowałeś.

Objął mnie w talii, przyciągnął i pocałował długo i powoli, tak, że chciałam więcej.

– No, to mamy to za sobą.

– Mówisz jak Alvy w *Annie Hall* – skomentowałam. – W tej scenie, kiedy wracają z pierwszej randki do domu i Alvy całuje Annie, żeby mieć to z głowy i żeby potem nie zrobiło się niezręcznie.

– To mój ulubiony film Woody’ego Allena – powiedział. – Chociaż nie,

raczej drugi po *Zbrodniach i wykroczeniach*.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę, uśmiechając się nieporadnie, a ja poczułam się szczęśliwa i zaskoczona, że mamy ze sobą coś wspólnego.

– To jak z tymi dziećmi? – powtórzył pytanie.

– Jak do tej pory nikt mnie o to nie pytał na pierwszej randce.

– Wolę grać w otwarte karty.

– Oczywiście, chcę mieć kiedyś dziecko, ale niekoniecznie w najbliższej przyszłości.

Znów mnie pocałował, tym razem dłużej, jedną ręką obejmując mnie w tali, drugą przytrzymując mój łokieć. Mój poprzedni związek zakończył się fatalnie ponad rok temu, a chłopak jeszcze przez długie miesiące dzwonił do mnie późno w nocy. Kiedy Jake mnie całował, czułam, jak coś się we mnie kruszy.

Chwycił kosmyk moich włosów i założył je za ucho.

– Powiedzmy, że spotkasz inteligentnego, zabawnego i przystojnego faceta.

– Znasz jakiegoś?

– Powiedzmy, że ten facet ma córkę. Ciągle miałby u ciebie szansę?

Myślałam, że to żart, ale Jake mówił poważnie.

– Naprawdę masz córkę?

– Ma pięć lat. Na imię jej Emma.

Pamiętam dokładnie, jak oczami wyobraźni wyraźnie zobaczyłam siebie i Jake'a w parku z małą dziewczynką. Huśtałam ją, a jej włosy rozwiewały się, kiedy wlatywała coraz wyżej. Uspokajała mnie wizja takiej gotowej rodziny. Nagle zdałam sobie sprawę, że czegoś w niej brakowało.

– A co z jej matką? – zapytałam.

– Lisbeth zostawiła nas kilka lat temu. Poznała jakiegoś muzyka

i wplątała się w nieciekawą historię. Pewnego dnia wróciłem z pracy do domu, a jej tam nie było. To był chyba najgorszy moment w moim życiu. Wprawdzie nie układało nam się wtedy najlepiej, ale wciąż ją kochałem. A może po prostu myślałem, że dzięki mnie może znowu stać się osobą, którą kiedyś była.

– Gdzie teraz jest?

– Nie wiem. – Jake przerwał na chwilę. – Po tym jak odeszła, przez parę miesięcy w ogóle się ze mną nie kontaktowała. Potem zadzwoniła, prosząc o pieniądze. Jakies pół roku temu zatelefonowała jeszcze raz, w środku nocy. Płakała i przepraszała mnie za wszystko. Mówiła, że jest czysta, że zostawiła muzyka, że tęskni, że chce spróbować jeszcze raz. Zasmuciło mnie, że ani razu nawet nie wspomniała o Emmie. Macierzyństwo chyba było dla Lisbeth ciężarem, ograniczało ją.

– Co zrobiłeś?

– Kazałem jej trzymać się od nas z daleka. Wtedy powiedziałem Emmie, że jej mama nie wróci. Ciągle trochę kochałem Lisbeth, zresztą, chyba zawsze będę ją trochę kochał. Ale wiedziałem, że Emma potrzebuje kogoś lepszego, i nie chciałem, żeby jej matka znów pojawiła się w naszym życiu.

Uśmiechnął się nieśmiało, co trochę kontrastowało z osobą, którą poznałam.

– Od tamtego czasu byłem na niewielu randkach. Nie spłoszyłem cię?

Kiedy tak staliśmy, jego dłonie były na moich ramionach, a w ustach czułam jeszcze smak kawy i jego pocałunków. I wtedy zrozumiałam, że nie była to przygodna randka, na jaką się nastawiałam.

– Skąd to masz? – Dotknęłam prawie niewidocznej blizny na jego policzku.

– Wina Mike'a Pottera. Miałem dziewięć lat. Zawzięta bitwa na podwórku.

Wspięłam się na palce i pocałowałam bliznę. Nigdy wcześniej nie byłam z mężczyzną, który miał dziecko. Nie byłam pewna obowiązujących zasad.

– Kiedy ją spotkam?

– Niedługo.

Dwa tygodnie później, w pewną ciepłą sobotę, poszliśmy nad morze na burrito do Pancho Villa, a potem do kina na film dla dzieci. Emma zajęła miejsce między nami, na kolanach trzymała pudełko popcornu. Kilkakrotnie sięgałam po kukurydzę w tym samym momencie co Emma albo Jake i nasze ręce zderzały się ze sobą. Przy każdym jego dotyku po moim ciele rozchodziło się ciepło i coś się we mnie łamało. W pewnym momencie Emma pochyliła się do przodu, a Jake położył dłoń na moim karku i przyciągnął mnie do siebie. Pocałowaliśmy się szybko i mocno, jak nastolatki, których rodzice czatują za ścianą.

Jeszcze przez kilka tygodni chodziliśmy w soboty do kina. Emma siadała między nami, a pospieszne pocałunki niemal mnie obezwładniały. Jake opierał ramię o fotel Emmy, a dłoń kładł na moim karku. Przy napisach końcowych moja szyja była gorąca, obraz rozmazywał mi się przed oczami i wypełniona byłam pożądaniem. Gładził kciukiem wgłębienie nad moim karkiem, wsuwał dłoń pod kołnierz, przesuwając palce po skórze, a ja nie mogłam skupić się na filmie, zapominałam imiona bohaterów, nie słuchałam kluczowych rozmów, w których wiele się wyjaśniało. Później, kiedy Emma smacznie już spała w swoim pokoju, rozbieraliśmy się cicho, wchodziliśmy do łóżka i kochaliśmy się pod kołdrą, a na zewnątrz samotnie, nieludzko wyła syrena latarni morskiej.

Kilka miesięcy później do kina chodziliśmy rzadziej, raz na trzy, cztery tygodnie, a w nocy częściej spałam, niż namiętnie kochałam się z Jakiem. Raz obudziłam się i zobaczyłam, że Jake nie śpi.

– Nie możesz spać? – spytałam.

– Patrzę na ciebie.

– Dlaczego?

– Czekam, aż zaczniesz mówić przez sen i zdradzisz swoje najmroczniejsze tajemnice.

– Znasz moje mroczne tajemnice.

Leżałam na brzuchu, z głową odwróconą w jego stronę. Dotknął mojej szyi.

– Znam twoją szyję na pamięć. Rozpoznałbym ją z zamkniętymi oczami, nawet gdybym miał ją znaleźć wśród setek innych.

Przysunęłam się i pocałowałam go. Kochaliśmy się powoli i swobodnie, chyba tak, jak kochają się małżeństwa. Po pewnym czasie, nie kończąc stosunku, zasnęliśmy zmęczeni. Moja głowa wspierała się o jego pierś. Trochę później usłyszałam skrzypienie podłogi. Wyjrzałam na korytarz i zobaczyłam Emmę. W łazience świeciło się światło, a ona stała bez ruchu z oczami wbitymi w podłogę. Naciągnęłam szlafrok, podeszłam do niej, wzięłam za rękę i zaprowadziłam z powrotem do łóżka.

Wyglądała na zmieszaną.

– Chodziłaś we śnie – powiedziałam, otulając ją.

– Naprawdę?

– Tak. Zaśnij.

– Zostaniesz przy mnie?

– Oczywiście.

Usiadłam na brzegu łóżka i zostałam, dopóki nie zasnęła. W pewnym sensie już żałowałam, że nie jest moją córką.

ROZDZIAŁ 8

Policjantów interesują takie kwestie, jak: pływy oceanu, kąt padania promieni słonecznych, kierunek wiatru, dokładne miejsca i godziny. Z tych informacji konstruują scenariusze, ze scenariuszy układają szeregi możliwości, które z kolei są względem siebie uporządkowane w oddzielną hierarchię prawdopodobieństwa. Punktem wyjścia każdego dochodzenia jest elementarny układ generalnych zasad, które muszą być precyzyjnie dostosowane do poszczególnych przypadków. Każdy trop należy przemyśleć, a następnie odrzucić lub zbadać do samego końca. Utrzymanie ładu dochodzenia jest najważniejszą sprawą.

– Klucz do każdej tajemnicy – mówi mi pewien młody, energiczny policjant – leży w dekonstrukcji. Całość musi zostać rozłożona na części pierwsze. Części te są w rezultacie bardziej znaczące od samej całości.

Oczywiście zdaję sobie sprawę z tego, że to nieprawda. Całość sama w sobie jest wszechogarniająca. Całość to Emma, której brak.

Nie ma takiej chwili w ciągu dnia, w której nie uciekałabym myślami do tego miejsca na plaży, do tego otulonego mgłą labiryntu. Jestem tam zawsze, gdy zdaję sobie sprawę z jej nieobecności. Za każdym razem, kiedy wracam myślami do tej chwili, obraz zdaje się przybierać na wyrazistości, a czas zwalnia bieg, by w końcu zupełnie ustać. Nowy szczegół wyłania się niczym płaskorzeźba z szarej, zrównanej powierzchni pamięci: brązowa papierowa torba wirująca na wietrze, trzy plastikowe słomki leżące na piasku jedna przy

drugiej, odwrócona do góry dnem nakrętka ze słowami: „Przepraszamy, spróbuj ponownie”. W tym zwolnionym obrazie, w jego coraz głębszej rekonstrukcji, mam nadzieję znaleźć wskazówkę, która zaprowadzi mnie do Emmy. Nie potrafię jednak uspokoić wątpliwości. Czy szczegóły pojawiające się za każdym razem podczas moich wędrówek w głąb podświadomości są strzępkami poszarpanej pamięci czy wyobraźni? Muszę oddzielić stojące przede mną zadanie od tego obezwładniającego pragnienia.

Chcę, żeby wróciła, i w tym pragnieniu coś jest stworzone z niczego. Pamiętam, jak weszłam za cementowy mur pewna, że ją tam znajdę. Chciałam tego tak bardzo, że uroiłam sobie obraz łądząco rzeczywisty: Emma skulona, czekająca za ścianą, trzymająca żółte wiaderko między kolanami. Kiedy obeszłam mur i zrozumiałam, że jej tam nie ma, poczułam, jak rzeczywistość uderza mnie w twarz. Było to niczym smagnięcie batem, jednocześnie przerażenie ścisnęło mnie za serce.

Wpatrywałam się w cementowe schodki prowadzące do chodnika, stamtąd na parking i dalej w kierunku Great Highway. Nie poszłaby w tamtą stronę. Przez cały tydzień błagała mnie, żebym zabrała ją na plażę, bo to piasek był tym, co pociągało ją najbardziej. Pozostały więc trzy kierunki – północ, południe i zachód. Wielokierunkowy charakter zadania kłócił się ze standardowym ograniczeniem do ruchu liniowego, bo przecież ludzkie ciało potrafi przemieszczać się tylko w jednym kierunku w danym czasie, a zdolność wzrokowa umożliwiająca wykrycie ruchu jest ograniczona do stu osiemdziesięciu stopni, choć niektóre zadania wymagają rozciągnięcia pola widzenia do trzystu sześćdziesięciu stopni.

Gdybym pamiętała w tamtym decydującym momencie o pomarańczowym chevelle’u i mężczyźnie siedzącym samotnie na przednim siedzeniu, częściowo schowanym za gazetą, prawdopodobnie postąpiłabym inaczej. Zdawał się nieświadomy tego, co działo się wokół, lecz gdy myślę

o tym teraz, mógł przecież obserwować i czekać, by we właściwym momencie zaatakować. Równie dobrze jednak to żółta furgonetka mogła skrywać odpowiedź, przystojny amator surfingu stojący przy drzwiach od strony kierowcy i zajęty woskowaniem deski albo machająca do Emmy kobieta za rozsuniętymi zasłonkami. Gdybym o nich pomyślała, może ruszyłabym bezzwłocznie w kierunku parkingu. To mogłaby być moja pierwsza decyzja i możliwe, że zastałabym surfera wpychającego Emmę do furgonetki. A co z listonoszem siedzącym na murze oporowym i jedzącym kanapkę? Mogłam skierować kroki w stronę furgonu pocztowego i przeszukać jego małe ciemne wnętrze.

Zamiast tego przeszukałam toalety, a później skierowałam się na północ w stronę Seal Rock. Kiedyś Emma i ja stawałyśmy na plaży tuż pod skałą i słuchałyśmy fok; lubiła ich piskliwą mowę, sposób, w jaki dźwigały szyje, by po chwili zwiesić je leniwie niczym opalający się plażowicze. Dotarłam do końca plaży, ale nie znalazłam jej. Przypomniała mi się pierwsza lekcja, jakiej udziela się dzieciom na wypadek, gdyby się zgubiły: stój w jednym miejscu, dopóki ktoś cię nie znajdzie. Wtedy właśnie pomyślałam o parkingu, swoim samochodzie i wysoce rozsądnej naturze Emmy, która nie pozwala jej łatwo wpadać w panikę. Oczywiście, pomyślałam, raczej wróciłaby do samochodu, żeby na mnie poczekać. Pobiełam.

Nie jestem pewna, ile minut upłynęło, zanim wspięłam się na nabrzeże prowadzące w stronę parkingu. Wstąpiła we mnie nowa nadzieja. Rzecz jasna, Emma będzie tam na mnie czekać przy samochodzie, troszkę zła, że straciłam ją z widoku. Być może będzie płakać albo – co bardziej prawdopodobne – dąsać się. Albo będzie siedzieć na masce samochodu, przeglądając wiaderko pieniążkowców. Będzie tam, byłam tego pewna. Dziewczynka, którą tak bardzo pokochałam, nie mogła się tak po prostu zgubić. Tragedie absolutne, niweczące wszystko, dotyczą innych ludzi.

Dziewczynki takie jak Emma nie znikają, nie toną, nie zdarza im się paść ofiarą porywaczy. Moje przerażenie było zupełnie bez sensu. Później, myślałam sobie, kiedy niebezpieczeństwo minie, opowiem tę historię Jake'owi. Usiądziemy przy stole we trójkę jak rodzina, a Jake i ja będziemy patrzeć na siebie bez słowa, zajęci myślami. Wdzięczni, choć nigdy nieprzyznający się głośno, że tak blisko byliśmy tego, co nie do wypowiedzenia.

Odnalezienie samochodu zajęło mi zaledwie kilka sekund. I nagły ścisk w sercu: nie ma jej tam, i uświadomienie sobie, że komórkę zostawiłam w domu. Ruszyłam w stronę najbliższego budynku, plażowej budki, wściekła na siebie, że nie zadzwoniłam z restauracji Cliff House.

Teraz już wiem, że kilka decydujących chwil może zmienić wszystko. Ale te chwile były już zaprzepaszczone. Po prostu wszystko zrobiłam nie tak.

– O czym wtedy myślałaś? – pyta mnie Jake o trzeciej w nocy, kiedy niezdolni do snu leżymy tak daleko, choć tuż obok siebie. – To przecież Ocean Beach, potwór.

– To było tylko kilka sekund – odpowiadam.

– Ale Ocean Beach to zupełnie inna plaża od tych, na których się wychowałaś. Musisz odczuwać przed nią respekt. Nie zauważyłaś prądu odpływowego? Nie widziałaś oznaczeń?

Oczywiście, że zauważyłam ustawione co kilometr drewniane znaki z dramatycznym ostrzeżeniem: „Pojawiające się fale o niebezpiecznych rozmiarach i sile. Pływanie i wchodzenie do wody może grozić śmiercią”.

– Wiem, że ona żyje – odzywam się – Wiem, że nie utonąła.

Jake odwraca się i mówi:

– Nie wiemy nic.

O czwartej nad ranem budzę się po to, by zastać obok siebie w łóżku

puste miejsce i jasno oświetlony parter domu. Jake'a znajduję w kuchni, stoi przy blacie i wpatruje się w dzbanek z kawą. Tak już jakoś jest, że najcięższe są zawsze noce. Możemy wypełnić nasze dni aktywnością, poszukiwaniami, telefonami, organizowaniem ochotników, ale przychodzi chwila, kiedy musimy wrócić do domu. Dopóki nie znajdziemy Emmy, każda noc będzie zastawać nas takich jak teraz, usidlonych i bezradnych, oczekujących poranka.

– Jest jeszcze za wcześnie, by zacząć zwoływać ludzi? – pyta.

Pada deszcz. W dole ulicy widać jarzące się czerwienią lampy sygnalizacji świetlnej. Każdy błysk odbija się, ociąga się przez sekundę na mokrym asfalcie, czyniąc świat smutnym, niespokojnym, cierpiącym na bezsenność. Wysoki mężczyzna w czarnej koszulce i dżinsach stoi po drugiej stronie ulicy naprzeciwko pralni, zupełnie sam.

– Mary! – krzyczy. Jego głowa jest lekko pochylona, jak gdyby kobieta, do której mówi, stała tuż obok niego.

Z kuchni dochodzi odgłos czegoś obsuwającego się, jakiś głuchy łoskot. Odwracam się i widzę Jake'a siedzącego na podłodze, obejmującego kolana drżącymi ramionami. Wydaje głośny jęk, echo bezradności tłamszącej jego wewnątrz. Wchodzę do kuchni, klękam i obejmuję go ramionami. Rozpaczliwie wypatruję czegoś, co mogę mu dać, ale nie jestem w stanie wymyślić niczego, co wynagrodziłoby mu te koszmarne cierpienia, których stałam się przyczyną.

– Gdzie ona może być? – pyta.

Gdzie? Ocean możliwości zalewa mój umysł, paraliżując go. Nie sposób się w nim odnaleźć, nie sposób od czegoś zacząć. Niczym przez obiektyw aparatu widzę okrąg na plaży. Jakaś kobieta pochyla się, żeby nawiązać rozmowę z dzieckiem. Rozstają się, po czym następuje odjazd kamery, która pokazuje jeszcze przez moment ujęcie czegoś białego i martwego na plaży.

Zegar tyka. W miarę jak obiektyw unosi się wyżej i wyżej, krąg widzenia poszerza się, by w końcu objąć swoim zasięgiem całość plaży, ruiny Sutro Baths, Great Highway, połamane wiatraki, futrzanego bizona pasącego się w parku, most Golden Gate, żaglówki porzucane na niebieskiej tkaninie zatoki niczym białe guziki, szeregi kruchych domków na wzgórzach Daly City, wielkie cmentarzyska Colma, rozległą pośęgność Pacyfiku. Obiektyw wciąż się unosi, a obszar poszukiwań rośnie w zastraszającym tempie.

– Jej przyjaciel Sven wyprawiał dziś przyjęcie urodzinowe – mówi Jake.
– Mieli pójść razem do centrum rozrywki Sea Bowl.

– Zabierzemy ją tam, kiedy wróci do domu – odpowiadam.

– Prawdopodobieństwo... – zaczyna Jake, ale nie jest w stanie skończyć.

I tak wiem, że ma na myśli statystyki Sherburne'a, które dostaliśmy wczoraj: każdego roku zdarza się sześćdziesiąt tysięcy uprowadzeń dzieci pozostawionych bez opieki rodziców. Sto piętnaście z nich to porwania długoterminowe, dokonane przez nieznanym – o tych mówi się w telewizji. Połowa ze stu piętnastu ofiar jest wykorzystywana seksualnie, czterdzieści procent mordowana, a czterech procent ofiar nigdy nie udaje się odnaleźć. Ale pięćdziesiąt sześć procent – czyli sześćdziesięcioro czworo dzieci – udaje się odnaleźć. Osobiście nie miałam żadnych wątpliwości: Emma do nich właśnie należy. Po prostu musi.

ROZDZIAŁ 9

Czwartego dnia po zachodzie słońca zatrzymuję samochód przy Fort Point, u stóp mostu Golden Gate, około ośmiu kilometrów na północ od miejsca, w którym zniknęła Emma. Spaceruję wzdłuż brzegu, wypatrując jakichś wskazówek na wąskim pasie skalistej plaży. Nie jestem pewna, czego dokładnie szukam – fragmentu jej ubrania, żółtej spinki do włosów czy może jakiejś nieprawdopodobnej wiadomości wydrapanej dziecięcą dłonią?

Ostatnim razem byłam tu z Emmą i Jakiem jakieś trzy miesiące temu. Mam nawet jej zdjęcie, jak stoi u stóp mostu, przypatrując się potężnej konstrukcji, górującej nad fortyfikacjami wzniesionymi przed wojną secesyjną. Już w wieku sześciu lat Emma wykazywała talent pasjonata historii. Była zawsze ciekawa żołnierzy, którzy zajmowali kiedyś ten ceglany fort – gdzie spali, gdzie jedli i czy mieszkali z nimi ich rodzice.

Zatrzymuję się przy Warming Hut, by przekazać ulotki tamtejszemu pracownikowi. Kilka kroków dalej wchodzę na pływający pomost, na którego skraju stoi mężczyzna leniwie trzymający wędkę w wodzie. Obok niego widzę pustą chłodziarkę, jeśli nie liczyć samotnej ryby bezpowrotnie uśpionej na lodowym łożu. Jej głowa podnosi się i opada, a dreszcz śmierci wstrząsa srebrzystym ciałem.

– To moja mała dziewczynka – mówię, wskazując trzymaną przez siebie ulotkę. – Zaginęła.

Mężczyzna obserwuje jednak moje usta zamiast oczu i nagle dociera do

mnie, że jest głuchy. Potrząsa głową i odwraca się w stronę wody. W tym momencie, po nieudanej próbie nawiązania kontaktu, jakby podświadomie pożałowałam, że nie ma ze mną Emmy, która uczyła się języka migowego w szkole. Szybko dotarła do mnie absurdalność tych myśli. Podobnie jak wtedy, gdy tydzień po śmierci mamy łapałam się na tym, że sięgam po telefon, żeby do niej zadzwonić, i to zanim zdążę przypomnieć sobie, że jej już nie ma. To samo dotyczy Emmy – za każdym razem, kiedy się odwracam, oczekuję, że będzie stała tuż obok.

Około północy kończę wyprawę w Palace of Fine Arts. Cisza. Nie słychać nawet kaczek na stawie. Przenikliwie zimny wiatr świszczy między kolumnami. W świetle księżyca pochylone sylwetki płaczących kobiet na zwieńczeniu kolumn wydają się rzeczywiste, jak gdyby ich łyzy były zrobione z czegoś więcej niż tylko z kamienia. Wciśnięci pomiędzy urny i posagi, zakutani w poszarpane śpiwory, kryją się bezdomni. Podchodzę do każdego z nich, podając im dolary i ulotki, licząc, że choć jeden z nich o czymś wie.

Kilka godzin później docieram do swojego mieszkania na Potrero Hill. Nie włączam światła, tylko po omacku wchodzę na piętro. Zrzucam buty i padam na łóżko. Zdaje mi się, że ledwie zamknęłam oczy, gdy rozlega się dzwonek telefonu. To moja siostra Annabel, mieszkająca w Wilmington, daleko w Karolinie Północnej.

– Która godzina? – pytam, sięgając po okulary.

– Siódma rano w twojej części świata. Jak się trzymasz?

– Nie najlepiej.

– Mogę przyjechać do San Francisco – mówi i już wiem, że ma taki zamiar.

Dałaby wszystko, żeby tu być i pomóc w poszukiwaniach. Niegdyś rozentuzjasmowana podróżniczka, nie opuściła Wilmington, od kiedy urodziła najmłodsze dziecko. W zeszłym roku postawiono diagnozę, że Ruby

cierpi na poważne zaburzenia ze spektrum autyzmu. To słodka, na swój sposób nieobecna pięciolatka, która porozumiewa się za pomocą języka migowego. Nie lubi, kiedy ktoś jej dotyka, a wrażliwość na dźwięki ma tak ogromną, że telefony i dzwonki w domu Annabel nie dźwięczą, tylko mrugają.

– W czym ci mogę pomóc? – pyta Annabel. – Potrzebujesz pieniędzy?

– Mam trochę w banku.

– Co znaczy „trochę”?

– Niewiele. Zrezygnowałam z pracy na przyszły miesiąc.

– A jak wysoki masz czynsz?

– Trzyma się godnie na poziomie tysiąca dwustu. Dzięki za kontrolę opłat mieszkaniowych.

– Słuchaj – mówi – będę przysyłać ci na konto tysiąc dwieście pierwszego każdego miesiąca, do czasu aż to wszystko minie.

– Każdego miesiąca? – pytam, a moje serce ściska się z bólu. – Wystarczająco straszne jest wyobrażenie sobie kolejnego tygodnia bez wiadomości, gdzie jest Emma. Nawet nie mieści mi się w głowie, że miałoby to trwać całe miesiące!

– Mam nadzieję, że znajdziesz ją jutro. A na razie będziesz miała o jeden powód do zmartwień mniej.

– Nie mogę wziąć twoich pieniędzy, Annabel.

– Bez dyskusji. Rick właśnie znalazł partnera do interesów. Nie ma o czym mówić.

– Dziękuję. Oddam ci.

– Abby – mówi. – Wszystko w porządku?

– Było tak pięknie – odpowiadam. – Wydawało się, że jest tak doskonale.

Opowiadam Annabel, jak pojechałam wczesnym rankiem w piątek do

Jake'a, żeby pomóc Emmie pożegnać się z nim. Ten weekend miał spędzić z Seanem Dohertym, byłym współlokatorem z czasów studiów, który ostatnio się rozwiódł. Pchnęło go to niebezpiecznie w stronę depresji, więc Jake postanowił zostawić Emmę pod moją opieką i jechać, by podtrzymać go na duchu. To miał być nasz pierwszy weekend razem, sam na sam, pewnego rodzaju sprawdzian. Po powrocie Jake chciał powiedzieć Emmie, że planujemy się pobrać.

Tamtego ranka Emma i ja zjadłyśmy na śniadanie w Tennessee Grill francuskie tosty z gorącą czekoladą. Po śniadaniu uszyłyśmy szmacianą lalkę z niebieskimi guzikami zamiast oczu i włosami z grubej czarnej włóczki. Po południu obejrzałyśmy film animowany o chorowitej dziewczynce nieokreślonej narodowości, która zaprzyjaźnia się z koniem i ratuje swoją wioskę przed zniszczeniem. Emma spałaszowała przy tym zbyt dużo żelków i w drodze powrotnej z kina płakała, skarżąc się na ból brzucha. Naucz się odmawiać, pomyślałam, wyciągając rękę i masując jej plecy.

Gdy wróciłyśmy do mnie, dałam jej szklanekę wody, a ona zwinęła się w kłębek tuż obok mnie na kanapie. Kiedy czytałam jej *Old Hasdrubal and the Pirates*, zasnęła z głową na moim ramieniu. Siedziałam jeszcze przez jakiś czas, czytając cichutko, oddając się przyjemności płynącej z powrotu do ulubionej książki swojego dzieciństwa i rozkoszując się ciężarem głowy Emmy na moim ramieniu. Potem zaniósłam ją na górę i położyłam do łóżka. Otworzyła oczy na tyle, by powiedzieć mi dobranoc.

Przebrałam się w piżamę i wczołgałam do łóżka obok niej. Czułam zadowolenie, obserwując ją śpiącą. Być może macierzyństwo byłoby dla mnie, a jeśli nie macierzyństwo, to choć rola macochy, która była czymś pomiędzy macierzyństwem a przyjaźnią z Emmą. Emma to zmysłne, czasami nieco dzikie dziecko, zupełnie jak ja kiedyś, ale sen czynił ją zwodniczo spokojną. Pomyślałam o swojej mamie, która urodziła mnie w wieku

dwudziestu dwóch lat. Wyobraziłam ją sobie stojącą na progu mojej sypialni w krótkim bawełnianym szlafroku, z włosami związanymi z tyłu w kucyk, tak jak widziałam ją każdego wieczora w dzieciństwie. Zastanawiałam się, czy ona także czuła w tamtej chwili to, co ja teraz, tak nagle dojrzała, w swoim własnym domu, dźwigająca tak wielką odpowiedzialność.

– To był pierwszy raz od tylu lat, kiedy poczułam więź z mamą – opowiada Annabel. – Poczułam się tak, jakbym w końcu zaczynała ją rozumieć. Pragnęłam, by żyła, żebym mogła się z nią tym podzielić.

Nie miało znaczenia, jakie sukcesy osiągnęłam w swojej karierze, jak interesującymi torami toczyło się moje życie. Wiedziałam, że mama zawsze uważała mnie za nie w pełni gotową, za jeszcze niedojrzałą. Bez męża i dziecka – byłam dla niej po prostu małą, błakającą się dziewczynką.

– Czy wspominałam ci już, co mi powiedziała, gdy zbliżał się jej koniec? – pytam Annabel. – Kiedy wróciłam do domu, by się nią zaopiekować, wymogła na mnie obietnicę, że znajdę sobie dobrego faceta, kogoś, kto będzie chciał mieć dzieci. A ja wtedy zrobiłam najgłupszą rzecz, jaką mogłam. Obiecałam jej to, trzymając za plecami skrzyżowane palce, ponieważ w tamtej chwili ani mi się śniło planować dzieci. Nie, żebym miała coś przeciwko nim, to po prostu nie było wtedy najważniejsze. Jak nazwiesz osobę, która okłamuje swoją matkę na łożu jej śmierci?

– Z pewnością nie jesteś pierwsza – odpowiada Annabel. – Tak czy inaczej pewnie się domyślała, że oszukujesz.

– Ale najdziwniejsze jest to, że w zasadzie dotrzymałam obietnicy. Poznałam Jake’a, zakochałam się w nim, zakochałam się w Emmie. Czasami doświadczam niezrozumiałego przecucia, że mama przygotowała to wszystko z zewnątrz, jak jakiś wielki, kosmiczny żart.

– Nie zdziwiłabym się.

Dalej opowiada Annabel, jak to Emma i ja wstałyśmy w sobotę

wcześniej, żeby zrobić naleśniki.

– Zdobyłam jej uznanie, pozwalając rozbić jajka i wymieszać ciasto. Właściwie tak o tym wtedy pomyślałam, wiesz? Czułam, że dla Emmy moja pozycja od początku była przegrana: nie byłam jej matką. Jake spędzał ze mną czas, podczas gdy ona przyzwyczajona była mieć go na wyłączność. Nie miałam zielonego pojęcia, jak sprawić, by mała była szczęśliwa, więc każda rzecz, którą udało mi się zrobić prawidłowo, stanowiła kolejny punkt w kolumnie plusów. Zrozumiałam, że im więcej ich mam, tym bardziej ona mnie lubi.

– Ona cię lubi, Abby.

– Nie tylko o to chodzi. Chciałam sprawić, by mnie pokochała. Czułam, że każda minuta, którą ze sobą spędzamy, jest pewnego rodzaju sprawdzianem.

W końcu po raz pierwszy opowiadam Annabel całą historię, nie opuszczając żadnego szczegółu: jak poczułam lekki posmak szczęścia, gdy zobaczyłam martwą foczkę. Jak wspaniały powstałby z tego obraz! Jaka świetna okazja, by zadowolić Emmę i przy okazji dać jej ważną lekcję o przemijaniu życia. Opowiadam jej nawet, jak uśmiechnęłam się do faceta na parkingu – surfera woskującego deskę tuż przy żółtej furgonetce. Jak mój uśmiech mógł być odrobinę zbyt poufały i jak pomyślałam przez sekundę, co by było, gdybym go pocałowała.

– To nie przestępstwo myśleć o pocałowaniu kogoś – komentuje Annabel.

– Wiem. Chodzi mi o to, że nie byłam tam obecna całą sobą. Powinnam się była skoncentrować na Emmie. Być może, gdybym była mniej rozproszona, nigdy by do tego nie doszło.

– Nie powinnaś się tym zadręczać – stwierdza Annabel.

Myślę o młodym, sympatycznym policjancie, który usiłował pocieszyć

mnie tamtej nocy na posterunku. „To mogło spotkać każdego” – powiedział. Wiem, że to nieprawda. Nie przytrafiłoby się to Annabel. Nie przytrafiłoby się Jake’owi. Nie przydarzyłoby się to żadnemu z nich, bo żadne z nich nie spuściłoby z niej wzroku ani na chwilę.

ROZDZIAŁ 10

Moja sąsiadka, Nell Novotnoy, wierzy, że książki mogą nas ocalić.

Mieszka obok, w mieszkaniu na poddaszu, odziedziczonym po nieżyjącym synu. Stephen zmarł sześć lat temu, w wieku trzydziestu pięciu lat, i zostawił jej poddasze, które zdołał spłacić w czasie tłustych lat rozwoju internetu. Teraz pomarszczona twarz Nell spogląda z wielkich bannerów rozpiętych pomiędzy lampami ulicznymi na terenie całego miasta – Nell jest rzeczniczką kampanii Aids Walk oraz fundacji Quilt of Hope i Mothers for AIDS Research.

Jest także bibliotekarką i pracuje od trzydziestu lat w Bibliotece Instytutu Mechaniki przy Post Street. W każdy poniedziałek wpada z książką, którą wybiera specjalnie dla mnie. Dzięki Nell poznałam Johna Fantego i Josefa Skvoreckiego, Halldora Laxnessa i Larsa Gustafssona, dzienniki Roberta Musila i eseje Edmunda Wilsona. Nell zna chyba wszystkich autorów i wszystkie tytuły. Potrafi też bez trudu wymienić laureatów ważniejszych nagród literackich.

Sześć dni po zniknięciu Emmy pukam do drzwi Nell. Jej mieszkanie jest przytulne i pachnie domowym makaronem z serem. Przez ostatni tydzień Nell zostawia pod moimi drzwiami zapiekankę i ciasteczka, proponuje, że zajmie się moim praniem, pomaga, jak tylko potrafi. Teraz prowadzi mnie do kuchennego stołu i nalewa filiżankę kawy.

– Mów – zachęca, odgarniając z twarzy pasmo czarnych włosów. –

Potrafię słuchać.

– Ciągłe staram się uzmysłwić sobie, co przeoczyłam tamtego dnia – odpowiadam. – Coś, co zobaczyłam albo usłyszałam, ale nie mogę sobie przypomnieć. Coś, co wydawało się nieważne w tamtym momencie, ale mogłoby skierować mnie na właściwy trop. Czuję, że mam klucz do rozwiązania zagadki, ale zagrzebany jest pod kupą śmieci i nie wiem, jak go odnaleźć.

– Wiesz, co powiedział Święty Augustyn? „Wielka jest potęga pamięci, Boże mój! Nie do pojęcia wielka! Tajemnicza to jest dziedzina, niezmiernie”_.

Wstaje, żeby wyciągnąć makaron z piecyka, nakłada dwie miski i podaje mi widelec.

– Jedz.

Wiem, że danie jest przepyszne – to ten sam makaron i ser, za który jeszcze tydzień temu oddałabym wszystko, ale teraz wydaje się bez smaku i zmuszam się, by cokolwiek przełknąć.

– Schudłaś – mówi Nell, dodając makaronu do mojej już i tak pełnej miski. – Wiem, że jedzenie to ostatnia rzecz, o jakiej myślisz, ale nie możesz funkcjonować z pustym żołądkiem.

Kończy swoją porcję i idzie do półki z książkami.

– Pamięć jest nauką – mówi, buszując po tytułach. – Napisano na ten temat tony.

W ciągu kilku minut stół zapełnia się stosem książek i broszur. Są tu prace o tym, w jaki sposób mózg przechowuje informacje, fotokopie artykułów na temat odzyskiwania pamięci, pisma Arystotelesa, Ramona Llulla i Roberta Fludda o sztuce zapamiętywania.

– Te wszystkie rzeczy, tak po prostu, u ciebie leżą?

– Kto raz został bibliotekarzem, zawsze nim będzie. – Nell wzrusza

ramionami.

Przewraca kartki książek, zaznaczając kilka stron samoprzylepnymi karteczkami, pokazując mi diagramy mózgu – elegancko zakrzywiony hipokamp, jądro migdałowe, tajemniczy płat skroniowy.

– To tu – mówi, pukając mnie w głowę. – W tym miejscu znajdziesz odpowiedź. Udowodniono, że traumatyczne albo wyczerpujące emocjonalnie wydarzenia sieją takie spustoszenie w pamięci, że dotarcie do informacji przechowywanych w mózgu staje się bardzo trudne. Ale te informacje ciągle tam są. Musisz się tylko zastanowić, jak je wydobyć.

Późno w nocy, siedząc samotnie w mieszkaniu z ołówkiem i notesem przy boku, zagłębiam się w książki Nell. W niedawno opublikowanej pozycji *Strange Memory*, napisanej przez słynnego profesora psychologii Stephena Perry’ego, natykam się na historię Szerieszewskiego, człowieka, który nie mógł zapomnieć. Perry nawiązuje do klasycznego dzieła *The Mind of a Mnemonist*, w którym rosyjski neuropsycholog Aleksandr Łurija zwraca się do swojego pacjenta Szerieszewskiego po prostu „S”. Wydaje mi się to dziwne, że człowiek z tak olbrzymią pojemnością pamięci został zredukowany do pojedynczej litery.

Co pamiętał „S”? Każde słowo z każdej rozmowy, poczynając od dzieciństwa. Każdy zjedzony posiłek, każdy usłyszany dźwięk, każdy rys każdej napotkanej twarzy. Podczas gdy ludzie cierpiący na amnezję tracą zdolność zapamiętywania, „S” utracił zdolność zapominania. Przypadkowa strona z tekstem, przypadkowa rozmowa mogła okazać się polem minowym; pojedyncze słowo wywoływało lawinę wspomnień, które nie pozwalały mu na uporządkowanie myśli.

Wyobraź sobie dowolną ulicę w dowolnym mieście w jakikolwiek dzień. Teraz wyobraź sobie, że spacer tą ulicą prowadzi do tysiąca trwałych wspomnień. Nie istnieje dla ciebie coś takiego jak pamięć krótkotrwała albo

coś takiego jak zapominanie. Będziesz pamiętać każdą wystawę sklepową, każdą osobę stojącą za szybą, każdą indywidualną postawę. Powiedzmy, że na tej ulicy jest księgarnia. Wchodzisz do środka i na pierwszym regale widzisz kilka książek. Już na zawsze będziesz pamiętać nie tylko ich tytuły, ale także okładki, porządek, w jakim zostały ustawione, kobietę stojącą obok, która zachęca do ich kupna, nachylenie jej głowy, kiedy się odwraca i spogląda na ciebie. Będziesz pamiętać czerwony kolor jej szminki, kształt jej nogi, szczupłej i długiej, lekko uniesionej, czarną skórę sandałka ześlizgującego się z jej pięty. Będziesz również pamiętać mężczyznę przy kasie, jego uczesanie, złoty zegarek na jego przegubie. Pospiesznie wychodzisz, świadom jak zwykle, że w ciągu ostatnich kilku sekund zaopatrzyłeś swoją pamięć w tysiące wrażeń, które będziesz musiał nosić w sobie do końca swoich dni. Spacerujesz, kontemplując tę prawdę, i uderzasz się w palec u nogi. Patrzysz w dół i widzisz winowajcę – wystającą kostkę brukową. To także stanie się twoim wspomnieniem: niedoskonałość chodnika, bolesne doznanie w palcu, obraz twojego buta w ruchu. I nie będziesz mógł zapomnieć, że w tym konkretnym dniu tego konkretnego roku dokładnie w tym miejscu zastanawiałeś się nad swoim przekleństwem, życiem upływającym na zapamiętywaniu.

Czym jest poszukiwanie, jeśli nie zmaganiem się z nadzieją i beznadziejnością? Nadzieja sprawia, że poszukiwanie w ogóle jest możliwe, beznadziejność, że staje się, niemal w tej samej chwili, absurdalne. Chcę wierzyć, że głęboko, w istocie szarej, wewnątrz zawitych fałd kory mózgowej i ciała modzelowatego, hipokampu i jądra migdałowatego, istnieje zakopany pojedynczy szczegół, maleńki fragment wiedzy, dokładne i decydujące wspomnienie, które wystarczy, żeby ocalić zaginione dziecko.

Tak samo jak Funes, obciążony pamięcią bohater znanego opowiadania Borgesa, „S” najbardziej pragnął jednego: zapomnieć. Ja chcę ponad

wszystko pamiętać, widzieć z absolutną jasnością wydarzenia tamtego dnia na Ocean Beach. Chętnie oddałabym wspomnienia całego życia – urodzinowe i bożonarodzeniowe poranki, pierwsze randki i cudowne wakacje, wspaniałe książki i piękne twarze – za to jedno, które coś dla mnie znaczy. To jedno, które zaprowadziłoby mnie do Emmy.

* Św. Augustyn, *Wyznania*, tłum. Z. Kubiak, wyd. 4, Kraków 2009, s. 288 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 11

Sztab poszukiwań znajduje się w Castro, pustym lokalu po sklepie, podarowanym przez dobrego samarytanina. Przechodniów pozdrawiają oczy Emmy patrzące z tuzinów ulotek, którymi wyklejone są okna. Wolontariusze siedzą wzdłuż stołów, pakują koperty i odpowiadają na telefony. Wszyscy są tak samo ubrani: białe podkoszulki z twarzą Emmy z przodu, a pod zdjęciem napis: „Widziałeś Emmę?”. Z tyłu wypisany wielką czarną czcionką numer 800, a pod nim „www.findemma.com”.

Większość wolontariuszy to uczniowie Jake’a, ale są też nauczyciele, koledzy, kilka osób, które znam ze świata fotografii, a także obcy, którzy odpowiedzieli na nasze internetowe ogłoszenia.

Minął tydzień, od kiedy Emma zniknęła. W czasie gdy ja szaleńczo przeszukiwałam ulice, biegając z jednego końca w drugi, Jake organizował grupy. Jego podejście było metodyczne, racjonalne, planowe – jak zawsze i jak we wszystkim.

Szczegółowa mapa Bay Area naszpikowana kolorowymi pinezkami zajmuje większość ściany. Telefony dzwonią. Głosy podnoszą się i milkną. Pyszczaty dzieciak z nienaganną fryzurą udziela wskazówek grupie nastolatków.

– Rozlepcie te ulotki na oznaczonym obszarze, gdziekolwiek się da – mówi. – Kafeterie, księgarnie, supermarkety, sami wiecie.

Puszcza w obieg pudełko po butach z przypinkami, na których widnieje

zdjęcie Emmy.

– Noście je. Weźcie kilka do rozdania. Chcemy, żeby jej twarz zapisała się w pamięci każdego.

Grupa rozprasza się, a dzieciak podchodzi i ściska mi rękę.

– Abby Mason – przedstawiam się.

– Wiem – odpowiada. – Mam na imię Brian.

Jego sposób bycia, nacechowany zbytnią pewnością siebie, a jednak czarujący, jest charakterystyczny dla przewodniczącego klasy albo prezesa Młodych Demokratów.

– Chce pani przeczesać teren czy spotkać się z panem Balfourem?

– Jedno i drugie.

Brian daje mi stos ulotek i mapę.

– Osoba od miasteczka Colma nie pojawiła się. Ma zawody w bieganiu. Może ją pani zastąpić.

Wyciąga kopię mapy podzieloną na małe odcinki pomarańczowym markerem. Każdy centymetr kwadratowy odpowiada czterem kilometrom kwadratowym. Wyobrażam sobie swój odcinek jako rozległą płataninę sklepów, apartamentów, domów, rowów, kontenerów na śmieci, samochodów i krzaków.

Jake zauważa mnie i podchodzi.

– Coś nowego? – pytam.

– Od czasu naszej ostatniej rozmowy nic.

Było to pół godziny temu. Bez chwili przerwy rozmawialiśmy przez nasze telefony komórkowe. Ciągłe wzloty i upadki, wymiana informacji, zagrzewanie do działania. Pojawiło się mnóstwo tropów, ale policjanci nie wiedzą, którym podążyć. Jakiemuś facetowi z Pescadero wydawało się, że widział ją w chińskiej restauracji – dokładnie w tym samym czasie, kiedy

gość uprawiający jogging zauważył ją w Oakland, pracownik sklepu 7-Eleven w pobliżu Yosemite, a pracownik poczty w San Diego. Była żona Jake'a, Lisbeth, ciągle nie została zlokalizowana.

– Mam nadzieję, że są razem – powiedział mi Jake, kiedy to wszystko się zaczęło. – Nigdy nie myślałem, że to powiem, ale Boże, mam nadzieję, że tak jest. Przynajmniej...

Nie skończył, ale wiedziałam, co miał na myśli. Jeśli stała za tym jego żona, to przynajmniej by oznaczało, że Emma ciągle żyje.

Przypominam sobie, co Sherburne powiedział, i to kilka razy, w odniesieniu do Lisbeth: „Nie jest łatwo znaleźć kogoś, kto nie chce być odnaleziony”.

Twarz Emmy spogląda na mnie z koszulki Jake'a. Dla mnie to Emma, z jej niskim, przeciągłym śmiechem, Emma, która w pięć sekund zmienia nastrój z radosnego w humorzasty, Emma, która uwielbia masło orzechowe, kanapki z miodem na opieczonym chlebie na zakwasie. Ale dla obcych to po prostu dziewczynka z czarnymi włosami, zielonymi oczami i dołkami w policzkach. Czy telefony przybliżają nas do rozwiązania sprawy, czy też oddalają? Emma może być w Pescadero, Oakland, Yosemite albo dwadzieścia metrów stąd, zamknięta w czyimś mieszkaniu, nafaszerowana narkotykami i nieprzytomna. Na ulotkach są informacje: „Czarne włosy. Zielone oczy. 122 cm wzrostu. Gdy ją ostatni raz widziano, miała na sobie czerwoną bluzę, niebieskie spodnie i niebieskie tenisówki od Paula Franka z naszytym z przodu napisem EMMA”. Ale porywacz mógł z łatwością ufarbować jej włosy, zmienić ubranie. Mogła być ze swoją matką, przestraszona, ale względnie bezpieczna, mogła też być z jakimś psychopatą.

Jake przemierza pokój, potem siada na biurku i przyciska palce do oczu. Musi żałować, że kiedykolwiek mnie spotkał. Chcę go objąć i powiedzieć, że jest mi przykro, że ją znajdziemy, ale jest zbyt dużo ludzi, zbyt wiele szumu.

W miarę upływających godzin, w miarę powiększania się obszaru poszukiwań rośnie też odległość między nami.

Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy, byliśmy zdumieni, jak wiele nas łączy. Było w tym coś więcej niż tylko sympatia dla drużyny Giants i znajomość cytatów z filmów Woody’ego Allena. Oboje utraciliśmy matki z powodu choroby nowotworowej i straciliśmy kontakt z ojcami, choć z różnych powodów – Jake z powodu alkoholu, a ja z powodu młodej żony i nowej rodziny, czego konsekwencją był paskudny rozwód z moją matką.

Na naszej czwartej randce – byliśmy na wystawie Williama Egglestona w Muzeum Sztuki Nowoczesnej, a potem na obiedzie w Last Supper Club – Jake i ja rozmawialiśmy otwarcie o naszych rodzinach.

– Kiedy jesteś dorosły, właściwie powinieneś pogodzić się z faktem, że rodzice odeszli – powiedział – ale dla mnie nigdy nie było to łatwe. Fakt, że jesteś dojrzałym człowiekiem, nie uwalnia cię od poczucia osierocenia. Myślę, że to jeden z powodów, dla których byłem tak rozbity. Dawno temu powziąłem postanowienie, że rodzina będzie dla mnie najważniejsza, więc kiedy Lisbeth odeszła, odebrałem to jako porażkę. Trzyletnia Emma została bez matki, a ja nie mogłem pozbyć się wrażenia, że to moja wina.

Gdy patrzę wstecz, wydaje mi się, że wtedy po raz pierwszy pomyślałam o słowie „miłość”, po raz pierwszy pogodziłam się z tym, jak głębokie było moje uczucie do Jake’a. Potem wszystko potoczyło się bardzo szybko i nagle zaczęliśmy mówić o małżeństwie. Wydawało się to najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

Parę tygodni wcześniej, zanim to wszystko się wydarzyło, ślub zajmował czołowe miejsce w moich myślach. Teraz, oczywiście, nie ma to znaczenia, więc gdy wczoraj temat wypłynął po raz pierwszy, obydwójce zgodziliśmy się, że należy go przełożyć. Żadne z nas nie wypowiedziało na głos słów „na czas nieokreślony”. Cała nasza nadzieja koncentruje się na pewnym

zmiennym punkcie w przyszłości, określonej kropeczce na niewidocznej linii życia – odnalezieniu Emmy. Zaraz po jej zniknięciu byłam pewna, że nastąpi to w ciągu kilku minut. W miarę jak dzień upływał, rozciągnęłam ten czas na godziny. Następnego ranka przygotowałam się na dni desperackich poszukiwań i niepewności. Teraz, kiedy minęły one bez najmniejszego znaku z jej strony, bez żadnego tropu, pozostaliśmy z nieokreśloną możliwością, że koszmar może ciągnąć się tygodniami.

Gdy opuszczam sztab z torbą pełną ulotek, w radiu leci wszechobecna od kilku tygodni piosenka, taki chwytliwy kawałek zespołu Wilco, którego nie mogę wyrzucić z głowy. Chociaż wielokrotnie nuciłam tę melodię, nigdy nie zwróciłam uwagi na słowa.

„Każda piosenka jest powrotem” – śpiewa głos. A potem chórek powtarza w kółko, tak chwytliwie i tak depresyjnie: „każdy moment jest chwilę później”. Patrzę na zegarek i robię obliczenia, wzór na pole koła, rzędy cyferek tykają mi w głowie.

Nie bez powodu nie byłam w Colmie od lat. Jest tam pełno drugorzędnych sklepików, fast foodów i dwupasmowych jezdni bez chodników. Rozklejam ulotki na Burger Kingu i Cost Plus, Pier 1 i Home Depot, Payless Shoes, Marshalls i BevMo. Sprzedawcy w większości są życzliwi i zainteresowani. W Nordstorm Rack pewna ciężarna kobieta prosi o dodatkowe ulotki i obiecuje porozwieszać je w Westlake.

– Biedni rodzice – mówi, głaszcząc ręką swój ogromny brzuch. – Nie mogę sobie tego wyobrazić.

Koło północy, po rozmowach z setkami sprzedawców, pokazaniu zdjęcia wszystkim, którzy chcieli na nie spojrzeć, docieram do sklepu Target. To jedyne miejsce w Colmie otwarte o tej porze. Sklep jest niepokojąco jasny. Przy drzwiach ekspedientka popycha koszyk w moją stronę, w zamian daje

jej ulotkę. Wyciąga z kieszeni okulary, wkłada na nos i mówi:

– Słodki dzieciak. Serce się ściska. Ile to już, tydzień? Pewnie leży gdzieś w rowie.

Chodzę szerokimi alejami, zostawiając ulotki w tuzinach nocnych sklepów. W pewnym momencie staję oko w oko z Barbie – ubrana jest we flanelowy szlafrok i puszyste pantofle, a przezroczysta plastikowa torebka zwisa z jej ramienia. W torebce widzę grzebień, szampon i małą maseczkę na oczy. Wkładam Barbie do koszyka. Nagle te wszystkie plastiki i jaskrawe kolory, które jeszcze tydzień temu wydawały mi się tandetne, stały się wzruszające. Dodaję czerwoną piłkę, przezroczystą skakankę wypełnioną fioletowymi błyskotkami, grę planszową i psa na baterie, który szczeka, obraca się i aportuje. Nawet zabawki skierowane do konkretnej płci, których zawsze nienawidziłam, nagle okazują się kuszące: piecyk Easy-Bake, posiadłość Barbie w Malibu, mikrofon i głośnik charakterystyczny dla Spice Girls.

Niosę łup do kasy, kiedy mój wzrok przyciąga telewizor w dziale z elektroniką. W małym okienku po prawej stronie Leslie Gray pojawia się zdjęcie Emmy. „Martin Ruiz, do niedawna nauczyciel angielskiego w szkole, w której pracuje Jake Balfour, został doprowadzony na przesłuchanie. Ruiz został przyjęty na oddział psychiatryczny szpitala Kaiser Permanente w lutym, a następnie zwolniony”.

Znam Ruiza. Próbował popełnić samobójstwo w wyniku przykrew sprawy rozwodowej – stąd pobyt w zakładzie psychiatrycznym. Jake kilka razy zapraszał go na obiad. Moim zdaniem Ruiz był pogrążony w głębokiej depresji, co usiłował ukryć, zakładając maskę żartownisia i pijąc zbyt dużo alkoholu. Od razu go polubiłam, tak samo jak Emma, której po deserze zbudował na podłodze w salonie imponujący domek z kart. Jestem przekonana, że z pewnością nie miał z tym nic wspólnego – nie uderzyło

mnie w nim nic dziwnego ani wzbudzającego nieufność – i nagle zdaję sobie sprawę, że niczego nie mogę być pewna. Byłam przekonana, że Emma będzie ze mną bezpieczna, że po powrocie Jake’a staniemy się szczęśliwą rodziną. Cała moja wiedza, wszystkie fundamentalne zasady okazały się bez znaczenia.

Wyglądający na jakieś szesnaście lat chłopak w słuchawkach i czerwonej koszulce sklepu stoi i ogląda telewizję. Na plakietce identyfikacyjnej dostrzegam imię „Pete”.

– Pomóc pani coś znaleźć? – pyta.

– Nie, dziękuję.

Pete patrzy w ekran.

– Moja mama ciągle mówi o tej historii. Uważa, że ojciec jest w to zamieszany, mówi, że to trochę zbyt dogodne, że był poza miastem, kiedy ten dzieciak zniknął. Stawiam na szalonego nauczyciela angielskiego. Co pani na to?

Sklep zaczyna wirować, a ja opieram się o kontuar.

– Wszystko w porządku? – pyta, wychylając się, żeby mnie podtrzymać.

Zostawiam koszyk i kieruję się do wyjścia.

– Hej – woła za mną Pete. – Hej, bierze pani te rzeczy?

Parking jest niemal pusty. Neon odbija się dziwnie na błyszczącym asfalcie. Jakaś kobieta podchodzi do drzwi, pchając rząd wózków. Musi ich być ze dwadzieścia albo więcej, ustawionych w długi czerwony i grzechoczący wąż. Samochód pełen dzieciaków pędzi przez parking i skręca w ostatniej chwili, by uniknąć zderzenia z wózkami. Kobieta potrząsa głową i przeklina, kierowca rzuca w odpowiedzi coś obraźliwego, a z okna samochodu dobiegają strzępy muzyki. To znów piosenka Wilco.

ROZDZIAŁ 12

Parę lat temu, by uczcić trzydzieste urodziny przyjaciółki, odwiedziłam z nią Nowy Jork. Mieszkał tam pewien facet, którego bardzo kochałam w okresie studiów. Nie rozmawialiśmy od wielu lat, choć często o nim myślałam. Nie znałam jego adresu, nie było go w książce telefonicznej, ale nie powstrzymało mnie to od szukania go wszędzie, gdzie wchodziłam: Dean & Deluca, balet w Lincoln Centre, Shakespeare Garden i tramwaj linii C jeżdżący do centrum.

Dwa razy z daleka wydawało mi się, że go widzę, ale z bliska okazywało się, że to ktoś inny. Zaczęłam się nawet zastanawiać, czy w ogóle go poznam po tych dziesięciu latach. A jeśli przytył albo obciął włosy, albo stał się miłośnikiem biznesowych garniturów? Czy oszukiwałam się, myśląc, że poznam go jedynie po twarzy, łuku brwi, gestach? Szukałam jego czy człowieka, którym był kiedyś? Zaczęłam się zastanawiać, czy już nie minęłam go zupełnie nieświadomie, a może siedziałam obok niego w restauracji albo musnęłam ramieniem na ulicy.

Teraz Emma jest wszędzie. Za każdym razem, kiedy mijam zakręt, kiedy otwieram drzwi swojego mieszkania, kiedy idę do banku. Krążę po parkach i placach zabaw, restauracjach, kinach. Odwiedzam brudne motele w Tenderloin, czterogwiazdkowe hotele przy Union Square, sklepy rozrzucone po Chinatown, modne kafejki w North Beach. Żadna dziewczynka o wzroście zbliżonym do Emmy nie jest pozbawiona mojej

ciekawości i nadziei. Spaceruję w górę i w dół pagórkami Noe Valley, zaglądając w twarze dzieciom na rowerach. Wchodzę do kliniki na końcu miasta, szukając w zbyt jasnych poczekalniach ponurych twarzy. Wędruję po wzgórzach Oakland.

Rankiem dziesiątego dnia jadę do Point Reyes, wchodzę na szczyt latarni morskiej i obserwuję przez lornetkę plażę i ocean. W drodze powrotnej patrzę, czy z zakamarków wieży nie wygląda mała rączka lub nóżka. Jedenastego dnia przeczesuję pralnie i fast foody Richmond, willowe uliczki Sunset. Tej nocy spędzam dziesięć godzin w kolejce miejskiej, jeżdżąc od pętli do pętli, przemierzam miasto jak szalona z drobniakami brzęczącymi w portmonetce. Dwunastego dnia jeżdżę BART-em. Trzynastego pociągami.

Czternastego dnia tramwajem linowym jadę do Fisherman's Wharf, toruję sobie drogę między turystami kupującymi kartki pocztowe i cukierki. Zamawiam kraba i siedzę w przydrożnej kafejce, obserwując tłum. Twarze nieznanomych nabierają złowrogięgo wyrazu. Zauważam mężczyznę wychodzącego ze sklepu z pamiątkami. Ma około pięćdziesiątki i bladą twarz, ubrany jest w dżinsy i elegancki sweter. Pod pachą niesie paczkę owiniętą w delikatny biały papier. Zaczynam go śledzić, ale wiem, że to głupie. Możliwość, że mężczyzna to porywacz, jest jak jeden do dwudziestu miliardów. Wiem, że zachowuję się irracjonalnie, jednak nie mogę się powstrzymać. Idę tuż za nim, ale na tyle daleko, żeby nie przyciągnąć jego uwagi. Śledzę go do Ghirardelli Square, do kafejki, gdzie zamawia filiżankę kawy i kawałek ciasta cytrynowego. Potem do Pier 39, gdzie siada na ławce, żeby poczytać „Chronicle”. W końcu przy pływa prom Sausalito i pasażerowie wysiadają. Atrakcyjna Włoszka w niezwykle czerwonym kapeluszu przepycha się do niego przez tłum. Wymieniają uścisk, on wręcza jej prezent. Odchodzę, czując się jak idiotka.

Piętnastego dnia wędruję do Embarcadero, Stockton, Montgomery,

wspinam się wąskimi schodkami, mijając ekscentryczne apartamenty z ukośnymi drzwiami, aż do Telegraph Hill, gdzie w samym centrum Pioneer Park stoi Coit Tower. Wewnątrz wieży obchodzę dookoła najniższy poziom, z jego olbrzymimi muralami o delikatnych liniach i genialnej kolorystyce. Przedstawiają kobiety zbierające lilie, barczystych mężczyzn pijących piwo przy błyszczących barach. Idę krętymi schodami w górę, patrząc w dół na ulice opadające stromo w kierunku zatoki, mostu Golden Gate, wyspy Alcatraz. Z góry woda wygląda spokojnie i przyjaźnie, całkowicie bezpiecznie.

Na zewnątrz zamawiam w budce colę i hot doga. Płacę sprzedawcy i wręczam mu ulotkę.

– Zgubiłam dziewczynkę.

Zsuwa okulary z czubka głowy na nos, przybliży zdjęcie.

– Widziałem ją w telewizji – mówi. – Współczuję pani. Naprawdę.

Pokazuje na pakiet ulotek w moim ręku.

– Ma pani więcej? Bardzo chętnie je rozdaję. Sprzedaję mnóstwo hot dogów, rozmawiam z wieloma osobami.

Szesnastego dnia wynajmuję rower w okolicach Presidio i jadę do China Beach, Fort Point, ponad most Golden Gate, aż do niebotycznego Headlands. Wynajmuję na noc pokój w schronisku młodzieżowym wzniesionym nad Pacyfikiem i myszkuję po pustych korytarzach. Po śniadaniu złożonym z jajek i opieczonego chleba na zakwasie pokazuję zdjęcie Emmy tuzinom turystów. Słuchają ze współczuciem mojej historii i obiecują mieć oczy otwarte, po czym wracają do rozmów o tym, jak zdobyć tani haszysz na Phuket i o dyzenterii w Bombaju.

Siedemnastego dnia w okolicy Alamo Square skradam się wokół mrocznych barów z cuchnącymi ubikacjami. Odwiedzam zakłady tatuażu i salony fryzjerskie, a potem zmierzam do Upper Height, gdzie w drogich

butikach rozlepiam zdjęcia Emmy, pokazuję je grupie turystów stojących przed domem zespołu Greatful Dead w Ashbury. Przemierzam szerokie ulice Amoeba Records, gdzie Jake i ja przychodziliśmy rozlepić ulotki i rozdawać je młodym ludziom stojącym w kolejce. W Cole Valley przepytuję kwiaciarki i kelnerki z Reverie i rozmawiam ze sprzedawcą w Cole Hardware, który przez ostatnie dziesięć lat sprzedaje mi maleńkie drzewko bożonarodzeniowe. Wszędzie zostawiam swój numer telefonu, nalegając na nieznanym, by zadzwonili, jeśli tylko coś zauważą. Każdy ma dla mnie to samo: współczucie bez odpowiedzi.

Osiemnastego dnia przemierzam ciche uliczki Chinatown, a w powodzi chińskich twarzy wyglądam jak intruz. Stary człowiek bez pośpiechu, z rękoma założonymi z tyłu, przystaje i mierzy mnie wzrokiem. Z domów gry na Waverly Street dobiega klekot kości. Staję się turystką we własnym mieście, obserwatorem okolicy, strażnikiem twarzy, szpiegiem. San Francisco, które zawsze wydawało się takie małe, okazało się niewyobrażalnie duże; przepastna topografia nieistotnych rzeczy, a wszystko po to, aby ukryć prawdę. Nie mam pojęcia, czego szukam, żadnego przeczucia, gdzie powinnam zajrzeć, na jaką ulicę, którego dnia i o jakiej porze. Emma jest wszędzie i nigdzie.

Jake tymczasem odsuwa się ode mnie coraz bardziej. Większość nocy przesypiam w jego mieszkaniu. Nalega, żebym tam zostawała, gdy on wyrusza samochodem na poszukiwania.

– Ktoś musi tu być, na wszelki wypadek – mówi.

Na wypadek czego? To tak, jakby jakaś jego część wierzyła, że Emma po prostu zapuka do drzwi.

Kiedy wraca z tych nocnych poszukiwań, jego ubranie jest brudne, włosy potargane, a okulary ze śladami palców. Zmiana, jaka w nim zaszła, jest tak gwałtowna i całkowita, że gdyby ktoś położył obok siebie dwa zdjęcia Jake'a

– jedno sprzed trzech tygodni i jedno zrobione dzisiaj – wyglądałyby one jak zdjęcia dwóch różnych osób. Wiem, że próbuje mnie nie nienawidzić, nie obwiniać. Ale czasem przyłapuję go, jak patrzy na mnie poprzez stół przy porannej kawie, kiedy planujemy kolejne poszukiwania, albo wieczorem, gdy wychodzi z łazienki – a to, co widzę w jego twarzy, nijak nie pasuje do mężczyzny patrzącego na kobietę, którą chce poślubić. Jest to spojrzenie będące mieszanką dezorientacji i złości. Wiem, że z łatwością oddałby wszystkie nasze wspólne miesiące, wszystkie nasze plany, za jedną chwilę więcej spędzoną z Emmą. Jestem zaskoczona, że zrobiłabym dokładnie to samo.

ROZDZIAŁ 13

Pomarańczowy chevelle. Nowy lakier, stare opony. Szyby do połowy opuszczone. Matka Boska dyndająca przy lusterku wstecznym. Na miejscu kierowcy jakiś mężczyzna. Siwe włosy. Niebieska koszula. Lekki zarost. Czyta gazetę. Kiedy przechodziłyśmy obok, zobaczyłam nagłówek: „Stosunki z Chinami napięte”.

– Spójrz – powiedziała Emma.

Pokazała palcem armię mrówek ciągnących przez chodnik nieżywego maleńkiego kraba piaskowego. Przykucnęła jak zahipnotyzowana.

– Dokąd one go zabierają?

– Do domu.

– Aha – mówi. – Zaopiekują się nim.

– Właśnie – odpowiedziałam.

Podziwiałam w duchu jej niewinność, gdy nagle zrobiła coś nieoczekiwanego: wzięła swoją czerwoną plastikową łopatkę i przycisnęła nią mocno kraba, krusząc skorupę. Mrówki przestały się poruszać.

Spojrzała na mnie ucieszona.

– Zabiłam je!

– To prawda.

Ale wtedy skorupa zaczęła się poruszać. Tym razem Emma podniosła nogę i przeniosła kraba i mrówki w niebyt.

– A masz – powiedziała, wymachując żółtym wiaderkiem.

Poszłyśmy dalej, przez parking, w kierunku plaży. Spojrzałam do tyłu na mężczyznę w pomarańczowym chevelle’u, który ciągle czytał gazetę, pił kawę i bezwiednie kołysał palcem stojącą na desce rozdzielczej figurkę tancerki hula.

Każdego dnia dokładniej przypominam sobie twarz mężczyzny, kolejny mały detal z jego samochodu: zadrapanie na masce, żółty pas z boku. Ale im wyrazistsze stają się szczegóły, tym bardziej wątpię w swoją pamięć. Mogłoby się wydawać, że z czasem pamięć staje się impresjonistyczna, kolory blakną, kształty przenikają się nawzajem. Tymczasem to, co było wrażeniem, powoli zamienia się w fotograficzne zbliżenie, aż w końcu zostajesz sam na sam z niepokojącym detalem. Jak wiele z tych szczegółów jest prawdziwych, a które są jedynie wytworem mojej wyobraźni?

Na pierwszym roku studiów na Uniwersytecie Tennessee chodziłam na obowiązkowe zajęcia z akademickich metod badawczych. Pierwsza część poświęcona była pamięci. Większość wykładów wyleciała mi z głowy, ale informacje na temat związku pamięci z fizyczną przestrzenią zapamiętałam. Student, który każdego dnia siada w tym samym miejscu, lepiej przyswaja informacje niż ten, który przesiada się z miejsca na miejsce. Jeśli ktoś zapomniał szczegółów jakiegoś zdarzenia, powrót na to miejsce może okazać się pomocny. Poprzez obserwację topografii miejsca i różnych szczegółów związanych ze scenerią można zaktywizować pamięć krótkotrwałą. Jeśli coś zgubisz, powinieneś wrócić po swoich śladach do miejsca, w którym zgubiony obiekt był jeszcze w twoim posiadaniu.

Mając na uwadze te wskazówki, codziennie powracam na Ocean Beach. Emma zaginęła o dziesiątej trzydziści siedem. Jestem każdego dnia od dziesiątej do jedenastej dziesięć, żeby pokręcić się po pół godziny w każdą stronę. W tym codziennym pojawianiu się na plaży nie chodzi jedynie

o przywrócenie mojej pamięci. Szukam pomarańczowego chevelle'a, żółtej furgonki, motocykla, furgonu pocztowego, kogokolwiek, kto mógł widzieć Emmę tamtego dnia. Szukam tropów.

Na zimnym szarym piasku znajduję mnóstwo rzeczy, ale nigdy tego, czego tak naprawdę szukam. Przy skrzyżowaniu Sloat Boulevard i Great Highway pomiędzy kawałkami betonu i kamieniami, które tworzą płataninę falochronu, natrafiam na kamienną płytę z wyblakłym napisem. Mogę tylko odczytać słowa: „w pamięci” i „zmarł 187...”, ostatnia cyfra jest starta.

To mi przypomina historię, którą Jake opowiedział mi we wczesnym okresie naszej znajomości. W dziewiętnastym wieku Ocean Beach była zewnętrzną krawędzią olbrzymiej połaci wydm rozciągających się kilometry w głąb lądu. Rejon znany jako Outside Lands należał do Meksyku, ale w roku 1848 rząd Stanów Zjednoczonych zaanektował go, choć minęło ponad dwadzieścia lat, zanim stał się częścią miasta. Dla mieszkańców San Francisco oddalona plaża z jej gęstą mgłą i niezamieszkanymi wydmami ciągle wydaje się odrębnym krajem. Przez resztę wieku Outside Lands było siedzibą saloonów i cmentarzy.

Po 1901 roku prawo zakazało pochówków wewnątrz miasta. Cmentarze popadły w ruinę. Do 1950 roku wszystkie zostały zamknięte, a większość ciał przeniesiono na południe, do Colmy. Cmentarz miejski, miejsce spoczynku biedoty i mniejszości narodowych, został wyburzony w 1909 roku. Usunięte niezidentyfikowane nagrobki miasto postanowiło wykorzystać praktycznie, dlatego przy Buena Vista Park człowiek ciągle napotyka dziwne słowa i daty wyrzyte na brukowych kamieniach. Stare fotografie Ocean Beach pokazują piaszczyste zbocza pagórków pokryte porozbijanymi nagrobkami – prowizoryczny falochron.

W 1912 roku rozpoczęto na starym cmentarzu miejskim budowę pola golfowego Lincoln Park. Jake i ja graliśmy tam kilka razy z Emmą –

uwielbiała długie spacery po zielonych pagórkach i wspaniałe roztaczające się z nich widoki. Z siedemnastego toru mogliśmy podziwiać Golden Gate i wylot zatoki, a ja często zastanawiałam się, czy golfiści wiedzą, co znajduje się pod ich stopami. W 1993 w trakcie renowacji pola odkryto szczątki trzystu ciał. Pomędzy wykopanymi rzeczami były sztuczne szczęki, różaniec i lewisy. Odkrycie zmusiło władze miasta do zastanowienia się, co stało się z jedenastoma tysiącami ciał pochowanych kiedyś na cmentarzu miejskim. Nie można było się ich doliczyć w Colmie. Ani nigdzie indziej. Okazało się, że po prostu pozostawiono je na miejscu.

ROZDZIAŁ 14

„Obiektyw Holga jest dokładnie czymś odwrotnym do tego, czym powinien być obiektyw optyczny wysokiej jakości. Wykonany z taniego plastiku, często nosi ślady zniekształceń. Rezultatem jest nieprzewidywalnie miękka ogniskowa, która tworzy swoje własne poczucie nastroju i atmosfery”.

Międzynarodowe Stowarzyszenie Lomograficzne

Nie mogę sobie teraz przypomnieć, czy Emma biegała wtedy, czy skakała. Próbuję odtworzyć ten moment w pamięci, moment, w którym oddaliła się ode mnie. Czy się śmiała? I dlaczego nie poprosiłam, żeby zwolniła? Wiedziałam, że idzie zbyt szybko, zbyt daleko ode mnie. Wiedziałam, że obraz będzie niewyraźny. A jednak zrobiłam bezmyślnie zdjęcie, tak jakby od razu spisując je na straty. Czy mogłam wiedzieć, że będzie to jedno z jej ostatnich zdjęć?

Teraz, nieważne, który to raz, wywołuję trzecie zdjęcie na rolce z Ocean Beach. Nie ma znaczenia, jak bardzo eksperymentuję z ogniskową i czasem naświetlania, przyciemniając i rozświetlając, żeby wydobyć światło i kontrast, obraz ciągle wychodzi szary i ziarnisty, zawsze zamazany. Na pierwszym planie mała foczka: białe futerko zabrudzone piaskiem, czarne oczka, kręgosłup w kształcie litery C. W oddali Emma. Czarno-biały film

i zmiękczający efekt zamglonego światła nadają obrazowi rys tajemniczości, jak we śnie.

Każde zdjęcie jest pojedynczą chwilą, pozornie kompletną, ale brakuje mu kontekstu: nieobecności oddechu, całkowitego bezruchu, faktu śmierci małej foczki. Brakuje porwania, które rozegrało się poza moim polem widzenia.

Parę dni po zniknięciu Emmy, kiedy mój umysł wędrował po milionach strasznych miejsc, wyobrażałam ją sobie pochwyconą przez mokrą głębię fali, staczającą się w ciemność, wciągającą słoną wodę do płuc. Wyobrażałam sobie paniczny strach, jaki odczuwałaby, kiedy woda porywałaby ją w głąb. Ale wiem, że to się nie zdarzyło. Jake i ja braliśmy Emmę na plażę setki razy przed tym dniem. Nigdy nie podeszła blisko wody, nawet by umoczyć w niej palec. To, co mówi Jake o Ocean Beach, jest prawdą – fale są dzikie i nieprzewidywalne – jednak aby utonąć, Emma musiałaby podejść bardzo blisko. A tego by nie zrobiła.

ROZDZIAŁ 15

Dzień dwudziesty, godzina dwudziesta trzecia. Znow wiszę na telefonie z Annabel.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– Przy basenach wędkarskich.

– Co takiego?

– W parku Golden Gate.

– Oszalałaś? – mówi. – To niebezpieczne.

– Mam gaz pieprzowy.

– Ale co ty tam robisz?

– Policja mówi, że przeczesano każdy metr parku, ale to niemożliwe. Jest zbyt duży.

Emma, Jake i ja byliśmy tam tylko raz, w którąś sobotę, na lekcji wędkarstwa muchowego. To właśnie jedna z rzeczy sprawiających, że Jake jest tak dobrym ojcem – dążenie do tego, by Emma ciągle doświadczała nowych rzeczy. Tamtego dnia trzy olbrzymie betonowe baseny, oświetlone promieniami słońca przedzierającymi się przez iglaki, były jak szklista tafla, a dziś są okryte mgiełką. Pamiętam, jak Emma ścisnęła mnie za rękę, stojąc pół metra od basenu i pytając: „Czy on jest głęboki?”.

Mój głos brzmi dziwnie w tym cichym miejscu. Nie mówię Annabel o wielkich drzwiach w podłodze na zachodnim krańcu basenu, o tym, jak spróbowałam ruszyć ciężką pokrywą i ze zdumieniem zobaczyłam, że jest

otwarta, jak ją podniosłam i skierowałam światło latarki w mrok, a potem ostrożnie zeszłam na dół mokrymi schodami. Nie mówię jej, że kiedy obudziłam się ostatniej nocy, rozmyślałam o basenie, o pokrywie i wyobrażałam sobie Emmę skuloną na dole, trzęsącą się w ciemnościach, więzioną przez jakiegoś maniaka.

Gdy schodziłam po schodach, zawołałam ją po imieniu. Mój głos odbił się echem. Dotarłam na sam dół, lecz nic nie znalazłam.

Teraz trzymam w ręku maleńką drewnianą muchę, pomalowaną na metaliczny fiolet, z białymi skrzydłami i dziwnie błyszczącym futerkiem. Czując jej słaby ciężar w dłoni, wpatruję się w ciemną głębię basenu. Czy można by ukryć tam ciało?

– Chcę, żebyś natychmiast wróciła do samochodu – mówi Annabel. – Nie pozwolę ci się rozłączyć, dopóki nie będziesz bezpieczna.

Mijam kamienny domek, idę przez lawendowe i rozmarynowe ścieżki. W oddali, ponad linią drzew, miedziana kopuła nowego Young Museum błyszczy dziwnie w świetle księżyca. Wsiadam do samochodu i zamykam drzwi.

– Zablokowałaś zamek? – pyta Annabel.

– Mówisz jak mama.

– Boże, czasem mnie przerażasz – wzdycha.

Zapalam silnik i ruszam w kierunku domu. Kiedyś lubiłam jeździć nocą przez park. Wygląda wtedy nie jak miejska oaza, ale jak dżungla na końcu świata. Teraz jednak robi groźne wrażenie, jak kryjówka wyrzutków i morderców.

– Hej – mówi Annabel – zastanawiam się, czy pamiętasz Sarah Callahan.

– Oczywiście. Kompletnie o niej zapomniałam. Ale kiedy to wszystko się wydarzyło, natychmiast przyszła mi na myśl.

– Ciągle o niej myślę. Mówiłam, że pozwalała mi ściągać na testach

z matematyki? Robiła to, bo bardzo chciała, żebyśmy zostały przyjaciółkami. Parę tygodni przed swoim zniknięciem zaprosiła mnie do kina dla uczczenia swoich urodzin. Wymyśliłam wymówkę, żeby się jakoś wykręcić.

Rzadko rozmawiałam z Sarah, ale dobrze pamiętam jej twarz. Chodziłyśmy do małej prywatnej szkoły dla dziewcząt, gdzie wszystkie się znałyśmy. Paczki były ściśle określone i każda fanatycznie trzymała się razem. Sarah pozostawała z boku, nie należała do żadnej z nich. Z tego, co wiem, nie miała nikogo.

– Przynosiła do szkoły taki czerwony pojemnik na jedzenie firmy Tupperware – mówi Annabel. – W środku były mniejsze pojemniczki. Każdego dnia rozkładała wszystkie na ziemi – kanapka, chipsy, ciasteczka – i brała po kęsie z każdego z nich, aż wszystko znikło. Nic nie piła, dopóki nie zjadła ostatniego okruszka.

Pewnego wtorku na początku semestru wiosennego do klasy wszedł dyrektor szkoły i zapytał, czy któraś z nas widziała poprzedniego dnia Sarah lub z nią rozmawiała. Nikt nie odpowiedział. „Pomyślcie” – powiedział dyrektor. Nie padła żadna odpowiedź. „W porządku – powiedział ponuro. – Kontynuujcie”.

Tego popołudnia wchodził do każdej klasy i zadawał to samo pytanie, nie otrzymując żadnej odpowiedzi. Pod koniec dnia rozeszła się wiadomość, że państwo Callahan ostatnio widzieli córkę w poniedziałek wczesnym rankiem, kiedy obydwójce szli do pracy. W poniedziałek wieczorem wrócili późno z przyjęcia, a Sarah nie było w domu.

Kierowca autobusu zeznał, że w poniedziałek rano dziewczyny nie było na przystanku. We wtorek po południu w szkole pojawiło się dwóch policjantów, a z nimi rodzice Sarah. Chodzili i zadawali pytania. Nie pamiętam zbyt dobrze jej rodziców, tylko to, że ojciec był zupełnie rozbity, a matka mimo upału nosiła gruby niebieski szalik. Każda z dziewczyn miała

swoją teorię. Może Sarah została porwana przez seryjnego zabójcę. Może uciekła ze starszym facetem, jakimś dwudziestoletnim kochankiem. Może pojechała do Nowego Jorku, gdzie zaczęła się prostytuować albo została gwiazdą Broadwayu. Może jej rodzice wiedzieli coś, o czym nie chcą mówić.

Przez parę dni po zniknięciu Sarah była tematem numer jeden, jednak kilka tygodni później posmak nowości zwietrzył. Nauczyciele przestali ją wspominać, a większość uczennic zapomniała o zdarzeniu. A w kwietniu znaleziono jej ciało w dębowym lasku przy Blakeley State Park. Sznur, którym została uduszona, ciągle otaczał jej szyję. Była naga od pasa w dół. Człowiek, który ją zabił, zostawił po sobie wiele śladów i został szybko aresztowany. Kiedy ją odnaleziono, żaden nauczyciel tego nie skomentował – być może uznali, że tak będzie lepiej. To było tak, jak gdyby nigdy nie istniała.

– Zawsze się zastanawiałam, czy mogłam coś dla niej zrobić – mówi teraz Annabel. – Pamiętam tego policjanta w telewizji kilka dni po jej zniknięciu. Powiedział, że z każdym mijającym dniem szanse na odnalezienie jej żywej drastycznie maleją. Gdy minął miesiąc, policja jakby się poddała. Ale kiedy aresztowali faceta, który to zrobił, okazało się, że trzymał ją żywą przez siedem tygodni. Wszyscy wtedy powinniśmy byli jej szukać.

Gdyby Sarah była popularna, prawdopodobnie cała szkoła zjednoczyłaby się w poszukiwaniach. Spotkalibyśmy się przy parkingu na Delchamps z kilkoma zatroskanymi rodzicami w roli przyzwoitek i włączylibyśmy się po mieście, wręczając ulotki, pukając do drzwi. Biegilibyśmy z latarniami. Wołalibyśmy ją. Zamiast tego Sarah przeszła w naszej zbiorowej świadomości do jeszcze większego niebytu niż ten, w którym znajdowała się wtedy, kiedy była wśród nas.

– Dlaczego mi to opowiadasz? – pytam.

– Bo nie możecie popełnić tego samego błędu.

– Policja stara się przeforsować teorię o utonięciu. Nawet Jake zaczyna dawać temu wiarę.

– Musisz zaufać instynktowi, do diabła z tym, co wszyscy mówią.

Na drugim końcu linii słyszę dziecięcy głos.

– Alex, skarbie – mówi Annabel – co ty wyprawiasz?

– Już późno – wtrącam.

– Powiedz dobranoc cioci Abby.

– Dobranoc, Abby – odzywa się w słuchawce senny głos Alexa.

– Dobranoc.

Nagle, jakby sobie coś przypominając, pyta:

– Kiedy spotkam się z Emmą?

– Wkrótce – odpowiadam, przełykając głośno ślinę.

Annabel wraca do telefonu.

– Nie powiedziałaś im? – pytam.

– Ciągłe myślę, że nie będę musiała – odpowiada. – Ciągłe myślę, że jak poczekam wystarczająco długo, będzie już po wszystkim.

– Ja też.

– Zadzwonię jutro.

ROZDZIAŁ 16

Dwudziestego trzeciego dnia po południu bez wcześniejszej zapowiedzi przychodzę do Jake'a. Dom jest dziwnie cichy, nie licząc czajnika gwiżdżącego na gazie. Wchodzę do kuchni i wyłączam palnik.

– Jake?

Brak odpowiedzi.

Wchodzę na piętro. Stoję już w korytarzu, gdy słyszę głos. Nie jest to odgłos rozmowy, raczej słaby, monotony śpiew. Przez otwarte drzwi zaglądam do pogrążonej w półmroku sypialni Jake'a. Klęczy przy łóżku odwrócony plecami do mnie i lekko wspiera się na łokciach. Nagle podłoga pod moimi stopami głośno trzeszczy i Jake odwraca się zaskoczony. Jego twarz jest mokra, a w dłoniach ściska różaniec.

– Och – mówię. – Przepraszam.

Kiwa głową i przez moment patrzy mi w oczy, po czym odwraca się i kontynuuje inkantację. Zamykam drzwi i staję w korytarzu. Plecami opieram się o ścianę zdziwiona formalnością minionej chwili. Jake, którego znałam, nigdy nie był zbyt religijny. Wychował się w rodzinie katolickiej, jednak w wieku kilkunastu lat porzucił Kościół, gdyż poważnie zainteresował się filozofią.

Myślę o kościołach Południowej Konwencji Baptystów, z którymi stykałam się w dzieciństwie, i o niskim, jednostajnym głosie pastora witającego wiernych. „Jezus wzywa. Na co czekasz?” – rzekłby, a stojący za

jego plecami chór ubrany w długie białe szaty kołysałby się lekko i śpiewał „Przyjdź, jaki jesteś”. Czułam wtedy przesłodzoną woń perfum mojej matki i delikatny nacisk jej dłoni na moich plecach. Byłam pewna, że pastor stojący na schodach tuż przed amboną patrzy prosto na mnie. I czeka.

Wiedziałam dokładnie, czego chciała moja matka: żebym wyszła z ławki, przeszła przez nawę i stanęła przy ołtarzu. Bym ujęła dłoń pastora i rozpłakała się, gdy obejmowałby mnie ramieniem i poprowadził do zbawienia. Gdybym mogła to zrobić, gdybym potrafiła stanąć przed całym zgromadzeniem i dać taki dowód wiary, pokochałaby mnie bezgranicznie. Jednak im bardziej pragnęłam usłyszeć wołanie Boga, tym bardziej go nie słyszałam. I tak stałam na swoim miejscu tydzień w tydzień, rok w rok, słuchając delikatnego głosu chóru, otoczona wonią matczynych perfum i z jej dłonią opartą na moich plecach. Nigdzie się nie ruszyłam. Im dłużej czekałam na Ducha Świętego, tym bardziej byłam przekonana, że nigdy się nie doczekam.

Teraz, stojąc pod drzwiami sypialni Jake’a modlącego się właśnie przy łóżku, na którym tyle razy się kochaliśmy, czuję tę dawną, znajomą tęsknotę, pragnienie, by zostać głęboko dotkniętym tajemniczą ręką Boga. Nie, to nie Bóg jest tym, czego pragnę. To raczej poczucie wspólnoty, jakie może dać mi wiara – wspólnoty nie z siłą wyższą, ale z człowiekiem, którego kocham.

W dzieciństwie moja niezdolność do usłyszenia głosu Boga sprawiła, że oddaliłam się od rodziców. Między nami powstał ogromny mur, którego nie potrafiliśmy pokonać. Nawet Annabel miała w swej młodości taki moment, jeszcze zanim stała się buntowniczką, że podeszła do ołtarza, złapała rękę pastora, łkała i modliła się. Była ocalona. Niezależnie od tego, jakie później kłótnie toczyły się między nią i rodzicami – a było ich wiele – wiedziałam, że zawsze będą myśleli o niej jak o córce, która jest ocalona, dla której jest nadzieja. Tymczasem ja na zawsze pozostałam obcym stworzeniem, którego

nie potrafili zrozumieć.

Następnego dnia Jake namawia mnie, bym poszła na mszę. To ostatnie miejsce, gdzie chcę być, ale teraz przecież nie mam prawa odmówić mu czegokolwiek.

W przestronnym kościele oddalonym o kilka budynków od Ocean Beach na przemian stoimy i klękamy, stoimy i klękamy, a człowiek w długim dziwnym stroju przemawia łagodnym głosem. W trakcie komunii Jake delikatnie ujmuję mnie za łokieć i nalega, bym przystąpiła do ołtarza. Idę za nim i zajmuję miejsce w kolejce. Jake klęka przed księdzem, żegna się i bierze opłatek na język. W kościele jest zimno, organy grają bardzo głośno. Patrząc na Jake'a, na jego bladą skórę na karku, na czarne kędziory włosów i mam wrażenie, że go nie znam.

Gdy przychodzi moja kolej, również klękam, nieśmiało robię znak krzyża, otwieram usta w kierunku dłoni obcego mężczyzny i czuję słony smak jego palca. Opłatek jest suchy i bez smaku, a dywan pod moimi kolanami szorstki. Patrząc w pozbawione wyrazu oczy księdza, czuję, jakbym popełniała ciężkie przestępstwo. Idę za Jakiem do następnego księdza, który wyciera brzeg ciężkiego srebrnego pucharu i przystawia go do moich ust. Organy bucują jednostajnie.

Po mszy, gdy już jesteśmy w samochodzie, Jake mówi:

– Czuję, że to wszystko powraca.

– To?

– Wiara.

– Jesteś pewny, że nie sięgasz jedynie po rzecz, dzięki której wszystko będzie łatwiej wytłumaczyć?

– Być może. Ale to nie znaczy, że ta wiara nie jest prawdziwa.

Stajemy na czerwonym świetle. Przez ulicę przechodzi kobieta z trójką dzieci. Jedno z nich, mała dziewczynka, patrzy na nas i szeroko się uśmiecha.

Przez moment jej jasne włosy zmieniają się w czarne, twarz staje się znajoma i uśmiecham się nie do obcego dziecka, ale do Emmy. Złudzenie pryska jednak w ułamku sekundy.

– Na pewno coś poczułaś – mówi Jake, patrząc na mnie z nadzieją.

– Nie.

– To nie dzieje się w ciągu jednego dnia. Przyjdź na mszę także w przyszłym tygodniu.

– To strata czasu.

– To tylko godzina.

Światła się zmieniają i ruszamy. Otwieram schowek, zamykam go, tylko po to, by coś zrobić.

– Ja nie potrafię udawać, że wierzę w coś, co nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Jake włącza kierunkowskaz i skręcamy w Lawton.

– Nie możemy przez to wszystko przechodzić sami.

– Nie jesteśmy sami – mówię. – Mamy siebie. Gdzie się podział twój zdrowy agnostycyzm? Co się stało z filozofią?

– Przyznaję, że to trochę dziwne – wzdycha. – Nie myśl, że nie miałem ogromnych wątpliwości. Muszę jednak poskładać to wszystko tak, żeby miało jakiś sens.

– Może po prostu nie ma sposobu, by nadać temu sens. Faktem jest to, że na świecie są okropni ludzie. Jeden z nich ma u siebie Emmę, a my musimy ją odnaleźć.

Wjeżdżamy na podjazd. Drzwi do garażu otwierają się, a później z turkotem zamykają za nami. Jake kładzie dłonie na kolanach i patrzy w sufit.

– Ona jest taka mała. Jedna fala mogła ją zabrać. To by wyjaśniało,

dlaczego nikogo nie widziałaś na plaży i nic nie słyszałaś.

– Są też inne wyjaśnienia.

– Ale policja uważa...

– Nie obchodzi mnie, co uważa policja. – Staram się panować nad głosem. – To przecież nie jest ich córka.

– Twoja też nie.

Otwiera drzwi, wysiada i wchodzi do domu.

Siedzę przez pół godziny, może dłużej, wdychając smród zużytego paliwa i stęchliznę gazet wciśniętych do kosza na śmieci. W mojej głowie wraz z każdą upływającą sekundą rozszerza się zakres możliwości, tak jakby jakiś wyimaginowany samochód wywoził ją wciąż dalej i dalej od nas.

Później w łóżku budzą mnie niespokojne ruchy Jake'a. Obejmuję go i stwierdzam, że jest spocony. Zsuwam kołdrę, odsłaniając jego ramiona. Budzi się.

– Jesteś cały mokry – mówię.

Nerwowo mruga oczami i dłońmi przeczesuje włosy. Przez chwilę patrzy na mnie tak, jakby mnie w ogóle nie znał.

– Niewygodnie mi – mówi. – Idę spać na dół.

– Jeśli ktoś ma iść spać na kanapie, to ja – odpowiadam.

– Nie, nie. Ja pójdę. Tylko na tę noc. Śpij.

Przyciska poduszkę do piersi, wyciąga z szafki koc i schodzi na dół. Słyszę, jak włącza światło i układa się na kanapie. Później dobiega mnie ściszony dźwięk telewizora.

Gdy o szóstej rano schodzę na dół, Jake'a już nie ma. Wiem, że jak co rano przemierza miejskie ulice. Wpatruje się w okna domów, kamienic i zaparkowanych samochodów. Szuka. Za chwilę ja pójdę w innym kierunku i będę robić dokładnie to samo.

ROZDZIAŁ 17

Pod koniec mojego pierwszego semestru na Uniwersytecie Tennessee matka opowiedziała mi bardzo interesującą historię. Siedziałyśmy właśnie w chevrolecie impala, który ciągnął przyczepkę U-Haul wypakowaną książkami, ubraniami i wszystkim, co przywiozłam ze sobą z nadzieją na nowe, studenckie życie. Dzień wcześniej matka zjawiała się w moim mieszkaniu i oznajmiła, że zabiera mnie z powrotem do domu. Rozpętała się wielka kłótnia, bo odmówiłam powrotu. Matka jednak przypomniała mi, że nie mam pieniędzy, pracy i nie będę w stanie zapłacić za wynajem mieszkania.

Tak naprawdę chodziło jednak o to, że przypadkiem natknęła się na zdjęcia, które rok wcześniej zrobił mi mój chłopak Ramon. Miałam wtedy szesnaście lat, Ramon dwadzieścia siedem, a fotografie były pełnym odzwierciedleniem rzeczy, jakie wówczas ze sobą robiliśmy. Po długiej rozmowie z duchownym rodzice uznali, że cierpię na jakiś rodzaj seksualnego zboczenia.

– Zapisaliśmy cię do grupy – powiedziała w dniu, w którym zjawiała się w moim mieszkaniu.

– Do jakiej grupy?

– Grupy terapeutycznej dla osób uzależnionych od seksu.

– Uzależnionych od seksu? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Ojciec i ja widzieliśmy twoje zdjęcia, Abby. Takie rzeczy po prostu nie

są normalne.

– Jak mogliście je oglądać? To prywatne zdjęcia.

Byłam wściekła. Nie miałam ochoty wracać do tej części swojego życia, do której zabierała mnie matka. W tym czasie Ramona już nie było – kilka miesięcy wcześniej zginął w wypadku motocyklowym. Nie mogłam znieść tego, że rodzice grzebali w szczątkach naszego wspólnego życia, analizując je niczym jakieś plugawe dowody rzeczowe.

Jechałyśmy do południa następnego dnia. Przez kilka godzin na przemian wjeżdżałyśmy w kolejne nieobliczalne burze charakterystyczne dla południowych stanów i z nich wyjeżdżałyśmy. Przez minutę przedzierałyśmy się przez oberwanie chmury, z którym działające na pełnych obrotach wycieraczki z trudem sobie radziły. Droga była śliska i niebezpieczna. Po chwili jednak witało nas jasne słońce, droga znów była sucha, a po obu stronach przez wiele kilometrów ciągnęły się pasy zieleni. Matka wciąż gadała, a ja gapiłam się przez szybę na ogromne puste przestrzenie przesuwane się za oknem i udawałam, że nie słyszę.

W okolicach Linden w Alabamie ulewa była tak potężna, że wycieraczki stały się bezużyteczne, więc matka postanowiła zjechać z autostrady i zatrzymać się na parkingu przy jednej z restauracji sieci Stuckey's. Weszłyśmy do środka i kupiłyśmy dwie kawy oraz ciastko orzechowe, które było specjalnością tej sieci, a jednocześnie ulubionym przysmakiem matki. W środku nie było nikogo poza dziewczyną stojącą za ladą i groźnie wyglądającym kierowcą ciężarówki, który w każde ucho miał wpięte po trzy złote krzyże. Matka usiadła tak, by mieć go na widoku i jednocześnie uniemożliwić mu patrzenie na mnie.

Kawa była czarna, w lokalu nie było śmietanki, jedynie małe paczuszki jakiegoś zabielaacza, tak starego, że zdążył już zupełnie stwardnieć. Siedziałyśmy zmęczone i przemoczone, czekając na poprawę pogody, a ja

wtedy zaczęłam obmyślać plan ucieczki. Gdy w sierpniu wyjechałam do szkoły, miałam wrażenie, że w końcu spotyka mnie coś dobrego. Później, gdy we wrześniu zginął Ramon, wyglądało na to, że każda nić łącząca mnie z moim dawnym życiem, z wyjątkiem Annabel, została zerwana. Teraz, siedząc z matką w Stuckey's, poczułam, że dopada mnie przerażające uczucie podróży w przeszłość.

– Pamiętasz naszą podróż do Gatlinburga? – zapytała matka, rozpakowując ciastko orzechowe.

– Nie. Kiedy to było?

– Miałaś dziesięć lat.

Na pewno raz byłam w Gatlinburgu z Dziewczynami w Akcji, ale nie przypominałam sobie, żebym pojechała tam z rodziną. Matka uśmiechała się, wspomnienie wyraźnie było dla niej czymś miłym, pewnie dlatego nie przyznałam się, że nie pamiętam.

– Wspaniale się bawiliśmy – powiedziała. – Jechaliśmy całą noc, a wy dwie spałyście na tylnym siedzeniu. Do Gatlinburga dojechaliśmy wcześniej rano, pamiętasz? Hotel znajdował się nieopodal rzeki Little Pigeon. Wjechaliśmy na szczyt góry wyciągiem krzesełkowym i zrobiliśmy sobie zdjęcie w jednym z tych staroświeckich studiów fotograficznych. Później zjechaliśmy na dół na nartach i poszliśmy na gorącą czekoladę do starego wagonu przerobionego na restaurację. Ty i Annabel dostałyście w prezencie od kelnera po kawałku szarlotki.

To brzmiało tak słodko i rodzinnie. Stopniowo wspomnienie robiło się coraz wyraźniejsze. Deszcz miarowo uderzał o parapet, kierowca ciężarówki mamrotał coś pod nosem, a ja wymieniałam wspomnienia z matką. Była to nasza pierwsza normalna rozmowa od wielu miesięcy.

– Woda była lodowata – powiedziałam, przypominając sobie, jak brodziłam w rzece, w której leżały ogromne kamienie pokryte śniegiem.

– Pamiętasz, jak z ojcem zjeżdżałaś na sankach?

Oczywiście. Siedziałam z przodu, on obejmował mnie ramionami i pędziliśmy z góry, a powietrze owiewało nasze twarze.

– I tę indiańską lalkę, którą dostałam w sklepie z pamiątkami – powiedziałam, wspominając sztywne warkocze, zdobione koralikami nakrycie głowy, mrugające oczy i zapach plastiku.

Deszcz ustał. Matka włożyła do ust ostatni kawałek ciastka i poszliśmy do samochodu.

– Ja poprowadzę – zaproponowałam.

Ku mojemu zdziwieniu pozwoliła, a ja od razu pomyślałam, że teraz nasze stosunki będą wyglądały inaczej niż dotychczas. Pomyślałam, że dzień lub dwa po powrocie do domu będę w stanie przekonać ją, że pomysł z grupą terapeutyczną jest bez sensu, i pozwoli mi wrócić do szkoły. Kiedy jednak wyjechałyśmy na autostradę, chwyciła się kurczowo deski rozdzielczej.

– Patrz, jak jedziesz – wycodziła przez zęby.

Czar prysł.

Przez resztę drogi nie rozmawiałyśmy, a po powrocie matka nie zapomniła o powodach, dla których przywiozła mnie do domu, i kilka kolejnych miesięcy spędziłam w ciasnym pokoju z odrażającym chrześcijańskim doradcą Samem Bungo i tuzinem seksoholików. W obronie swojej matki powiem jedynie tyle, że na pewno nie mogła przewidzieć, iż moja edukacja seksualna tak naprawdę rozpocznie się właśnie w tej grupie. Co weekend podopieczni Sama Bungo wymykali się i oddawali uciechom życia w obskurnych pokojach motelowych lub bezpośrednio w samochodach. W rzeczywistości do tego momentu moje życie seksualne w żaden sposób nie odbiegało od ogólnie przyjętych norm, nie było wyjątkowe. I nagle znalazłam się w otoczeniu ludzi, którzy o seksie myśleli w każdym momencie. Czułam się jak niedzielny pokerzysta, który trafił do kasyna

w Las Vegas i siadł przy stoliku grających o kosmiczne stawki.

Kilka lat po tamtej rozmowie w Stuckey's Annabel odwiedziła mnie w San Francisco w trakcie wiosennej przerwy w nauce. Pewnego popołudnia wspomniałam o wycieczce do Gatlinburga.

– A gdzie ja wtedy byłam? – zapytała Annabel.

– Jak to gdzie? Przecież też tam byłaś.

– Nigdy nie byłam w Gatlinburgu.

– To niemożliwe. Przecież nie pojechalibyśmy na rodzinną wycieczkę bez ciebie.

– Dzwonię do matki – oznajmiła. – Na pewno sobie to wymyśliłaś.

Wykręciła numer telefonu matki i włączyła głośnik. Nie zapomniała, że ja też byłam w pokoju.

– Gdzie byłam, gdy wybraliście się na wycieczkę do Gatlinburga? – zapytała Annabel.

– Na jaką wycieczkę?

– Abby mówi, że gdy miała dziesięć lat, wszyscy pojechaliliśmy na wycieczkę. Jestem pewna, że mnie tam nie było.

Nastąpiła długa pauza, po której moja matka powiedziała:

– Ach, o to chodzi. Wygadała się? Kochanie, a co tam w szkole?

– W szkole wszystko w porządku. Nie zmieniaj tematu.

– To było lata temu. Nie pamiętam.

– Mamo, dlaczego ja nie pojechałam?

Słyszałam, jak po drugiej stronie linii telefonicznej matka coś je. Brzmiało jak popcorn. Była chuda jak szczapa, ale za każdym razem, gdy rozmawiałam z nią przez telefon, akurat coś jadła. Wówczas jeszcze nie wiedzieliśmy, że były to już początki choroby nowotworowej, skupiska złośliwych komórek mnożących się pod skórą.

Potem słychać było, że pociągnęła łyk jakiegoś napoju i gryzła lód.

– Potrafisz dochować tajemnicy?

Annabel popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się. Podkreśliłam głośność.

– Oczywiście.

– Nigdy nie byliśmy w Gatlinburgu.

– Ale Abby mówiła...

– Wiem. Obiecuj, że nie powiesz jej tego, ale wymyśliłam to.

– Po co, do diabła, miałybyś to robić? – zapytała Annabel.

– Może tego nie pamiętasz, ale twoja siostra była kłopotliwą nastolatką. Myślała, że jestem wyrodną matką. Chciałam, żeby miała choć jedno miłe wspomnienie z dzieciństwa.

– Dlatego skłamałaś?

– Mówisz to tak ponuro. Po prostu chciałam, żeby miała coś, do czego może wracać wspomnieniami, szczególnie po tym zamieszaniu z tym pedofilem Raulem.

W tym momencie postanowiłam włączyć się do rozmowy.

– To był Ramon i nie był pedofilem. Był moim chłopakiem.

– Co ty tam robisz? – zapytała matka. – Nabralyście mnie.

– To nie ma sensu – stwierdziłam. – Pamiętam tę restaurację w wagonie, rzekę Little Pigeon i wyciąg krzesełkowy.

– Na pewno mylisz to z wyjazdem z Dziewczynami w Akcji.

To było w jej stylu. Kiedy złapało się ją na kłamstwie, zawsze próbowała być nonszalancka.

– To niemożliwe, że wszystko mi się tak pomieszało.

– Cóż, nigdy tam nie byliśmy i taka jest prawda. Ale musisz przyznać, że była to dobra opowieść.

Potem poszliśmy z Annabel na drinka do Sadie's. Była zupełnie

wyluzowana, zamawiała martini z wódką i cytryną niczym stały bywalec barów, a później puszczała oczko do jakiegoś typa w skórzanych spodniach.

– Jak myślę o tym, to wydaje mi się to teraz zabawne – powiedziała. – Zastanawiam się, jakie inne kłamstwa wciskała nam jeszcze matka.

Tamtej nocy nie mogłam zasnąć. Annabel poszła na imprezę z tym facetem w skórzanych spodniach, a ja zostałam w swojej kawalerce w dzielnicy Mission. Z zewnątrz dochodził hałas motocykli i dźwięki rapu. Długo leżałam i wpatrywałam się w sufit, rozmyślając o innych momentach, które były moją wersją dawnego życia. O rzeczach, które pamiętałam bardzo wyraźnie: jazda na zielonym rowerze przez nowe osiedle, na którym wszystkie domy stały jeszcze puste, zbieranie orzechów z Annabel na polu dziadków mieszkających w rolniczej Alabamie, sterowanie łodzią pod czujnym okiem ojca podczas wycieczki na wyspę Petit Bois. Zastanawiałam się, ile z tego jest prawdą. Wiedziałam, że powinnam puścić mimo uszu te oszustwa matki. Powinnam pozwolić, by była to kolejna zabawna historia, która dowodziłaby tego, jak fajna jest moja rodzina. A przecież czułam się oszukana. Nie mogłam już ufać własnej matce, a co gorsza, nie mogłam ufać nawet własnej pamięci.

Może to jeden z powodów, dla których zajęłam się fotografią. Jeśli zdjęcie nie zostanie zmontowane, to wszystko, co się na nim pojawi, naprawdę tam jest. To wersja historii, której można zaufać, nawet jeśli ta historia widziana jest oczami jednej osoby. Mimo nieuniknionego elementu zniekształcenia, mimo różnic pomiędzy tym, co widzi oko, a co zapisał aparat, zdjęcie wciąż pozostaje dowodem, obrazem historii, uchwyconym na kliszy momentem, który jest bardziej wiarygodny od ludzkiej pamięci.

Nawet jednak zdjęcia podatne są na ludzkie błędy. Wciąż wpatruję się w fotografię z tamtego dnia na Ocean Beach. Kilka ostatnich kadrów zrobionych na parkingu przez parę młodych ludzi mniej więcej czterdzieści

pięć minut po zniknięciu Emmy nie pokazuje niczego. Gdy wręczałam im aparat, zapomniałam powiedzieć o jednej z dziwacznych cech holgi, która pozwala na robienie dowolnej liczby zdjęć na tej samej klatce. Na fotografiach nie widać furgonetki, pomarańczowego chevelle'a, furgonu pocztowego ani motocykla. Zamiast tego widoczne są nałożone na siebie mgliste zarysy pojazdów i rozmazane twarze obcych ludzi. Na każdym widać też palec i kosmyk czyichś włosów.

ROZDZIAŁ 18

Oto kawałek prawdy, rzecz, której jestem pewna: był tam żółta furgonetka marki Volkswagen, która na karoserii miała rdzawe plamy. W oknach wisiały przezroczyste niebieskie zasłonki zsunięte na jedną stronę. Przez szybę widać było kobietę o mocno opalonej twarzy i krótko obciętych blond włosach. Machała do Emmy, a ona odpowiedziała jej, kiwając rączką. Coś w gestach tej kobiety – ruch głową, układ brody, gdy się uśmiechała – wydawało mi się znajome. Miałam wrażenie, że już wcześniej gdzieś ją widziałam.

Znajdowałyśmy się wtedy na parkingu nad plażą. Było zimno. Fale rozbijały się o brzeg, a plaża była prawie pusta – tylko kilku biegaczy, ludzie z psami, bezdomni i para turystów w jasnych pomarańczowych bluzach z napisem „Przeżyłem Alcatraz”. Emma trzymała mnie za rękę i czułam się wyjątkowo dobrze, tak jakbym w wieku trzydziestu dwóch lat w końcu zaczęła żyć. Kochałam ten chłód, słonawy zapach i mglistą szarość letniego poranka. Kochałam to dziecko.

Drzwi furgonetki od strony kierowcy były otwarte. Stał przy nich człowiek w granatowej piance opuszczonej do pasa. Na jego gładkiej klatce piersiowej widniał tatuaż przedstawiający łamiącą się falę, która owijała się wokół jego prawej brodawki. Woskował długą deskę surfingową opartą o samochód. Deska była w kolorze wyblakłej czerwieni, z jakimś symbolem umieszczonym na środku. Biceps surfera efektownie prezentował się podczas

kolistych ruchów ręki. Facet był szalenie przystojny, mimo że chyba przydałaby mu się kąpiel. Jego skóra opalona była na głęboki złoty kolor, a jasne włosy prosiły o spotkanie z grzebieniem.

– Witam panie – powiedział. Gdy się uśmiechnął, na jego twarzy pojawiły się trzy dołeczki: po jednym na każdym policzku i jeden poniżej lewego oka.

– Cześć – odparłam.

Mrugnął do Emmy, a ona popatrzyła w moją stronę; wiedziała, że mimo wszystko nie powinna spoufalać się z obcymi. Ścisnęłam jej dłoń.

– Hej – odpowiedziała Emma, posyłając nieznanemu swój charakterystyczny uśmiech, w którym prawa strona ust unosiła się nieco wyżej niż lewa.

Za moment doszliśmy do wyjścia z parkingu i na plażę. Cała wymiana uprzejmości zajęła nie więcej niż dwadzieścia sekund.

Powiedziałam to wszystko detektywowi Sherburne'owi na komisariacie w noc po zniknięciu Emmy. Pomięłam tylko fakt, że gdy schodziliśmy na plażę, wyobrażałam sobie, jak pachną włosy surfera – solą i słońcem.

Sherburne kiwał głową, a ręce miał założone na wątłej klatce piersiowej. Czasami tylko chwycił za długopis i zapisywał coś w żółtym notesie.

– Trudno znaleźć samochód, nie znając numerów rejestracyjnych – powiedział.

– Był złoty. Rdzewiejący. Niebieskie zasłonki w oknach. Było coś dziwnego w tej parze, to mogę przysiąc. A gdy wróciłam na parking po zniknięciu Emmy, samochodu także nie było.

– A chevelle?

– Też już go nie było. Pracownika poczty także nie. Motocykla również.

Powtarzając to któryś raz z rzędu, sama zaczęłam analizować swoje zeznania – kolejność wydarzeń, dokładne określenie czasu. A jeśli przez

ciągle powtarzanie moja opowieść została nieco zniekształcona, zmieniła się kolejność, jakiś szczegół został zastąpiony innym? Czy byłby to powód, by zeznania odrzucić w całości? Widziałam już podobne przypadki. Jednego dnia rodzice podają pewną wersję, kolejnego opisują to nieco inaczej i nagle śledztwo staje w miejscu. Cała energia śledczych skupia się na rodzinie, podczas gdy pozostałe wątki zostają zaniedbane. Wiedziałam, że poszukiwania Emmy będą zależały od mojej pamięci. Jej życie zależy od tego, czy za każdym razem właściwie odtworzę wszystkie szczegóły tamtych wydarzeń.

Sherburne popatrzył na zdjęcie Emmy przypięte do tablicy ogłoszeń.

– Widzi pani, to urocze dziecko. Ludzie są mili w stosunku do uroczych dzieci, co nie znaczy, że są porywaczami.

Tablica zajmowała połowę ściany. Wisiły na niej setki twarzy dzieci sfotografowanych w różnych momentach ich życia – szkoła, piknik, plac zabaw. Prawa strona zarezerwowana była na najświeższe sprawy, na dzieci, które zaginęły w ostatnich sześciu miesiącach. Na każdym zdjęciu grubym czarnym flamastrem dopisano datę. Fotografia Emmy znajdowała się na samej górze. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę z tego, że w tym morzu dziecięcych buzi Emma w żaden sposób się nie wyróżnia – jest kolejną ofiarą, kolejnym zaginionym dzieckiem.

Lewa strona tablicy przeznaczona była na sprawy zakończone sukcesem – każde zdjęcie zostało na czerwono opieczetowane dużym napisem „ODNALEZIONE”. Przypinano tam również podziękowania od rodziców i prasowe artykuły z tytułami w stylu *Dziewczynka z San Rafael odnaleziona*. Większość zdjęć zajmowała jednak środek tablicy – wszystkie dzieci, które w ostatnich pięciu latach zaginęły w Kalifornii, a których dotychczas nie odnaleziono. Niektórym fotografiom towarzyszyły szkice progresji wieku – włosy nieco dłuższe lub krótsze, szersze skronie, cieńsze usta. Na tych

szkicach oczy we wszystkich twarzach mają wystraszone, wyczekujące spojrzenie. Zastanawiałam się, dokąd trafiają zdjęcia po upływie pięciu lat. Wyobrażałam sobie wielką szafę w jakiejś części piwnicy z tysiącami podobizn zapakowanych w papierowe teczki, które nigdy już nie będą przeglądane.

ROZDZIAŁ 19

Dzień dwudziesty szósty. Spotkanie ma odbyć się w sali City College of San Francisco. Przyjeżdżam dwadzieścia minut wcześniej, więc dla zabicia czasu idę drogą, która okrąża cały kampus. College zbudowany jest w smutnym, miejskim stylu – plątanina kanciastych budynków zaprojektowanych bez jakiegokolwiek zmysłu estetycznego, ze zbyt małą liczbą okien. Przed głównym wejściem stoi betonowa statua jakiegoś katolickiego świętego, który w geście błogosławieństwa wyciąga rękę w kierunku Phelan Avenue.

O dziewiętnastej czterdzieści pięć stoję przed Cloud Hall i zmuszam się, by wejść do środka. Powietrze wewnątrz jest wilgotne i stęchłe. Podłogi zrobiono ze zwykłego cementu, a ściany mają bladozielony kolor. Wchodzę na drugie piętro i odnajduję salę numer 316. W środku mężczyzna ustawia krzesła w okrąg. Uśmiecha się do mnie, wyciąga dłoń i przedstawia się:

- Jestem David.
- Abby.
- Ile to już czasu?
- Trzy tygodnie i pięć dni. A ty?
- Siedem lat.

Szybko liczę w pamięci. Za siedem lat Emma będzie miała trzynaście, będzie nastolatką. Będzie wystarczająco duża, by mieć okres, spotykać się z chłopakami i chodzić do kina z przyjaciółmi. Nie potrafię sobie wyobrazić

siedmioletniej nieobecności. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ten człowiek sobie z tym radzi.

– Dziewczyna czy chłopak? – pyta.

– Dziewczynka. Ma sześć lat. A u ciebie?

– Jonathan miałby dwanaście lat. Jak ma na imię twoja dziewczynka?

– Emma.

Kiwa głową.

– Oczywiście. Wiedziałem, że wyglądasz znajomo. Śledzę tę sprawę.

Powinam powiedzieć Davidowi, że nie jestem tu tylko po to, by oczyścić duszę i wypłakać się w czyjaś koszulę. Przyszłam z nadzieją, że znajdę coś, co ma bardziej praktyczną naturę. Chcę, by ktoś, kto przeszedł już przez to, powiedział mi, jak mam kontynuować poszukiwania, jakich błędów powinam się wystrzegać, co ci ludzie z perspektywy czasu zrobiliby inaczej.

David podchodzi do stolika w rogu sali i wsypuje kawę z puszkki do stożkowego filtra. Wręcza mi dzbanek.

– Pójdiesz do fontanny po wodę?

Moje kroki dźwięczą głośnym echem w korytarzu. Jest środowy wieczór, a sale zwykle o tej porze świecą pustkami. Ściany są oblepione ogłoszeniami dotyczącymi korepetycji z angielskiego i treningów taekwondo. Fontanna z wodą pitną znajduje się na drugim końcu korytarza, a do jej obręczy przyklejony jest kawałek gumy do żucia. Przypomina mi się popołudniowa wycieczka do zoo, którą odbyliśmy mniej więcej rok temu. Jake, Emma i ja przechodziliśmy obok klatki z tygrysem, który wylegiwał się na skale, patrzył na nas i mrugał. „Chce mi się pić” – powiedziała Emma. Kilka kroków od nas znajdowała się fontanna z wodą pitną. „Kto pierwszy, ten lepszy” – zaproponowałam. Pozwoliłam jej wygrać, a potem podniosłam ją, by mogła się napić. Była ubrana w koszulkę bez rękawów, a skóra pod jej

ramionami była miękka i wilgotna.

Jake'a spotkałam raptem kilka tygodni wcześniej i sprawy między nami potoczyły się bardzo szybko. Trzymając Emmę nad fontanną, zrozumiałam, że jeśli zamierzam pokochać Jake'a, muszę również pokochać ją. Jake nie był wolny od obciążeń, to była transakcja pakietowa. Zaskoczyło mnie, z jaką łatwością mi zaufała, jak rozkładała ramiona, czekając, aż ją podniosę. Byłam zdumiona niespodziewaną kompletnością tego dziecka – jak wyciągała szyję, by napić się z małej strużki wody, jak machała nogami, dając mi znać, że już skończyła. Tak naprawdę nigdy nie myślałam o dzieciach jako o ludziach, były dla mnie tajemniczymi i wymagającymi opieki stworzeniami, które dopiero w przyszłości miały stać się czymś wspaniałym. Ale stojąc tam, trzymając Emmę, zobaczyłam dziewczynkę, która już kształtowała swoją osobowość, swój własny sposób patrzenia na świat i bycia jego częścią. Postawiłam ją na ziemi. Pobiegła do ojca. Uniósł ją i rozhuśtał. Roześmiała się głośno i radośnie. Coś mi ścisnęło żołądek – strach, podniecenie, radość. Mój Boże, pomyślałam, zakochuję się w nich.

Wracam do sali, wlewam wodę do ekspresu i włączam go. Woda zaczyna bulgotać.

– Jak sobie z tym radzisz? – pytam. – W jaki sposób szukasz?

– Nie szukam. Już nie. Znaleźliśmy Jonathana w październiku. Został zidentyfikowany na podstawie stanu uzębienia. Spłonął na plantacji czosnku w Gilroy.

– Tak mi przykro.

– Przychodzę na te spotkania, ponieważ potrzebuję wokół siebie ludzi, którzy mają podobne doświadczenia, którzy wiedzą, jak to jest. Gdy twoje dziecko znika, masz wrażenie, że żyjesz w obcym kraju, w którym nikt nie mówi w twoim języku. Otwierasz usta, by coś powiedzieć, ale czujesz, że nikt cię nie rozumie. Ludzie, których znałaś wcześniej, rodzice przyjaciół

twojego dziecka w szczególności, unikają cię. Jesteś chodzącym wspomnieniem ich najgorszych obaw. Wygląda to tak, jakby każda osoba, którą spotykasz, mogła ci powiedzieć, że nie jesteś taka jak oni.

– Może mamy jakiś szczególny, rzucający się w oczy wygląd – mówię. – Może wydzielamy jakiś zapach tragedii.

– Śmietanka, cukier? – pyta David.

– Nie, dziękuję.

Wręcza mi filiżankę czarnej kawy, a potem siada na krześle. Siadam po drugiej stronie okręgu. Znów czuję się jak w szkole średniej – zbyt małe krzesła, sala zupełnie z innej epoki, zapach starych gumek do ścierania.

– Zabawne – mówię. – Przez całe życie piłam słodką kawę ze śmietanką. Gdy Emma zniknęła, zaczęłam pić czarną.

– To normalne. Po porwaniu Jonathana ciągle zapominałem, by do pracy wkładać krawat. Skarpetki nigdy nie były z tej samej pary. Zapominałem o obcinaniu paznokci, o podlewaniu kwiatków i o tankowaniu samochodu. Wszystkie szczegóły codziennego życia stały się nieistotne.

Sący kawę. Patrzę na zegarek. Spotkanie powinno rozpocząć się za pięć minut. O ile Emma może się oddalić w ciągu pięciu minut?

– A twoja żona? Przychodzi na te spotkania?

– Rozeszliśmy się dwa lata po zniknięciu Jonathana. – David kładzie dłonie na ławce, gapi się na nie i zaciska w pięści. – Każdy w tej grupie jest albo rozwiedziony, albo żyje w separacji. Jane i ja byliśmy idealną parą, a przynajmniej tak nam się wydawało. Po zniknięciu Jonathana w naszym związku pojawiło się zbyt wiele bólu. Byliśmy dla siebie nieustającym wspomnieniem tego, co straciliśmy. I zawsze ktoś jest winny.

– Jak to się stało? – pytam, łapiąc się na tym, że jestem zainteresowana tą historią tak samo, jak inni muszą interesować się historią Emmy.

– Jane była w Minnesocie. Pojechała odwiedzić matkę, a ja w tym czasie

zabrałem Jonathana nad rzekę Russian, na weekend z okazji Dnia Ojca. Był to spływ kajakowy z udziałem kilku innych ojców i ich synów. Rozkładałem namiot i pozwoliłem Jonathanowi iść z kilkoma starszymi chłopakami na poszukiwanie żab. Dzieciaki nie oddaliły się na dłużej niż dziesięć, dwanaście minut. Stawiałem ostatni słupek, gdy na polanę wbiegli dwaj chłopcy, przerażeni. Od razu wiedziałem, że stało się coś strasznego. Zostali zaatakowani przez mężczyznę z bronią. Facet z jakiegoś powodu wybrał akurat mojego syna.

– Pamiętam, słyszałam o tym. Poszukiwania trwały wiele tygodni.

– Medialne szaleństwo. To przerażające, w jaki sposób reporterzy pakują się w twoje życie, ale pozwalasz im na to, bo myślisz, że mogą ci jakoś pomóc. Wiadomości ogląda przecież tylu ludzi, dlatego mocno wierzysz, że dzięki temu dziecko się odnajdzie.

Tracę nadzieję, przypominając sobie zastępy ochotników przeczesujących las z latarkami i krótkofalówkami. Całą sprawę relacjonował program *America's Most Wanted*, a także stacja CNN. Były plakaty, ulotki i czuwania ze świecami. Nawet to wszystko nie pomogło im odnaleźć syna.

– Jane nigdy nie wybaczyła mi tego, że spuściłem go z oczu. Jednak nawet gdyby mi wybaczyła, to nie miałoby żadnego znaczenia, bo sam nigdy sobie tego nie daruję. Każdego dnia, gdy się budzę, pierwsze, co mi przychodzi do głowy, to ten cholerny namiot. Gdybym powiedział Jonathanowi, żeby poczekał, aż skończę...

– A tam była ta foczka – mówię. – Martwa. Myślę o niej w każdej minucie każdego dnia. Co by było, gdyby nie ta foka? Co by było, gdybym nie miała aparatu fotograficznego? Spuściłam Emmę z oczu na czterdzieści sekund, może na minutę.

– Na nas wszystkich ciąży to przekleństwo: myślimy o sekundach.

– A później na Great Highway pojawił się orszak pogrzebowy – mówię. –

Nie miałam żadnego interesu w tym, żeby patrzeć nawet przez chwilę. Nie mogłam się jednak przed tym powstrzymać. Zawsze, widząc kondukt, czuję to samo, co widząc wypadek samochodowy: nie potrafię oderwać oczu, choć jest to widok przygnębiający i ponury i wiem, że tamci ludzie zasługują na prywatność.

David kiwa głową ze zrozumieniem.

– Nie jestem jej matką – wyjaśniam.

– Tak.

– Jestem zaręczona z jej ojcem.

– Wiem.

Zastanawiam się, czy staję się z tego powodu mniej wartościowa w jego oczach. Nieważne, jak bardzo się obwiniam, nieważne, jak wielki żal i smutek czuję, tak naprawdę nie jestem w stanie zrozumieć cierpienia rodzica, który stracił dziecko.

– Twój narzeczony nie chciał przyjść? – pyta David.

– Jest zajęty. Kieruje akcją poszukiwawczą.

– I? – mówi David, jakby potrafił czytać w moich myślach.

– Uważa, że grupa wsparcia to strata czasu. Zaczynam myśleć, że mnie też powoli traktuje jak stratę czasu. Zwykle spędzałam z nim większość nocy, teraz jednak wygląda to zupełnie inaczej. I wcale go nie obwiniam. Staram się myśleć, że jeśli ją znajdziemy, to wszystko wróci do normy.

– Znasz statystyki – mówi David łagodnym głosem, sięgając po moją dłoń. Jego ręka jest chłodna i nieco wilgotna. – Musisz być przygotowana na najgorsze.

Gdy przysuwa dłoń do mojej dłoni, zaczynam żałować, że powiedziałam mu tak dużo.

W drzwiach pojawia się kobieta i David cofa rękę. Koszulka i spodnie

kobiety są pogniecione, a oczy bardzo zmęczone. Włosy również ma w nie najlepszym stanie – miejscami jest ich więcej, miejscami mniej, nad jednym uchem bieleje łyśa plama.

– Sharon – mówi David, podnosząc się.

Podchodzi do drzwi, obejmuje ją ramieniem i prowadzi do krzesła. Kobieta spogląda na mnie pustym wzrokiem.

– Cześć – mówi.

– Cześć.

Rozpoznaję ją. Jej historia przez wiele tygodni była bardzo nagłaśniana, po czym odeszła w zapomnienie. Ze wstydem zdaję sobie sprawę, że ja też zapomniałam o szkolnej cheerleaderce, która zniknęła bez śladu po sobotniej wizycie w kinie.

Kobieta szarpie się za włosy, kilka z nich zostaje jej między palcami, ale nie zwraca na to uwagi.

– Czternaście miesięcy, trzy tygodnie i dwa dni – mówi bez żadnej zachęty. – Na imię ma Tanya. Jutro skończy piętnaście lat.

ROZDZIAŁ 20

Wśród materiałów do czytania, jakie dostałam od Nell, znajduje się również książka zatytułowana *Lost Time. The Problem of Forgetting*. Zawiera cytat z tekstu Arystotelesa *O pamiętaniu i przypominaniu sobie*: „Często się zdarza, że choć osoba nie pamięta czegoś w danej chwili, poprzez poszukiwania może sobie przypomnieć i odnaleźć to, czego szuka”^{*}.

Dwadzieścia osiem dni po zniknięciu Emmy dzwonię do biblioteki i proszę Nell o kopię tekstu Arystotelesa. Jeszcze tej nocy przynosi mi książkę. Arystoteles tłumaczy, że poszukiwanie jest najskuteczniejsze, jeśli zabieramy się do niego w odpowiedniej kolejności. „Trzeba określić punkt wyjścia” – pisze. Osoba „odkrywa to, czego szuka”, próbując odzyskać wspomnienia od początku do końca „poprzez utworzenie wielu części, aż w końcu odnajdzie fragment będący częścią poprzedzającą wspomnienie, które ta osoba chce odzyskać”^{**}.

Muszę więc określić „punkt wyjścia”, coś, co poprowadzi mnie do „faktu” lub istoty rzeczy – do tego, co muszę sobie przypomnieć. Ta metoda jednak zakłada, że poszukiwacz ma jakiś pomysł co do natury szukanego faktu, dlatego też moje poszukiwania trafiają w martwy punkt. Nie wiem, czy powinnam szukać cech twarzy obcej osoby, tablicy rejestracyjnej jakiegoś samochodu, barwy głosu dobiegającego z oddali czy czegoś zupełnie innego. Jedyna rzecz, której jestem pewna, to fakt, że straciłam Emmę i muszę ją teraz odnaleźć. Jedyne akceptowalne rozwiązanie jest takie: Emma w domu,

bezpieczna. Ale wszystko, co prowadzi do pożądanego rozwiązania, poszczególne kroki, które muszę wykonać, by tam dotrzeć, pozostają dla mnie tajemnicą.

Przychodzi mi na myśl, że mój punkt wyjścia może być niewłaściwie wybrany. Przez wszystkie tygodnie koncentrowałam się na tych okropnych momentach na plaży, ale może cała historia rozpoczyna się wcześniej i jest coś, co mi umknęło, ponieważ ograniczyłam się do zbyt krótkiego czasu. Może klucz znajduje się w dniach lub tygodniach poprzedzających moment jej zniknięcia. Wyciągam czarny notes, w którym zapisuję wszystkie wspomnienia i detale. Strony są pokryte rysunkami, wykresami, nazwiskami lub cechami charakterystycznymi wszystkich osób, z którymi spotykałam się regularnie, włącznie ze sprzedawcą ze sklepu Trader Joe's, kurierem z UPS, kobietą, która codziennie rano przechodzi obok domu Jake'a ze swoim dogiem niemieckim.

Przewracam na czystą stronę i ponownie próbuję odtworzyć swoje kroki, jeden po drugim, zaczynając od dnia poprzedzającego zniknięcie Emmy. Każdy sklep, który odwiedziłam, każda osoba, z którą rozmawiałam, każdy lunch, każda kolacja, każdy klient. Czasami w środku nocy budzę się z notesem na kolanach i podwiniętymi nogami. Gdy staram się je wyprostować, czuję jakby tysiące małych szpileczek kłuło moją skórę. Ponownie czytam notatki – pięć dni rozpisanych w najdrobniejszych szczegółach – szukając w nich prozaicznych detali wskazujących na jakiś element prawdy. Nic.

Następnego wieczora idę do Jake'a, by pakować koperty. Siedzimy przy stole w jadalni, nic nie mówimy. Rozsyłaliśmy ulotki do stacji radiowych i telewizyjnych w całym kraju, na posterunki policji, do szeryfów, na uniwersytety. Dziś pracujemy nad szpitalami. Tak teraz wygląda nasze wspólne spędzanie czasu – cicho, z zapamiętaniem oddajemy się jakiejś

pracy, byle tylko zająć ręce. Jake odzywa się jedynie po to, by poinformować mnie, że zwiększył nagrodę za znalezienie Emmy lub gdzieś pojawiła się szansa, że ktoś ją widział. Te raporty zawsze prowadzą nas w ślepią uliczkę, podobnie zresztą jak rozmowy.

– Powinniśmy wyjść gdzieś razem – proponuję. Myślę, że jeśli udałoby się wyrwać na godzinę lub dwie, gdybyśmy choć odrobinę czasu spędzili w miejscu innym niż komisariat lub ten dom, moglibyśmy w jakimś stopniu odbudować łączącą nas więź i dzięki temu potrafilibyśmy pomóc sobie w zmaganiu się z tym trudnym okresem.

– Co?

– Tylko ty i ja. Na kolację. Do któregoś z naszych starych miejsc. Może do Park Chow albo Liberty Café.

– I co mielibyśmy tam robić? – pyta Jake, patrząc na mnie, jakbym postradała zmysły.

– Zjedlibyśmy coś, co nie pochodzi z kuchenki mikrofalowej. Napilibyśmy się czegoś, zrelaksowalibyśmy się, porozmawialibyśmy. Nie zatrzymaliśmy się nawet na moment, odkąd... – Nie wiem, w jaki sposób dokończyć to zdanie. Słowo „porwana” jest zbyt okrutne, ale „zniknęła” brzmiałoby jeszcze gorzej.

– Nie jestem gotowy na takie wyjście. Jeszcze nie. – Odrywa pasek chroniący klej na kopercie, zakleja ją i wrzuca do drucianego kosza.

– W grupie wsparcia mówią, że trzeba zachować jakieś wrażenie normalności w życiu.

– Normalności? – mówi Jake łamiącym się głosem. Podnosi druciany kosz i wysypuje zaklejone koperty na stół. – Każda z nich będzie otwarta przez pracownika szpitala, który porówna zdjęcie Emmy z niezidentyfikowanymi ciałami leżącymi w kostnicy. I my mamy żyć normalnie?

Zbieram koperty i wkładam je z powrotem do kosza.

Jake potrząsa głową.

– Po prostu czuję, jakby wszystko się rozlatywało.

– Przepraszam. Wiem.

Wracamy do pracy w milczeniu, mój umysł jest w tym czasie w innym miejscu. Zaczynam tam, gdzie zakończyłam poprzedniej nocy: pięć dni przed zniknięciem Emmy. Analizuję jeszcze raz wszystkie swoje działania, jedno po drugim: miejsca, które odwiedziłam razem z Emmą, ludzie, z którymi rozmawiałam. Pięć dni, sześć, siedem.

Osiem dni przed dniem, w którym to się stało: spotkanie z klientem w moim studiu. Sesja ślubna w Presidio. Później wiolonczelowy recital Emmy i lody w Polly Ann's, gdzie można samemu wybrać smak lub wylosować, kręcąc kołem. Emma lubi przygody, dlatego wybiera koło. Wylosowała „bananową gumę balonową”, ja trafiłam na „skalistą drogę”, a że Emmie nie podoba się jej wybór, w typowy dla siebie sposób nalega, byśmy się zamieniły. Miałyśmy jeszcze trochę czasu, zanim Jake wrócił do domu. Gdzie poszłyśmy?

– Oczywiście – mówię.

Jake patrzy na mnie zdziwiony.

– Co? – W jego oczach bez trudu rozpoznaję ten błysk: nadzieja.

– Osiem dni przed tym, gdy to się stało, spędziłam z Emmą cały dzień, pamiętasz? Miałaś spotkanie w szkole Emmy, a ja poszłam do centrum informacji turystycznej naprzeciwko Ocean Beach, żeby mogła pooglądać murale.

– To jest to miejsce pod Beach Chalet?

– Tak. Chyba zapomniałam o tym wcześniej, ponieważ tak często tam bywaliśmy. Nie przywiązywałam do tego zbyt wielkiej wagi. Wtedy nie było tam prawie nikogo. Tylko ja i Emma, chłopak za biurkiem i ta kobieta

o jasnych włosach. Trzydzieści pięć, czterdzieści lat – wyglądała, jakby miała ciężkie życie, wypaliła miliony papierosów. Rozmawiała z tym chłopakiem. Mówiła mu, że jest tu na wakacjach z mężem. Jedyne powód, dla którego zwróciłam na nią uwagę, był taki, że mówiła nienaturalnie głośno. Miała na sobie satynowe spodnie, które szeleściły przy każdym ruchu. Chłopak pytał, jak długo zamierzają zostać w San Francisco, ale nie była pewna. Mówiła, że to objazdowa wycieczka i nie mają określonego planu.

– Co to ma wspólnego z Emmą? – pyta Jake.

– Stukała palcami po biurku, nerwowo rozglądając się po całym pomieszczeniu. Raz tylko na kilka sekund skupiła wzrok na Emmie, ale na mnie nie spojrzała ani razu. To było to. Później odwróciła się i wyszła.

– Nie rozumiem – mówi Jake.

– Kobieta w żółtej furgonetce na Ocean Beach, która machała do Emmy. Myślę, że to ta sama, którą widziałam w Beach Chalet.

– Jesteś pewna?

– Naprawdę tak myślę. To znaczy, nigdy nie popatrzyłam jej w oczy, ale podobieństwo jest bardzo duże.

Jake natychmiast wstaje od stołu i chwytając słuchawkę telefonu wiszącego na ścianie w kuchni.

– Dzwonię do detektywa Sherburne’a.

– Jesteś pewna? – pyta mnie Sherburne minutę później. Jest w domu, w tle słychać włączony telewizor.

– Tak.

– Minął już miesiąc. To dość dziwne, że tak późno przypominasz sobie coś takiego.

– Naprawdę uważam, że to była ona.

– Nie chcę uchodzić za negatywnie nastawionego, Abby, ale w pracy

nauczyłem się jednego: im później ktoś sobie coś przypomina, tym mniej jest to wiarygodne.

– Nie zmyślam tego.

– Nie o to mi chodzi. Po prostu myślę, że umysł może płatać ci figle. Jeśli potrzebujemy, to potrafimy uwierzyć praktycznie we wszystko.

– Nie rozumiesz. Wyraźnie ją widzę, tak jak i cały tamten dzień. Poza tym to chyba najlepsza rzecz, jaką mamy, prawda? Możemy zrobić portret pamięciowy. Mogę dokładnie opisać obie osoby – kobietę i surfera z tej furgonetki.

– Zwykle nie sporządzamy portretu pamięciowego, jeśli nie mamy dość mocnego tropu.

Wyobrażam sobie jakąś wielką księgę wydatków gdzieś na komisariacie, w której co do centa rozliczany jest każdy zakup. Być może w budżecie nie ma pieniędzy na rysownika w wypadku takich spraw. Może oszczędzają na te pewniejsze.

– Masz lepszy pomysł? – pytam.

Po drugiej stronie zapada długa cisza. Słyszę w tle mówiącą coś żonę Sherburne'a. Może mi współczuje, może po prostu chce, żeby Sherburne skończył rozmowę, ale jestem całkiem pewna, że mówi mu, by poprawił mi humor.

– Zgoda. Umówię cię z naszym rysownikiem, ale nie chcę zbytnio rozbudzać twoich nadziei.

– Dziękuję.

Jeszcze nawet nie zdążyłam odłożyć słuchawki, a już zaczęłam wątpić we własną opowieść, szukając luk w pamięci. Przecież muszą być dziesiątki niezbyt eleganckich kobiet w tym wieku, które codziennie przejeżdżają przez Ocean Beach, nie wspominając o setkach przyjezdnych surferów. A jeśli Sherburne ma rację, jeśli moja wyobraźnia po prostu wypełnia luki, które

zostawiła pamięć?

– Boże, mam nadzieję, że coś z tego będzie – mówi Jake, obejmując mnie.

Miło jest znów poczuć jego uścisk; tak dawno już tego nie robił, tak dawno nie patrzył na mnie oczami, w których mogłabym dostrzec choć trochę czułości. Obejmuję go w pasie i wdycham zapach – mieszankę krochmalu i czegoś, co jest charakterystyczne tylko dla niego – zapach, który wdychałam każdej nocy, gdy razem kładliśmy się spać, a moja twarz wtulała się w ciepłą skórę jego pleców.

* Arystoteles, *O pamiętaniu i przypominaniu sobie*, [w:] tenże, *Dzieła wszystkie*, tłum. P. Siwek, t. 3, wyd. 2, Warszawa 2003, s. 232–248 (przyp. tłum.).

** Tamże (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 21

Dzień trzydziesty trzeci. Nazywa się Amanda Darnell i mówi mi, żebym się odprężyła. Proponuje kawę i pączki. Pączki wciąż jeszcze są ciepłe, a ich wypełniający cały pokój zapach przypomina mi dzieciństwo i sobotnie poranki w Alabamie. Matka zabierała wówczas mnie i Annabel do Krispy Kreme na Government Boulevard, gdzie oglądałyśmy rzędy pączków ociekających lukrem, błyszczących na wielkich srebrnych tacach.

– Niedawno otwarli Krispy Kreme w pobliżu mojego domu w Daly City – mówi Amanda. – W ciągu dwóch miesięcy przytyłam ponad dwa kilogramy. A teraz jeszcze otwierają restaurację In-N-Out Burger. Boże, pomóż mi.

Ubrana jest w dżinsy i czerwony golf, a pierzaste kolczyki zwisają jej do ramion. Zaczyna od pytań o to, co robię, gdzie się wychowywałam, czy lubię gotować.

– Mistrzynią kulinarnych dokonań na pewno nie jestem – zwierzam się. – Ale robię takie ciasteczka z sosem, dla których można postradać zmysły. Tajemnica tkwi w pokruszonym bekonie, który miesza się z ciastem.

– Już mam na to ochotę.

Siedzimy obok siebie w wygodnych fotelach, a blok rysunkowy leży na stole tuż przed nią. Ma też plastikowe pudełko pełne kredy, ołówków i gumek. Ten pokój posterunku policji pomalowany jest ciepłym odcieniem zieleni i wypełniony zielonymi roślinami w ceramicznych doniczkach, jednak

na ścianach nie ma żadnych obrazów ani zdjęć.

– A ty gotujesz? – pytam.

– Robię świetną zapiekankę z kurczakiem.

Dobrze jest rozmawiać o czymś tak przyziemnym jak gotowanie. Dobrze jest znów być traktowanym jak ktoś normalny, a nie jak ofiara lub kryminalista. Choć nikt nie zaprzecza też, w jakim celu się tu znalazłam. Łapię się na tym, że patrzę na jej dłonie, na długie różowe paznokcie i turkusowe pierścionki.

– No więc – mówię, starając się, by brzmiało to naturalnie. – Jak to działa?

– Zabawimy się w Pana Ziemiaczaną Głowę – odpowiada i kładzie na stole cienką książkę. – Katalog identyfikacji twarzy FBI – wyjaśnia. Książka zawiera setki zdjęć bród, kości policzkowych, oczu, nosów, uszu i głów. – Najpierw zrobimy kobietę, a później zajmiemy się mężczyzną. Zaczniemy od kształtu głowy. Jeśli coś wydaje ci się znajome, to pokazuj.

Przewracam kolejne kartki, mijam kwadratowe szczęki i niskie czoła, kształty jajowate, okrągłe i owalne.

– To – mówię, wskazując kobietę z wąską twarzą i wysokim czołem.

Amanda zaczyna rysować.

– Mów do mnie. Ty tu jesteś szefem. Powiedz, jeśli coś będzie wyglądało inaczej, niż powinno.

Od głowy przechodzimy do kształtu oczu, głęboko osadzonych, z lekko opadającymi kącikami.

– Takie?

– Tak, to ten kształt, ale były trochę dalej od siebie.

Następnie przechodzimy do kości policzkowych, niezbyt wyrazistych, i nosa – wąskiego, z lekkim zaokrągleniem na czubku. Rysuje bardzo szybko,

co kilka sekund przerywając w oczekiwaniu na moją reakcję. Rysuje i ściera, tonując linie, rozmazując je kciukiem i nachylając się nieco, by zdmuchnąć kawałeczki gumki znajdujące się na kartce. Twarz na papierze zaczyna nabierać kształtów, staje się rozpoznawalna, a moja pamięć wraz z postępem rysowania również staje się coraz jaśniejsza. Przypominam sobie szczegóły niemające nic wspólnego z twarzą kobiety: pusty czerwony wózek dziecięcy stojący obok punktu informacyjnego w Beach Chalet, pudełko na biurku, przewrócone drzewo w modelu parku Golden Gate.

Gdy dochodzimy do uszu, znów pojawia się dziura w pamięci. Nie potrafię przypomnieć sobie, czy były duże, czy małe, odstające czy płaskie, a także tego, czy nosiła kolczyki.

– To normalne – uspokaja mnie Amanda. – Większość ludzi ma problem z uszami.

Z włosami poszło łatwo: blond, proste, grube. Amanda dodaje jeszcze trochę cienia na twarzy i mówi:

– Pokaż mi teraz to, co nie wygląda właściwie. Spokojnie, nie spiesz się.

Dwie godziny i dobrnęliśmy do końca rysunku.

– To ona – mówię zaskoczona wiernością obrazu. – Naprawdę jesteś w tym dobra. Studiowałaś sztukę w college’u?

– Pobierałam trochę lekcji w szkole, ale moim głównym kierunkiem jest psychologia. Tu chodzi nie tyle o sztukę, ile o słuchanie i zadawanie właściwych pytań. Nie pracujesz z własną wyobraźnią, ale z pamięcią kogoś innego.

Wyciąga z torby kolejną książkę – taki sam katalog, ale tym razem zawierający męskie twarze. Półtorej godziny później mamy drugi rysunek. Tamtego dnia na plaży mężczyzna w żółtej furgonetce wyglądał tak normalnie, niczym nie odbiegał od tuzinów innych surferów. Może to efekt rysunku, a może długie tygodnie złości i straszego oczekiwania sprawiają,

że twarz wygląda jakby mniej przyjaźnie, nie wzbudza zaufania. Cechy, które mnie wówczas zaintrygowały – jego leniwe oczy i zmierzwione wiatrem włosy, jego wydatne kości policzkowe i pełne usta – teraz wyglądają podejrzanie. Patrząc na tę twarz, znów wracam w przeszłość: zimny piasek, biała mgła, nadzieja, jaką czułam, spacerując i trzymając Emmę za rękę. A potem panika, poczucie, że cały świat wywraca się do góry nogami.

– I co teraz? – pytam.

– Dam te rysunki detektywowi Sherburne’owi. On zrobi kopie i przekaże je współpracownikom z FBI, którzy prześlą je do biur w całym kraju. Ty oczywiście też dostaniesz kopie.

Noc spędzam u siebie. Nie potrafię zasnąć. Wyciągam z albumu zdjęcie Emmy, siadam na kanapie i próbuję ją narysować. Zaczynam od twarzy – szeroka i okrągła – a później przechodzę do dużych oczu i długich czarnych rzęs, zadartego noska i małych ust. Pracuję nad jedną z jej brwi, gdy czuję, że jest mi zimno. Przystaję rysować. Nie jestem w stanie wykonać kolejnej kreski. Około drugiej w nocy biorę cztery pigułki nasenne. Gdy następnego ranka budzę się na kanapie, moje nogi są podkurczone, a głowa ciężka i obrzmiała. Rysunek leży na moich kolanach. Rysy są tak źle odwzorowane, że nie jest możliwe stwierdzenie, czy jest to dziewczynka, czy chłopiec. Zupełnie nie przypomina Emmy. Zastanawiam się, ile czasu będzie potrzebowała moja pamięć, by zamazać obraz Emmy. Ile dni musi upłynąć, bym spojrzała na niewyraźny rysunek i nie była w stanie dostrzec niedokładności.

ROZDZIAŁ 22

– Powiedz mi coś, czego nie wiem – poprosiłam kiedyś Jake’a.

Spotykaliśmy się już od trzech miesięcy. Kochałam go, ale jeszcze mu o tym nie powiedziałam. Byliśmy wtedy na kolacji w Foreign Cinema. Siedzieliśmy na zewnątrz pod wielkim białym baldachimem, a nad naszym stolikiem brzęczała lampa. Zaczęliśmy ten wieczór ostrygami i byliśmy już w trakcie opróżniania butelki świetnego chardonnay. Na tylnej ścianie restauracji odtwarzano *Ostatnie tango w Paryżu*, a młody, pewny siebie Marlon Brando tańczył w zatłoczonym barze. Emma została w domu z opiekunką.

– Na długo, zanim powstała drużyna Giants, byli tu San Francisco Seals – powiedział Jake. – Przez jeden sezon, w roku 1914, rozgrywali mecze na boisku Ewing Field, na zachód od Masonic. Miejsce było tak mgliste, że podczas jednego z meczów maskotka musiała wejść na boisko i powiedzieć Elmerowi Zacharowi, zawodnikowi Oakland Commuters, że kolejna runda dobiegła końca.

– Interesujące – odparłam – ale chodziło mi o to, byś powiedział coś o sobie.

– Z tym będzie trudniej.

– Pomyśl.

– No dobrze. W roku 1984 byłem wicemistrzem kraju w układaniu kostki Rubika.

- Żartujesz.
- Wcale nie.
- Dlaczego wcześniej o tym nie wspomniałeś?
- A czego się spodziewałaś? Cześć, jestem Jake, dwadzieścia lat temu byłem świetny w układaniu kostki Rubika.
- Na twoim miejscu nawiązywałabym do tego przy każdej okazji.
- Układanie kostki wymaga po prostu cierpliwości i odpowiedniego systemu. Wiesz, jak wiele jest możliwych kombinacji? – Jake napisał liczbę na swojej serwetce: 43 252 003 274 489 856 000. Na brzegu serwetki, kiedy zaczynało brakować mu miejsca, cyfry stawały się coraz mniejsze.
- Jak w ogóle można wypowiedzieć taką liczbę?
- Nie mam zielonego pojęcia.
- No to w jaki sposób ją zapamiętałeś?
- Nie pamiętam jej jako całości. Pamiętam jej części składowe, które mogę w sensowny sposób połączyć z jakimiś wydarzeniami. Na przykład 43 to wiek mojego ojca w chwili jego śmierci, 252 to liczba home runów zdobytych przez Bobby’ego Murcera i tak dalej.
- Ja nigdy nie ułożyłam całej kostki Rubika. Ani razu.
- Gdybym zamknął cię w pokoju tylko z kostką, jedzeniem i piciem, to nie miałabyś innego wyjścia, jak w końcu ją ułożyć. To po prostu kwestia matematycznego rachunku prawdopodobieństwa.
- Gdy zdobyłeś drugie miejsce, ile czasu zajęło ci ułożenie?
- Dwadzieścia sześć i dziewięć dziesiątych sekundy. Teraz rekord świata wynosi trzynaście i dwadzieścia dwie setne sekundy. Dzieciak z Finlandii nazwiskiem Anssi Vanhala. – Nadział na widelec kawałek kałamarnicy i podał mi przez stół.
- Jeśli jesteś taki dobry z matematyki, to policz: ile minut zajmie nam

zapłacenie rachunku i powrót do domu?

– Można to ocenić tylko w zaokrągleniu, ale powiem, że będą to mniej więcej trzydzieści cztery minuty. Plus pięć na zapłacenie opiekunce i pozbycie się jej z mieszkania. – Uniósł rękę, przywołując kelnera.

Im lepiej poznawałam Jake’a, tym bardziej sensowne wydawało mi się jego osiągnięcie związane z kostką Rubika. Do wszystkiego w życiu podchodził jak do zadania, które w końcu i tak zostanie rozwiązane, jeśli tylko poświęci mu się odpowiednio dużo czasu. Wszystko jest systematyczne i logiczne. Być może taką pewność siebie dawała mu wiara w to, że odpowiednia dawka wytrwałości i planowania pozwolą mu uporać się z każdym problemem. Tym razem jednak jego plan się nie sprawdza. Pięć tygodni, dwadzieścia tysięcy ulotek, kilka tuzinów wywiadów radiowych, dwustu czterdziestu siedmiu wolontariuszy, dwa portrety pamięciowe potencjalnych sprawców – i wciąż nie jesteśmy ani trochę bliżej Emmy. Lisbeth do tej pory nie daje znaku życia i dla Jake’a jest to chyba ostatnia nadzieja, że Emma jest właśnie z nią.

Ubiegłej nocy poszłam do domu Jake’a ze spakowaną torbą, by zostać na noc. Dopiero co byłam w stacji Channel 4 z portretami pamięciowymi pary z furgonetki, ale producentka wiadomości o osiemnastej uznała, że program jest już zamknięty. To była moja trzecia próba zamieszczenia rysunków w wiadomościach, ale żadna nie przyniosła rezultatu. Producentka nie powiedziała tego wprost, ale domyślałam się, że dla niej Emma jest już zbyt starą wiadomością.

– Co to? – zapytał Jake, patrząc na moją torbę.

– Od dawna nie spędzałam tutaj nocy. Pomyślałam, że...

– To nie jest dobry moment.

– Nie będzie dobrego momentu. – Zdjęłam płaszcz i przewiesiłam go przez krzesło. – Nie chcę stracić i ciebie.

Natychmiast uświadomiłam sobie, że to nie były właściwe słowa. Nagle poczułam wstyd z powodu tej torby, wstyd, że pomyślałam, iż mogę sprawić, że choć na chwilę zapomni o tym, jak bardzo zrujnowałam jego życie.

– Wychodzę – odpowiedział.

– Dokąd?

– Nie wiem.

– Przyjdiesz do mnie później?

Nie odezwał się. Włożył tylko kurtkę i otworzył drzwi.

– Porozmawiaj ze mną. Chcę wiedzieć, co czujesz.

Stał w otwartych drzwiach, jedną nogą w domu, a drugą na progu.

– Czuję się tak, jakby moje życie się skończyło – powiedział, stojąc tyłem do mnie. – Czuję się tak, jakbym zrobił wszystko, co byłem w stanie zrobić, ale nie przyniosło to żadnego efektu. Czuję się tak, że jeśli cokolwiek dzieje się z moim dzieckiem, o ile w ogóle jeszcze żyje, to ja nie mogę zrobić zupełnie nic, by mu pomóc.

Odwrócił się i spojrzał na mnie.

– Gdy to wszystko się zaczęło, jednej myśli nigdy nie potrafiłem wyrzucić z głowy: myśli, że jeśli znajdę tego, kto to zrobił, to go zabiję. Przysięgałem, że mi za to zapłaci. Wściekłość mnie nakręcała i trzymała w całości. Teraz jednak minął ponad miesiąc i nie mam już siły na to, by być wściekłym. Nie powinienem był wyjeżdżać w tamten weekend i nie powinienem był pozwalać ci na zabranie Emmy na Ocean Beach. To było głupie. A z jakiego powodu to wszystko zrobiłem? Tylko po to, żeby jakiś stary, rozwiedziony kumpel mógł wypłakać mi się na ramieniu? I wciąż robię te szalone spekulacje, raz za razem wracam w przeszłość, zastanawiając się nad sposobami uniknięcia tego wszystkiego. Przez moment nawet zrzuciłem całą winę na Seana, który zdradzał żonę, w efekcie czego odeszła od niego, a ja w tamten dzień pojechałem go pocieszać. Ale to przecież dzięki mnie

oboje się poznali dwadzieścia lat temu. To takie nieskończone koło przemyśleń, co mogłem zrobić inaczej, a wszystko sprowadza się do jednej rzeczy: w ogóle nie powinienem wyjeżdżać z miasta.

– Skąd mogłeś wiedzieć, że stanie się coś takiego? Takich rzeczy nie da się przewidzieć.

Poruszył się i jego twarz znalazła się w zasięgu lampy. Zauważyłam wtedy, że jest mocno opalona. Opalenizna była bardzo ciemna, taka, jaką zwykle mają robotnicy budowlani. Na szyi widziałam wyraźną linię wyznaczoną przez kołnierzyk koszuli – tu kończyła się opalenizna, a zaczynała skóra o naturalnym kolorze, blada, wręcz bezbarwna. Przez chwilę nie potrafiłam tego ogarnąć, ale opalenizna sprawiała, że mimo stresu i braku snu wyglądał młodziej. Później jednak dotarło do mnie, że to przecież dlatego, iż tak wiele czasu spędza na zewnątrz, godzinami przepatrując ulice, szukając Emmy.

– Nie – odparł – ale powinienem tam być. Powiedz mi więc, co mam teraz robić. Mam się zabić? Czy może mam żyć tak dalej przez kolejne pięćdziesiąt lat, nienawidząc się i zazdroszcząc każdemu rodzicowi, którego zobaczę na ulicy z dzieckiem? Wiesz, jakie myśli przychodzą mi do głowy, gdy widzę dziewczynkę w wieku Emmy? Myślę: chciałbym, żeby to ona była na miejscu mojej córki. Nienawidzę się za to. To sprawia, że fizycznie jestem chory, ale nie potrafię sobie z tym poradzić. Naprawdę chciałbym, żeby ta sprawa dotyczyła innego dziecka.

Wzdrygnęłam się, gdy podniósł głos. W brzuchu poczułam dziwny ścisk. Jake, którego znałam, nigdy nie mówiłby w taki sposób. Ale tamten Jake zniknął, a ta okropna transformacja to przecież była moja wina.

– Wyglądasz na przerażoną – powiedział. – I powinnaś być. Dzieci w szkole, dzieci moich znajomych... patrzyłem, jak dorastają. Idę do kościoła, modlę się. I nawet kiedy się modlę, mój umysł zajęty jest tymi

kalkulacjami. Wciąż chciałbym, żeby to było inne dziecko. Nawet dziesięcioro lub dwadzieścioro dzieci, byle tylko nie Emma. Jakim człowiekiem stałem się przez to wszystko?

Patrzył na mnie przez kilka sekund, po czym odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi. Dom był cichy i zimny, z kuchni dochodził słaby odór śmieci. Odsunęłam zasłonę i patrzyłam przez okno, jak odjeżdża. Poczekalam, aż auto zniknie za rogiem, a potem poszłam do pokoju Emmy. Często bawiłyśmy się tam, siedząc w szafie. Udawałyśmy, że jesteśmy w statku kosmicznym. Wspólnie wymyśliłyśmy bardzo obszerny zestaw reguł panujących na statku i zasad kierujących naszą zabawą: jak tylko zamykałyśmy za sobą drzwi, wszystko się zatrzymywało – opierałyśmy się upływowi czasu, nie potrzebowałyśmy już jedzenia i picia, a nawet powietrza. Zamykając oczy, byłyśmy w stanie zobaczyć przyszłość. W ten sposób rozwiązywałyśmy wszelkie zagadki i tajemnice, a dzięki temu stawałyśmy się sławne na całym świecie. Weszłam do szafy i spróbowałam wykonać tę starą sztuczkę. Zamknęłam oczy i skoncentrowałam się, wyobraziłam sobie siebie w przyszłości, gdy siedzę tutaj obok Emmy. W tej przyszłości Emma ma tyle samo lat, co w chwili zniknięcia, i zupełnie się nie zmieniła. Jake również się nie zmienił. W tej przyszłości wszystko jest w najlepszym porządku, jesteśmy normalną rodziną, prowadzącą normalne życie.

ROZDZIAŁ 23

Dzień czterdziesty drugi. Jest już późna noc, a ja siedzę w internecie i odpowiadam na maile, które nadeszły za pośrednictwem strony www.findemma.com. Nagle ktoś puka do drzwi. Przez moment puszczam wodze fantazji i wyobrażam sobie, że to Jake, który chce spędzić ze mną noc. Ale gdy spoglądam przez wizjer, okazuje się, że to tylko Nell.

Otwieram drzwi. Nell jest w szlafroku kąpielowym, ma mokre włosy i pachnie miętą.

– Wiem, że jest już późno – mówi. – Pomyślałam jednak, że może będziesz zainteresowana tym artykułem na temat hipnozy. Wiedziałaś, że wspomnienia odzyskiwane za pomocą hipnozy w niektórych wypadkach są dopuszczalne w sprawach sądowych?

– Kawy bezkofeinowej? – pytam.

Twierdząco kiwa głową.

– Tak, dziękuję.

Gdy wlewam kawę – dla niej czarną, dla siebie z odrobiną likieru Baileys, zwyczaj, którego nabrałam w ostatnich tygodniach – otwiera teczkę i wyciąga kopię artykułu wraz z kilkoma fotografiami. Twarz mężczyzny na pierwszym zdjęciu wydaje mi się znajoma. Poniżej jest twarz dziewczynki. Uśmiecha się, patrząc nieznacznie w prawą stronę aparatu. Włosy ma uczesane tak samo jak ja, gdy w latach siedemdziesiątych byłam mała – równo obcięta grzywka i włosy opuszczone po obu stronach twarzy.

– Ted Bundy – mówi Nell. – Jego skazanie za porwanie i morderstwo Kimberly Leach – palcem pokazuje zdjęcie dziewczynki – opierało się w dużej mierze na zeznaniach złożonych przez jednego tylko świadka, Clarence’a Andersona. Anderson zeznawał pięć miesięcy po porwaniu, ale nie potrafił przypomnieć sobie żadnych istotnych szczegółów. Asystent prokuratora okręgowego poprosił, by poddać Andersona hipnozie. W efekcie zidentyfikował zarówno Bundy’ego, jak i dziewczynkę. Opisał nawet, jak byli ubrani. Jego zeznania okazały się brakującym fragmentem, który wszystkie okoliczności połączył w jedną, spójną całość.

Wyciąga z teczek wizytówkę.

– Nie naciskam – mówi – ale ten dżentelmen jest przyjacielem mojego znajomego. Jego biuro znajduje się w North Beach.

Wizytówka jest biała. Dużymi czerwonymi literami wydrukowano nazwisko „James Rudolph”. Pod nim widnieje jedno słowo „hipnoterapeuta”, poniżej numer telefonu i adres mailowy.

– Jestem w takim stanie, że chcę spróbować wszystkiego – mówię.

– To czemu nie zadzwonisz do niego w tej chwili?

Podnoszę słuchawkę.

– Gdybyś mi kilka miesięcy temu powiedziała, że będę dzwonić do hipnotyzera, nigdy bym ci nie uwierzyła.

Wykręcam numer i ku swojemu zdziwieniu w słuchawce słyszę głos kobiety:

– Słucham.

– Och – mówię – to chyba pomyłka.

– Szuka pani Jimmy’ego? – pyta z charakterystycznym bostońskim akcentem.

– Proszę?

– Rudolpha, Jimmy’ego Rudolpha.

– Tak.

– Chwileczkę.

Słyszę jakieś poruszenie i w końcu odzywa się męski głos:

– Tak?

– Dzwonię w sprawie hipnozy.

– Oczywiście – mówi. – Przepraszam za zamieszanie. Dziś nie ma mnie w biurze i rozmowy są przekazywane. Kiedy chciałaby pani przyjść?

– A kiedy można pana zastać?

– Może jutro? – proponuje. – O trzynastej?

– Zgoda.

– Proszę ubrać się w wygodne rzeczy – mówi i rozmowa się kończy.

– I jak? – pyta Nell.

– Nie jestem pewna.

Wzrusza ramionami.

– Tak czy siak warto spróbować. Nie jest tajemnicą, że trauma może blokować wspomnienia. Hipnoza natomiast ma pomóc w przezwyciężeniu psychicznej bariery i dotarciu do stłumionych obszarów pamięci.

Przeogląda teczkę i wyciąga z niej kolorową fotografię obrazu namalowanego przez Johna Williama Waterhouse’a: dwaj mężczyźni leżący obok siebie, prawie identyczni, różniący się jedynie kolorami. Pierwszy ma rude włosy, bladą skórę, jest jasno oświetlony, drzemie wsparty o ramię drugiego mężczyzny. Ten ma ciemne włosy, oliwkową skórę, jest zacieniony i ubrany w żałobne szaty. Jednemu z nich towarzyszy flet, a drugiemu lira.

– Hypnos – wyjaśnia – grecki bóg snu, pokazany tutaj ze swoim bratem Tanatosem, bogiem śmierci.

Nell ma znacznie więcej do powiedzenia na temat hipnozy – studium

przypadków, sądowe precedensy, wyjątki, dwie modne ostatnio teorie na temat hipnozy.

– Część naukowców twierdzi, że wszystkie życiowe doświadczenia są przechowywane w czymś na kształt banku pamięci, a hipnoza pomaga do nich dotrzeć, część natomiast uważa, że przeszłość jest nieustannie modyfikowana na potrzeby teraźniejszości, a wspomnienia powstają na bazie wielu różnych czynników.

Po raz kolejny podziwiam zdolność Nell do nauki, jej umiejętność przyswajania i przetwarzania ogromnych ilości informacji na temat dowolnego zagadnienia. Mogę jedynie przypuszczać, że ten pęd do wiedzy ma coś wspólnego ze śmiercią jej syna. Być może nieustanne połykanie kolejnych porcji informacji to metoda na wypełnienie powstałej wówczas pustki. Wyobrażam sobie jej żal jako wielką czarną dziurę, która wciąga wiedzę w alarmującym tempie. To taka sama czarna dziura, jaka wypełnia mój umysł i serce w tych długich tygodniach ciągnących się od momentu zniknięcia Emmy. Nell zapełnia swoją dziurę uczeniem się, ja niekończącymi się poszukiwaniami.

Gdy następnego popołudnia wracam do domu, Nell wita mnie w progu.

– I jak było? – pyta.

– Facet jest jakimś znachorem. Posadził mnie w fotelu, który wyglądał jakby cudem wyrwany Armii Zbawienia. Biuro przesiąknięte było dymem cygar, a sesja tak relaksująca jak wycieczka do hipermarketu Home Depot. Gdy już skończyliśmy, próbował sprzedać mi zaproszenie na jakieś seminarium poświęcone hipnozie, które w przyszłym miesiącu będzie prowadził w Tahoe.

– Szkoda – przyznaje. – Wyglądało na coś, czego warto spróbować.

Nie mówię Jake'owi o hipnozie. Psychologia alternatywna zupełnie nie pasuje do jego światopoglądu i wyobrażam sobie, że potraktowałby to jako

absurdalną farsę, daremny trud. Faktem jest jednak, że chwytam się wszystkiego, co niesie z sobą nawet najmniejszą obietnicę. Nie mam innego wyboru.

ROZDZIAŁ 24

Gdy Annabel i ja byłyśmy dziećmi, zaoszczędziłyśmy nasze miesięczne kieszonkowe i wysłałyśmy pieniądze do firmy Nieśmiertelna Zabawka. Po wiadomościach zobaczyłyśmy bowiem reklamę miniaturowych koników morskich po 4,95 dolara za sztukę plus koszty wysyłki. Przez kilka tygodni wysiadywałyśmy na progu z napojami Kool-Aid i talią kart do uno i wypatrywałyśmy ciężarówkę UPS, która miała je przywieźć.

Ale koniki morskie nie przyjechały w ciężarówce UPS. Bezceremonialnie dotarły do nas pocztą, zapakowane w zwykły szary papier. Gdy otwarłyśmy paczkę, byłam bardzo rozczarowana, gdyż okazało się, że to nie koniki morskie, ale słonaczki, zwane małpkami wodnymi, w dodatku te skorupiaki nie były żywe – po prostu blade bryłki zapakowane w celofanową torebkę. Samo akwarium zaś wykonane było z lichego plastiku i miało wymiary dwadzieścia pięć na piętnaście centymetrów. Do paczki dołączono też małą torebkę z kolorowymi kamykami, które umieściłyśmy na dnie akwarium. Annabel i ja wciąż jeszcze miałyśmy nadzieję. Wrzuciłyśmy słonaczki do akwarium i czekałyśmy, aż coś się wydarzy.

W końcu kilka godzin później jedna z bryłek powiększyła się, rozwinęła, po czym zaczęła kręcić się i pływać. Nie zadałyśmy sobie nawet trudu z wymyśleniem imion, ponieważ było jasne, że nie jest to żaden konik morski. Nie była to nawet małpka wodna, tylko jakaś zmutowana krewetka. W ciągu tygodnia wszystkie krewetki były martwe. Matka wylała je wraz

z wodą z akwarium do toalety i powiedziała:

– No cóż, moje dziewczynki. To by było na tyle, jeśli chodzi o nieśmiertelne zabawki.

Dopiero kilka lat później na wycieczce do oceanarium, na którą pojechałam z Ramonem, zobaczyłam prawdziwe koniki morskie.

– *Hippocampus* – przeczytał, wskazując palcem na tabliczkę. – Od greckich słów: „*hippos*”, oznaczające konia, i „*campus*”, oznaczające potwora morskiego.

Patrzyliśmy na dwa koniki, które zmieniały kolory i prezentowały skomplikowany taniec. Tabliczka wyjaśniała również, że większość gatunków konika morskiego jest monogamiczna. Każdego dnia w czasie ciąży samiec i samica wykonują taki taniec powitalny. Potem rozdzielają się na resztę dnia.

– Seksowne – powiedział Ramon.

Stworzonka zmieniały się na naszych oczach, ich kolory pulsowały w rytm wdzięcznych piruetów.

Tablica informacyjna wyjaśniała również, że to samiec, a nie samica, „jest w ciąży”, samiec nosi bowiem zapłodnione jaja w komorze lęgowej znajdującej się na jego brzuchu aż do momentu narodzin młodych. Ramon odwrócił mnie tak, bym patrzyła prosto w jego twarz, i przycisnął mnie do szyby.

– Zrobiłbym dla ciebie to samo – powiedział. – Jeśli tylko wyjdiesz za mnie.

– Zapytaj mnie ponownie za dziesięć lat.

– Wtedy będzie już za późno – powiedział, uwalniając mnie.

Mogę powiedzieć, że był wtedy zły, bo chciał, żeby nasz związek rozwijał się szybciej, by docierał do miejsc, do których wiedziałam, że nigdy nie dotrze. Miałam świadomość, że jest dla mnie za stary i że są w moim

życiu rzeczy, które chciałabym robić bez niego. Nie mogłam wtedy wiedzieć, że spędzimy ze sobą bardzo mało czasu. Nie mogłam wiedzieć, że za niespełna rok on będzie już martwy.

Przeglądam jedną z książek dostarczonych mi przez Nell i mój wzrok przykuwa pewien rysunek – konik morski w kolorze niebieskim i zielonym. Tytuł rozdziału brzmi „Rola hipokampu”. Hipokamp to zakrzywiona część mózgu znajdująca się w płacie skroniowym kory mózgowej, tuż nad uchem. Swą nazwę zawdzięcza temu, że części naukowców przypomina kształtem konika morskiego. Mimo że funkcje hipokampu w większości pozostają wciąż w sferze tajemnic, neurologi są przekonani, że ma on decydujące znaczenie dla przyswajania nowych faktów, przypominania sobie niedawnych wydarzeń i przenoszenia nowych informacji do pamięci długotrwałej. Jeśli hipokamp zostanie uszkodzony, stare wspomnienia pozostają nietknięte, ale nie pojawiają się żadne nowe.

Czuję, jakby mój umysł przedzielała jakaś niewidzialna linia: tworzy się nieprzekraczalna granica między czasem przed zniknięciem Emmy i po tym zdarzeniu. W jednej części mojego mózgu znajdują się wspomnienia z całego życia, kompleksowa sieć emocjonalnych i intelektualnych informacji – wrażenia zmysłowe i zapamiętane głosy, miniprojekcje ważnych i mniej istotnych wydarzeń – wszystko, z czego składa się moja osobista historia. Jest tam Emma i Jake, i Ramon, Annabel, moja matka, dzieciństwo. Wszystko, co muszę zrobić, by ponownie przeżyć jakiś szczęśliwy moment z osobą, którą kocham, to wywołać jedno z milionów znajdujących się tam wspomnień. Nie mogę jednak zrobić nic poza zastanawianiem się, dlaczego moja pamięć z dnia zniknięcia Emmy działa tak źle. Jaki impuls synaptyczny decyduje o tym, które detale należy zachować w pamięci, a które odrzucić?

ROZDZIAŁ 25

W pewien chłodny poranek pod koniec sierpnia Jake i ja jedziemy do Sutro Baths. Na miejscu kręci się tylko kilku turystów. Czuć mdłą woń ryb i drzew cyprysowych rosnących na pobliskim klifie. Żadne z nas nie wspomniało ani słowem o tym, dlaczego tu przyjechaliśmy. Żadne z nas nie ośmieliło się wyrazić naszych obaw, gdy wychodziliśmy z parkingu i kierowaliśmy się ku pogrążonym we mgle szarym ruinom.

Oddział poszukiwawczy zbadał ten teren w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zaginięcia Emmy i nic nie znalazł. Kilka razy traciłam już wszelką nadzieję. Wciąż chodzimy po tych samych śladach, po kilka razy przeszukując te same miejsca.

Stare kąpielisko Sutro Baths znajduje się na końcu półwyspu. Zostało otwarte w roku 1896, a siedemdziesiąt lat później doszczętnie spłonęło. Pomalowany na zielono budynek z ogromnym szklanym dachem o powierzchni ośmiu tysięcy metrów kwadratowych mieścił w sobie pięćset siedemnaście prywatnych przebieralni, sześć zbiorników z blisko ośmioma milionami litrów solanki, a także galerie dla widzów, mieszczące nawet siedem tysięcy ludzi. Teraz pozostały tu tylko betonowe podłogi. Miejsce sprawia wrażenie końca świata, tak jakby na tym małym kawałku plaży dokonała się apokalipsa, pozostawiając resztę miasta zupełnie nietkniętą.

Każdy przyływ całkowicie zalewa ten teren, a potem w ruinach zostają różne przedmioty przyniesione przez ocean i leżą tygodniami, nim zmyją je

kolejne fale. Zaglądając do podziemnych komór, patrząc na ocean przewalający się przez falochron, można odnieść wrażenie, że właśnie wkroczyło się w inną, mroczniejszą epokę. Wielka okrągła konstrukcja, która niegdyś służyła jako zbiornik na słoną wodę pompowaną do basenów, jest obecnie wypełniona odstaną deszczówką i cienką zieloną warstwą szlamu.

– Mój ojciec przychodził tu pływać, gdy był dzieckiem – mówi Jake. – Mam jego zdjęcie, jak stoi na trampolinie w jednym z tych wypożyczonych kostiumów kąpielowych z czarnej wełny, które musieli wkładać wszyscy goście.

Przez lornetkę spoglądam na zimny Pacyfik. Barka przedziera się przez wzburzone fale i kieruje się w stronę zatoki. Ustawione w trzech rzędach kontenery pokrywają wielkie chińskie napisy. Zmieniam ustawienia lornetki i nie wpatruję się już w otwartą przestrzeń oceanu, ale w jedną z komór. Pływają w niej różne rzeczy: puszka po coca-coli, której kolor wyblakł już do różowego, poszarpany kawałek materiału, nasiąknięta wodą książka. Przeszukuję komory, jedną po drugiej, przerażona tym, co mogę w nich zobaczyć. Ci, którzy popełniają najohydniejsze zbrodnie, muszą gdzieś ukrywać dowody – co kilka tygodni pojawia się przecież kolejna wiadomość o zwłokach znalezionych w wąwozie, pojemniku na śmieci czy opuszczonym budynku. Nie chcę myśleć o milionach miejsc, w których można ukryć ciało małej dziewczynki, ale to nie jest możliwe. Nie wolno nie brać pod uwagę najbardziej przerażających hipotez.

Jake stoi plecami do mnie. I choć nic nie mówi, jestem pewna, że się modli. Od dnia, w którym byliśmy razem na mszy, nie naciska mnie, bym ponownie poszła do kościoła, ale wiem, że sam chodzi co tydzień, a czasami także spotyka się z księdzem. Jestem zła, że wylewa swój żal przed obcą osobą, a mnie zwierza się tak rzadko, tym bardziej że grupę wsparcia uznał za stratę czasu. Tego ranka byłam zdziwiona, gdy zadzwonił i zapytał, czy

wybrałabym się z nim do Sutro Baths. Byłam mu wdzięczna, że zwrócił się do mnie, że spróbował, na swój sposób, odnowić nasz związek.

Po raz ostatni uważnie przyglądam się ruinom.

– Nic – mówię, z ulgą wypuszczając powietrze.

Ciało Jake’a rozluźnia się jak puszczone sznurek latawca.

Stromą ścieżką schodzimy w dół, wzdłuż dawnych basenów. Na jej końcu znajduje się ciemny tunel wykuty w skale, w którym temperatura drastycznie spada. Głos odbija się echem, słychać też krople wody kapiące ze ścian i wpadające do płytkich zbiorników znajdujących się poniżej. Z drugiego końca przebija słabe światło. Jake robi coś, czego nie robił od wielu tygodni: łapie mnie za rękę. Wychodzimy z drugiej strony tunelu. Skały pod naszymi stopami są śliskie, a pomiędzy nimi sączy się woda. W oddali cypel Marin Headlands wcina się w głąb oceanu, jego ostre krawędzie chowają się we mgle.

– Pamiętasz, jak przyszedliśmy tutaj razem z Emmą? – pyta Jake.

– Tak.

– Była w siódmym niebie, gdy odkrywaliśmy zakamarki starego fortu – mówi, brzęcząc kluczami, które trzyma w kieszeni. – Pamiętasz, jak chciała wrócić do samochodu po swoje wszystkie lalki, żeby usadzić je na armacie i zrobić im zdjęcie?

Głos uwiązał mu w gardle. Obejmuje mnie i trzyma w ramionach. Może gdyby Emma zginęła, gdybyśmy wiedzieli, że tak się stało, wzięli udział w pogrzebie, to może potrafilibyśmy unieść ciężar tych wspomnień. Może moglibyśmy powtarzać sobie to, co mówiła, z najdrobniejszymi szczegółami wspominać nasze wspólne wyjścia. Może potrafilibyśmy znaleźć jakiś język, w którym moglibyśmy o niej rozmawiać. Ale brak wiedzy o tym, gdzie ona jest – czy cierpi, czy jest sama, czy jest przestraszona – sprawia, że to niemożliwe. Przy każdym radosnym wspomnieniu wywołanym z pamięci

pojawiają się inne, mroczniejsze obrazy, które układają się w bardzo wyraźne tło.

Wiatr zwiewa włosy Jake'a na twarz, rzuca na jego sweter krople morskiej wody. Stoimy przez chwilę w milczeniu, trzęsąc się z zimna i wpatrując w lodowatą wodę.

Z tego miejsca widzimy przypominających mrówki surferów skaczących na falach. Czytałam gdzieś, że fala denna może pokonać tysiące kilometrów, zanim dotrze do brzegu. Surferzy wyglądają na bardzo zrelaksowanych, prawda jednak jest taka, że ich ciała muszą być nieustannie skoncentrowane na tym, co dzieje się na powierzchni wody i pod nią. Dzięki jakiejś magicznej sztuczce, instynktowi lub przewidywaniu muszą wyczuć dokładny moment, kiedy fala biegnąca po dnie załamie się w pasie przybrzeżnym i stworzy falę na powierzchni wody. Wygląda to na jakieś boskie przeznaczenie, że i fala, i surfer muszą się spotkać.

ROZDZIAŁ 26

Holga została skonstruowana w Hongkongu w roku 1982. Jej nazwa wywodzi się od wyrażenia „*ho gwong*”, co znaczy „bardzo jasny”. Aparat jest prawie w całości wykonany z plastiku, a jego części niezbyt dokładnie pasują do siebie. W efekcie światło flesza przebija się przez łączenia, powodując smugi i przesadne naświetlenie zdjęć. Oglądanie fotografii zrobionych holgą zawsze jest nieco dezorientujące, tak jakby wchodziło się do czyjegoś snu.

Czwarte zdjęcie na kliszy jest podwójnie naświetlone i składa się z dwóch osobnych zdjęć nałożonych jedno na drugie: Emma spacerująca z dala ode mnie i martwa foka sfotografowana z odległości kilku metrów. W efekcie Emma wygląda tak, jakby unosiła się kilkanaście centymetrów nad foką. Pomiędzy jej małymi stopami i zwierzęciem jest smuga jasnego światła.

Zastanawiam się, jak to zdjęcie odbierze ktoś, kto zobaczy je po kilku latach. Nieświadomy podwójnego naświetlenia obserwator może uznać, że te dwie postaci – dziecko i foka – w jednym momencie znalazły się w widocznych na zdjęciu pozycjach. Być może po latach ludzie będą sobie wyobrażać, że Emma przeskakiwała nad foką, co wyjaśniałoby przestrzeń pomiędzy stopami dziewczynki a ciałem zwierzęcia. A na pewno nie podejrzewaliby, że tylko kilka sekund dzieli to dziecko od spotkania z porywaczem.

Gdy oglądamy jedno zdjęcie – wyjęte z kontekstu, nieumieszczone

w konkretnym czasie – automatycznie tworzymy pasującą do obrazu historię nadającą sens przedmiotowi naszych oględzin. Jesteśmy podglądaczami, którzy wchodzą w jednostronny związek z osobą przedstawioną na zdjęciu. My widzimy, ona jest obserwowana. Obserwatorzy z założenia mają przewagę.

ROZDZIAŁ 27

22 września. Dwa miesiące od dnia, w którym zniknęła Emma.

Dzięki staremu znajomemu z college'u, który pracuje teraz w NBC, Jake załatwił sobie wejście do programu *Today* prowadzonego przez Katie Couric. Wczoraj poleciał do Nowego Jorku nocnym samolotem. W telewizji wygląda nieco inaczej, choć nie potrafię powiedzieć dlaczego. Gdy opowiada Katie szczegóły zniknięcia Emmy i opisuje jej cechy charakterystyczne – mała blizna na lewym przedramieniu, pieprzyk po prawej stronie nosa – zdaje sobie sprawę z tego, że ma zrobiony makijaż. Trochę podkładu, trochę pudru pod oczami. Kolejna transformacja, po której stopniowo staje się coraz mniej rozpoznawalny.

NBC emituje domowy film wideo, na którym Emma jedzie po chodniku na rolkach, a przejeżdżając obok kamery, macha. Po filmie Katie Couric ma mokre oczy i zapowiada przerwę reklamową.

– Szukamy matki Emmy – mówi w pewnym momencie Jake. Patrzy prosto w kamerę. – Lisbeth, jeśli oglądasz teraz ten program, proszę, skontaktuj się ze mną.

W jego sposobie mówienia czai się dziwna intymność, mimo że audycja oglądana jest przez miliony widzów. Słuchając go, myślę, że łapie się każdej możliwości. Gdyby Lisbeth chciała być odnaleziona, z pewnością już dawno wykonałaby jakiś ruch. Na ekranie przewijają się fotografie. Zbliżenie twarzy Lisbeth, to samo zdjęcie, które Jake wręczył Sherburne'owi na samym

początku śledztwa.

– Jedno z niewielu, które zachowałem – powiedział mi wtedy. – Wyrzuciłbym wszystkie, ale pomyślałem, że kiedyś Emma może chcieć zobaczyć, jak wyglądała jej matka.

Na zdjęciu Lisbeth ma długie ciemne włosy i chudą twarz. Uśmiecha się, ale niezbyt przekonująco. Zdjęcie zostało nieco obcięte na potrzeby telewizji. Pamiętam oryginał i wiem, co na nim jeszcze było – Emma jako niemowlę leżące w wózku. Gdy po raz pierwszy widziałam fotografię, zastanowiło mnie, że Lisbeth nie patrzy na Emmę ani nawet jej nie dotyka. Zdjęcie zostało zrobione na zewnątrz w mglisty dzień, dlatego matkę i córkę oddziela cienka biała linia.

Nigdy nie mówiłam Jake’owi, że darzyłam sympatią tę kobietę z fotografii. Pod oczami miała ciemne worki i białe plamki w miejscach, gdzie jej piersi dotykały koszulki. Oczywiście było dla mnie, że wciąż cierpiała po trwającym dwadzieścia trzy godziny porodzie i pobycie w szpitalu – to ból, jakiego nie potrafię sobie wyobrazić.

W południe Jake dzwoni do mnie z lotniska LaGuardia i mówi, że wraca najbliższym samolotem.

– Może potrzebowaliśmy takiej przerwy – mówi. Jego ton jest dość optymistyczny.

W ciągu dnia na www.findemma.com są setki wejść. Strona staje się sławna. Następnego dnia jemy pizzę w Sausage Factory nieopodal posterunku policji. Jake opowiada o wszystkim, co będziemy robić, gdy Emma wróci do domu: odwiedzimy Disneyland, zorganizujemy wycieczkę na Alaskę. Nie przypominam mu, że zaledwie kilka dni temu wierzył, że Emma utonęła. Zwykle był najbardziej zrównoważoną osobą, jaką znałam, nigdy nie ulegał gwałtownym wahaniom nastrojów ani nie zmieniał zdania. Teraz jego perspektywa zmieniała się z dnia na dzień i nigdy nie wiedziałam,

w jakim będzie nastroju, gdy się spotkamy.

Dwa razy w trakcie posiłku upuszcza widelec na podłogę i ma pełno okruszków na koszuli, a przecież zawsze dbał o maniery przy stole.

– Wszystko w porządku? – pytam.

– Dość długo nie spałem. Może od tygodnia. W ubiegły weekend posprzątałem garaż. Wyobrażasz to sobie? Garaż, tak jakby miało to jakieś znaczenie! Ale tak długo zajmowałem się tym wszystkim, tyle razy przeszukiwałem każdy zakamarek miasta, rozmawiałem, z kim tylko się dało. Nie mogłem spać i złapałem się na tym, że chodzę w pobliżu drzwi pokoju Emmy, ale nie potrafię tam wejść. Musiałem znaleźć sobie jakieś zajęcie w środku nocy. Dlatego posprzątałem garaż.

Wiem, co to znaczy wypełniać na siłę czas. David ze Stowarzyszenia Rodziców Zaginionych Dzieci przekonał mnie, że powinnam wrócić do pracy.

– Nie musisz pracować na pełnych obrotach – powiedział. – Po prostu idź tam na chwilę, zamocz stopy i tak do momentu, aż będziesz gotowa zanurzyć się bez reszty.

Mówił, że to pierwszy etap sklejanego rozsypanego życia.

– Jak mogę odbudować swoje życie, skoro brakuje tak ważnego elementu? – zapytałam.

– Jeśli nie potrafisz zrobić tego dla siebie, zrób to dla Jake’a – odparł. – Praca cię uspokoi. Uwierz mi. Po zniknięciu Jonathana tylko praca trzymała mnie przy życiu.

Pomyślałam, że może mieć rację. A nawet jeśli nie, to i tak przyjąłabym już zbyt dużo pieniędzy od Annabel. Dlatego w ubiegłym tygodniu, wprawdzie niechętnie, ale oddzwoniłam do jednego z klientów. Postanowiłam zacząć od czegoś łatwego, bezpiecznego – nie od ślubu czy zdjęć z dziecięcych urodzin, tylko od otwarcia restauracji.

Po lunchu odwiedzam swój ulubiony sklep fotograficzny, Adolph Gasser. Wygląda dokładnie tak samo – sterta lamp błyskowych na półkach, drogi sprzęt zamknięty w szklanych gablotach, trochę książek i stojące na środku małe drukarki do zdjęć. Jediną różnicą jest zdjęcie Emmy na wystawie. Ulotka wciąż jest przyklejona do budek telefonicznych i okien sklepowych w całym mieście, a ja obawiam się, że ludzie przechodzący obok już nawet jej nie zauważają, dla nich jest to jedynie zdjęcie dziewczynki, która zaginęła kilka miesięcy temu – smutna historia, ale w żaden sposób niezwiązana z ich życiem.

Marly stoi za wysoką drewnianą ladą, dokładnie tak samo jak w dniu, w którym zniknęła Emma. Ma dwadzieścia dziewięć lat, jest wysoką, wytatuowaną studentką California College of the Arts. Przychodzę tu od sześciu lat i za ladą pracowało już wielu uczących się fotografów.

Znajduję klisze, baterie i papier fotograficzny, zabieram wszystko do lady i wręczam Marly kartę kredytową.

– Tęskniliśmy za tobą – mówi. – Przykro mi z powodu Emmy.

– Dziękuję.

Pakuje moje zakupy, a ja czuję się obco, trzymając w rękach papierową torbę, tak jakby była rekwizytem zabawy, która już dawno się skończyła.

W drodze na przystanek kolejki miejskiej mijam rząd telewizorów ustawionych na wystawie sklepowej. Wszystkie są nastawione na ten sam kanał. Na ekranach pokazuje się twarz Emmy. Czarne włosy Emmy, jej dołeczki w policzkach, nierówna grzywka – wszystko zwielokrotnione. Później pojawia się szeryf, staje za pulpitem i mówi coś do mikrofonu, przed nim zgromadził się tłum dziennikarzy. Czuję ścisk w gardle. Najczarniejsze scenariusze przebiegają mi przed oczyma: znaleziono Emmę, Emma nie żyje.

Na przystanku tuż za mną z piskiem zatrzymuje się autobus. Tłum przewala się obok mnie. Ktoś trąca mnie łokciem w plecy. Matka i córka

zatrzymują się przy oknie. Dziewczyna ma około czternastu lat, ubrana jest w ciasne dzinsy i bluzkę odsłaniającą brzuch.

– Jakież wieści na temat tej małej? – pyta.

– Nie wiem.

– Wstyd – mówi matka. – Setki dzieci umierają codziennie na Bliskim Wschodzie, a tutaj wszyscy koncentrują się na jednej dziewczynce. Tylko dlatego, że jest biała, ładna i że to Amerykanka. – Potrząsa głową z dezaprobatą, ciągnie córkę za ramię i odchodzą. Oddalają się, a w ich dłoniach kołyszą się siatki z zakupami.

Wchodzę do sklepu i podglądniam jeden z telewizorów. Szeryf jest w Morro Bay, mniej więcej cztery godziny stąd na południe. Za nim widać rząd mężczyzn z garniturach i mundurach policyjnych, a każdy z nich próbuje stanąć tak, by dostać się w oko kamery. Mężczyzna o czerwonej twarzy, z pojedynczymi kępkami włosów zaczesanymi na łysinie, wychodzi do przodu pod pretekstem dostrojenia mikrofonu, wiadomo jednak, że chce tylko zostać zauważony.

– Mamy nowe informacje w sprawie Emmy Balfour – ogłasza szeryf.

Moja pierwsza reakcja to szok, po którym następuje panika – serce wali jak oszalałe, czuję wielki ciężar w głowie, potem rodzi się nadzieja, a to wszystko w ciągu jednej sekundy, w czasie gdy czekam na to, co powie szeryf.

– Dziś w południe na posterunku zjawiała się kobieta, twierdząc, że nazywa się Lisbeth Balfour i jest matką zaginionej dziewczynki. Jej tożsamość została potwierdzona. Zgodziła się krótko porozmawiać z dziennikarzami, potem ja odpowiem na pytania.

Kilka sekund zajmuje mi przyswojenie sobie tej informacji. Po chwilowej euforii przychodzi zwątpienie. Dlaczego teraz? Dlaczego po tak długim czasie Lisbeth wybiera właśnie ten moment, by zaprezentować się światu?

Szeryf odchodzi od pulpitu. Mężczyźni w garniturach odsuwają się, robiąc miejsce kobiecie. Nie jest taka, jak ją sobie wyobrażałam. Wygląda zupełnie inaczej niż na fotografii sprzed prawie siedmiu lat. Na podstawie opisu Jake'a spodziewałam się kobiety z podkrążonymi oczami, zmęczonymi nałogiem heroinowym, mówiącej bełkotliwie, z potarganymi włosami i bruzdami, jakie na jej twarzy zostawił nietrafiony wybór kolejnego chłopaka. Ale jest zupełnie inna: średniego wzrostu, nieco pulchna, ciemne włosy są elegancko ułożone, a ubrana jest w skromną granatową sukienkę.

– Nazywam się Lisbeth Dalton – mówi powoli. – Pisze się „L-I-S-B-E-T-H”.

Przerywa na chwilę i uśmiecha się. Usta ma pomalowane czerwoną szminką, w uszach perłowe kolczyki, a na szyi sznur koralików, które nie pasują ani do kolczyków, ani do sukienki. Jest atrakcyjna w stylu gospodyni domowej z przedmieścia. Ma mały nos – nos Emmy – i brązową opaleniznę. Staram się wyobrazić ją sobie razem z Jakiem. Co on w niej widział? Co mogli mieć ze sobą wspólnego?

– Jestem matką Emmy – mówi. – Dopiero teraz dowiedziałam się o tej strasznej tragedii, gdy wczoraj w telewizji zobaczyłam swojego męża, przepraszam: swojego byłego męża, w programie *Today*.

Wiem, że kłamie. Nie ma sposobu, by mieszkając w Morro Bay, nie usłyszeć ani razu o zaginięciu Emmy. Wiadomość pojawiała się w każdym programie informacyjnym.

Lisbeth wyciąga dłoń i dotyka kolczyka. Nagle zdaję sobie sprawę, że mam takie same – Jake dał mi je na upamiętnienie sześciu miesięcy od naszej pierwszej randki. To był uroczy gest, chociaż prawie wcale ich nie noszę – to rodzaj biżuterii, jaką lubiła moja matka, symbol kobiecej przyzwoitości. Mam wrażenie, że kolczyki Lisbeth również były prezentem od Jake'a. Łapię się na tym, że rozmyślam, jakie inne prezenty mógł dać nam obu.

Lisbeth uśmiecha się, pokazując dołeczki w policzkach, i nagle podobieństwo między nią i Emmą jest bardzo wyraźne.

– Chciałam w tym miejscu powiedzieć, żeby porywacz, kimkolwiek jest, oddał ją. I Emmo, jeśli mnie słyszysz, kocham cię, skarbie. Modlę się za ciebie. Wszyscy pragniemy, byś wróciła do domu.

I to mówi kobieta, która pięć miesięcy po urodzeniu Emmy wybrała się sama na miesięczne wakacje do Cancún. Kobieta, która trzy lata temu odeszła od Jake'a i Emmy i nawet nie zadawała sobie trudu, by zadzwonić.

– Utrzymywała pani kontakt z córką? – pyta jeden z dziennikarzy.

– Tak – kłamie Lisbeth.

– Gdyby mogła pani porozmawiać z narzeczoną Jake'a, Abigail Mason, co by pani jej powiedziała?

Ponownie dotyka kolczyka i patrzy prosto w kamerę.

– To, co się stało, łamie mi serce. Rozdziera mnie. Ale chcę, żeby wiedziała, że jej wybaczam.

– Biorąc pod uwagę to, co się stało, czy nie żałuje pani, że Emma nie trafiła pod pani opiekę? – pyta kolejny dziennikarz.

– Oczywiście, ale skąd mogłam wiedzieć, że tak będzie. Nie zmienimy tego, co się już stało. Teraz musimy radzić sobie z tym problemem. Musimy po prostu odnaleźć moje dziecko.

W słowach Lisbeth nie słychać ani cienia smutku czy desperacji. Każde wydaje się wypowiedziane z rozmysłem, wręcz z premedytacją.

– Jeśli dziewczynka się odnajdzie – pyta kolejny dziennikarz – będzie się pani starała o prawa rodzicielskie?

– To bardzo możliwe. W końcu jestem jej matką. Jej ojciec i ja różniliśmy się w przeszłości, ale teraz nadszedł czas, by zapomnieć o urazach i znaleźć naszą małą córeczkę.

Naszą małą córeczkę? Czuję przyływ złości napędzanej czymś, czego się po sobie nie spodziewałam.

Dzwonię do Jake'a z komórki, ale nie odbiera. Przepycham się przez zatłoczony Union Square wściekła, że nie mogę bez problemów dotrzeć do domu.

Ponownie staram się złapać Jake'a w sztabie. Tym razem odbiera Brian. W tle słyszę telewizor, dzwoniące telefony i mnóstwo głosów zlewających się w jedną całość.

– Widziałeś konferencję prasową? – pytam, gdy Jake podchodzi do telefonu.

– Tak. Jestem wstrząśnięty.

– Jak myślisz, o co jej chodzi?

– Trudno powiedzieć. Dziś po południu Sherburne ma ją przesłuchać. Zgodziła się też na badanie wykrywaczem kłamstw. – Jego głos jest zachrypnięty i zmęczony. – Po prostu mam nadzieję...

– Wiem.

Przez cały czas Jake trzymał się nadziei, że być może Emma jest razem z matką, a ja pozwalałam sobie również cieszyć się tą myślą. Znaczyłoby to przynajmniej, że Emma jest stosunkowo bezpieczna, że żyje. Ale gdyby Lisbeth była w to zamieszana, na pewno nie zwoływałyby konferencji prasowej. Dlatego odbieramy to jako wielką porażkę. Kolejna ślepa uliczka. Kolejna fałszywa nadzieja. Obszar poszukiwań znów się zwiększa.

– Zaraz do ciebie przyjadę – mówię.

– Jadę jeszcze do stacji KQED zrobić mały skrót rozmowy z Couric. Spotkajmy się później u mnie.

Rozmowa się kończy. Większość naszych rozmów w tych dniach wygląda tak samo. Nigdy nie mówimy sobie wystarczająco dużo.

Przyjeżdżam do Jake'a około dziewiętnastej. Nie spodziewałam się, że na podjeździe będzie stał czerwony kabriolet. Próbuję wejść frontowymi drzwiami, ale są zamknięte, a ja nie czuję się teraz uprawniona do użycia swoich kluczy. Pukam. Bez odpowiedzi. Dzwonię. Jake otwiera drzwi i od razu wiem, że coś jest nie tak, gdyż nie całuje mnie w usta. Mimo wszystko to wciąż było naszym zwyczajem, jedyną rzeczą, na którą zawsze mogłam liczyć: że powita mnie delikatnym pocałunkiem.

– Masz towarzystwo? – pytam.

Twierdząco kiwa głową i odsuwa się, by mnie wpuścić do środka.

– Lisbeth jest tutaj.

Nie mam czasu, by się przygotować, by ukryć zaskoczenie. Lisbeth siedzi na kanapie w salonie, filiżanka kawy balansuje na jej kolanach.

– Cześć – mówi, uśmiechając się.

– Abby – odpowiadam.

– Aha. – Lisbeth mierzy mnie wzrokiem od stóp do głów. – Narzeczona.

Chcę ją zapytać, jak śmie przychodzić tutaj, jakby nic się stało, jakby była częścią rodziny, jakby trzy ostatnie lata nigdy się nie wydarzyły. Zamiast tego mówię tylko:

– Widziałam cię w telewizji.

– Naprawdę? Byłam taka zdenerwowana. Nie jestem zbyt dobra przed kamerami.

Jake wskazuje ręką fotel stojący przy oknie.

– Siadaj – mówi serdecznie, jakbym była sąsiadką, która wpadła na chwilkę. – Kawy?

– Jasne.

– Zaparzę świeżą – oznajmia i znika w kuchni.

Lisbeth ma na sobie tę samą granatową sukienkę, w której wystąpiła na

konferencji prasowej, ale tym razem rozpięła dwa górne guziki.

– Co cię tu sprowadza? – pytam. W tym momencie wydaje mi się to jedynym sensownym pytaniem. W końcu pojawiła się tutaj ni z gruszki, ni z pietruszki.

Upija nieco kawy.

– Proszę?

– Czego chcesz od niego?

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Odeszłaś od niego. Co gorsza, odeszłaś od Emmy. Od tamtego czasu prawie wcale się nie odzywałaś. A teraz nagle pojawiaasz się przed kamerami jako załamana matka.

Stawia filiżankę na skraju stołu i zakłada nogę na nogę. Sukienka odsłania jej łydki, ukazując duże owalne znamię pod kolaniem.

– Myślisz, że nie mam uczuć? Myślisz, że nie kocham tej dziewczynki?

Jej oczy są zielone, śliczne – oczy Emmy. Nachyla się, podciąga rękawy i wyciąga ręce. Jej skóra jest w złym stanie, niczym mapa drogowa z miejscami po nakłuciach i zniszczonymi żyłami. Instynktownie odwracam wzrok.

– Żadna matka, która choć trochę martwi się o dziecko, nie postąpiłaby inaczej – mówi, opuszczając rękawy. – Gdybyś była uzależniona, wiedziałabyś o tym. Nie można tak wychowywać dziecka.

Część mnie chciałaby jej wierzyć, ale ten impuls trwa tylko moment. Dlaczego nie mogę czuć do niej takiej samej sympatii, jaką czuję za każdym razem, gdy widzę proszących o datki żebraków w dzielnicy Tenderloin? Dlaczego czuję złość, wstręt, gdy na nią patrzę? Nie potrafię zachować spokojnego tonu.

– Nigdy nawet nie zadzwoniłaś, by zapytać, co u niej słyhać. Nawet nie przysłałaś kartki na jej urodziny.

– Moje życie było gówniane – mówi. – Najpierw musiałam sama się jakoś pozbierać.

– Ale musiałaś wiedzieć, że zaginęła. Jak mogłaś do tej pory o tym nie słyszeć?

– Nie oglądam telewizji – odpowiada. – Nie śledzę wiadomości. Mój przyjaciel powiedział mi co nieco o programie *Today*.

– Jasne.

Jake wraca z kuchni i wręcza mi filiżankę kawy. W dawnych czasach, gdy bylibyśmy w stanie znaleźć w sobie chęć do żartów, z pewnością zrobiłabym uwagę, że jest fatalnym gospodarzem, ponieważ zostawił nas tutaj bez swojego towarzystwa. Tym razem jednak nie było w tym nic śmiesznego, nie dało się uratować tej imprezy.

– Jake opowiadał mi, jak toczy się śledztwo – mówi Lisbeth spokojnym głosem, tak jakby nasza sprzeczka nigdy się nie zdarzyła.

Jake siada na kanapie obok niej. Wyglądają jak para, a mnie znów dopadają koszmary z przeszłości – rodzinny portret, z którym nigdy dotąd nie miałam do czynienia. Nie ma żadnych zdjęć Lisbeth w domu, żadnych wspólnych zdjęć Jake’a, Lisbeth i Emmy. Jake bardzo rzadko o niej mówił. Odkąd go znam, to zawsze byli Jake i Emma, szczęśliwi, ale jakby niekompletni. Zawsze miałam wrażenie, że czegoś tej małej rodzinie brakuje, ale nigdy nie myślałam o tym jako o czymś z ich przeszłości. Zamiast tego widziałam wolną przestrzeń, a ja byłam właściwą osobą, by ją wypełnić. Podobała mi się wizja wejścia do ich rodziny i uzupełnienia rodzinnego zdjęcia. Teraz, gdy obserwuję Jake’a i Lisbeth razem, widzę coś naturalnego w tej parze, coś, co ma sens. Mimo że nie widzieli się od tylu lat, z łatwością nawiązują kontakt – to, jak on opiera się na kanapie, siedząc obok niej, to, jak ona sięga po sukienkę, którą on przypadkiem jej przysiadł.

Jake zamyka oczy. Jest zmęczony, kompletnie pozbawiony siły. Chcę

podejść do niego i przytulić go mocno, złożyć jego głowę na swoich kolanach i czesać dłonią jego włosy, tak jak zwykłam to robić, gdy miał zły dzień w pracy. Chcę odzyskać te dobre rzeczy, które razem dzieliliśmy. Ale Lisbeth chwyta jego dłoń. I nie mieści mi się to w głowie: Jake odpowiada uściskiem.

Później, gdy już wyszła, nie mogę powstrzymać się przed zadaniem najbardziej oczywistego pytania:

– I co, nagle Lisbeth zainteresowała się Emmą?

Znów to czuję, ten zaborczy impuls przeszywający moje ciało. Wiem, że Emma nie jest moją córką, ale miłość, jaką do niej czuję, nie jest uczuciem małym i nieznaczącym, nie zważa na pokrewieństwo i stopień zażyłości naszego związku. W tej miłości nie ma miejsca na macochę i pasierbicę, nie ma nic takiego, co mogłoby zniknąć w chwili przybycia jej prawdziwej matki. Gdy Jake i ja zdecydowaliśmy, że się pobieramy, to on podjął temat adopcji. „Nie od razu – powiedział. – To coś, o czym możemy pomyśleć w przyszłości”. Byłam zaskoczona, a później uradowana taką możliwością i stałam w ciszy, próbując wyraźnie wypalić ten moment w pamięci. Teraz nie wiem, jak przetworzyć tę nową informację o pojawieniu się Lisbeth.

– Naprawdę się martwi – mówi Jake. – Nie udaje.

– Daj spokój, Jake. Pomyśl, musiała wiedzieć o zaginięciu Emmy od samego początku, skoro mieszka w Morro Bay. Niby dlaczego czekała, aż miną dwa miesiące od zniknięcia? To chyba oczywiste, nieprawda? Pokazała się w telewizji, bo nie miała innego wyjścia. Jej zdjęcie pojawiło się ogólnokrajowej stacji. Wiedziała, że ktoś ją rozpozna. To nagłe pojawienie się nie ma nic wspólnego z Emmą, tu chodzi tylko o nią, o Lisbeth. Sam mówiłeś, że nie myśli o nikim oprócz siebie.

– Nie wybaczam jej tego, co zrobiła, Abby. Nigdy nie udawałem, że rozumiem, dlaczego Lisbeth robi to, co robi. Szczerze mówiąc, myślę, że ona

żyje na innej planecie. Ona... – Urywa w połowie zdania i odwraca wzrok.

– Co ona?

– Miała czelność zapytać, czy będziemy mieli szansę.

– Jaką szansę? Co masz na myśli?

– Ja i ona, jeśli, kiedy, Emma wróci. Chciała wiedzieć, czy spróbujemy jeszcze raz, czy spróbujemy stworzyć rodzinę.

Staram się nie poddawać wrażeniu, że podłoga ucieka mi spod stóp. To coś nieprawdopodobnego, wstrząs niczym podczas trzęsienia ziemi. Ogarnia mnie uczucie niepewności, świadomość, że jestem zależna wyłącznie od sił, na które nie mam wpływu.

– To nienormalne – mówię.

Zagryza dolną wargę, gest, który zabiera mnie do momentu, w którym po raz pierwszy go spotkałam na wykładzie w jego szkole.

Tak.

Ale nie mam wątpliwości, że jest w nim malutka cząstka, która w żaden sposób nie myśli o tym jako o szalonym pomysle. To cały Jake: wybaczają do bólu. Próbował nawet, jestem pewna, że próbował, wybaczyć także mnie.

ROZDZIAŁ 28

Następnego dnia w drodze na otwarcie restauracji zaczynam się martwić, że sobie nie poradzę. Szczególnie teraz, z obrazem Lisbeth wyrytym w umyśle, z jej słowami przelatującymi nieustannie przez moją głowę: „W końcu jestem jej matką”.

Kiedy dojeżdżam na miejsce, w restauracji jest już pełno ludzi. Bardzo często w swojej pracy zastanawiam się, w jak dużym stopniu San Francisco składa się z młodych i pięknych, bogatych i beztroskich, idealnie uczesanych i modnie ubranych. Gdy na początku lat dziewięćdziesiątych przeprowadziłam się tutaj, miasto wciąż było trochę brudne, zmęczone. Wciąż jeszcze miejscami można poczuć klimat przyczółka wysuniętego daleko na zachód, gdzie artyści i pisarze wynajmują obskurne mieszkania, po dwóch w jednym, i prowadzą życie towarzyskie w knajpach Mission i Lower Haight. Szczerze mówiąc, wtedy bardziej mi się tu podobało, zanim jeszcze każdy bar miał długą kartę win, a każdy dwudziestokilkulatek był graczem giełdowym.

Pamiętam te wielkie pomysły, z którymi zaczynałam swoją pracę z ludźmi. Planowałam robić szczerze, surowe zdjęcia nielegalnych imigrantów i wielkomiejskiej biedoty, podstarzałych prostytutek i samotnych matek pracujących za minimalną pensję. Po zdobyciu specjalizacji z fotografii dokumentalnej na Uniwersytecie Tennessee przeniosłam się do San Francisco i w centrum dzielnicy Mission wynajęłam kawalerkę ze

zdezelowaną instalacją wodno-kanalizacyjną i farbą odchodzącą ze ścian. Łazienkę zamieniłam w ciemnię, zatrudniłam się jako kelnerka, a każdą wolną chwilę spędzałam, chodząc po mieście z aparatem fotograficznym w ręku. Myślałam, że moje zdjęcia zarejestrują różnice, że pomogą ludziom zobaczyć siebie nawzajem. Gdyby wówczas ktoś mi powiedział, że skończę jako fotograf imprez z okazji otwarcia restauracji lub firmowych przyjęć bożonarodzeniowych, wyśmiałabym go. Bardzo szybko zdałam sobie jednak sprawę z tego, że zdjęcia, jakie chcę robić, nie zapewnią mi utrzymania.

Kilka pierwszych ujęć jest w zasadzie beznadziejnych, ale w końcu wchodzę w rytm. Jestem czymś więcej niż tylko maszyną, wybieram właściwe sceny, ustawiam obiektyw, sprawdzam światło i naciskam przycisk. Po pracy wracam do domu, zastanawiając się, czy Emma kiedykolwiek mi to wybaczy: czy wybaczy mi, że zajmuję się czymś tak przyziemnym jak robienie zdjęć na przyjęciu, gdy jej wciąż nie ma.

ROZDZIAŁ 29

Dzień siedemdziesiąty. Jasne słońce i dzikie, rozbijające się fale. Autostrada została zamknięta z powodu kontroli poziomu erozji. Piasek rozsypuje się na wszystkich czterech pasach, a światła mrugają na czerwono. Jake kiedyś powiedział mi, że gdy był dzieckiem, Great Highway była zwykłą długą, prostą drogą wzdłuż oceanu, na której nastolatki urządzali wyścigi. Teraz, gdy piach leży na niej wielkimi płachtami, sprawia wrażenie opuszczonej. Wielkie amerykańskie miasto w piątkowe popołudnie, a na jego zachodnim brzegu ta piaszczysta droga, ta ziemia niczyja.

Zatrzymuję się na wysokości Sutro Heights Park i wspinam na murek, który jest jedną z niewielu pozostałości po starym, wielkim Sutro House. Stąd mam idealny widok na Ocean Beach. Nic już nie jest takie jak w dniu zniknięcia Emmy. Wtedy wokół wisiała mgła tak gęsta, że prawie nic nie było widać. Dzisiaj mogę bez problemu dojrzeć całą plażę, która ciągnie się pięć kilometrów na południe, aż do Daly City. Większość kraju przygotowuje się do jesieni, a San Francisco dopiero się rozgrzewa. Wrzesień i październik to nasze prawdziwe lato. W oddali wzdłuż plaży w górę i w dół śmigają czarne punkciki – to kombinezony. Gdy przeprowadziłam się do San Francisco, spotkałam człowieka, który surfował. Czasami zabierałam się z nim samochodem do Pacifica lub Bolinas, gdzie fale są spokojniejsze i początkujący mają lepsze warunki do nauki, albo czasami kupowaliśmy kanapki w Joe's Deli i zabieraliśmy je na Ocean Beach, gdzie siadaliśmy na

kocu i obserwowaliśmy doświadczonych surferów zmagających się z wielkimi falami na Kelly's Cove. Mój przyjaciel nie mógł wyjść z podziwu.

„Niewiarygodne – mawiał, obserwując jakiegoś weterana zwinnie pokonującego fale. – Wiele bym dał, żeby tak umieć”.

Gdy tylko w kinie Red Vic pojawiał się jakiś film na temat surfingu, za punkt honoru stawiał sobie zdobycie biletów na premierę. Miał też kopie filmów *September Sessions* i *Step into Liquid*, które od ciągłego odtwarzania były już niewyraźne i przyciemnione. Mniej więcej rok po naszym pierwszym spotkaniu przeniósł się z powrotem na Wschodnie Wybrzeże. Wcześniej jednak jego wielka miłość do surfingu odsunęła mnie nieco od niego. Nigdy nie miałam odwagi, by spróbować tego sportu – bałam się prędkości, rekinów i zimnych wód Pacyfiku. Zawsze uważałam, że ocean w tej części kraju jest zarówno piękny, jak i niebezpieczny.

Piechotą idę w kierunku Louis's Diner i Cliff House. Na chwilę zatrzymuję się przy pustej witrynie sklepowej budynku, w którym kiedyś mieściło się Musée Mécanique. W pasażu tym już od lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku można było oglądać wymyślne zabawki mechaniczne na monety. Kilka razy przyszłam tu z Emmą. Uwielbiała miniaturowe wesołe miasteczko z karuzelami, które rozświecłały się i kręciły, gdy tylko wrzuciło się pieniążek. Lubiła też Potężnego Wurlitzera z jego fortepianem, mandoliną, bębenkiem i fletem. Jednak jej ulubioną zabawką była Śmiejąca Się Sal, naturalnej wielkości rudowłosa lalka zamknięta w szklanej gablocie. Emma wrzucała monety do otworu i z otwartą buzią obserwowała, jak Sal przewraca oczami i kręci głową, przesuwając palcami po wachlarzu kolorowych kart, na których zapisane były różne wróżby. Wylosowane karty Emma trzymała na swoim biurku. Wciąż tam są: „Będziesz podróżować do dalekich krajów”, „Przystojny nieznajomy przyniesie ci niespodziewaną wiadomość”.

Z Louis's Diner dochodzi do mnie przyjemny zapach hamburgerów i zdaję sobie sprawę, że od wczoraj nic nie jadłam. Schodzę w dół ze stromego wzgórza do Kelly's Cove i kieruję się na południe, ponownie dziwiąc się codziennej zmienności piaszczystego pasa, który od chwili zniknięcia Emmy wielokrotnie przemierzałam. Dzisiaj na plaży znajduję zdechłą rybę, mokrą męską skarpetkę, pustą tubkę po paście do zębów, plątaninę wodorostów, złamaną raketę tenisową i przegniły kawałek drewna. Co kilkadziesiąt metrów widać miejsca po ogniskach, niektóre z nich jeszcze nawet się tlą. To jeden z tutejszych nocnych rytuałów: przy ogniskach młodzież pije piwo, dziewczyny surferów tańczą, a bezdomni podgrzewają sobie jedzenie. Dzielnica Richmond należy do Rosjan, Mission do Meksykanów, Pacific Heights do obrzydliwie bogatych, a Bernal Heights do miłośników zdrowego trybu życia. Ocean Beach jest za to miejscem, które znosi jakiegokolwiek granice pomiędzy dzielnicami San Francisco. Przychodzi tu każdy i wsparty na łokciach może rozkoszować się wiatrem i mgłą.

Dziś wśród wszelkiego rodzaju śmieci z pewnością nie można znaleźć pieniążkowca. Piasek upstrzony jest kleistymi czarnymi plamami, a powietrze przesiąknięte wonią smoły.

Po mniej więcej kilometrowym spacerze spotykam na plaży dwie dziewczynki, siostry w wieku około dziesięciu i jedenastu lat, które na brzegu zbierają muszelki. Śmieją się, są bose, a dzinsy mają podwinięte pod kolana.

– Gdzie są wasi rodzice? – pytam. – Chyba nie jesteście tutaj same?

Starsza dziewczynka łapie siostrę za rękę. Przystają się śmiać i odchodzą, patrząc na mnie nieufnie. Rozglądam się dookoła, ale nie widzę żadnych dorosłych. Kto pozwolił im bawić się tutaj bez opieki?

Na skrzyżowaniu Judah i Great Highway przechodzę przez jezdnię i idę do tego samego szaletu miejskiego, który przeszukiwałam chwilę po zniknięciu Emmy. Przy umywalce myje się jakaś bezdomna. Obok niej na

podłódze leży coś w rodzaju kosmetyczki – plastikowy grzebień, mydło, nowa szminka i mały plastikowy pojemnik różu. Siłą przyzwyczajenia wyciągam z torebki jedną z ulotek.

– Szukam małej dziewczynki – mówię.

Rzuca szybkie spojrzenie i oddaje mi ulotkę.

– Bez urazy – odpowiada – ale kto nie szuka?

Przechodzę przez La Playa, kierując się do miejsca, gdzie trolejbusy linii N Judah niczym ogromne stonogi zawracają i udają się w powrotną trasę w głąb lądu. Wiatr wiejący od oceanu smaga moją odkrytą szyję drobinkami piasku. Słyszę szum fal, czuję słodką słoność oceanu zapowiadającą deszcz. Pudełkowe domy w wyblakłych pastelowych kolorach wystawiają swe zabiedzone twarze na działanie wiatru. Stoliki stojące na zewnątrz Java Beach są puste, tylko przy jednym siedzi starszy mężczyzna z siwą brodą, czytający pognieciony egzemplarz „The Charm School”. Prawa strona jego twarzy jest oszpecona ciemną naroślą wielkości srebrnej jednodolarówki. Wchodzę do lokalu i wysokiego mężczyznę o imieniu Darwin proszę o americano. Darwin jest łysy, a na nadgarstku ma żółtą opaskę. „Dla mojego brata w Iraku” – wyjaśnił mi kiedyś. Przyjmował ode mnie zamówienia już tyle razy, że podejrzewam, iż mieszka w Java Beach.

– Jakież dobre wieści? – pyta, podsuwając mi americano.

Kręcę przecząco głową.

– Mam więcej ulotek – mówię, wykładając je na ladę. To już dziewiąty plik, który przyniosłam do Java Beach – jeden na tydzień, od dwóch i pół miesiąca.

Idę wzdłuż Czterdziestej Ósmej Alei i mijam alfabetycznie nazwane przecznice: Kirkham, Lawton, Moraga, Noriega, Ortega, Pacheco, Quintara, Rivera, Santiago. Zawsze lubiłam ulice dzielnicy Sunset, ciąg eleganckich nazw łatwych do zapamiętania. Skręcam w lewo na Taraval i idę w kierunku

sklepu surferskiego Deana Foggy'ego, ściskając w palcach szarą kopertę, którą trzymam w kurtce. Zjawiałam się tu ze swoim dawnym przyjacielem surferem, lecz teraz wydaje mi się, jakby to było wieki temu – nie przychodził tu na zakupy, raczej porozmawiać, pooglądać deski i posłuchać opowieści starych surferów, którzy w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych zmagali się z falami w samych kąpielówkach. W młodych facetach ubranych w niebieskie dżinsy i japonki jest coś dziwnie niepokojącego. Mówią własnym językiem, nigdy nie patrzą ci prosto w oczy, wyglądają, jakby byli z innego świata. Nawet w takim mglistym okresie są lśniący i opaleni, a ich sztywne włosy przypominają fryzurę Jona Bon Joviego. Jedna czwarta z nich wygląda jak modele bez zajęcia, a dziewięćdziesiąt siedem procent sprawia wrażenie, jakby codziennie uprawiali ostry seks.

W sklepie za ladą stoi drobna dziewczyna o długich brązowych włosach związanych w kucyk, ubrana w rozciągniętą pod szyją koszulkę z napisem „*Chicks Who Rip*”. W nosie ma mały błękitny kolczyk. Gdy zbliżam się do lady, kładzie ręce na biodrach, uśmiecha się i mówi:

– Cześć.

Zastanawiam się, ile może mieć lat. Osiemnaście? Dziewiętnaście? Nigdy nie byłam dobra w określaniu wieku ludzi i zwykle zgadywałam źle. Może dlatego, że kierowałam się raczej wzrostem niż wiekiem. Ta dziewczyna jest niewielkiego wzrostu i pewnie dlatego wygląda na małą.

– Cześć – odpowiadam.

Wyciągam papierową kopertę i wyjmuję z niej dwa rysunki. Kładę je na ladzie.

– Zastanawiałam się, czy może przypadkiem nie widziałaś tutaj tych ludzi.

– O rany – mówi. – Jesteś jakimś tajnym agentem?

– Niezupełnie – odpowiadam. – Wyglądają znajomo?

Przez kilka sekund wpatruje się w rysunki.

– Nie. A kim oni są?

– Facet jest surferem, był na Ocean Beach nieco ponad dwa miesiące temu. Podróżuje z tą kobietą. Może mogłabyś powiesić te rysunki tu w sklepie i popytać ludzi, czy przypadkiem ich nie widzieli?

– Chętnie pomogę – odpowiada.

Przypuszczam, że jednak nie ma osiemnastu lat. Raczej dwadzieścia trzy lub dwadzieścia cztery. Gdy się uśmiecha, wokół oczu pojawiają się początki zmarszczek. Na czubku serdecznego palca, tuż pod paznokciem, ma mały pieprzyk.

– Tak przy okazji, jestem Tina – mówi. – Ale ludzie mówią na mnie Goofy.

Uśmiecham się tak, jakbym wiedziała, o co chodzi, ale Tina doskonale zdaje sobie sprawę, że nie mam pojęcia.

– To dlatego, że śmiesznie ustawiam nogi, gdy surfuję* – wyjaśnia.

Kiwam głową, a ona się śmieje.

– Nie masz pojęcia o co chodzi, prawda? – Rozkłada ręce tak, jakby surfowała, i rozstawia nogi, prawą wysuwając do przodu. – Wiesz, prawa noga z przodu, tak jak Frieda Zamba, moja idolka.

– Aha.

Goofy jest ładna w jakiś niepokojący sposób, z nieco skrzywionym przednim zębem, który w porównaniu z pozostałymi odstaje pod nietypowym kątem.

– O co chodzi z tą zabawą w detektywa? – pyta.

– Szukam małej dziewczynki – wyjaśniam.

Opowiadam jej o Emmie. O tamtym dniu na plaży, o tym, co odwróciło

moją uwagę, jak spuściłam Emmę z oczu – tylko na chwilę, ale na wystarczająco długo.

– Boże – mówi Goofy – to okropne. – Przerzywa na chwilę, a potem dodaje: – Pamiętam tamten dzień.

– Słucham?

– Tamten dzień. Pamiętam. Wieczorem widziałam wiadomości i pamiętam, jak pomyślałam, że to dziwaczne, co mówią, że dziewczynka prawdopodobnie utonęła.

– Dlaczego dziwaczne?

– Bo woda była bardzo spokojna, tylko niewielkie fale, wcale nie było prądów wstecznych. A to na Ocean Beach w ogóle się nie zdarza.

– Co masz na myśli?

– Że to byłoby dziwne, gdyby dziewczynka utonęła tamtego dnia. Tego ranka poszłam na plażę z koleżanką ze sklepu, Tiną D. Nazywamy ją Tina D., bo ja też mam na imię Tina, choć mnie i tak wszyscy nazywają Goofy. Byłyśmy więc rano na plaży, weszłyśmy do wody i siadłyśmy na deskach. Czekaliśmy na falę, jednak żadna nie nadeszła. Siedziałyśmy tak dobre kilka godzin. Lato nie jest tutaj najlepszym okresem na surfowanie. Czasami oczywiście można załapać się na dobrą falę, ale zwykle szansa jest bardzo mała. Chodzi o to, że takie rzeczy zdarzają się zwykle w miejscach takich jak Rockaway lub Año Nuevo, ale bardzo rzadko na Ocean Beach. Dlatego siedziałyśmy na deskach, nic nie mówiąc, i pozwalałyśmy małym falom unosić nas w górę i w dół. To było dziwne, taki spokojny dzień, a ja myślałam o wodzie w swoim mieszkaniu, bo akurat zapomniałam o zapłaceniu rachunku i zostałam odcięta. Miałam właśnie zapytać Tinę D., czy mogę wziąć u niej prysznic. Nagle niespodziewanie usłyszałam syreny. Odwróciłam się w kierunku plaży i ujrzałam, że przez mgłę przebijają się policyjne koguty. Pomyślałam, że może złapano jakiegoś sprzedawcę

narkotyków lub dzieciaka okradającego samochody na parkingu. Później pojawiła się łódź Straży Przybrzeżnej i z Tiną D. popłynęłyśmy w kierunku plaży. Jakiś policjant pytał nas, czy cokolwiek widziałyśmy. Odpowiedziałyśmy, że nic, a później on chciał zaproponować Tinie D. randkę, co wydało mi się trochę nie na miejscu. – Przerywa na chwilę, rozwiązuje włosy, przeczesuje je i ponownie zbiera w kucyk. – Ale oczywiście nie jestem żadnym ekspertem.

– Ale znasz wodę.

Patrzy na moje dłonie. Zdaję sobie sprawę, że tak bardzo skubię skórki przy paznokciach, aż mój kciuk zaczął krwawić. Z pudełka stojącego za ladą wyjmuję plaster i okleja mi palec.

– Robisz sobie krzywdę.

– Nerwowy nawyk – odpowiadam.

– Masz rację – mówi. – Znam wodę. I jeśli to ma jakieś znaczenie, uważam, że utonięcie nie jest najbardziej prawdopodobnym scenariuszem. Oczywiście, że woda przy Ocean Beach jest zawsze niebezpieczna, ale zwykle, gdy słyszy się o utonięciu, ocean jest znacznie bardziej wzburzony. Zwykle ma to sens. A tamtego wieczora siedziałam z Tiną D. na tapczanie i uznałam, że w tym wypadku to bez sensu.

– To najlepsza wiadomość, jaką do tej pory usłyszałam – mówię. – Nigdy nie wierzyłam, że utonęła, ale jak na razie nie miałam argumentów, by kogokolwiek przekonać. Może to mi pomoże.

– Mam nadzieję, że ją znajdziesz. – Goofy uśmiecha się, odsłaniając krzywy ząb. – Dokąd teraz idziesz?

– W stronę parku.

– Pójdę z tobą. Moja przerwa na lunch zaczęła się pięć minut temu. Wybieram się do Bashful Bull 2. Byłaś tam kiedyś?

– Raczej nie.

– Pamiętałybyś na pewno. Wezmę tylko kurtkę i spotkamy się na zewnątrz.

Dobrze jest nie być taką samotną, mieć kogoś idącego obok. W tych dniach wszystko, co robię, robię sama i zastanawiam się nawet, czy nie tracę zdolności prowadzenia normalnej rozmowy. Moje ograniczone pole widzenia sprawia, że staję się jak ludzie, z jakimi zwykle nie lubię przebywać.

– Od dawna surfujesz? – pytam. Przyjemnie jest zadać takie pytanie, zaangażować się w rozmowę z kimś takim jak Goofy, kto nie ocenia mnie, nie patrzy na mnie jak na kogoś, kto popełnił fatalny, niewybaczalny błąd.

– Od ósmego roku życia – mówi. – Tata mnie nauczył, zanim odszedł – dodaje i mierzy mnie wzrokiem. – Powinnaś pozwolić mi uczyć cię surfingu. Na pewno dałabyś radę. Masz odpowiednią budowę ciała: silne nogi, krótki korpus. Ale nie powinnaś czekać zbyt długo. Oferta jest ograniczona czasowo, ponieważ wybieram się na studia.

– Kiedy?

– Jeszcze się nie zapisałam, ale to musi nastąpić w miarę szybko – mówi i idzie tanecznym krokiem, tak jakby w jej głowie grała muzyka, którą tylko ona słyszy. – Kilka tygodni temu zdałam sobie sprawę, że mam już prawie dwadzieścia pięć lat, więc to ostatni dzwonek.

– Co chcesz studiować?

– Biologię morską. Chcę pójść na Uniwersytet Hawajski. Pomyślałam, że w trakcie studiów mogę zarabiać lekcjami surfingu dla turystów.

Dochodzimy do ulicy Noriega i Goofy klepie mnie w ramię.

– Ja tu kończę trasę. Zjesz ze mną lunch?

– Dzięki, ale mam parę spraw do załatwienia. Dasz mi znać, jeśli czegokolwiek się dowiesz?

– Pewnie. I musisz kiedyś jeszcze do mnie wpaść. Następnym razem przyjdź przed południem. W Bashful Bull 2 mają wyjątkowo smaczny zestaw

śniadaniowy: jajka, bekon, smażone ziemniaki i kawa za jedyne trzy pięćdziesiąt.

– Zgoda.

Przez park idę krętą ścieżką wzdłuż jeziora, gdzie zwykle z Emmą karmiłyśmy kaczki, wzdłuż basenów dla wędkarzy, zagrody dla bizonów, pola golfowego i wzdłuż drugiego jeziora, gdzie omszałe drzewa są obwieszane pułapkami na komary roznoszące wirus Zachodniego Nilu. Gdy docieram do Fulton, niebo jest już mocno pociemniałe. Mój wzrok przyciąga młody kierowca czarnego mercedesa przejeżdżający na żółtym świetle. Po drugiej stronie drogi stoi starszy mężczyzna wsparty na lasce i obserwuje zmieniające się światła. Idę w lewo do Balboa, a potem w kierunku plaży. Od lat chciałam tu przyjść z aparatem fotograficznym i zrobić zdjęcia nietypowym zakładom, które ulokowały się w dzielnicy Richmond: Sklep Łuczniczy, Zakład Ostrzenia Noży i Nożyczek, Naprawa Maszyn do Pisania i Odkurzaczy, Hockey Haven, Gus's Bait & Tackle. Tutaj jest jakby zupełnie inne miasto, bez nocnych klubów, księgarni, butików odzieżowych i modnych restauracji.

Jest już po dziewiętnastej, gdy w końcu docieram do samochodu. Na drodze przy głównym wejściu do parku nie ma już prawie nikogo, tylko jakaś para spędzająca randkę w hondzie accord i samotny mężczyzna w jeepie cherokee zajadający kanapkę i słuchający Johnny'ego Casha. To *Sunday Mornin' Comin' Dow*, piosenka Krissa Kristoffersona o poczuciu ogromnej samotności, jakie dają opustoszałe chodniki wielkiego miasta.

W drodze do domu dzwonię do Jake'a i opowiadam mu o tym, co powiedziała Goofy.

– Nie znasz Ocean Beach – mówi. – Dlatego właśnie chcę, żebyś to zrozumiała. Nawet w najbardziej spokojny dzień ocean przy Ocean Beach jest potworem. Gdy mój ojciec grał w drużynie 49ers, jeden z obrońców

wszedł zbyt daleko i został wciągnięty do wody. I mówię tu o wielkim, silnym facecie. Uratował się tylko dlatego, że był w stanie płynąć pięć kilometrów, zanim znalazła go łódź ratunkowa.

– Nie uważasz, że to dobra wiadomość?

– Po prostu staram się patrzeć na wszystko realnie.

Dzwonię do detektywa Sherburne’a. Jego reakcja jest jednak jeszcze mniej entuzjastyczna.

– Nie wyciągajmy pochopnych wniosków – mówi. – Wiemy, jakie były wtedy warunki. Od razu wspólnie ze Strażą Przybrzeżną tę wersję uznaliśmy za najbardziej prawdopodobną.

– Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Bo to tylko odwróciłoby uwagę, Abby. Musisz patrzeć na fakty. W tej chwili nie mamy nawet najmniejszego dowodu wskazującego na możliwość porwania.

Jest przekonany, że Emma utonęła, że jego teoria jest słuszna. Tym bardziej że Lisbeth przeszła pozytywnie test na wykrywaczu kłamstw, a cała jej historia była spójna.

„Większość porwań dokonywana jest przez członków rodziny, a spory odsetek to matki pozbawione praw opiekuńczych – przypomniał mi po otrzymaniu wyników badań. – Lisbeth była naszą największą nadzieją”.

Sherburne nigdy by tego nie przyznał – tak samo jak Jake – ale wiem, że obaj są bliscy poddania się.

* Ang. *goofy* oznacza „głupkowaty” (przyp. red.).

ROZDZIAŁ 30

Kilka dni później Nell wstępuje do mnie z kolejną porcją książek. Stoi w progu i zagląda do pokoju ponad moim ramieniem. Wiem, że patrzy na stojącą na środku mahoniową wiolonczelę, którą wypolerowałam tak, że nabrała czerwonego połysku.

– Emma miała tylko cztery lekcje – mówię.

– Och, kochana – wzdycha Nell, mierząc mnie wzrokiem od stóp do głów.

Najwyraźniej zastanawia się nad moją pokrytą cekinami suknią, podkreconymi i upiętymi włosami oraz sztuczną biżuterią. Jest poniedziałek, dwudziesta druga, pewnie myśli, że wariuję. I może ma rację. Prawie wcale nie śpię. Jem tylko tyle, żeby utrzymać się przy życiu. Większość czasu spędzam samotnie, dniami i nocami, tydzień po tygodniu chodząc ulicami niczym włóczęga, jeżdżąc kolejką miejską, zaczepiając nieznanomych i wręczając im ulotki. Często łapię się na tym, że rozmawiam na głos sama ze sobą i rozpatruję różne możliwości.

Zanim to wszystko się wydarzyło, myślałam, że jestem przygotowana na traumatyczne przeżycia. Wierzyłam, że mam w sobie jakieś źródło wewnętrznej siły, jakieś głębokie pokłady wytrzymałości psychicznej, z których w razie potrzeby będę mogła skorzystać. Gdy sprawy w moim życiu przybierały niekorzystny obrót, zawsze mogłam znaleźć odskocznnię w pracy. Teraz jednak nie potrafię się na niej skoncentrować. Mimo że

w końcu dostałam kilka zleceń, mój interes zaczyna podupadać, a Annabel wciąż płaci moje rachunki za czynsz.

– W ten weekend Emma miała zagrać dla mnie koncert – mówię. – Chciała ubrać się w swoją czarną aksamitną bożonarodzeniową sukienkę i buty z lakierowanej skóry, a ja miałam włożyć tę starą suknię. Kupiłam ją w Mardi Gras w Mobile wieki temu.

Nell wchodzi do mojego mieszkania i kładzie książki na stole. Szeroko rozkłada ramiona i wyciąga je w istic macierzyńskim geście, a ja wtulam się w nią i zupełnie się rozklejam.

– Dasz sobie radę – mówi, głaszcząc mnie po plecach. Później układa fałdy sukni. – Naprawdę ślicznie w niej wyglądasz – dodaje, po czym wskazuje różowym paznokciem w kierunku stosu książek. – Przeczytaj to, moja droga. Nigdy nie wiadomo, co może ci się przydać.

– Dzięki, Nell.

– Po prostu przychodź do mnie, nieważne, czy w dzień, czy w nocy, słyszysz?

– Będę o tym pamiętała.

Wychodzi, a ja zostaję sama z przytłaczającą przestrzenią mieszkania, które niegdyś wydawało mi się przestronne i otwarte, a teraz stało się przepastne i pełne przeciągów. A w samym środku, obłana światłem lampy, w którym wirują drobinki kurzu, stoi wiolonczela Emmy. Zupełny brak dźwięku, tych nieczystych, uroczych nutek, które tak gorliwie wydobywała z instrumentu, za którym całkowicie znikwała z pola widzenia. Ze wszystkich możliwych instrumentów wybrała właśnie wiolonczelę.

Zeszłej wiosny podczas festiwalu Stern Grove Jake i ja zabraliśmy Emmę na koncert Orkiestry Symfonicznej San Francisco. Siedzieliśmy na dużym żółtym kocu rozłożonym na trawie, a ona sączyła colę i chrupała precelki. Po występie, gdy szliśmy już do samochodu, zapytała:

- Jak się nazywa ta ogromna gitara?
- Chodzi ci o wiolonczelę?
- O tę dużą, na której gra się patykiem.
- To wiolonczela.
- Chcę na niej grać.

W następnym tygodniu w sklepie muzycznym na Haight Jake znalazł małą wiolonczelę, wielkości jednej czwartej normalnego instrumentu, i zapisał Emmę na lekcje gry w Noe Valley. Przywiózł wiolonczelę do domu i położył na jej łóżku – to miała być niespodzianka. Gdy Emma weszła do pokoju i zobaczyła instrument, była tak szczęśliwa, że aż zsikała się w majtki.

– To właśnie jest wspaniałe w dzieciach – mówił, gdy relacjonował mi tę historię przez telefon. – Kiedy ostatnio byłaś czymś tak podekscytowana, żeby z wrażenia zsikać się w majtki?

Była to jedna z rzeczy, która przyciągnęła mnie do Jake'a – ta czysta rozkosz, jaką czerpał z ojcostwa. Jego zdolność widzenia świata oczami Emmy czyniła z niego człowieka niespotykanie niewinnego i dobrego. Gdy opowiedziałam Annabel o tym, jak dobry jest dla Emmy, powiedziała mi bez zastanowienia:

– Trzymaj się go. Szczęśliwe dziecko jest niczym wielka pieczęć zatwierdzająca przybita na czole faceta.

Fakt, że Jake chciał dzielić się nią właśnie ze mną, schlebiał mi niezmiernie, sprawiał, że jego miłość wydawała się intensywniejsza, a oddanie większe. Kiedyś opowiedział mi, jak po odejściu Lisbeth martwił się, że nigdy nie znajdzie osoby, która będzie odpowiednia zarówno dla niego, jak i dla Emmy.

– I wtedy się pojawiłaś. Zakochałem się w tobie z dwunastu powodów, a tylko jednym z nich jest to, że jesteś tak dobra dla Emmy.

– A pozostałe jedenaście? – zapytałam.

– Numer jeden to sztuczka, którą potrafisz zrobić językiem – droczył się ze mną. – Drugim powodem musiałyby być twoje ciasteczka z sosem. A co do pozostałych dziewięciu, pozostawię je twojej wyobraźni.

Czego brakuje mi najbardziej, bardziej niż dłoni, klatki piersiowej i smaku Jake'a, bardziej niż jego hojności w stosunku do kelnerek i reguły, według której nigdy nie siadał w kolejce miejskiej, jeśli ktoś inny musiałby przez to stać, bardziej niż jego uwielbienia dla drużyny Giants i ciasta limonkowego, to radości, jaką ze sobą dzieliliśmy. Sposobu, w jaki podchodził do mnie w sypialni, podnosił mnie, rzucał na łóżko i opowiadał głupie dowcipy tak długo, aż ze śmiechu bolał mnie brzuch. Jego śmiertelnej powagi, z jaką naśladował Dwighta Yoakama i Richarda Nixona. Teraz to wszystko zniknęło, a ja nienawidzę świadomości, że sama jestem odpowiedzialna za tę zmianę.

Zbliża się północ, a ja wciąż mam na sobie suknię z cekinami. Przeglądałam książkę Emmy zatytułowaną *My First Cello*. W książeczce są gamy, rysunki dzieci grających na wiolonczeli, schematy pokazujące, gdzie należy ułożyć palce. Podciągam suknię ponad kolana, udami ściskam wiolonczelę i próbuję zagrać C-dur. Na stoliku stoi butelka burbona Maker's Mark. Otworzyłam ją po wyjściu Nell i opróżniłam już do połowy. Moje palce nie radzą sobie ze strunami. Nie wiem, jak trzymać smyczek. Staram się coś zagrać, ale jedyne, co mi wychodzi, to bolesne zawodzenia, niczym pisk foki lub umierającego wieloryba. Dzwoni telefon.

– Abby? – odzywa się Jake.

– Cześć.

– Dziwnie brzmisz. Piłaś coś?

– Nie. – Moja odpowiedź jest zbyt wymowna, jakby nad pijaną postacią z kreskówki pojawił się dymek zawierający słowo NIE napisane wielkimi

literami.

– Jesteś pijana.

– Może trochę.

Jestem zawstydzona, że rozmawiam z nim w takim stanie. Wiem, że nie powinnam się tak zachowywać – to kolejny test, który oblewam.

– Musisz z tym skończyć – mówi. – To na pewno nie pomaga.

– Trochę pomaga.

Długa pauza. Ta cisza jest niewygodna, uciążliwa, nie taka jak kiedyś, gdy potrafiliśmy milczeć do telefonu minutę lub dwie, a ja byłam szczęśliwa, wiedząc, że Jake jest po prostu po drugiej stronie linii.

– Przepraszam – mówię po chwili, wiedząc, że nie jest to odpowiednie słowo.

To bardziej dowód tego, że nie jestem tą kobietą, którą Jake znał w chwili, gdy się oświadczał. Co z tego, że mogę organizować prywatne koncerty wiolonczelowe, że mogę robić małpki ze skarpetek, skoro mogłam zgubić Emmę w ciągu kilkuminutowego spaceru po plaży? Macierzyństwo wymaga czegoś więcej niż oddania, czegoś więcej niż tylko miłości.

ROZDZIAŁ 31

N. był człowiekiem, który nie pamiętał.

W grudniu 1960 roku, gdy mieszkał w koszarach Amerykańskich Sił Powietrznych, jego kolega z pokoju bawił się miniaturowym floretem i przypadkowo wbił szpikulec w prawe nozdrze N. – czubek floretu utkwił w lewej półkuli mózgowej. W kolejnych latach N. mógł przypomnieć sobie tylko szczegóły dotyczące życia sprzed wypadku. Pamiętał na przykład podróż przez USA starym cadillakiem, którą odbył dwa lata przed wypadkiem. Nie mógł jednak oglądać nowych filmów, ponieważ w połowie seansu zapominał, czego dotyczyły początkowe sceny.

Wyobraź sobie robienie w takim amnezyjnym stanie czegoś tak prostego jak przygotowanie posiłku. Ponieważ twoja pamięć krótkotrwała sięga tylko kilku minut wstecz, jesteś w stanie postawić garnek z wodą na kuchence, umyć pomidory, posiekać ząbek czosnku i nakryć do stołu. Zanim woda zacznie się gotować, nie będziesz już pamiętać, co chciałaś zrobić lub dla kogo to robiłaś. Tylko dzięki szczegółom – czystym talerzom, uczuciu głodu w żołądku – będziesz wiedziała, że jeszcze nie jadłaś. Dopiero gdy rozlegnie się dzwonek do drzwi, otworzysz je i zobaczysz swoją siostrę, będziesz wiedziała, że to właśnie ją zaprosiłaś na obiad. Jesteś niczym komputer z całkowicie zapchanym twardym dyskiem: wszystkie dane widoczne na monitorze zostaną utracone wraz z zamknięciem pliku, ponieważ nie ma możliwości zapisania ich na dysku i korzystania z nich w przyszłości.

Zasadniczo jesteś osobą z przeszłością, ale bez teraźniejszości. Nigdy nie poczujesz z nikim emocjonalnego związku, ponieważ nie będziesz pamiętać, co lubisz w niedawno poznanym człowieku. Kilka minut po najlepszym orgazmie w życiu nie będziesz nawet pamiętać, że miałaś jakikolwiek.

W każdym momencie egzystujesz tak, jakbyś budziła się ze snu, bez świadomości tego, gdzie jesteś i jak się tam znalazłaś, nie wiedząc, co lub kto czeka na ciebie w sąsiednim pokoju. Żadna z rzeczy, które dostrzegasz, nie znaczy więcej niż przypadkowe zdjęcie widziane w albumie obcej osoby. Życie bez pamięci jest życiem bez znaczenia.

ROZDZIAŁ 32

David ze Stowarzyszenia Rodziców Zaginionych Dzieci dzwoni do mnie. Raz, dwa razy dziennie, czasami nawet częściej. Te rozmowy trzymają mnie przy życiu, utrzymują moją głowę ponad powierzchnią wody. Wcale nie oferuje mi Boga i nie zachwala uzdrawiającej mocy medytacji. Doskonale rozumie, że codzienne wstawanie, prysznic, zalewanie mlekiem płatków śniadaniowych – najbardziej przyziemne czynności – przestają być rutyną i wymagają niewiarygodnej koncentracji. Trzeba uprać ubranie, trzeba się uczesać, trzeba pozmywać naczynia. Trzeba zatankować samochód, zapłacić rachunki, wynieść śmieci, odebrać pocztę.

Czasami nawet ubieranie się jest nie lada wyzwaniem: guziki, zamki, sznurówki. Zmusić okrągły dysk do przejścia przez dziurkę, przeciągnąć zamek od początku do końca, uformować pętle i mocno je związać. Wykonanie tych prostych czynności jest niemożliwe. Czasem rano siedzę na skraju łóżka i wpatruję się w rozpiętą bluzkę, niezdolna do pokonania rzędu guzików.

Kiedy czuję, że nie poradzę sobie z kolejnym dniem, nie dzwonię do Jake'a, ale właśnie do Davida.

- W czym problem? – pyta.
- Nie wiem, co mam zrobić, od czego zacząć.
- Idź do kuchni – instruuje mnie. – Wlej wodę do dzbanka. Wyjmij kawę z lodówki. Odmierz trzy łyżki i wsyp do filtra.

Gdy kawa się parzy, David mówi, bym wzięła do ręki ołówek, notes i sporządziła listę. Zaczyna od najprostszych rzeczy – zapłacić rachunki, wynieść śmieci – a potem przechodzi do bardziej skomplikowanych spraw, takich jak telefon do detektywa Sherburne’a, codzienna wyprawa na plażę, pakowanie kopert, wizyta w sztabie, zbieranie pieniędzy na nagrodę – trzysta tysięcy dolarów i suma wciąż się zwiększa. Zadanie po zadaniu David ożywia mnie, aż jestem w stanie odłożyć telefon i przejść przez ten dzień samodzielnie.

– Ale ta bezcelowość, bezużyteczność – mówię pewnego wieczora. – Jak sobie z tym radzisz?

Dzień osiemdziesiąty czwarty, już po północy. Na ulicy widać błyski policyjnych świateł. Wyje alarm czyjś samochodu. Od dawna nie spałam w domu Jake’a. Nasze ciała chyba już nie pasują do siebie.

– Pomyśl – odpowiada David. – Co robiłaś przed zniknięciem Emmy, gdy wydawało ci się, że twój świat się wali? Jak się relaksowałaś?

– Zamykałam się w ciemni i pracowałam.

– Zrób to samo.

– Jak mogę tracić czas w ciemni, gdy Emma wciąż nie została odnaleziona?

– Zmuś się. W końcu i tak będziesz musiała to zrobić.

Ciemnia. Mała przestrzeń, w której niegdyś przesiadywałam godzinami, zatracając się w niej w taki sposób, w jaki inni ludzie zatracają się w książkach lub filmach. Pokój, w którym mogłam być sama, tylko ja, czerwona poświata i śliski dotyk papieru wyciąganego z płynu. Solidna masa powiększalnika, ruch ramienia przy zamykaniu urządzenia. Metodyczna precyzja podczas przypinania negatywów do płyty. Właściwie od lipcowego wieczora, dwa dni po zaginięciu Emmy, gdy wywoływałam rolkę filmu z holgi, nie wchodziłam do tego pomieszczenia. Klienci zlecający mi

fotografowanie otwarcia restauracji życzyli sobie wyłącznie kolorowych zdjęć, dlatego wolałam oddać je do laboratorium, niż zająć się nimi samodzielnie.

– Teraz? – pytam.

– Tak, teraz.

Odkładam słuchawkę, wspinam się po schodach, wchodzę do ciemni i zamykam drzwi. Zdejmuję fartuch z wieszaka, wkładam go przez głowę i zawiązuję wokół pasa. Przez kilka minut po prostu stoję w miejscu, nie wiedząc, co mam robić. W końcu górę bierze stary, znajomy rytm. Najpierw przygotowuję odczynniki i pojemniki z zimną wodą. Potem zdejmuję kilka negatywów, które parę dni przed zniknięciem Emmy zostawiłam, by wyschły, tnę je na kawałki, umieszczam na podświetlanym blacie i dokonuję selekcji. Jeden po drugim naświetlam negatywy, a później przeprowadzam papier fotograficzny przez kolejne pojemniki z odczynnikiem. Po godzinie wanna jest pełna fotografii pływających i układających się jedne na drugich.

Są to robione kilka miesięcy temu zdjęcia z wesela. Te, które właśnie obrabiam, nie zmieściły się do ślubnego albumu młodej pary lub klienci nie chcieli, by się w nim znalazły. Od lat zbieram takie niechciane zdjęcia ślubne z nadzieją, że kiedyś poskładam je wszystkie w jedną sensowną całość. Wyobrażam sobie autorski pokaz ukazujący ponurą prawdę o weselach, na którym widzowie będą śmiać się niezbyt przekonującym śmiechem.

Tę rolkę wypstrykałam późnym wieczorem, gdy wszyscy byli już mocno pijani. Suknia panny młodej była sfatygowana, a imprezowa czapeczka pana młodego pognieciona. Około dwudziestej drugiej matka panny młodej powiedziała mi, bym poszła do domu. „Wolałabym, by ta część przyjęcia nie została uwieczniona na zdjęciach” – powiedziała, bawiąc się zawieszonym na szyi sznurem pereł.

„Nonsens – stwierdziła panna młoda. – Zostajesz”.

Tak też się stało. Na zdjęciach jest panna młoda z szeroko otwartymi ustami, wznosząca toast w stronę swojego męża. Jest też drużna w króciutkiej spódniczce, tańcząca nieprzyzwoicie z ojcem pana młodego i czyjaś babka cioteczna z kieliszkiem martini w rękę, demonstrująca pikantne szczegóły miesiąca miodowego.

Zdjęcia mają chropowatą, dokumentalną jakość. To moja robota, do tego mnie ludzie wynajmują. Pary przychodzą do mnie, jeśli chcą mieć szczere, prawdziwe zdjęcia, a nie starannie ustawione fotografie grupowe zrobione na równo przyciętym trawniku i ze słodyczą weselnego tortu.

Podajrzewam, że ludzie sami nie wiedzą, w co się pakują, dlatego też nie pokazuję klientom wszystkich zdjęć. Czy na przykład pan młody chciałby zobaczyć, jak mięsista dłoń jego ojca obmacuje w tańcu drużnę? Czy panna młoda nie chciałaby zapomnieć o tym, jak krzyczała na florystykę? Wesela wyciągają z ludzi to, co najgorsze. Może to powiew nowej i niosącej nadzieję miłości wywołuje cynizm i pcha praworządnych obywateli do rozpusty. Może pijaństwo i złe zachowanie są sposobem wszystkich na pokazanie, jak bardzo w nosie mają ideę szczęśliwej przyszłości, a ich sposób wyrażania „dopóki śmierć nas nie rozdzieli” jest po prostu żalony.

Można dojść do wniosku, że uczestniczenie w tak wielu weselach w roli postronnego obserwatora skutecznie odwiodło mnie od pomysłu własnego ślubu. Nic z tych rzeczy. Dzięki temu sama jeszcze bardziej tego pragnę. Ślub i wesele mimo paru wad to wciąż manifestacja optymizmu, bezczelne oświadczenie dwojga ludzi, że sobie z tym poradzą. Przecież każdemu ślubowi towarzyszy przeświadczenie, że statystyki dotyczące rozwodów się nie liczą, a ta para na przekór wszystkiemu nigdy się nie rozejdzie.

Data naszego ślubu już minęła. Na zeszłą sobotę zaplanowaliśmy uroczystość w małej kapliczce w Yosemite i przyjęcie w rustykalnym hotelu Wawona stojącym na skraju parku. Gdy Jake i ja widzieliśmy się tego dnia

w sztabie, żadne z nas nie poruszyło tematu. Ślub to teraz kwestia czysto akademicka, błahostka, która nie ma znaczenia w kontekście naszego radykalnie odmienionego życia.

Ostatnie zdjęcie na tej rolce przedstawia parę młodą stojącą na ulicy i czekającą na podstawienie samochodu. Krawat pana młodego zwisa luźno na szyi, a panna młoda w jednej ręce trzyma swój but. Dziewczyna stoi przed mężem, a on obejmuje ją w pasie obiema rękami. Jej tusz do rzęs jest rozmazany, szminka prawie zupełnie starta, a biustonosz wystaje ponad głęboki dekolt sukni. Mężczyzna ma opuszczoną głowę i szepce coś do ucha żony. Z wyrazu jej twarzy nie można nic wyczytać.

Jedno po drugim zawieszam zdjęcia, by wyschły. Dobrze jest znów pracować w tym pokoju wypełnionym czerwonym światłem lampy. Zapach odczynników sprawia, że myślami wracam do swojej małej ciemni w Alabamie i, niespodziewanie, do Ramona. Żarówka rzucała dziwne czerwone światło ponad jego rękami, gdy prowadził zdjęcia przez kolejne pojemniki. W jednej ręce trzymał szczypce, którymi przekładał błyszczący i szeleszczący papier do wywoływacza. Drugą rękę trzymał między moimi nogami i mówił mi, bym doszła.

Dojść – gdzie? Powiedział to jeszcze raz, z większą natarczywością. Nie byłam pewna, co miał na myśli, choć miałam pewną koncepcję, ale „dojść” brzmiało mi tu jak obce słowo, zupełnie niezwiązane z tym, co robiliśmy. Chciałam, by mi je zdefiniował, ale to chyba nie był odpowiedni czas na zadawanie pytań, poza tym nie chciałam, by dowiedział się, jak jestem niedoświadczona.

Miałam szesnaście lat, on dwadzieścia siedem. Wbiłam paznokcie w delikatną skórę jego boków. Na papierze fotograficznym zaczęły pojawiać się pierwsze kształty: zarys mojej śpiącej twarzy, zakrzywiona linia mojej nagiej łydki, dzwonowaty kształt abażuru. Włożył we mnie palec, szepcząc

mi przy tym do ucha, a ja pomyślałam o zacisznej plaży w pobliżu przystani Fairhope, gdzie wziął mnie po raz pierwszy. Wziął. W wieku szesnastu lat wiedziałam, co znaczy to słowo. Wiedziałam, że Ramon nie miał żadnego interesu w umawianiu się z dziewczyną w moim wieku.

Płyn przelał się przez papier i obraz stał się wyraźniejszy – pręgowana odbitka męskiej koszuli, która sięgała moich ud, mała gwiazdka dyndająca przy bransoletce z breloczkiem, wielka dłoń przecinająca zdjęcie, spoczywająca na mojej kostce.

Wyjął zdjęcie z wywoływacza i włożył je do zbiornika z utrwalaczem. Później klęknął przede mną, uniósł nad biodra moją dzinsową spódnicę i wsunął we mnie język. Nie myślałam, że go Kocham, nie myślałam nawet, że będę znała go przez dłuższy czas. Traktowałam go jak swego rodzaju instruktora – bardziej interesującego i biegłego niż chłopcy w moim wieku, którym brakowało umiejętności i wdzięku. Mimo młodego wieku i braku doświadczenia mogłam dostrzec po jego zmieniającej się barwie głosu, gdy wymawiał moje imię, po ruchach jego ciała i po jego łagodniejszej postawie, gdy wchodziłam do pokoju, że dla niego te sprawy nie były tak proste i tak krótkotrwałe.

Spotkaliśmy się w lutym, gdy byłam w jedenastej klasie. Osiemnaście miesięcy później wyjechałam z Mobile do college'u w Knoxville w Tennessee. Nie pozwoliłam, by jechał ze mną. Przez trzy tygodnie dzwonił co wieczór, błagając, bym przemyślała decyzję. W połowie września zadzwoniła Annabel. Gdy odebrałam telefon, nie była tak nonszalancka jak zwykle. Typowy dla niej sarkazm gdzieś zniknął i wiedziałam, że coś musiało się wydarzyć.

- Chodzi o Ramona – powiedziała.
- Co się stało?
- Był wypadek.

Stałam w kuchni swojego mieszkania w Sunsphere Suites. Pochylałam się nad blatem. Właśnie zaparzyłam świeżą kawę i jej zapach nagle stał się zbyt mocny.

– I?

– Motocyklowy. On nie...

Nie potrafiła tego powiedzieć, ale wiedziałam, o co jej chodzi. Chodziło jej o to, że nie przeżył. Chodziło jej o to, że odszedł. Okazało się, że był pod wpływem alkoholu. Dzwonił do mnie tamtego dnia rano, a ja nie podniosłam słuchawki i pozwoliłam, by odebrała automatyczna sekretarka. „Wiem, że tam jesteś – mówił. – Musisz ze mną porozmawiać”.

Może to, że jestem fotografem, po części jest hołdem dla Ramona. Zamierzałam zostać dziennikarką, pisać do gazet, a fotografię traktować jedynie jako hobby. Jednak po kilku semestrach jako główny kierunek wybrałam fotografię.

Później ze smutkiem stwierdziłam, że nie mam żadnego zdjęcia Ramona. To on trzymał aparat, był wiecznym obserwatorem – zawsze patrzył, nigdy nie był widziany. Próbowałam sobie wyobrazić, że nie zmieni się to nawet po jego śmierci, że zawsze będzie wnikliwym obserwatorem, unoszącym się gdzieś obok mnie, uważnie oceniającym rzeczy. Jednak nawet ze swoim wychowaniem w duchu Południowej Konwencji Baptystów nie potrafiłam zmusić się do tego, by uwierzyć, że jakakolwiek część Ramona przetrwała po fizycznej śmierci jego ciała. W głębi duszy wiedziałam, że po prostu odszedł.

ROZDZIAŁ 33

28 października o wpół do piątej po południu odwiedza mnie detektyw Sherburne. Gdy otwieram drzwi, wręcza mi białe pudełko z ciastem. Na pewno zauważa alarm wypisany na mojej twarzy i szybko mówi:

– Nic się nie stało. Po prostu byłem w okolicy i postanowiłem zobaczyć, jak sobie radzisz.

– Dobrze – kłamię.

– Czekoladowe – mówi, wskazując palcem na pudełko. – Cukiernia Arizmendi, moja ulubiona. Wszedłem, by kupić coś słodkiego, i zobaczyłem to ciasto. Wyglądało tak, jakby pytało o ciebie.

– Dziękuję. Nigdy nie odmawiam czekolady.

Słowa brzmią pusto, wręcz żałośnie. Wszystko brzmi żałośnie. Każda zwykła rzecz straciła sens. To już trzy miesiące i sześć dni. Trzy miesiące i sześć dni bez żadnego śladu Emmy.

– Właśnie zaparzyłam kawę. Ze śmietanką i cukrem?

– Tak, poproszę.

– Usiądź.

W ciemnym garniturze, jasnym krawacie, ze starannie uczesаныmi włosami i wrażeniem rzetelności zupełnie nie pasuje do tego miejsca.

– Ładne mieszkanie – mówi, siadając na brzegu sofy i opierając łokcie na kolanach.

– Zwykle dbałam o porządek. Przed...

Przynoszę mu filiżankę kawy i siadam naprzeciwko w małym skórzanym fotelu, który uwielbiała Emma. Kuliła się w nim z filiżanką gorącej czekolady i przykryta kocem oglądała filmy Disneya. Na lewym podłokietniku widać znak, który wycięła kilka miesięcy temu nożyczkami. Chciała oglądać jakiś film o cheerleaderkach dozwolony od lat trzynastu, a ja jej na to nie pozwoliłam. Gdy kilka minut później wróciłam z kuchni, zobaczyłam kilkucentymetrową dziurę w fotelu, przez którą przebijało wypełnienie. Zapytałam ją o to, ale wyparła się, mimo że nożyczki leżały na stole tuż przed nią. Nie wiedziałam, co mam w takiej sytuacji zrobić, więc udawałam, że jej wierzę. Pomyślałam wówczas, że nie jestem stworzona do zaprowadzania dyscypliny.

– Chciałem tylko powiedzieć, jak bardzo mi przykro – mówi Sherburne, wpatrując się w filiżankę z kawą. – Wciąż myślę, że może była jakaś rzecz, którą mogliśmy zrobić inaczej, jednak nie wiem, co by to mogło być.

– Zrobiliście wszystko, co w waszej mocy.

Nachyla się i patrzy mi prosto w oczy.

– Nie wiem, jak to powiedzieć, Abby.

– Śmiało.

– Trzy miesiące. Musisz się przygotować. Musisz zacząć myśleć o tym, że ona może już nigdy nie wróci. To straszne mówić takie rzeczy, ale gdy mija tak wiele czasu...

Nerwowo pije kawę, a ja myślę o jego dzieciach, które są w domu i robią to, co zwykle robią dzieci – oglądają kreskówki, odrabiają zadania domowe, podkradają cukierki z kuchni tuż przed obiadem.

– Ona żyje. Wiem to. Jak możemy ją znaleźć, skoro nie wierzysz, że jest jeszcze jakiś powód, by jej szukać?

– Nie powiedziałem tego. Chcę tylko, żebyś była przygotowana.

Pochyliłam się w jego kierunku.

– A gdyby to było jedno z twoich dzieci, byłbyś przygotowany?

Zakłada nogę na nogę i patrzy gdzieś w dal.

– Byłbyś?

– Nie chcę się z tobą kłócić.

– To nie jest kłótnia. Chcę tylko, żebyś wiedział, że nic, co powiesz, nie powstrzyma mnie od szukania jej.

Sherburne wstaje.

– Rozumiem. Naprawdę.

Zastanawiam się, ile już razy pojawiał się w czyichś drzwiach z wiadomością, że trzeba porzucić wszelką nadzieję. Dokąd idzie teraz? Wyobrażam sobie, że zatrzymuje się przy innym domu i przekazuje ponurą wiadomość rodzinie innej ofiary.

Odprowadzam go do drzwi.

– Nie chcę, żebyś myślał, że nie jestem wdzięczna. Przez cały ten czas byłeś dla nas wspaniały. Nie możesz jednak zrezygnować z poszukiwania Emmy. Po prostu nie możesz.

Wkłada ręce do kieszeni i patrzy w podłogę.

– Rozmawiałem z Jakiem. Wiem, że nie śpicie, a wystarczy na was popatrzeć, by powiedzieć, że nie jecie. Ale życie toczy się dalej. Musi. Nie możecie wiecznie szukać w tak szaleńczym tempie, kiedyś musicie wrócić do codzienności. Jeśli nie, też się zagubicie.

Klepie mnie po ramieniu i zamyka za sobą drzwi. Słyszę odgłos jego butów na schodach. I myślę, że się myli. Mimo ogromnego doświadczenia po prostu jest w błędzie. Życie nie toczy się dalej. Wszystko się zatrzymuje i nie ma sposobu, by ponownie wprowadzić je w ruch.

ROZDZIAŁ 34

Następnego dnia rano jadę do centrum handlowego Stonestown. To nie pierwszy raz, gdy je przeszukuję, i pewnie nie ostatni. Nie potrafię zmusić się do tego, by nic nie robić. Nie potrafię uwierzyć, tak jak Sherburne, że już czas się poddać.

W części restauracyjnej pomiędzy stolikami szukam dziecka wzrostem i budową ciała przypominającego Emmę – mówię sobie, że może być blondynką, może mieć na sobie chłopięce ubranie, może być trudna do rozpoznania. Przeszukuję każdy sklep, sprawdzam za regałami, w przymierzalniach.

W toaletach idę od kabiny do kabiny, po kolei otwierając wszystkie drzwi. Później stoję przy umywalce i czekam, aż zajęte kabiny zostaną zwolnione. Czuć odór pieluch i lizolu. Perłoworóżowe mydło kapie z dozowników zawieszonych na ścianach niczym lek w kroplówce. Z niewidocznych głośników sączy się jakaś muzyka. Za każdymi zamkniętymi drzwiami czai się nadzieja. W ten sposób moje poszukiwania Emmy zostały zredukowane do łazienkowej wersji teleturnieju *Idź na całość*: wybierasz drzwi A i dostajesz dziewczynkę, wybierasz drzwi B i wracasz do domu z pustymi rękami. Z każdym odgłosem spłuczki, szczękiem otwieranego zamka wstrzymuję oddech i czekam, wierząc, że po otwarciu drzwi ukaże się Emma. Wyjdzie do jasno oświetlonej łazienki, podejdzie do umywalki, by umyć ręce, a później rozejrzy się wokół i mnie zobaczy. Przez

chwilę będzie niepewna, a później zauważy, że jestem. Wpadnie wprost w moje ramiona. Szybko ją zabiorę i wbiegniemy w chaos centrum handlowego. Trzymając się za ręce, utorujemy sobie drogę ucieczki. Porwę ją porywaczowi.

Kabiny pustoszeją jedna po drugiej, aż w końcu zostają sama w toalecie. Wpatruję się w rząd otwartych drzwi, w dziewięć jednakowych kabin, w których cienki biały papier zwiesza się ze srebrnych podajników aż do podłogi.

Na drodze numer 280, jadąc na południe w kierunku Tanforan, myślę o tym, co dzieli logikę od irracjonalności, zdrowych na umyśle od tych psychicznie zagubionych. Osoba myśląca logicznie swoje nadzieje i działania opiera na faktach, statystykach, solidnie uzasadnionych możliwościach. Dla umysłu działającego irracjonalnie wystarcza nawet najmniejsze prawdopodobieństwo. Powtarzam sobie, że jeszcze nie odeszłam od zmysłów, ponieważ osoba naprawdę szalona nie jest świadoma tego, że coraz bardziej się pograża. Powtarzam sobie, że dopóki potrafię zakwestionować logikę własnych myśli, dopóki jestem w stanie wskazać luki w swoim procesie myślowym, dopóty sprawuję nad sobą kontrolę.

Droga do Tanforan zajmuje dwie godziny. Potem przeszukuję centrum handlowe Stanford, Hillsdale i Serramonte.

Do domu wracam prawie o północy. Dzwonię do Jake'a i pytam, czy mogę u niego spędzić noc, choć z góry wiem, jaka będzie odpowiedź.

– Nie powinieneś tak długo przebywać w samotności – mówię, czując się przy tym trochę nieuczciwie. To ja jestem osobą, która nie chce być sama, to ja nie potrafię zmierzyć się z pustym mieszkaniem.

– Przepraszam – mówi Jake. – Nie dzisiaj.

Nie jestem w stanie zasnąć, więc siadam przed telewizorem. Akurat jedna ze stacji pokazuje film *Pamięć absolutna*, w którym Arnold Schwarzenegger

gra robotnika budowlanego nękanego snami o Marsie, planecie, na której nigdy nie był. Osia filmu jest to, że Schwarzenegger, nie mając o tym pojęcia, był kiedyś tajnym agentem na Marsie, a jego sny nie są snami, tylko wspomnieniami. Włączam akurat w momencie, gdy metapsychiczny mutant oblepiony flegmą pyta Schwarzeneggera, czego właściwie chce.

„Tego samego co ty – odpowiada bohater. – Chcę pamiętać”.

„Ale po co?” – pyta mutant.

„Żeby znów być sobą”.

ROZDZIAŁ 35

Przyjęłam kolejne zlecenie, tym razem w Marin. Przyjęcie w ogrodzie z okazji pięćdziesiątej rocznicy ślubu. Małżeństwo ma piątkę dorosłych dzieci, z których każde zjawilo się na uroczystości z własnymi dziećmi. Wszystko jest idealne: kalie zdobiące patio, milczący kelnerzy w białoczarnych strojach, skrzypkowie przechadzający się wśród gości, grający coś nieznanego, ale bardzo uspokajającego. Tylko ja, z niezgrabną torbą fotograficzną, w wygodnych butach i z rozczochranymi włosami, zdecydowanie tutaj nie pasuję. Z trudem radzę sobie z fotografowaniem krojenia tortu, po czym wymykam się do domu, odnajduję łazienkę na piętrze i staram się doprowadzić do porządku. Ręce mi się trzęsą i nie umiem się skoncentrować. Przez okno widzę zgromadzony tłum snujący się po zalanym słońcem ogrodzie. Dzieci bawią się w chowanego. Otwieram okno w łazience i zaczynam pstrykać kolejne zdjęcia. Wiem, że nawet jeśli nie potrafię zapanować na dłońmi, to zdjęcia na pewno spodobają się klientom: bosa dziewczynka zerkająca zza drzewa i jej brat skradający się tuż za nią, szczupły chłopczyk ukrywający się za krzakiem róży, mała dziewczynka w podniszczonej lnianej sukience i zdartych butach, która ich szuka, stojąc na środku ogrodu z rękami wspartymi na biodrach i wypatrując możliwych kryjówek.

Wiem, że za kilka tygodni klienci przyjdą do mnie i wybiorą najlepsze ich zdaniem zdjęcia. Oprawione fotografie staną na kominku, część zostanie

rozdana przyjaciołom, część skopiowana i rozesłana w postaci kartek świątecznych. Będą zadowoleni i przeświadczeni o tym, że ich rocznica została zachowana dla potomności, że ten moment będzie trwać wiecznie – pewność mojej pracy opiera się na tym właśnie fałszywym pojęciu.

Malowidło może przetrwać stulecia, a nawet tysiąclecia. Kaplica Sykstyńska, *Mona Lisa* i naskalne rysunki Majów są tego dowodem. Fotografia natomiast z natury rzeczy jest przemijającą dziedziną sztuki. Powolny proces zamazywania się obrazu zaczyna się już w chwili zrobienia zdjęcia. Celem fotografii jest zatrzymanie czasu, jednak jego upływ jest nieunikniony. Zdjęcia nie tylko nie są odporne na działanie gorąca, wilgoci i dotyku rąk, ale także ich skład chemiczny sprawia, że nieustannie zmieniają się pod wpływem światła.

Kolorowe zdjęcia wywoływane na papierze Kodaka, które reklamowane są jako „zdjęcia na całe życie”, w rzeczywistości zaczynają blaknąć już po dziesięciu latach. Nawet najbardziej odporne odbitki w odcieniach szarości wykonane na najlepszym papierze nie wytrzymają więcej niż sto lat.

Zdjęcia reprezentują naszą odwieczną walkę z czasem, naszą determinację, by zachować ulotny moment: słodką małą dziewczynkę, zanim stanie się sprawiającą problemy nastolatką, przystojnego mężczyznę, zanim stanie się łyсы i gruby, miesiąc miodowy na Hawajach, zanim ta para stanie się sobie obca, żyjąc w gniewie pod jednym dachem. Podejrzewam, że nasza obsesja w kwestii zdjęć wynika z niewypowiedzianego pesymizmu: w naszej naturze leży przeświadczenie, że dobre rzeczy nie będą trwały długo.

Tak wielką wiarę pokładamy w tej wątej metodzie zachowywania wspomnień, momencie zapisanym światłem. Zdjęcia dają nam jednak fałszywe poczucie bezpieczeństwa, bo podobnie jak nasza niedoskonała pamięć, także one zbledną i zanikną. Z czasem kontrast na fotografii słabnie, kolory płowieją, kontury są mniej wyraźne, a drobne szczegóły rozmazane.

Robimy zdjęcia, by zachować pamięć, ale naturą zdjęć jest zapominanie.

ROZDZIAŁ 36

Dzień sto piąty, dziesiąta czterdzieści trzy, plaża Ocean Beach. Listonosz siedzi na betonowym murze, obserwuje ocean i zajada bułkę z kiełbasą. Obok niego stoi kubek z McDonalda. Może chodzi o sposób, w jaki dwoma palcami strzepuje okruszki z kolan – precyzyjnie, delikatnie – a może o przechylenie jego ciała, gdy wpatruje się w ocean. Może o to, w jaki sposób jedna noga założona jest na drugą; jego stopy w skarpetkach o różnych odcieniach bieli nie dotykają ziemi. Nie potrafię wskazać konkretnego szczegółu, ale coś w nim wydaje mi się znajome. Tak jak kierowca furgonu pocztowego, którego widziałam na parkingu w dniu zniknięcia Emmy, i ten mężczyzna jest Amerykaninem chińskiego pochodzenia. Czy może to być ten sam człowiek?

Przez pewien czas siedzę w samochodzie, obserwując go i zastanawiając się. Po tak wielu dniach odwiedzania plaży jestem tak samo zdenerwowana faktem, że mogę mieć rację, jak i tym, że mogę się rozczarować. Po półgodzinie mężczyzna składa serwetkę w małą kostkę, wkłada ją do kubka, schodzi z muru i wyrzuca śmieci do kosza. Wsiada do wózka pocztowego i siedzi, słuchając muzyki z ipoda.

Podchodzę do wózka i uśmiecham się do listonosza.

- Czym mogę służyć? – pyta, ściągając słuchawki.
- Słyszał pan o niej? – Wręczam mu ulotkę ze zdjęciem Emmy.
- To dziewczynka, która zaginęła tu jakiś czas temu.

– Zastanawiałam się, czy tamtego dnia widział pan tutaj coś podejrzanego.

– Proszę?

– Był pan tutaj 22 lipca, w dniu, w którym zaginęła. Pamiętam, że widziałam pański furgon na parkingu.

– Przykro mi, ale to nie byłem ja. Jeżdżę tą trasą dopiero od września.

– A wie pan, kto jeździł tutaj wcześniej?

– Facet o nazwisku Smith, miły gość, oddany rodzinie. Jest teraz w szpitalu. Ma raka płuc.

– A oni? – pytam i wręczam mu rysunki pary z żółtej furgonetki. – Wydają się panu znajomi?

Przez kilka sekund patrzy na szkice, kręci głową i oddaje mi je z powrotem.

– Chciałbym pani pomóc, ale nigdy wcześniej nie widziałem tych twarzy.

Kolejne pół godziny spędzam w samochodzie i nadal obserwuję, po czym wracam do domu. Zaczęło padać. Na chodniku przed moim domem ktoś niebieską kredą namalował pole do gry w klasy – teraz pozostały tylko niewyraźne kontury. Na szczytowym kwadracie leży przemoczony woreczek z grochem.

Wieczorem dzwonię do detektywa Sherburne'a. Odbiera jego żona i nawet nie muszę się przedstawiać.

– Dzwoni Abby Mason – mówi do męża.

– Dobry wieczór – po kilku sekundach słyszę głos Sherburne'a.

– Przepraszam, że ponownie niepokoję cię w domu. Chciałam tylko zapytać, czy są jakieś nowe wieści.

– Przykro mi. Nic nowego.

W tle słychać płaczące dziecko.

- Jak się miewa małżeństwo? – pytam.
- Pełne ręce roboty, ale warto się poświęcić.
- Kolacja gotowa – woła żona detektywa. – Nakryłeś już do stołu?
- Prawie – odpowiada, a potem do mnie: – Jak się trzymasz?
- Jakoś leci.

Następuje pauza i w słuchawce słyszę drobne poruszenie w domu Sherburne'a – sztućce, talerze, biegające dzieci.

- Słuchaj, Abby. Wiesz, że zadzwonię, jeśli tylko czegoś się dowiemy.
- Jasne. Przepraszam, że przeszkadzam.

Odkładam słuchawkę, czuję się głupio i znów myślę o rodzinnym obrazku: Sherburne, jego żona, mała córeczka i niedawno urodzone dziecko zasiadają do kolacji. Najprostszy widok, który powtarza się w tysiącach domów w całym mieście. I pomyśleć, że my też moglibyśmy stworzyć podobny obrazek – Jake, Emma i ja – gdybym tylko nie spuściła Emmy z oczu. W jakiejś równoległej wersji wydarzeń, w jakimś równoległym wszechświecie, w którym te sekundy przed miesiącami potoczyły się w zupełnie inny sposób, nic takiego się nie dzieje. W tym alternatywnym świecie po prostu jesteśmy rodziną zasiadającą do kolacji. Emma jest bezpieczna, Jake i ja jesteśmy małżeństwem, a jutro po prostu wstaniemy rano, zjemy razem śniadanie, a później zawiozę Emmę do szkoły.

Dzwonię do Jake'a. Po czterech sygnałach włącza się automatyczna sekretarka, głos jest zniekształcony.

- W nocy będę w domu – nagrywam się. – Zadzwoń do mnie.

Wkładam małą mrożoną pizzę do piekarnika, a potem zasiadam z nią przed telewizorem i z radością wsłuchuję się w głosy wypełniające moje puste mieszkanie. Na kanale A&E jest jeden z moich ulubionych filmów, *Wall Street*. Charlie Sheen, zaniedbany, ze wzrokiem szaleńca, w pogniecionym garniturze i poluzowanym krawacie, kłóci się z Michaeliem

Douglasem w Central Park. Kamera krąży ponad nimi, zbliżając się i oddalając, niczym ptak, podczas gdy korumpowany chłopak i korumpujący mężczyzna toczą ze sobą słowną potyczkę w cieniu Manhattanu. Ja w tym czasie w myślach planuję dialogi, układając sobie to, co powiem Emmie, gdy wróci do nas. Najpierw powiem, że ją bardzo kocham, potem poproszę o wybaczenie, a na końcu, że niczego nie pragnę bardziej niż tego, by być jej mamą.

W ciemności, rozświetlanej tylko napisami końcowymi przesuwanymi się na ekranie i wpadającymi przez okno światłami samochodów odbijającymi się od mokrej nawierzchni, prawie uwierzyłam we własną historię. Prawie uwierzyłam, że pewnego dnia do moich drzwi zapuka detektyw Sherburne, który przyprowadzi ze sobą Emmę. „Wróciła do domu” – powie, a Emma przekroczy próg i wpadnie prosto w moje niecierpliwie oczekujące ramiona.

ROZDZIAŁ 37

– Płaty czołowe znajdują się dokładnie tutaj – wyjaśnia Nell, czubkami palców lokalizując punkt na moim czole. – Odpowiadają za funkcje wykonawcze naszego umysłu: samokontrolę, świadomość własnego zachowania.

Nell wciąż przychodzi do mnie raz lub dwa razy w tygodniu, przynosząc ze sobą domowy obiad. Pod jej czujnym okiem zmuszam się do jedzenia, podczas gdy ona opowiada mi o ciekawostkach, które odkryła w różnych książkach. Dzisiejsze menu jest bardzo interesujące – fasola, tłuczone ziemniaki i klops.

– W mózgu znajduje się małe naczynie krwionośne zwane tętnicą łączącą przednią – kontynuuje Nell. – Gdy pęka, odcina normalny przepływ utlenionej krwi do przednich płatów. W efekcie występuje coś takiego jak konfabulacja.

Mieszam fasolę z ziemniakami, mając nadzieję, że Nell nie zauważy, że nie jem.

– Czytałam o pewnym pacjencie, J.D., który przez kilka miesięcy przebywał w szpitalu. Gdy lekarz zapytał go, co robił w poprzedni weekend, J.D. opowiedział historię o wyjściu do kina z dziewczyną, a także o koszeniu trawnika. Wspomnienia były niezwykle wyraźne, łącznie z tytułem filmu, ulicą, na której znajdowało się kino, a nawet kolorem sukienki, którą miała na sobie dziewczyna. Rzeczywiście J.D. miał dziewczynę o imieniu Anna,

która odwiedzała go w szpitalu. Oczywiście nie mógł jednak być w kinie ani kosić trawnika, ponieważ cały czas przebywał w szpitalnej sali.

– Czyli kłamał?

– Nie kłamał. J.D. myślał, że przypomina sobie wydarzenia z weekendu. Zasadniczo konfabulacja to niezamierzona kreacja faktów lub fałszywych wspomnień. Powszechnym błędem jest pojmowanie pamięci jako komputera, który przechowuje i przetwarza informacje. Prawda jest taka, że pamięć jest aktem rekonstrukcji. Za każdym razem, gdy przypominamy sobie jakieś wydarzenie, składamy ze sobą różne wersje tego wydarzenia, opierając się na życiowym doświadczeniu. Osoba z prawidłowo funkcjonującymi płatami czołowymi wiedziałaby, że nie opuszczała szpitala i w związku z tym nie mogła być w kinie. Natomiast ktoś, kto konfabuluje, nie ma mechanizmów, które oddzieliłyby prawdę od fikcji.

– Czy w pewnym sensie wszyscy czegoś takiego nie robimy?

– Oczywiście. Mark Twain ujął to tak: „Zadziwiające jest nie to, jak wiele rzeczy pamiętam, ale to, jak wiele rzeczy pamiętam inaczej, niż miały miejsce w rzeczywistości”.

Tej nocy po wyjściu Nell myślę o tym, jak dorabiałam szczegóły do zmyślonej opowieści mojej matki o wycieczce do Gatlinburga. O tym, że tak bardzo chciałam uwierzyć w ten sielankowy obraz rodzinnego szczęścia, aż stworzyłam wspomnienia jazdy na sankach z ojcem i wieczornego oglądania telewizji w motelu wraz z Annabel, podczas gdy rodzice byli na kolacji.

Gdy zapytałam Annabel o tę scenę w motelu, przyznała mi trochę racji. Faktycznie, pewnej nocy siedziałyśmy we dwie w motelu i na malutkim telewizorze, leżąc na skrzypiących łózkach, oglądałyśmy serial *Eight Is Enough*. Tyle że było to w Chicago, a nie w Gatlinburgu, i wcale nie byliśmy na wakacjach. Pojechaliśmy tam na pogrzeb przyjaciela ojca z czasów studenckich, według Annabel, mama później przyznała, że pojechaliśmy tam

całą rodziną, gdyż podejrzewała, że ojciec ma romans, i nie chciała puścić go samego do Chicago.

Pamięć nie różni się od wielokrotnie naświetlonego zdjęcia. Jedno wydarzenie nakłada się na drugie tak, że nie jesteśmy w stanie rozpoznać i odpowiednio przyporządkować szczegółów. Im starsi jesteśmy, tym więcej wydarzeń nakłada się na siebie. Relacje czasowe stają się elastyczne. Z upływem kolejnych lat i nabieranym doświadczeniem te małe historie składające się na nasze życie stają się coraz bledsze i mniej wyraźne. Każdy z nas pozostaje z nieprawdziwą historią i samodzielnie wykreowaną fikcją na temat życia, które dotychczas prowadziliśmy.

ROZDZIAŁ 38

Oto jest prawda, to, co wiem: spacerowałam po plaży, trzymając Emmę za rękę. Spojrzałam w drugą stronę, na martwą fokę. Minęły sekundy. Minęły trzy miesiące, dwadzieścia osiem dni, dwanaście i pół godziny.

Kolejna noc, siedzimy we dwoje w domu Jake'a. Miejsce na podłodze przed telewizorem, gdzie zwykle siedziała Emma, jest rażąco puste. Jest dwudziesta trzecia, a my od wielu godzin pakujemy koperty. Robimy sobie półgodzinną przerwę, by zobaczyć serial *Biuro* i zjeść przy tym kolację kupioną w Pasquale's on Sloat. To jedyna pozostałość z czasów przed zniknięciem Emmy, jedyna rzecz, którą robimy razem i która jest namiastką normalności. Przez te pół godziny każdej nocy możemy prawie udawać, że wszystko jest takie jak dawniej.

– Co słyhać w pracy? – pytam, próbując nawiązać rozmowę.

Jake po prostu wzrusza ramionami i mówi:

– Nic nowego.

Na początku października wrócił do pracy w niepełnym wymiarze godzin, żeby, jak to określił, nie stracić ubezpieczenia zdrowotnego. Podejrzewam jednak, że w równym stopniu wrócił po to, by pozostać przy zdrowych zmysłach.

Gdy serial się kończy, wstaję i zbieram się do wyjścia, postępując zgodnie ze wzorem, który stał się już normą. Żadnych wspólnych nocy, żadnego wspólnego leżenia w łóżku po wyłączeniu telewizora. Podnoszę

torebkę i klucze leżące na stole, a gdy nachyliłam się, by pocałować Jake'a, on łapie moją dłoń i prosi:

– Nie odchodź.

– Co?

Muszę zapytać dwa razy, żeby upewnić się, że dobrze słyszałam. Sadza mnie na sofie stojącej przed nim i mówi:

– Zostań.

Siadam. Chwyta mnie za obie ręce i patrzy na moje kolana. Czuję, że chce mi coś powiedzieć. Pasek torebki wciąż mam na ramieniu i nie wiem, jak się zgrabnie od niego uwolnić. Jestem przygotowana na ucieczkę. Staram się nawiązać kontakt wzrokowy, ale jego głowa jest zwieszona. W czarnej czuprynie błyszczą pojedyncze siwe włosy.

Jake mocniej ściska mnie za rękę, a z lekkich ruchów jego głowy, nietypowego unoszenia i opuszczania ramion wnioskuję, że płacze.

– Co się dzieje?

– Dzisiaj w szkole.

Głaszczę go po plecach, czując się jak oszust. To zadziwiające, jak szybko może zniknąć intymność, jak niewiele czasu trzeba, by dwoje ludzi znów stało się dla siebie obcymi.

– Co się wydarzyło?

– To była piąta lekcja. Miałem wykład na temat Karola Wielkiego. Dzieciaki były bardzo grzeczne. Nikt nie marudził, nie podawał sobie liścików, nawet nikt nie rozmawiał. Zdałem sobie wtedy sprawę, że po prostu jest im mnie szkoda. Każdy, kto tam siedział, współczuł nauczycielowi, który stracił córkę.

– Daj im trochę czasu. Są po prostu zdenerwowani i nie wiedzą, co powiedzieć.

– Wtedy ktoś zapukał do drzwi. To był Silas Smith. W ubiegłym roku uczyłem go historii Ameryki. Zdolny dzieciak, spokojny, nosi te skórzane pasy z dziwnymi sprzączkami, które kupuje w sklepie żelaznym. „Telefon do pana” – powiedział. Zapytałem, kto dzwoni, ale stwierdził, że nie wie. Powiedział to tak przeprasającym tonem, że od razu wiedziałem, że nie wróży to niczego dobrego. Zadałem więc dzieciakom jakieś zajęcie i poszedłem do sekretariatu. Gdy tam dotarłem, czekała na mnie June Fontayne.

– Kto?

– June Fontayne. Jest nowym psychologiem szkolnym. Typ starej hippiski. Prawdziwa znachorka. Długa, szeroka spódnica, wszelkiego rodzaju bransoletki i naszyjniki z koralików. Na biurku ma mnóstwo kryształów, nad drzwiami wisi łapacz snów, kapliczka małego Buddy na półce. Wiem, że to jakaś zła wiadomość i wcale nie chcę jej słyszeć, niezależnie od tego, co ona ma mi do powiedzenia. Mówi, że dzwoniли z policji, ale gdy dowiedziała się, o co chodzi, pomyślała, że ona odbierze wiadomość. Uznała, że lepiej będzie, jeśli usłyszę to od niej. Tak jakby miała jakieś prawo być posłańcem.

O mój Boże, pomyślałam. Co miał usłyszeć?

– Policja znalazła ciało małej dziewczynki i chcieli, żebym zidentyfikował zwłoki.

– Nie.

Zegarek Jake’a wystaje spod mankietu koszuli. Wskazówka odliczająca sekundy porusza się z bolesną precyzją. Czas się rozszerza. Kilka sekund nigdy nie trwało tak długo. Przypominam sobie, jak Annabel odliczała podczas zabawy w chowanego: „jedna Missisipi, dwie Missisipi, trzy Missisipi”.

– June zaproponowała, że mnie podwiezie, ale wolałem jechać sam. Pojechałem przez Partolę, choć dwieście osiemdziesiątką byłoby szybciej.

Chyba miałem nadzieję, że zanim dojadę, biuro koronera będzie już zamknięte.

Jake wstaje i zaczyna chodzić po pokoju tam i z powrotem z rękami w kieszeniach. Chcę tylko, by dotarł wreszcie do końca tej historii, by powiedział, że to nie była Emma.

– Jadę tak wolno, jak to tylko możliwe, ale w końcu dojeżdżam na miejsce. Oczywiście biuro jest jeszcze otwarte. Siedzę w samochodzie na parkingu i myślę sobie, że nie dam rady tego zrobić. Nie dam rady wejść do tego budynku i popatrzeć na zwłoki dziewczynki, która może być Emmą. Ale wszedłem. Wyłączyłem umysł i wszedłem. Jaki miałem wybór? Z zewnątrz to po prostu zwykły, płaski budynek, nawet ładny, z bugenwillą pnącą się po ścianach i miłymi ławeczkami ustawionymi przed wejściem. Wewnątrz jednak wygląda jak szpital, wszystko jest białe i sterylne, a śmierdzi nawet gorzej, niż wygląda. Mieszanka amoniaku i okropnie słodkiego zapachu ludzkiego – nie zapachu ciała, ale czegoś innego, gorszego. Dopiero później dotarło do mnie, już w drodze do domu, że to, co czułem, było zapachem śmierci. Śmierć naprawdę ma swój zapach.

Jake wciąż chodzi po pokoju i zaczyna się pocić.

– Strasznie tu ciepło – mówi. – Nie jest ci za gorąco? – pyta.

I nie czekając na odpowiedź, podchodzi do okna i otwiera je. Wychyla się i głęboko wciąga nocne powietrze. Do pokoju wpada słaba woń oceanu zmieszana z zapachem oleju napędowego. Ulicą wolno przejeżdża jakieś auto i Jake przez moment jest oświetlony. Jego cień pada na kanapę, ścianę i dywan.

Patrzy na mnie.

– Jak twoim zdaniem działają w biurze koronera?

– Co masz na myśli?

– Myślisz pewnie, że okazują współczucie, prawda? Myślisz, że

rozumieją delikatną naturę tej sytuacji. – Śmieje się szalonym, niepowstrzymanym śmiechem. – Wcale tak nie jest, po prostu wykonują swoją robotę. Równie dobrze mogliby pracować w centrum handlowym. Są całkowicie odporni na to wszystko.

Podchodzi do kanapy i siada.

– Stałem przy recepcji i podałem dziewczynie swoje nazwisko. A ona spytała: „Przyszedł pan zidentyfikować ciało?”. Tak po prostu. Pochyliła się nad mikrofonem i wezwała pana Brewera. Kilka sekund później otworzyły się wielkie białe drzwi i ukazał się w nich mężczyzna. Był koło pięćdziesiątki, miał na sobie biały laboratoryjny fartuch. Uśmiechnął się i na powitanie uścisnął mi dłoń. Powiedział, że ma na imię Roger, po czym poprosił, bym poszedł za nim. Szliśmy przez niekończący się labirynt korytarzy. Po drodze powiedział, że to jego pierwszy tydzień pracy w tym miejscu. Później zaczął opowiadać o programie *The Love Squad*, o tym, jak poprzedniej nocy piękna młoda kobieta z Manhattanu została dobrana w parę z właścicielem nocnego klubu z Miami. Zapytał, czy to widziałem, ale zanim zdążyłem odpowiedzieć, zaczął mnie gorąco przeproszać. Przyznał, że zawsze dużo mówi, gdy jest zdenerwowany.

– Szczerze mówiąc, byłem wdzięczny za tę pogawędkę – kontynuował Jake. – Nie wiem, czy zniósłbym ciszę. Nie odstawił takiej mowy, jaką słyszy się w filmach. Nie mówił mi, żebym się trzymał. Po prostu siedł i gadał, a na końcu jednego z korytarzy otworzył drzwi i weszliśmy do małego, jasnego pokoju z trzema metalowymi stołami ustawionymi pośrodku. Stoły były porysowane i lśniące; przypominały szkolną stołówkę. Były jednak puste, nikt na nich nie leżał, po prostu stały takie puste. Ulżyło mi. Pomyślałem, że to może jakaś pomyłka, że może ktoś już zidentyfikował ciało, jakiś inny ojciec przebył tę straszną pielgrzymkę i znalazł tu swoją córkę, ciało zabrano, stół oczyszczono, a ojciec wraca już do domu.

Współczułem facetowi, ale cieszyłem się, że to nie byłem ja. Odwracałem się już w kierunku drzwi, gdy Roger powiedział: „Tutaj”. Wtedy właśnie otworzył chłodnię. Tak to właśnie wyglądało: wielka chłodnia wypełniona szufladami. Wysunął jedną i nawet nie miałem czasu się zastanowić, nie miałem czasu, by zamknąć oczy, by zadać pytanie, by dodać sobie otuchy. Po prostu wysunął szufladę, a w niej leżało ciało okaleczonej małej dziewczynki. Żadnego prześcieradła, żadnych ubrań, po prostu ciało, zimna biała skóra, małe dłonie i małe sinawe stopy.

Jake łka. Nie jest typem mazgaja. Płakał tylko kilka razy od momentu zniknięcia Emmy, a fakt, że płacze w tej chwili, przeraża mnie.

– Popatrzyłem na jej włosy – mówi. – Włosy były pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem. Była blondynką. Ta mała, biedna dziewczynka była blondynką.

Moje serce wraca na swoje miejsce. Czas przywraca mu naturalny rytm bicia, a Jake obejmuje mnie i ściska tak mocno, że boję się o żebra. Dociera do mnie, że ja też płaczę, z ulgi, a także z poczucia winy, wiedząc, że Jake przechodzi przez to wszystko z mojego powodu, świadoma bólu, smutku i strachu, jakim przykryłam jego wcześniejsze, szczęśliwe życie.

Po kilku minutach uwalnia mnie. Siada wyprostowany, ociera oczy i kładzie dłonie na kolanach.

– Po tym byłem w stanie spojrzeć na jej twarz. Miała zamknięte oczy. Jej uszy były maluteńkie, a w miejscach, gdzie powinny być kolczyki, miała małe dziurki. Na pewno była mniej więcej w wieku Emmy. Na jej szyi były siniaki, tak jakby została uduszona, a na całym ciele miała zadrapania. Roger pewnie myślał, że zidentyfikowałem ciało, gdyż położył rękę na moich plecach i wpatrywał się w podłogę. Chyba nawet myślał nad tym, co powiedzieć. Gdy stwierdziłem, że to nie Emma, na jego twarzy zauważyłem ulgę.

Jake wyciąga rękę i kładzie ją na moim karku. Przyciąga mnie do siebie

i całuje. To bardzo agresywny i głodny pocałunek. Nie ma w nim żadnej pokory, żadnej rezerwy, całuje mnie tak, jakby musiał, jakby w tym momencie nie było innej możliwości. We mnie też coś się gotuje, pożądanie, jakiego nie czułam od miesiący, którego nie chciałam czuć, bo uważałam, że to nie w porządku w stosunku do Emmy. Wkłada mi dłoń pod bluzkę i po kilku minutach lądujemy w łóżku, nadzy, zdesperowani i niezdarni niczym dzieciaki ze szkoły średniej.

– Poczekaj – mówię, zsuwając się z niego.

– Co się stało?

– Zróbmy to powoli.

Przez jakiś czas leżymy obok siebie, dotykamy się i rozmawiamy szeptem. Moje palce wędrują po jego ciele, wyczuwając niewielkie twarde zgrubienie pod skórą prawego uda – mała anomalia, którą pokochałam. Jake dotyka szerokiej blizny pod moim pępkiem, która jest pamiątką z wyprawy na łyżwy w wieku dziesięciu lat. W ten sposób na nowo się poznajemy. A gdy wchodzi we mnie, przypominam sobie nasz pierwszy raz, który przeżyliśmy w hotelu w Bodega Bay – za oknem ryczał ocean, a grupa młodzieży hałaśliwie grała w zośkę. Po wszystkim siedzieliśmy wtedy na balkonie w szlafrokach, popijając wodę gazowaną i snując plany na przyszłość. Obserwując nastolatków, miałam przyjemną wizję przyszłości, w której przyjeżdżalibyśmy z Emmą do takich miejsc, gdzie mogłaby spotykać dzieci w swoim wieku. Obserwowalibyśmy ją, ale nie ze zbyt bliskiej odległości. Przynależałam wówczas, że będzie miała szczęśliwe dzieciństwo i jeszcze szczęśliwszy okres dojrzewania. Zośka wpadła na nasz balkon, a jedna z grających osób pomachała w naszą stronę. Była to jasnooka dziewczyna w zielonym stroju kąpielowym. „Dobry rzut” – powiedziała, gdy Jake cisnął zośkę wprost w jej wyciągnięte i oczekujące dłonie.

Około drugiej w nocy rozplątujemy nasz miłosny uścisk i każde odsuwa

się na swoją stronę łóżka, tak jak to zwykle robiliśmy. Jake chrapie cichutko, a ja leżę i rozmyślam o tej małej dziewczynce, o stalowej chłodni, w której leży jej ciało oczekujące na identyfikację. Myślę o jej małych uszach i siniakach na szyi. Zagnieździła się w moim umyśle, nie mogę wyrzucić jej obrazu. Ten horror nie pozwoli mi zasnąć. O trzeciej w nocy wychodzę z łóżka i idę korytarzem do pokoju Emmy. Drzwi są zamknięte. Przekręcam klamkę. Podłoga jest nierówna, a pokój nieco skrzywiony po siedemdziesięciu latach częstych wstrząsów. Czułam je wiele razy, gdy cały dom trzeszczał i drżał, zawsze jednak stał pewnie i pozostał nietknięty. Gdy zasuwka zostaje zwolniona, drzwi powoli się uchylają. Siadam na łóżku Emmy. W pokoju wciąż można wyczuć jej słaby zapach, tę słodkawą, błotnistą woń, którą przynosiła ze sobą po długich popołudniowych godzinach spędzonych na podwórku, zmieszana z mleczno-słonym zapachem kleju biurowego i stęchłym zapachem tektury.

Mija trochę czasu. Spoglądam w stronę drzwi i widzę Jake'a stojącego w progu, z rękami wspartymi na biodrach i ze łzami w oczach. Patrzy na mnie.

ROZDZIAŁ 39

Wstaję o piątej rano, robię kawę, siadam w kuchni i próbuję czytać wczorajszą gazetę. Małe litery się rozmazują. Nagłówki zlewają się ze sobą i tworzą bezsensowne zdania. Przestrzeń pomiędzy wyrazami sprawia wrażenie otchłani nie do przebycia. Telefon leży na stole, kilkanaście centymetrów od mojej dłoni. Zastanawiam się, czy zadzwonić do Jake'a. W oddali wyje syrena wozu straży pożarnej.

Jest 17 listopada. Dzień sto osiemnasty.

Dziś Emma kończy siedem lat.

Koło południa dzwonię do Jake'a. Włącza się automatyczna sekretarka, wita mnie ta sama wiadomość, która witała ludzi jeszcze przed zniknięciem Emmy. Godzinę później dzwonię ponownie. Bez odpowiedzi. Jadąc Osiemnastą przez Eureka Valley, próbuję zaplanować naszą rozmowę, próbuję myśleć o wszystkich rzeczach, które powinny zostać powiedziane.

Jego auto stoi na podjeździe. Tuż obok zaparkowany jest kabriolet Lisbeth.

Zatrzymuję się po drugiej stronie ulicy i siedzę w samochodzie przez kilka minut, chcąc, żeby mnie zobaczył, żeby wyszedł i zaprosił do środka. Mija bardzo długie pół godziny, zanim otwierają się drzwi i wychodzi Lisbeth, wsiada do samochodu i odjeżdża. Tuż po tym podchodzę do drzwi i stoję tak przez kilka minut, próbując uspokoić nerwy i zapukać. Gdzieś na ulicy ktoś odpala silnik motocykla. Chodnikiem idzie mężczyzna z dwójką

dzieci. Mężczyzna niesie torbę z zakupami, a dzieci lodowe rożki i rozmawiają głośno o króliku, którego mają w szkole.

Dzwonię do drzwi i nic się nie dzieje. Dzwonię ponownie, czekam kilka minut, po czym wkładam swój klucz do zamka. Wewnątrz są zaciągnięte zasłony i zgaszone światło. Mija kilka chwil, zanim oczy przyzwyczajają się do ciemności. Jake siedzi na kanapie w salonie, łokcie ma wsparte na kolanach, a głowę schowaną w dłoniach. Podłoga wokół niego usiana jest prezentami zapakowanymi w jasny papier z wielkimi kokardami. Wstążka i nożyczki leżą obok niego na narzucie.

– Jake?

Nawet nie podnosi głowy.

– Widziałam, że Lisbeth tu była – mówię.

Wciąż żadnej odpowiedzi. Nie mogę przestać zastanawiać się, po co ona tu przysłała, czego od niego chciała. Nie potrafię w żaden sposób jej zaufać, nie potrafię uwierzyć, że Emma jest głównym obiektem jej zainteresowania.

Przedzieram się przez prezenty i siadam na kanapie obok Jake'a. Chcę go dotknąć, ale nie wiem jak. Po prostu siedzę i czekam, aż coś powie, starając się nie patrzeć na te wszystkie prezenty. Później słyszę czyjeś kroki na zewnątrz, stukanie oraz odgłos papieru pocieranego o metal, głuchy łomot poczty upadającej na podłogę. W mieszkaniu jest bardzo cicho. Siedzimy tak przez długi czas. W pewnym momencie zdaję sobie sprawę, że zrobiło się ciemno i do środka wniknął chłodny powiew nocy.

W drodze do domu czerwone światła wydają mi się ponure, a hałas samochodowego radia odbieram jako coś ohydneho. Jak zwykle jadę powoli i przez otwarte okno uważnie obserwuję ulice. Na każdym skrzyżowaniu, przy każdym wejściu do budynku, przy każdej oświetlonej wystawie sklepowej na nowo uderza mnie nieobecność Emmy. Jadę przez Mission, a potem wracam na Guerrero. Następnie idę pieszo przez Dolores Park. O tej

porze można tam spotkać dwa rodzaje ludzi – tych, którzy sprzedają narkotyki, i tych, którzy je kupują. Gdy tak wędruję przez park, ciche głosy prezentują swoje wieczorne towary – zielsko, koka, amfa. Przecząco kiwam głową i wpycham ulotkę w rękę nieznajomych.

– Co to, kurwa, jest? – mówi ktoś i łapie mnie za ramię, gdy próbuję wręczyć mu ulotkę.

Osobnik ma na sobie różową wełnianą czapkę, która wydaje mi się dziwnie dziecinna. Szybko zdaję sobie sprawę, że to przecież dzieciak, żylasty i blady, najwyżej piętnastoletni.

Głęboko wciągam powietrze i staram się nie okazywać strachu, powtarzam swoją mantrę, zdanie, które jest dla mnie już tak naturalne jak oddychanie:

– Zgubiłam małą dziewczynkę.

– No to pomyliłaś miejsca – odpowiada dzieciak i zanim pozwala mi odejść, boleśnie ściska moje ramię.

Kilka minut później siedzę w samochodzie, drżące ręce kładę na kierownicy. Jake nie wie, że to robię. Nie wie o moich nocnych wyprawach na Ocean Beach, do parku Golden Gate i Tenderloin, nie wie o niewłaściwych miejscach, które odwiedzam o niewłaściwych porach. On ma swój własny rytm poszukiwań – sztab, radio, odpowiednio ułożone listy i mapy – a ja mam swój.

Wracam do domu i dzwonię do Annabel.

– Dzisiaj kończy siedem lat – mówię.

– Wiem. Dzwoniłam kilka razy. Alex chciał jej posłać prezent. Myślę, że tak naprawdę nie rozumie, co się stało.

Annabel coś je. Pod tym względem jest taka jak matka – ogromny apetyt i błogosławiony metabolizm.

– Mówiłam ci kiedyś, że pani Callahan przysłała mi kartkę, gdy

skończyłam studia? – mówi po krótkiej chwili. – To było dziwne. Zwykła kartka z gratulacjami z okazji ukończenia studiów i kupon zniżkowy do Gapa. W kopertę wciśnięty był też list napisany na kartce z notesu. Papier był pomarszczony, tak jakby ktoś go pogniótł, a potem ponownie wyprostował. To był długi, chaotyczny list o tym, że państwo Callahan się rozwiedli kilka lat wcześniej, on mieszkał w Dallas, a ona została dyrygentem dziecięcego chóru w jakimś kościele w miejscowości Satsuma w Alabamie.

– Myślałam o tym, co kiedyś mówiłaś, że Sarah pozostała przy życiu przez siedem tygodni. Gdzie porywacz ją przetrzymywał?

– W swoim domu, raptem kilka kilometrów od miejsca, w którym mieszkali jej rodzice. Trzy tygodnie po porwaniu zabrał ją nawet do centrum handlowego, by kupić jej nową sukienkę. Ubrał ją w perukę i nałożył sporo makijażu, przez co nikt nie mógł jej rozpoznać.

Wyobrażam sobie małą dziewczynkę stojącą w centrum handlowym i porywacza, który mocno ściska jej palce.

– Dlaczego nie uciekła?

– Zagroził, że jeśli ucieknie, zabije jej rodziców.

– Kilka dni temu doszłam do wniosku, że ktokolwiek to zrobił, chcę, żeby poniósł śmierć. Długą, powolną śmierć.

– Abby, to zupełnie do ciebie niepodobne. Nie wierzę, że słyszę to z ust kobiety, która na studiach organizowała protest przeciwko karze śmierci.

– Nie czuję się sobą. Nie wiem, czy kiedykolwiek jeszcze poczuje się sobą. – Milknę na chwilę. – Robię listy.

– Jakie listy?

– Dzieci, które zniknęły. Przez dziesięciolecia były ich tysiące.

– Dlaczego sobie to robisz, Abby?

– Tak jakby wszystkie nagle rozplynęły się we mgle.

Myślę o rodzinnej wycieczce do San Francisco, na którą wybraliśmy się, gdy miałyśmy kilkanaście lat. Był lipiec i wzorem wielu turystów spakowaliśmy się i pojechaliśmy do Kalifornii. W krótkich spodenkach i cienkich bluzkach Annabel i ja wybrałyśmy się na spacer po moście Golden Gate. Po kilku sekundach trzęsłyśmy się. Tamtego dnia most spowity był tak gęstą mgłą, że nie widziałyśmy nawet tych słynnych pomarańczowych wież. Olbrzymia biała masa przesuwiała się nad zatoką, zamazując zarysy widniejącego w oddali miasta. Annabel i ja pstrykałyśmy sobie zdjęcia. Wiele lat później, gdy wróciłyśmy do domu, żeby uporządkować rzeczy matki, znalazłyśmy pudełko z napisem „Album z San Francisco”. Matka nigdy nie miała zamiaru go robić, ale zatrzymała odcinki biletów na prom, do więzienia Alcatraz i zdjęcia. Z fotografii nie da się odczytać tego, gdzie jesteśmy ani nawet kim jesteśmy. Widoczne są jedynie nasze rozmazane sylwetki spowite jasną białą mgiełką.

ROZDZIAŁ 40

Dzień sto trzydziesty ósmy. Trzecia nad ranem, bezsenność, pod ręką butelka niebieskiego johnniego walkera – zeszłoroczny prezent od jakiegoś wdzięcznego klienta. Na zewnątrz burza, wiatr uderza w okiennice, wewnątrz ekran komputera jarzy się mleczną bielą. Od wielu godzin zwiedzam internetowe czaty, opowiadam historię Emmy i zostawiam adres www.findemma.com. Liczba wejść na tę stronę rośnie w bardzo szybkim tempie, goście wpisują wyrazy współczucia, dowody sympatii, nikt jednak nie przekazuje żadnych istotnych informacji. Nie ma chyba bardziej dobitnego dowodu ogromnej samotności niż wielogodzinne nocne przemierzanie cyberprzestrzeni.

Sasha67 pisze: „Wygląda prawie tak samo jak moja siostrzenica, która zmarła na białaczkę sześć lat temu”.

Snowboard4ever mówi: „Jest czwarta nad ranem w Missoula. Zadzwoń do mnie”. Zostawia numer telefonu i w niewiadomym celu dodaje datę urodzenia – jest młody, prawdopodobnie student.

Bored2tears pisze, że w Vancouver pada śnieg, a potem dodaje długą listę dziewczyn, które odeszły od niego w ostatnich piętnastu latach wraz ze szczegółowo opisanymi powodami.

Aż dziwne, że niezmierna otchłań internetu nie przestaje funkcjonować w zalewie grzechów, które w każdej sekundzie wrzucają do niej miliony internautów. Jest jednak coś uspokajającego w fakcie, że technologia sieci

internetowej pozostaje odporna na ludzki smutek, że kable i procesory przetwarzają te pełne desperacji zwierzenia niczym liczby. Śmierć i zniszczenie, złamane serca i złowrogie groźby, zaginione dziewczynki i spanikowane matki – wszystko sprowadza się do danych, które mogą być wysłane, przechowywane i zapomniane.

Wiadomość na moim prywatnym komunikatorze, tym, z którego korzystam również w pracy: „Cześć. Właśnie wróciłem z Finlandii. Kiedy mogę wpaść po zdjęcia? Nick Eliot”.

Zupełnie o nim zapomniałam. Nick Eliot, jego bardzo sztywne włosy i rodzinna historia o długowieczności, Nick Eliot, którego prababcia Eliza skończyła niedawno dziewięćdziesiąt dziewięć lat. Wychował się w Anglii, w Oksfordzie, ale od wielu lat mieszka tutaj, nad zatoką. Tydzień przed zniknięciem Emmy przyszedł do mnie z małym plikiem zdjęć, które chciał poddać renowacji.

– Znalazłem panią w internecie – powiedział, wręczając mi kopertę ze zdjęciami. – Spodobało mi się pani zdjęcie. Ma pani twarz godną zaufania. – Jego palce dotykały koperty o sekundę lub dwie dłużej, niż to było konieczne.

Muszę przyznać, że coś poczułam, jakiś impuls elektryczny, który przebiegł przez jego palce, przez kopertę i dotarł do mojej dłoni. Pachniał znajomo, jak babka piaskowa. Miał na sobie granatowy garnitur i błękitną koszulę. Pomyślałam o Jake’u i cofnęłam dłoń.

– Zobaczmy, co my tu mamy – powiedziałam, otwierając kopertę.

Na zdjęciach była Eliza w wieku siedemnastu lat, w kapeluszu z szerokim rondem i w bufiastych rękawach, machająca z okna pociągu. Była też Eliza z wesołymi oczami, w butach ze sprzączką, siedząca ze świeżo poślubionym mężem na schodach budynku sądu. Eliza kilka lat później, z jedną dłonią na głowie małego dziecka, a drugą wspartą na wypukłym brzuchu. Na każdym

zdjęciu prababcia Nicka była wypłowiała, jej skóra była trupio blada, tak jakby zbyt długo siedziała w ciemności.

– Może je pani odnowić? – zapytał.

– Zobaczę, co da się zrobić.

Wręczył mi wizytówkę: poniżej nazwiska małymi zgrabnymi literami wydrukowany był jego bliżej nieokreślony zawód: „konsultant”. Gdy wychodził, odwrócił się, podrapał po głowie, uśmiechnął w nieco zawstydzony sposób i powiedział:

– Zwykle tego nie robię, ale czy gdy wrócę, będę mógł zaprosić panią na kolację?

Uniosłam lewą dłoń i zakręciłam pierścieniem zaręczynowym. Nawet gdy to robiłam, zastanawiałam się, jak by to było usiąść przy stoliku naprzeciwko Nicka, rozmawiać o książkach i podróżach, dowiedzieć się, jakie ma upodobania, posłuchać historii jego rodziny. Od momentu poznania Jake’a był to pierwszy raz, gdy ktoś uświadomił mi, z czego rezygnuję – ekscytujące doświadczanie pierwszego pocałunku, nowy związek, wolność działania w nim, ewentualny zaskakujący koniec. Kochałam Jake’a, kochałam Emmę. Byłam bardzo szczęśliwa, że mogę wkrótce rozpocząć nowe życie wraz z nimi, nie mogłam jednak przestać myśleć o tym, co zostawiam za sobą w drodze do ołtarza.

– Och – powiedział, uśmiechając się. – W takim razie przepraszam. Gratulacje.

Dwa dni przed zniknięciem Emmy zadzwoniłam do Nicka, by powiedzieć, że zdjęcia są już gotowe, ale nie oddzwonił. Kilka dni temu na mojej automatycznej sekretarce zostawił wiadomość, że wyjechał w interesach, ale tym razem ja nie oddzwoniłam.

Teraz piszę na komputerze: „Zdjęcia wyszły całkiem dobrze”, i naciskam enter, wyobrażając sobie, że Nick siedzi przed ekranem gdzieś na drugim

końcu miasta, we własnym mieszkaniu, we flanelowej piżamie i skórzanych kapciach.

„Kiedy mogę je odebrać? Jutro?”

Kiedy? Proste pytanie, ale przepełnione niemożliwością. Jutro rano o ósmej mam charytatywne śniadanie z Komitetem Matek na Rzecz Bezpiecznego Sąsiedztwa w Marin, na którym życzliwe i dobrze sytuowane matki oferują współczucie przy talerzu z owocami i cieniutkimi naleśnikami. Od dziesiątej do jedenastej mam codzienną wizytę na Ocean Beach. Następny przystanek to sztab, gdzie Brian da mi mapę rejonu zatoki z zaznaczonym na różowo obszarem, w którym mam się poruszać. Dostanę również plik ulotek, które zaprojektował Brian. Każdego dnia ulotki są nieco inne, różnią się czcionką, obramowaniem lub umiejscowieniem zdjęcia Emmy. Liczba wolontariuszy spadła z dwustu pięćdziesięciu siedmiu do dziewiętnastu, ale Brian wciąż pojawia się po zajęciach trzy razy w tygodniu.

Po południu wracam na Ocean Beach. To zawsze najtrudniejsza część dnia – długie godziny bezczynności, które w żaden sposób nie przybliżają mnie do Emmy, długie godziny, podczas których przemierzam zimną plażę tam i z powrotem, mijam biegaczy i ludzi z psami, pary trzymające się za ręce, ogniska rozpalane przez bezdomnych. Mijam surferów, którzy gromadzą się w szarej wodzie w oczekiwaniu na kolejną falę.

Wieczorem pojedę do domu Jake’a, gdzie przygotuję prostą kolację, podczas gdy on będzie pracował przez telefon, dzwoniąc do gazet i stacji radiowych, próbując wrzucić historię Emmy do aktualnych wiadomości. Zainteresowanie mediów spadło praktycznie do zera, ponieważ od zniknięcia minęły już ponad cztery miesiące. W tym czasie zaginęły kolejne dzieci w innych stanach. Była strzelanina na autostradzie w Montanie, bomba w szkole średniej w Nowym Jorku, ciężarna kobieta zamordowana w Monterey, trzęsienie ziemi nieopodal Eureka. Zwracanie uwagi na Emmę

z dnia na dzień stawało się coraz trudniejsze.

Jake i ja prawie wcale nie odzywamy się podczas moich wizyt, ale żadne z nas chyba nie wie, jak inaczej moglibyśmy spędzać wieczory. Nie licząc tamtej nocy po wizycie Jake'a u koronera, od czasu zniknięcia Emmy nie kochaliśmy się ani razu.

Wcześniej zwykle zmywaliśmy razem naczynia, a potem szłam za Jakiem na górę, cichutko, by nie obudzić Emmy. Rozbierając się, rozmawialiśmy i wskakiwaliśmy pod kołdrę. Czasami kochaliśmy się, choć najczęściej po prostu leżeliśmy obok siebie i gadaliśmy, aż w końcu któreś z nas zasypiało. Miałam wrażenie, że ustaliliśmy już pewien rytm naszego małżeństwa, że wypracowaliśmy sposób, w jaki będziemy żyć. Wyobrażałam sobie, że nasze noce rok po roku będą wyglądały właśnie tak. Ta myśl w równym stopniu mnie uspokajała i przerażała.

Na moim komunikatorze pojawiły się słowa: „Jesteś tam jeszcze?”.

„Przepraszam. Właśnie sprawdzałam terminarz. Jutro to niezbyt dobry pomysł”.

Opieram palce na skraju klawiatury i zastanawiam się, co napisać, jak odmówić bez mówienia, że moje życie zostało wywrócone do góry nogami i nie jestem w stanie funkcjonować w społeczeństwie ani nawet wykonywać najprostszych czynności, że Emma zniknęła, ja się zagubiłam i wolałabym po prostu odesłać zdjęcia pocztą, gdy na ekranie pojawia się kolejna wiadomość: „A może teraz?”.

„Jest środek nocy”.

„Technicznie rzecz biorąc – odpowiada – jest rano. Ty nie śpisz. Ja nie śpię. Właśnie leciałem osiemnaście godzin z Helsinek, a za siedem mam spotkanie. Jeśli położę się spać, to z pewnością zaśpię”.

Wyobrażam sobie, jak się uśmiecha, pisząc tę wiadomość. Może nawet sam jest zaskoczony swoją zuchwałością, a może po prostu to jego naturalny

sposób zachowywania się, perswazyjna taktyka faceta, który zawsze dostaje to, czego chce.

„Jest burza”.

„Zaryzykuję”.

Jak mogę odmówić? Annabel przecież nie będzie wiecznie płacić moich rachunków. Nick jest klientem, a ja teraz potrzebuję klientów. Przyjedzie z książeczką czekową i długopisem. Dam mu zdjęcia – zwykła transakcja, pieniądze za wykonaną usługę.

„Zrobię kawę” – piszę.

„Będę za dwadzieścia minut”.

Zamieniam piżamę na dżinsy i sweter. Nastawiam kawę, myję zęby i chowam brudne ubrania do szafy. Gąbką przecieram umywalkę w łazience – ile czasu minęło, odkąd robiłam to ostatni raz? Zmieniam sweter – zdejmuję czerwony, w którym wyglądam jak widmo, na niebieski, który – mam nadzieję – tuszuje moją bladość, i wtedy odzywa się dzwonek.

Gdy kroki Nicka słysząc już na schodach, nakładam na usta cienką warstwę szminki, czując się przy tym w pewnym sensie winna. Oto jest dylemat, to wszystko, co wiem. Za piętnaście czwarta nad ranem czujność jest uśpiona. Za piętnaście czwarta w środku burzy, gdy ulice są opustoszałe, sklepy pozamykane, a całe miasto śpi, łatwo jest zapomnieć o zobowiązaniach, łatwo jest zapomnieć o kłopotach. Szczególnie, jeśli od trzech miesięcy praktycznie nie śpisz, jesteś po trzech szklaneczkach whisky, a facet stojący w drzwiach uśmiecha się, wchodzi do środka, całuje cię delikatnie w policzek, tak jakby przyszedł na randkę, a nie w interesach, jego włosy są mokre od deszczu, parasolka kapie obok niego, jest ubrany w pognieciony, choć drogi garnitur, nie ma krawata i wciąż, mimo osiemnastogodzinnej podróży z Finlandii, pachnie babką piaskową. W rękę trzyma małą czerwoną torebkę ze złotą wstążką i mówi:

– Przywiozłem to dla ciebie. Niewiele, ale tylko tyle mogłem znaleźć w podróży.

W czerwonej torebce są przybory kuchenne, gumowa łopatka i trzepaczka do piany.

– Głupi pomysł, wiem – mówi Nick, gdy odpakowuję prezent. – Gotujesz? Nawet nie mam pojęcia, czy w ogóle gotujesz.

– Gotuję. I są śliczne. Dziękuję.

– W Helsinkach – wyjaśnia – wszystko jest stylowe, nawet przybory kuchenne.

To prawda, łopatka i trzepaczka mają zielone gumowe rączki i gładką aluminiową resztę. Wyglądają jak rzeczy z artykułu o kuchniach znanych osób.

– Pewnie myślisz, że jestem dziwny.

– Nie dziwny, tylko pomysłowy.

– Za to pewnie dostanę dużo punktów. – Rozpina marynarkę i wyjmuje kolejną torbę. W środku jest czapka z grubej niebieskiej wełny z nausznikami i dużym czerwonym pomponem na czubku. – Są bardzo popularne w Finlandii. Zobaczyłem ją i pomyślałem o tobie.

Śmieję się szczerym, głośnym śmiechem. Od dawna się tak nie śmiałam.

– Dzięki. Jesteś przemoczony. Wyskakuj z tej marynarki. Zaparzyłam właśnie dzbanek świeżej kawy.

W ten sposób Nick siedzi w mojej kuchni, a jego jasnoszare spodnie poznaczone są ciemnymi plamkami po kroplach deszczu. Gdy ja przygotowuję filiżanki z kawą, Nick zauważa butelkę stojącą na blacie.

– Szczerze mówiąc, napiłbym się tego.

– To dobrze. Nie lubię pić sama. W jakiej postaci?

– Czystą proszę.

Coś w sposobie, z jakim powiedział „czystą”, z nietypowym akcentem – nie brytyjskim, ale też i nie amerykańskim – sprawia, że lubię go jeszcze bardziej.

Nalewam po trochu, a potem siadam naprzeciw niego przy małym stoliku. Uśmiecha się i podnosi szklanę.

– Za nieprzyzwoite spotkania w środku nocy – mówi.

– Na zdrowie. Ale to tylko interesy, prawda? W tym spotkaniu nie ma nic nieprzyzwoitego.

Kręci głową.

– Oczywiście. Tylko interesy.

Whisky ogrzewa moje usta i gardło. Każdy kolejny łyk sprawia, że czuję mrowienie, a opuszki palców stają się przyjemnie odrętwiałe. Przez minutę, może trochę dłużej, nie odzywamy się, a ja wiem, że muszę powiedzieć mu o Emmie, bo może nie znać tej historii, skoro tak długo przebywał poza krajem. Staram się odpowiednio dobrać słowa, myślę, jak wyjaśnić to, co się stało. Nagle Nick wyciąga rękę i odgarnia kosmyk włosów z mojej twarzy. Taki zwykły gest, jednak odbiera mi mowę, ten moment czułości nie ma nic wspólnego ze współczuciem.

– Pewnie myślisz, że jestem szalony, ale myślałem o tobie.

– Naprawdę?

– Przepraszam, nie powinienem tego mówić. Prawie wcale się nie znamy, poza tym przecież masz narzeczonego.

Właśnie teraz powinnam powiedzieć mu o Emmie, ale miło jest słuchać tego, co mówi. Chcę tego słuchać, chcę poczuć ten moment normalności.

– Przypominasz mi dziewczynę, którą znałem w szkole średniej. Miała na imię Simone. Masz takie same oczy i uśmiechasz się w identyczny sposób.

– Simone – mówię z poczuciem winy, ale chcę podtrzymać tę rozmowę z miłym, atrakcyjnym mężczyzną, który, w przeciwieństwie do Jake’a, nie

ma powodu, by mnie nienawidzić. – Gdzie ona teraz jest?

– Kto to wie? Mieliśmy trzy randki. Zakochałem się beznadziejnie, a potem jej rodzina spakowała się i przeniosła do Utah.

– Stawiam dwadzieścia dolarów, że mieszka w wielkim domu w Salt Lake City z gromadką dzieci.

– Możliwe.

– A ty?

– Mam brata i dwie siostry. A co u ciebie?

– Jesteśmy tylko dwie. Mam siostrę młodszą o dwa lata.

– Gdzie teraz jest?

– W Karolinie Północnej.

Nick przechyła szklanekę i wypija whisky do ostatniej kropli, po czym odstawia naczynie i przesuwa palce po jego skraju. Paznokcie ma w idealnym stanie, nieco zaokrąglone i elegancko błyszczące. Jest typem mężczyzny, który bez oporów korzysta z salonów piękności, czytając „Wall Street Journal”, podczas gdy młoda kobieta z czerwoną szminką na ustach zajmuje się jego dłonią i paznokciami.

– To jest twoje mieszkanie i miejsce pracy? – pyta, rozglądając się dookoła.

– Tak. Miałam szczęście, że wynajęłam to przed internetowym boomem. Ciemnia jest na piętrze.

– Mogę ją zobaczyć?

– Pewnie.

Na szczycie schodów odczuwam zawroty głowy.

– Wszystko w porządku? – pyta Nick, podtrzymując mnie.

– To whisky. Podłoga się rusza czy tylko ja?

– Może powinnaś usiąść.

Łóżko znajduje się na końcu korytarza, a za nim są drzwi do ciemni. Stoję tyłem do łóżka, a Nick przodem do mnie, trzymając mnie za ramiona, utrzymując jednak odpowiedni dystans. Łóżko czy ciemnia? Łóżko czy ciemnia? Nie muszę wybierać, bo wszystko dzieje się samoczynnie, moje ciało samo chce upaść na łóżko. Nick po prostu stoi z rękami wspartymi o biodra.

– Przynieść ci coś? Aspirynę?

– Nie, dziękuję. Za chwilę wszystko będzie dobrze.

Rozgląda się, prawdopodobnie szukając miejsca do siedzenia. W pokoju nie ma jednak żadnych krzeseł.

– Tutaj. – Klepię ręką w łóżko. – Siadaj obok mnie.

Materac zapada się nieznacznie pod jego ciężarem. Zegarek pokazuje czwartą dwadzieścia pięć. To taki moment nocy, w którym wszyscy śpią: o trzeciej piętnaście najbardziej energiczni imprezowicze idą do domów, a o piątej sumienni robotnicy budzą się i wyłączają alarm w budzikach. Ale o czwartej dwadzieścia pięć praktycznie każdy jest w łóżku. To godzina duchów, godzina, w której dzieją się najbardziej nieprzewidywalne rzeczy. Niewątpliwie rzeczy, które dzieją się o tej godzinie, zostają wybaczone, a przynajmniej zapomniane.

Nie ruszam się, gdy Nick dotyka ręką moich ud, nie ruszam się, gdy nachyla się, by mnie pocałować. Jego pocałunek jest delikatny, powolny, nienatarczywy. Może właśnie tego potrzebuję. Może właśnie to wyrwie mnie z tego dziwnego, otępiełego stanu, w jakim znalazłam się po zniknięciu Emmy. Czy to możliwe, by seks z tym mężczyzną przerwał mój paraliż? Czy seks z nim obudzi mnie, czy pomoże mi odzyskać utracone fragmenty zdrowych zmysłów? Czy jeden prosty akt pomoże odbudować moją pamięć, ułożyć wspomnienia w spójną całość?

Gdy mnie całuje, w mojej głowie tłuką się trzy słowa: sytuacja,

uczestnictwo, wyzwolenie. Trzy słowa prosto z ust Sama Bungo, prowadzącego sesje dla osób uzależnionych od seksu, na które w wieku siedemnastu lat zostałam zapisana przez rodziców. Sam nie był psychiatrą, nie był nawet dyplomowanym terapeutą. Był po prostu kościelnym doradcą, ale tylko na tyle mogli pozwolić sobie moi rodzice. W młodości był ministrantem w kościele baptystów w Montgomery, jednak wystąpił z kościoła w niewyjaśnionych okolicznościach. Gdy go spotkałam, od trzech lat prowadził zajęcia z uzależnionymi od seksu i miał już wypracowaną regułę postępowania. Na każdej sesji po kilka razy musieliśmy powtarzać te trzy słowa.

Sytuacja, mówił Sam, otwiera drzwi, przez które wchodzi zło. Pierwszą obroną przed seksem miało być unikanie nieprzyzwoitych sytuacji, okoliczności, w których stajemy się ulegli.

Uczestnictwo, zapewniał, jest wrogiem. Chrześcijanie muszą trzymać się z dala od grzeszników, w ten sposób sami będą chronieni od grzechu. „Nie można dać się ujarzmić” – mawiał.

I w końcu wyzwolenie. Jeśli zboczyłeś z drogi i znów znalazłeś się w sytuacji, było jasne, że zmierzasz wprost do uczestnictwa. Wtedy jedyną opcją było wyzwolenie: zapnij biustonosz, zapnij spodnie i wynoś się stamtąd tak szybko, jak się da. „Nie oglądaj się za siebie – mawiał Sam. – Nie przypadkiem żona Lota zmieniła się w słup soli”.

Nie był mądry, ale teraz wydaje mi się, że miał rację. Może jego hasło było boską inspiracją maskującą głupotę. Złamałam pierwszą regułę, sytuację, pozwoliłam Nickowi przyjść do mnie. Całowanie na pewno można uznać za uczestnictwo. Wciąż jednak nie jest zbyt późno na wyzwolenie.

– Nie powinniśmy – mówię.

– Tak, przepraszam. – Wspiera się na łokciach, wzdycha i uśmiecha się smutno. – Jak ma na imię? Twój narzeczony.

– Jake.

– To miły facet?

– Bardzo.

Wstaję i otwieram drzwi do ciemni, włączam światło.

– Chodź tutaj – mówię.

Wchodzi za mną. Być może myśli, że zmieniałam zdanie i zamierzam kontynuować nasz romans w otoczeniu odczynników chemicznych i pojemników na płyny. Po jednym spojrzeniu na ciemnię jego twarz zmienia się.

– Co to jest? – pyta, wskazując na zdjęcia Emmy, na dziesiątki jej zdjęć przyklejonych na ścianach.

Emma w zoo, Emma na plaży, Emma na huśtawce w ogródku Jake'a. Emma stojąca przed swoją szkołą, trzymająca się za ręce z Ingmarem, chłopcem, którego uwielbiała w przedszkolu. Emma i Jake stojący w słońcu w Tsunami Town w Crescent City.

Opowiadam mu historię Emmy. Opowiadam, w jaki sposób ją zgubiłam. Mówię, że powoli tracę zmysły, a Nick zbliża się i obejmuje mnie. Tym razem w uścisku nie ma nic seksualnego, żadnego pożądania. Po prostu robi jedyną rzecz, o której w tej chwili mógł pomyśleć. W końcu w ubraniu kładzie mnie do łóżka.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, to zejść na dół, podłączę laptopa i przygotuję się do spotkania – mówi.

– Zostań tak długo, jak chcesz – odpowiadam.

Część mnie ma nadzieję, że za godzinę Nick wejdzie do mojego łóżka i przytuli się do mnie. Bardziej racjonalna część ma jednak nadzieję, że wyjdzie, zanim zdążę zrobić coś głupiego. Zasypiam przy cichym stukocie jego palców uderzających w klawiaturę.

Rano, gdy się budzę, słyszę jego krzątanie się po kuchni. Szybko

wskakuję w świeże ubranie, myję zęby, przemywam twarz i schodzę na dół. Siedzi przy stole i pije kawę. Nalewam sobie trochę i siadam obok niego.

– Do twarzy ci w dwudniowym zarościu – mówię.

– Dziękuję.

Niezręczna pauza. Oboje wpatrujemy się w swoje filiżanki.

– Przepraszam za to w nocy – mówi.

– Nie masz za co przeproszać. – Kładę na stole kopertę ze zdjęciami jego prababci. – Chyba po to przyszedłeś.

Wypielęgnowanymi palcami dotyka koperty.

– To miło z twojej strony, że udajesz, iż to był jedyny powód mojej wizyty w środku nocy.

– Miło z twojej strony, że jesteś takim dżentelmenem. Obawiam się, że moja silna wola nie wytrzymałaby tej próby.

– Chciałbym poznać cię w innych okolicznościach – mówi.

Podchodzi do zlewu i myje filiżankę, stawia ją na suszarce, wyciera dłonie i wyciąga z kieszeni książeczkę czekową.

– Ile jestem ci winny?

– Dwieście siedemnaście.

– Prawie darmo – odpowiada i starannie wypisuje cyfry piórem Mont Blanc.

– Dostałeś zniżkę za nocleg. Nie obejrzyś zdjęć?

– Ufam ci – mówi, wręczając mi czek.

Potem wychodzi, a ja zostaję sama. Słońce wpadające wielkimi oknami jest zbyt jasne, zbyt intensywne. Tak jak letnie słońce na plaży w Alabamie, gdzie każde ciało, każda rzecz ma ciemnozłotą poświatę i niemożliwe jest precyzyjne określenie obserwowanych rzeczy, bo blask słońca sprawia, że wszystko migocze i wygląda nieprawdziwie.

ROZDZIAŁ 41

– Nie żartuj – powiedział Jake, gdy pierwszy raz usłyszał o moich zajęciach dla uzależnionych od seksu.

Był ciepły dzień. Emma pojechała na wycieczkę do zoo, a Jake i ja wybraliśmy się do Java Beach. Jake zanurzył migdałowe ciastko w kawie i powiedział:

– Wiem, że masz fioła na punkcie seksu, ale nigdy nie pomyślałbym, że jesteś nałogowcem.

Facet siedzący przy sąsiednim stoliku spojrzął znad „Bay Guardian” i puścił do mnie oczko.

– Nie byłam. Moi rodzice wbili sobie to do głów, a ja nie miałam szans, żeby ich przekonać.

– Chyba znamy się już wystarczająco długo, bym mógł zadać ci to pytanie – powiedział.

Miał na sobie czapeczkę Giants i czarną koszulkę z krótkim rękawem. Wyglądał dobrze, bardzo dobrze, a ja chciałam iść z nim do łóżka. Jeszcze tego nie zrobiliśmy. Bardzo zbliżyliśmy się do siebie i oboje wiedzieliśmy, że wkrótce to nastąpi. Czekaliśmy tylko na właściwy moment.

– Jakie pytanie?

– Tradycyjne pytanie o liczbę twoich poprzednich partnerów.

– Może lepiej nie – odpowiedziałam

– W czym problem?

– No dobrze. Ale ty pierwszy.

Stół był pokryty okruszkami, moimi i jego. Jake z pomocą plastikowego noża zgarnął je na kupkę.

– Betsy Paducah, gdy miałem piętnaście lat. Jej ojciec miał stadninę koni w Wirginii Zachodniej, a ona przyjechała do San Francisco na letnie warsztaty plastyczne. Później była Amanda Chung, miałem wtedy siedemnaście lat. Deb Hipps na pierwszym roku college’u, Janey, zapomniałem nazwiska, w tym samym roku, a później poważny związek na przedostatnim roku studiów z Elaine Wayne.

Kontynuował przez kilka minut, na końcu wymieniając Rebecę Walker sprzed kilku miesięcy.

– Gdzie spotkałeś Rebecę?

– W szkole średniej.

– To był związek czy przelotny romans?

– Trzy miesiące, jeśli można nazwać to związkiem. To była jedyna kobieta, z którą spotykałem się od czasu rozvodu. Bycie samotnym rodzicem nie zostawia zbyt wiele wolnego czasu na spotkania towarzyskie. – Stuknął swoim kubkiem w mój i dodał: – Oczywiście do momentu, w którym spotkałem ciebie.

– Kto z kim zerwał?

– Wtedy myślałem, że wspólnie podjęliśmy decyzję. Później jednak Rebecca przez kilka tygodni zostawiała przykre notki w mojej skrytce pocztowej w szkole. Wychodzi więc na to, że ja byłem tym złym.

– Wciąż tam uczy?

Potakująco kiwnął głową.

– Literatury angielskiej i francuskiego.

Wyobraziłam sobie Jake’a próbującego spokojnie zjeść kanapkę

w pokoju nauczycielskim, podczas gdy siedząca naprzeciwko Rebecca trąca pod stołem jego stopę i szepcze pikantne słowa po francusku.

– Dwanaście – mówię. – Konkretna liczba.

– Liczyłaś?

– Myślałam, że o to chodzi.

– Teraz twoja kolej. Od pierwszego do ostatniego.

Zacząłam mówić o Ramonie, który nauczył mnie seksu oralnego przysłon, równoczesnego orgazmu i czułości kliszy. Ramon, który robił mi zdjęcia, setki zdjęć, które później, po jego śmierci w wypadku motocyklowym, wpadły w ręce moich rodziców.

– Jego siostra po wypadku znalazła zdjęcia i mój adres – wyjaśniłam. – Pomyślała, że prześle je moim rodzicom.

– Całkiem spora różnica wieku – powiedział Jake.

– Wiem, ale to wyglądało inaczej, niż można by pomyśleć. Był gotowy się ze mną ożenić.

Opowiedziałam Jake’owi, jak w ostatnim miesiącu życia Ramon zadzwonił do mnie i powiedział: „Nie mogę żyć bez ciebie”, a ja odparłam: „Pewnie, że możesz. Ja jestem w college’u i w tej chwili nie mogę się z tobą spotykać”. To była nasza ostatnia rozmowa.

– Jakie to były zdjęcia? – zapytał Jake.

– Zgadnij.

– Odrażające.

– To nie tak. To znaczy, jasne, że był dla mnie zbyt dorosły, ale to naprawdę był miły facet.

– Gdyby Emma kiedykolwiek związała się z takim facetem – powiedział – goniłbym go po mieście ze strzelbą.

Nie opowiadałam Jake’owi, jak Ramon ustawiał mnie do zdjęć, jak

w swoim mieszkaniu jasno oświetlonym promieniami słońca rozbierał mnie kawałek po kawałku. Jak stałam naga na środku pokoju, a oświetlona podłoga wirowała pod moimi nogami. Czułam się wtedy oszołomiona, a Ramon pstrykał zdjęcie za zdjęciem. Były zbliżenia – łokieć, kolano, biała skóra wewnętrznej strony uda, zagięcie stopy, uszy z małymi rubinowymi kolczykami, które dostałam od niego. Dużo później moja matka rozłożyła te zdjęcia na szklanym stoliku kawowym i powiedziała: „Co to, na miłość boską, jest?”.

Nigdy nie widziałam jej tak rozgniewanej. Płakała. Naprawdę myślała, że zostałam opętana przez diabła. Ojciec nie mógł na mnie patrzeć. Siedział w bujanym fotelu w rogu pokoju i wpatrywał się w pianino, ponieważ nie było tam innej rzeczy, na którą mógłby skierować wzrok. Na pianinie, wypolerowanym na żółtawy połysk, stała figurka niebieskiego ptaka z malutką złotą korbką, która nakręcało się pozytywkę, rząd rosyjskich lalek oraz zdjęcie Annabel i mnie, dużo młodszych, ubranych w takie same kraciaste stroje uszyte przez matkę. A na stoliku do kawy leżały te inne zdjęcia, moje ciało było na nich nagie, a rozkosz oczywista i upokarzająca.

– To nie jest normalne – powiedział ojciec.

– Seks to błogosławiony akt kobiety i mężczyzny, których Bóg złączył sakramentem małżeństwa – dodała matka tak, jakby cytowała jakiś religijny podręcznik.

Ojciec kręcił głową i huśtał się w fotelu. Nie patrzył na mnie. W tym samym fotelu kołysał mnie i usypiał, gdy byłam malutka.

– Kiedy robisz to z kimś, oddajesz mu duszę – powiedziała matka. – Ten odrażający mężczyzna już na zawsze będzie posiadał kawałek twojej duszy.

Myślałam o motocyklu, zastanawiałam się, co Ramon czuł podczas wypadku, czy ból był duży, czy może od razu nastąpiła ciemność. We wrześnie podczas pogrzebu jego trumna była otwarta. Stałam tam z jego

siostrą, którą właśnie poznałam. Wyglądała tak jak on: oliwkowa skóra, zielone oczy i pozostawione w artystycznym nieładzie włosy. „Zbyt dużo różu” – powiedziała, wyjmując chusteczkę higieniczną z torebki, by wyczyścić jego policzki. Chusteczka zrobiła się różowa. Myślałam o tym, jak bardzo byłby nieszczęśliwy z makijażem.

Gdy rodzice mnie strofowali, telewizor był ściszony i ustawiony na CNN, Christiane Amanpour omawiała sytuację w Syrii. Chciałam być taka jak Christiane, być na drugim końcu świata, robić coś, co ma znaczenie.

Nie opowiedziałam Jake’owi, jak zalało mnie poczucie winy, jak czułam się odpowiedzialna za to, co przydarzyło się Ramonowi. Zamiast tego powiedziałam:

– Zabrali mnie ze szkoły na cały semestr. Trzy razy w tygodniu musiałam chodzić na zajęcia terapeutyczne z tym szalonym Samem Bungo, który uwielbiał slogany.

– Nieźle jak na siedemnastoletnie dziecko – stwierdził Jake, a ja byłam mu wdzięczna, że nie powiedział nic złego o Ramonie. Byłam mu wdzięczna, że nie nalegał, bym dokończyła zabawę, że nie chciał, bym dokończyła wymienianie swoich partnerów.

Jake wyglądał tak porządnie, siedząc naprzeciwko mnie w czapce z daszkiem, miałam wrażenie, że chce mi zupełnie zaufać.

– No więc – powiedziałam – czy moja przeszłość nie jest dla ciebie zbyt burzliwa? Jeszcze możesz się wycofać.

– Dzięki temu jesteś bardziej interesująca. Poza tym może się okazać, że twoi rodzice mieli rację i naprawdę jesteś uzależniona od seksu, a ja jestem szczęściarzem. A co się stało z Samem Bungo?

– Dziwna historia. Dziesięć lat temu przypadkowo spotkałam jego siostrę. Agentka FBI nazwiskiem Sandy Bungo była gościem na jednym z wykładów z politologii na Uniwersytecie Tennessee. To nietypowe nazwisko,

w dodatku zauważyłam podobieństwo. Po wykładzie podeszłam do niej i zapytałam, czy jest spokrewniona z człowiekiem o nazwisku Sam Bungo. Zapytała, skąd go znam, a ja bez zastanowienia wypaliłam: „Chodziłam na zajęcia, które prowadził”. Uśmiechnęła się i powiedziała: „O rany”. Zapytałam, co słyhać u Sama. Okazało się, że odsiaduje wyrok za jakieś przestępstwo, którego nie chciała mi ujawnić. Stałam przez chwilę mocno zaskoczona, w końcu poprosiłam, by pozdrowiła go ode mnie.

To był pierwszy i ostatni raz, gdy z Jakiem rozmawiałam o Ramonie lub o kimkolwiek innym, z kim się umawialiśmy. Nawet na temat Lisbeth rozmawialiśmy bardzo rzadko. Lubiłam w Jake’u to, że potrafił przeszłość zostawiać w przeszłości. Przy nim czułam, że wszystko zmierza do przodu.

ROZDZIAŁ 42

W ostatnią niedzielę listopada na Ocean Beach dostrzegam pomarańczowego chevelle'a. Gdy o dziesiątej rano dojeżdżam na swój poranny obchód, samochód już stoi. Jest niezwykle słoneczny dzień, a mgła prawie zupełnie ustąpiła. Na horyzoncie powoli przesuwa się łódź żaglowa.

Zapisuję numery rejestracyjne, a później parkuję za chevelle'em, zostawiając między nami dwa wolne miejsca. Ręce mi się trzęsą, serce wali jak oszalałe, całe ciało drży. Kierowcą jest ten sam mężczyzna, którego widziałam tamtego dnia, z siwiejącymi włosami i zaczątkiem brody. Czyta gazetę i pije kawę. Jego twarz jest poważniejsza, niż zapamiętałam, a na boku samochodu nie ma żółtego pasa – pozostałe szczegóły jednak się zgadzają: kołysząca się figurka tancerki hula na desce rozdzielczej, Matka Boska wisząca na lusterku wstecznym.

Dzwonię do detektywa Sherburne'a. Włącza się poczta głosowa.

– Jest tutaj – mówię. – Na plaży. Facet w pomarańczowym chevelle'u.

Recytuję numery rejestracyjne, a później dzwonię na pager Sherburne'a i na jego domowy numer. Żadnej odpowiedzi.

Przez pół godziny obserwuję mężczyznę. Nie przegląda gazety, tylko naprawdę ją czyta, nad każdą stroną spędzając sporo czasu. W końcu wysiada z samochodu, podchodzi do muru oporowego i patrzy na ocean. Zabieram kubek po kawie, wyrzucam go do kosza na śmieci, przechodząc powoli kilka kroków od mężczyzny. Ma na sobie bardzo eleganckie buty, zbyt eleganckie

na plażę.

– Ładny dzień – mówi.

– Taki właśnie miał być.

– To mój pierwszy rok w San Francisco – mówi. – Niezupełnie tego się spodziewałem, przeprowadzając się do Kalifornii. Lato było tak zimne, że prawie spakowałem walizki i wróciłem do domu.

– A skąd pan jest?

– Z Nevady. A pani?

– Z Alabamy.

– Kiedyś miałem takiego – mówi, wskazując ręką chłopca spacerującego po plaży z psem.

– Dziecko? – pytam zaskoczona.

– Nie. Psa. Brązowego labradora.

– Aha.

– Frank. Najbardziej szalony i uroczy pies, jakiego kiedykolwiek znałem.

– A gdzie jest teraz?

– Chciałbym to wiedzieć.

Wokół mężczyzny roztacza się aura samotności, tak jakby do dłuższego czasu był sam. Staram się myśleć o odpowiednim pytaniu, które mogłabym mu zadać.

– Co pana sprowadziło do San Francisco?

– Odpowiedź mogłaby zająć dłuższą chwilę.

– Nie spieszy mi się.

Zakłada ręce na piersiach.

– Coś pani powiem. Przedstawię dziesięciminutową wersję przy filiżance kawy w Louis's.

Powtarzam sobie, bym była spokojna i mówiła naturalnym głosem.

– Zgoda.

Zamykamy samochody i idziemy brukowaną ścieżką do restauracji. Zajmujemy stolik przy oknie z widokiem na ocean. Jakaś młoda para idzie ścieżką do ruin Sutro Baths.

– Nawet nie wiem, jak się pani nazywa – mówi, mieszając kawę ze śmietanką.

– Dana. – Kłamstwo z łatwością wydostaje się z moich ust. – A pan?

– Carl Renfroe.

Poniżej para młodych ludzi znajduje kawałek przestrzeni niewidocznej z otaczających ją ścieżek. Tam, w miejscu, gdzie ocean uderza w ruiny, bardzo łatwo jest odnieść wrażenie, że jest się niewidzianym. Próbuję wymyślić, w jaki sposób mogę wydobyć z Carla informacje bez wzbudzania podejrzeń, tymczasem dziewczyna podnosi spódnicę, kuca i sika.

– Miejsca w pierwszym rzędzie – mówi Carl.

Dziewczyna nie jest świadoma, że ktoś ją obserwuje, nie spieszy się. Chłopiec podnosi dłoń do oczu i patrzy w kierunku restauracji. Mówi coś do dziewczyny, która szybko podciąga bieliznę, opuszcza spódnicę i wstaje.

– Tak jest przynajmniej raz w tygodniu – informuje kelnerka. – Ludzie nie mają pojęcia, że tu jesteśmy.

Do restauracji wchodzi rodzina i siada w boksie za Carlem. Rozmawiają cicho. Rodzice nie wyglądają na tyle staro, by mieć taką rodzinę – nastoletniego syna, małe dziecko i niemowlę z dziwnie ukształtowaną głową. Ojciec siada na krześle, ma białą czapkę z daszkiem nisko opuszczoną na czoło. Mówi dzieciom, by się uspokoiły.

– Słyszają cię wszyscy stąd aż do Iowa – zwraca się do żony, która dziwi się cenom umieszczonym w menu.

– Miał pan powiedzieć, dlaczego przeprowadził się do Kalifornii – mówię do Carla.

– Moja żona zginęła dwa lata temu. Wypadek autobusu w Gwatemali.

– Przykro mi.

– Miała tylko czterdzieści trzy lata. Pracowała tam nad filmem dokumentalnym. Kilka miesięcy później syn wyjechał do college'u – mówi i otwiera opakowanie słodzika Sweet 'n' Low i wsypuje go do kawy. – Nie zostało już nic, co mogłoby zatrzymać mnie w Nevadzie.

Przez moment rozważam możliwość, że Carl wie, kim jestem. Być może pamięta moją twarz z tamtego dnia na plaży. Może wraca do sceny przestępstwa. Ale czuję, że to nieprawda. Kolejny ślepy zaułek. Kolejna możliwość skreślona z coraz krótszej listy. Ten człowiek na pewno nie jest porywaczem, zbrojnym ani mordercą. Nie jestem pewna, skąd to wiem, po prostu wiem. Z niektórymi ludźmi można żyć przez długie lata i nigdy nie zrozumieć ich prawdziwej natury, innych z kolei bardzo łatwo rozszyfrować, jak książkę, w której podkreślono najważniejsze fragmenty.

Kelnerka przynosi nasze jedzenie. Carl doprawia omlet solą i pieprzem.

– Alabama. To daleko od domu. Ale San Francisco chyba jest miejscem, które łatwo pokochać.

– Kiedyś takie było.

– Brzmi jak tajemnica.

– Szukam kogoś.

– Tak? Kogo?

– Małej dziewczynki. Zniknęła na tej plaży w lipcu.

Jego twarz zmienia się – rozpoznanie, współczucie.

– Słyszałem o tym. Przez kilka tygodni była to jedna z głównych wiadomości. – Marszczy brwi. – Miała na imię Emily?

– Emma. Ma na imię.

– Przykro mi. To musi być straszne. Nie potrafię sobie tego wyobrazić.

– Był pan tutaj.

– Proszę?

– Tego dnia, kiedy zniknęła. Był pan tutaj, na parkingu. Pamiętam pana samochód. Miał włączone światła. Zastanawiałam się, czy nie zwrócić panu uwagi, ale w końcu zrezygnowałam. Wyglądał pan na zajętego czytaniem gazety.

Odstawia kawę, patrzy na mnie i w końcu coś do niego dociera.

– Myślała pani...

Wiercę się na krześle.

– Był pan sam. Przechodziłyśmy tuż obok pana.

– Czekala pani, aż tutaj wrócę?

– Tak.

– I?

– To nie pan. Ale musiałam się upewnić.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, robiłbym dokładnie to samo.

– Pamięta pan coś? – pytam. – Widział pan coś, lub kogoś, podejrzanego?

– Nie pamiętam. To nie był dla mnie dobry rok. Wszystko zlewa mi się w jedną całość.

– Proszę pomyśleć. Cokolwiek. To była sobota, 22 lipca. Dziesiąta trzydzieści rano. Zimny i naprawdę mglisty dzień.

Koncentruje się i potrząsa głową.

– Przykro mi.

– Proszę.

Mówię zbyt głośno, zbyt nerwowo. Ojciec z Iowa patrzy na mnie, nastoletni syn smaruje masłem tost młodszego brata, a matka pakuje do torebki paczki z cukrem i śmietanką do kawy. Ściszam głos:

– Cokolwiek. Musi pan coś pamiętać.

– To było kilka miesięcy temu. Miałem wiele spraw na głowie.

Drogę powrotną na parking postanawiamy przebyć nie ścieżką, tylko plażą, boso. Lodowata woda obmywa nasze stopy. Na Seal Rock wylegają się foki.

– Mieszkam w Stockton – mówi Carl. – Małe mieszkanie z widokiem na zatokę. Gdy spędzałem tam pierwszą noc, słyszałem ten odgłos dochodzący z pirsu. Nie miałem pojęcia, co to jest. Brzmiało jak sfora psów. W końcu dowiedziałem się, że to foki. Tygodniami nie mogłem zasnąć i myślałem, że przeprowadzka była błędem. Po jakimś czasie jednak przestałem to zauważać. Teraz, gdy odwiedzam syna, nie mogę zasnąć, cisza doprowadza mnie do szału.

– Chyba z czasem można się do wszystkiego przyzwyczaić – mówię.

Na kocu blisko wody siedzi jakaś Rosjanka i rozmawia przez telefon komórkowy. Patrzy, jak jej mąż na przemian zanurza i wyjmuje z wody ich nagie, śmiejące się dziecko.

– Wciąż widzi pani twarz Emmy? – pyta Carl. – Wyraźnie?

– Tak.

– Moja żona zaczyna się już rozmazywać. Gdy zamknę oczy, mogę zobaczyć jej fryzurę, kolor oczu, kolczyki. Nie mogę jednak wyraźnie zobaczyć kształtu jej twarzy. Szybko idę wtedy do kredensu, wyciągam jej zdjęcie i wszystko powraca. Ale dzień później obraz znów zaczyna blednąć. A jej głos... zupełnie już go nie słyszę.

– Może zapominanie jest podświadomym działaniem instynktu samozachowawczego – mówię. – Może z czasem, jeśli nie potrafimy wyraźnie ich usłyszeć lub zobaczyć, ich nieobecność staje się mniej bolesna.

– Jest taki wers w piosence Toma Petty’ego – mówi Carl, kopiąc złamanego pieniążkowca. Odchrząkuje i zaczyna śpiewać: – „Pamiętam, że dobre czasy były trochę bardziej wyraziste”.

Rozpoznaję piosenkę. To *Here Comes My Girl*. Choć pamiętam tylko słowa, wydaje mi się, że Carl trochę fałszuje.

ROZDZIAŁ 43

Książki Nell ułożone są na mojej szafce nocnej w wysoki stos. W nocy nie jestem w stanie spać, więc przebijam się przez nie, robię notatki i szukam sposobu na przeczesanie własnej pamięci.

W roku 477 przed naszą erą grecki poeta Symonides dał początek nauce zapamiętywania. Odkrył swoje powołanie zupełnie przypadkiem, gdy został zaproszony na ucztę do bogatego dostojnika imieniem Skopas, na której wyrecytował długi poemat liryczny w części sławiący Skopasa, a w części poświęcony bogom, Kastorowi i Polluksowi. Dostojnik, zły, że musiał dzielić się chwałą z bogami, odmówił Symonidesowi zapłaty całego honorarium.

Chwilę później poeta został wywołany z uczy przez dwóch młodych chłopców. Później dopiero dowiedział się, że byli to właśnie Kastor i Polluks, którzy w ten sposób ocalili mu życie. Gdy Symonides był już na zewnątrz, zawalił się dach sali, gdzie odbywała się uczta. Masakra była tak ogromna, że krewni Skopasa nie potrafili rozpoznać ciał zabitych. Symonides jednak umiał je zidentyfikować, ponieważ zapamiętał miejsca, na których siedzieli goście. Po tym incydencie sformułował metodę miejsc.

Metoda jest prosta: wyobraź sobie jakieś prawdziwe bądź wymyślone miejsce – na przykład dom lub kościół, w pełni umeblowany, kilkupokojowy – i w myślach umieść rzeczy, które chcesz zapamiętać, w danym porządku. Później przejdź przez wyznaczoną przestrzeń i pozbieraj rozmieszczone w niej rzeczy.

W okresie renesansu Giulio Camillo z Bolonii wznosił ten proces na kolejny poziom, budując drewniany teatr pamięci, który był prezentem dla króla Francji. Teatr zawierał w sobie znaczki, małe pudełeczka, ornamenty i figurki. Camillo wierzył, że przechodząc przez ten teatr i dołączając obrazy i słowa do rzeczy tam ulokowanych, człowiek będzie w stanie zapamiętać wszystko, co zechce. Według Camilla każdy, kto spędzi dwie godziny w jego teatrze pamięci, osiągnie zdolność dyskusowania na każdy temat z fachowością równą Ciceronowi.

„S”, człowiek, który nie mógł zapomnieć, nigdy nie słyszał o Symonidesie ani o metodzie miejsc. Kiedy jednak otrzymywał od swego lekarza listę rzeczy lub miejsc do zapamiętania, odbywał w swym umyśle spacer ulicą Gorkiego w Moskwie. W myślach układał słowa i obrazy w charakterystycznych punktach ulicy: w oknach sklepowych, przy pomnikach, przy bramach. Odtworzenie zapamiętanych sekwencji było jedynie kwestią umysłowego spaceru i zbierania rzeczy porozmieszczanych w różnych miejscach. Niestety, jedyną rzeczą, jaką „S” chciał zapamiętać, był sposób zapominania.

Pewnej nocy, po przeczytaniu rozdziału o teatrze pamięci stworzonym przez Camilla, miałam sen, w którym w nocy zbliżam się do ogromnego budynku znajdującego się na odludziu. Budynek jest biały i nie ma okien, a na środku jest duża łukowa brama. Po wejściu znajduję się w labiryncie pokoi, z których każdy jest wypełniony zdobionymi rzeczami: wazami i ceramicznymi figurkami, zasłonami, pudełkami o różnych rozmiarach, zrobionymi z drewna, srebra i jadeitu.

Powoli przechodzę przez pokoje, podnosząc i otwierając naczynia. W moje ręce wpadają najróżniejsze przedmioty: kamyki i plastikowe koraliki, litery alfabetu, pogniecione kartki czystego papieru, spinacze i pinezki, potłuczone muszle i kawałki drewna. Jest też złota żaba, która

znika, gdy tylko próbuję jej dotknąć, i kawałek twardego czerwonego cukierka, na wpół zjedzonego. Otwieram pudełka, przeszukuję je, ale znajduję tylko bezużyteczne rzeczy. Wszystkie przedmioty są na tyle małe, że mieszczą się w mojej dłoni, ale żaden z nich nie ma nic wspólnego z Emmą, żaden z nich nie jest tym, czego szukam. Przechodzę przez wszystkie pokoje i sprawdzam każdą możliwość.

Gdy wydostaję się z budynku, jest dzień. Oślepiająco świeci słońce i nie jest to już puste pole, tylko plac wypełniony sklepami i ludźmi – rowerami, sprzedawcami, stoiskami z gazetami i dziećmi skaczącymi na skakance, mężczyznami w garniturach i kobietami w letnich sukienkach. Przeciskając się przez tłum, wiem, że jest jakieś miejsce, w którym muszę być, ale nie pamiętam ani miejsca, ani powodu, dla którego muszę tam być, ani osoby, która może tam na mnie czekać.

ROZDZIAŁ 44

Dzień sto czterdziesty siódmy.

– Jak opisałybyś swoje relacje z Emmą? – pyta Deborah Haze, gospodyni lokalnego porannego talk-show.

Jej brwi są wysoko zakrzywione, niczym szeroko otwarta litera V, niczym ptak namalowany przez małe dziecko. Deborah znana jest z dużych koronkowych kołnierzyków charakterystycznych dla starych filmów i rdzawoczerwonego rumieńca. Jej gęste jasne włosy, spiętrzone na czubku głowy, dodają jej kilka centymetrów. Staram się na nią nie gapić.

W ciągu tygodni poprzedzających Boże Narodzenie Deborah robi w swoim programie przegląd wszystkich wydarzeń, które w mijającym roku wstrząsnęły lokalną opinią publiczną. Historia Emmy jest czwarta w kolejności. Nigdy nie lubiłam Deborah, ale jestem w stanie zrobić wszystko, by twarz Emmy ponownie pojawiła się w telewizji.

– Możesz nam powiedzieć, czy twoim zdaniem byłaś dla Emmy bardziej matką, czy bardziej przyjaciółką?

– Chyba starałam się być po trochu jedną i drugą.

Program jest nagrywany w ogromnym magazynie, daleko na tyłach, na małej platformie, którą każdy nazywa tutaj „salonem”. W telewizorze kanapy wyglądają na niezwykle eleganckie, ale w rzeczywistości są bardzo niewygodne, a ukryte sprężyny kłują cię w niespodziewane miejsca.

– Jesteś więc zarówno matką, jak i przyjaciółką – mówi Deborah, kiwając

głową i zaciskając usta, jak gdybym powiedziała coś rewelacyjnego. – Jak znajdujesz równowagę?

Światła grzeją moją twarz, mały mikrofon mam przypięty do kłapy. Deborah nachyliła się, czekając na odpowiedź. Uświadamiam sobie, że za każdym razem, gdy mówię do mikrofonu lub patrzę w kamerę, moje zachowanie jest osądzone przez widzów, a zainteresowanie sprawą Emmy wzrasta lub opada w zależności od tego, jak sympatyczne sprawiam wrażenie. Wyobrażam sobie mały wykres, który notuje sympatię widzów, a linia opada lub rośnie za każdym razem, gdy coś mówię.

– Cóż, to nie jest tak, że pojawiaasz się i już, od pierwszego dnia, jesteś matką – mówię. – Budowa związku, stworzenie odpowiedniej równowagi zabiera bardzo dużo czasu.

– Czy kiedykolwiek pomyślałaś, że może jeszcze nie jesteś gotowa? Czy obawiałaś się, że możesz nie zastąpić jej matki?

– Oczywiście, że byłam zdenerwowana. Nie znam nikogo, kto jest całkowicie przygotowany na dzieci. Ale wcale nie próbowałam zastępować jej matki. Miałam być jej macochą, a to jest różnica.

Jaka to różnica, tego już nie powiedziałam. Gdyby sprawy potoczyły się tak, jak zaplanowaliśmy, czy pewnego dnia Emma zaakceptowałaby mnie jako matkę, czy zawsze byłabym nieco na uboczu, o jeden krok za rodziną? Kilka tygodni po zaręczynach, gdy Jake i ja gotowaliśmy obiad, zapytał mnie:

– Jak chciałabyś być nazywana?

Stałam tyłem do niego i podsmażałam pieczarki i czosnek.

– Mamusia? – zapytał. – Czy mamunia?

Odwróciłam się twarzą do niego. Zadaniem Jake'a było przygotowanie sałatki i w rękach trzymał trzepaczkę, którą mieszał sos. Oblizałam trzepaczkę. Smak był ostry, śmietankowy, z odpowiednią nutką słodczy.

– No powiedz – uniknęłam odpowiedzi – jaki jest ten tajemniczy składnik?

– Tego nikt się nie dowie. To tajemnica rodziny Balfourów. – Starł z mojej brody kroplę sosu. – A może wolisz coś bardziej południowego? Pasowałyby do ciebie „mama”.

Czosnek się dusił, masło skwierczało. Emma zawsze mówiła do mnie po imieniu – nie mogłam powiedzieć Jake’owi, że nie wyobrażam sobie, by miało być inaczej.

– Mogę zadać ci pytanie?

– Jakie tylko chcesz.

– Gdyby nie chodziło o Emmę, oświadczyłbyś mi się?

Cofnął się o pół kroku.

– Co?

– Czy ożeniłbyś się ze mną, nawet gdybyś nie miał dziecka, które potrzebuje matki? – Odwróciłam wzrok, nieco zawstydzona swoim pytaniem.

– Popatrz na mnie – powiedział Jake, kładąc dłonie na moich ramionach. – Gdy nie ma cię przy mnie, myślę o tobie. Gdy jesteśmy razem w łóżku, czuję się, jakbym znów miał dziewiętnaście lat. Gdy czytam coś ciekawego, jesteś pierwszą osobą, której chcę o tym powiedzieć. Kupuję nową płytę, jesteś pierwszą osobą, której chcę ją puścić. Kocham cię za to, jaka jesteś dla Emmy, ale kocham również ciebie. Rozumiesz?

Kiwnęłam głową i uśmiechnęłam się.

– Rozumiem.

Deborah opiera się na krześle i pije kawę z czerwonego kubka, potem odstawia go – odstawia dokładnie w miejscu, w którym na wypolerowanym stole widać ślad po kubku. Wyobrażam sobie, że w jej scenariuszu jest teraz napisane: „tutaj znacząca pauza”.

– Jeśli mogę zapytać: jak to zdarzenie wpłynęło na ciebie i Jake’a? Rozumiem, że odwołaliście ślub?

Wywiad wymknął się spod kontroli. Deborah zadaje pytania, na które się nie umawiałyśmy, próbując zagonić mnie w pułapkę. Zastanawiam się, jak wpłynęłoby na wskaźniki oglądalności stacji, jeśli wyznałabym, że Jake i ja rozmawiamy coraz rzadziej, że jego uczucie do mnie zmieniło się w urazę. Gdybym wiedziała, że to może pomóc Emmie, z chęcią rozpłakałabym się. Zamiast tego jednak powstrzymuję łzy, próbując zbyć pytanie. Tu nie chodzi o mnie i Jake’a. Tu chodzi o Emmę.

– Nie odwołaliśmy, jedynie przełożyliśmy. Pomyślimy o ślubie, gdy już znajdziemy Emmę.

– Wciąż wierzysz, że to możliwe?

– Tak, wierzę.

Deborah przesuwając swoim brzoskwiowym paznokciem po notesie i zmienia temat:

– Jak ty i Emma się dogadywałyście?

– Wspaniale. Ona jest cudownym dzieckiem.

– Lubiłyście się?

– Bardzo.

Deborah mruga do mnie swoimi długimi rzęsami schowanymi pod grubą warstwą czarnego tuszu.

– Jak każde dziecko – mówię – Emma miała też gorsze momenty. – Słyszę własne słowa i wydaje mi się, że powiedziałam zbyt dużo, niepotrzebnie próbując wypełnić ciszę. – Oczywiście były chwile, gdy chciała sprawdzić, jak daleko może się posunąć, ale tego można się spodziewać.

– Rozumiem – mówi Deborah.

Wyobrażam sobie, że linia na wykresie sympatii publiczności w równym tempie spada w dół. Deborah przekręca głowę i uśmiecha się. Na zębach ma cieniutką warstwę vaseline.

– Więc teraz żyjesz z dnia na dzień? – Zadaje to pytanie wszystkim swoim gościom. To jej ulubione pytanie, jej znak firmowy. Zwykle nie ma to nic wspólnego z całą rozmową.

– Tak.

– To chyba jedyne, co wszyscy możemy w takiej sytuacji zrobić. Dziękuję ci bardzo, że byłaś dziś z nami.

– Dziękuję.

Deborah odwraca się w stronę kamery.

– W dalszej części programu spojrzymy na tę sprawę z innej perspektywy.

Uśmiecha się jeszcze przez dwie sekundy. Facet stojący poza platformą z tablicą w dłoniach mówi: „koniec”, a wtedy uśmiech z jej twarzy znika. Odpina mikrofon od kołnierza i wstaje.

– Co miałaś na myśli, mówiąc o innej perspektywie? – pytam.

– Zawsze chcę mieć więcej niż tylko jedną wersję wydarzeń.

Wyciąga rękę, by się pożegnać – takim uściskiem mogłaby łupać orzechy.

– Powodzenia – mówi i szybko oddala się z planu.

Chudy dzieciak we flanelowej koszuli idzie za nią, niosąc jej telefon komórkowy i kubek kawy Tully.

Do mnie podchodzi inny człowiek i odpina mikrofon od mojej klapy. Jego dłonie dotykają moich piersi.

– Przepraszam – mówi, ale wiem, że wcale tak nie myśli.

Gdy wychodzę z budynku, dostrzegam w korytarzu kolejnego gościa

Deborah, ubranego w czarny sweter, czarne spodnie i perły. To Lisbeth. Schudła i rozjaśniła włosy.

– Cześć – mówi, rzucając w moją stronę promienny uśmiech.

Staram się ze wszystkich sił, by nie zauważyła wyrazu zaskoczenia na mojej twarzy. Nie lubię osoby, jaką się staję. Nie podoba mi się to, że samą swoją obecnością Lisbeth sprawia, że jestem taka wściekła, nawet zazdrosna. Gdy Jake i ja po raz pierwszy się spotkaliśmy, od razu zaznaczył, że z ulgą wyrzucił Lisbeth ze swojego życia. Kiedyś nawet powiedział, że kocha mnie bardziej, niż kiedykolwiek kochał ją. Wierzyłam mu – i wciąż wierzę.

Ale nad jedną rzeczą nie potrafię zapanować. Mimo jej wszystkich wad, mimo tego wszystkiego, co mu zrobiła, jak go skrzywdziła, Lisbeth ma dla Jake'a znaczenie, którego ja nigdy nie będę miała: związek z Emmą. To Lisbeth nosiła ją w swoim łonie, to Lisbeth urodziła tę małą, śliczną dziewczynkę. Na pewno w jakiejś części umysłu Jake postrzega ją jako osobę, która dała mu Emmę. A mnie jako tę, która mu ją zabrała.

ROZDZIAŁ 45

Tydzień przed Bożym Narodzeniem dzwoni do mnie Annabel i mówi, że chce, abym się z kimś spotkała.

– To doktor Shannon. Jest terapeutką.

Kolorowe lampki mrugają na mojej choince. Na podłodze leży zestaw ozdób, który kupiłam od Emmy podczas charytatywnego kiermaszu, który odbył się w ubiegłym roku w jej szkole: drewniany renifer z rogami zrobionymi z gałązek, mały metalowy wagonik pomalowany na niebiesko i anioł z błyszczącymi złotymi skrzydłami. Wyobrażałam sobie, jak mogłyby wyglądać nasze święta – Jake, Emma i ja wspólnie ubieramy choinkę, w tle gra Booker T, a skórki pomarańczy duszą się na kuchence. W Wigilię Jake w stroju Świętego Mikołaja robi mnóstwo hałasu, układając prezenty pod choinką.

– Słuchasz mnie? – pyta Annabel.

– Nie wydaje mi się, by terapia mogła tu jakoś pomóc.

– Doktor Shannon nie jest psychiatrą. Specjalizuje się w hipnozie.

Miniaturowy aniołek ma złote włosy i porcelanową twarz z namalowanymi czerwonymi ustami i kropką w miejscu nosa. Brakuje mu jednego oczka.

– Raz już próbowałam, pamiętasz?

– Wiem – mówi Annabel. – Ale tym razem to sprawdzony fachowiec. Ma doktorat z biologii molekularnej uzyskany na Stanfordzie i napisała wiele

ważnych prac na temat hipnozy. Jej gabinet mieści się w Palo Alto. Pracowała z kilkoma dyrektorami z listy pięciuset największych firm według magazynu „Fortune”, nie wspominając o senatorze ze stanu Delaware, którego stażysta został zamordowany kilka lat temu.

– Niby dlaczego miałyby mieć ochotę na spotkanie ze mną?

– Rick niedawno w sądzie wyświadczył przysługę pewnemu jej klientowi. W ramach rewanżu zgodziła się na jedno spotkanie, ale nie może cię przyjąć przed końcem stycznia. Czeka na telefon od ciebie.

– Naprawdę?

– Naprawdę – mówi Annabel. – Potraktuj to jako prezent świąteczny. – Odchrząkuje i przez chwilę nic nie mówi. – To nie jest jedyny powód, dla którego dzwonię. Nie wiem, jak ci to powiedzieć. – Kolejna pauza, tym razem nieco dłuższa.

– Co się stało?

– Nic się nie stało. Po prostu...

– Po prostu co?

– W skrzynce – mówi, używając jednego ze zwrotów ojca – jest przesyłka.

Z trudem przełykam ślinę, myśląc o odpowiednich do sytuacji słowach.

– To cudownie. Od kiedy wiesz?

– Jestem już w ósmym tygodniu.

– Na kiedy masz termin?

– 17 lipca.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu?

– Razem z Rickiem zdecydowaliśmy, że odczekamy parę miesięcy, zanim ogłosimy to światu.

– Gratulacje. To wspaniała wiadomość.

W myślach wykonuję obliczenia. Musiała zająć w ciążę mniej więcej trzy miesiące po zniknięciu Emmy. Czy to możliwe, by Rick i ona zdecydowali się na kolejne dziecko częściowo z powodu tego, co się stało z Emmą? Pamiętam naszą rozmowę, gdy Annabel była w ciąży ze swoim drugim dzieckiem, Ruby. „Nie wyobrażam sobie, że będę mieć tylko jedno dziecko” – mówiła. Siedziałam na twardym krześle w gabinecie lekarskim, a ona leżała na stole. Na ekranie widoczna była mała biała plamka pulsująca na czarnym tle, wyglądająca jak tajemniczy worek. Wpatrywałam się w dużą głowę, małe, skulone ciało, które żyło w łonie mojej siostry, i zastanawiałam się, czy ja kiedykolwiek będę miała odwagę, by urodzić dziecko. „A gdyby coś się stało twojemu dziecku? – zapytała. – Jak mogłabyś dalej żyć, nie mając drugiego, którym mogłabyś się opiekować?”

– Zaplanowałaś to? – pytam teraz.

– Niezupełnie.

– Co na to Rick?

– Jest trochę zdenerwowany, ale szczęśliwy.

Próbuję myśleć o odpowiednich do sytuacji pytaniach, o właściwych odpowiedziach. Powinnam zapytać, czy zamierzają przed porodem poznać płeć dziecka, czy przygotowują dla niego nowy pokój. Powinnam zapytać, czy Rick planuje urlop z okazji narodzin i jak Annabel da sobie radę z Ruby, jeśli będzie musiała zajmować się kolejnym dzieckiem. Zamiast tego płaczę, a łzy wpadają do filiżanki z kawą.

– Abby, wszystko w porządku?

– Przepraszam. To tylko...

– Słuchaj – mówi. – Szperałam trochę w internecie. W 1999 roku mały chłopiec został porwany z parku w Nashville. Sześć miesięcy później odnaleziono go w mieszkaniu znajdującym się zaledwie dwa budynki od jego rodzinnego domu. W roku 2001 piętnastoletnia dziewczyna została porwana

w Houston i wywieziona do Meksyku. Odnalazła się w ubiegłym roku. Mieszkała wraz z porywaczem w Tijuanie. Detroit, rok 2003. Dziewięcioletnia dziewczynka otwiera drzwi i wyskakuje z pędzącego samochodu. Porywacz został zatrzymany godzinę później, a dziewczynka otrzymała symboliczne klucze do miasta.

– O czym ty mówisz?

– Że wciąż jest nadzieja. Cuda się zdarzają. Rzadko, ale jednak się zdarzają.

W każdy z tych scenariuszy wklejam twarz Emmy: Emma wyskakująca z jadącego samochodu, Emma przechodząca przez granicę, Emma wychodząca z jakiegoś domu, cała i zdrowa.

– Uściskaj ją ode mnie – słyszę głos w tle.

To Rick. Wyobrażam sobie, że Annabel siedzi na łóżku z wyprostowanymi nogami, z poduszką podłożoną pod plecy, a obok jest Rick i trzyma rękę na jej brzuchu.

– I wzajemnie – odpowiadam.

Przez telefon posyła mi buziaka i mówi:

– Muszę już kończyć. Kąpiel czeka.

– Annabel?

– Hmm?

– Naprawdę się cieszę.

– Wiem.

Po odłożeniu słuchawki wypijam nieco szkockiej, by uspokoić nerwy przed telefonem do Jake'a. Gdy w końcu udaje mi się do niego dodzwonić, wydaje się senny, a może po prostu przygnębiony.

– Cześć – mówię. – Mam kłopot z choinką. Słabo wychodzi mi jej ubieranie w samotności. Chcesz przyjechać?

– Nie wiem, czy dałbym radę dziś wieczorem.

– Zrobię ajerkoniak.

– Pada jeszcze?

W tle słyszę kobiecy głos:

– To ja już pójdę.

– Lisbeth jest tutaj – mówi Jake, zanim zdążę zadać jakiegokolwiek pytanie.

– Co?

W słuchawce słyszę odgłos zamykanych drzwi. Wyobrażam sobie, że Jake podchodzi do okna i patrzy, czy Lisbeth bezpiecznie dotrze do swojego samochodu, tak jak zwykle obserwował mnie.

– Wpadła na chwilę – mówi. – Nie dzwoniłem i nie zapraszałem jej.

– Nie przeszkadza ci to jej ciągle nachodzenie?

– Oczywiście, że tak.

– To nie w twoim stylu.

– To nie fair – mówi.

– Jak możesz pozwalać jej wrócić do swojego życia, gdy w tym samym czasie mnie z niego wyrzucasz? – Nienawidzę desperacji, jaką słyszę we własnym głosie, ale nie potrafię sobie z tym poradzić. Utrata Emmy była najbardziej druzgocącym wydarzeniem. Utraty Jake'a nie mogę w tym momencie brać pod uwagę.

– Po prostu staram się jakoś przebrnąć przez to wszystko – odpowiada. – Nie wiem, jak to wyjaśnić, ale z Lisbeth jestem w stanie pamiętać różne rzeczy.

– Jakie rzeczy?

– Małe rzeczy, które dla innych nie mają znaczenia – mówi. – Takie jak data urodzenia Emmy, kobieta, z którą dzieliliśmy pokój w szpitalu i która do późna bardzo głośno oglądała *Dobrą cenę* i kłóciła się z pielęgniarkami,

które zalecały jej karmienie piersią, a ona tymczasem chciała karmić swoje dziecko butelką. Pamiętam, że siedziałem tam i wpatrywałem się w Emmę, małą dziecinę z głową pokrytą czarnymi włosami, zastanawiając się, jak to możliwe, że potrafi spać w takim hałasie. Pamiętam, że byłem całkowicie zadziwiony tym spokojnym, prześlicznym maleństwem. Nie mogłem uwierzyć, że to moje dziecko.

Co mogę na to odpowiedzieć? Nieważne, jak bardzo kocham Emmę, w niektórych sprawach po prostu nie ma dla mnie miejsca, niektóre rzeczy będą dzielić ze sobą wyłącznie Jake i Lisbeth.

– Pamiętasz jej występ w programie *Bay Area Morning*? – pytam cicho.

– Tak.

– Powiedziała, że tęskni za Emmą. Po tym wszystkim, co zrobiła.

– Myślę, że właśnie to miała na myśli. Nie usprawiedliwiam jej. Chcę tylko powiedzieć, że to skomplikowana sytuacja.

Wzdycha w taki sposób, jakby chciał dać do zrozumienia, że zakończyliśmy temat. Sęk w tym, że nie zakończyliśmy.

– Ona jest matką Emmy – mówi wreszcie. – To nie podlega dyskusji.

Słowo „matka” spada na mnie i ciąży niczym wielkie odważniki. Ma rację oczywiście. Pamiętam swoich rodziców, którzy przez dwadzieścia pięć lat męczyli się ze sobą w nieszczęśliwym małżeństwie z jednego prostego powodu: mieli dwoje dzieci.

Nawet teraz słyszę głos matki, która prawie pięć lat temu, na kilka tygodni przed śmiercią, powiedziała: „Najlepsza rzecz, jaka udała mi się w życiu, to moje dzieci”. I pamiętam, że myślałam wtedy, że ja nie chcę mówić czegoś takiego na własnym łożu śmierci. Nie chciałam, by macierzyństwo było jedyną rzeczą, która mnie określa, dzięki której moje życie miało jakąś wartość. Potrzebowałam także czegoś innego: chciałam, by sens życiu nadawała także moja praca. W przeszłości próbowałam to

wyjaśnić matce, ale za każdym razem patrzyła na mnie z żalem, jakbym popełniała błąd lub była pozbawiona jakiegoś istotnego zmysłu moralnego.

Gdy miałam dziesięć lat, a Annabel osiem, matka kupiła nam książkę o rozmnażaniu się. Pewnej niedzieli po powrocie z kościoła siadła obok nas na kanapie i zaczęła wyjaśniać, co dzieje się, gdy dwoje ludzi złączonych świętym związkiem małżeńskim modli się do Boga i prosi go o dziecko. Podała nam kilka niejasnych informacji związanych z sypialnią i uświęconą wolą boską, po czym otworzyła książkę i pokazała obrazki. Pierwszy był profil ciężarnej kobiety: długie włosy, smukłe nogi, sterczące piersi, lekko zaokrąglony brzuch. Wewnątrz, poniżej brzucha, narysowane było coś przypominającego worek, w którym znajdowała się mała pokręcona rzecz. Tak mała, że gdy matka wskazała palcem na obrazek, w całości schowała się pod jej paznokciem.

– To jest dziecko? – zapytała Annabel, odsuwając dłoń matki.

– Tak.

– Wygląda jak konik morski – powiedziałam.

Już czułam się rozczarowana tymi wszystkimi rzeczami związanymi z dziećmi. Pamiętałam zamówione pocztą koniki morskie z Nieśmiertelnych Zabawek, które wcale nie okazały się tak wyjątkowe.

– To tylko początek – wyjaśniła matka, przewracając stronę.

Na następnym obrazku zobaczyłyśmy nieco większy brzuch, a wewnątrz niego znajdowała się mała, przypominająca kosmitę istota z wielką głową i jakby błoną pławną pomiędzy palcami. Ostatni obrazek przedstawiał owiniętego pieluchą noworodka. Matka zamknęła książkę i pogłaskała nas po głowach.

– Kiedyś obie będziecie miały własne dzieci.

– Ja chcę mieć siedmioro – powiedziała Annabel.

– A ty ile chcesz mieć? – zapytała matka, łapiąc mnie delikatnie za brodę

i uśmiechając się.

Pamiętam, że czułam się wyróżniona, bo niezbyt często w ten sposób okazywała uczucia. Było mi jednak i smutno, ponieważ ona i Annabel dzieliły razem coś, czego nie umiałam. Dzieci były słodkie i delikatne, ale nie potrafiłam wyobrazić sobie, że wewnątrz mnie rośnie jakaś dziwna rzecz, tak samo jak nie potrafiłam wyobrazić sobie tego, co następowało wcześniej – co w niejasny sposób matka opisywała jako święty związek małżeński. Zastanawiałam się nad właściwą odpowiedzią, która jej nie rozczaruje.

– Może troje? – powiedziałam, patrząc w jej łagodne oczy.

W uszach miała małe złote kolczyki, a w jej oddechu można było wyczuć silną woń kawy. Zastanawiałam się, czy zauważyła, że kłamałam.

ROZDZIAŁ 46

– Rozejm – mówi Jake. Jest Wigilia, a on właśnie pojawił się w moich drzwiach, trzymając dwa bilety na koncert San Francisco Gay Men’s Chorus, który odbywa się w Castro Theatre. – Pójdiesz ze mną?

– Oczywiście – odpowiadam. – Daj mi tylko kilka minut na ubranie się.

To samo robiliśmy rok temu, to samo Jake robił co roku od co najmniej dziesięciu lat. Wiem, że ze wszystkich sił stara się zachowywać normalnie, działać tak, jakby był jakiś powód do świętowania, jakby Boże Narodzenie wciąż miało dla niego znaczenie. Udawanie nie jest jednak naszą mocną stroną i wychodzimy w trakcie przerwy. Rok temu przed koncertem zabraliśmy Emmę do restauracji Cable Car Joe’s na jej ulubiony posiłek złożony z hamburgera, krążków cebuli i koktajlu mlecznego. Jedliśmy tam tak często, że właściciel zwracał się już do Emmy po imieniu, a przed wyjściem wręczył jej prezent – kilkunastocentymetrowego pluszowego misia ubranego w koszulkę z logo Cable Car.

W tym roku zamawiamy po prostu kilka kanapek w A.G. Ferrari naprzeciwko Castro i zabieramy je do mieszkania Jake’a. Jemy w salonie, gapiąc się na choinkę ozdobioną jedynie kolorowymi lampkami.

– Nie miałem do tego serca – mówi Jake.

Jedynym powodem, dla którego w ogóle ma choinkę, jest to, że grupa nauczycieli z jego szkoły przyniosła mu ją pewnego wieczora i nalegała, by przyjął. Ustawili drzewko przy oknie, w garażu znaleźli pudełka ze

świętecznymi ozdobami i pomogli Jake'owi założyć lampki.

Podłoga pod choinką jest pusta.

– Powinniśmy położyć tam chociaż kilka prezentów – mówię.

– Przerabiałem to już przy okazji urodzin Emmy. Wpatrywanie się w prezenty, których nigdy nie otworzy, łamie mi serce.

Nie mówię mu nic o swoim szale zakupów, o prezentach kupionych z myślą o Emmie, które zapakowane leżą w mojej szafie w korytarzu: łyżwy, ponieważ obiecałam jej, że w tym roku pójdziemy na otwarte lodowisko Embarcadero, różowy robiony na drutach szalik i pasujący do niego kapelusik, porcelanowa lalka z walizeczką i parasolką. Rzeczy kupione na kredyt, rzeczy, na które normalnie nie mogę sobie pozwolić. Kupiłam to wszystko jednego dnia, biegając od sklepu do sklepu, łapiąc wszystko, co moim zdaniem podobałoby się Emmie. Gdy robiłam zakupy, czułam się szczęśliwa. Być może dlatego, że fizyczny akt wybierania prezentów i płacenia za nie przy kasie pozwalał mi rozbudzić w sobie żalosną nadzieję, że w Boże Narodzenie Emma otworzy te prezenty. Ale gdy dotarłam do domu i popatrzyłam na te wszystkie paczki leżące na podłodze, radość zniknęła. Włożyłam je do szafy, przyrzekając sobie, że jutro odniosę do sklepu. To było dwa tygodnie temu, a ja do dziś nie miałam odwagi, by otworzyć tę szafę.

– Nie masz nic przeciwko, że zostanę tu na noc? – pytam.

– Pewnie, że nie – mówi Jake, ale nie przybliży się do mnie, z czego wnioskuję, że wolałby zostać sam.

– Może jutrzejsza noc – mówię. Nie mogę się powstrzymać przed pytaniem o Lisbeth. – Ona nie...

– Nie – wyjaśnia Jake. – Nie ma jej tutaj. Spędza Boże Narodzenie na Wschodnim Wybrzeżu ze swoimi przyjaciółmi.

– Aha – mówię. Czuję się trochę głupio, choć z drugiej strony ulżyło mi.

Jake ujmuje moją dłoń.

– Pod tym względem nie masz powodu do zmartwień, dobrze?

– Dobrze. – To wielka ulga słyszeć z jego ust takie słowa i widzieć w jego oczach, że naprawdę tak myśli.

W Boże Narodzenie dzwonię do niego przed południem, ale wciąż jeszcze jest w łóżku.

– Wolałbym dzisiaj zostać sam – mówi. – Mam trochę pracy.

– Ale przecież jest Boże Narodzenie.

– Będzie łatwiej, jeśli będę udawał, że nie ma.

David ze Stowarzyszenia Rodziców Zaginionych Dzieci zaprosił mnie do siebie na świąteczne przyjęcie, ale się wymówiłam. Większość gości to ludzie z grupy wsparcia, a ja nie wytrzymam takiej ilości żalu i smutku, nieuniknionych łez i opowieści o szczęśliwej przeszłości. Zamiast tego spędzam dzień z Nell. Przez jej dom przewijają się znajomi nieżyjącego Stephena, którzy przychodzą złożyć jej życzenia. Nell częstuje ich ajerkoniakiem i ciasteczkami, a oni wręczają jej małe podarunki misternie zapakowane w drogi papier. Przed dwudziestą drugą wychodzi ostatni gość.

– Nie mogę iść do domu – mówię. – Chyba sama sobie dzisiaj nie poradzę.

– Oczywiście, że nie – przyznaje Nell. – Zostań tutaj. Nie uwierzysz, jak wygodna jest ta kanapa.

Przynosi koce i poduszkę i siedzimy do późna w nocy, grając w remika. Zapisuję wyniki w brulionie i bez skutku próbuję skoncentrować się na grze. W pewnym momencie długopis się wypisuje i Nell wydobywa ołówek z dużego słoika stojącego na kuchennym blacie. Rysik ołówka jest szeroki i płaski, a gdy skubię jego żółty korpus, nachodzi mnie wspomnienie z dzieciństwa.

– Skąd go masz? – pytam.

– Chyba wyniosłam go ze sklepu Home Depot.

– Zabawne, ten smak i zapach przenoszą mnie w przeszłość. Mój ojciec był przedsiębiorcą budowlanym i jako dziecko czasami odwiedzałam go na budowach. Miał takie duże i płaskie ołówki, zupełnie takie jak ten, i znaczył nimi odpowiednie miejsca na drewnie. Pozwalał mi rysować nimi na resztkach dykty.

– Wiesz, to ma nawet swoją nazwę – mówi Nell. – To pamięć proustowska, nazywana tak z powodu magdalenki i herbaty lipowej, opisanych przez Prousta w książce *W stronę Swanna*. Naukowcy uważają, że wspomnienia węchowe są jednymi z najsilniejszych wspomnień emocjonalnych, ponieważ węch jest jedynym zmysłem powiązanim z układem limbicznym, który jest częścią mózgu odpowiedzialną za emocje. Po śmierci Stephena zaczęłam zanosić swoje ubrania do jego pralni i nawet krochmaliłam własne bluzki, czego nigdy wcześniej nie robiłam, tylko dlatego, że krochmal, którego używali, przypominał mi go. Gdy zamykam oczy, mając na sobie jedną z tych bluzek, jestem w stanie udawać, że on jest w tym samym pokoju. – Uśmiecha się i wyciąga kartę z talii. – Pokręcone, prawda?

– Nie całkiem – mówię. – W ubiegłym tygodniu robiłam zakupy dla Emmy. Kupiłam jej lakier do paznokci Tinkerbell, którego zawsze używała. Gdy wróciłam do domu, pomalowałam nim sobie paznokcie. Naprawdę okropny odcień różu. Nałożyłam dwie warstwy i wypięłam trzy kieliszki wina, a potem powoli zasypiałam, myśląc o niej. I wiesz, co było naprawdę miłe? Śniła mi się. Odkąd zniknęła, śniła mi się wiele razy, ale zawsze był to koszmar, w którym szukam jej, ale nie potrafię znaleźć, lub próbuję obronić ją przed czymś strasznym. Ten sen był inny. Byłyśmy w akwarium, w tym starym, w parku, zanim jeszcze je zamknięto, i oglądałyśmy rozgwiadę. Obie byłyśmy szczęśliwe. To był najlepszy sen, tak jakby Emma była tuż

obok mnie. Ale wtedy się obudziłam.

– To właśnie jest przykre w snach – mówi Nell. – Zawsze w pewnym momencie się budzimy.

ROZDZIAŁ 47

Tamtego dnia na Ocean Beach Emma miała na sobie niebieskie płócienne buciki, rozmiar trzy, z twarzą uśmiechniętej małpki na bokach i jej imieniem wyszytym czerwoną nitką na języku.

W sobotę 3 stycznia detektyw Sherburne dzwoni do nas, by powiedzieć, że jakiś turysta znalazł jeden z butów. Był zaklinowany między skałami na Baker Beach w Presidio, mniej więcej pięć kilometrów na północ od Ocean Beach.

– Byłem ubrany, oczywiście – powiedział policji mężczyzna. – Nawet nie wiedziałem, że to plaża nudystów, dopóki się tu nie znalazłem. Pomyślałem, co mi szkodzi, mogę się tędy przespacerować, przecież żyje się tylko raz.

To krótka plaża. Nawet nie bardzo jest miejsce na spacer. Można zrobić zdjęcie mostu Golden Gate, poczytać książkę lub pooglądać golasów zażywających kąpieli słonecznej na zimnym powietrzu. Choć ktoś spragniony aktywności może zainteresować się każdym szczegółem, takim jak but wciśnięty między skały. Wyobrażam sobie schylonego mężczyznę próbującego wydostać but ze skalnych objęć tylko po to, by mieć jakieś zajęcie lub nie sprawiać wrażenia, że obserwuje nudystów. Już ma zamiar wziąć zamach i wyrzucić but do oceanu, kiedy zauważa część wyszytego imienia.

Policji powiedział, że widział Jake'a w programie *Today* i usłyszał opis ubrania i butów Emmy. Przyznał też, że prawdopodobnie nie zapamiętałby

tego, gdyby nie fakt, że jego wnuczka ma podobne.

I co teraz czuje? Współczucie dla ojca, tego strapionego i poszukującego dziecka mężczyzny w okularach i potarganych włosach? A może duchowe uniesienie, podniecenie spowodowane faktem, że to właśnie on znalazł ten but? Cała policja, wszyscy wolontariusze, cały ten czas spędzony na poszukiwaniach, a to właśnie on, sprzedawca komputerów z Dallas, znajduje istotny ślad. Może nawet już wyobraża sobie wywiad udzielany telewizji, w którym opisuje swoje odkrycie, swoje pięć minut sławy.

Jakże łatwe dla niego byłoby spojrzenie w inną stronę, skierowanie wzroku na widocznego w oddali surfera, na muszelkę lub osobę leżącą na plaży, a nie na stertę skał. Chcę, by tak było, zaangażowana jak zwykle w mentalne próby odwrócenia biegu czasu i zmiany przeszłych wydarzeń.

But został odnaleziony. Policja ma teraz dowód rzeczowy, jakkolwiek przypadkowy, na poparcie swojej teorii mówiącej o utonięciu Emmy. Co gorsza, Jake ma podstawy, by w to uwierzyć. Mały dowód na to, że być może to prawda.

Jego pierwszą reakcją po wysłuchaniu wiadomości od Sherburne'a jest przepełnione strachem zaskoczenie.

– Jesteś pewny, że to jej?

Stoję w kuchni i mieszam zupę w wielkim garnku na kuchence. Jestem wtajemniczona jedynie w połowę rozmowy Jake'a.

– Co jest jej? – pytam.

Jake dłonią zasłania słuchawkę i odwraca się do mnie.

– Znaleźli but – mówi.

Włącza głośnik i głos Sherburne'a wypełnia kuchnię.

– Jesteśmy w zasadzie pewni – mówi detektyw. – Oczywiście powinieneś go zobaczyć. Przywiozę ci go, żebyś mógł rzucić okiem.

– Zaraz przyjedziemy do ciebie – odpowiada Jake.

– Nie ma potrzeby. Jestem w samochodzie po drugiej stronie parku. Będę u was za dziesięć minut.

– Dziękuję – mówi Jake. A później niespodziewanie dodaje: – Jadłeś już coś? Abby gotuje zupę jarzynową na lunch. Powinieneś się do nas przyłączyć.

Myślę, jak dziwne jest to, że zachowanie i maniere pewnych osób pozostają niezmiennie nawet w najgorszych okolicznościach. W czasie tak ciężkiej próby, w chwili, gdy jego świat legł w gruzach, Jake potrafi wykazać się najwyższym opanowaniem i uprzejmością. Nigdy jeszcze nie widziałam, by dał się ponieść emocjom i stracił spokój w miejscu publicznym. Jedynie w naszych najbardziej prywatnych chwilach można było zauważyć ogrom jego strachu i przerażenia.

– Dziękuję – mówi Sherburne.

Jake odkłada słuchawkę, podchodzi do kredensu i wyjmuje z niej trzy najlepsze miseczki. To jeden z jego miłych zwyczajów – zawsze podczas wizyty gości używa porcelanowej zastawy, niezależnie od tego, jak spontaniczna lub zwyczajna jest to okazja. Jedna z misek wypada mu z dłoni i rozbija się na podłodze. Jake przeklina, klęka na podłodze i zaczyna gołymi rękami podnosić potłuczone kawałki.

– Krwawisz – mówię, pochylając się, by mu pomóc.

Wciąż zbiera skorupy, nie zwracając uwagi na krew.

– To nie może być jej but, prawda?

– Zobaczymy. Idź, umyj rękę. Ja to posprzątam.

Nie wstaje. Wciąż klęczy, w dłoniach trzyma odłamki porcelany i patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– A jeśli to jest jej but – pyta – co to oznacza?

– To nie musi nic oznaczać – odpowiadam. Próbuję być spokojna, próbuję ukryć strach. Staram się zachować zdrowy rozsądek, choć czuję, że

wewnątrz mnie narasta panika.

Właśnie skończyłam zmiatać kawałki miseczki, gdy rozlega się dzwonek u drzwi.

– Otworzę – mówi Jake.

Jego głos jest nieobecny. Cała chwila jest jakby nieobecna. Myślę o Sherburnie stojącym po drugiej stronie drzwi, trzymającym w dłoniach pierwszy dowód rzeczowy, jaki znaleziono od początku całego tego koszmaru.

Z kuchni słyszę, jak Jake otwiera drzwi.

– Wejdź – mówi.

Sherburne odgrywa rolę grzecznego gościa i odpowiada:

– Cudownie pachnie.

Wchodzę do salonu, delikatnie muskam wargami policzek Sherburne'a, dostrajam się i biorę udział w dziwnej grze uników:

– To nic specjalnego. Zwykła zupa. Jedyna rzecz, którą potrafię zrobić, nie licząc ciasteczek z sosem.

Biała koszula detektywa jest rozpięta pod szyją, a krawat nieco poluzowany. Rozpoznaję krawat – ten sam, który miał na sobie w nocy, gdy przywiózł nas na posterunek policji. Zauważa, że patrzę na krawat.

– Prezent – mówi, chwyta za koniec i podnosi do góry. – Od mojej córki. Poprosiła, bym włożył go dziś rano. Nie mogłem odmówić. Owinęła mnie sobie wokół palca, wicie, jakie są małe dziewczynki.

Ostatnie zdanie zawisło w powietrzu i wszyscy patrzymy na siebie niepewni tego, co powinniśmy teraz powiedzieć.

– Przepraszam – mówi Sherburne wyraźnie zawstydzony. Odchrząkuje. – Chyba powinniśmy usiąść.

Wyciąga z kieszeni plastikową torebkę z białą naklejką, na której

widnieją jakieś cyfry, litery i słowo „Balfour” napisane ręcznie czarnym atramentem. Otwiera torebkę, wyjmuje z niej bucik i stawia go przed nami na stoliku.

But jest obszarpany i mocno śmierdzi morzem, tak jak małże zwane anielskimi skrzydłami, które Emma zwykła zbierać na Ocean Beach. Kiedyś natknęłam się na słoik z tymi małżami, brudny, wciśnięty do koszyka stojącego pod jej łóżkiem. Stworzenia były już martwe, a gdy otworzyłam słoik, cały pokój wypełnił się wilgotnym rybim odorem.

W pierwszej kolejności patrzę na język buta, na którym było wyszyte imię Emmy. Nici już prawie zniknęły, ale fragmenty liter „E”, jednego „m” i „a” pozostały. Czerwień wyblakła i stała się różem. Na boku, w miejscu gdzie powinien być nosek małpki, jest dziura.

Przez kilka sekund Jake bez ruchu wpatruje się w but. Później wyciąga rękę i przesuwa palcami po zniszczonym materiale. Jego palce drżą. Podnosi but i chowa go w dłoniach.

Sherburne siedzi w milczeniu. Ja wpatruję się w jego krawat tylko po to, by nie patrzeć na but Emmy i twarz Jake’a.

Nachodzi mnie wspomnienie pewnego niedzielnego popołudnia w Alabamie. Pamiętam swoje buty – białe sandały na malutkim obcasie, pierwsze buty na obcasie. Miałam wtedy mniej więcej jedenaście lat. Dopiero skończyliśmy lunch i pomagałam matce zmywać naczynia. Nie mogłam przestać myśleć o czymś, co tamtego poranka powiedział w kościele pastor – że każdy z nas musi dokonywać wyborów, które decydują o tym, czy po śmierci pójdziemy do nieba, czy do piekła. Matka podawała mi kolejne elementy zastawy stołowej.

– Czy byłoby lepiej w ogóle się nie urodzić? – zapytałam.

Przerwała i popatrzyła na mnie.

– Co?

– Jeśli się rodzisz, możesz iść do piekła. Piekło przecież jest najstraszniejszą rzeczą, jaka może się komuś przydarzyć.

– Ale możesz też iść do nieba – powiedziała. – A to jest najwspanialsza rzecz, jaka może się komukolwiek przytrafić.

– Ale jeśli się nigdy nie urodziłaś – broniłam swoich racji – nie będzie miało znaczenia, że nie poszłaś do nieba, bo nawet nie wiedziałybyś, że istnieje. Chciałabym nigdy się nie urodzić.

Z czasem przestałam się martwić piekłem. Teraz, po raz pierwszy w dorosłym życiu, znów staje przede mną to podstawowe pytanie dotyczące ludzkiej egzystencji, a ja z zazdrością wyobrażam sobie alternatywny scenariusz, w którym nigdy nie pojawiłam się na świecie.

Siedzę na kanapie, a Jake leży z głową wspartą na moich kolanach. Światło w salonie jest zgaszone, w tle cicho rozbrzmiewa muzyka. Zapach niezjedzonej zupy unosi się w całym mieszkaniu. Po wyjściu Sherburne'a przez kilka godzin męczyliśmy się na przemian płaczem, rozmową i analizowaniem wszelkich możliwości. Rozmowa zataczała niekończące się koło. Kilka godzin temu zapadł zmrok. Przez okna obserwowaliśmy mgłę, która wypełniała ulice. W pewnym momencie Jake zasugerował, że może pora już zamknąć sztab.

– Teraz przynajmniej wiemy, że nie cierpi – mówi w końcu. Wiele godzin zajęło mu dojście do takiego wniosku, do przekonania się, że to prawda. Gdy już zdecydował się na tę wersję wydarzeń, zachowuje się tak, jakby przedstawiono mu niepodważalny dowód. – Przynajmniej się nie boi i nic jej nie boli.

Przez miesiące od zniknięcia Emmy na twarzy Jake'a gościła taka powaga, takie napięcie, że z każdą chwilą coraz mniej przypominał mężczyznę, z którym planowałam wziąć ślub. Dziś, gdy minęły długie

godziny, jego oblicze zaczyna odzyskiwać dawne cechy – rozluźnione szczęki, łagodne brwi. W jego oczach też można już dostrzec cień spokoju.

Ja nie dzielam jego dziwnej ulgi. Jest mi niedobrze. Wiem, że dla własnego zdrowia psychicznego musi uwierzyć w jej śmierć – to łatwiejsze niż zaakceptowanie możliwości, że Emma żyje i cierpi niewyobrażalne męki.

Około dwudziestej drugiej Jake wstaje, idzie do kuchni i wstawia zupę do lodówki. Później idzie na piętro i bierze prysznic. Schodzi na dół w szlafroku, staje przy schodach i patrzy na mnie.

– Zostań na noc – mówi.

Po raz pierwszy od wizyty w kostnicy Jake zaprasza mnie w taki sposób. Nie kochamy się. Prawie wcale nie rozmawiamy. Dobrze jednak jest tak po prostu leżeć obok siebie. Nawet dobrze jest, po tak długim czasie, słyszeć, jak chrapie.

Nie śpię. Leżę i rozmyślam o bucie. Nie wierzę, że jest to rozstrzygający dowód, nie akceptuję, że ma jakiegokolwiek znaczenie. Na pewno może być mnóstwo wyjaśnień tego, że znalazł się na Baker Beach. Emma chciała przecież zdjąć buty, ale nie pozwoliłam jej, ponieważ na Ocean Beach często leżą potłuczone butelki. Może, gdy odłączyła się ode mnie, po prostu postanowiła zdjąć buty. A może porywacz zyskał jej zaufanie, właśnie pozwalając jej na zdjęcie butów. Może porwanie było zaplanowane z najdrobniejszymi szczegółami i sprawca miał nowe ubranie, tak by Emma nie została rozpoznana. Wtedy na pewno wyrzuciłby jej stare rzeczy.

Dlaczego tylko jeden but, a nie dwa? I co z ciałem? Dopóki nie zobaczymy ciała, nigdy nie będziemy mieć pewności. Do tego należy dodać wskazówki – tysiące telefonów do sztabu, setki wiadomości nadesłanych za pośrednictwem strony internetowej. Raptem dwa dni temu kobieta z San Francisco, przebywająca na wakacjach na Florydzie, zadzwoniła z informacją, że w Fort Walton Beach widziała dziewczynkę, która pasowała

do opisu Emmy. Ślad nie doprowadził do niczego, ale fakt jest taki, że wciąż są jakieś ślady. Nawet jeśli tylko jeden jest prawdziwy, może to oznaczać, że Emma wciąż żyje.

Sherburne wiele razy próbował mnie przekonać, że Emma mogła przypadkowo podejść zbyt blisko wody, ale mówi tak, bo jej nie zna. W myślach niezliczoną ilość razy przebrnęłam przez wszelkie możliwości – może z powodu mgły źle oceniła odległość od wody? Może zobaczyła jeden z tych idealnie okrągłych pieniążkowców i na chwilę zapomniała o strachu? Za każdym razem dochodzę do takiej samej odpowiedzi, która więcej wspólnego ma z przekonaniem niż z naukowym rachunkiem prawdopodobieństwa: nie mogła utonąć, ponieważ to oznaczałoby, że nie żyje. To oznaczałoby, że nie ma powodu, by jej szukać.

Kiedyś czytałam artykuł o dzikiej słonicy, która urodziła martwe słońtątko. Fotograf z przerażeniem obserwował, jak matka przez trzy godziny bez przerwy kopie niedające oznak życia ciało. Nagle stało się coś niesamowitego: młode się poruszyło. Matka dosłownie wkopała je do życia, pobudzając akcję jego serca. Tylko instynkt może nas pchnąć do takich zachowań.

Pamięć jest kruchym zestawem obrazów podatnych na zewnętrzne sugestie, z kolei instynkt jest całkowicie wewnętrzną sprawą. Pamięć może wrzucać niewłaściwe wątki do moich wspomnień tamtego dnia na plaży z Emmą, fałszywe obrazy, fałszywe tropy. Jestem w stanie zaakceptować to, że pamięć mnie zawodzi. Ale instynkt mówi mi, że ona żyje. Nie, że może żyje. Nie, że jest nadzieja. Są chwile, w których instynkt mówi wyłącznie w kategoriach absolutnych. Emma żyje i czeka na mnie.

ROZDZIAŁ 48

Następnego poranka jadę na Baker Beach. Bliźniacze łuki mostu Golden Gate wznoszą się ponad mgłę. Dziś nikt się nie opala – jest zbyt zimno – jedynie na ławce siedzi para nastolatków zajadających bajgle i popijających kawę. On siedzi przodem do stolika, a ona przodem do niego, z nogami oplecionymi wokół jego pasa. Obserwując ich siedzących w takiej pozycji, cudownie niepomnych świata, przypominam sobie początki znajomości z Ramonem, kiedy to podczas lekcji nie mogłam doczekać się przerwy na lunch. Gdy tylko rozlegał się dzwonek, łapałam plecak i wybiegałam na chodnik, gdzie Ramon czekał na mnie w poobijanym jeepie wranglerze. Czasami jechaliśmy do motelu Dew Drop na filet z zębacza i koktajl, częściej jednak wpadaliśmy do mieszkania Ramona. Tam w pośpiechu zrzucaliśmy ubrania i wskakiwaliśmy do łóżka, wiedząc, że muszę zdążyć do szkoły na lekcję francuskiego z panią Truly. Seks był tak wspaniały, że pamiętam go do dzisiaj, choć czasami zastanawiam się, czy moja nostalgia nie maluje tamtych dni innymi, lepszymi kolorami. Może wydawał mi się tak dobrym kochankiem wyłącznie dlatego, że nie miałam żadnego porównania.

Wędruję plażą na północ w kierunku skał, szukając czegoś, co turysta mógł przeoczyć. Znajduję jednak zwykłe śmieci – puszki po piwie, czapkę baseballową, zniszczonego srebrnego guldena, który zupełnie nie pasuje ani do tego miejsca, ani do tych czasów, jest niczym łup z jakiegoś zatopionego statku. Wyobrażam sobie Emmę tutaj, popychaną w kierunku skał, obce ręce

na jej ciele. Nie potrafię pozbyć się tego obrazu. Może sposób Jake'a jest lepszy.

W drodze do siebie zatrzymuję się przy domu Jake'a, ale go nie zastaję. Telefon w sztabie dzwoni dwanaście razy, ale automatyczna sekretarka się nie włącza. Wracam do domu, spędzam kilka godzin, odpisując na maile, które spłynęły za pośrednictwem strony www.findemma.com i wykonuję kilka rutynowych telefonów. Mam listę wszystkich szpitali w kraju. W ciągu ostatnich paru miesięcy do każdego z nich zadzwoniłam przynajmniej raz, a teraz jestem już w trakcie drugiej serii telefonów. Za każdym razem wygląda to tak samo – znudzona telefonistka łączy mnie z wiecznie zabieganymi pracownikami administracyjnymi, opisuję Emmę, a w końcu słyszę z niecierpliwością wypowiedane zdanie: „Nie ma tu nikogo o takim nazwisku ani o takim wyglądzie”.

Dochodzi południe, gdy postanawiam wyjść z domu. Na zewnątrz jest słonecznie, co jest główną zaletą mieszkania w hałaśliwej dzielnicy Potrero Hill. Gdy Jake i ja zdecydowaliśmy się na małżeństwo, przez chwilę rozważaliśmy sprzedaż jego domu w mglistej dzielnicy Sunset i zakup nowego właśnie tutaj, jednak od tego momentu rozwój firm internetowych wywindował ceny nieprawdopodobnie wysoko. Zanim to wszystko przytrafiło się Emmie, rozmyślałam, jak bardzo będzie mi brakować tej dzielnicy, jej nieco brudnego, industrialnego uroku, rozpadających się domów w stylu wiktoriańskim z małymi skrzynkami na kwiaty i radosnymi ogródkami, wiecznego szumu ruchu ulicznego. Uwielbiałam spacerować po okolicy. Całe weekendy mogłam spędzać, pijąc kawę w Farley's, przeszukując półki w księgarni Christopher's Books, jedząc przysmaki z grilla w Bottom of the Hill. Teraz wszystkie moje ulubione miejsca mają w oknach zdjęcie Emmy, a ja już prawie wcale nie pamiętam czasów sprzed jej zniknięcia, zanim ta okropna niewiedza i niepewność nie zaczęły mnie

pożerać w każdej minucie każdego dnia.

Gdy dochodzę do Castro, moja koszulka i dżinsy są już wilgotne od potu. Przeciskam się przez wiecznie obecny tu tłum i próbuję utorować sobie drogę do sztabu. Zaglądam przez okno i staję twarzą w twarz z Brianem, który zrywa z szyby taśmę klejącą. Zdjęcia Emmy zniknęły. Telefony, stoły, krzesła i radio również. W środku, gdzie jeszcze kilka dni temu siedziało pół tuzina wolontariuszy, jest tylko Brian.

– Co to jest? – pytam. – Gdzie są wszyscy?

Brian schodzi ze stołka.

– Nie wiesz?

– Czego nie wiem?

– Pan Balfour zadzwonił dziś rano i powiedział, żebym zwinął interes.

– O czym ty mówisz?

– Policja oficjalnie zamyka śledztwo.

– To niemożliwe. Przecież Jake powiedziałby mi o tym.

Brian wzrusza ramionami.

– Jestem tak samo zaskoczony jak ty.

– Nie mogą tego zrobić – mówię. Biorę jedną z ulotek, którą Brian dopiero co odkleił od okna i naklejam ją ponownie.

– Abby – mówi łagodnie – znowu będę musiał je odlepić.

W mojej głowie kołacze się jedno z haseł Sama Bungo: „Każdej nocy, w każdym dniu sięgaj po swe PPU!”. PPU to pozytywna postawa umysłu. Sam wierzył, że z PPU wszystko można osiągnąć.

– Przecież możemy być tak blisko – mówię. – Tylko kilka godzin może nas dzielić od znalezienia jej.

– Wiem – odpowiada. – Nie myślałem, że to się skończy w taki sposób. Wiesz, raz ją spotkałem. W którąś sobotę pan Balfour przyprowadził ją ze

sobą do szkoły. Malowałem plakaty z okazji szkolnej zbiórki żywności i zapytałem Emmę, czy nie chciałaby mi pomóc. W pewnym momencie stanęła na plakacie i potem na całym korytarzu zostawiała czerwone ślady. – Zwija taśmę klejącą i wyrzuca do kosza. – To nienormalne, że takie małe, urocze dziecko może zagać. Można dojść do wniosku, że ten świat jest całkiem popieprzony.

Wokół mnie roztacza się paraliżujące zwątpienie. Jak to możliwe, że tylko ja jedna mam jeszcze nadzieję na znalezienie Emmy?

Wychodzę na zewnątrz na zatłoczoną ulicę. Jest niedziela i Castro wypełniają turyści – nastolatki, młodzi mężczyźni, którzy z East Bay, Marin i Antioch przybyli tu z pielgrzymką do tętniącej życiem gejowskiej mekki znajdującej się pod wielką tęczową flagą. Na Osiemnastej Ulicy przed drzwiami do The Badlands uformowała się kolejka żądnych wrażeń młodych mężczyzn. Na zewnątrz Daddy's zbierają się szpakowaci mężczyźni w czarnych skórach. Każda knajpa ma swój styl, w każdej spotyka się określona klientela. Powietrze wypełnia mieszanina dymu i czegoś jeszcze – przesłodzonego aromatu seksu. Przed Castro Theatre gromadzi się tłum. Dziś w repertuarze jest stary film *Barbarella* i konkurs na sobowtóra Jane Fondy.

Jakaś ręka dotyka mojej nogi. Oglądam się i widzę bezdomnego nastolatka siedzącego na chodniku, patrzącego na mnie przekrwionymi oczami. Na każdym palcu ma pierścienek.

– Hej – mówi – za ćwierć dolara przeczytam ci wiersz.

Wrzucam trochę drobnych do jego puszkę i przeciskam się przez tłum. Schodzę poniżej ulicą Market i na ułamek sekundy przed zamknięciem drzwi wsiadam do kolejki miejskiej linii K Ingleside. W drugim wagonie jest mała dziewczynka z nosem przyciśniętym do szyby i czarnymi włosami opadającymi na ramiona. Gdy kolejka rusza, ja w pośpiechu przepycham się do okna i uderzam pięściami w szybę. Dziewczynka odskakuje przerażona.

Patrząc na mimikę jej twarzy, na ruchy jej rąk, gdy łapie za dłoń kobietę stojącą za nią, zdaję sobie sprawę, że jej nie znam. Uchodzi ze mnie powietrze.

– Wszystko w porządku? – pyta jakiś mężczyzna.

W zatłoczonym wagonie wszyscy na mnie patrzą.

– Nie – odpowiadam. – Przepraszam. Myślałam, że zobaczyłam kogoś znajomego.

Po wyjściu na ulicę skąpaną w prześlicznych promieniach słońca idę dalej. Nie wiem dokąd. Idę całe popołudnie, aż do wieczora – w dół ulicą Market, na Montgomery, w górę Columbus, w dół Broadwayem. Gdy słońce zaczyna zachodzić, znajduję się na South Beach, pod mostem San Francisco–Oakland Bay i wpatruję się w stalowe łuki. Samochody hałaśliwie przejeżdżają przez most. Zimne szare wody zatoki uderzają w skraj miasta. Pojawia się gęstniejąca mgła, w której rozmywają się kontury budynków, a światła nadjeżdżających samochodów żółkną. Liczba pojazdów jest przytłaczająca. W każdym z nich może uciekać porywacz z Emmą. W każdym bagażniku może być ukryte dziecko. Jest dziewczynka. Na imię ma Emma. Idzie po plaży. Jest dziewczynka. Jest dziewczynka. Czuję, że kruche fragmenty mojego zdrowia psychicznego strzępią się. Wody zatoki stają się ciemniejsze, zbliżają się do mnie. Tak łatwo byłoby po prostu upaść, tak łatwo byłoby zapomnieć. W oddali światła stadionu PacBell Park rozjaśniają mgłę, chwilę później słyszę krzyk kibiców.

ROZDZIAŁ 49

Jest po dwudziestej pierwszej, gdy docieram do domu Jake'a. Siedzi w kuchni i zapełnia kosz na śmieci stertami kopert i ulotek. Gdy wchodzę bez zapowiedzi, patrzy na mnie i mruży oczy, jakby wyszedł z ciemnego pokoju.

– Cześć – mówi i próbuje się uśmiechnąć.

– Powiedz mi, że się nie poddajesz.

– A jaka jest inna możliwość?

– Taka, że dalej szukamy.

– Abby, miałem plan – mówi. – Sztab, telewizja, radio. Wyznaczyłem sobie jakieś punkty, którymi się kierowałem. Myślałem, że jeśli rozdamy dziesięć tysięcy ulotek, to trafimy na ślad prowadzący do Emmy. Gdy to się nie powiodło, podniosłem poprzeczkę: pięćdziesiąt tysięcy ulotek, siedemdziesiąt pięć tysięcy, sto tysięcy. Za każdym razem, gdy wyznaczałem kolejny cel, myślałem, że to będzie właściwa droga, że teraz już na pewno ją znajdziemy. I nagroda pieniężna. Zaczynałem od pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Później było sto pięćdziesiąt tysięcy, dwieście tysięcy, czterysta tysięcy, pół miliona. Sprzedałem wszystkie akcje, zastawiłem dom i zwracałem się do wszystkich znajomych i setek nieznajomych o pomoc, by zebrać możliwie największą kwotę na nagrodę. Nic. I wolontariusze. W szczytowym momencie pomagało nam prawie trzysta osób. Wiesz, że udzieliłem stu sześciu wywiadów w stacjach radiowych? Czterdzieści dwa razy występowałem w telewizji. Przez telefon rozmawiałem z setkami

policjantów z całego kraju. Zrobiłem już wszystko. Nie wiem, co jeszcze mogę zrobić.

Idę do salonu i włączam lampę. Żarówka syczy przez chwilę, po czym gaśnie z cichym trzaskiem.

– Możemy być tak blisko.

– Ignorujesz oczywistą rzecz. – Siedzi na kanapie i podnosi ze stolika książkę, a po chwili odkłada ją z powrotem. To jakiś podręcznik do filozofii z podniszczoną okładką i karteczkami powtykanymi między strony. – Jej but. Jej bucik. Nawet gdybym udzielił jeszcze tysiąca wywiadów i rozesłał milion ulotek, i tak niczego by to nie zmieniło.

Siadam obok niego.

– Zbyt dużą wagę przywiązujesz do tego buta. To przecież jeszcze nic nie oznacza.

Odchyła się do tyłu i patrzy w sufit. Jego dłoń przykryta moją ręką jest gorąca i wilgotna. Pachnie inaczej, zupełnie nie jak on, ale zdaję sobie w końcu sprawę, że jego ubranie zostało po prostu uprane w innym proszku. Odkąd go znałam, ciągnął za sobą delikatną woń proszku marki Surf, jednak od momentu zniknięcia Emmy oddaje swoje rzeczy do pralni znajdującej się nieopodal domu. Kiedyś powiedział, że nie będzie w stanie sam robić prania, bo zwykle przy tej czynności pomagała mu Emma. Uwielbiała oddzielać białe rzeczy od kolorowych i odmierzać odpowiednią ilość proszku.

Ulicą przejeżdża autobus. Dzwonią kościelne dzwony. Dystans pomiędzy nami staje się coraz większy.

– Tak bardzo mi jej brakuje – mówi Jake. – Czasami nawet nie mam ochoty wyjść z łóżka. Kilka tygodni temu w sklepie Safeway kupiłem paczkę żelków robaczków, ponieważ Emma zawsze na nie czekała. Byłem już przy kasie, kasjerka przesunęła paczkę po skanerze i wtedy się rozkleiłem. Zacząłem głośno płakać. Nie byłem nawet w stanie wyjąć pieniędzy lub

choć wyjąć z kolejki. Za mną czekało już kilka osób. Kasjerka zawołała kierownika. Przyszedł i zapytał, czy potrzebuję pomocy i czy ma odprowadzić mnie do samochodu. Czułem się jak wariat. – Ściska moją dłoń. – Będzie wiele takich okropnych dni, ale nie możemy przestać żyć.

– Nie chcę przestać żyć. Chcę ją tylko odnaleźć.

– Minęło już prawie sześć miesięcy. Sześć.

Jego oddech jest trochę charczący. W tym momencie go kocham, ale dostrzegam też zadziwiającą możliwość: może ją kocham bardziej. Tęsknota jest tak głęboka, że czuję, jakby moje ciało zostało spustoszone, jakby wewnątrz mnie nie było nic poza zimnym powietrzem. Przez ostatnie sześć miesięcy Emma każdego dnia była ze mną. Jest pierwszą myślą, gdy się budzę, i ostatnim obrazem, jaki widzę przed zaśnięciem. Jej twarz, jej imię są ze mną w każdej minucie. Moim życiem kieruje tylko jeden cel – znaleźć ją. W tym czasie z każdym tygodniem Jake stawał się mniej wyrazisty, nasze rozmowy coraz rzadsze i bardziej ogólne, a momenty prawdziwej bliskości ograniczały się do minimum.

Kochać mężczyznę to jedna rzecz, ale kochać dziecko to już coś zupełnie innego – pochłania w całości. Gdy wcześniej ludzie mówili mi, jak wielką miłość może wyzwolić w nas dziecko, nie wierzyłam im. Później pojawiła się Emma, a ja nie potrafię teraz wyobrazić sobie reszty życia bez niej. Może miłość jest różdżką wyszukującą ludzi, którzy najbardziej jej potrzebują. Gdy rozpoczynałam swój związek z Jakiem, traktowałam Emmę jako część pakietu. Teraz z peryferii przesunęła się do samego centrum.

Cała nasza trójka miała liczne plany. Wyprawa do Paryża z okazji jej dziesiątych urodzin. Praga z okazji dwunastych. W wieku szesnastu lat, gdy już zdobędzie prawo jazdy, samochodowa wycieczka po Stanach. Robię jej zdjęcia w Luwrze, na tle *Mona Lisy*, a ona robi śmieszne miny. A później, po kilku latach, w niebieskich džinsach, umalowana bladą różową szminką siedzi

za kierownicą, podśpiewuje w rytm piosenek odtwarzanych w radiu, Jake na tylnym siedzeniu bawi się w nawigatora, a ja sprawdzam listę przydrożnych atrakcji. Jej twarz jest niewyraźna niczym zdjęcie szybko ruszającego się obiektu zrobione przy zbyt słabym świetle. Obrazy te są jednak wystarczająco wyraźne, bym mogła w nie uwierzyć.

Jake wstaje i zaczyna spacerować.

– Chcę zamówić nabożeństwo – mówi i zagryza wargę.

Podchodzi do okna, odsłania zasłonę i patrzy na ulicę, stojąc plecami do mnie. Przez moment pokój wypełnia się delikatnym żółtym światłem.

– Jakie nabożeństwo?

– Żałobne. – Odchrząkuje i opuszcza zasłonę. Pokój znów spowija mrok.

– Żeby się z nią pożegnać.

– Jeszcze nie teraz. Daj mi jeszcze trochę czasu.

– Po co?

– Żeby jej poszukać.

– Przestań. Proszę. Tylko pogarszasz sytuację.

Wciąż stoi tyłem do mnie. Idę na górę do pokoju Emmy. Kładę się na pościeli i wpatruję w sufit. Pokój zaczyna już tracić wyraźny zapach Emmy i zastanawiam się, czy Jake to zauważył. Czy za rok będzie tu można wyczuć jeszcze cokolwiek?

Odwracam głowę na poduszce i coś dostrzegam. Kosmyk włosów Emmy. Podnoszę go i trzymam pomiędzy dwoma palcami obiekt zupełnie niepasujący do teraźniejszości. Kładę go na swoim czole i pragnę, by pojawił się jakiś elektryczny impuls, jakiś telepatyczna wiadomość od Emmy.

Siadałyśmy na tym łóżku we dwie, ze skrzyżowanymi nogami. Emma odchyłała głowę, a ja wplatałam jej koraliki we włosy. Przez następne dni zawsze bawiła się warkoczami i rozsypywała koraliki po całym domu. To był jej dom. Każdy centymetr kwadratowy miał na sobie jakiś jej ślad – kredki na

kuchennym stole, sandały przy drzwiach do ogródka, stojące pod stołem w salonie pudełko po butach, w którym trzymała ubrania Barbie. Rano bardzo często budziła się przede mną i Jakiem, a odgłos jej małych stópek tuptających po schodach wprowadzał mnie w nowy dzień.

Z dołu dochodzi mnie odgłos ciężkich kroków. Korytarzem, potem przez kuchnię, jadalnię, sypialnię, zatrzymują się w przedpokoju. Drzwi wejściowe się otwierają. Jake chyba chce gdzieś iść. Chwilę później drzwi się zamykają, ale nie wychodzi. Nie ma dokąd pójść, nie ma nic do zrobienia, żadnej drogi ucieczki.

ROZDZIAŁ 50

Pacjenci z uszkodzeniami mózgu często z zadziwiającą dokładnością pamiętają dzieciństwo, nie są jednak w stanie zapamiętać wydarzeń z ostatnich lat. O przyjaciółach, których nie widzieli od dziesięcioleci, mówią tak, jakby spotkali ich przed kilkoma godzinami. Mogą pamiętać prezenty, jakie dostali na piąte urodziny, ale nie będą umieli przeczytać najprostszej nawet książki.

Każdego dnia przesiewam swoje wspomnienia niczym zdesperowany górnik przepłukujący urobek w poszukiwaniu złota. Wydobywam jednak zbyt wiele rzeczy – wspomnienia z dzieciństwa, które są w tej chwili zupełnie bezużyteczne, nazwiska i twarze, miejsca, w których nie byłam od lat. Ta jedyna rzecz, której szukam, która doprowadzi mnie do Emmy, wciąż pozostaje w ukryciu, niemożliwa do odzyskania. Każde pojawiające się wspomnienie jedynie odciąga mnie od mojego zadania – zbyt wiele śmieci blokujących ewentualne momenty olśnienia. Wspomnienia są bardzo wyraźne, kompletne, z głosem i ruchem, nawet z sugestią zapachu. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi bezwartościowymi informacjami, jednak one wciąż pojawiają się i chcą być zauważone.

Gulf Shores w stanie Alabama. Mam dziewięć lat i wraz z rodziną jestem na plaży. Pamiętam kobietę i mężczyznę leżących obok nas na jaskrawych żółtych ręcznikach. Popijali mrożoną herbatę z plastikowych kubków i czytali książki w miękkich okładkach. Prawdopodobnie byli mniej więcej

w wieku moich rodziców, jednak w przeciwieństwie do nich sprawiali wrażenie obdarzonych jakimś młodzieńczym duchem. On miał na sobie surferskie szorty, ona czarne bikini. Mój ojciec za to ubrany był w spodenki w kolorze khaki i tenisówki, a matka w koszulkę z krótkim rękawem i sarong opadający do kostek. Był z nimi chłopiec mniej więcej w moim wieku, który patrzył na mnie i uśmiechał się szeroko. Miał jasne włosy z bladozielonkawym odcieniem i był bardzo mocno opalony. Na jego nosie dostrzegłam białą kropkę kremu z filtrem.

Podczas gdy moja rodzina siedziała w cieniu dwóch parasoli, a na rogach olbrzymiego koca rozstawione były małe lodówki, tamci, szczęśliwsi, leżeli oblani promieniami słonecznymi, z nogami i ramionami oblepionymi piaskiem. Kobieta miała duże piersi, a ciemnobrązowy rowek pomiędzy nimi napinał złotą klamrę kostiumu kąpielowego. Moja matka rozwiązywała krzyżówki, ojciec słuchał transmisji radiowej z jakiegoś meczu drużyny Uniwersytetu Alabama, Annabel spała, a ja zza okularów z Myszką Miki obserwowałam rodzinę, starając się obmyślić plan, dzięki któremu mogłabym dotknąć olbrzymich piersi kobiety.

Chłopiec nabrał trochę piasku plastikową łopatką i wysypał go na plecy swojego ojca.

– Synu – powiedział mężczyzna, nie odrywając wzroku od książki.

Takiego samego psikusa zrobił matce.

– Może zbudowałbyś zamek z piasku? – zaproponowała.

Chłopiec dąsał się przez chwilę, po czym zabrał wiaderko i łopatkę i poszedł w stronę brzegu. Na moment bez przekonania zajął się budową zamku, ale później odrzucił wiaderko i łopatkę i wszedł do wody. Dzień był gorący i cichy. Słońce świeciło tak jasno, że z trudem można było patrzeć na morze. Fale wyglądały niewinnie, jednak na drewnianych tabliczkach rozmieszczonych na plaży widniał napis: „Silne prądy morskie. Pływanie na

własne ryzyko”.

Chłopiec skakał w rozbijające się o brzeg fale. Chciałam do niego dołączyć, ale rodzice nie wyrazili na to zgody. „Pływanie uprawia się w basenach” – zwykł mawiać mój ojciec. Przez kilka minut obserwowałam chłopca z zazdrością. Często odwracał się i patrzył, czy ktoś zwraca na niego uwagę. Raz nawet mu pomachałam. Szeroko się uśmiechnął, a potem rzucił się na piasek i wykonał dziwny taniec, wymachując nogami i szeroko otwierając usta. Wkrótce znudziłam się nim i skupiłam uwagę na jego matce.

Nie wiem, ile minut minęło, zanim kobieta wstała i popatrzyła w stronę oceanu.

– Tom – powiedziała.

Mężczyzna przewrócił stronę w książce.

– Hmmm.

– Nie widzę Charlesa.

Wstała i zaczęła iść w kierunku wody. Mężczyzna odłożył książkę i podążył za nią. Po chwili oboje już nie szli, tylko biegli, wykrzykując głośno:

– Charles!

Mój ojciec wstał i również podbiegł w kierunku wody. Annabel obudziła się, przeciągnęła i zapytała:

– Co się dzieje?

Nagle atmosfera na plaży zupełnie się zmieniła. Panika szybko rozszerzała się we wszystkich kierunkach. Po chwili każdy dorosły biegał i wykrzykiwał imię Charlesa. Kobiety mocno ścisnęły swoje dzieci, a ojcowie zdejmowali koszulki i sandały i wbiegali do wody. Było to podniecające i nieco cyrkowe, bo nagle senność całego dnia eksplodowała i pogrążyła się w chaosie.

Pojawili się też ratownicy. Łodzie rybackie, które były zakotwiczone

z dala od brzegu, zaczęły płynąć w kierunku plaży. Szybko pojawiła się łódź patrolowa, która z włączoną syreną przecinała fale. Imię Charlesa wywoływano przez megafon. Wyglądało to tak, jakby czas przyspieszył.

Gdy później zbieraliśmy ręczniki i lodówki, kobieta w czarnym bikini siedziała na brzegu morza i głośno płakała, a mężczyzna klęczał naprzeciwko niej, cichy i drżący. Pomiędzy nimi na mokrym piasku leżał blady i sinawy chłopiec. Jego oczy były otwarte, a wargi lekko rozchylone. Wokół kostki miał owinięte pasmo wodorostów. Leżąc, wyglądał pięknie i czysto, idealnie spokojny. Nawet wtedy wierzyłam, że się obudzi – wierzgnie nogami, puści do mnie oczko i uśmiechnie się. Świetny żart.

Do domu jechaliśmy w milczeniu. Matka płakała, a ojciec wpatrywał się w drogę widoczną przed samochodem. Grzmot wstrząsnął autem i zaczęło padać. Wycieraczki na przedniej szybie stukały i piszczwały. W pewnym momencie matka odwróciła się i złapała mnie i Annabel za rękę.

– Dziewczynki – powiedziała.

Tylko tyle. Powiedziała to słowo tak cicho, jakby odmawiała modlitwę.

Przetarłam zaparowaną szybę i wpatrywałam się w ciągnącą się kilometrami plażę, piaszczyste wydmy, wysoką trawę morską i małe różowe domki na palach. Błyskawica przecięła niebo nad oceanem. Ramiona piekły mnie nieco od zbyt mocnej opalenizny. Samochód pachniał ciepłem i słodyczą. Na wargach miałam sól. Byłam spragniona, ale w tej okropnej ciszy nie wiedziałam, jak mam poprosić o coś do picia. Na siedzeniu obok mnie spała Annabel, z wyciągniętymi nogami, z głową odchyloną do tyłu pod nienaturalnym kątem i z szeroko otwartymi ustami. Co chwila zerkałam na nią, żeby się upewnić, że oddycha. Położyłam rękę na jej ciepłej stopie, by mieć pewność, że żyje. W tej chwili kochałam ją ogromnie.

W którymś momencie zasnęłam. Samochód sunął autostradą. Poprzez niespokojny sen czułam, że matka wpatruje się w nas z dziwnym błyskiem

w oku, jakbyśmy były dla niej czymś nowym, niespotykanym i wyjątkowym.

ROZDZIAŁ 51

Dzień sto osiemdziesiąty czwarty. Po spotkaniu grupy wsparcia David zaprasza mnie do siebie na kawę. Jadę za nim do Cole Valley. Jego dom, odnowiony budynek w wiktoriańskim stylu, znajduje się w spokojnej okolicy. Wewnątrz są ciemne drewniane podłogi i panuje głucha cisza.

Przekręca włącznik znajdujący się w korytarzu i dom wypełnia się światłem i muzyką.

– Podoba ci się? Podłączyłem całość tak, że ten włącznik uruchamia wszystkie światła w domu, a dodatkowo odtwarzacz płyt.

– Robi wrażenie.

– Gdy wchodzę, choć przez chwilę mogę udawać, że to nie jest pusty dom.

W centralnym punkcie salonu stoi fortepian, a na nim leżą nuty *V koncertu fortepianowego* Ludwiga van Beethovena. Naciskam klawisz i rozbrzmiewa niski, jęczący dźwięk.

– Grasz?

Przecząco kręci głową.

– Moja żona gra. Grała. Uczyła Jonathana. Był całkiem niezłym pianistą. Miał niezwykle długie palce. Nie wiem, czy to ma jakiegokolwiek znaczenie, ale Jane uważała, że to dobry znak.

Obramowanie kominka i komoda zastawione są rodzinnymi fotografiami – David i Jonathan przed wejściem do Disneylandu, Jane i Jonathan siedzący

przy stole piknikowym, na którym stoi koszyk z Kentucky Fried Chicken, cała rodzina machająca z dziobu promu, ze Statuą Wolności w tle. Na jednej ze ścian na białym tle wisi seria kolorowych zdjęć zrobionych w studiu. Na kilku z nich Jonathan bawi się z cocker-spanielem.

– Masz psa?

– Nie – śmieje się David. – Nigdy nie miałem. To zabawka. Jonathan nie chciał współpracować z fotografem, więc ten spróbował przekonać go tą maskotką.

– Urocze.

Zdjęcie przypomina mi sesje fotograficzne w zakładzie Olan Mills, na które ciągała nas matka. Studio znajdowało się w centrum handlowym przy Airport Boulevard i śmierdziało lizolem. Fotograf zawsze nosił koszulkę z herbem jakiejś szkoły wyższej piątej kategorii. Mówił nam, że mamy ładne zęby, a potem opierał nas o imitację drewnianego płotu, miałyśmy uśmiechać się szeroko i trzymać kciuki w szlufkach spodni, tak jakby życie było jakimś sielankowym rajem, jakbyśmy nie mieszkały na przedmieściach.

– Bezkofeinową czy normalną?

– Obojętnie.

David prowadzi mnie do kuchni. Na każdej ścianie widzę kolejne zdjęcia. Gdy otwiera szafkę, by wyjąć dwa kubki, zauważam kilka małych szklanek z postaciami z kreskówek Disneya.

Wkłada dwa kawałki mrożonego ciasta z owocami do kuchenki mikrofalowej, nastawia rozmrażanie i włącza ekspres do kawy.

– Pokażę ci dom, zanim się zaparzy. Zaczniemy od pokoju gościnnego.

Prowadzi mnie na górę do pokoju wyklejonego tapetami, który wygląda niczym wycięty z gazety z projektami wnętrz.

– Prawdopodobnie powinienem przerobić go na pracownię. Nikt nie spał tutaj od lat. Krótco sypiała tu Jane, zanim się wyprowadziła.

Nad łóżkiem z kutego żelaza wisi oprawiony rysunek przedstawiający chłopca. Włosy ma jasnobrązowe, a kontury pucułowatej twarzy wypełnione są kredką w kolorze brzoskwiniowym.

– To szkic progresji wieku – wyjaśnia David. – Jonathan w wieku jedenastu lat.

Portret narysowany jest z niezwykłą dbałością o szczegóły. Chłopiec ma taki błysk w oku, że trudno uwierzyć, iż patrzy się na portret osoby, której nigdy nie było. David wyciąga rękę i poprawia ramę. Na dole właśnie wyłączyła się kuchenka mikrofalowa, dając o sobie znać trzykrotnym sygnałem.

Następnie David prowadzi mnie do pokoju z bladoniebieskimi ścianami. Na suficie namalowano chmury, a na sznurkach wiszą modele samolotów. Duże łóżko jest starannie zasłane pościelą w dinozaury. Na poduszce widać okrągłe wgniecenie, jakby całkiem niedawno ktoś tutaj spał. David dotyka dłonią skrzydła jednego z samolotów.

– Większość z nich zrobiłem razem z Jonathanem. Chciał być pilotem. – Uśmiecha się. – Miał także zamiar tresować dinozaury w cyrku, a w weekendy chciał pracować jako kowboj. – Uderza palcem w skrzydło i samolot zaczyna się kręcić. – A kim chciała być Emma?

Udaję, że nie słyszałam czasu przeszłego, którego użył w pytaniu.

– Bardzo jej się podoba murarstwo. Chcieliśmy ukierunkować ją na architekturę, bo to lepiej płatny zawód, ale ona woli po prostu budować. W ubiegłym roku Jake kupił jej zabawkowy zestaw murarski. Były w nim plastikowe cegły i proszek, który po zmieszaniu z wodą służy jako zaprawa. Zaczęła budować mur, który miał sięgnąć samego nieba. Jej plan polegał na tym, że będzie budowała tak długo, aż sięgnie księżyca, gdzie zbuduje dla nas nowy dom. Chciała tam wyprawiać przyjęcia, na które miała zapraszać prezydentów wszystkich krajów świata.

– Wygląda na to, że w przyszłości mogłaby zająć się polityką.

Przyszłość. To słowo brzmi prawie jak urojenie, zbyt wielkie, by mieć na nie nadzieję. Choć muszę przyznać, że obecnie jedyne, co trzyma mnie przy życiu, to myśl – falująca nadzieja możliwej przyszłości – że Emma, Jake i ja będziemy normalną rodziną, mimo że z każdym dniem ta nadzieja zmniejsza się o niewielki ułamek.

– Wspaniałe samoloty – mówię. Chwilę po wypowiedzeniu tych słów zdaję sobie sprawę, że brzmią głupio, zbyt banalnie. Chciałabym wymyślić coś, dzięki czemu mogłabym wypowiedzieć współczucie i zrozumienie, jakie odczuwam.

David przygląda się kilkunastu modelom wiszącym ponad łóżkiem jego nieżyjącego syna.

– Mam jeszcze prawie setkę w piwnicy: boeingi 747, cessny, myśliwce, do wyboru do koloru. – Głos mu się załamuje. – Czekam tylko, aż mój smutek przeminie, ale raczej się na to nie zanosi. Czekam na poranek, w którym obudzę się i dojdę do wniosku, że już nie chcę, by wrócił. Jednak każdego dnia tęsknię za nim tak mocno jak w dniu, w którym zaginął.

Przybliża się do mnie, dłonią unosi moją brodę tak, by nasze twarze znajdowały się blisko siebie. Odwracam głowę i jego pocałunek ląduje na moim policzku – stara sztuczka z czasów szkoły średniej, która w dorosłym świecie wygląda niezręcznie i nie na miejscu. David łapie mnie za rękę i prowadzi korytarzem do kolejnego pokoju. Nie ma w nim żadnych fotografii, jedynie łóżko z białym nakryciem, drewniana komoda i beżowe ściany.

Ponownie próbuje mnie pocałować i tym razem pozwalam mu na to. Nawet gdy otwieram usta, wiem, jak bardzo jest to niewłaściwe. Czując jego język na swoim, wdychając zapach jego ciała, w głowie słyszę głos Sama Bungo: „Sytuacja, uczestnictwo, wyzwolenie”.

David dociera do guzików z boku mojej spódnicy. Słyszę szelest opadającego materiału i stukot guzików na twardej drewnianej podłodze. Stojąc tak w swetrze, bieliźnie i butach, czuję nie pożądanie, tylko litość. Dociera do mnie, że być może David też mi współczuje. Może traktuje moje nieustające poszukiwanie jedynie jako żalną próbę odsunięcia w czasie czegoś nieuniknionego.

Ponownie mnie całuje, wsuwa rękę pod sweter, dotyka piersi. Później rozbiera się, kawałek po kawałku: buty, koszula, majtki, skarpety – patrząc na mnie niepewnie, tak jakby czekał, aż wszystko przerwę. A ja powtarzam sobie: nie rób tego.

Klatka piersiowa Davida jest wątła i pozbawiona owłosienia, jego ciało blade, a przez skórę widać niebieskie żyły. Może zasługuje przynajmniej na tę jedną małą rzecz, na tę chwilę przyjemności. Stracił tak wiele, a ja nie wiem, jak mu odmówić. Stojąc przede mną, wygląda nierealnie, bardziej jak chłopiec niż mężczyzna, nie licząc erekcji. Moje współczucie ustępuje, a moje ciało ogarnia paląca, natarczywa potrzeba. Nie mogę zaprzeczyć, że część mnie chce się otworzyć, czuję bolesną presję, chęć uwolnienia się. Część mnie chce w ten sposób uciec od świata. Część mnie uważa, że pomoże mi to choć na chwilę zapomnieć.

David podchodzi do mnie. Jego penis naciska na moją nogę.

– To już sześć miesięcy – mówię. Nie jestem pewna, czy mnie usłyszał, więc powtarzam jeszcze raz. – Sześć miesięcy od dnia, w którym zniknęła Emma.

Popycha mnie w kierunku łóżka, sadza i delikatnie zdejmuje mi buty. Gdy idzie wyłączyć światło, zauważam, że na prawym biodrze ma znamię w kształcie awokado. Myślę o Ramonie, pierwszym mężczyźnie, którego widziałam nagiego: jego idealne ramiona, muskularne biodra, długie nogi i wyjątkowo drobne dłonie. Nigdy tak naprawdę nie zwracałam uwagi na

jego dłonie, dopóki nie zobaczyłam go bez ubrania, a gdy popatrzyłam na nie wtedy po raz pierwszy, poczułam przypływ czułości.

Światło gaśnie i właśnie wtedy zauważam cyfrowy zegar, który wyświetla na suficie wielkie czerwone cyfry: godziny, minuty, sekundy. To właśnie liczby przywracają mnie do rzeczywistości, do myśli, że Emma jest gdzieś na zewnątrz i czeka na mnie.

– Powinam już iść – mówię, podnosząc się z łóżka.

David podchodzi:

– Nie odchodź.

Wskakuję w spódnicę i wkładam buty, już nienawidząc się za to, co prawie się wydarzyło.

David stoi centymetry ode mnie, jest nagi i patrzy. Jestem na niego zła, że dokładnie wie, które guziki ma nacisnąć.

– Do widzenia – mówię.

– Proszę, nie odchodź. Zostań na noc. Nic nie musi się między nami wydarzyć.

Schodzę na dół i wychodzę z jego mieszkania. Jadąc do domu poprzez nocny chłód, przebijając się przez mgłę rozświetlaną światłami samochodu, nie czuję się tak zupełnie stała, całkowicie należąca do tego świata. Unikam patrzenia w lusterko wsteczne, w okna, które odbijają wszystko w ciemności – obawiam się, że jeśli spojrzę zbyt uważnie, mogę siebie nie poznać.

ROZDZIAŁ 52

Podstawą fotografii jest światło. Słowo „fotografia” pochodzi z języka greckiego i składa się z wyrazów: „*photos*” oznaczającego światło i „*graphein*” oznaczającego rysownie. Za każdym razem, gdy robisz zdjęcie, rysujesz w świetle.

Zadaniem obiektywu aparatu fotograficznego jest zagięcie światła. Zadaniem kliszy jest zapisanie wzoru światła przepuszczanego przez obiektyw. Klisza to jedynie kawałek plastiku zawierający światłoczułe drobinki, w których po wystawieniu ich na działanie światła zachodzi odpowiednia reakcja chemiczna. Jeśli przez obiektyw wpadnie zbyt dużo światła, reakcja zajdzie w zbyt wielu drobkach, a obraz na zdjęciu będzie prześwietlony. Jeśli przejdzie zbyt mało światła, obraz będzie za ciemny.

Światło jest nie tylko podstawą zawodu fotografa – jest także jego największym wrogiem. Właśnie dlatego ciemnia musi być dokładnie zabezpieczona. Każda ciemnia ma przynajmniej jedną lampę ciemniową, świecącą zwykle na czerwono lub bursztynowo, która nie powoduje widocznych zmian na materiałach światłoczułych. Lampa ciemniowa jest używana wtedy, gdy obrazy przenoszone są z negatywów na papier fotograficzny i podczas przenoszenia odbitek z jednego pojemnika z odczynnikami chemicznymi do drugiego.

Jest też okres, w którym każdy fotograf pracuje zupełnie po ciemku: gdy niewywołana klisza jest wyciągana z aparatu fotograficznego i nawijana na

koreks. To musi być zrobione bardzo precyzyjnie – trzeba upewnić się, że film jest nałożony ciasno i dotykamy tylko krawędzi. Jedno osunięcie się palca może zrujnować całą rolkę.

Fotograf całkowicie polega na swoich oczach. Odnosi się do świata poprzez obrazy, poprzez wzrok, poprzez to, co może zobaczyć. Ale przez te kilka minut samotności w czarnej ciemni wszystko musi być zrobione na wyczucie, instynktownie, bez patrzenia.

Czym jest poszukiwanie, jeśli nie ćwiczeniem wykonywanym bez wzroku?

Przez pierwsze godziny po zniknięciu Emmy wyobrażałam sobie, jak obszar poszukiwań zwiększa się z minuty na minutę. Teraz, po sześciu miesiącach, zakres możliwości jest koszmarnie wielki. Prawda jest taka, że obszar poszukiwania nie ma teraz żadnych granic. Emma może być wszędzie: w Kalifornii, Nowym Jorku, Londynie, Madrycie. Może być na Alasce lub w Alabamie.

Od samego początku na ślepo wymachiwałam rękami w ciemności.

Problem z lampą ciemniową jest taki, że nigdy nie jest wystarczającym źródłem światła. Zawsze przydałoby się trochę więcej. Chciałoby się z absolutną precyzją umieć ocenić gęstość drobinek, precyzję ustawienia ostrości. W ciemni jednak jest się ogromnie wdzięcznym za taką lampę. Po pracy w całkowitej ciemności jej mdłe oświetlenie odbiera się jako wielką ulgę. Tyle bym teraz dała za lampę ciemniową. Za jakąś małą rzecz, która może mnie poprowadzić do celu.

ROZDZIAŁ 53

„I wszyscy idziemy za nimi, na milczący pogrzeb,
Na niczyj pogrzeb, bo nie ma kogo grzebać”.

T.S. Eliot, *Cztery kwartety**

Jake rozmawiał z terapeutą. „Zamknięcie – mówi terapeuta – wymaga rytualnego uznania jej śmierci”.

W ten sposób doszliśmy do tematu trumny. Pojechałam wraz z Jakiem, by wybrać odpowiednią. Dom pogrzebowy na Geary, pluszowy dywan, wyciszone pokoje, tuż obok lokal z burgerami. Mężczyzna ubrany w prążkowany garnitur prowadził nas długim korytarzem do podwójnych drzwi, za którymi znajdowało się biuro przypominające salon. Staromodnie, wiktoriańsko urządzone, z narożną bladofioletową sofą i trzema wysokimi tapicerowanymi krzesłami. Dyrektor domu pogrzebowego długim bladym palcem przewracał strony oprawionego w skórę katalogu zawierającego zdjęcia i reklamy trumien. Próbował sprzedać nam coś robionego z myślą o małych dziewczynkach, lśniące białe, z ręcznie malowanymi aniołkami i kwiatkami oraz satynową wyściółką w różowym kolorze pepto-bismolu.

– Możecie państwo zamówić również specjalną inskrypcję na trumnie – powiedział, po czym odczytał rymowany wiersz napisany przez anonimowego autora.

Kiedy jednak Jake wybrał zwykłą dębową trumnę bez fikuśnych zdobień z brązu, bez małych uchwytów i bez wiersza, dyrektor popatrzył na nas z dezaprobatą.

To było trzy dni temu. Nabożeństwo żałobne odbędzie się dzisiaj o jedenastej.

– Chcę, żebyś tam była – mówi Jake przez telefon. Jego głos wydaje się wyjątkowo zmęczony. W tle słychać pracujący ekspres do kawy.

Minęło już sto dziewięćdziesiąt osiem dni. Dziś rano wykonałam obliczenia:

4752 godziny.

285 120 minut.

17 107 200 sekund.

– No i? – pyta Jake, ciężko oddychając do słuchawki.

Tak naprawdę nie mam prawa odmówić mu czegokolwiek, ponieważ to ja nie byłam ostrożna, to ja odwróciłam wzrok, to mnie na kilka sekund zawiódł macierzyński instynkt, to ja wybrałam zły kierunek w tych kluczowych momentach, w których zniknęła Emma. To wyłącznie moja wina, że dzisiejsze nabożeństwo jest konieczne. To mój niewyobrażalny błąd zgromadzi dziś żałobników.

– Oczywiście.

Słyszę, jak Jake nalewa filiżankę kawy i uderza łyżeczką o ścianki kubka.

– Przyjdiesz do mnie? Pojedziemy razem?

– Tak.

Przeglądam szafę w poszukiwaniu czegoś czarnego, nakładam odpowiedni makijaż i udaję się do domu Jake'a. Do kościoła jedziemy razem, w milczeniu. Jake wpatrzony jest w drogę, a wyrazu jego twarzy nie da się odczytać. Stoję na czele ludzi zgromadzonych w wielkim katolickim

kościelne. Kościelne, którego okna wiele razy podziwiałam od strony ulicy. Większość osób, które zaprosilibyśmy na nasz ślub, jest tutaj, razem ze szkolnymi przyjaciółmi Emmy i ich rodzicami, wolontariuszami ze sztabu, detektywem Sherburne'em, policjantami, którzy pomagali w śledztwie. Ktoś, być może jeden z uczniów Jake'a, poinformował media o nabożeństwie i wśród żałobników jest także sporo obcych osób. Pojawiła się nawet Leslie Gray wraz ze swoim kamerzystą.

Jake i ja siedzimy w pierwszym rzędzie, trzymając się za ręce. Jest cichy i opanowany. Zrezygnowany.

Kilka osób wstaje i wspomina Emmę – jej nauczyciel z pierwszej klasy, instruktor gry na wiolonczeli, matka najlepszej przyjaciółki. Piętnaście minut po rozpoczęciu ceremonii pojawia się Lisbeth. Przechodzi na przód kościoła, przeciska się obok mnie i siada po drugiej stronie Jake'a.

Gdy przychodzi kolej na mnie, patrzę na tłum posepnych twarzy i opisuję wszystkie rzeczy, które kochałam w Emmie. Opowiadam anegdotki, w których Emma ożywa dla słuchających, powtarzam słowa, które wypowiadała, i wzbudzam ogólny śmiech, gdy mówię o jej marzeniach związanych z murarstwem. Dziękuję dobrym ludziom z San Francisco za wsparcie.

Wracam na miejsce, a wtedy wstaje Lisbeth. Dociera do mnie, że zamierza podejść do ambony, tak jakby miała jakieś prawo do wychwalania dziecka, którego nawet nie znała. Jake łapie ją mocno za ramię.

– Nie – mówi na tyle głośno, że słyszy go pół kościoła.

Lisbeth odchrząkuje, zmusza się do uśmiechu i siada.

Po zakończeniu nabożeństwa jadę wraz z Jake'em na cmentarz, tuż za karawanem wiozącym pustą trumnę. Pogrzeb jest już prywatną ceremonią, na której jesteśmy tylko ja, Jake, ksiądz, kilku nauczycieli ze szkoły Jake'a i rodzina najlepszej przyjaciółki Emmy. Dopiero w chwili spuszczenia

trumny do grobu Jake pozwala sobie na publiczne pokazanie łez.

Ja również płacę. Przez cały czas mam ochotę krzyczeć, że to jedno wielkie kłamstwo. W tej trumnie nie ma prawdy, nie ma prawdy w tym grobie, w świeżo przekopanej ziemi, zapachu ściętej trawy. Emma żyje.

– Może już czas – mówi Jake, gdy wracamy do domu.

– Czas na co?

– Na nasz ślub. To nie musi być wielka impreza. Możemy po prostu iść do sędziego pokoju.

Przez chwilę rozważam taką możliwość. Może to nie jest głupi pomysł. Może udałoby się utrzymać kruchy spokój w pierwszych miesiącach małżeństwa, nauczylibyśmy się żyć razem w nowych warunkach, może nawet udałoby się nam znaleźć sposób na szczęście.

– Co ty na to? – pyta Jake.

– Wiesz, że chcę za ciebie wyjść, Jake. Wiesz, że cię kocham...

– Wiele o tym myślałem, Abby. Od chwili, gdy znaleziono jej but, myślę o tym, by spróbować znaleźć sposób na dalsze życie. W telewizji można zobaczyć rodziców, którzy stracili dziecko i swój żal potrafili przekuć w coś znaczącego, pozytywnego. Dotarło do mnie, że nie mogę być taki jak John Walsh. Może to trochę samolubne, ale nie mogę przeżywać tego przez kolejne trzydzieści lat. Chcę w jakimś sensie odzyskać własne życie. Może pewnego dnia ty i ja postanowimy postarać się o dziecko. Wiem, że nie zastąpimy Emmy, wiem, że inne dziecko nie ukoi bólu, ale musimy znaleźć jakiś sposób, by żyć dalej. Pamiętasz rozmowę, którą odbyliśmy dawno temu, gdy po raz pierwszy zdecydowaliśmy się na małżeństwo? Powiedziałem ci, że kocham cię z dwunastu powodów, a tylko jednym z nich było to, że będziesz dobrą matką dla Emmy. Pod tym względem nic się nie zmieniło.

– Nie wydaje mi się, by była to właściwa pora, Jake – odpowiadam.

Nie wiem, co jeszcze mogę powiedzieć, by wyjaśnić mu swoje uczucia. Część mnie bardzo chce być blisko niego, wrócić do wspólnego życia i dlatego od razu chciałabym cofnąć słowa, które wypowiedziałam. Prawda jednak jest taka, że nie chcę mieć życia opartego na poczuciu winy, na iluzji śmierci Emmy. Moja matka zawsze zarzucała mi, że chcę zbyt wiele, że gdy w mojej głowie zrodzi się jakiś pomysł, to jestem zbyt uparta w dążeniu do jego realizacji. Ale właśnie tego chcę. To jest to, co w momentach jasności umysłu potrafię sobie precyzyjnie wyobrazić: Jake, ja i Emma razem jako rodzina. I nic mniej.

Po stypie w domu Jake'a wracam do siebie, zmieniam ubranie i wyjeżdżam z miasta, kierując się na południe. O czternastej dojeżdżam do Half Moon Bay. Spędzam tam kilka godzin, rozmawiając z surferami, pokazując zdjęcia Emmy i portrety pamięciowe pary z furgonetki. W drodze powrotnej zatrzymuję się w barze Taco Bell w Pacifica, który znajduje się na ślicznym kawałku plaży z szerokim widokiem na ocean. To był dobry dzień dla surferów, „fajne zachodnie falowanie” zgodnie z raportem przedstawianym w czyimś odbiorniku radiowym. Surferzy są podekscytowani, wyczerpani, wcinają tacos i burrito z fasolą tak, jakby od kilku dni nic nie jedli. Zamawiam colę, siadam samotnie przy małym stoliku i obserwuję twarze.

Przybrzeżna droga w kierunku północnym zapchana jest samochodami turystów i ponad godzinę zajmuje mi wydostanie się z miasta. Jadę Great Highway i zjeżdżam w prawo na Point Lobos Avenue, omijam Geary, przejeżdżam przez Richmond, mijam Alexandrię i Coronet. Ostatnie miejsce to zamknięte niedawno po osiemdziesięciu latach działalności kino, w którym pokazywano stare filmy. To było ulubione kino Emmy; teraz napis głosi: „Przyszła siedziba Instytutu Badań nad Starzeniem Się”.

Zatrzymuję się przed wejściem do kościoła i wchodzę do środka. Przed

ołtarzem wciąż pali się kilka świec. Siadam w drugim rzędzie i wpatruję się w migoczące świece, Matkę Boską, błyszczącą figurę Chrystusa rozciągającego ręce na połączonym krzyżu. Kościół jest pusty, nie licząc bezdomnego śpiącego w tylnych rzędach. Zsuwam się z ławki, opadam na kolana i ręką robię znak krzyża. Czekam na jakiś impuls elektryczny przeszywający moje palce, na głos szepczący w ciemności. „Jezus wzywa” – zwykł śpiewać chór. Jeśli jest jakiś głos, to teraz na pewno go usłyszę.

Kłęcząc, składając ręce i przyciskając kciuki do czoła, modłę się, płacę i błagam, składając obietnice Bogu, którego nigdy nie spotkałam. Jestem oczyszczona, tak jak zdaniem księży powinnam być, ale żaden duch nie wyłania się z ciemności i nie wypełnia tej przestrzeni. W pewnym momencie słyszę szuranie stóp. Kościół zaczyna wypełniać się wiernymi, którzy zbierają się na wieczorną mszę. Gdy między rzędami idę do wyjścia, ludzie patrzą na mnie i szybko odwracają wzrok. W pogniecionym ubraniu, pokrytych piaskiem butach i z rozczochranymi włosami muszę wyglądać jak lunatyk.

W samochodzie włączam radio, by w ten sposób wypełnić czarną dziurę w mózgu. W KALW Roman Mars prowadzi zbiórkę pieniędzy. W KQED Michael Krasney rozmawia z Craigiem Newmarkiem i Jimem Buckmasterem. Przesuwam pokrętko, omijam reklamy i rozmowy, w końcu znajduję muzykę. Trafiam na tę piosenkę zespołu Wilco i wiem, że resztę dnia spędzę na próbach wyrzucenia jej z głowy.

* T.S. Eliot, *Cztery kwartety*, tłum. W. Dulęba, [w:] tenże, *Poezje wybrane*, wyd. 2, Warszawa 1988, s. 197 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 54

„I ty, Mnemosyne moja, której sztuka kryje się pod trzydziestoma pieczęciami i więziona jest w mrocznej celi mglistych domysłów, pozwól mi usłyszeć głos dźwięczący w mym uchu”.

Giordano Bruno

W poniedziałek jestem umówiona na hipnozę. Doktor Shannon ma elegancki gabinet w Palo Alto, tuż przy skwerze. Korytarz wyłożony jest drewnem dębowym, a na ścianach wiszą obrazy w kosztownych ramach. Przez całą długość pomieszczenia ciągnie się biała sofa. Atrakcyjny młody mężczyzna siedzi za stylowym biurkiem i notuje coś w dużym rejestrze. Jego oczy mają zadziwiający odcień zieleni – kolorowe szkła kontaktowe. Pyta mnie o nazwisko, podaje podkładkę do pisania, długopis i prosi o wypełnienie kilku formularzy.

Dokładnie o trzynastej asystent wprowadza mnie do wielkiego pokoju, który pachnie skórą. Na wysokim krześle siedzi mocno zbudowana kobieta ubrana w pomarańczowy kostium i fioletowy szal.

– Doktor Shannon – mówi, wyciągając dłoń.

Ma szeroki uśmiech odsłaniający zęby i malutkie piegi wokół nosa, które sprawiają, że przypomina wiejską dziewczynę. Wygląda zupełnie inaczej, niż

się spodziewałam. Gdy rozmawiałam z nią przez telefon i wyjaśniałam powód wizyty, jej spokojny, głęboki głos sprawił, że wyobrażałam sobie szczupłą kobietę w czarnej szacie, kogoś powściągliwego i wytwornego.

– Usiądź, proszę, Abby.

Zapadam się w fotelu, natychmiast odczuwając, że jestem w niekorzystnej pozycji. Doktor Shannon siedzi wysoko na swoim krześle, a ja bardzo nisko, z kolanami uniesionymi w powietrzu.

– Zanim zaczniemy, powinnaś dowiedzieć się kilku rzeczy – mówi, wpatrując się we mnie z uciążliwą intensywnością. – Po pierwsze, pamięć to głębokie morze.

Kiwam głową, zahipnotyzowana jej pomarańczowym kostiumem, jej dziwnymi upodobaniami kolorystycznymi, zastanawiając się, skąd wzięła pomysł, że pomarańczowy jest nową czernią.

– Po drugie, nie można zawładnąć pamięcią, tak jak nie można zawładnąć morzem. Można w niej zanurkować, zbadać ją, ale nie można jej osiąść. Rozumiesz?

Ponownie kiwam głową.

– Po trzecie, zawsze trzeba wypłynąć na powierzchnię, by zaczerpnąć powietrza. Dlatego właśnie jestem tutaj. Pomogę ci zanurkować, a później pomogę ci wypłynąć na powierzchnię.

– Zgoda.

– Wygodnie ci?

– Tak.

– To dobrze.

– Może powinnam powiedzieć, że już kiedyś próbowałam hipnozy. Miałam wielkie nadzieje, ale nic z tego nie wyszło.

– Może wtedy nie byłaś na to gotowa – mówi. – Teraz jesteś gotowa?

– Chyba tak.

Patrzy na moje długie do kolan czarne buty.

– Może lepiej zdejmij buty. Będzie ci wygodniej.

Zdejmuję buty i stawiam je obok fotela, zawstydzona faktem, że rano nie zadałam sobie trudu, by dopasować skarpety.

– Dobrze. Teraz wprowadzę cię w stan głębokiego odprężenia i poproszę o rozmowę na temat tamtego dnia na plaży. Gdy wyjdiesz z hipnozy, powinnaś pamiętać wszystko bardzo jasno. Możesz doświadczać zmian w swoim ciele, odczuwać lekkość lub ociężałość. – Spogląda w notatki. – Przez telefon powiedziałaś, że chcesz przypomnieć sobie wszystkie szczegóły z dnia, w którym zniknęła twoja mała dziewczynka, prawda?

– Tak, córka mojego narzeczonego.

– Czy jest coś, czego poszukujesz szczególnie?

– Najbardziej zależy mi na minutach tuż przed zniknięciem, gdy już dotarliśmy na plażę. Tablice rejestracyjne byłyby dobrym tropem. Coś wyjątkowego w ludziach widzianych na parkingu. W szczególności ta para z furgonetki. Jakikolwiek znaki szczególne na ich samochodzie będą pomocne.

– Zacznijmy od tego, że zamkniesz oczy – prosi doktor Shannon.

Później zaczyna mówić, a jej głos jest głęboki i łagodny. Mówi, że jest mi wygodnie, że jestem zmęczona, że pamięć jest głębokim, ciepłym morzem. Mówi, że powinnam jej zaufać. Mówi, bym zanurkowała. Przez chwilę nic się nie dzieje. Wciąż mówi niskim, monotonnym głosem. W pewnym momencie czuję, że moje ciało staje się lżejsze, tak jakby ramiona unosiły się na wodzie.

– Wróć do tego dnia na Ocean Beach. Jesteś na parkingu wraz z Emmą. Powiedz mi, co widzisz.

– Pomarańczowy chevelle. W środku siedzi mężczyzna, czyta gazetę.

Szyby są opuszczone. Figurka stoi na desce rozdzielczej.

– Dobrze. Co jeszcze?

– Sznur mrówek maszeruje po chodniku. Emma zatrzymuje się, by na nie popatrzeć. Martwy krab piaskowy. Żółte wiaderko Emmy, jej czerwona plastikowa łopata, niebieskie buty. Depcze mrówki i kraba.

– Bardzo dobrze – mówi doktor Shannon. Jej głos jest cichy i uspokajający.

Scena staje się coraz wyraźniejsza, a ja czuję, że detale tamtego dnia przepływają wokół mnie. Szum samochodów na Ocean Boulevard. Mgła niczym przyjemny sen. Fale uderzają w brzeg, zburzony zamek z piasku z jedną ocalałą wieżą.

– Zostańmy jeszcze chwilę na parkingu – decyduje doktor Shannon. – Nie spiesz się.

Na końcu parkingu, tam gdzie asfalt jest mocno zniszczony, widzę rozciągniętą linię. Rozlatujący się kamienny mur.

– Kalifornia wpada do oceanu – mówię, świadoma tego, że z moich ust wychodzą słowa mojej matki, która powtarzała to bardzo często.

Jako dziecko wpatrywałam się w wiszącą na ścianie gabinetu ojca mapę Stanów Zjednoczonych i wyobrażałam sobie, że kraj rozpada się wzdłuż granicy Kalifornii, a cały stan odpada i dryfuje w oceanie.

– Co widzisz na parkingu?

– Żółtą furgonetkę, taką w hippisowskim stylu. Przez szybę patrzy kobieta, uśmiecha się i macha do Emmy. Drzwi od strony kierowcy są otwarte, a obok nich stoi mężczyzna, boso, bez koszulki, i woskuje deskę surfingową.

– Jak wygląda? Ten mężczyzna.

– Przystojny, nieogolony, włosy w kolorze piaskowego blondu, umięśnione ramiona. Mruga do Emmy i mówi „witam”. Patrzy na mnie, a ja

ściskam mocniej jej dłoń. Ona również ściska mnie mocniej. Jest mała, ale silna. U podstawy palców ma małe zgrubienia od ściskania kierownicy roweru. „Hej”, mówi Emma. Mężczyzna odpowiada, że jest ładna pogoda. Ma leniwe oko.

– Które?

– Lewe.

– Opowiedz mi o furgonetce. Jak wygląda?

– Jasnożółta. Rdza na błotnikach.

– Mówiłaś, że w oknach są zasłony. Jakiego koloru?

– Niebieskie. Przewiązane czerwoną wstążką. Na przedniej szybie jest pęknięcie zaklejone taśmą.

– Bardzo dobrze. Co jeszcze?

– Pod oknem, przez które patrzy kobieta, jest mała naklejka. Duże białe litery na niebieskim tle, ale widzę tylko jedną, „T”. Nad nią jest mała postać mężczyzny na desce surfingowej.

– Dobrze. A teraz obejdź samochód i stań z tyłu. Widzisz tablicę rejestracyjną?

Widzę miejsce, w którym powinna być tablica rejestracyjna, czysty prostokąt, ale nic więcej.

– Jaki kolor ma tablica rejestracyjna?

Wilgotnieją mi dłonie, a ramiona stają się lekkie, prawie ich nie czuję. Zdaję sobie sprawę z wagi tablicy rejestracyjnej, ale nie potrafię nic z niej wydobyć. Na własnej dłoni czuję inną, ciepłą dłoń.

– W porządku – mówi doktor Shannon. – Przyjrzyj się mężczyźnie. Opisz go.

– Jego paznokcie są bardzo krótkie. Nosi bransoletkę: srebrny łańcuszek z jakimś wisiorkiem. Na klatce piersiowej ma tatuaż, falę przełamującą się na

brodawce. Na szczycie fali jest owalne znamię.

– Ma jakieś inne tatuaże?

– Nie, to wszystko.

– Jakieś blizny?

– Raczej nie.

– Dobrze, Abby, teraz chcę, żebyś skoncentrowała się na desce surfingowej.

– Bardzo długa deska, stoi oparta o furgonetkę. Kolor czerwony.

– Ma jakieś znaki?

– Na środku jest jakiś rodzaj robaka.

– Jaki?

– Nie, to nie robak, żaba, złota żaba.

– Czy na desce są jakieś słowa?

– Na końcu deski jest coś naklejone. Chyba marka.

– Co jest napisane?

– Nie mogę przeczytać.

– Świetnie sobie radzisz – mówi doktor Shannon. – Porozmawiajmy chwilę o kobiecie patrzącej przez okno. Jak wygląda?

– Blondynka. Starsza od mężczyzny, szorstka skóra, zbyt mocno opalona.

Wygląda na trochę szaloną, wie pani, coś z nią jest nie w porządku.

– Dlaczego uważasz, że może być szalona?

– Nie wiem, po prostu takie mam odczucie.

– Abby, możesz powiedzieć mi coś jeszcze o furgonetce?

Szukam, szukam, ale nic więcej nie pojawia się w mojej głowie.

– A inne samochody stojące na parkingu?

– Jest furgon pocztowy i motocykl.

– Jaki to motocykl?

– Mały, czerwony, chyba honda.

– Ktoś na nim siedzi?

– Nie.

Prowadzi mnie jeszcze przez kilka minut, zadając pytania, na które nie potrafię znaleźć odpowiedzi. Staram się zbliżyć do mężczyzny i żółtej furgonetki, ale za każdym razem kiedy robię krok w ich kierunku, oddalają się i stają się mniej wyraźni.

Dłoń na moim ramieniu.

– Czas na zaczerpnięcie powietrza, Abby. Jesteśmy w moim gabinecie. Teraz chciałabym, abyś powoli otworzyła oczy.

Doktor Shannon przysunęła krzesło bliżej mnie. Czuć od niej słabą woń papierosów. Wyobrażam sobie czy naprawdę dostrzegam za nią cienką smużkę dymu? Wypuszcza moją dłoń i zaczyna sporządzać notatki w żółtym notesie.

– Jak się czujesz?

– Dobrze. Byłam zahipnotyzowana?

– Och, tak.

– Nie czułam się zahipnotyzowana.

– To zupełnie normalne.

– Doszliśmy do czegoś?

– Ty mi powiedz. Pomyśl o informacjach, które podałaś. Czy któraś z nich jest dla ciebie nowa?

Po raz pierwszy zauważyłam, że fioletowy szal doktor Shannon ozdobiony jest białymi małpkami. Niektóre się uśmiechają, inne mają niezadowoloną minę, niektóre siedzą z rękami złożonymi na kolanach niczym posłuszni uczniowie.

Gdy tak brnę przez wspomnienia, czuję narastające rozczarowanie.

Wszystkie szczegóły już kiedyś widziałam – te same zużyte szczegóły, te same nic nieznaczące tropy.

– Żaba – mówię. – To coś nowego. Wcześniej nie pamiętałam tej żaby na desce surfingowej. Naklejki na samochodzie też nie.

– Dobrze – mówi. Wygląda na zadowoloną, ale nie zaskoczoną. Wstaje i pokazuje gestem mały łuk, sygnał, że już skończyliśmy.

– Dziękuję – mówię.

– Nie ma sprawy. Przekaż pozdrowienia swojemu szwagrowi.

Spotykam się z Jakiem na lunchu w La Cumbre. Siedzimy przy stoliku na końcu lokalu, pod małym kwadratowym oknem. Jake wbija nóż w burrito. Fasola i salsa wypadają na talerz. Patrzy na moje nietknięte danie.

– Marnujesz jedzenie.

Wbijam widelec w burrito i popijam pomarańczową oranżadę z butelki. Z głośników sączy się tandetna meksykańska muzyka. To *Hotel California* z hiszpańskimi słowami. Na ścianie ponad Jakiem wisi obraz tańczącej kobiety w falbaniastej czerwonej spódnicy i butach na obcasie.

– Byłam u terapeutki – wyznaję.

– To dobrze, Abby – mówi. W jego oczach widzę, że jest zadowolony z mojego działania. – Pomogło?

– To niezupełnie terapeutka. Bardziej...

– Bardziej kto?

– Cóż, ktoś w rodzaju hipnotyzerki.

Odkłada widelec i opiera łokcie na stole.

– Dlaczego?

– Chciałam sobie przypomnieć. I udało mi się. Znalazłam nowy szczegół. Pamiętasz faceta w furgonetce? W trakcie hipnozy bardzo wyraźnie widziałam jego deskę surfingową.

– O czym ty mówisz?

– To nowa rzecz, coś, czego nie pamiętałam wcześniej. To oznacza, że są jeszcze nieodkryte wspomnienia. Jeśli przypominałam sobie ten detal, to być może będę w stanie przypomnieć sobie kolejne.

– Wiesz, na co ja mam nadzieję? – pyta Jake, mieszając lód w szklance. – Mam nadzieję, że w pewnym momencie będziemy mogli porozmawiać o nas, o naszej przyszłości. Od momentu ceremonii w kościele to jedyna rzecz, której tak naprawdę chcę, ale ty za każdym razem unikasz tego tematu.

Jak mam mu powiedzieć, że w moim umyśle nie ma naszej przyszłości bez Emmy? Dopóki jej nie znajdę, nie możemy tego brać pod uwagę.

– Wiem, że to nie zabrzmiało poważnie – mówię – ale to może być wskazówka.

Myślę o czymś, co powiedziała mi dziewczyna ze sklepu surferskiego, Goofy, na temat chwili ciszy – przerwy między falami, którą surferzy wykorzystują do ustawiania się w odpowiedniej pozycji. „Bez tej chwili ciszy pomiędzy falami – mówiła Goofy – nie byłoby możliwości dostania się do fal. Problem w tym, że czasami ta cisza trwa zbyt długo. Czasami docierasz tam, gdzie chcesz, ale musisz czekać, czasami długo. Tak długo, że wydaje ci się, że ta cisza nigdy się nie skończy”. Ja czuję się tak, jakby ostatnie miesiące były doprowadzającą do szaleństwa ciszą, a teraz w końcu pojawiła się szansa na jakiś postęp.

Resztę lunchu spędzamy w milczeniu. Gdy Jake wstaje, by wyrzucić naczynia do kosza, moją uwagę zwraca coś przy jego bucie – metka, zupełnie biała. Wiem, że nie powinnam odczuwać złości, nie powinnam odczuwać chęci krzyku. Pomyślałam jednak, że Jake wykonał już ten pierwszy, mały krok: poszedł do sklepu i kupił buty. Zaczyna życie od początku.

ROZDZIAŁ 55

Według Izaaka Newtona czas płynie we własnym rytmie, w jednolitym tempie zupełnie niezależnym od ludzkiego umysłu i materialnych obiektów. Jest niczym szeroka rzeka bez początku i bez końca, pozostająca w swoim korycie przez całą wieczność. Wieki przed narodzeniem Newtona Arystoteles wyobrażał sobie czas jako cykliczną jednostkę osadzoną w astronomii. Gdy ciała niebieskie wrócą do pozycji, które zajmowały w momencie początku świata, czas zacznie płynąć na nowo.

W czwartym wieku Święty Augustyn dał nam miary: przed Chrystusem i *anno Domini*, wprowadzając do czasu skalę liniową opartą na chrześcijaństwie. Opowiadał się również za subiektywnością czasu, postulując, że może on nie mieć nic wspólnego z ruchami ciał niebieskich. Ale to Einstein zrewolucjonizował naszą koncepcję czasu. Stwierdził, że każdy inercyjny system istniejący we wszechświecie ma własne parametry czasu, dlatego nie możemy mówić o czymś takim jak czas absolutny.

Myślę o pani Monk, mojej nauczycielce z trzeciej klasy, stojącej na krześle i przybijającej do ściany własnoręcznie zrobiony zegar. Wskazówki były oznaczone odpowiednimi kolorami: czerwona pokazywała godziny, niebieska – minuty, a najszybsza, żółta – sekundy. W tym systemie nie było najmniejszego śladu złożoności czasu, żadnego śladu liczby, na którą ostatnio zwróciła mi uwagę Nell: 9 192 631 770.

To bardzo młoda liczba w długiej i jakże kontrowersyjnej historii czasu. 9

192 631 770: liczba drgań atomu cezu, które dokonują się w jednostce czasu, którą znamy pod nazwą sekundy. Dopiero w roku 1967 naturalna częstotliwość drgań atomu cezu została formalnie uznana za nową międzynarodową jednostkę czasu. Dziś uniwersalny czas koordynowany określany jest przez grupę zegarów atomowych rozmieszczonych w różnych miejscach świata, z których największe wrażenie robi NIST-F1, znajdujący się w National Institute of Standards and Technology w Boulder w stanie Kolorado. NIST-F1 jest tak dokładny, że w ciągu dwudziestu milionów lat nie przyspieszy ani nie spóźni się nawet o sekundę. Wyobraź to sobie: dwadzieścia milionów lat sekund następujących jedna po drugiej z precyzyjną, idealną choreografią czasu.

Każdy może zobaczyć, że w zasadzie sekunda według tych standardów jest sama w sobie niczym. Jest nieistotną, błahą, śmiechu wartą i przemijającą rzeczą.

Godzina po godzinie, dzień po dniu wracam do tych kilku sekund na plaży. W długim, eleganckim pochodzie czasu są niczym; ale w jednym życiu te sekundy – każda z nich idealna w swej synchronizacji, każda trwająca dokładnie tyle, ile ta poprzednia i ta następna – są wszystkim. Wyobrażam sobie, że Newton miał rację i czas jest wolno płynącą rzeką. Widzę Emmę stojącą samotnie na brzegu, niezmienną. W moim umyśle jest dokładnie taka, jaka była w ostatnim momencie, w którym ją widziałam – mała dziewczynka z czarnym kucykiem, żółtym wiaderkiem, stojąca tyłem do mnie. W rzece jest postać – ja – unosząca się na wodzie. Atom cezu drga z niewiarygodną prędkością, a każda maleńka oscylacja, każda sekunda zabiera mnie coraz dalej od niej.

ROZDZIAŁ 56

Dzień dwieście czternasty. Parkuję przed sklepem surferskim Deana Foggy’ego. Goofy jest w środku, stoi za ladą. Salutuje mi na powitanie.

– Wróciłaś.

– Jakież ciekawe informacje? – pytam, wskazując palcem na dwa portrety pamięciowe wiszące na ścianie za ladą.

– Przykro mi. *Nada*.

– Mam pytanie – mówię i kładę przed nią kartkę papieru. Na kartce jest żaba z deski surfingowej, namalowana z najlepszym wykorzystaniem moich ograniczonych zdolności artystycznych.

Goofy gładzi papier dłońmi. Jej paznokcie są krótkie, porządnie przycięte i błyszczące. Na prawej dłoni ma trzy srebrne pierścionki – jeden z topazem, jeden w kształcie miniaturowego łańcucha, a jeden wyglądający jak obrączka ślubna.

– Co to jest? – pyta.

– Widziałam to na desce surfingowej. Na jego desce surfingowej.

– Wygląda znajomo – mówi i odwraca się w stronę drzwi prowadzących na zaplecze. – Hej, Luke?

Pojawia się mężczyzna. Łysiejący, po czterdziestce, zbudowany z mięśni, nie licząc piwnej opony wypychającej koszulkę.

– Tak? – Wygląda, jakby właśnie się obudził.

– Moja przyjaciółka mówi, że widziała ten symbol na jednej z desek na

plaży. Poznajesz?

– Jasne – mówi, drapiąc się po głowie. – To Billy Rossbottom, wiesz, „killer longboard”.

– No tak – przyznaje Goofy. – Słyszałam o tej desce, ale nigdy jej nie widziałam.

– Mało kto ją widział.

– Kim jest Billy Rossbottom? – pytam.

– Kim był, znaczy się – odpowiada mężczyzna. – Miał wielki sklep w Pismo. Rossbottom był prawdziwym artystą. Używał tylko balsy z Ekwadoru, nie dotknąłby pianki poliuretanowej. Niewiele takich desek można spotkać w okolicy. Są drogie jak diabli. Smutna sprawa.

– Smutna?

– Zginął w katastrofie lotniczej w ubiegłym roku. Rozbił się w dwusilnikowej cessnie, którą leciał do Miami, gdzie w Panama Jack miał się spotkać z jakimiś ważniakami. Pracował nad jakąś umową, na mocy której miał zezwolić na wykorzystanie swojego nazwiska. Niektórzy twierdzą, że miał szczęście, że kopnął w kalendarz, zanim miał okazję się sprzedać.

– Nie brzmi to jak szczęście – mówię.

– Zależy od punktu widzenia. Na pewno była to prawdziwa tragedia dla desek. Po jego śmierci siostra zamknęła sklep na kilka tygodni, by znaleźć jakieś rozwiązanie, co z nim zrobić. Pewnej nocy spłonął doszczętnie, a w nim dwadzieścia desek.

– Zna pan kogoś, kto ma taką deskę?

– Tylko jedną osobę. Neurochirurg z Pacific Heights.

Wskazuję ręką na rysunek wiszący za ladą, konkretnie na mężczyznę z żółtej furgonetki.

– Pewnie nie wygląda jak ten facet na rysunku, prawda?

– Przykro mi, to nie ten – mówi Luke. – Doktor to porządny, wiekowy obywatel.

– Popytam tu i tam – oferuje Goofy. – Hej, masz jakieś plany na teraz?

– Niezupełnie.

– Co powiesz na to, żebyśmy poszły do Bashful Bull 2 na ten specjalny zestaw śniadaniowy, o którym ci mówiłam?

– Dobry pomysł.

Idziemy we mgle przez Taraval. Ciszę przerywa tramwaj linii L Taraval, wiozący tylko jednego pasażera. Odwracam się i robię kilka kroków wstecz, tak że mogę zobaczyć ocean i szarą plażę.

– To miasto mnie zabija – mówię. – Mieszkam tu przez większość dorosłego życia, a jednak wciąż mnie przytłacza.

– Wiem, co masz na myśli – odpowiada Goofy.

Ona również odwraca się i stoimy tak przez minutę, wpatrując się w ocean, znad którego nadciąga mgła. Samotna mewa przelatuje nad naszymi głowami.

– Czytałaś coś Armisteadą Maupina? – pyta.

– Co nieco.

– Na początku książki *28 Barbary Lane* umieścił cytaty z Oscara Wilde’a: „To dziwna rzecz, ale każdy, kto zniknął, był widziany w San Francisco. To musi być wspaniałe miasto, w którym znajdują się wszystkie atrakcje następnego świata”.

– Brzmi jak opis mojego miasta.

– Problem z San Francisco jest taki, że bardzo łatwo tu utknąć – mówi Goofy. – Nie możesz sobie wyobrazić mieszkania w innym miejscu, więc zostajesz tutaj. Aż pewnego dnia zdajesz sobie sprawę, że minęło już pięć lat,

a ty nie zrobiłaś nic konkretnego.

- Masz dwadzieścia cztery lata – mówię. – Masz jeszcze czas.
- Nie tak dużo. Kilka tygodni temu skończyłam dwadzieścia pięć.
- Wszystkiego najlepszego. Dwadzieścia pięć lat to wspaniały wiek.

Pamiętam, że gdy ja byłam w tym wieku, nic nie było jasne, a brak tej jasności wyzwalał. Było tak wiele opcji, tak wiele kierunków, w których mogło rozwinąć się moje życie. Nigdy jednak nie wyobrażałam sobie tego kierunku, tego życia.

W barze Goofy kieruje się prosto do stolika znajdującego się na końcu lokalu.

– Na pewno zamówisz zestaw numer dwa – mówi. – Dwa jajka, smażone ziemniaki, bekon lub kiełbasa, tost i kawa. Zestaw numer jeden to francuski tost, więc nie ma się czym chwalić w domu.

Jestem pod wrażeniem sposobu, w jaki je – całkowicie pochłonięta, tak jakby śniadanie było wielkim wydarzeniem. Zjada ziemniaki, a później wkłada dwa kawałki bekonu do tostu.

- A co z lekcjami surfowania? – pyta między kęsami.
- Wychowywałam się nad Zatoką Meksykańską, więc nie wiem, czy dam sobie radę w zimnej wodzie.
- Masz na sobie piankę. Przyzwyczaisz się.
- Co z twoimi studiami? – pytam, zmieniając temat. – Wciąż masz zamiar studiować?
- Sprawdziłam to. Uniwersytet Hawajski jest za drogi.
- Uniwersytet San Francisco jest całkiem dobry, a chesne na przyzwoitym poziomie.
- Bardzo kocham to miasto – mówi – ale muszę zobaczyć coś innego. A ty gdzie studiowałaś?

– W Tennessee.

– Południe może być interesujące. Nigdy nie byłam w południowych stanach – przyznaje i dojada jajka. – Hej, masz rodzinę?

– Mam siostrę w Karolinie Północnej. Moja matka zmarła ponad pięć lat temu, a do ojca prawie wcale się nie odzywam. Mieszka w Niemczech.

– Mój ojciec opuścił nas, gdy miałam dziesięć lat, a matka zmarła kilka lat później. Miałam kilka rodzin zastępczych, ale straciłam z nimi kontakt.

– Przykro mi. Nie wiedziałam.

– Ciężko, ale jakoś trzeba sobie radzić. Posiadanie wielu przyjaciół pomaga, ale to nie to samo. Pewnie fajnie jest mieć siostrę.

– Fajnie. Miło jest mieć kogoś, kto pamięta, jak wyglądały różne rzeczy, gdy się dorastało, mieć wspólną historię.

Nasza rozmowa zostaje przerwana przez kelnerkę, która przynosi rachunek.

– I to by było na tyle – mówi Goofy po wyjściu z baru.

– Dziękuję za pomoc.

Równocześnie pochylamy się do siebie, żeby się pożegnać. Goofy chce mnie przytulić, a ja chcę pocałować ją w policzek. W efekcie osiągamy niezdarne skrzyżowanie obu rzeczy.

– Nie czuj się obco – mówi.

ROZDZIAŁ 57

Przez kilka kolejnych tygodni pogrążam się w pracy. Ślub w Olympic Club, pięćdziesiąte urodziny dyrektora firmy w Top of the Mark, otwarcie restauracji w Redwood City. Patrzenie przez obiektyw i obserwowanie czyjegoś życia przynosi swego rodzaju ulgę, podobną do uczucia, jakie mamy w kinie, gdy zostajemy wciągnięci w historię innej osoby, w jej problemy – taki obraz alternatywnego świata. Gdy między moimi rodzicami było już naprawdę źle, gdy kłótnie osiągały szczyt emocji, matka wkładała do torebki napoje i słodycze, wyciągała trochę pieniędzy z portfela ojca i kazała mnie i Annabel wsiąść do samochodu. Później jechałyśmy do kina na Airport Boulevard, wydawałyśmy pieniądze na wielkie torby popcornu i oglądałyśmy film za filmem. Annabel i mnie nie przeszkadzało to, że kino zawsze śmierdziało uryną, że puszczano filmy drugiej kategorii, że popcorn nie był świeży. Jeśli wystarczająco mocno się koncentrowałyśmy, mogłyśmy prawie uwierzyć, że świat widziany w filmie był bardziej prawdziwy niż nasz, że nasze problemy zniknęły. Tak właśnie wygląda przemierzanie świata z aparatem fotograficznym: to ukrywanie się za obiektywem. Mogę prawie całkowicie zapomnieć, co zrobiłam i ile to kosztowało, choćby to trwało tylko minutę lub dwie.

Kilka razy w tygodniu Nell przychodzi do mnie z kolacją. Siadamy przy stole w kuchni, jemy i rozmawiamy. Pewnej nocy opowiada mi o tym, jak pojednała się z synem w miesiącach poprzedzających jego śmierć – siedząc

przy jego łóżku, podając mu niewielkie łyki wody przez plastikowe słomki, zmieniając pościel i pieluchy, patrząc, jak umiera.

– Nie mogę jednak wybaczyć sobie tych wszystkich poprzednich lat – mówi. – Lat, w których nie mogłam pogodzić się z tym, że mój syn jest homoseksualistą. Jedyna rzecz, której jestem pewna, to fakt, że nic nie przygotuje cię na bycie matką.

Podaje mi kubek do opłukania. Jest zielony z czerwonymi kropkami wokół brzegu, urodzinowy prezent od Emmy. Byłam przy tym, gdy malowała go dla mnie w sklepie ceramicznym na Dwudziestej Czwartej Ulicy.

– Może już czas – mówi Nell, zakręca wodę i wyciera ręce.

– Czas na co?

– Czas na to, byś zaczęła życie razem z Jakiem. Kochacie się. Zanim to wszystko się stało, byliście ze sobą tacy szczęśliwi. Mówiłaś kiedyś, że nigdy nie przypuszczałaś, że spotkasz na swojej drodze kogoś, kto tak idealnie będzie do ciebie pasował. Jesteś gotowa z tego zrezygnować?

– Oczywiście, że nie. Ale on oczekuje, że dokonam wyboru pomiędzy Emmą a nim.

Nell kładzie dłonie na moich ramionach.

– W pewnym momencie będziesz musiała zacząć myśleć o sobie, o własnym życiu. Wiem, chcesz wierzyć, że ona żyje, ale prawda jest inna: jej już prawdopodobnie nie ma.

Wykręcam się z uścisku Nell i myję ostatnie naczynia.

– Myślałam, że jesteś w tym po mojej stronie.

– Jestem z tobą. Jake też jest z tobą. Abby, on cię potrzebuje.

– Ona mnie potrzebuje.

Po wyjściu Nell wkładam kurtkę i szalik, wychodzę z domu, idę na

przystanek i czekam na autobus numer 15. Zajmuję miejsce przy oknie.

Autobus raz za razem zatrzymuje się i rusza, wolno przemierzając ulicami miasta. Przez cały czas uważnie szukam.

Później dzwonię do Jake'a. Minęła północ, a jutro jest dzień zajęć szkolnych.

– Wiem, że tam jesteś – mówię do automatycznej sekretarki. – Proszę, odbierz. – Wyobrażam sobie, że siedzi przy stole z kubkiem kawy bezkofeinowej, przeglądając papiery i starając się zignorować telefon. – Zadzwoń do mnie. Będę na nogach do późna. – Zamierzam już odłożyć słuchawkę, ale ponownie przykładam ją do ust. – Przykro mi – mówię. – Boże, nie masz pojęcia, jak bardzo mi przykro.

ROZDZIAŁ 58

Jest rano, dzień dwieście dwudziesty pierwszy, a Nell przekonała mnie, bym poszła z nią na wystawę organizowaną przez Muzeum Sztuki Nowoczesnej.

– Nie mogę – powiedziałam ubiegłej nocy. Chodziło mi o to, że nie potrafię sobie wyobrazić takiej rzeczy. Wyjście na wystawę, tak jakby wszystko było w porządku.

– Wystawa jest zatytułowana *Artysta pamięci* – wyjaśniła Nell. To przykuło moją uwagę. – Artystą tym jest Franco Magnani, który z niewiarygodną dokładnością maluje Pontito, włoską wioskę, w której spędził dzieciństwo. Co ciekawe, nie widział tej wioski od roku 1958. W latach sześćdziesiątych osiedlił się w San Francisco, a później zapadł na tajemniczą chorobę, która sprawiła, że miał niespotykane żywe sny o Pontito. Przed chorobą nigdy nie malował, ale jego sny były tak wyraźne, że postanowił spróbować przenieść je na płótno.

– Jak on to robi?

– Podczas malowania wyobraża sobie, że jest w swojej wiosce. Przekręca głowę pod różnymi kątami, tak jakby chodził po Pontito. Zanim cokolwiek namaluje, widzi to bardzo wyraźnie: rodzinny dom, kościół, piekarnia. Jego pamięć jest jak klisza filmowa.

O tej godzinie muzeum jeszcze nie jest zatłoczone. Obrazom Magnaniego towarzyszą czarno-białe fotografie tej miejscowości zrobione w roku 1987.

Podobieństwa są uderzające, a obrazy tak precyzyjne, że mają wręcz fotograficzną jakość.

Są jednak pewne rozbieżności. Na przykład niektóre sceny skomponowane zostały, jakby były widziane z kilku różnych punktów. Na innych budynki wyglądają na powiększone, tak jakby widziane oczami małego dziecka. Schody prowadzące do kościoła, w którym Magnani był ministrantem, są szersze niż na zdjęciu, a ścieżka za budynkiem prowadząca do rodzinnego domu malarza jest szersza niż w rzeczywistości. Na obrazie domu dziadka widać kwietnik, niewidoczny na zdjęciu zrobionym z tej samej perspektywy. Obrazy przedstawiają więc wyidealizowaną wersję tych miejsc.

W katalogu towarzyszącym wystawie moją uwagę zwróciło zdanie wypowiedziane przez Magnaniego: „Pamięć działa jak proces konstrukcji, który nie tylko odtwarza, ale także filtruje, zmienia i interpretuje przeszłość”.

Wystawa potwierdza mniej więcej to, co już wiem: pamięci nie można ufać. W zbyt dużym stopniu jest na łasce naszych pragnień i emocji. Czy Emma, gdziekolwiek jest, myśli o drodze do domu? Czy pamięta adres, numer telefonu, krzew kuflika rosnący przed domem? Czy przechowuje w umyśle obrazy wąskiej ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych jej domu? Jeśli ją znajdę, kiedy już ją znajdę, czy będzie mnie pamiętała?

ROZDZIAŁ 59

Dzień dwieście dwudziesty dziewiąty. W słuchawce słyszę głos Goofy, która bez tchu wyrzuca z siebie słowa:

- Powinnaś tu przyjechać.
- Co?
- Facet mówi, że widział deskę Rossbottoma na plaży Ocean Beach.
- Nie spuszczaaj go z oczu.

Jadąc do sklepu surferskiego Deana Foggy’ego, przekraczam dozwoloną prędkość o ponad trzydzieści kilometrów. Gdy docieram na miejsce, Goofy stoi na zewnątrz z dwoma facetami, którzy uśmiechają się i witają ze mną – nie tak po prostu grzecznościowo, ale wręcz po przyjacielsku.

- To jest Abby – mówi Goofy. – Abby, poznaj Darrina i Grega.

Darrin ma gips na lewej ręce. Około czterdziestki, schludny, wygląda niczym doktor, który może pozwolić sobie na mieszkanie w Pacific Heights, ale mieszka w Sunset, tylko dlatego, by być bliżej Ocean Beach. Greg to niski, umięśniony facet, trzydziestokilkuletni, z długimi bakami i krzywym nosem. Wygląda przystojnie, ale tylko według kryteriów, którymi kierowałam się w szkole średniej.

- To jeden z was widział na plaży deskę Rossbottoma? – pytam.

Greg unosi dłoń i zauważam, że na nadgarstku ma jedną z tych bransoletek z napisem „Co zrobiłby Jezus?”.

- Ja widziałem.

– Kiedy?

– Sześć lub siedem miesięcy temu.

– To jest to – mówię, czując przy tym nerwowy przypływ energii. – Dokładnie wtedy to się stało, w lipcu. Jesteś pewny, że to była deska Rossbottoma?

– Tak. To był zimny dzień i na plaży nie było prawie nikogo. Siedziałem, czekając, aż pogoda się poprawi, gdy ten facet podszedł do mnie i zapytał o miejsca do surfowania znajdujące się na południe stąd. Pierwsza rzecz, na którą zwróciłem uwagę, to rozmiar jego deski – jakieś trzy i pół metra – a potem zauważyłem żabę. Nie mogłem uwierzyć, że patrzę na prawdziwą deskę Rossbottoma. Czysta balsa, coś pięknego.

– Jakiego koloru? – pytam.

– Czerwonego.

– Jesteś pewny, że to nie była podróbka? – pyta z kolei Darrin.

– W pierwszej chwili tak pomyślałem. – Greg patrzy na mnie. – Na świecie jest najwyżej trzydzieści takich desek i szansa, że akurat trafisz na taką na plaży, jest naprawdę niewielka. Miała jednak logo Rossbottoma. Wiesz, na końcu deski, wydrapane w drewnie. Małe „r” i wielki zawijas przy „m”. Wspaniałe rzemieślnicze mistrzostwo.

– Jak on wyglądał?

– Blondyn, jakieś trzydzieści, czterdzieści lat. Nie wiem.

Odwracam się w stronę Goofy.

– Pokazywałaś im rysunki?

Przytakuje ruchem głowy.

– To mógł być on – mówi Greg. – Ale pewności nie mam. Ludzie się pojawiają i znikają. Znam miejscowych, ale cała reszta znika po chwili.

– Wiesz, skąd on był?

Zastanawia się przez kilka sekund, bawiąc się bransoletką na nadgarstku.

– Nie, ale mówił, że zamierza spotkać się z jakimiś znajomymi Ticos.

– Proszę?

– Ticos – mówi Goofy. – Wiesz, to Kostarykanie.

– No właśnie – potwierdza Greg. – Mówił coś o testowaniu killer longboarda na Żółtym Wybrzeżu.

– Tak nazywają Kostarykę – wyjaśnia Goofy. – To w związku z charakterystycznym żółtym piaskiem na plażach.

Myślę o tej niewyraźnej naklejce z żółtej furgonetki, o tej dużej literze „T”. W tym momencie pamięć – lub wyobraźnia – dodaje kolejne litery i układa je w słowo – „Ticos”?

– Mówił coś jeszcze? – pytam. – Na przykład o rodzinie lub czymś innym?

– To wszystko. To był zwykły facet, nic specjalnego.

– Mówił, w które miejsce Kostaryki zamierza się wybrać?

– Powiedziałem już wszystko, co wiem, siostró.

Darrin stuka knykciami po gipsie.

– Przypuszczam, że mógłby być na wybrzeżu pacyficznym. Właśnie tam są najlepsze plaże do surfowania na długich deskach. Byłem tam kilka lat temu i całe lato spędziłem w Playa Hermosa. Przyjeżdża tam sporo Amerykanów.

– Pewnie – mówi Greg. – Gdyby dobry Bóg zlitował się nade mną i zesłał mi deskę Rossbottoma, to nie odmówiłbym sobie wypróbowania jej w Pavones albo Boca Barranca. No, może w Tamarindo. Hermosa jest dobra z tego powodu, że tam jest centrum wszystkiego. – Składa ręce na klatce piersiowej i dodaje: – Powodzenia.

– Dziękuję.

– Naprawdę nie ma za co – mówi Greg i zauważa, że patrzę na jego bransoletkę. – Wiesz, Jezus był supersurferem. Słyszałaś tę historię o chodzeniu po wodzie? Wcale nie chodził. Surfował.

Śmieję się – naprawdę szczerze się śmieję – czując się przy tym oszołomiona nową nadzieją. To pierwsza prawdziwa nadzieja, jaką czuję od dłuższego czasu. Może to znów fałszywy trop, ale przecież może też coś w tym być.

– Masz czas na lunch? – pyta Goofy.

– Przepraszam, innym razem. Muszę się spakować.

– Dobrze się spisałam, co?

– Wspaniale. Następny zestaw numer dwa będzie na mój koszt.

Jadąc do domu, łapię się na tym, że podśpiewuję piosenkę słyszaną w radiu. W końcu mam do zrobienia następny krok: Kostaryka. Coś rzeczywistego. Jakiś ruch. Nie ciągłe siedzenie w miejscu i czekanie. Nie codzienne przeszukiwanie tych samych starych ulic i brak efektów. Może to fałszywy trop, może krok w złym kierunku. Ale jest też niewielka szansa, że to właśnie właściwy ślad.

Myślę o Kostaryce, o tym, że kiedyś bardzo chciałam tam pojechać. Ramon spędził tam miesiąc w czasie studiów i często opowiadał, jak pięknie tam było. Mówił, że wędrówki po dżungli dają poczucie, że jest się na innej planecie. „Wszystko jest tam w innej skali – mówił. – Drzewa, kwiaty, owady. A kolory są zachwycające”. O dziwo, Kostaryka była na długiej liście rzeczy, które miałam zobaczyć przed trzydziestymi urodzinami. Całkowicie o tym zapomniałam, tak jak i o wszystkich innych rzeczach, których nie zrobiłam. Jeśli spojrzeć w przeszłość, to chyba w okolicy dwudziestych ósmych urodzin moje życie nagle przyspieszyło, a miesiące i lata zaczęły przemijać z przerażającą szybkością. Moje zdjęcia są testamentem tego pędzącego czasu – tysiące wizytówek przechowywanych w plastikowych

koszulkach umieszczonych w kilkunastu segregatorach, miniaturowe zdjęcia twarzy i miejsc, obrazy, które zebrane razem i ułożone we właściwej chronologii opowiedzą historię mojego życia. Pod koniec każdego roku, robiąc bilans, zdawałam sobie sprawę, jak wielu celów nie udało mi się osiągnąć.

Później pojawili się Jake i Emma, a ja zaczęłam czuć, że znowu robię coś sensownego, że dokąś zmierzam. Do tego momentu na Ocean Beach, kiedy nagle wszystko się zatrzymało. Żadnych zdjęć. Żadnej historii. Jedynie przerażający ślepy zaułek.

Bez zapowiedzi jadę do Jake'a. Dom pachnie jajkami i bekonem, jego ulubioną kolacją. Znajduję go w kuchni, sprawdza prace.

– Głodna? – pyta. Zwyczajnie, tak jakby kłótnia w La Cumbre nigdy nie miała miejsca.

– Nie, dziękuję.

Siadam naprzeciw niego. Powinien obciąć włosy i się ogolić. Mimo wszystko wciąż wygląda dobrze. Widzę to, co zobaczyłam w nim tamtego pierwszego dnia w szkole – zwodniczo rozkojarzone spojrzenie faceta, który w rzeczywistości trzyma wszystko pod kontrolą. Teraz jest jednak nieco inny. Starszy. Chyba zagubiony. Jego pewność siebie zniknęła. Widzę to po sposobie, w jaki siedzi – z opuszczonymi ramionami. Po sposobie, w jaki trzyma długopis – luźno, bez przekonania.

– Jaki jest temat prac? – pytam, nachylając się nad stosem kartek.

– Dialogi Platona: „W jaki sposób wyrzeczenie się wiedzy przez Sokratesa można pogodzić z jego stanowczym działaniem i odważnym upominaniem się o moralność?”.

– Rozumieją coś z tego?

– Zdziwiłabyś się.

Przegląda prace i w pewnym momencie przestaje, tak jakby zapomniał, czego szuka. Obok jego łokcia stoi talerz z nietkniętym jedzeniem.

– Jadę do Kostaryki – mówię.

– Co?

– Chodzi o deskę Billy’ego Rossbottoma. Jest całkiem poważna szansa, że para z żółtej furgonetki jest w Kostaryce albo że całkiem niedawno tam była.

Nie dopuszczam Jake’a do słowa i opowiadam o spotkaniu z Goofy i jej przyjaciółmi przed sklepem surferskim. Siedzi z rękami założonymi na klatce piersiowej i słucha w milczeniu. Kiedy kończę, wstaje i podchodzi do zlewu, tak jakby właśnie musiał przy nim coś zrobić. Stoi jednak bez ruchu plecami do mnie i wpatruje się w brudne naczynia.

– Dlaczego to robisz?

– Muszę. To ostatni szczegół, który pamiętam z tamtego dnia. Ostatni ślad, którego nie zbadalam. Muszę to sprawdzić.

– Jakiś naćpany surfer uważa, że może widział faceta z żabą na desce, i to wystarczy, byś rzuciła wszystko i pojechała do Ameryki Środkowej?

– Facet nie był naćpany i wcale nie uważa, że widział deskę, tylko pamięta ją bardzo dokładnie.

– No dobrze. Powiedzmy, dla świętego spokoju, że jest ten mężczyzna. To było dawno temu. Gdyby to naprawdę był on i naprawdę miał zamiar jechać do Kostaryki, to mało prawdopodobne, że wciąż tam będzie.

– Być może. Ale jeśli ci ludzie są porywaczami, to na pewno nie będzie im zależało na szybkim powrocie do Stanów. Prawdopodobnie na jakiś czas chcieliby zniknąć i pozostać w ukryciu. A jeśli ten facet jest na tyle poważnym surferem, żeby mieć tak rzadko spotykaną i drogą deskę, to jest duże prawdopodobieństwo, że będzie chciał ją wypróbować właśnie w jednym z tych słynnych miejsc nadających się do surfowania na długich

deskach.

– Sporo tych „jeśli”. Musisz jednak pamiętać o tym, co Sherburne mówił nam pierwszego dnia. Każdego roku dochodzi tylko do stu piętnastu długoterminowych porwań dokonywanych przez nieznanymi. To na tle prawie 797 500 zgłoszeń o zaginionych dzieciach niewielki ułamek, 0,0014 procent.

– Tu nie chodzi o udział procentowy – mówię. – To nie ma nic wspólnego z twoją kostką Rubika. Liczby nie mają żadnego związku z tym tematem.

– Chciałbym, żeby to była prawda, ale tak nie jest. Chcesz wierzyć, że Emma żyje, dlatego chwytasz się każdego szczegółu, który choćby w najmniejszym stopniu pasuje do twoich przekonań, i podpierasz nim swoją teorię.

– Czy to aż tak różni się od tego, co ty robisz? Musisz wierzyć, że ona nie żyje, dlatego dla odmiany ignorujesz wszelkie dowody.

– Musisz odpuścić, Abby.

– Dlaczego nie polecisz ze mną?

– Do Kostaryki – mówi z niedowierzaniem.

– Tak.

Odwraca się w moją stronę.

– Każdego poranka myślę, że nie będę w stanie podnieść się z łóżka i zmierzyć się z kolejnymi dwudziestoma czterema godzinami bez Emmy. Nabożeństwo żałobne odniosło jednak jakiś skutek, w pewnym sensie mi pomogło. Teraz jestem w stanie przebrnąć przez dzień, przypominając sobie, że Emma nie cierpi. Wiesz, jakie myśli przewijały się przez mój umysł do czasu, gdy ten człowiek znalazł jej but? Każdego dnia, każdej nocy. Wiesz, jakie straszne rzeczy sobie wyobrażałem?

– Wiem. Ja też to sobie wyobrażałam. Problem w tym, że dalej sobie to

wyobrażam.

Jake kuli się, jakby został czymś uderzony, ale nie mogę się już wycofać. To zbyt ważne.

– Jeśli w ogóle jest jeszcze jakakolwiek możliwość, że ona żyje – mówię – to jak możemy tu siedzieć i nic nie robić? Jestem w stanie przejść przez kolejne dni, ponieważ wyobrażam sobie, jak to będzie, gdy ona do nas wróci. Myślę o tym, co będzie, gdy ją znowu zobaczymy: co jej powiemy, dokąd ją zabierzemy. Myślę o tym, jak mogła się przez ten czas zmienić.

Przygryza wargę. Na jego okularach widać kropeczki, tak jakby od dawna nie były czyszczone.

– Kocham cię, Abby. Przez cały ten czas nigdy nie przestałem cię kochać. Ale poważnie mówię, że musisz dokonać wyboru. Jedź na tę szaloną wycieczkę albo zostań tu i spróbuj sobie ułożyć życie ze mną.

– Dlaczego stawiasz mnie przed takim wyborem?

Odwraca się i zaczyna wyciągać naczynia ze zmywarki. Jedną po drugiej wstawia szklanki do szafki.

Podchodzę do zmywarki.

– Pozwól, że ci pomogę.

Nawet na mnie nie patrzy.

– Mam dużo roboty. Powinnaś już pójść – mówi.

– Proszę, nie stawiaj tak sprawy. Po prostu potrzebuję trochę więcej czasu. Wciąż jestem tą samą kobietą, którą chciałeś poślubić.

– Mylisz się. Żadne z nas nie jest takie samo.

Ma rację. Wiem, że ma rację.

Jadąc do domu, w chłodnym oceanicznym powietrzu wpadającym przez okna samochodu czuję ciężar dokonanego wyboru. Pamiętam, jak w wieczór po pierwszej randce z Jakiem zadzwoniłam do Annabel i opowiadałam jej

o nim przez ponad godzinę. Byłam zbyt podekscytowana, by zasnąć. Następnego dnia o świcie wciąż siedziałam na kanapie i wpatrywałam się w okno, fantazjując na temat przyszłości z mężczyzną, którego właśnie spotkałam. Wiedziałam, że on też coś poczuł, i wprost nie mogłam uwierzyć we własne szczęście. Wciąż wyraźnie pamiętam, jak o ósmej rano zadzwonił telefon. Zanim odebrałam, wiedziałam, że to on.

– Obudziłem cię? – zapytał.

– Nie. W ogóle nie spałam.

– Ja też nie – powiedział. – Spotkamy się dziś po południu?

– Jasne.

Wyglądało na to, że wszystko staje się oczywiste.

ROZDZIAŁ 60

Następny dzień spędzam na stronach internetowych, rezerwując bilety lotnicze, drukując rozkłady jazdy autobusów i plany miast, zbierając informacje o najpopularniejszych miejscach do surfowania. Na stronie frommers.com znajduję informację, że w Kostaryce w zupełności wystarczy kwota trzydziestu pięciu dolarów dziennie. Patrząc na stan konta, mogę pozwolić sobie na trzy miesiące pobytu. Trzeba jednak opłacić także stałe, comiesięczne rachunki. Karta kredytowa zapewni mi dwa miesiące pobytu, ale po tym czasie stanie się bezużyteczna. Powinnam jeszcze dostać pieniądze od klientów, ale nie są to wielkie sumy. Muszę policzyć. Wyniki nie są zbyt zachęcające, a przecież nie mogę wciąż przyjmować pieniędzy od Annabel, tym bardziej że spodziewa się kolejnego dziecka. Jedyne wyjście to sprzedaż czegoś.

Większość ozdób w moim domu to moje dzieło, a pozostałe zrobili przyjaciele, z którymi się wymieniałam – nie mam więc nic, co mogłabym sprzedać za jakąś znaczącą sumę pieniędzy. Mam jednak coś, co od lat jest obiektem pożądania mojej przyjaciółki Janet. Kolekcjonuje ona prace Randolpha Gatesa, fotografa z początku dwudziestego wieku, słynącego ze zdjęć krajobrazów południowego zachodu Stanów. Fotografia jest zatytułowana *Światło Arizony* i była prezentem od Ramona. Wręczył mi go dzień przed moim wyjazdem do college’u w Knoxville. Wtedy byłam pod wielkim wrażeniem tego, w jaki sposób fotograf uchwycił niesamowite cechy

pustyni oświetlonej połową księżyca, nie miałam jednak pojęcia, jaką wartość ma zdjęcie. Podziwiałam je wiele razy w mieszkaniu Ramona, gdzie wisiało nad starym ceglany kominkiem. W naszą ostatnią wspólną noc Ramon wstał z łóżka, pohałasował trochę w salonie i po kilku minutach wrócił z dużą, płaską paczką owiniętą w solidny papier pakowy.

– Żebyś pamiętała o mnie – powiedział, kładąc ją na łóżku.

Nie musiałam rozpakowywać. Dobrze wiedziałam, co kryje się w środku.

– Ale przecież uwielbiasz tę fotografię.

– Tobie też się podoba, a ja chcę, żebyś ją miała przy sobie.

– Mamy czterdzieści pięć minut, zanim zacznie się moja godzina policyjna – powiedziałam. – Chodź do łóżka.

Delikatnie oparł pakunek o ścianę, a później zaczął mówić mi o wszystkich rzeczach, których wraz ze mną będzie mu brakowało, i obiecywał, że będzie mnie kochał aż po grób. Staralam się znaleźć jakieś słowa, które będą miały taką samą wagę, jednak to, co mówiłam, brzmiało jakoś sztucznie. Następnego dnia pojechałam do Knoxville, a zdjęcie leżało na tylnym siedzeniu opakowane w folię bąbelkową. Od tamtego momentu fotografia zawsze mi towarzyszy. Nigdy się nią nie znudziłam. Ale jestem tak mocno związana z tym zdjęciem nie tylko dlatego, że jest piękne. To także ostatni prezent od Ramona i taką też odgrywało rolę – w jakimś sensie zatrzymywało go w czasie. Z prawdziwym Ramonem – z mężczyzną, którego nie kochałam wystarczająco mocno, którego opuściłam – ma chyba jednak mniej wspólnego niż z jakimś jego wyidealizowanym wyobrażeniem. Podobnie jak w obrazach Pontito malowanych przez Magnaniego, w obrazie Ramona, który stworzyłam w swojej głowie, chodzi nie tyle o sam temat – Ramona – ile o osobę, jaką byłam, gdy go znałam.

Gdy Janet po raz pierwszy ujrziała to zdjęcie w moim mieszkaniu, zaoferowała mi sześć tysięcy dolarów.

– Zapytaj mnie ponownie, gdy będę desperacko potrzebowała pieniędzy – odparłam.

Janet pytała jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem bez namysłu odmawiałam.

– To dobra oferta – mówiła. – W galerii nie dostaniesz za nie więcej niż pięć tysięcy.

– Coraz bardziej skłaniam się ku temu, że nigdy go nie sprzedam.

– Daj mi znać, gdy zmienisz zdanie.

Odnajduję jej numer w notesie z adresami i dzwonię.

– O rany! – mówi Janet. – Tak długo się nie odzywałaś. Zdaje się, że od... – Odchrząkuje nieco zakłopotana.

– Zdaje się, że jeszcze nie podziękowałam ci za udział w nabożeństwie żałobnym.

W słuchawce słyszę głosy i muzykę. To pewnie jedno z tych słynnych przyjęć organizowanych przez Janet. Zwykle byłam zapraszana na każdą imprezę, jednak w ostatnich kilku miesiącach moi przyjaciele stopniowo przestawali do mnie dzwonić. To moja wina: żeby odbierać telefony, czasami trzeba samemu zadzwonić.

– To było piękne nabożeństwo – mówi. – Jak sobie radzisz?

– Czasem lepiej, czasem gorzej.

– Wiesz, jeśli mogłabym coś dla ciebie zrobić...

– Właśnie z tego powodu dzwonię. Pamiętasz fotografię Randolpha Gatesa?

– Oczywiście.

– Wciąż jesteś nią zainteresowana?

– Jak najbardziej.

– Pilna potrzeba. Mogę przywieźć ją do ciebie dziś wieczorem?

– Pewnie.

Odkładam słuchawkę, czując się trochę niepewnie. Zawstydzona. Tak jakbym właśnie sprzedała kawałek osobistej historii na temat do piosenki. Prawda jednak jest taka, że sprzedałabym dużo więcej niż zdjęcie, byle tylko znaleźć Emmę. Nie ma rzeczy, której nie zrobiłabym, nie ma umowy, której nie zawarłabym. Lata temu, gdy mój ojciec rozwodził się z matką dla młodszej kobiety poznanej na wycieczce do Niemiec, zapytałam, jak mógł to zrobić. Jak sumienie pozwoliło mu tak po prostu ją porzucić? „Wszyscy mamy w sobie coś z Roberta Johnsona – odpowiedział. – Wszyscy jesteśmy zdolni do przehandlowania własnej duszy. Pytaniem pozostaje tylko to, czy trafimy na diabła, czy nie”. Wtedy myślałam, że próbuje się usprawiedliwiać, teraz jednak wiem, że miał rację.

Zanim zapakuję zdjęcie dla Janet, powinnam zrobić jeszcze jedną rzecz. Idę na górę po leicę. Ustawiam światło w korytarzu i kieruję je na fotografię. Czuję się nieco śmiesznie, stojąc we własnym mieszkaniu niczym jakiś głupi turysta i robiąc zdjęcie zdjęcia. Ale jeśli odpowiednio wywołam fotografię, nadając właściwy balans światła i cienia, mogę osiągnąć obraz zbliżony do oryginału. To nie będzie to samo. Zawsze będę wiedziała, że to nie oryginał, ale przynajmniej będzie to całkiem przyzwoita reprodukcja.

ROZDZIAŁ 61

Dzień dwieście trzydziesty pierwszy. Druga trzydzieści w nocy, ulica Valencia. Wokół panuje ciemność, nie licząc niebieskawego światła telewizorów odbijających się w kilku oknach i migających na czerwono lamp sygnalizacji świetlnej. W torbie zostało mi około stu ulotek. Wczoraj po południu podjęłam ostatnią przed wyjazdem do Kostaryki maratońską próbę zasypania całego San Francisco ulotkami. Samochód zostawiłam pod domem i przemierzałam miasto piechotą lub korzystając z autobusów, unikając w ten sposób problemów z parkowaniem. W ciągu ostatnich szesnastu godzin odwiedziłam wszystkie dzielnice – nawet najniebezpieczniejsze zakątki Hunters Point i Sunnydale. Nogi nie chcą mnie już nosić, oczy mnie pieką, a palce mam lepkie od taśmy klejącej. Jeśli do domu dotrę o siódmej rano, wciąż będę miała czas, by się spakować, zostawić książeczkę czekową oraz instrukcje dla Nell i zdążyć na międzynarodowe lotnisko San Francisco na samolot odlatujący o czternastej.

Przyklejam ulotkę do szyby w La Rondalla. Przychodziliśmy tutaj tak często, że grywający tu mariachi znali Emmę po imieniu. Uwielbiała rozciapane burrito, jasne papierowe dekoracje, głośną muzykę i pulchną kelnerkę, która zawsze przynosiła jej dodatkową porcję chipsów. Przechodzę przez ulicę w kierunku księgarni Dog-Eared, gdzie Emma uwielbiała siedzieć i czytać, na kolanach trzymając mieszkającą tam pręgowaną kotkę. Teraz zwierzę siedzi przy oknie, patrzy na zewnątrz i wolno mruga.

– Ty też nie śpisz? – pytam, stukając palcami w szybę.

Kotka ziewa, zwija się w futrzany kłębek i zamyka oczy. Przechodzę do kolejnego okna wystawowego, a torba obija się o moje biodro. Późna noc to najlepszy czas na rozlepianie ulotek. Bez spowalniającego mnie ruchu ulicznego, ludzi i wózków dziecięcych mogę pracować znacznie szybciej. Gdy kilka budynków dalej przyklejam ulotkę na oknie Good Vibrations, ulicą przejeżdża taksówka. Kilka sekund później hamuje z piskiem opon i zawraca w stylu Jima Rockforda. Przyspieszam. Zbyt późno zdaję sobie sprawę z własnej głupoty. Każdy wie, że to nie jest najlepsze miejsce dla samotnej kobiety, szczególnie o wpół do trzeciej w nocy. Samochód zatrzymuje się tuż za mną, a ja skręcam w kierunku budynków, pospiesznie oddalając się od pojazdu.

Nagle słyszę znajomy głos.

– Wiesz, naprawdę powinniśmy przestać spotykać się w środku nocy.

Wyteżam wzrok i wpatruję się we wnętrze taksówki. To Nick Eliot uśmiechający się szeroko niczym młody chłopak.

– Przestraszyłeś mnie nie na żarty.

– Wskakuj. Podwiozę cię.

– Mam jeszcze sto ulotek do rozlepienia.

– Daj spokój. Wyglądasz, jakbyś za chwilę miała się przewrócić. Zawiozę cię do mojego domu i przygotuję coś do jedzenia.

– Jutro wyjeżdżam z kraju, to znaczy dzisiaj, i chciałam to wszystko rozwiesić.

– Wiesz co – mówi, otwierając drzwi – zostaw to mnie. Rozkleję jutro. Nakarmię cię i odwiozę do domu.

– Mówisz poważnie?

– Oczywiście.

Niektórzy ludzie mają dar: samą swoją obecnością poprawiają ci nastrój. Nick jest jedną z takich osób. Spotkanie z nim w tym miejscu i o tej porze jest tak dziwnym zbiegiem okoliczności, że zaczynam wierzyć w istnienie jakiegoś kosmicznego projektanta, który pociąga za sznurki mojego życia. Gdybym była przesądna, uznałabym to za dobry znak przed wyjazdem do Kostaryki.

Wsiadam do ciepłego wnętrza taksówki. Na podłodze przy stopach Nicka leży teczka, a między nami na siedzeniu pokrowiec na garnitur.

– Co tu robisz o tak późnej porze? Myślałam, że tylko ja nie śpię.

– Wracam do domu z lotniska – odpowiada.

– Gdzie byłeś?

– W Lublanie. Byłaś tam?

– Nie.

– Powinnaś pojechać. Wspaniała architektura, sklepy, muzea. Coś jakby Praga dwadzieścia lat temu, zanim opanowali ją turyści z plecakami – mówi. Kładzie rękę na moim kolanie. – Wszystko w porządku?

– Tak, dzięki, że pytasz.

Dotyk jego dłoni jest przyjemny i uspokaja mnie. Zdaję sobie sprawę, że radość z tego spotkania jest nieproporcjonalna w stosunku do tego, co powinnam czuć do znajomego. Jake zwykle z łatwością potrafił wprowadzić mnie w taki nastrój jednym tylko dotknięciem, ale to było już tak dawno temu. Budynki przewijają się za oknem. Na zewnątrz jest cicho jak w kościele. Ponad naszymi głowami w świetle księżycy połyskuje trawka trolejbusowa, tworząca nisko wiszące metaliczne liany. Nick patrzy przed siebie.

– Naprawdę się cieszę, że cię spotkałam – mówię.

Uśmiecha się.

– Ja również.

Zatrzymujemy się przy podniszczonym budynku na rogu ulic Harrison i Dwudziestej Pierwszej. Na parterze znajduje się jakaś jadłodajnia z neonowym szyldem świecącym w oknie. Obok jest nieczynny bar dla lesbijek. Nick płaci i dziękuje kierowcy. Przy bramie wejściowej wstukuje kod i drzwi się otwierają, ukazując wąskie schody. Klatka schodowa, pokryta dywanem i słabo oświetlona, śmierdzi stęchłym dymem papierosowym i resztkami jedzenia wyrzucanymi z jadłodajni.

– Wiem, co sobie myślisz – mówi Nick. – Uwierz mi, w środku jest lepiej.

– Wyobrażałam sobie, że mieszkasz w innym miejscu, na przykład w Russian Hill.

– Kupiłem to, gdy się przeprowadzałem do San Francisco. Nie stać mnie było na więcej. Poza tym niemal czterdzieści tygodni w roku jestem w podróży, więc nie jest tak, że siedzę tu cały czas i zachwycam się tym miejscem.

Na drugim piętrze Nick wstukuje kolejny kod na jeszcze jednej klawiaturze i zaprasza mnie do środka. Miejsce jest niesamowite, nie tylko na sposób Marthy Stewart. Wygląda jak połączenie stylu „Przeglądu Architektonicznego” i „Szyku Industrialnego”. Z pewnością nie ma tu żadnej rzeczy z Ikei, Home Depot lub Pottery Barn.

– Jak wysoko jest sufit?

– Ponad cztery metry.

– Na wypadek, gdyby koszykarze Golden State Warriors wpadli na obiad?

– Właśnie.

Wszystkie urządzenia wykonane są ze szczotkowanego aluminium, kanciaste meble luźno rozstawione: brązowa sofa na całej długości ściany, trzy krzesła w delikatnych metalicznych odcieniach, stolik kawowy wielkości

mojego łóżka. Przestrzeń jadalną wyznacza beżowy dywan, na którym stoi owalny stół z metalowymi nogami i betonowym blatem wypolerowanym do połyskującej szarości. Sypialnia oddzielona jest od reszty przestrzeni siatkową zasłoną. Jedną ze ścian w całości pokrywają półki w stylu art-déco, na których stoją książki – pewnie ze dwa tysiące.

– Ile z nich przeczytałeś?

– Kilka – odpowiada z lekkim zawstydzeniem.

Styl tego miejsca przypomina mi trzepaczkę, którą kupił dla mnie w Helsinkach, tyle że to jest większe i bardziej kompleksowe.

– Tu jest zachwycająco.

– Niestety, nie moja w tym zasługa. Jeden z moich braci jest architektem, a jego żona projektantką wnętrz. Kilka lat temu w ramach prezentu urodzinowego przebudowali to mieszkanie. Zburzyli ściany i pozbyli się moich starych mebli. Problem w tym, że spędzam tu tak mało czasu, że do tej pory nie przyzwyczaiałem się do zmian. Wciąż czuję się tak, jakby było to mieszkanie kogoś innego.

– Jest cudowne.

– Dzięki – mówi i przechodzi do kuchni. – Siadaj. Zrobię ci coś do jedzenia. Wyglądasz na głodną, bardzo głodną. Zjesz francuskiego tosta?

– Z przyjemnością.

– To dobrze, bo to jedyna rzecz, którą potrafię zrobić.

W czasie gdy Nick zajmuje się tostem, ja przeglądam półki z książkami. Nie jestem w stanie wykryć jakiegoś szczególnego porządku ani doboru tytułów. Ma wszystkiego po trochu: *Moje życie* Trockiego stoi obok *To the Finland Station*, Colette obok Jacka Londona, *Lolita* i *Madame Bovary* opierają się o cienkie broszury dotyczące upadku komunizmu na Bałkanach. Ma poezję Audena, Ashbery’ego i Plath, eseje E.B. White’a, sztuki Harolda Pintera, książkę z ludowymi utworami napisanymi na banjo autorstwa

Teksańczyka Wade'a Williamsa. Jedna z półek w całości poświęcona jest albańskim pisarzom Jiriemu Kajanë i Ismailowi Kadaremu – w oryginale i francuskich oraz angielskich przekładach.

– Szczerze mówiąc, jesteś pierwszym facetem, jakiego znam, który ma na półce książki dwóch albańskich pisarzy.

– Jeszcze nie wiesz o mnie wszystkiego.

Jest też wiele książek po francusku i niemiecku, biografia Neila Younga, encyklopedia chińskiej medycyny, kilka tuzinów powieści na temat Południa Stanów, z *Kinomanem* Walkera Percy'ego na czele.

Nick wbija jajka do miski i miesza trzepaczką.

– Jeśli widzisz coś, co ci się podoba – mówi – to śmiało możesz sobie pożyczyć.

– Czytałeś to? – pytam, trzymając w rękach książkę Percy'ego.

– Całkiem możliwe, że to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytałem. Jesteś miłośniczką Percy'ego?

– Kiedyś próbowałam go czytać, ale jakoś nie potrafiłam się wgryźć.

– Powinnaś spróbować jeszcze raz – mówi, wrzucając kromkę chleba do przygotowanej mikstury. – Weź ją ze sobą. Ma dość dużo wspólnego z tobą. Jest tam jedno wspaniałe zdanie, do którego zawsze wracam: „Stać się świadomym możliwości poszukiwania, to znaczy mieć pojęcie, czego się szuka. Nie mieć pojęcia, czego się szuka, to znaczy być w rozpacz”.

– Bardzo ładne. To chyba najprawdziwsza rzecz, jaką w ostatnim czasie usłyszałam.

Wrzuca kawałek chleba na patelnię. Chleb skwierczy, a całe mieszkanie wypełnia się zapachem masła i cynamonu.

– Nie zdradziłaś jeszcze, dokąd się wybierasz.

– Do Kostaryki.

- Na wakacje?
- Nie. Chodzi o Emmę. To długa historia.
- Co o tym sądzi twój narzeczony?
- Uważa, że gonię za duchem. Pokłóciliśmy się z tego powodu. Niestety, „narzeczony” to w tym momencie chyba nieodpowiednie słowo.

Nick wygląda na zdziwionego.

- Przykro mi to słyszeć.
- Naprawdę?
- Kilka lat temu ciężko przeżyłem rozstanie i nikomu nie życzę czegoś podobnego. Muszę jednak przyznać, że z egoistycznych powodów wolałbym, żebyś nie była z nikim związana.

Za pomocą kosmicznie wyglądającej szpatułki zdejmuje tosty z patelni i kładzie je na dwa czerwone talerze. Do dwóch szklanek nalewa mleka i siada przy kuchennym barze.

- Spróbuj.

Zajmuję miejsce i wgryzam się w tost. Chleb jest gruby i gąbczasty. Smakuje masłem, cynamonem, cukrem pudrem i jeszcze czymś, czego nie potrafię zidentyfikować.

- To bez wątplenia najlepszy francuski tost, jaki kiedykolwiek jadłam.
- Słuchaj, masz już jakieś miejsce, w którym zatrzymasz się w Kostaryce?
- Zrobiłam rezerwację przez internet w jakimś hoteliku nieopodal lotniska w San José.
- Odwołaj. Motele w tym mieście są niepewne. Znam tam kobietę, która wynajmuje pokoje. Jest tanio i czysto. Właścicielka jest bardzo miła i trochę mówi po angielsku. Kiedy tam dotrzesz?
- Jutro wieczorem, około dwudziestej drugiej. Według linii lotniczych

United Air najkrótsze połączenie z San Francisco do Kostaryki przebiega przez Chicago i Miami.

– Dam jej znać, że przyjeżdżasz – mówi i na odwrocie wizytówki pisze adres. – Zapiszę też kilka restauracji. Wiem, że to nie podróż dla przyjemności, ale przecież musisz coś jeść, prawda?

– Dzięki – odpowiadam, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. – Założę się, że mogłabym wybrać dowolne miejsce: Budapeszt, Bukareszt, Anchorage, a ty byłbyś w stanie podać kilka rekomendacji.

Śmieje się i nabija kawałek tostu na widelec.

– Niezupełnie, choć jeśli kiedykolwiek pojedziesz do Budapesztu, to zdecydowanie powinnaś zatrzymać się w hotelu Gellert – komunistyczny styl, bardzo niskie ceny. Gdy byłem tam ostatnim razem, w salonie miałem fortepian – mówi. Sięga do kieszeni i wyjmuje blackberry. – Jeszcze coś. Jest tam pewien facet. Wiggins – dodaje i wciska kilka klawiszy, po czym na kolejnej wizytówce pisze numer telefonu. – Powinnaś do niego zadzwonić, gdy będziesz w San José.

– Wiggins?

– Pracuje w ambasadzie. Może ci pomóc. Często wyjeżdża z kraju, więc jeśli go nie będzie, gdy przyjedziesz, powinnaś co jakiś czas próbować się z nim skontaktować. Powiedz mu, że jesteś moją przyjaciółką.

– Skąd go znasz?

– To długa historia.

Zastanawiam się, czy ten francuski tost to naprawdę najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek jadłam, czy po prostu jestem tak głodna. Zjadam wszystko do ostatniego okruszka i spoglądam na Nicka. Patrzy na mnie i szeroko się uśmiecha.

– Przepraszam – mówię, ocierając brodę. – Byłam głodna jak wilk. – Zdałam sobie sprawę, że jedzenie sprawiło mi przyjemność. Może jednak

prawdą jest to, co każdy mi powtarza, a w co uparcie nie chcę uwierzyć: życie naprawdę toczy się dalej.

– Nie musisz przepraszać. Uwielbiam kobiety, które mają apetyt. Masz, trzymaj ten numer przy sobie. Nie zapomnij o nim.

– Nie zapomnę – zapewniam i popijam trochę mleka. Smakuje tak wspaniale, że od razu pochłaniam całą szklankę. – A tak przy okazji, to było w tym francuskim toście?

– Sekretne składniki to nesquik i wanilia – mówi i ściera kroplę syropu z mojej brody. – Powiedz mi coś.

– Co takiego?

– Gdybyśmy spotkali się w innych okolicznościach, wiesz, gdybyś nie była zaręczona, gdyby sprawy w twoim życiu układały się normalniej, myślisz, że mielibyśmy szansę?

Nad odpowiedzią nie muszę się długo zastanawiać.

– Tak.

– Wszystko sprowadza się do odpowiedniego momentu, prawda? – Przesuwa palcem po brzegu szklanki. – Słuchaj, międzynarodowe rozmowy telefoniczne w Kostaryce to koszmar, ale za to w rejonach turystycznych jest mnóstwo kafejek internetowych. Obiecuj, że od czasu do czasu prześlesz mi jakąś wiadomość.

– Obiecuję.

– I zadzwoń, gdy już wrócisz do domu, żebyśmy mogli namówić cię na wspólną kolację. Bez żadnej presji, bez żadnej randki, po prostu kolacja.

– Oczywiście.

– Jeszcze jedna rzecz. Mówisz po hiszpańsku?

– *Un poco*.

Idzie do półki z książkami i przynosi kieszonkowe rozmówki angielsko-

hiszpańskie oraz przewodnik po Kostaryce.

– Żeby było ci łatwiej.

Wkładam książki do torby.

– Dlaczego jesteś dla mnie taki miły?

Wzrusza ramionami.

– Lubię cię. Ale to już przecież wiesz.

– Śmieszne. Samotne kobiety zawsze mówią, że nie ma szans, by spotkać porządnego faceta w San Francisco. Ja nie szukam i proszę, oto jesteś. Połowa samotnych kobiet zabiłaby za możliwość umówienia się z kimś takim jak ty.

Szeroki uśmiech.

– Może już próbowały i wcale nie były zachwycone.

– Dzięki. Za to, za wszystko. Lepiej już pójdę. Czeka mnie bardzo długi dzień.

– Pozwól, że cię odwiozę – proponuje. – Tylko wezmę kluczyki.

Bezwład, zapomnienie, ręka potrząsająca moim ramieniem.

– Abby?

– Hmm?

– Zasnęłaś.

Wciąż siedzę przy blacie z głową opartą na rękach.

– Która godzina?

– Czwartą piętnaście. Odszedłem tylko na kilka minut. Padłaś.

Nagle jego ręce są pod moimi nogami i na plecach, niesie mnie. Niespodziewanie przypominam sobie dzieciństwo i sposób, w jaki ojciec usypiał mnie i później niósł do łóżka – na wpół śpiąca, wtulona w jego ramiona czułam się, jakbym frunęła. Nick kładzie mnie na kanapie, znika na chwilę i wraca z kocem.

– Nie mogę tu zostać – mówię i podnoszę się. Kanapa jednak jest tak miękka, a ja tak zmęczona, że z trudem otwieram oczy.

– Tylko na chwilę. – Wkłada poduszkę pod moją głowę i naciąga koc aż pod brodę. – Obudzę cię wcześniej rano – mówi.

Ostatnia rzecz, którą pamiętam przed zaśnięciem, to odgłos Nicka myjącego zęby.

O piątej trzydzieści pięć budzę się w cichym mieszkaniu. Podchodzę na palcach do łóżka Nicka i widzę, że śpi w niebieskiej koszulce i bokserkach, z jedną nogą wystającą za skraj materaca. Odkryty, nieświadomy, nie wygląda już jak tajemniczy członek śmietanki towarzyskiej, a ja muszę walczyć z chęcią położenia się obok niego. Wyobrażam sobie, jak ciepła musi być jego skóra, jak przyjemnie byłoby poczuć jego nogi przyciskające się do moich. Wyobrażam sobie, jak w innym życiu, w innym czasie, mogłabym teraz leżeć obok Nicka, a moim największym zmartwieniem byłyby nasze plany na weekend. Ostatnio coraz częściej myślałam o tym – o ile lepiej byłoby, gdybym nigdy nie spotkała Jake’a ani Emmy. Gdybym nigdy ich nie spotkała, nie mogłabym ich skrzywdzić i nie mogłabym wiedzieć, co tracę, nie mając Emmy w swoim życiu.

Po raz ostatni spoglądam na Nicka, zostawiam liścik z podziękowaniami, chwytam torbę i wymykam się tak cicho, jak to tylko możliwe.

Wychodząc w ten sposób, tak wcześnie rano – gdy miasto jest opustoszałe, sklepy pozamykane, a na ulice z wolna wdziera się różowawe światło poranka – przypominam sobie rodzinne wakacje, gdy jeszcze byłam dzieckiem. Przed świtem matka wchodziła do naszych pokoi, wyciągała nas z łóżek w piżamach i wsadzała do samochodu kombi. Annabel i ja leżałyśmy obok siebie przykryte kocem i to zasypiałyśmy, to budziłyśmy się, podczas gdy samochód sunął poprzez cichą okolicę.

Samochód wypełniał zapach kawy mojej matki. Słyszałyśmy też szelest

rozkładanych map i szepty rodziców. Właśnie na tych porannych ucieczkach z naszego zwykłego domu, zwykłego życia, rodzice sprawiali wrażenie, że należą do siebie. Przednie siedzenia wyglądały na bardzo odległe, a z mapami, kawą i szepem układanymi planami sprawiali wrażenie, jakby prowadzili jakieś sekretne życie. Annabel i ja budziłyśmy się w jakimś obcym mieście, gdy samochód zatrzymywał się przy McDonalddie lub Stuckey's. Przebierałyśmy się w samochodzie, a później jadłyśmy śniadanie i korzystałyśmy z łazienki. W pewnym momencie w restauracji, gdy słońce już wpadało przez szyby, a dzień rozpoczynał się na dobre, wracało też nasze normalne życie, w którym rodzice zaczynali się kłócić, a jazda ciemnymi ulicami w piżamach zdawała się snem, fałszywym, ale przyjemnym wspomnieniem wydarzenia, które nigdy nie miało miejsca.

Gdy powiedziałam Annabel o swojej wyprawie, nie była tym zachwycona.

– Jesteś pewna, że dobrze to przemyślałaś? – zapytała.

– Całkowicie pewna.

Milczała przez minutę.

– Wciąż wierzę w to, co powiedziałam ci na samym początku. Musisz doprowadzić poszukiwania do logicznego końca. Po prostu martwię się o ciebie, Abby.

– Jesteś moją siostrą – powiedziałam. – Musisz się o mnie martwić. Ale nie oszalałam, jeśli to masz na myśli. Dobrze jest mieć jakiś plan. Może ten nie jest najlepszy, ale dobre i to.

W pośpiechu idę na przystanek u zbiegu ulic Folsom i Dwudziestej. Są tam już dwie osoby czekające na przyjazd trolejbusu – kobieta w szpitalnym fartuchu i nerwowy nastolatek, który chyba całą noc był na nogach. Nikt się nie odzywa. Nikt nie patrzy w oczy innej osoby. Gdzieś w oddali ktoś odpala motocykl jednym długim, pełnym grozy rykiem silnika. Pięć minut później

na Folsom pojawia się trolejbus, ruchome źródło światła w szarym miejskim poranku, z wnętrzem oświetlonym niemożliwie jasnym światłem.

Tuż przed przystankiem w niebo strzela snop iskier, a maszt łączący trolejbus z trakcją elektryczną zwisa bezwładnie. Nastolatek stojący obok klnie pod nosem i wsuwa ręce do kieszeni. To, co robi później, jest tak niespodziewane, że przez moment mam wrażenie, iż sobie to wyobrażam: zaczyna płakać.

Trolejbus zatrzymuje się, a kierowca powoli wychodzi na zewnątrz. Z cierpliwością kogoś, kto robił to setki razy, za pomocą długiej żerdzi przywraca maszt na właściwe miejsce. Znów snop iskier i kierowca wraca do środka. Po kilku sekundach zatrzymuje się tuż obok nas. Kobieta w szpitalnym fartuchu odsuwa się i pozwala nastolatkowi wejść pierwszemu. Z opuszczoną głową chłopak zajmuje miejsce w tyle autobusu, a ja myślę, że to pewnie jakaś dziewczyna, jakaś tragedia, która w tym momencie wydaje się niemożliwa do przetrwania. Chcę mu powiedzieć, że jakoś znajdzie się sposób, by poradzić sobie z najgorszymi rzeczami, rzeczami, które w naszym pojęciu mogą nas zabić. Znajdujesz sposób i brniesz przez dni, jeden po drugim – w szoku, w rozpacz, ale wciąż posuwasz się do przodu. Dni mijają jeden po drugim, a ty żyjesz wraz z nimi – czasem zaskoczony, nie do końca czujący ulgę, ale w końcu dociera do ciebie, że wciąż żyjesz.

ROZDZIAŁ 62

„Zaczynamy na nowo. Nie dajemy się”^{*}.

Lars Gustafsson, *Śmierć pszczelarza*

Po południu dwieście trzydziestego drugiego dnia budzi mnie deszcz mocno uderzający w cienki dach. Na zewnątrz coś skrzypi i jęczy. Minutę zajmuje mi przypomnienie sobie, gdzie jestem – długi lot, spóźnienie na przesiadkę, późny przylot do San José, dezorientująca jazda taksówką przez nieznanymi ulice.

Przez okno widzę rząd wysokich złotych drzew bambusowych kołyszących się na wietrze. Wszystko jest tu w stanie ciągłego wzrostu, wszystko żyje. Deszcz leje strumieniami, a po kilku minutach przechodzi w mżawkę. Krople spadają na liście bananowca rosnącego tuż za oknem. W oddali pieją koguty, szczekają psy. Dzwon kościelny dzwoni – raz, dwa, trzy, cztery, pięć.

Gdy przyjechałam kilka godzin temu, w drzwiach powitała mnie starsza kobieta. Dwójka małych dzieci trzymała się jej kurczowo.

– *Buenos días* – powiedziałam. – Jestem przyjaciółką Nicka Eliota.

– *Bueno* – odparła. – Jestem Soledad. Oczekiwam na ciebie. – Uśmiechnęła się i cofnęła, robiąc miejsce, bym weszła do środka.

Zaprowadziła mnie do mojego pokoju, a ja podziękowałam jej i łamanym

hiszpańskim wytłumaczyłam, że jestem śpiąca.

– *Bueno* – powiedziała. – Najpierw śpi, potem je.

Gdy tylko zamknęła drzwi, opadłam na małe łóżko i dałam się ponieść kojącemu gwarowi dzieci, telewizji, stukających naczyń i szczekającego psa.

Teraz dom wypełniony jest przyjemnym zapachem przygotowywanego jedzenia. Otwieram drzwi, a dzieci od razu biegną się ze mną przywitać.

– Roberto – mówi chłopiec, dumnie uderzając się w klatkę piersiową. Wskazuje na swoją siostrę: – Maria.

Idą za mną korytarzem do łazienki i chichoczą, gdy bezskutecznie próbuję zamknąć drzwi. Gdy wychodzę, Maria bierze mnie za rękę i prowadzi do kuchni, gdzie Soledad smaży zielone banany i fasolę.

– Jedzenie? – pyta Soledad.

– *Sí*.

Gestem pokazuje, bym usiadła. Dzieci siadają obok przy kuchennym stole i trajkoczą po angielsku.

– Skąd jesteś? – pyta Roberto.

– Z Kalifornii.

– Hollywood! – wykrzykuje z taką ekscytacją, że aż spada z krzesła. – Znasz Arnolda Schwarzeneggera?

– Nie. Mieszkam w innej części Kalifornii. W San Francisco.

Maria kładzie rękę na moim ramieniu.

– Znasz Myszki Miki?

– Tak – odpowiadam. – I Myszka Miki cię pozdrawia.

– Naprawdę?

– Tak. Bardzo dobrze mówicie po angielsku. Gdzie się nauczyliście?

– Z telewizji – odpowiada Roberto.

– Smerfy – dodaje Maria.

Po kilku minutach stół zastawiony jest jedzeniem. Soledad rozlewa ciepłą pomarańczową fantę do czterech małych szklaneczek. Odkąd opuściłam San Francisco, nic nie jadłam, nie licząc rozmięklej babeczki w trakcie lotu z Miami. Jem z wilczym apetytem, a Soledad nakłada na mój talerz drugą porcję. Jej angielski nie jest lepszy niż mój hiszpański, ale porozumiewamy się za pośrednictwem dzieci. Dowiaduję się, że Roberto i Maria są jej wnukami, a ich matka pracuje jako pokojówka w jednym z hoteli w centrum miasta.

Pytam, skąd zna Nicka Eliota. Okazuje się, że pięć lat temu wynajmował u niej pokój i od tamtego czasu wciąż utrzymuje z nią kontakt.

Mówi coś po hiszpańsku do Roberto, który przełyka porcję ryżu, odwraca się do mnie i tłumaczy:

– Czy pan Eliot jest twoim chłopakiem?

– Nie.

– Jest! – upiera się Roberto i chichocze.

Po obiedzie pytam, czy mogę wziąć kąpiel, a Soledad daje mi ręcznik i małe mydełko. Przez szparę w drzwiach widzę Roberto i Marię siedzących z brodami wspartymi na kolanach i oglądających telewizję oraz stopy Soledad uderzające o podłogę, gdy kołysze się w przód i w tył na krześle. Stara wanna jest głęboka i bardzo czysta, a zmycie trudu podróży to wspaniałe uczucie.

Po kąpieli pytam Soledad, czy mogę skorzystać z telefonu. Wykręcam numer do przyjaciela Nicka, Wigginsa, i po trzecim sygnale w słuchawce odzywa się kobieta.

– Ambasada Stanów Zjednoczonych – mówi. Ton jej głosu wskazuje, że jest tysiąc innych rzeczy, które wolałaby robić w tej chwili.

– Szukam pana Wigginsa. – Mówiąc to, czuję się trochę śmiesznie. Tylko tyle mogę powiedzieć. Żadnego tytułu, żadnego imienia. Po prostu Wiggins.

Następuje pauza, szelest przierzucanych papierów. I później:

– Chwileczkę. Połączę panią.

W słuchawce odzywa się męski głos:

– Tak?

– Szukam pana Wigginsa – powtarzam.

– W tej chwili jest poza krajem.

– A kiedy wróci?

– Za kilka miesięcy. A kto pyta?

Opowiadam mu całą historię. Tłumaczę to w pośpiechu, w bezładnej płątaniu zdań wyrzucanych jednym tchem: zniknięcie, poszukiwania, wątki, które przywiodły mnie tutaj.

– Czy FBI prowadzi dochodzenie w tej sprawie? – pyta.

– Współpracowali z policją z San Francisco, ale policja zamknęła śledztwo. – Mówiąc to wszystko, uświadamiam sobie, że moje szanse na pomoc spadają.

– Przykro mi, ale w zasadzie takie sprawy nie podlegają naszej jurysdykcji. Jeśli FBI rozpocznie śledztwo, na pewno się w to zaangażujemy.

– Ale Nick Eliot kazał mi zadzwonić do Wigginsa.

– Nick Eliot. To nazwisko nic mi nie mówi. Proszę posłuchać, jeśli znajdzie pani tę dziewczynkę, proszę się z nami skontaktować, pomożemy w załatwianiu spraw z lokalnymi służbami.

– Proszę, na pewno coś możecie zrobić.

– Proszę zadzwonić za kilka miesięcy, gdy Wiggins wróci. Powodzenia.

W słuchawce zapada głucha cisza. Czuję się bardziej niż kiedykolwiek dotąd osamotniona w swoich poszukiwaniach, choć przy okazji także bardziej zdeterminowana. Może to zbyt duże ryzyko, może Jake miał rację. Może zbyt dużą wagę przywiązuję do malutkich szczegółów, kurczowo

trzymając się najmniejszych nawet dowodów, które pasują do moich z góry ustalonych przekonań. Mimo to jednak jestem pewna, że odszukanie pary z żółtej furgonetki stanowi moją największą nadzieję na odnalezienie Emmy. To ostatnia opcja, ostatni niezbadany zestaw tropów – kobieta w Beach Chalet ewidentnie gapiąca się na Emmę, czas odjazdu furgonetki z Ocean Beach tamtego dnia, naklejka z napisem „Ticos”, długa deska surfingowa – w moim umyśle te elementy pasowały do siebie. Po prostu musiały pasować.

Leżąc w łóżku, przeglądam przewodnik. Autobusy do Playa Hermosa w dni powszednie odjeżdżają z głównego terminala w San José o dziewiątej rano. Próbuję zasnąć, ale mój umysł nie ma zamiaru odpoczywać. Po raz pierwszy od dnia zaginięcia Emmy jestem naprawdę zła na Jake’a. Powinien być tutaj, razem moglibyśmy osiągnąć znacznie więcej. Nie powinien się poddawać.

Jake pewnie by nie zrozumiał, gdybym powiedziała mu, że przebywanie w tym obcym miejscu daje mi poczucie nowego początku. W końcu jestem uwolniona od tych niekończących się powtórzeń, które charakteryzowały moje poszukiwania w San Francisco: codzienne wyprawy na Ocean Beach, niezliczone powroty na te same ulice, te same ślepe tropy. Badacze pamięci mają nawet teorię określającą to pospolite uczucie: wiemy, że znamy słowo, ale w tym czasie jest ono poza zasięgiem. Ta teoria to blokowanie. Według niej uczucie, że mamy coś na końcu języka, pojawia się wtedy, gdy próby przypomnienia odciągają nas od poszukiwanego słowa w stronę zupełnie innego wyrazu. Poszukiwane słowo tam jest, ale nie możemy do niego dotrzeć, ponieważ zostaliśmy przestawieni na inne tory, poruszamy się niewłaściwą ścieżką. Słowa, które stają nam na drodze, zwane są intruzami.

Czy wyobrażanie sobie, że Kostaryka może oczyścić mój umysł, że tutaj, w tym nieznanym miejscu, intruzi mogą zostać wypędzeni, to coś złego?

Gdy następnego poranka budzę się o siódmej, dom wypełnia już zapach

świeżej kawy. Dzieci siedzą przed telewizorem, oglądają nieco rozmazane amerykańskie kreskówki i popijają mleko czekoladowe. Soledad jest w kuchni i przyrządza coś na ruszcie. Scenka ta wydaje mi się tak normalna, tak zwyczajnie ludzka, że już nie tylko mam nadzieję, ale mocno wierzę w to, że Emma może być w tym kraju.

– *Bueno* – mówi Soledad, spoglądając na mnie przez ramię. – Dobrze spała?

– *Sí. Muy bien.*

Stawia przede mną talerz – porządna porcja ryżu i fasoli przykryta dwoma smażonymi jajkami. Zajadam, a ona stoi przy stole i obserwuje mnie z rękami założonymi na biodrach.

– Smakuje? – pyta, wycierając ręce o fartuch.

– Smakuje.

– Dobrze! W Kalifornia nie dostanie dobre śniadanie.

– Takiego na pewno nie – przyznaję.

Pomagam jej pozmywać naczynia, a później płacę rachunek – jedyne dwadzieścia dolarów amerykańskich. Dziękuję Soledad, żegnam się z dziećmi i na zewnątrz czekam na taksówkę. Kierowca wysiada i wkłada moje rzeczy do bagażnika.

– *La estación de autobuses?* – pyta.

– *Sí, por favor.*

– Dokąd jedzie?

– Playa Hermosa.

– Piękna jest. Spodoba się.

Na dworcu autobusowym mężczyzna siedzący przy małym stoliku sprzedaje bilety do Playa Hermosa. Piętnaście po dziewiątej jestem już w drodze, a ciepły wiatr owiewa mnie przez okno. Wciąż myślę o tym, co

powiedział Nick: „Stać się świadomym możliwości poszukiwania, to znaczy mieć pojęcie, czego się szuka. Nie mieć pojęcia, czego się szuka, to znaczy być w rozpacz”. Muszę wierzyć, że wiem, czego szukam – to jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu.

* L. Gustafsson, *Śmierć pszczelarza*, tłum. Z. Łanowski, Warszawa 1982, s. 9 (przyp. tłum.).

ROZDZIAŁ 63

Playa Hermosa. Domek na plaży. Jedna goła żarówka, dwa brudne łóżka, ściana tak cienka, że doskonale słyszę ludzi chrapiących w sąsiednim domku. Długie, wąskie lustro bez ramy wiszące na ścianie tuż obok drzwi. W lustrze – zadziwiające odkrycie, duch. Wystające kości biodrowe, zmęczone, podkrążone oczy.

Deszcz uderza w cienki dach. Zaczyna się od pojedynczej kropli, potem następna i jeszcze jedna, coraz szybciej i szybciej, aż w końcu równomierne dudnienie, powodujące ciężki szum w głowie. Wkrótce deszcz przechodzi w porządną burzę nasilającą się z minuty na minutę. Powietrze pachnie deszczem, morzem, a także mdłą i słodkawą wonią niepranej pościeli. Wyłączam światło i w ubraniu kładę się na łóżko, wsłuchując się w pomruki burzy. Przez okno zasłonięte cieniutką zasłonką co jakiś czas dostrzegam błyski światła.

Deszcz i zapach słonej wody w jakiś sposób przypominają mi Alabamę. Kilka miesięcy przed zniknięciem Emmy cała nasza trójka wyjechała na wycieczkę do Gulf Shores. Jake nigdy nie był na Południu i chciał zobaczyć, jak to wygląda, chciał poczuć miejsce, z którego pochodzę. Zatrzymaliśmy się w jednym z ładniejszych hoteli w Orange Beach i pierwszego wieczora siedzieliśmy na piasku, obserwując słońce zachodzące nad zatoką. Później przez cały tydzień padał deszcz.

Poranki spędzaliśmy na krytym basenie w hotelu, a popołudniami

przesiadaliśmy w pubie Pink Pony. Emma popijała koktajl Shirley Temple, a Jake i ja raczyliśmy się słodką mrożoną herbatą i piwem. Siedzieliśmy w sali wypełnionej dymem papierosowym i obserwowaliśmy błyskawice rozdzierające niebo na pół. Pioruny bardzo fascynowały Emmę, która była przyzwyczajona do spokojniejszych deszczów padających w San Francisco. Właśnie tego najbardziej mi brakowało – obfitego deszczu i strzelających piorunów. Burze w San Francisco są delikatne i tak naprawdę trudno nawet nazwać je burzami.

– Dziwnie pachnie – stwierdziła Emma. – Tak jakby niebo się paliło.

– To ozon, azot i amoniak – powiedział Jake, zawsze gotowy, by każdą sytuację potraktować jak lekcję.

Oglądanie świata jego oczami było bardzo zabawne, niczym powrót do czasów szkoły podstawowej, gdzie wszystko miało proste, naukowe uzasadnienie, każde pytanie miało odpowiedź.

Dobrze było znów wrócić w rodzinne strony, nawet jeśli okoliczności nie były najlepsze. Pewnego popołudnia zabrałam Emmę do sklepu z pamiątkami, tego z wielkim rekinem przy wejściu. Odwiedzałam ten sklep wiele razy, gdy byłam dzieckiem. Pozwoliłam Emmie wybrać pełen koszyk koszulek i zabawek dla jej przyjaciół. Najlepszym wspomnieniem tamtej wyprawy jest zdjęcie, na którym całą trójką stoimy na promenadzie przed Moe's Christmas i sklepem z bronią. Wciąż pamiętam mężczyznę, który robił nam zdjęcie: starszy dżentelmen z mocną opalenizną, w koszulce z napisem „*Bama Forever*”.

Przed końcem tygodnia Emma była już zmęczona i zaczynała płakać, a my byliśmy tak samo bladzi, jak w dniu przyjazdu.

– Alabama nie była taka, jak sobie ją wyobrażałem – powiedział Jake, gdy wracaliśmy samolotem do domu.

Zgodziliśmy się, że kolejne wakacje na plaży spędzimy w bardziej

egzotycznym miejscu – może Tahiti lub Kostaryka. Nigdy nie przypuszczałam, że przyjadę tu sama, że przyszłe migawki z mojego życia będą koncentrowały się na jednym temacie.

Jest dziewczynka, na imię ma Emma, spaceruje po plaży. Odwracam się. Mijają sekundy. Patrzę w jej stronę, ale jej już nie ma. Wciąż myślę o sekundach, o nieustannie rozszerzającym się okręgu. Jak wprawiłam w ruch cały ten łańcuch wydarzeń. Jak muszę znaleźć jakiś sposób na zrekompensowanie tego wszystkiego.

Następnego dnia tam i z powrotem przemierzam plażę wypełnioną amerykańskimi surferami i turystami. Szukam długiej deski Rossbottoma, pary ludzi o jasnych włosach, żółtej furgonetki. Jazda samochodem do Kostaryki nie byłaby czymś prostym, ale jest to do zrobienia. W domu czytałam internetowy pamiętnik turysty, który jechał przez pustynię Sonora, następnie przez wzgórza Oaxaca do Gwatemali, Hondurasu i Nikaragui. Granica w Penas Blancas jest niedbale strzeżona, więc ktoś z twarzą pokerzysty prawdopodobnie mógłby ukryć dziecko z tyłu samochodu i przewieźć je bez dokumentów. Tak jak mówił Jake, to wielkie „jeśli”, bardzo dużo „prawdopodobnie”, ale to najlepsza rzecz, którą w tej chwili mam.

Późnym popołudniem znajduję domek do wynajęcia za trzysta dolarów miesięcznie – lepszy i tańszy niż ten, w którym spędziłam ubiegłą noc. Jest prosty, mały i czysty, z cienkim dachem i małym oknem z widokiem na morze. Decyduję, że będzie to moja baza operacyjna, mój tymczasowy dom.

Dostosowanie się do rytmu plażowego życia nie zabiera mi zbyt dużo czasu. Nie ma powodu, by wcześniej wstawać, ponieważ wszystko jest zamknięte. Moją jedyną nadzieją jest spotkanie się z ludźmi – głównie z surferami – a najprostszą drogą do tego są popołudniowe i wieczorne

wizyty w barach i restauracjach. Większość mieszkańców miasta to turyści, którzy przyjeżdżają tu na trzy miesiące lub dopóki wystarczy im pieniędzy, po czym wracają do Stanów Zjednoczonych. Drugiego wieczora w Hermosa odkrywam mały bar, i to raptem kilka kroków od mojego domku. Personel składa się z Amerykanów i młodych Kostarykan. W ciągu następnego tygodnia wszystkich znam już po imieniu. Każdego dnia poprawiam swój hiszpański i mam nadzieję, że zyskuję zaufanie surferów. Wciąż jednak wygląda na to, że w ogóle nie zbliżam się do odnalezienia Emmy.

– Powinnaś spróbować – mówi do mnie ponadczterdziestoletni programista komputerowy z Atlanty.

Ma na myśli surfing. Ma na myśli rozluźnienie się. To mój trzeci dzień w Hermosa. Siedzimy obok siebie przy barze. Z głośników sący się muzyka zespołu Beautiful South, a telewizor ustawiony jest na mecz futbolu amerykańskiego pomiędzy Delaware Blue Hens i Citadel. Programista ma na imię Deke. Z idealnie ułożonymi włosami i przesadnie pewnym sposobem wpatrywania się w moje oczy przypomina faceta z telenoweli. Patrzy na telewizor i krzyczy: „Do boju, Hens!”. Plotka głosi, że zaciągnął do łóżka połowę północnoamerykańskich dziewcząt spędzających tu wakacje, a także kilka miejscowych Kostarykanek.

– Surfowanie nie jest dla mnie – mówię. – Boję się głębokiej wody i prędkości. Poza tym nie poradziłabym sobie z brakiem hamulców.

– To właśnie jest najlepsza część – odpowiada i kładzie dłoń na moich plecach, po czym wsuwa ją pod koszulkę bez rękawów.

– Nie przeciągaj struny.

Obraca to w żart i podnosi obie ręce do góry w geście poddania się, ale doskonale widzę, że jest zaskoczony odrzuceniem.

Kilka godzin później poznaję Sami z Galveston, która swoje hobby wspiera pracą za barem i sprzątaniami pokoi w pobliskim motelu. Ma

trzydzieści sześć lat i chłopaka w Stanach, pracującego w fabryce limuzyn – chłopak czeka, aż Sami przejdzie miłość do Kostaryki, tak by mogli się pobrać i mieć dzieci.

– Przyjechaliśmy tu razem siedem lat temu. On w końcu miał już dość tego miejsca, a mnie nigdy nie przeszło. Sęk w tym, że im dłużej tu jestem, tym bardziej myślę o *pura vida*, a coraz mniej o tym, by mieć dzieci – mówi Sami, przecierając bar wilgotną ścierką.

Gdy pyta, co robię w Kostaryce, odpowiadam, że zdjęcia do przewodnika Lonely Planet. To moja przykrywka, jedyny sensowny sposób, w jaki potrafię wyjaśnić swoją obecność. Aparat Leica zabieram ze sobą zawsze, dokądkolwiek idę. Wisi na moim ramieniu i jest chyba wystarczającym dowodem na prawdziwość tej historii. W ciągu kilku następnych dni Sami i ja stajemy się przyjaciółkami. Czasami późnym popołudniem, gdy w barze nie ma zbyt wielu klientów, Sami prosi jednego z kucharzy, by zajął się obsługą. Wychodzimy wtedy na plażę, siadamy na piasku i obserwujemy surferów łapiących ostatnie fale przed zapadnięciem zmroku. Ich ciała są piękne i lśniące w promieniach zachodzącego słońca, a błękit kostarykańskiego nieba jest błękitem, jakiego jeszcze nigdy nie widziałam. Mokre ciała wylaniające się z fal, deski wsparte na ramionach sprawiają, że surferzy wyglądają niczym tancerze. Bardzo ciężko w tej sytuacji uwierzyć, że są to zwykli chłopcy i zwykłe dziewczyny z nudnych miast środkowego zachodu Stanów Zjednoczonych.

Piątego dnia pobytu w Hermosa siedzę wraz z Sami na plaży, pomiędzy nami na piasku stoi kilka piw. Z kieszeni wyciągam kawałek papieru, rozwijam go i wręczam jej.

- Widziałaś kiedyś coś takiego?
- A powinnam?
- To symbol z deski surfingowej.

Przygląda się uważniej wizerunkowi złotej żaby, który wydrukowałam z internetu.

– Tak, jasne. To killer longboard. Facet, który je robił, całkiem niedawno kopnął w kalendarz. Billy Rossbottom.

– Wiesz coś o nim?

– A kto nie wie? Kilka lat temu Rossbottom przyszedł do baru. Był wielkim flirciarzem, stawiał drinki wszystkim kobietom. Miły facet, zostawił napiwek większy niż rachunek. Dzień po jego śmierci zorganizowaliśmy na plaży wielką imprezę na jego cześć.

– Chciałabym zobaczyć z bliska jedną z tych desek – mówię. – Widujesz tu jakąś?

– Raz widziałam. Naprawdę są bardzo rzadkie.

– Kiedy ją tutaj widziałaś?

– Nie wiem dokładnie. Kilka miesięcy temu.

– Kim był jej właściciel?

– Raczej właścicielka – mówi i patrzy na mnie tak, jakby chciała rozszyfrować, o co mi chodzi. – Dlaczego się tym tak interesujesz? Przecież nawet nie surfujesz.

– Chcę taką kupić, prezent dla przyjaciela – odpowiadam i czuję się winna z powodu kłamstwa. Na razie nie chcę jednak odkrywać kart, nie chcę, by moja sprawa rozniosła się po całym wybrzeżu. Boję się, że jeśli para z żółtej furgonetki jest tutaj, to usłyszawszy o mnie, od razu gdzieś wyjedzie. Dlatego właśnie nie pokazywałam jeszcze nikomu portretów pamięciowych, leżą w domku wciśnięte do plecaka i czekają na właściwy moment.

Sami kończy piwo jednym długim łykiem.

– Będę szukała takiej deski.

– Dzięki.

– Abby – mówi Sami, otwierając kolejne piwo.

– Tak?

– Mam wycucie co do ludzi i wiem, że jest coś, czego mi nie mówisz.

– Dlaczego tak myślisz?

– Samotna pracująca kobieta w malutkim surferskim miasteczku w Kostaryce. Nie surfujesz. Jesteś starsza niż większość przebywających tu ludzi – mruga do mnie okiem – nie licząc tu obecnych.

– Mówiłam ci. Pracuję nad przewodnikiem.

– To nie ma sensu – mówi Sami i opiera się na łokciach, wystawiając twarz do słońca. – Gdyby tak było, to już dawno wyjechałabyś z Playa Hermosa. Powiesz mi więc, o co w tym wszystkim chodzi, czy wolisz, żebym zgadywała?

W tym momencie podejmuję decyzję, by jej zaufać. Matka zawsze mówiła mi, że moją największą wadą jest to, że wszystko chcę robić sama, a największą zaletą obsesyjna wręcz determinacja. W związku z tym uwielbiała opowiadać jedną historię z mojego dzieciństwa. Pewnego razu, gdy miałam czternaście miesięcy, prawie przez godzinę mocowałam się, usiłując włożyć skarpetkę, i nie pozwoliłam jej, by mi pomogła. Miała też dowód na to: piętnastominutowy czarno-biały film, na którym dziecko zupełnie do mnie niepodobne siłuje się z białą koronkową skarpetką i pulchną stópką. W końcu, naturalnie, nie włożyłam skarpetki.

– Przyjdź do mnie dziś wieczorem po pracy – mówię.

Nuci kilka dźwięków z motywu przewodniego serialu *Strefa mroku* i mówi:

– Będę. Mam przyjść w przebraniu? Może w czarnej pelerynie i masce?

Po północy pojawia się przesiąknięta zapachem trawki.

– Chcesz trochę? – pyta, wyciągając jointa z kieszeni.

– Dzięki, ale odmówię.

– Jak tam chcesz. – Siada na nieużywanym łóżku. – No i co to za wielki sekret?

– Zgubiłam moją małą dziewczynkę.

– Co?

– Tak naprawdę to córkę mojego narzeczonego, Emmę. Na plaży w San Francisco. Jestem tutaj, ponieważ myślę, że została porwana, i wierzę, że ludzie, którzy to zrobili, mogą być tutaj, w Kostaryce – wyjaśniam. Nie mówię jej o tym, jak długo to wszystko trwa, ani o tym, że to mój ostatni trop. Może teraz po prostu najbardziej potrzebuję, by ktoś uwierzył w mój plan.

– To nie jest śmieszne – mówi Sami. – Przestań ze mnie żartować.

– To prawda – odpowiadam i rozkładam przed nią portrety pamięciowe.

– Cholera, jednak nie żartujesz, prawda?

– Widziałaś ich?

– Nie wyglądają znajomo.

– Jesteś pewna? Facet na klatce piersiowej ma wytatuowaną falę. Jest średniego wzrostu, muskularny i ma leniwe oko. Ona jest chudą tlenioną blondynką z nieco szalonym spojrzeniem.

– A co ma z tym wspólnego killer longboard?

– Ta para była na Ocean Beach w dniu, w którym zniknęła Emma. Facet miał ze sobą deskę Rossbottoma.

Sami szeroko otwiera oczy.

– Nie wierzę – mówi. – Porwanie. To jakieś filmowe gównno – dodaje i milczy przez chwilę. – Surferzy to zamknięta grupa. Najlepiej wszystko obserwuj i nie odzywaj się przez jakiś czas. Pomogę ci. Popytam tu i tam o deskę.

– Dzięki. I jeszcze jedna rzecz. Nie mam pojęcia, gdzie powinnam szukać. Setki razy wpatrywałam się w mapę Kostaryki i jestem zagubiona.

– Powinnaś spotkać się z Dwigthem. Jest barmanem w Pink Pelican. Nie zawsze można go tam spotkać, ale mieszka tu już od dwudziestu lat. Zna cały kraj na pamięć. Poznam cię z nim.

– Jestem twoją dłużniczką.

– Hej – mówi Sami – umieram z głodu. Masz coś do jedzenia?

– Banany, oreo, masło orzechowe, chleb i chipsy.

– Jesteś prawdziwą składnicą zdrowej żywności – mówi. – Skuszę się na kanapkę z masłem orzechowym i bananem.

Idę do małego stolika ustawionego pod oknem, który przerobiłam na kuchenkę z dzbankiem na kawę, palnikiem Bunsena, papierowymi talerzami i sztuczkami. Robię dwie kanapki, rozsmarowując masło chipsem.

Sami zdejmuje górną część, układa na bananach kilka chipsów i ponownie kładzie chleb.

– Hej, byłaś kiedyś w Graceland?

– Nie.

– Ja byłam kilka lat temu. Śmieszne jest to, że Rezydencja Graceland to wcale nie jest rezydencja. To zupełnie normalny dom, tyle że większy i z brzydszymi meblami. Po drugiej stronie ulicy jest restauracja, w której możesz dostać smażone kanapki z masłem orzechowym i bananem. Są tak cholernie dobre, że zjadłam dwie, a trzecią wzięłam na wynos. Warto byłoby wrócić do Graceland tylko po to, żeby znów zjeść taką kanapkę.

Masło orzechowe smakuje wyśmienicie, nawet podniebienie doskonale się czuje, a ja zdaję sobie sprawę z tego, że od tygodnia jadam regularnie. Wkładam palec za pasek szortów – mimo że wciąż jestem zbyt chuda, to jednak moja sylwetka coraz bardziej dopasowuje się do nich. Każdy wciąż mi powtarzał, że muszę zająć się własnym życiem, a ja myślałam, że nie mają

racji. Uważałam, że nie ruszę z niczym, dopóki nie znajdę Emmy. Moje ciało jednak postanowiło podjąć samodzielną decyzję.

Myślę o Emmie, gdziekolwiek teraz jest, i zastanawiam się, czy jest zdrowa. Czy rośnie, czy przybiera na wadze? Czy jej twarz się zmienia? W niewielkim bagażu przywiozłam też mały album z kilkudziesięcioma zdjęciami Emmy. Na niektórych jest z Jakiem, na niektórych sama, a na jednym stoimy we dwie w San Francisco przed budynkiem muzeum Legion of Honor, a w tle znajduje się fontanna. Pierwsze zdjęcie w albumie zostało zrobione w Crissy Field Park kilka tygodni po naszym pierwszym spotkaniu, a ostatnie dzień przed jej zniknięciem. Nawet w tym krótkim czasie, w ciągu jednego roku, przeszła delikatną metamorfozę – jej twarz zrobiła się szczuplejsza, wdowi szpic stał się bardziej wyrazisty. Osoba dorosła może wyglądać bardzo podobnie nawet przez dziesięć lat, ale w dzieciństwie zmiany pojawiają się tak szybko, że fotografie zrobione w ciągu kilku miesięcy mogą się zadziwiająco różnić od siebie.

W albumie zmieści się jeszcze pięć fotografii. Nie pamiętam już, czy zostawienie tych wolnych miejsc było świadomym działaniem, czy też nie. Tłumaczę sobie, że będzie jeszcze wiele zdjęć, by wypełnić album, że opowieść, która zaczęła się wraz z pierwszym zdjęciem z Crissy Field, nie dobiegła jeszcze końca. Powtarzam sobie, że jest przyszłość, która nie będzie straszna, nie do zniesienia. Na pewno będzie więcej zdjęć układających się w kompletną i szczęśliwą historię. Mimo wszystko śnię na jawie, że będzie dokładnie tak: Emma, Jake i ja razem wiemy nasze życie.

ROZDZIAŁ 64

Następnego dnia zgodnie z obietnicą Sami przedstawia mnie Dwightowi, który ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu, ale waży nie więcej niż siedemdziesiąt kilogramów. Łysieje na czubku głowy, jest opalony, a jego wiek jest niemożliwy do odgadnięcia. Gdy o dziesiątej rano przychodzimy do Pink Pelican, w środku jest tylko Dwight. Wykonuje za barem jakieś nietypowe ruchy, podnosząc i opuszczając ramiona niczym ptak. Przypomina mi kogoś, ale nie potrafię dopasować tego do konkretnej osoby.

– Witam panie.

– Moja nowa przyjaciółka Abby potrzebuje twojej pomocy – mówi Sami.

Przestaje machać rękami i wychyla się za bar, podając mi dłoń na powitanie.

– Witaj, nowa przyjaciółko Abigail. Jak mogę ci pomóc? – mówi.

W tym momencie dociera do mnie, kogo mi przypomina: Sama Bungo. To skrzyżowanie łysiny oznaczającej dojrzałość i wylewnej młodości, a także sposobu, w jaki wymawia moje pełne imię. Sam Bungo tak właśnie robił, odmawiał mówienia do mnie zdrobniale, gdyż jego zdaniem „Abigail” brzmiało bardziej brytyjsko, a on Brytyjczyków darzył szczególnym sentymentem.

– Miałam nadzieję, że powiesz mi, gdzie są najlepsze miejsca do surfowania na długich deskach.

Sięga po ścierkę, by wypolerować nieskazitelny już bar, i posyła mi

pytające spojrzenie.

– Surfujesz?

– Nie. Prowadzę badania.

– Lonely Planet – wtrąca się Sami, wskazując na mój aparat. – Jest fotografem.

– No dobrze. Narysuję ci mapę. Ale obiecaj, że umieścisz mnie w przewodniku.

– Umowa stoi.

– Ale nie tylko moje nazwisko. Chcę mieć tam zdjęcie.

– Nie ma sprawy.

Dwight wyciąga ołówek zza ucha i rysuje na odwrocie menu. Zaczyna od wybrzeża karaibskiego.

– Na północ od Limón jest Playa Bonita, a na południu Cahuita, to piękne plaże. Najlepsza rzecz po tamtej stronie to salsa brava, najpotężniejsza fala w Kostaryce. Wiesz, co znaczy „salsa brava”?

Przecząco kręcę głową.

– „Rozgniewany sos”, w wolnym tłumaczeniu. Pieprzona poezja, człowieku. Żeby się przekonać, o czym mówię, trzeba tam posurfować. Jest tak potężna, że na każdej rafie koralowej świata zrobiłaby porządną tubę. Lubisz poezję? Wyglądasz mi na kobietę, która potrafi docenić dobrą metaforę.

– Pewnie, że lubię poezję.

– Tak też myślałem – mówi i nachyla się bliżej. – Naprawdę dobrze czułbym się w towarzystwie laski, która rozumie poezję. Ile masz lat?

– Spokojnie – mówi Sami. – Ona jest mężatką.

– Nie gadaj głupot – odpowiada, patrząc na moją lewą rękę. – Jeśli jesteś aż tak zameżna, to gdzie jest twoja obrączka?

– Zostawiłam w domu. Palce mi nabrzmiewają na słońcu.

– Jasne – kwituje Dwight. Trudno powiedzieć, czy mi wierzy, ale wraca do mapy i ponownie zaczyna coś rysować. – Prawda jednak jest taka, że teraz nie znajdziesz tam zbyt wielu surferów. Na karaibskie wybrzeże najlepiej wybrać się między lutym i kwietniem. Latem każdy, kto choć trochę wie, o co w tym biega, jest na zachodnim wybrzeżu.

Wciąż rysuje i mówi, zaznaczając najważniejsze miejsca zielonymi punktami.

– Na samej górze jest Ollie's Point, nazwany tak na cześć Olivera Northa. Kiedyś było tam tajne lotnisko. Przerzucali przez nie broń i inne gówna dla Contras, ale nie można do niego dojechać drogą, trzeba iść piechotą. Całkiem na południu po stronie Pacyfiku, w kierunku Panamy, masz Matapalo, potworny fragment wybrzeża z falami wielkości domów. Tu jest Playa Pavones z najdoskonalszymi falami na świecie. Idąc dalej wzdłuż wybrzeża, masz Dominical. Oaza spokoju. Wspaniała plaża przez okrągły rok. Potem jest Playa Espadilla przy wejściu do Parku Narodowego Manuela Antonio, atrakcja turystyczna, gdzie oczywiście możesz zabrać wędkę, ale kiedy do zatoki wpływają wielkie martwe fale, jest niesamowicie. Na północnym końcu plaży też można całkiem nieźle poszaleć.

Przystawia długopis do mapy i zaznacza Quepos, Roca Loca, Puerto Caldera.

– A ty i ja, pani Abigail, jesteśmy tutaj. – Mruga do mnie tak, jakbyśmy dzielili ze sobą jakiś sekret, i rysuje wielkie serce, w którego centrum znajduje się Hermosa, pomiędzy Quepos i Puntarenas. – A tutaj jest Boca Barranca. Miejsce nie dla przypadkowiczów.

– Nie dla kogo?

– Wiesz, weekendowych surferów, którzy nie traktują tego sportu poważnie. Boca Barranca to ujście rzeki oddalone o sto kilometrów na

północny zachód od San José. Jest bardzo popularne wśród posiadaczy długich desek, ponieważ dno nie ma tam załamania i w dobry dzień można załapać się nawet na niemal kilometrowy ślizg. Tam także odbywa się jeden z najstarszych konkursów na długich deskach: Toes on the Nose.

– Kiedy?

– Na początku czerwca. Każdy szanujący się właściciel długiej deski na pewno tam będzie.

– Dzięki – mówię. – Naprawdę mi pomogłeś.

– Hej, to jeszcze nie wszystko. Nie możesz ominąć Tamarindo, to na północy wybrzeża pacyficznego. Sporo surferów, ale jest tam bardziej ekskluzywnie niż w pozostałych miejscach: salony odnowy biologicznej, cukiernie, muzea i tak dalej. Nawet księgarnia – mówi i zapisuje na kartce jakiś numer. – Gdybyś potrzebowała przewodnika po Hermosa, to wiesz, do kogo się zgłosić – dodaje, wręczając mi mapę.

– Będę o tym pamiętać.

– Daj mi znać, kiedy się rozwiedziesz, kochanie.

– Jasne – mówię, podnosząc się z miejsca.

– Czekaj. Nie zrobisz mi zdjęcia?

– Oczywiście, że zrobię. Stój tam i wyglądaj naturalnie.

Dwight bierze do ręki shaker i odsłania zęby w szerokim uśmiechu.

– Wspaniale – mówię. Trzykrotnie naciskam przycisk, żeby sprawić wrażenie autentyczności.

ROZDZIAŁ 65

Dzień dwieście trzydziesty siódmy. Zatrzymuję się w kafejce internetowej niedaleko swojego domku i przez kilka minut odpowiadam na maile. Ostatnia wiadomość od Nell mówi, że wszystkie rachunki opłacone, w okolicy spokojnie, pyta też, kiedy wracam do domu. Nick znów jest w Helsinkach. „W sklepie z zegarkami widziałem dziewczynę, która przypominała mi ciebie – pisze. – Zostawiłem Wigginsowi wiadomość, w której opowiedziałem mu o tobie”. W drugim mailu, wysłanym kilka minut później, napisał: „Czy nie potraktujesz mnie jak wariata, jeśli przyznam, że tęsknię za tobą?”.

Są też dwa maile od Annabel: „Zaokrąglam się – pisze w pierwszej wiadomości wysłanej trzy dni temu. – Zobacz na zdjęciu”. Na fotografii stoi bokiem, a jej brzuszek zaczyna nabierać kształtów. Kasztanowe włosy ma przycięte krócej niż zazwyczaj, a twarz pełniejszą. Jest jedną z tych kobiet, które w ciąży wyglądają wspaniale i promiennie.

Drugi mail od Annabel zawiera tylko dwa słowa: „Poszczyściło się?”.

„Za wcześnie, by cokolwiek stwierdzić” – odpowiadam.

Żadnej wiadomości od Jake’a, mimo że odkąd przyjechałam, wysłałam mu już trzy maile.

Następnego poranka wyciągam z bankomatu trzydzieści tysięcy colonów i o dziesiątej łapię autobus wyruszający w trzygodzinną podróż do Boca Barranca. Amerykański surfer – zwróciłam na niego uwagę już w Hermosa –

wsiada do tego samego autobusu. Doug jest studentem wydziału historii amerykańskiej i akurat ma przerwę w zajęciach na Uniwersytecie Missisipi. W ten weekend chce spotkać się z przyjaciółmi w Jaco. Podróżuje bez bagażu, z wyjątkiem małego podręcznego worka.

– Gdzie masz deskę? – pytam.

– Nie można przewozić ich w autobusach, dlatego w każdym mieście po prostu wypożyczam. A co ciebie tu sprowadza?

– Piszę przewodnik. No i szukam killer longboarda.

– Rossbottoma? – pyta zdziwiony. – Po co?

– Prezent dla brata. Cena nie gra roli. Widziałeś tu jakąś?

– Chciałbym.

– Gdybyś zobaczył, dasz mi znać mailem? – Wręczam mu odręcznie napisaną kartkę, na której znajduje się mój adres mailowy i wiadomość: „Szukam killer longboarda. Dobrze zapłacę”.

W Jaco Doug żegna się ze mną i życzy powodzenia. W autobusie zostaję z rodziną kostarykańskich turystów, grupą mówiących po niemiecku surferów i chłopcem z papierową torbą wypchaną gumami do żucia, który wygląda na zbyt młodego, by podróżować samotnie.

Po półgodzinie jazdy na północ od Jaco przejeżdżamy przez most nad szeroką brunatną rzeką. Po drugiej stronie kierowca zatrzymuje autobus.

– Zdjęcia – mówi, otwierając drzwi. – Bardzo dobre zdjęcia!

Wysiadam z autobusu. Dzieciak z papierową torbą śpi mimo zgiełku. Stojąc na moście, spoglądam dwadzieścia metrów w dół na brudną wodę. Sześć olbrzymich aligatorów powoli płynie pod prąd, a kolejne cztery leżą na brzegu i wygrzewają się na słońcu.

Rodzina turystów robi kilka zdjęć, ja również. Zdaję sobie sprawę, że są to pierwsze zdjęcia od momentu zniknięcia Emmy, które nie mają nic wspólnego z poszukiwaniami lub moją pracą. Robię je, ponieważ widok

roztaczający się przede mną jest bardzo interesujący, a naciskając spust, zastanawiam się, jak będą wyglądały, gdy je wywołam. Myślę o tym, że szarozielone aligatory zleją się z brunatną wodą, myślę o tym, jak ich nierówne ciała przecinają wodę i powodują fale. Myślę o słońcu, które świeci zbyt mocno – zdjęcie byłoby lepsze o poranku, gdy delikatne światło pada na rzekę.

Kilka godzin później zbliżamy się do Puntarenas. Wszędzie widzę lepianki wtulone w przydrożne stragany z żywnością. Mulista rzeka wlewa się do oceanu. Zatrzymujemy się przy rozlatującym się otynkowanym motelu, który sprawia wrażenie, jakby nie był używany od lat. Cena jest niska, dziewiętnaście dolarów za noc.

– Jest odpływ – informuje facet w recepcji, Kostarykanin mówiący prawie perfekcyjnie po angielsku. – To najlepszy moment, by zobaczyć plażę. Na pani miejscu poszedłbym tam teraz.

Pokój jest tak brudny i ciemny, że nawet dziesięć dolarów za noc można by potraktować jak zdzierstwo. Przebieram się w czyste spodenki i koszulkę, a później idę zakurzoną ścieżką na plażę, zatrzymując się po drodze w barze, by kupić *refresco*. Napój jest lodowato zimny, a jego szokująca słodycz równoważona cierpkością owocu tamaryndowca.

Palec lądu wyciągnięty w mrocznej wodzie. Półwysep z jednej strony obmywany jest ujściem rzeki, a z drugiej brunatną krzywizną zatoki. Ziemię pokrywają ostre i śliskie skorupiaki, a w powietrzu unosi się nieprzyjemny odór. Plaża jest pusta, nie licząc samotnego dzieciaka, osiemnasto-, może dziewiętnastoletniego, który siedzi na desce i wpatruje się w wodę. Czterech lub pięciu facetów surfuje.

Podchodzę do dzieciaka.

– Jestem Abby – mówię, unosząc aparat fotograficzny. – Z Lonely Planet. Odgarnia dłonią kosmyk tlenionych włosów opadający mu na oczy.

- Jason. Z Jason i Spółka. – Śmieje się z własnego żartu.
 - Mogę się przysiąc?
 - Jak chcesz.
 - Co możesz mi powiedzieć o tym miejscu?
 - Jedne z najdłuższych fal na świecie. – Uśmiecha się. – O ile oczywiście dla dobrej jazdy jesteś w stanie zaryzykować własne zdrowie.
 - A to dlaczego?
 - Widzisz, jak brudna jest woda? To ścieki. Słyszałem plotki o surferach, którzy zarazili się tu wirusowym zapaleniem wątroby albo zapaleniem opon mózgowych. Jeden z moich znajomych widział tu zdechłego konia dryfującego wzdłuż brzegu. No i trzeba też uważać na krokodyle.
 - Poważnie?
 - To udokumentowane. Są tu te pieprzone słonowodne krokodyle, które wpływają do ujścia rzeki i żrą padlinę. Niezbyt przyjemny widok.
 - Widziałeś coś takiego?
 - Nie, ale widziałem zdjęcia.
- Jason wyciąga paczkę papierosów i częstuje mnie jednym.
- Nie, dziękuję – mówię. – Raczej nie palę.
 - Ja też nie – odpowiada. Wyciąga plastikową zapalniczkę, osłania dłonią końcówkę papierosa i zapala. – Wodoodporna zapalniczka – mówi. – Najlepszy wynalazek w historii.
 - Byłeś kiedyś na Toes on the Nose?
- Mruży oczy w słońcu.
- Nie startuję, ale co roku przyjeżdżam z Miami, by popatrzeć.
 - Byłeś tam w tym roku?
- Kiwa głową.
- Widziałem ostatnie cztery konkursy.

– Spotkałeś może kogoś z killer longboardem w zeszłym roku?

Patrzy na mnie z dużym zainteresowaniem.

– Pewnie, że tak. Cudowna deska. Widziałem jedną kilka lat temu na Maui. Co ja bym dał za taką.

– Pamiętasz faceta, który był jej właścicielem?

– Było dwóch takich. Jeden był Australijczykiem, a drugi to jakiś Amerykanin.

– Jak wyglądali?

Jason wzrusza ramionami.

– Jak surferzy.

– Ten Amerykanin był sam?

– Zadajesz dużo pytań.

– Próbuję kupić killer longboarda. – Wręczam mu wizytówkę, ale nie chce jej wziąć.

Plażą w naszym kierunku zbliża się facet w dużym kapeluszu w cętki jaguara. Jason podnosi rękę i macha do niego.

– Hej, alfonsie! Ale cię sprzątnęło!

– Za ciasno – mówi facet. – Conan i Slime Dog byli w strefie pływu. Myślałem, że przecisnę się między nimi. Złapałem falę i śmignąłem, a potem ta gruba baba mnie nakryła.

– Się nie martw – mówi Jason. – Poznaj moją znajomą z Lonely Planet.

Przyjaciel uchyla kapelusza i robi lekki ukłon.

– Na razie – mówi Jason.

Wstaje i strzepuje piasek z tyłka. To zadziwiająco płaski tyłek, bez żadnego kształtu. Zabiera deskę i wraz z przyjacielem biegnie w kierunku oceanu. Chwilę później są już w wodzie i wiosłują rękami.

W Barranca spędzam półtora tygodnia, rozmawiam z każdym, kto ma

ochotę mnie słuchać. Pewien człowiek, pracownik hotelu, pamięta, że widział kilka desek typu killer longboard podczas ostatniego konkursu Toes of the Nose, ale podobnie jak Jason, nie jest w stanie powiedzieć nic sensownego na temat ich właścicieli.

– Od tamtej chwili nie pojawili się tutaj – mówi. – Powinnaś wrócić tu w czerwcu, gdy będzie kolejny konkurs. Przez większość roku jest tu całkiem spokojnie, ale gdy przychodzi konkurs, to szpilki nie da się wcisnąć.

Dziękuję mu za informacje i rezerwuję pokój na czas konkursu.

– Gdybyś do tego czasu widział kogoś z deską Rossbottoma, daj mi znać – mówię i wręczam mu wizytówkę.

– Będę miał z tego jakąś prowizję?

– Oczywiście.

– Super – mówi i wraca do oglądania telewizji: *The Love Squad* zdubbingowany po hiszpańsku.

Ze słów, które potrafię zrozumieć, wnioskuję, że dwóch braci walczy o tę samą kobietę.

– Oglądałaś to kiedyś? – pyta, gdy już wychodzę. – To cholernie dobry film.

Staram się zwalczyć przygnębienie spowodowane faktem, że konkurs jest dopiero za trzy miesiące. W ciągu trzech miesięcy dziecko może być głodne lub cierpieć z powodu innych przerażających rzeczy. W ciągu trzech miesięcy dziecko może umrzeć. W ciągu trzech miesięcy może zdarzyć się wszystko.

ROZDZIAŁ 66

Łapię popołudniowy autobus i wracam do Hermosa. Obserwuję mijane wzgórza – plantacje kawy, domy z żużlowych bloczków, pojedyncze konie, rozrzucone chatki – i dopada mnie gryzące poczucie porażki. W Hermosa rzucam rzeczy i idę do baru Sami.

– Nie poszczyściło się, co? – pyta.

– Skąd wiesz?

– Raczej nie masz twarzy pokerzysty. Co teraz zamierzasz?

– Spędzę tu kilka dni, a potem pojedę do jednego z tych miast, które wskazał mi Dwight. Jeśli nie przyniesie to efektu, w czerwcu wrócę do Boca Barranca na konkurs.

– Znajdziesz ją – mówi Sami, ale w jej głosie nie można wyczuć przekonania.

Nie jest w stanie spojrzeć mi w oczy, gdy to mówi, nie może w żaden sposób podeprzeć tych twierdzeń. Wiem, że jest osobą, która mówi ci dokładnie to, co akurat chcesz usłyszeć. Potrafię sobie wyobrazić, że rozmawia ze swoim chłopakiem przebywającym w Teksasie i rok po roku zapewnia go, że lada chwila wróci do Stanów. Wyobrażam sobie, że mówi mu, jak bardzo go kocha, jak bardzo tęskni i jak tu jest nudno bez niego.

Płacę z góry za kolejny miesiąc pobytu w Hermosa i organizuję sobie jednodniowe lub weekendowe wycieczki wzdłuż wybrzeża pacyficznego z jego wspaniałymi, długimi plażami, sporadycznie pojawiającymi się

hotelami o wysokim standardzie, ukrytymi zatoczkami i uśpionymi surferskimi miasteczkami, gajami palmowymi i polami ryżowymi. Zadaję pytania, wręczam swoje wizytówki każdemu, kto ma ochotę je przyjąć. Czasami pytam o deskę, czasami wypytyuję o faceta z Ocean Beach.

– Średniego wzrostu – mówię. – Na klatce piersiowej ma wytatuowaną falę. Jeździ żółtą furgonetką. Być może z blondynką starszą od niego o kilka lat.

Moja historia zmienia się w zależności od tego, z kim rozmawiam. Czasami poszukiwany facet jest moim bratem, który dawno temu zerwał stosunki z rodziną. Czasami jest moim byłym chłopakiem, z którym zerwałam, któremu zламаłam serce, a później zdałam sobie sprawę, że nie potrafię bez niego żyć. Historia staje się coraz dziwniejsza, w zależności od tego, ile wypiałam lub jak krótko spałam. Jest też opowieść o tym, że moja matka potrzebuje przeszczepu nerki, a on jest jedynym możliwym dawcą. Opowiadam, że jestem mu winna pieniądze, a właśnie otrzymałam spadek i chcę wreszcie uregulować swoje zobowiązania. Mówię, że odnalazłam Boga i teraz przepraszam wszystkich, których kiedykolwiek skrzywdziłam, a on jest na piątym miejscu mojej listy. Są również historie o desce: mój ciężko chory, umierający brat chciałby mieć taką. Pracuję dla dużej wytwórni filmowej w Los Angeles i przygotowujemy się do nowego cyklu filmów dokumentalnych w stylu *Bezkresnego lata*.

Staję się biegła w kłamstwie. Mogę każdemu spojrzeć prosto w oczy i opowiedzieć dowolną historię. Na razie jednak moje kłamstwa do niczego mnie nie doprowadziły. Czasami ktoś powie, że widział deskę Rossbottoma, ale szczegóły nigdy nie pasują do pary, której szukam. Zawsze było to dawno temu albo w jakimś innym kraju lub też deskę widział przyjaciel przyjaciela. Wśród tych wszystkich plotek nie znajduję ani jednego sensownego tropu i wciąż muszę wyrzucać z głowy myśl o tym, że wyprawa była głupim

pomysłem i jest jedynie zmianą kierunku prowadzącą donikąd. Nie mogę pozwolić sobie, by w to uwierzyć. Nie mogę wrócić do domu bez Emmy. Wszystko zależy od tego, czy ją tutaj znajdę.

Pewnego razu, nieopodal Puerto Coyote, gdy na pustym szlaku zatrzymałam się za potrzebą, usłyszałam dziwny hałas w pobliskich drzewach. Ujrzałam parę tukanów ze śmiesznymi żółtymi dziobami ozdobionymi pomarańczowymi smugami i czerwonymi końcami. Te niezwykle rzadkie ptaki dawniej wprowadziłyby mnie w fotograficzną ekstazę. Teraz nie znacząły zupełnie nic. Po prostu ptaki siedzące na drzewie przy ścieżce wiodącej do lasu.

W Tortuguero wstaję wcześnie, równo z paniem koguta. Koguty są wszędobyłskie w tym kraju. Stanowią swego rodzaju narodowy budzik. Idę wzdłuż skalistej plaży i obserwuję ogromne żółwie morskie, które poruszają się powoli tuż pod powierzchnią wody i przypominają części rozbitych statków. W lesie przy plaży drzewa pełne są węży i wyjców. Ta część kraju charakteryzuje się niespokojną, niebezpieczną urodą. Jest to miejsce, w którym człowiek może bez problemu zniknąć. Dopada mnie tu poczucie daremności mojej misji. I mimo że moje ciało odzyskuje siły, boję się, że umysł będzie funkcjonował coraz gorzej.

Myślę o Jake'u, który został w San Francisco i prowadzi zajęcia, samotnie jada kolacje i drzwi do pokoju Emmy wciąż trzyma zamknięte. Zastanawiam się, czy w ogóle myśli o mnie, czy może walka z tym, by nie myśleć o Emmie, zabiera całą jego energię, każdą cząstkę jego siły. Zastanawiam się, czy rozmyśla o tym, jak to było, gdy mnie kochał, gdy byliśmy u progu małżeństwa. Czy kiedykolwiek przewraca się w łóżku na drugi bok z nadzieją, że mnie tam znajdzie, i zrywa się nagle, gdy odkrywa, że mnie nie ma?

Jedną z rzeczy, które podziwiałam w Jake'u, było jego zdecydowanie:

gdy podejmie jakąkolwiek decyzję, bardzo rzadko się waha. Teraz jednak jego zdecydowanie działa na moją niekorzyść. Wiem jedno: w tej chwili nie ma sposobu, bym mogła przekonać go do tego, by ponownie chciał ze mną być. Przekroczyliśmy tę granicę w momencie mojego wyjazdu z San Francisco.

Nie, mówię sobie. Może jest jedna rzecz, jedna nieprawdopodobna rzecz: mogłabym mu zwrócić Emmę.

Wciąż wracam do tego momentu na plaży. Do momentu paniki, do powoli rodzącego się przerażenia. W jednej chwili Emma tam jest. W następnej już jej nie ma. Pomiedzy tymi dwoma rzeczywistościami – jej obecnością i jej nieobecnością – jest jedna rzecz, martwa foczka leżąca na plaży. Jej spokojne nakrapiane ciało, jej puste otwarte oczy.

Czasami śni mi się, że kładę dłonie na foczce, a ona ożywa. Mijają sekundy, w których nic się nie dzieje, ale później przez jej zimne ciało przechodzi dreszcz. Foka zaczyna oddychać, mruga i patrzy na mnie. W tym śnie odwracam się od mrugającej foki i widzę Emmę, która jest kilka metrów ode mnie, idzie w moją stronę i trzyma wiaderko pieniążkowców. W tym śnie nigdy mnie nie opuszcza. Odwracam się od żywej foki, widzę ją i myślę: cóż to była za straszna noc. We śnie odczuwam tak wielką ulgę, że głośno wyrażam swoją euforię: „Och, to nigdy się nie stało”. Emma stawia wiaderko przede mną i razem zaczynamy przeglądać pieniążkowce.

ROZDZIAŁ 67

Z Tortuguero wracam do Hermosa. Sami nie ma dla mnie żadnych wiadomości. Rozpytywała o deskę, ale nikt nic nie widział.

– Twoja najlepsza szansa to prawdopodobnie Toes on the Nose – mówi. – Tymczasem powinnaś sprawdzić karaibskie wybrzeże.

– Dwight mówi, że o tej porze nie ma tam zbyt wielu surferów.

– Prawda, ale większość turystów jeździ do Limón w trakcie pobytu w Kostaryce. To bardzo popularne miejsce wśród Amerykanów. Nie zaszkodzi, jeśli sprawdzisz.

Następnego dnia znów wyjeżdżam z miasta. Podróż do Limón zajmuje siedem godzin. Autobus, który śmierdzi potem i cebulą, niespodziewanie zatrzymuje się mniej więcej co dziesięć minut. Kierowca bardzo głośno słucha radia, więc pasażerowie muszą do siebie krzyczeć, by porozmawiać. Myślę o Kalifornii i chciałabym tam teraz być. Wyobrażam sobie czyste, jasne ulice i swój samochód, przytulne kafejki, chłodną ciemność i jej znajomy zapach odczynników chemicznych. Podróż autobusem daje mi zbyt dużo czasu na myślenie – o Emmie, o Jake’u, o absurdalności pobytu w tym miejscu. Jak mogę mieć nadzieję na znalezienie dwojga ludzi w całym kraju? A jeśli ta para – tak jak mężczyzna w pomarańczowym chevelle’u, pracownik poczty, Lisbeth – jest kolejnym fałszywym tropem, kolejnym na długiej liście intruzów odwracających moją uwagę od właściwej ścieżki? Gdy jestem sama, bardzo łatwo wątpić w to, co robię, bardzo łatwo uwierzyć w to, że

Jake ma rację, że moje niekończące się poszukiwania są beznadziejne.

W autobusie czytam *Kinomana*. Rozumiem, dlaczego Nick tak uwielbia tę książkę o przygnębionym człowieku, który wciąż szuka i szuka, ale tak naprawdę nigdy nie znajduje tego, czego szuka. Chodzi na filmy. Umawia się z sekretarkami, żeni się z kuzynką. Bardzo długo rozprawia o tym, co nazywa „złym samopoczuciem”, a ja dokładnie wiem, o czym on mówi.

W Limón na tydzień wynajmuję tani, brudny pokój w centrum miasta i wędruję po pachnących piżmem barach. Ludzie mówią tu po angielsku z bardzo specyficznym akcentem, tak że prawie nic nie rozumiem. Rytm języka jest wyznaczany przez muzykę rozbrzmiewającą na ulicach miasta wypełnionego pięknymi mężczyznami z Jamajki, którzy podrywają młode Amerykanki. Zaczynam pokazywać portrety pamięciowe poszukiwanej przeze mnie pary i pytam, czy ktokolwiek ich widział. Limón jest zupełnie inne od surferskich miejscowości na wybrzeżu pacyficznym. Społeczność nie jest zamknięta, zabudowa bardziej przypomina miejską dżunglę. Ludzie spoglądają na portrety i wzruszają ramionami, czasami patrzą na mnie tak, jakbym postradała zmysły.

Kilkadziesiąt razy dziennie oferują mi trawkę, kokainę, heroinę. Na ulicy ignoruję gwizdy i jęki, unikam miejscowych facetów oferujących mi seks pod palmą za dwadzieścia dolarów. Kiedyś byłabym przerażona tym miejscem, nie przyjechałabym tu odstraszona ostrzeżeniami zawartymi w przewodnikach, teraz jednak niewiele mam do stracenia.

Pewnej nocy, gdy czekam na taksówkę do motelu, zbliża się do mnie dziwny mężczyzna. Rozgląda się, sprawdzając, czy jesteśmy sami, a potem przystawia mi nóż do szyi i zmusza, bym weszła w alejkę.

– Nie krzycz – mówi, przyciskając ostrze do mojej skóry.

Szepcze mi do ucha obrzydliwe rzeczy i lubieżnie sięga do moich bioder. W jego oddechu wyczuwam tequilę, a koszula przesiąknięta jest potem. Serce

wali mi jak oszalałe. Ostrze przy mojej szyi jest ciepłe, a nie zimne, tak jak sobie to zawsze wyobrażałam. Nożem obcina ramiączko sukienki, raniąc skórę. Jest tak pijany, że nie może rozpiąć spodni. Zdaję sobie sprawę, że chce mnie zgwałcić, i jestem zaskoczona, że nie odczuwam paniki. Część mnie chce walczyć i uciec, a część po prostu się poddać. Ta część mnie myśli, że przecież musiało do tego dojść.

Nagle czuję na twarzy coś ciepłego i mokrego. Zdaję sobie sprawę, że facet zaczął mnie całować. Jego oddech cuchnie, a gruby język wciska się między moje wargi. Myślę, że jeśli zginę, to nikt już nie znajdzie Emmy. Jeśli zginę, nigdy nie zobaczę dziecka Annabel.

– Aids – mówię z nadzieją, że w jego języku to słowo znaczy to samo. A potem powtarzam głośniej, odpychając go. – *Yo tengo aids!*

Odrzuca głowę i śmieje się, przesuwając ostrze po mojej szyi, piersiach, po czym mnie odpycha, chwytając moją torebkę i zataczając się, odchodzi.

– Masz dzisiaj szczęście, gringa – rzuca przez ramię. – Następnym razem nie będzie tyle szczęścia.

Wybiegam na zatłoczoną ulicę. Czuję saszetkę opinającą mi się wokół pasa, której dziwnym trafem pijany bandzior nie zauważył. Mam tam wszystko: pieniądze, paszport. Na szczęście aparat fotograficzny zostawiłam w pokoju. Roztrzęsiona łapię taksówkę i wracam do motelu.

Bardzo długo stoję w ciasnej kabinie prysznicowej i wciąż czuję miejsca, których dotykały jego obleśne paluchy. Bardziej odczuwam złość niż strach. Mimo wszystko jestem dorosła i byłam w stanie uciec. A dziecko? Co może zrobić dziecko?

Zbieram rzeczy i kładę je na pościeli, oczekując na świt. W pokoju obok płacze dziecko, a kobieta stara się je uspokoić łagodnym głosem. Mężczyzna wrzeszczy. Po reprimendzie następuje klaps. Matka płacze. Kolejny klaps. Cisza.

Wyobrażam sobie, że ktoś bije Emmę. Wyobrażam sobie jeszcze gorsze rzeczy.

Siedzę na skraju łóżka, a moje serce bije bardzo mocno. Scena ataku nieustannie przewija się przez moje myśli. Mam ochotę wrócić do domu. Złapać najbliższy lot do San Francisco, wrócić jutro do znajomego miasta i znajomej mgły. Mogłabym wrócić taksówką do swojego mieszkania, przez długi czas siedzieć w wannie i zmywać z siebie trudy podróży. Mogłabym zasnąć we własnym łóżku, obudzić się, słysząc znajome odgłosy ruchu ulicznego. Mogłabym przejrzeć swoją uporządkowaną szafę i znaleźć w niej czystą koszulę, czyste majtki, ubrać się przy ulubionej płycie – na przykład przy *14 Greatest Hits* Ala Greena. Później mogłabym zapukać do drzwi Nell i wypić z nią filiżankę dobrej, mocnej kawy.

Wciąż muszę sobie przypominać, że jest powód, dla którego jestem w tym kraju. Powód, dla którego nie mogę wrócić do domu.

W końcu pieje kogut, a ciemność zaczyna się rozjaśniać. Z ulicy dochodzi zapach smażonego boczku. Zostawiam klucze w recepcji, zamawiam taksówkę i wsiadam do pierwszego autobusu jadącego do San José. Późnym popołudniem, po długiej podróży kolejnym autobusem jadącym po brudnych, nierównych drogach, docieram do Playa Hermosa. Sami właśnie kończy pracę. Otwieramy kilka zimnych piw, siadamy na plaży i obserwujemy ostatnich surferów wychodzących z wody. Ich smukłe ciała ociekają wodą i błyszczą w promieniach zachodzącego słońca. Każdy przywiązany jest do swojej deski za pomocą smyczy owiniętej wokół kostki niczym jakaś morska pępowina. Nawet w grupie takiej jak ta każdy surfer sprawia wrażenie całkowicie samotnego, a deska trzymana pod pachą wygląda jak przedłużenie jego ciała. Nie potrafię nic poradzić na to, że zazdroścę im spokoju, jaki potrafią znaleźć w swej samotności.

– Co ja tu, do diabła, robię? – mówię. – To nie jest normalne. Przecież to

nie może trwać wiecznie.

– Dokładnie to samo powtarzałam sobie siedem lat temu, gdy się tu przeprowadzałam.

– Myślisz, że się oszukuję?

Sami wyciąga na piasku brązowe nogi.

– Nie wiem.

Prawda jest taka, że ja też nie wiem. Mimo to patrzę na każdą deskę, przyglądam się każdej twarzy. Zawsze, na jednym i na drugim wybrzeżu, na wzgórzach i w dolinach, w dżungli i w mglistym lesie, nocą i dniem, przechowuję w myślach zestaw obrazów, warstwowo ułożone mentalne zdjęcia, które kierują moimi poszukiwaniami: żółta furgonetka, długa deska ze złotą żabą na środku, przystojny mężczyzna z falą wytatuowaną wokół lewego sutka, szybko starzejąca się blondynka ze zniszczoną twarzą palacza. W torbie noszę ze sobą policyjne portrety pamięciowe. W nocy studiuje je dokładnie, zapamiętując każdy szczegół.

I Emma. Zawsze Emma. W głowie układam różne obrazy jej twarzy, którą znam na pamięć. Jak rysownik tworzący progresywne portrety, którego zajęciem jest dodawanie lat twarzy zaginionego dziecka. Dokładam elementy, które mogą różnić się od fotografii: opalenizna, fryzura na chłopca, długie warkocze, czapka z daszkiem. Dodaję i odejmuję kilogramy, wyobrażam sobie, że miesiące zmartwień i strachu mogły wpłynąć na rysy jej twarzy. Dodaję blizny – cienka biała kreska na policzku, rana cięta na ramieniu, okropnie podrapany policzek.

Wciąż i wciąż wracam do tych samych miejscowości, zadaję te same pytania, widzę te same twarze. Szukam jej wszędzie. Codziennie budzę się z kruchą nadzieją, że może ją znaleźć. To nadzieja napędza mnie każdego dnia, wyciąga mnie z łóżka i wystawia na światło słoneczne. Z myślą o tej możliwości jem, śpię i myję się.

Każdy dzień jest swego rodzaju mikrokosmosem, odwzorowaniem poszukiwania w miniaturce. Każdy dzień zaczyna się przekonaniem i pewnością: przekonaniem, że podążam właściwą ścieżką, i pewnością, że wkrótce ją odnajdę dzięki kombinacji logiki i wytrwałości. Wraz z upływem dnia moja pewność maleje. O zmroku jestem pełna niepewności, a do łóżka idę, zastanawiając się, czy Kostaryka ma mniej wspólnego z Emmą, a więcej z moją chęcią ucieczki.

Każdej nocy, gdy kładę się pod szorstką pościelą w jakimś nieznanym łóżku, moja nadzieja zmniejsza się o ułamek. Z każdą chwilą jest coraz później. Z każdym dniem jej twarz staje się mniej wyraźna.

W nocy, w ciemności, morze sprowadza się do czerni i bieli. Wszystko, co widzę przez okno, to biel fal, długie linie rozciągające się od ich środka. Biel wyraźnie odcina się od ciemnego morza. Nie ma żadnych kolorów, żadnego światła, oko nie jest w stanie ocenić, co tam jest i czego tam nie ma.

ROZDZIAŁ 68

Dzień dwieście siedemdziesiąty ósmy. Poas Volcano. Na skraju krateru wpatruję się w chmurę. Wewnątrz krateru nie ma nic poza bielą. Głęboką i wszechobecną bielą. Bielą tak intensywną, że czuję się, jakbym dotarła na koniec świata, a może na jego początek. Biel całkiem inna niż mgła w San Francisco – mętna, niezgłębiona.

Powietrze jest gęste i pachnie jajkami. Pod chmurą, jak się dowiaduję, znajduje się małe turkusowe jezioro gorącej wody. W roku 1989 jezioro wewnątrz krateru stopniowo wysychało, a później naukowcy odkryli zbiornik z płynną siarką o średnicy niespełna dwóch metrów. Był to pierwszy taki zbiornik na świecie. Wulkany tego typu są częstym zjawiskiem na Io, rozpalonym księżycu Jowisza.

Nie mogę oprzeć się pokusie, by wychylić się za barierkę i zanurzyć w otchłani. Czuję jakieś podniecenie, coś wewnętrznego, czego nie potrafię określić. Mam poczucie otwierającego się świata, rozszerzającego się czasu. Niebezpiecznie rozbijające.

Pamiętam Jake'a klęczącego przy łóżku, z opuszczoną głową, z ustami poruszającymi się bezgłośnie, palcami splecionymi na różańcu. Czy to jest właśnie to? Czy to właśnie tego doświadcza się w tych długich, milczących momentach modlitwy? Takie poddanie, zapomnienie?

Zapomnienie jednak trwa tylko chwilę. Schodząc w dół ścieżką pokrytą popiołem, pomiędzy bromeliami cztery razy większymi od mojej dłoni,

między drzewami i kolibrami, między trajkoczącymi uczniami i wielkimi, hałaśliwymi rodzinami, znów zaczynam myśleć o poszukiwaniu. O tym, że do niczego nie doprowadziło. Żadnego dziecka, żadnych odpowiedzi. Nic.

W latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku niemiecki filozof i naukowiec Hermann Ebbinghaus jako pierwszy uczony wprowadził eksperymentalne podejście do studiów na temat pamięci. Odrzucony przez środowisko naukowe pracował samotnie, ze sobą w roli głównego obiektu eksperymentów. W efekcie napisał dzieło „O pamięci”. Głównym osiągnięciem jego badań była krzywa zapominania, która pokazywała, jak szybko zanika pamięć: pięćdziesiąt sześć procent przyswojonych wiadomości zostaje zapomnianych w ciągu godziny od ich zakodowania. W ciągu jednego dnia tracimy kolejne dziesięć procent. Po miesiącu nie pamiętamy osiemdziesięciu procent pozyskanych informacji.

Ile czasu zajmie mi zapomnienie tego dnia na Ocean Beach? Ile lat musi upłynąć, by szum fal nie przypominał mi tej strasznej rzeczy, którą zrobiłam? Tak bardzo starałam się, by pamiętać każdy szczegół dotyczący tamtego poranka, a teraz chciałabym wierzyć, że kiedyś nadejdzie dzień, w którym nie będę nękana wspomnieniem oddalającej się ode mnie Emmy, trzymającej w dłoni żółte wiaderko.

ROZDZIAŁ 69

Po dwóch miesiącach pobytu w Kostaryce czułam się już zadomowiona w tym kraju. Czasami San Francisco wydawało mi się odległą przeszłością, częścią jakiegoś innego życia. Odkąd tu przyjechałam, tylko raz rozmawiałam z Jakiem. Dzwoniłam do niego kilkanaście razy, ale zawsze włączała się automatyczna sekretarka. Za każdym razem wyobrażam sobie, że siedzi w kuchni, sprawdza prace, słucha mojego głosu i nie odpowiada. Staram się nie wyobrażać sobie Lisbeth siedzącej obok niego.

Kilka dni temu zadzwoniłam do niego w środku nocy. Musiałam go zaskoczyć, ponieważ odebrał telefon.

– Słucham – powiedział z nutką paniki w głosie.

Zastanawiałam się, czy w półśnie rozmyślał nad wydarzeniami z przeszłości. Być może akurat w tym momencie częściowej świadomości uwierzył, że telefon może dotyczyć Emmy.

– To ja.

– Proszę?

– Abby.

Długa pauza.

– Cześć.

– Przepraszam, że dzwonię w środku nocy. Trudno cię złapać o innej porze.

– Byłem zajęty – powiedział.

Na linii nie było żadnych zakłóceń, tylko jego głos, głęboki i łagodny. Dokładnie taki, jaki zapamiętałam.

– Słyszać cię tak wyraźnie, jakbyś był w sąsiednim pokoju.

– Ciebie też.

– Chciałabym, żebyś tu był – powiedziałam. – To znaczy w sąsiednim pokoju.

– Abby...

– Chciałam tylko, żebyś wiedział, że za tobą tęsknię.

Westchnął.

– Gdzie teraz jesteś?

– W Tamarindo. Ślicznie tu.

– Wszystko w porządku?

– Tak. A u ciebie?

– Jakoś leci.

Podejmując wszystkie próby skontaktowania się z nim, zawsze wiedziałam, co chcę mu powiedzieć. Chciałam powiedzieć, że wciąż go kocham, że wciąż chcę z nim spędzić resztę życia. Chciałam powiedzieć, że już niedługo wrócę do domu. Ale gdy miałam go na linii, w głowie czułam pustkę. Słyszałam, jak wstaje z łóżka, idzie przez pokój, podnosi klapę sedesową. Wyobrażałam sobie łazienkę, krem do golenia i maszynkę leżącą na półce nad umywalką, niebieskie ręczniki przewieszane przez kabinę prysznicową. Słyszałam, jak sika, a intymność tego odgłosu sprawiała, że kompletnie się pogubiłam.

– Musisz ze mną porozmawiać – powiedziałam.

Ale wiedziałam, że nie mam żadnego prawa prosić go o to, ponieważ to, co nas łączyło, zniknęło w tamtym momencie na Ocean Beach, gdy na chwilę odwróciłam wzrok. Wiedziałam, że jego próba odbudowania związku, którą

podjął dzień przed moim wyjazdem do Kostaryki, była oznaką głębszej szlachetności, niż większość mężczyzn byłaby w stanie okazać.

– Przykro mi – odparł. – Muszę się trochę przespać.

Rozłączył się. Zadzwoiłam ponownie, ale nie odebrał.

ROZDZIAŁ 70

Dzień trzysta czwarty. Playa Hermosa. Długa szara plaża otoczona wulkanicznymi skałami i tropikalnym lasem jest dla mnie już tak znajoma jak Ocean Beach. Po drugiej stronie linii telefonicznej odzywa się głos Annabel.

– Kiedy wracasz do domu?

– Wkrótce.

– Czyli kiedy?

Mały krab piaskowy przemyka po wyłożonej kafelkami podłodze budki telefonicznej.

– Mam zwierzątko – mówię. Krab dociera do mojej stopy i zaczyna wspinać się po moim dużym palcu. – Pamiętasz, jak na plaży zbierałyśmy kraby piaskowe? Pamiętasz, jak później zamykałyśmy je w słoikach? Nigdy nie potrafiłyśmy utrzymać ich przy życiu dłużej niż kilka dni, niezależnie od tego, jak dobrze się nimi zajmowałyśmy.

– Martwię się o ciebie – mówi Annabel. – Co z twoją pracą? Co ze wszystkimi tutaj, którzy cię kochają? Twoja nowa siostrzenica przyjdzie na świat za osiem tygodni.

– Wiesz, że nie przegapiłabym tego.

– Nie wiem – odpowiada. – Czuję, jakbym traciła z tobą kontakt. Prawie wcale nie rozmawiamy.

– Dzisiaj wpatrywałam się w kalendarz – mówię.

– Wiem. Trudno uwierzyć, że to już prawie rok.

Rok, w trakcie którego była sama lub martwa, Bóg jeden wie.

– Podjęłam decyzję – mówię. – Już się za to nienawidzę, ale podjęłam ją.
Nie wiem, co dalej robić.

Annabel wydaje krótki okrzyk.

– Kopnęła mnie. Bardzo się tam niecierpliwi. Powinnaś mnie zobaczyć.
Wyglądam jak balon.

– Wracam do domu po Toes on the Nose – mówię.

Prawie mogę usłyszeć, jak Annabel się uśmiecha.

– Dzięki Bogu.

Nawet gdy składam Annabel tę obietnicę, zastanawiam się, co dalej. Poszukiwanie stało się tak istotną częścią mojego życia, że nie potrafię sobie wyobrazić dalszego ciągu bez niego. Praca zajmuje kilka godzin. Jedzenie i sen zabierają kilka kolejnych. Nie potrafię wyobrazić sobie, że mam wolną godzinę i spędzam ją w jakiś beztroski sposób – na zakupach, oglądając film lub umawiając się z przyjaciółmi na drinka. Nie potrafię sobie wyobrazić godziny, w której nie myślę o ocaleniu Emmy, o tym swoim ostatecznym, niemożliwym do osiągnięcia celu. Godziny, w której jestem po prostu zadowolona z życia, godziny wypełnionej różnymi przyziemnymi sprawami.

ROZDZIAŁ 71

Dzień trzysta dwudziesty dziewiąty. Przejeżdżając po raz kolejny przez most z aligatorami na północ od Jaco, czuję mniej nadziei niż strachu. Potem nie mam już dokąd jechać. Jeśli nie znajdę tutaj tego, czego szukam, będę musiała pogodzić się z faktem, że już nigdzie tego nie znajdę.

Przy wjeździe do Boca Barranca zawieszono wielki banner, na którym napisano „Witamy na Toes on the Nose”. To, co mówił kiedyś recepcjonista w hotelu, jest prawdą: tylu tu ludzi, że miejsce jest po prostu nie do poznania. Samochody, tłum, autobusy, rowery. W powietrzu można wyczuć atmosferę karnawału, radia nastawione są na pełną głośność, sklepikarze sprzedają świece, miejscowe dziewczęta zaplatają włosy za trzy dolary amerykańskie.

O trzeciej po południu autobus wysadza mnie i kilkanaście innych osób przy wejściu do hotelu. W kolejce do recepcji stoję ponad godzinę.

– Wróciłaś – mówi recepcjonista i podaje klucz do mojego pokoju. – Nie myślałem, że przyjedziesz. Miałem już zamiar wynająć pokój komuś innemu.

– Nie odezwałeś się ani razu – mówię.

– Cały czas obserwowałem, ale ci dwaj faceci z rossbottomami nie pojawili się tutaj. Mimo wszystko może poszczęści ci się w ten weekend. Mamy rekordową liczbę zgłoszeń.

Odnajduję swój pokój, przebieram się w świeżą koszulkę bez rękawów i sarong, zabieram aparat fotograficzny i kieruję się w stronę plaży. Konkurs

rozpoczyna się dopiero jutro, ale już dziś na plaży trwa wielka impreza. Pod wielkimi namiotami zabawę rozkręca kilku didżejów, z głośników płynie hałaśliwa muzyka. Są tam faceci rozprowadzający losy loterii fantowej, dziewczyny w skąpych różowych bikini rozdające darmowe płyty CD, Kostarykanie smażący kurczaki, które będą sprzedawać surferom, prowizoryczne bary, gdzie można kupić piwo i drinki. Jest też kilka ekip telewizyjnych ze Stanów Zjednoczonych i Kostaryki oraz paru samotnych fotografów.

Wędruję wśród tłumu, w dłoni ściskając aparat fotograficzny. Jak zwykle wypatruję, mam nadzieję i każdym nerwem ciała na odległość staram się wyczuć obecność Emmy. Przeszukuję zgromadzony tłum, gdzieś tam zatrzymując się i pstrykając zdjęcie. Ludzie są przyjacielscy, podpici i skorzy do rozmowy.

– Szukam deski typu killer longboard – mówię do młodej kobiety, która przyjechała tu, by wystartować w konkursie. – Widziałaś tu jakąś?

– Nie, ale ja myślę już o zawodach.

Podchodzi do mnie jakiś fotograf. Ma na sobie hawajską koszulę rozpiętą do pasa i zupełnie niepasujące szorty.

– Louis – mówi i wyciąga do mnie rękę na powitanie.

– Abby.

– Pracuję dla „Surfing Magazine”. – Pokazuje mi laminowany identyfikator. – Nie masz identyfikatora – mówi, wskazując na moją klatkę piersiową. – Pracujesz sama dla siebie?

– Lonely Planet. Robimy międzynarodowy przewodnik dla surferów.

– Nie żartuj. Mam trochę świetnych zdjęć z zawodów Siargo Cup. Myślisz, że byliby zainteresowani?

– Może, spróbuj do nich zadzwonić.

Przez resztę popołudnia i wieczór na przemian siedzę na plaży i spaceruję

wśród tłumu. Słońce zachodzi, surferzy wychodzą z wody, a plażowa impreza trwa nadal. Muzyka staje się coraz głośniejsza, tłum coraz bardziej wrzaskliwy. Bardzo młodzi ludzie są pijani i bezpośredni, oferują mi piwo. Korzystam z ich przyjacielskiej postawy i wypytyuję, czy widzieli mężczyznę z falą wytatuowaną na piersi albo małą dziewczynkę, która reaguje na imię Emma.

Około dwudziestej drugiej na piasku obok mnie siada mężczyzna, nie może mieć więcej niż dwadzieścia dwa lata, otwiera piwo i wręcza mi zimną butelkę.

– Skąd jesteś, sestro? – pyta, niewyraźnie mamrocząc kolejne słowa.

– Z San Francisco. A ty?

– Z Idaho.

– To masz daleko do domu.

– Tak samo jak ty – mówi. – Spędzisz ze mną noc? Mam tu wspaniały domek niedaleko plaży. I niezłą trawkę. Mówiono mi, że jestem czułym kochankiem. Zwą mnie Thor. Tak jak u wikingów.

– Dzięki za ofertę, ale nie skorzystam.

– Nalegam, byś to przemyślała.

Zbliża się do mnie, czuję jego oddech na twarzy. Przystojny, opalony i szczupły. Ma piękne usta.

Jestem nieco oszołomiona piwem, ale nie na tyle, by zrobić coś tak głupiego.

– Ile masz lat?

Uśmiecha się szeroko.

– Wystarczająco dużo.

– Jestem pewna, że dziś wieczorem kogoś uszczęśliwisz, ale myślę, że na mnie już pora. Na ciebie chyba też, jeśli jutro bierzesz udział w zawodach.

– Z surfowaniem jest tak samo jak z jazdą samochodem – mówi. – Lepiej wychodzi mi po pijaku.

Podnoszę się, by odejść, a on łapie mnie za kostki.

– Nie wiesz, co tracisz.

Wracam do pokoju, kładę się na twardym łóżku, przykrywam kołdrą, która nie sprawia wrażenia zbyt czystej, i zapadam w niespokojny sen. Jutro. Tak, jutro.

ROZDZIAŁ 72

Gdy następnego dnia wychodzę o ósmej rano, plaża już tętni życiem. Grupy surferów rozbijają obozy z jasnymi parasolami, lodówkami i bannerami z nazwą swojego klubu. Kilku jest już w wodzie i rozgrzewa się. Kładę ręcznik nieopodal stanowiska ratownika i sadowię się wygodnie. Na mój bagaż składają się trzy butelki wody, kanapka z serem, aparat fotograficzny i lornetka, którą kupiłam kilka tygodni temu w Playa Hermosa. Kieruję lornetkę na linię wody, ale nawet przy dużym powiększeniu mężczyźni poruszają się zbyt szybko, bym mogła spokojnie popatrzeć na ich deski.

– Popatrz na to – mówi ratownik. – Fala do wysokości ramion przełamuje się w dwóch miejscach równocześnie. To powinno być ciekawe.

– Pewnie tak – odpowiadam. – Kiedy rozpoczyna się pierwszy heat?

– Za pół godziny. Sędziowie już zajmują swoje miejsca.

Wskazuje głową na długi stół ustawiony na plaży kilkaset metrów od nas. Sędziów jest trzech, wszyscy rozebrani do pasa, a jeden ma na głowie kowbojski kapelusz.

Siedzę, czekam i obserwuję. Poranna mgiełka podnosi się, a słońce zaczyna świecić jasno i mocno. Przed dziesiątą rano plaża już wrze. Surferzy walczą o jak najlepszą pozycję. Wszyscy przybijają ze sobą piątki, gdy sędziowie ogłaszają wyniki. W trakcie drugiego heatu jeden z mężczyzn zachwyca publiczność, zanim fala zamyka się nad nim.

Wygląda to jak jedna wielka braterska zabawa, każdy jest skacowany po wczorajszej balandze, ale wszyscy surfują całym sercem. Gdybym była w Boca Barranca z jakiegokolwiek innego powodu, mogłabym się całkiem dobrze bawić. Myślę o tych wszystkich porankach w trakcie ostatniej klasy szkoły średniej, kiedy to Ramon zabierał mnie spod sklepu 7-Eleven znajdującego się naprzeciwko szkoły. Jechaliśmy wtedy do Gulf Shores. Spędzaliśmy dzień na plaży, a późnym popołudniem wracałam do domu opalona i lekko podpita. Przemykałam do pokoju tak, by rodzice nie mogli mnie zauważyć. Nawet wtedy rozumiałam, że to były wspaniałe dni, które będą miały dla mnie wielką wartość. Małżeństwo rodziców nauczyło mnie, że dorosła miłość jest inna – w miłości rodziców było coś gniewnego i trudnego. Później Ramon zniknął z mojego życia i nastąpiły lata nieudanych związków, w których nic się nie układało. Potem pojawił się Jake. Zanim go spotkałam, zdążyłam zapomnieć, że seks może być czymś tak przyjemnym, że rozmowa może pójść tak gładko.

– Jesteś dobrym mówcą – powiedziałam mu kiedyś po wysłuchaniu półgodzinnego wywodu na temat mechaniki kwantowej.

– A ty jesteś dobrą słuchaczką – odparł.

W południe zostawiam ręcznik przy stanowisku ratownika i spaceruję plażą tam i z powrotem. Thor, którego spotkałam ubiegłej nocy, stoi przy jednym z prowizorycznych barów i popija tequilę.

– Leczysz się klinikiem? – pytam.

– Właśnie – odpowiada, ale jestem przekonana, że mnie nie rozpoznaje.

Zamawiam Krwawą Mary i przechadzam się między namiotami, obserwując twarze, klatki piersiowe i deski. Po czterech miesiącach codziennego studiowania różnych rodzajów desek jestem już w stanie rozpoznać wiele marek i modeli: hobie vintage 9'6" z zaokrąglonym dnem w kształcie litery V; śliczny niebiesko-żółty robert august 9'6" „What I Ride”

wyposażony w statecznik z włókna szklanego; freeth model 10'6" firmy Malibu Longboards, nazwana tak na cześć pierwszego znanego surfera z Kalifornii. Niestety, nie widzę żadnego rossbottoma.

Wracam do swojego ręcznika i siadam, by obserwować kolejny heat. Nagle na plaży zauważam dziwne poruszenie, ludzie tłoczą się, by znaleźć się bliżej wody.

– Co tam się dzieje? – pytam ratownika.

– To Rabbit Kekai – mówi, wskazując ręką na samotnego surfera wypływającego w morze.

Kilka minut temu w wodzie było kilkudziesięciu surferów, a teraz został tylko on.

– A gdzie podziała się reszta?

– Ustępują mu miejsca. To wyraz szacunku. Rabbit jest najbardziej znanym zawodnikiem surfującym na długiej desce. Mało tego, jest chyba najsłynniejszym żyjącym surferem. Zaczął uczyć się surfingu na Waikiki w wieku pięciu lat. Pobierał nauki od największych legend – Duke'a Kahanamoku, Toma Blake'a. Teraz ma osiemdziesiąt cztery lata, ale wciąż każdemu może pokazać miejsce w szeregu.

Nawet ja widzę wyraźnie, dlaczego Rabbit Kekai wywołuje takie poruszenie. Wygląda, jakby należał do wody, jakby tworzył z nią jedność. Nie walczy z falą, jak robią to młodszy zawodnicy, ale płynie wraz z nią. Cudownie się to ogląda, nawet jeśli jest się takim laikiem jak ja.

Pół godziny później sędziowie zapowiadają kolejny heat i ocean wypełnia się surferami. Ponownie wyruszam na spacer po plaży i poszukiwania. W końcu pod wielkim niebieskim parasolem dostrzegam interesujący mnie obiekt. Długa na jakieś trzy i pół metra, słońce odbija się od jej powierzchni. Czerwona, ze złotą żabą na środku. Surfer stoi za nią, podtrzymując ją jedną ręką. Nie widzę jego twarzy i ciała, jedną nogę ma wysuniętą do przodu,

stopą dłużej w piasku. Idę powoli z oczami skierowanymi na żabę, bojąc się uwierzyć w to, co widzę. Serce mi łomocze. Dokładnie mogę poczuć, jak nabrzmiewa i bije mocnym, szybkim rytmem wewnątrz klatki piersiowej.

Gdy jestem w odległości kilku kroków od deski, nie mam już żadnych wątpliwości, że to billy rossbottom. Na dole jest charakterystyczny symbol wryty w drewnie. Małe „r” i wielki zawijas na „m”. Wokół zebrało się kilku facetów i kilka dziewcząt. Rozmawiają z właścicielem, którego twarz wciąż pozostaje dla mnie niewidoczna. Moje nogi robią się jak z waty.

Fale uderzają o brzeg, słońce mocno przypieka. Rozglądam się wokół, starając się skoncentrować. Nieopodal stoi grupka dzieci. Patrzę na ich twarze, wpatruję się w ich oczy – są albo zbyt małe, albo zbyt duże. Żadne z nich nie jest Emmą.

Robię kolejny krok. Ruch ręki i deska obraca się tak, że stoi bokiem do mnie, odsłaniając właściciela. Przesuwa ręce po desce, rozmawiając z ciekawskimi. Nagle staję przed nim, wstrzymuję oddech i patrzę mu prosto w twarz.

Włosy: brązowe.

Oczy: brązowe.

Wzrost: wysoki.

Tatuaż: brak.

Akcent: australijski.

Jeden rzut oka na jego twarz, jeden rzut oka na jego nagą klatkę piersiową i wiem, że to nie on. To nie mój facet z Ocean Beach. Po prostu jakiś surfer z killer longboardem.

Plaża wiruje mi przed oczami, nie mogę złapać powietrza, aparat fotograficzny zsuwa się z ramienia i nagle siedzę na ziemi, łkam jak dziecko, jak jakaś wariatka. Gapię się na faceta, który nie jest obiektem moich poszukiwań. I na dzieci bawiące się za nim, z których żadne nie jest Emmą.

Widzę dłoń wyciągniętą w moim kierunku. Wielka dłoń, miła twarz.

– Wszystko w porządku, kochana?

Chwytam jego dłoń, pomaga mi wstać.

– Przepraszam – mówię. – To przez słońce. Nic mi nie będzie.

ROZDZIAŁ 73

Casey Lopez. Corona, Kalifornia. 5 czerwca 1971. Dwanaście lat.

Benjamin Jent. Lexington, Karolina Południowa. 6 czerwca 1986. Cztery lata.

Miles Sevreva. Las Vegas, Nevada. 16 lutego 1992. Trzy lata.

Joseph Moore. Welch, Oklahoma. 30 grudnia 1999. Szesnaście lat.

Tyrone Johnson. Chicago, Illinois. 6 czerwca 2001. Dziesięć lat.

Jimmy Schadler. Chicago, Illinois. 6 czerwca 2001. Trzy lata.

Ashley Rubin. Bridgeport, Connecticut. 7 listopada 2001. Jedenaście lat.

Grace Costa. San Diego, Kalifornia. 25 kwietnia 2002. Dwa lata.

Twyla Chandler. Richwoods, Missouri. 6 października 2002. Jedenaście lat.

Melissa Berquist. Saint Louis, Missouri. 11 czerwca 2003. Dziewięć lat.

Angela Simpson. Houston, Teksas. 16 listopada 2004. Osiem miesięcy.

Lily Taylor. Reno, Nevada. 21 kwietnia 2005. Cztery lata.

Tej nocy w swoim obskurnym pokoju motelowym w Boca Barranca nie mogę przestać myśleć o tym, gdzie znikają dziewczynki, chłopcy, nastolatki, ta cała niekończąca się procesja zaginionych dzieci. W jednej chwili są tutaj, tuż obok ciebie – w sklepie z warzywami, w centrum handlowym, w parku, na stacji benzynowej, na plaży – a w kolejnej już ich nie ma. Łatwo jest zebrać informacje na temat ich imion i nazwisk, daty, miejsca ich porwania,

wieku, w jakim byli w momencie uprowadzenia. Ale podstawowa informacja na temat miejsca ich obecnego pobytu, niezależnie od tego, czy żyją, czy nie, jest nieznana.

Miesiące poszukiwań spełzły na niczym, nie ma nawet najmniejszego śladu. Wygląda na to, że nigdzie ich nie ma, tak jakby ich skóra i komórki, z których są zbudowane, najzwyczajniej wyparowały. Ale zgodnie z prawami fizyki gdzieś muszą przecież być, żywe lub martwe. Jakies ślady musiały pozostać na świecie. Zaginieni tak naprawdę nie zniknęli – zniknęli tylko dla nas.

I Jake. Nie mogę przestać myśleć o Jake’u. Jego dłonie pachnące kredą i gumką do ścierania. Jego długie, blade stopy w sandałach ze skóry usztywnionej słoną wodą. Jego klatka piersiowa, gęste ciemne włosy, które zwykle nocami czułam na policzku. Jego oddech, gdy popołudniami spotykałam go po pracy, słodki, miętowy zapach gumy do żucia dominujący nad aromatem masła orzechowego z kanapek, które jadł na lunch. Myślę o Jake’u wyrywkowo, fotograficznie, nigdy całościowo. Myślę o częściach, a nie o ich sumie, i wiem, że nigdy nie znajdę podobnej mieszanki w żadnym innym mężczyźnie.

Jest tak gorąco, że zrzucam z siebie kołdrę. Komary chętnie korzystają z tej sytuacji. Nie mam na sobie nic poza bielizną, do czoła przyłożyłam mokrą chustkę, kolejną położyłam na brzuchu. Słyszę, jak strażnik robi obchód na korytarzu, jego buty stukają o cementową posadzkę. W sąsiednich pokojach trwają imprezy. Za ścianą jakaś para uprawia seks. W San Francisco jest teraz dwudziesta. Wyobrażam sobie, że Jake siedzi w skórzanym fotelu i ogląda telewizję. Zapada zmrok, a telewizor jest tak przyciszony, że sam musi podkładać słowa. To gra, w którą chętnie grywaliśmy, przypisując trafne spostrzeżenia i intelektualne dialogi ponętym blondynkom z serialu *Frat House Diaries* lub napompowanym

bywalcom siłowni z serialu *Iron*. W wannie z gorącą wodą siedziałyby jakaś para, ubrana w skąpe bikini dwudziestokilkulatka z niezamykającą się buzią, wylegująca się w parującej wodzie, której Jake wkładałby w usta cytaty z Hegla. On podkładał głosy kobietom, a ja facetom – mięśniaki recytowały Muriel Rukeyser, a gliniarze dyskutowali o Diebenkornie.

Brakuje mi tej gry, tych całonocnych rozmów. Brakuje mi wszystkich rzeczy związanych z Jakiem bardziej, niż kiedykolwiek mogłabym przypuszczać. W chwilach słabości zastanawiam się, czy przyjeżdżając do Kostaryki, zamiast zostać z nim, po raz kolejny go nie zawiodłam. Gdy tak się dzieje, wyciągam zdjęcia Emmy. Patrę na jej twarz, staram się przypomnieć sobie barwę jej głosu i odczytuję nazwiska zaginionych dzieci zapisane w notesie. Bardziej przerażające od nazwisk są daty, które rozciągają się na dziesięciolecia wstecz. Gdzie są teraz ich rodzice, ich ciotki, wujkowie, dziadkowie, przyjaciele, którzy kochali te dzieci? Każda nierozwiązana sprawa to ocean rozpacz, niezliczona liczba żywotów, które stanęły w miejscu w dniu zniknięcia dziecka. Każde zaginione dziecko jest czymś najbardziej bolesnym wspomnieniem, czymś najbardziej znaczącym punktem odniesienia. Z każdym nazwiskiem związany jest ktoś anonimowy, kto czeka na powrót dziecka do domu.

ROZDZIAŁ 74

– No i? – mówi Annabel.

– Nie było jej tam. Oczywiście, że jej tam nie było. Wszyscy mieli rację. Ja się myliłam. To już koniec.

– Tak mi przykro.

– Wiesz, naprawdę wierzyłam, że mogę ją tam znaleźć. Pamiętasz mój ostatni rok na studiach, gdy przyjechałaś na mój pokaz zdjęć w związku studenckim?

– Oczywiście – mówi Annabel.

– Jest coś, czego nigdy ci nie powiedziałam. Prezentowałam swoje zdjęcia jako ostatnia osoba na roku. Zupełnie ostatnia. Każdy inny miał to już za sobą w trakcie semestru, ale mój profesor wciąż uważał, że nie jestem gotowa. Koniec końców, jedynym powodem, dla którego musiałam zrobić pokaz, było to, że przez trzy miesiące każdą noc spędzałam w ciemni, długo po tym, gdy wszyscy poszli już spać. Pracowałam do upadłego. Później otworzyłam własny interes i dzięki ogromnemu uporowi rozkręciłam go całkiem dobrze. Wiem, że nie byłam obdarzona wyjątkowym talentem. Moja sztuka zawsze polegała na czymś innym: na zawziętej determinacji. Do tej pory zawsze kończyło się to dla mnie sukcesem. Myślałam, że teraz też się sprawdzi, że jeśli będę wystarczająco zdeterminowana, by odpowiednio długo szukać, to ją w końcu znajdę.

– Zrobiłaś wszystko, co mogłaś – mówi Annabel.

– Ale to nie wystarczyło.

– Skąd dzwonisz?

– Z Playa Hermosa. Pakuję się.

Nie płaczę już, bo nie mogę znaleźć łez. Nawet złość mi przeszła. Wszystko, co pozostało, to sucha, pusta przestrzeń. Tęsknota, która nigdy nie zostanie ukojona. I poczucie winy.

– Wracaj do domu – mówi Annabel.

– W przyszłym tygodniu.

– Naprawdę?

– Zdecydowanie. Jeszcze tylko na kilka dni pojadę do Manuel Antonio.

– Nie powinnaś być sama. Wracaj do domu.

– Podobno jest tam bardzo pięknie. Musiałabym być szalona, by przemierzyć Kostarykę wzdłuż i wszerz, a nie zobaczyć głównej atrakcji turystycznej tego kraju.

– Możesz zobaczyć to innym razem.

– Muszę to zrobić. Muszę oczyścić umysł.

– Podjęliśmy już decyzję w sprawie imienia – mówi Annabel. – Jeśli to będzie chłopak, to damy mu na imię Miles, a jeśli dziewczynka, to nazwiemy ją Margaret.

– Ślicznie.

– I z twoim błogosławieństwem, chcieliśmy dać jej na drugie Emma.

Jak mogę jej powiedzieć, że nie mogę pobłogosławić takiego pomysłu? Przez te wszystkie miesiące starałam się pamiętać, a teraz jest tylko jedna rzecz, której pragnę: zapomnieć.

Mam taki często powtarzający się sen, w którym stoję na wzgórzu i obserwuję przejeżdżający pociąg. Pociąg bezszelestnie poruszający się po torach zdaje się nie mieć ani końca, ani początku. Za każdym razem przez

okno wpatruję się w jego wnętrze. Za każdym razem, gdy zaglądam w któreś okno, siedząca tam osoba wykonuje jakąś określoną czynność, w określonym, znanym mi miejscu: moja matka zmywająca naczynia przy dużym podwójnym zlewozmywaku w domu, w którym się wychowałam, Annabel wyskakująca z łodzi do ciepłych wód przy wyspie Petit Bois.

Od momentu zniknięcia Emmy ten sen nie powracał. Czekałam z nadzieją, że obudzę się z jego żywym obrazem w umyśle. Przez jedno z okien pociągu chciałam zobaczyć ten moment na Ocean Beach, jakieś pogrzebane wspomnienia, które rozjaśnią tę tajemnicę. Zamiast tego śnię o najbardziej przyziemnych rzeczach.

Ostatniej nocy w Playa Hermosa sen powraca do mnie. Śpię głęboko, a deszcz stuka o cienki dach domku na plaży. Widzę pociąg, okno, a w oknie dziewczynkę. Martwą dziewczynkę leżącą na łóżku, częściowo przykrytą kocem. Białe kostki, białe stopy, sztywne białe palce. Zamknięte oczy. Budzę się pod mokrą kołdrą i z metalicznym posmakiem w ustach. Wmawiam sobie, że to nic nie znaczy. Przecież to tylko sen. Wychodzę na zadaszony balkon i patrzę na burzę przetaczającą się nad oceanem.

ROZDZIAŁ 75

Pacjent szpitala New England, H.M., był człowiekiem, dla którego zatrzymał się czas.

Gdy H.M. miał dwadzieścia siedem lat, doktor William Scoville podjął decyzję, że najlepszym sposobem na wyleczenie epilepsji pacjenta będzie usunięcie części jego mózgu, w tym większości hipokampu i ciała migdałowatego, małego fragmentu tkanki w kształcie migdała, w której przechowywane są wspomnienia emocjonalne. Operacja była fatalną pomyłką. H.M. nie tylko nadal cierpiał na ataki epilepsji, ale dodatkowo stracił zdolność do tworzenia nowych wspomnień.

Przez niemal trzydzieści lat doktor Brenda Milner odwiedzała H.M. z comiesięczną częstotliwością. Przez te trzydzieści lat H.M. ani razu nie rozpoznał jej, jeśli zniknęła z jego pola widzenia na dłużej niż kilka minut. „Żyje teraz niejszością przywiązaną do przeszłości – powiedziała Milner. – Można powiedzieć, że jego osobista historia zatrzymała się wraz z operacją”.

Wiele najwcześniejszych wspomnień H.M. pozostało nietkniętych. Pamiętał lekcje pływania, które pobierał jako małe dziecko, noce spędzane w wielkim domu na wsi, którego układ dokładnie pamiętał, włącznie z tapetą w kurczaki zdobiącą kuchenne ściany. Pamiętał nawet perfumy swojej matki. Ale nigdy nie wiedział, gdzie był i z kim rozmawiał przed minutą.

H.M. kiedyś próbował wyjaśnić lekarzom, co znaczy być pozbawionym pamięci. „Każdy dzień jest oddzielny sam w sobie, niezależnie od tego, ile

radości lub smutku przeżyłem”.

Okropna rzecz, a zarazem wielki dar. Odsunąć smutek do przeszłości, do przeszłości, która naprawdę jest odległą przeszłością. Mieć ogromne poczucie winy, a później o tym zapomnieć. Codziennie budzić się z emocjonalnym czystym kontem i bez żadnej wiedzy na temat własnych błędów.

ROZDZIAŁ 76

Dzień trzysta trzydziesty drugi. Wczesnie rano w barze spotykam się z Sami. Przyrządza koktajl zwany mimozą i zabieramy go ze sobą na plażę. Obserwujemy wschodzące słońce, jasną, błyszczącą smugę rozciągającą się na jasnoblękitnej wodzie. Później Sami odprowadza mnie na przystanek autobusowy.

– To wszystko, co masz? – pyta, patrząc na mój plecak na ramieniu.

– Zawsze podróżuję z małym bagażem. Poza tym część rzeczy wyrzuciłam.

Wbija obcas w piasek i spogląda na słońce.

– Zobaczymy się jeszcze kiedyś?

– Pewnie. Zadzwoń do mnie, jeśli kiedykolwiek będziesz w San Francisco.

– Zadzwonię.

– Kiedy masz zamiar wrócić do Teksasu?

– Do Teksasu? – mówi i uśmiecha się szeroko. – A co to takiego?

Gdy o ósmej rano przyjeżdża autobus, miasto właśnie powoli zaczyna się budzić, a surferzy jeden po drugim zmierzają w stronę wody. Zazdroszczę im prostego życia, rutyny wyznaczanej przez rytm przypływów i odpływów. Zazdroszczę im wiecznego stanu zapomnienia, stanu umysłu tak mocno skupionego na surfowaniu, że wszystko inne nie ma żadnego znaczenia.

Gdyby nie chodziło o Annabel i jej dziecko, byłabym w stanie tu zostać.

Wróciłabym do swojego domku na plaży, rozpakowała się, zostałabym na dłużej i nauczyła się surfować. Bardzo łatwo się tu żyje, bardzo łatwo tutaj zostawić za sobą cały świat. Czyż nie to właśnie robiłam tu przez cały czas? Uciekając od Jake'a, jego bólu, miasta, w którym zostało tak wiele wspomnień.

Po godzinie jazdy autobus się psuje. Przez kolejne pół godziny kierowca klnie jak szewc i grzebie pod maską, po czym nakazuje wszystkim wysiąść. Dwie godziny siedzimy na poboczu, smażąc się w piekącym słońcu. Zanim przyjeżdża drugi autobus, moja koszulka i sarong są już zupełnie prze pocone. Może powinnam wracać prosto do domu. Gdybym udała się od razu do San José, późnym wieczorem mogłabym być już we własnym łóżku. Próbuję wyobrazić sobie, jak wchodzę do swojego mieszkania i zrzucam z siebie ubranie. W łazience biorę prysznic, w kuchni robię sobie coś do jedzenia. Wchodzę do ciemni. Ponownie zaczynam własne życie. Staram się to sobie wyobrazić, ale moja fantazja nie wygląda prawdziwie. Jak mogę wrócić i tak po prostu znowu być sobą?

Spędzam noc w Quepos. Następnego poranka łapię kolejny autobus i jadę krętą drogą wzdłuż Parku Narodowego Manuela Antonio. Wsiadam w Playa Espadilla, nieopodal długiej szarej plaży, na której roi się od turystów. Idę na zachód, oddalam się od restauracji i hoteli, kierując się w mniej popularny rejon, który łączy się z tropikalnym lasem. Jest coś zadziwiającego w tym zestawieniu jasnoniebieskiego morza i ciemnozielonego lasu tak blisko siebie, że prawie się dotykających. Ogromna przestrzeń oceanu przeciwstawiona jest splątanej ciemnej masie lasu namorzynowego i palm.

Kilka tygodni temu w sklepie w Tamarindo kupiłam nową holgę. Wyciągam aparat z torby. Łącząc holgę z tymi kolorami i tak wspaniałym światłem, prawdopodobnie osiągnę coś, co bardziej będzie przypominało obraz niż zdjęcie. Rozmazane kontury, jasne kolory, nakładające się obrazy.

Przyjechałam do tego kraju, by odnaleźć Emmę, ale do domu zabiorę ze sobą tylko to: zdjęcie pięknej środkowoamerykańskiej plaży skąpanej w letnim słońcu. Dwa lub trzy zdjęcia aligatorów wylegujących się w mętnej rzece. Krater wulkanu schowany we mgle.

Plaża pełna jest dziewczyn w różnym wieku – malutkie dziewczynki, dziesięciolatki, nastolatki i dorosłe kobiety; ciemnowłose miejscowe dziewczęta, jasnowłose Amerykanki w różnym stopniu opalone. Niskie dziewczyny, wysokie dziewczyny, grube, chude. Śmiejące się i milczące.

Kostarykanie przechadzają się po plaży i sprzedają napoje chłodzące i butelkowaną wodę, które noszą w styropianowych pudełkach. Chłopcy z deskami wskakują do wody i z niej wyskakują. Mężczyźni w średnim wieku rzucają na wodę długie deski, kładą się na nich i wiosłują rękami w kierunku większych fal. Podświadomie dzielę ich na miejscowych, przyjezdnych i przypadkowych obserwatorów. Mogę wybrać z tłumu dowolnego surfera i wskazać, do której grupy on lub ona należy. Mój umysł jest teraz zapchany dziwaczną terminologią związaną z surfowaniem. Zastanawiam się, o czym zapomniałam, by zrobić miejsce dla tej tajemnej, zupełnie nieprzydatnej wiedzy, która zawsze będzie mi przypominać o nieudanych poszukiwaniach.

Wszystko zapisuję wzrokiem i małą plastikową holgą. Słońce jest zbyt jasne, oślepiające. Wszystko jest wybielone słonecznym światłem. Chodzę spieczona, naciskam spust aparatu i przewijam film. Raz, drugi, kolejny. Ten odgłos mnie uspokaja. Pstryk. Odgłos mojego dawnego życia. Znów myśleć o tym, że tak niewiele trzeba, by ulotną chwilę zamienić w coś o znacznie dłuższej trwałości. Pstryknięcie – światło wpada przez obiektyw. Później odczynniki chemiczne i osuszanie. Utrwalacz i płukanie. Błyszczący papier, który pokazuje rzecz widzianą tylko raz, o której już zdążyliśmy zapomnieć.

Robimy zdjęcia, ponieważ nie możemy pogodzić się z tym, że wszystko

przemija. Nie możemy pogodzić się z tym, że powtórzenie danego momentu nie jest możliwe. Prowadzimy monotonną wojnę z nieuchronnością naszej śmierci, z czasem, który zmienia dzieci w gorszy gatunek: w dorosłych. Robimy zdjęcia, bo wiemy, że zapomnimy. Zapomnimy tydzień, dzień, godzinę. Zapomnimy, kiedy byliśmy najszczęśliwsi. Robimy zdjęcia dla własnej dumy, z pragnienia zachowania tego, co w nas najlepsze. Boimy się, że umrzemy, a inni nie będą wiedzieli, że w ogóle żyliśmy.

Pstryk. Pstryk. Pstryk.

Zwyczajne zdjęcia obcych ludzi. Pocztówkowe widoki. Bezchmurne niebo. Piękno tropikalnej plaży. Gładkie brązowe ciała. Szczęśliwe dzieci. Właśnie to zabiorę ze sobą do domu: nicość, która jest fotografią, fałszywość, która przekazuje prostą radość letniej plaży. Obcy ludzie oglądający te zdjęcia nie będą widzieli tu mojej winy, nie będą zastanawiać się nad pustką w mojej duszy.

I nagle. Kształt na piasku kilkadziesiąt metrów ode mnie. Jasnozielony ręcznik, a na nim dziewczynka. Ruch. Skręcenie dłoni, gdy dziewczynka opiera się na łokciach i wystawia twarz na słońce. Profil.

Moje serce pracuje zbyt szybko, niczym nieprawidłowo działająca maszyna. Suchy, papierowy posmak w ustach.

Żółta sukienka, długi kucyk.

Dłoń dziewczynki unosi się, by strzepnąć owada z twarzy – ten ruch, sposób, w jaki ściska palce, gdy to robi.

To niemożliwe, oczywiście. Mój słodki sen o szczęśliwym zakończeniu. „Już miała wracać do domu, już miała się poddać, i nagle, w ostatniej chwili...”

Podchodzę bliżej, wmawiając sobie, że to nie może być prawda.

Gdy jestem już w odległości kilku metrów, dziewczynka patrzy w moją stronę. Czy mnie widzi? Ta dziewczynka, która przecież nie może być

Emmą? Patrzy na mnie czy tylko w moją stronę?

Pięcioosobowa rodzina przechodzi pomiędzy nami, niosąc lodówki i deski. Przez chwilę tracę ją z oczu. Rodzina przechodzi dalej, a ona wciąż tam jest. Tak, patrzy na mnie.

Słońce świeci mi prosto w oczy. Setki dziewczynek. Tysiące, miliony dziewczynek. Świat jest pełen dziewczynek, które mogą przypominać Emmę. Dziewczynek mniej więcej jej wzrostu i w jej wieku. Dziewczynek, które mogłyby wyglądać tak jak ta, którą zgubiłaś. Przysięgałam, że nie będę mogła zapomnieć jej twarzy, a teraz nie jestem pewna.

Słońce chowa się za chmurą i w łagodniejszym świetle widzę, że wciąż patrzy na mnie. Uniosła dłoń do oczu. Nie patrzy w inne miejsce, patrzy na mnie. Dokładnie na mnie. Tak, jakby gdzieś mnie już widziała. Tak, jakby mnie znała.

Umysł wyczynia jakieś dziwne sztuczki. Umysł chce wierzyć, że nie możesz zrobić czegoś takiego sobie, mężczyźnie, którego kochasz, i dziecku, które jest pod twoją opieką. Umysł chce wierzyć, że nie możesz jej zgubić i nigdy nie odnaleźć.

Kącik jej ust unosi się do góry – to nie uśmiech, to coś, co robi, gdy jest zaskoczona, tik, który pojawia się w momentach zakłopotania. Odbicie ojca. Przez moment pozwalam sobie myśleć coś takiego, pozwalam sobie uwierzyć, że twarz tej dziewczynki to twarz Emmy, a kod genetyczny Jake'a jest w niej w jakiś sposób odwzorowany.

Ale nie, oczywiście, że nie. Umysł igra ze mną. Przez ile lat będę żyła na tym świecie z niewyraźną wiarą kryjącą się gdzieś w podświadomości? Ile tysięcy razy będę widziała twarz i przez chwilę myślała, że to Emma?

Dziewczynka ponownie podnosi dłoń i odgania owady, a potem osłania oczy. Patrzy na mnie, prosto na mnie, nie patrzy w żadne inne miejsce.

Już tak blisko. Tylko trzy metry. Dwa i pół. Dwa. Jasnozielony ręcznik,

a na nim dziewczynka, sama na plaży. Zbyt mała, by być sama na plaży.

Już tylko metr jest pomiędzy mną i dziewczynką. Wyobrażeniem Emmy.

Znów słońce. Chwilowe oślepienie. Umysł bawi się ze mną, wiem o tym. Wiem, że nie mogę mu ufać.

Po chwili stoję tuż przy niej i patrzę na nią. Jej zielone oczy wpatrują się we mnie, a ja wmawiam sobie: to jest Emma. Nikt inny. Nie ktoś podobny, nie złudzenie, nie wyobrażenie. Kolana mi miękną, serce skacze, nie mogę złapać oddechu. Emma.

Słońce świeci mocno i ostro. Oślepia mnie.

– Emma?

Z trudem wydobywam głos. To nie szept, ale coś słabego, cienkiego.

Nie odpowiada. Przyciąga kolana do klatki piersiowej, obejmuje je rękami i patrzy na mnie.

Rozglądam się wokół, szukając dorosłych, którzy mogliby być razem z nią, ale nikogo nie widzę.

I to jest Emma. Prawda?

To nie sen o niej. To ona.

Obok niej leżą dwa inne ręczniki, pusta butelka po piwie, wiaderko, łopatka i czerwona lodówka turystyczna. Na pokrywie lodówki brytyjski magazyn poświęcony muzyce rockowej.

Klękam na piasku tuż obok niej.

– Emma?

Żadnej odpowiedzi.

– Emma?

Znowu nic.

– Pamiętasz mnie? – pytam.

Przez kilka sekund nie rusza się. Później kiwa głową i marszczy brwi.

Ulga, niepewność, uczucie przeogromnej radości. Czuję, jak plaża wiruje pod moimi kolanami. Bardziej niż czegokolwiek pragnę jej dotknąć. Chcę położyć dłoń na jej twarzy i przekonać się, że naprawdę jest tutaj. Wyciągam ostrożnie rękę i dotykam jej policzka. Wzdryga się.

Moje serce wariuje. Nie potrafię opisać tego, co czuję. Nie wierzę w to, co widzę.

Jest zbyt chuda, kości policzkowe są za bardzo uwydatnione, ale skóra jest brązowa i zdrowa. Nabrała złotej barwy charakterystycznej dla opalających się dzieci. W jej wyglądzie jest jednak coś nieznanego, w rysach twarzy jest coś, czego nie pamiętam. Staram się zlokalizować różnicę, określić ją – czy to oczy, układ ust, zarys szczęk? Ma długie włosy opadające na plecy, prawie do ziemi. Są jaśniejsze niż zwykle, z przebijającymi się, kasztanowymi kosmykami. Ubrana jest w żółtą sukienkę w białe kwiatki, zbyt krótką i niezbyt czystą.

– Szukaliśmy cię – mówię.

Próbuję panować nad głosem, staram się być spokojna, ale nie potrafię powstrzymać łez. Czuję je na twarzy, obfite i ciepłe. Łzy mieszają się z moim makijażem. Oczy mnie pieką.

Zaciska usta. Zdziwienie, zmieszanie, a także łzy wypełniające jej oczy.

– Czekałam.

– Co?

Powtarzam sobie, że to moja wyobraźnia. Wyobrażam sobie, że ta dziewczynka to Emma. I wyobrażam sobie jej słowa.

– Co powiedziałaś?

– Czekałam, Abby. Gdzie byłaś? Gdzie jest tatuś?

Szok. Niedowierzenie. To jest Emma, siedzi na piasku tuż obok mnie. Obejmuję ją i tulę. Płaczę i wpatruję się w jej twarz, w twarz Emmy, nie dowierzam. Dziewczynka jest w moich ramionach. Na plaży, tysiące

kilometrów od domu. Nie wierzę w realność tej chwili, bo jest zbyt niewiarygodna, by była prawdziwa. Zaginione dzieci nie wracają do domów. Detektyw Sherburne mi to powiedział. Jake mi to powiedział. Każdy mi to powtarzał, a ja nie chciałam uwierzyć. Do domu wracają tylko szczątki, które zostają odnalezione po wielu miesiącach, latach, dziesięcioleciach. Dzieci nie wracają do domów – nie żywe, nie jako dzieci, nie z pięknymi długimi włosami i opalenizną. Nie, patrząc na twoją twarz i wymawiając twoje imię.

W życiu nie ma zbyt wielu takich niespodzianek. Są nagłe zgony, oczywiście, i sporadyczne przypadki szczęśliwych zdarzeń. Ale pozytywne niespodzianki takiego kalibru – moja matka zawsze mówiła, że takie rzeczy się nie zdarzają. A teraz, proszę, oto dowód: są niespodzianki, cuda. Emma na plaży w Kostaryce. Emma żywa.

Odsuwam się nieco i znów patrzę na jej twarz. Żeby się upewnić. Czy dobrze widzę? Czy dobrze słyszę? Ale to ona, jestem pewna. Nie mam najmniejszych wątpliwości, to jest Emma. Niemożliwe, ale to jest Emma.

Próbuję się opanować i wymyślić jakiś plan. Wśród pobliskich osób żadna nie wygląda znajomo. Czy rozpoznałabym ludzi z żółtej furgonetki, gdybym ich teraz zobaczyła? Czy to w ogóle ich powinnam szukać?

– Kto się tobą opiekował, kochanie?

– Teddy i Jane.

– Gdzie oni są?

Pokazuje na ocean i grupkę surferów w oddali.

– Byli dla ciebie dobrzy? Skrzywdzili cię? – Bez zastanowienia zadaje pytania. Nie wiem, czy chcę już teraz usłyszeć na nie odpowiedzi. Poza tym przecież nie mamy czasu do stracenia.

Wzrusza ramionami, prostuje brązowe nogi i palcami stóp bawi się piaskiem.

– Byliśmy na farmie motyli – mówi. Podnosi dłoń i szeroko rozkłada

palce. – Widziałam takie wielkie motyle – dodaje. Opuszcza dłoń i opiera się na piasku, nie patrząc na mnie.

Jest tak wiele rzeczy, które chciałabym wiedzieć, tyle pytań chciałabym zadać. Gdzie mieszkała? Czy była krzywdzona? Co mówili jej o nas? Co powiedzieli jej tamtego dnia na Ocean Beach, jak przekonali ją, by poszła z nimi? To są jednak pytania na później. Teraz muszę ją stąd zabrać.

Odgarnia z twarzy kosmyk włosów.

– Gdzie jest tatuś?

– Czeka na ciebie. Chodź, musimy już iść.

W milczeniu wpatruje się w wodę.

– Dobrze – mówi i nagle zaczyna bezgłośnie płakać.

Gładzę jej włosy.

– Już dobrze, kochanie. Jestem przy tobie. W końcu jestem przy tobie.

Wyciąga dłoń, by dotknąć mojego ramienia. Jej paznokcie są obgryzione do skóry. Ma na nich jasnoniebieski lakier, który odpryskuje na brzegach. Przez te długie miesiące często wyobrażałam sobie nasze spotkanie. Układałam w myślach słowa, które jej powiem. Teraz wszystkie te zdania nie mają znaczenia, jesteśmy tylko my dwie, wpatrujące się w miejsce, w którym błękitny ocean styka się z niebem, a jasne słońce ogrzewa nas promieniami. Kropla potu spływa po jej karku wzdłuż kręgosłupa i znika pod sukienką.

Cieniutkie włoski na jej rękach zrobiły się jasne. Ponownie przytulam ją do siebie, czuję ciepło jej skóry. Tym razem odwzajemnia uścisk – tylko troszeczkę mnie ściska, ale jestem pewna, że mnie tuli. Czuję, jak jej małe dłonie nieznacznie przyciskają się do mojego ciała.

Jestem świadoma wagi tego momentu, świadoma tego, że muszę ją stąd zabrać. Wraz z euforią pojawia się też uczucie paniki, świadomość, że muszę wybrać właściwy kierunek działania. Trzymam jej twarz w dłoniach i patrzę jej prosto w oczy.

– Gotowa?

Ręką wyciera nos. W tym geście jest coś – dziecinnego, nieświadomego – co chwyta mnie za serce i nie potrafię powstrzymać łez. Wstaję i wyciągam dłoń w jej stronę, a ona pozwala mi się podnieść. Przez moment jestem zaskoczona i zdaję sobie sprawę, że urosła kilka centymetrów. Jej ramiona i nogi są jakby bardziej umięśnione niż poprzednio.

– Tędy – mówię, wskazując na drzewa. Emma waha się, wciąż stojąc w miejscu. Nasze ręce rozciągają się między nami.

– A Teddy i Jane? – pyta.

Klękam przed nią.

– Twój tatuś i ja bardzo tęskniliśmy za tobą.

– Powiedzieli mi, żebyś tu została. Będę miała kłopoty.

– Nie będziesz miała kłopotów – mówię. – Obiecuję.

Klęcząc przed nią, próbując przekonać ją, by wymknęła się razem ze mną, czuję się prawie jak przestępca. Myślę o porywaczach i zastanawiam się, czy czują to samo, co ja czuję w tej chwili – mdlące poczucie pilności i niecierpliwość, strach, że coś pójdzie nie tak, jak powinno, że ktoś przeszkodzi nam w ucieczce. Z głośników pobliskiej restauracji sączy się latynoska muzyka, która miesza się z radosnymi okrzykami dzieci. Słońce jest wysoko na bezchmurnym niebie. Moje okulary przeciwsłoneczne zupełnie nie nadają się na kostarykańskie słońce, które rozjaśnia wszystko do pastelowej bieli i sprawia, że powietrze drga gorącymi falami.

Delikatnie ciągnę Emmę za rękę. Powoli robi pierwszy krok, potem drugi. Przed nami jest linia drzew, ucieczka. Za nami jest ocean i niebezpieczeństwo odkrycia naszego zniknięcia. Co zrobię, jeśli Teddy i Jane przybiegną do mnie, krzycząc, że porywam ich dziecko? Komu wszyscy uwierzą?

Przeciskam się pomiędzy tłumem opalających się plażowiczów, a moje

stopy zapadają się w piasku. Trzymam mocno wilgotną dłoń Emmy i mam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie.

A potem robimy to: po prostu znikamy. Dżungla nas wciąga. W jednym momencie jesteśmy na otwartej przestrzeni, na plaży, gdzie wszyscy mogą nas zobaczyć. W kolejnej chwili stoimy na wąskiej ścieżce usłanej kamykami i połamanymi muszlami. Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę z tego, że Emma jest bosa, a jej stopy pokryte są bliznami i bąblami. Przez chwilę staram się ją nieść, ale jest już zbyt duża i nie mogę się szybko poruszać.

– Przykro mi, kochanie – mówię, stawiając ją na ziemi. – Musisz iść. Musimy poruszać się szybciej.

Daję jej swoje japonki. Są na nią za duże, ale nie narzeka.

Przechodzimy przez mały strumyczek, później zaczyna się strome podejście w kierunku drogi. Ani razu nie puszczam jej dłoni. W pewnym momencie czuję, że jej palce wyrywają się spomiędzy moich i lekko rozluźniam uścisk. Nie mogę przestać na nią patrzeć, nie mogę przestać zachwycać się cudem jej obecności. Mieć Emmę tutaj, przy sobie, ręka w rękę. Widzieć jej twarz, słyszeć jej głos. Dopiero teraz przyznaję przed sobą, że były chwile, w których wierzyłam, że już nigdy jej nie zobaczę, chwile, w których wierzyłam, podobnie jak Jake, że ona nie żyje. I pomyśleć, że jechałam już do domu. Dwa dni temu mogłam odlecieć samolotem i już nigdy jej nie znaleźć.

W liściach ponad nami słyszymy jakiś szelest. Emma zatrzymuje się i ściska moje palce.

– Patrz – mówi, cichutko wskazując na ruch wśród drzew. – Czepiaki.

Jest ich około dziesięciu, przemieszczają się bardzo szybko, skacząc wśród koron drzew. Ich drobne ciała są popielate i usztywnione. Patrzę na Emmę. Jej twarz zwrócona jest w kierunku zielonej masy roślin, oczy szeroko otwarte. To nie jej wzrost, włosy i waga. Emma się zmieniła. I w

końcu z pełną siłą dociera do mnie to, co się właśnie dzieje. Ona jest tutaj, razem ze mną. Uciekamy. Czy to sen? Czy znajduję się w jakimś stanie halucynacji? Ale przecież zapach oceanu, śpiew ptaków, uścisk jej dłoni – wszystkie te rzeczy są dowodem na to, że nie jest to wytwór mojej wyobraźni. To nie baśń, to nie marzenie: ten las jest prawdziwy, to dziecko jest prawdziwe.

Przed kilkoma minutami była zaginiona. Teraz jest odnaleziona.

Moje serce bije boleśnie szybko, brakuje mi powietrza, bardziej z euforii i strachu niż z fizycznego zmęczenia. Klękam przed nią i patrzę jej prosto w twarz, starając się uwierzyć.

– Emma?

– Hmm?

– To naprawdę ty?

– Tak, to ja – odpowiada.

Sposób, w jaki wypowiedziała „ja”, jakieś gwałtowne podkreślenie graniczące z arogancką pewnością siebie – jak zwykle w wypadku Emmy. Spogląda przez ramię, tak jakby ona też obawiała się, że ktoś nas dogoni.

– Chodźmy – mówi, ciągnąc mnie za rękę.

Po pięciu minutach wychodzimy na wąską brukowaną drogę wijącą się pomiędzy imponującymi domami. Do głównej drogi mamy jeszcze kilkaset metrów. Gdy tam dotrzemy, poczekamy na autobus lub taksówkę. Na przydrożnym straganie kupuję wielki słomkowy kapelusz i okulary przeciwsłoneczne.

– Masz, włóż to – mówię.

Nie sprzeciwia się, tak jakby zdawała sobie sprawę z konieczności takiego działania. Na chwilę tylko puszczam jej dłoń, by wyjąć pieniądze z portfela i zapłacić sprzedawcy.

Rozglądam się po ulicy – jedynie samochody i motocykle pojawiające się

zza zakrętu. Dlaczego nie ma żadnego autobusu, żadnej taksówki? Dlaczego to tak długo trwa?

– Kochanie – mówię, gdy tak czekamy. – Jak dostaliście się z San Francisco do Kostaryki?

– Jechaliśmy samochodem – odpowiada z niezadowoleniem. – Trwało to całą wieczność, w dodatku nie mieli klimatyzacji.

– Jaki samochód mają Teddy i Jane?

– Furgonetkę.

– W jakim kolorze?

– Żółta. Ciągłe się psuje. Za każdym razem, gdy widzieliśmy policję, ukrywali mnie z tyłu pod kocami. Bałam się.

– Teraz już nie musisz się niczego bać, wiesz? Wracamy do domu.

Myślę o pierwszym dniu, pierwszych tropach, gdy furgonetka bardziej niż dowodem była fałszywym tropem, znakiem zapytania. Szukam jej teraz tak samo, jak robiłam to przez te wszystkie miesiące na Ocean Beach. Wyobrażam sobie chwilę, w której Teddy i Jane wrócą do ręczników i zobaczą, że jej nie ma. Czy będą czuli taką samą niepewność, jaką ja czułam jedenaście miesięcy temu, i narastające uczucie paniki, świadomość, że zniknęła? Czy będą przeklinać te chwile spędzone w oceanie, kiedy odwrócili wzrok w kierunku nadpływających fal, te chwile, kiedy zapomnieli o podstawowym fakcie: o Emmie siedzącej samotnie na plaży?

Teraz na pewno już zorientowali się, że zniknęła. Wyobrażam sobie, że biegają po plaży tam i z powrotem, wykrzykując jej imię. Podchodzą do nieznajomych ludzi i mówią: „Zgubiliśmy małą dziewczynkę”.

Żadnej taksówki. Mam wrażenie, że mija wieczność, zanim nadjeżdża autobus do Quepos, jednak gdy patrzę na zegarek, zdaję sobie sprawę, że upłynęło dopiero dziewięć minut. Szklane drzwi otwierają się, Emma wchodzi do środka, ciągnąc mnie za sobą.

– *Buenos días* – mówi do kierowcy.

– *Bueno* – odpowiada.

– *Quepos?* – pytam.

– *Sí.*

Wrzucam monety do pudełka. Wyglądamy jak przeciętna matka i córka wracające z całodziennego pobytu na plaży. Emma zajmuje pierwsze wolne miejsce, mniej więcej w połowie autobusu, a ja siadam obok niej. Serce bije mi jak oszalałe, staram się ustalić plan. W Quepos złapiemy autobus do San José, tam wynajmiemy pokój w hotelu, a potem zadzwonimy do Jake’a. Jestem pewna, że mi nie uwierzy. Będzie myślał, że dzwoni ktoś inny, nie ja. Będzie myślał, że to jakiś okrutny żart.

Wsiada kilku pasażerów, drzwi zamykają się i autobus rusza. Zapach plaży, lasu namorzynowego. I zapach Emmy, krem kokosowy i dziecięcy pot, sól w jej włosach, może kilka dni bez kąpieli. Puszczam moją dłoń, a ja zdaję sobie sprawę, że trzymałam ją tak mocno, że aż bolą mnie kostki. Prostuje palce i patrzy przez kilka sekund przez okno, a potem zwraca się w moją stronę.

– Abby?

– Tak?

Przygryza dolną wargę i przez chwilę myśli nad czymś. To dokładnie taki sam jak u jej ojca. Idealna imitacja. Nie pamiętam, by kiedykolwiek wcześniej robiła coś takiego. Po chwili mówi:

– Gdzie byłaś?

To nie oskarżenie, po prostu zwykłe pytanie o rzecz, której ona nie rozumie. Staram się właściwie sformułować odpowiedź. Chcę jej powiedzieć, jak desperacko chcieliśmy ją odzyskać, jak każda minuta wypełniona była myślami o niej, ale nie potrafię znaleźć właściwych słów.

– Wszędzie cię szukałam – mówię i przyciągam ją do siebie. – Wiesz

o tym, prawda?

– Myślałam, że ty i tata zapomnieliście o mnie.

– Kochanie, nie zapomnieliśmy. Każdą chwilę spędziliśmy na szukaniu cię.

Na przystanek w Quepos dojeżdżamy w sam raz, by zdążyć kupić bilety na autobus do San José. Nie ma czasu, by zadzwonić do Jake'a. Jedyne, o czym myślę, to wywiezienie Emmy z tego miasta. Z każdym kolejnym krokiem obszar poszukiwań dla Teddy'ego i Jane powiększa się i z każdą minutą ich szansa na odnalezienie Emmy się zmniejsza.

Wchodzimy do autobusu jako ostatni pasażerowie, a drzwi za nami zamykają się głośno. Autobus jest pełny, ale na szczęście z tyłu są jeszcze dwa wolne miejsca, po dwóch stronach przejścia. Nawet ten mały dystans wydaje się dla mnie zbyt duży. Siadam bokiem, nogi stawiam w przejściu, a dłonie kładę na kolanach Emmy. Boję się, że w jakiś sposób może zniknąć. Boję się, że jeśli spuszczę ją z oczu choćby na moment, rozplynie się jak senne marzenie.

– Kiedy będę mogła porozmawiać z tatusiem?

– Jak tylko dojedziemy do San José.

– A gdzie jest San José?

– Tylko kilka godzin stąd.

– Tatuś będzie w San José?

– Nie, jest w San Francisco. Zadzwonimy do niego, żeby po nas przyjechał.

Patrzy przez chwilę na sąsiednie siedzenie, gdzie chrapie jakiś nastoletni chłopak, a potem odwraca się do mnie.

– A co z mamusią?

– To znaczy?

- Mamusia. Czy ona też tam będzie?
- Kochanie – mówię. – Chodzi ci o Jane?
- Nie – odpowiada zniecierpliwiona. – O mamusię.
- Widziałaś się z mamusią? – pytam.

Potakująco kiwa głową.

– Pojechaliśmy spotkać się z nią w motelu – mówi. Podnosi lewą dłoń i porusza palcem wskazującym, prezentując błyszczący pierścionek, jaki za pięć dolarów można kupić w centrach handlowych. – Dała mi to.

Z trudem przełykam ślinę, nie wierząc w to, co słyszę.

- Skąd wiesz, że to była twoja mamusia?

Sięga do kieszonki w sukience i wyciąga wyblakły polaroid.

– To była ona – mówi, pokazując mi nieco młodszą, nieco szczuplejszą Lisbeth.

Na zdjęciu Lisbeth stoi w parku Golden Gate, tuż obok niej jest Jake. Na rękach Jake trzyma małe dziecko. Uśmiecha się. Lisbeth nie jest uśmiechnięta. Oboje stoją w słońcu.

Czuję się, jakby ktoś nagle wypompował z moich płuc całe powietrze.

- Skąd to masz?

– Mamusia mi dała – mówi Emma. Zabiera zdjęcie i wkłada do kieszonki.

- Kiedy?

Wzrusza ramionami coraz bardziej znudzona naszą rozmową.

- Nie pamiętam.

Staram się przetworzyć uzyskane informacje, staram się nadać sens tym nowym, nieprawdopodobnym faktom. Pamiętam, co Jake powiedział mi tamtej nocy w domu, gdy Lisbeth dała dramatyczne przedstawienie podczas konferencji prasowej i później pojawiła się u niego: „Chciała wiedzieć, co by

było, gdyby Emma się znalazła – czy mielibyśmy jeszcze jedną szansę, by spróbować stworzyć rodzinę”.

– Widziałaś ją więcej niż raz? – pytam.

– Tak, ale od długiego czasu już się z nią nie spotkałam. – Przygryza wargę, tak jakby zastanawiała się, czy powiedzieć mi coś jeszcze. – Powiedziała, że tatuś przyjedzie po mnie i będziemy wszyscy mieszkać razem, ale nigdy nie przyjechał.

Tak wiele pytań. Czy Lisbeth była tam w dniu porwania? Jak do tego wszystkiego pasują Teddy i Jane? Jakie mieli plany? Jak ją traktowali?

– Pamiętasz, jak ostatni raz byliśmy razem? – pytam. – Pamiętasz, jak razem szukałyśmy na plaży pieniążkowców?

– Trochę – mówi. Odwraca się ode mnie i przyciska czoło do szyby.

– Możesz mi powiedzieć, co stało się tamtego dnia?

– Mogę dostać *hamburguesa* na lunch? – pyta Emma.

– Oczywiście, że możesz.

Jest tak wiele rzeczy, które chciałabym wiedzieć, tak wiele elementów, które staram się połączyć ze sobą. Emma ma dość tej rozmowy. Jednak sposób, w jaki lekceważy moje pytania, tak naprawdę daje mi nadzieję. Badania dowodzą, że dzieci doskonale się dostosowują, że mają zadziwiającą zdolność radzenia sobie z traumatycznymi przeżyciami. Mimo tak długiej nieobecności wciąż jest sobą, nieustępliwą dziewczynką, która nigdy nie wstydzi się powiedzieć tego, co chce. Wymachuje nogami w przód i w tył, uderzając stopami o podłogę. Ręce trzyma na kolanach i patrzy prosto przed siebie, z lekko zdziwionym wyrazem twarzy. Silnik pojazdu zaczyna pracować i autobus rusza. Zewsząd słychać odgłos okien, które pasażerowie otwierają, by choć trochę ochłodzić się w ogromnym upale.

– Chce mi się pić – mówi Emma po kilku minutach.

Daję jej butelkę z wodą, którą miałam w torebce. Woda jest ciepła, ale

Emma opróżnia butelkę w niespełna minutę.

– Muszę do ubikacji – mówi kilka minut później.

Ubikacja jest bardzo blisko, ale wstaję i czekam obok drzwi, dopóki Emma nie skończy. Wychodzi z wykrzywioną twarzą, palcami zatykając nos. To nieistotny gest, normalny wśród dzieci, a ja jestem zaskoczona emocjami, jakie dosięgają mnie, gdy obserwuję ją robiącą takie rzeczy, takie normalne rzeczy. Żywą.

ROZDZIAŁ 77

Do San José dojeżdżamy o szesnastej. Nieopodal przystanku znajduję taksówkę i mówię kierowcy, by zawiózł nas do najlepszego hotelu. Mężczyzna ma jednak własną wersję słowa „najlepszy”, ponieważ wysadza nas przy niezbyt imponującym motelu dziesięć minut drogi od przystanku. Recepcjonista, nastolatek w czarnej koszuli, rozmawia z Emmą po hiszpańsku, a ja wypełniam formularz meldunkowy. W jednej ręce trzymam długopis, a drugą kładę na jej ramieniu. Gdy płacę za pokój, orientuję się, że torbę i aparat fotograficzny zostawiłam w hotelu w Quepos. Gnana pilnością chwili kompletnie zapomniałam, że tam są. Nieważne – mam pieniądze i paszport. Resztę rzeczy mogą mi przesłać.

Na korytarzu mocuję się z drzwiami. Wewnątrz zaciągam zasłony. Pokój śmierdzi dymem papierosowym. W środku jest mały telewizor, podłoga wyłożona kafelkami, krzesło, kilka lamp. Nad łóżkiem wisi tani obraz przedstawiający Dziki Zachód. Emma siada na krześle przy oknie i bawi się guzikami klimatyzatora. Z trudem trzymam się z daleka od niej, z trudem powstrzymuję się przed tym, by ją przytulić ze wszystkich sił.

– Gdzie jest tatuś?

– Właśnie mam zamiar do niego zadzwonić.

Ręce drżą mi tak mocno, że z trudem utrzymuję słuchawkę telefonu. Pamiętam to popołudnie w Beach Chalet tak dawno temu, gdy Rosjanka wcisnęła mi telefon w dłoń. Wahałam się przez chwilę, zanim wykręciłam

numer Jake'a. Wiedziałam, że muszę do niego zadzwonić. Wiedziałam, że muszę mu powiedzieć. I zrozumiałam, już po rozmowie, że nie da się cofnąć czasu.

Teraz sytuacja jest odwrotna. A ja też się waham, chcę powstrzymać się przez chwilę. Zgubiłam ją, znalazłam ją, jest w pokoju razem ze mną. To chwila prawie idealnego szczęścia i część mnie nie chce jej niczym mącić. W jednym momencie na plaży zupełnie rozbiłam życie Jake'a; w kolejnych miesiącach przyglądałam się, jak się rozpada na kawałki. Za kilka minut, może nawet sekund, będę w stanie poskładać je z powrotem.

Wykręcam numer domowy. Żadnej odpowiedzi. Później próbuję dodzwonić się na komórkę. Ponownie nikt nie odbiera.

– Zadzwoń do mnie – mówię za każdym razem. – To pilne.

Jest mi wstyd, że czuję ulgę spowodowaną tym, że nie odbiera, jest mi wstyd, że cieszę się z tego, że mam więcej czasu. Kilka minut więcej sam na sam z Emmą. Siedzi cichutko, wpatrując się w stopy. Na sukience ma plamę z keczupu.

Dociera do mnie, że przecież jeszcze nie dałam jej nic do jedzenia. Jak mogłam przeoczyć tak oczywistą rzecz?

– Pewnie jesteś głodna – mówię.

Przytakuje gwałtownie.

W torebce znajduję krakersy, snickersa i banana. Kładę wszystko na stole przed nią i do plastikowego kubeczka nalewam trochę wody.

– Wkrótce zorganizujemy dla ciebie jakieś prawdziwe jedzenie. Przymierzam.

Wyrzucam zawartość portfela na łóżko i grzebię w kolorowych banknotach, rachunkach, wizytówkach. Znajduję numer telefonu, który dostałam od Nicka Eliota.

– Ambasada Stanów Zjednoczonych – odzywa się bezpłciowy głos.

– Szukam Wigginsa.

– Chwileczkę.

Gdy linia przełącza się, słyszę głos automatycznej sekretarki.

– Tu Wiggins – mówi. – Zostaw wiadomość, oddzwonię.

– Nazywam się Abby Mason – mówię. – Jestem znajomą Nicka Eliota. Mówił mi, że wyjaśni panu moją sytuację. Proszę zadzwonić tak szybko, jak to możliwe. To pilne. Chodzi o Emmę Balfour. Znalazłam ją. Jest tutaj, razem ze mną. Jesteśmy w Villa Grande w San José, pokój dwieście dwanaście – odczytuję numer przyklejony do telefonu i jeszcze raz dodaję: – To bardzo pilne.

Emma zjadła już krakersy i teraz zмага się z batonem. Je bardzo szybko, nie rozglądając się wokół, prawie nie przeżuując. Na brodzie ma czekoladową kropkę. Wpatruję się w nią, fakty docierają do mnie: jest tutaj, żyje, jest bezpieczna. Jej włosy są teraz jaśniejsze, a skóra bardziej brązowa, sylwetka wyższa i chudsza. Ale to Emma. Podchodzę do krzesła. Gdy dłonią dotykam jej twarzy, nie wzdyga się, nie obraca w moją stronę, po prostu przerywa przeżuwanie.

– Kochanie, wszystko w porządku? – Chcę się dowiedzieć, czy ją jakoś skrzywdzili, ale nie potrafię zadać tego pytania po tym, co przeszła.

– Tak – mówi i podnosi rękę do twarzy. Jej sukienka unosi się na nogach. Emma jest taka chuda.

Tulę ją ostrożnie, a ona pochyla się w moją stronę.

– Jesteś już bezpieczna. Zabierzemy cię do domu.

Przez chwilę wydaje mi się, że chce się rozpłakać. Ale nagle wykręca się z moich ramion i pyta:

– Mogę pooglądać telewizję?

– Oczywiście.

Włączam telewizor i podaję jej pilota. Przeskakuje przez *Strusia Pędziwiatra*, *Ulicę Sezamkową* zdubbingowaną po hiszpańsku i zatrzymuje się na jakiejś hiszpańskojęzycznej telenoweli. Przez piętnaście minut ogląda ją jak zahipnotyzowana. Siadam na łóżku z telefonem na kolanach i czekam. Cały czas Emma mamrocze coś do telewizora. Wszystkich bohaterów zna z imienia.

Gdy dzwoni telefon, obie skaczemy do góry. Nie wiem, czy jestem gotowa na to, co się teraz stanie.

– Abby?

To Jake. Mimo upływu czasu wciąż ma tę zdolność uspokojenia mnie swoim głosem, po prostu wymawiając moje imię.

– Twoja wiadomość mówiła, że to pilne.

Jestem świadoma faktu, że za chwilę przekroczę linię, że moje słowa rozpoczną nowy łańcuch wydarzeń.

– Mam informacje, Jake.

Po głuchoj ciszy po drugiej stronie linii wnioskuję, że Jake mi nie wierzy. Czekam, że powiem mu o kolejnym słabym tropie, o kolejnym zupełnie nieprzekonującym dowodzie.

– Ona jest tutaj – mówię.

Cisza.

– Co?

– Siedzę w pokoju hotelowym w Kostaryce. Emma jest tutaj. W pokoju ze mną – mówię.

Następuje pauza, długi moment nieufności.

– To prawda – dodaję. – Emma naprawdę jest tutaj.

Głośny okrzyk i szloch, i:

– O mój Boże! Jesteś pewna?

– Jestem pewna.

– Wszystko z nią w porządku?

– Tak.

– To niemożliwe. Pozwól mi z nią porozmawiać.

I nawet gdy to mówi, wyczuwam, że nie wierzy, że Emma naprawdę odezwie się do telefonu, nie wierzy, że ta rozmowa jest prawdziwa.

Emma wciąż ogląda telewizję. Macha nogami w przód i w tył, obgryzając przy tym paznokcie.

– Kochanie?

Przycisza telewizor i patrzy na mnie.

– To tatuś?

– Tak. Chce z tobą rozmawiać.

Siedzimy naprzeciw siebie, dotykając się kolanami – ona na krześle, ja na łóżku. Podaję jej telefon.

– Halo – mówi cichutko.

Pochylam się bliżej, by słyszeć Jake’a.

– Emma? Kochanie, to ty?

– Tak. Gdzie jesteś?

– Nie mogę uwierzyć, że to ty.

– Tatusiu? – powtarza Emma. – Dlaczego ciebie tu nie ma?

– Przyjadę po ciebie, kochanie. Tak bardzo tęskniłem.

– Pospiesz się.

Oddaje mi telefon tak, jakby był to jakiś obcy obiekt, które może ją ugryźć lub wybuchnąć. Ma ten sam zdziwiony wyraz twarzy jak podczas podróży autobusem.

– Powiedz mi, że z nią wszystko w porządku – mówi Jake. Płacze tak głośno, że słowa są zniekształcone.

– W porządku.

– Boże. – Śmieje się, płacze i stara się złapać oddech. – Gdzie była? Jak ją znalazłaś?

– Na plaży. Spacerowałam plażą, a ona po prostu tam była.

– Nie wierzę w to. To niemożliwe. Nie uwierzę, dopóki jej nie zobaczę.

– Musisz złapać jakiś samolot – mówię. – Zadzwoń, gdy tylko zarezerwujesz bilet.

Jednocześnie płacze i śmieje się, oddychając bardzo szybko.

– Nie chcę się rozłączać. Boję się, że gdy odłożę słuchawkę, to się obudzę. To jest sen, prawda?

– To nie jest sen. Ona naprawdę jest tutaj.

– Powiedz mi, jak wygląda. Czy jest zdrowa? Czy się jakoś zmieniła?

Emma siedzi na krześle z nogami na nim, rękami obejmuje kolana i patrzy na mnie swoimi zielonymi oczami. Włosy ma długie i rozpuszczone, ramiona lekko różowe, a na kostce nosi bransoletkę – cieniutki srebrny łańcuszek ze srebrnym wisiorkiem w kształcie serca. Nigdy wcześniej nie widziałam tej bransoletki. Zastanawiam się, czy to prezent od Lisbeth. Ile podróży do Kostaryki odbyła, wioząc ze sobą tanie, tandetne prezenty i wyrafinowane kłamstwa?

– Jest piękna – mówię. – Absolutnie piękna.

– Pozwól mi jeszcze raz z nią porozmawiać. Nie mogę uwierzyć, że to dzieje się naprawdę.

Podaję Emmie słuchawkę. Odwraca się ode mnie i patrzy w okno, przyciskając słuchawkę do ucha. Siada, słucha i przytakuje głową, czasami mówiąc „tak” lub „nie”. Raz nawet wydaje z siebie odgłos podobny do śmiechu.

– Tęsknię za tobą – mówi w pewnym momencie. – Mówili mi, że się tu

przeprowadzisz i będziemy mieszkać razem. Ciągłe czekałam.

Tym razem nie wiem, co Jake mówi po drugiej stronie linii. Po dziesięciu minutach Emma oddaje mi telefon.

– Abby? – mówi Jake.

– Tak.

– Przepraszam, że ci nie wierzyłem. – Przerywa na chwilę, by złapać oddech. – Gdzie ona była? Z kim?

– Była z parą z żółtej furgonetki. To wszystko, co wiem.

– Miałaś rację – mówi. – To niewiarygodne. Cały czas miałaś rację. Jesteś pewna, że nic jej nie jest? Nikt jej nie skrzywdził?

– Tak. Naprawdę nic jej nie jest.

Prawda jest taka, że nie wiem tego na pewno. Emma wygląda dobrze, ale nie mam pojęcia, co się z nią działo przez cały rok. Nie wiem, jakie życie wiodła z Teddym i Jane ani jakie skutki może to wywołać w dłuższym okresie.

– Pozwól mi jeszcze pożegnać się z nią. Nie potrafię w to uwierzyć.

Po raz kolejny wręczam Emmie słuchawkę.

– Do zobaczenia, tatusiu – mówi.

Przez chwilę wygląda to tak, jakby w ogóle nie zniknęła. Żegna się z Jakiem w taki sposób, jakbyśmy po prostu były na wakacjach. Tak, jakby to była zwyczajna rozmowa w jakiś zwyczajny dzień.

– Jeszcze jedna rzecz – mówię przed odłożeniem słuchawki.

– Co takiego?

– Lisbeth. Nie mów nic Lisbeth.

– Dlaczego? Co masz na myśli?

– Była tutaj, Jake. Nie znam żadnych szczegółów, ale wiem, że tu była.

– Boże – mówi. – Powinienem się domyślić – dodaje ze złością.

W słuchawce słyszę głuchy odgłos, tak jakby pięść uderzała o ścianę. – Nie wierzę, że siedziała w moim cholernym domu, a ja się nie domyśliłem. Nie wierzę, że mogłem jej zaufać.

– Dobrze odegrała swoją rolę.

– Zadzwoń do Sherburne’a w drodze na lotnisko – mówi.

W słuchawce słyszę jakiś hałas – zamek błyskawiczny, klucze. Wyobrażam sobie Jake’a w sypialni pakującego się do torby podróżnej – portfel, paszport, ładowarka do telefonu komórkowego.

– Dziękuję – mówi. – Tak bardzo ci dziękuję. Powiedz Emmie, że ją kocham. Powiedz jej, że niedługo tam przyjadę.

Odkładam słuchawkę i wtedy dopada mnie przytłaczające poczucie ulgi. Tak jakby każdy moment ostatniego roku prowadził właśnie do tego pojedynczego zdarzenia: rozmowy telefonicznej z Jakiem, w której mówię, że wszystko jest w porządku.

– Ciągle jestem głodna – mówi Emma.

– No to zamówmy coś – proponuję. Wykręcam numer telefonu i łączę się z obsługą hotelową. – Dwa *hamburguesas* z dodatkowym serem, *papas fritos*, mleko czekoladowe i dwie cole.

Pół godziny później otrzymujemy zamówione jedzenie. Emma rzuca się na nie, jakby nie jadła od kilku dni. Zjada swojego hamburgera i połowę mojego, a także większość frytek. Je przez dwadzieścia minut, nic nie mówiąc, wrzuca pozostałości do kosza na śmieci, a potem pyta:

– Mogę się wykapać?

– Oczywiście.

Wchodzę do małej łazienki i odkręcam wodę. Gdy wracam do pokoju, Emma jest już całkowicie rozebrana, stoi przed telewizorem z rękami wspartymi na biodrach i czeka.

– Woda jest gotowa – mówię i czuję się zbyt oficjalnie, tak jakby Emma

była gościem, którego nie wiem, jak zadowolić.

– Dziękuję.

Gdy przechodzi obok mnie do łazienki, na dolnej części jej pleców zauważam fioletowego siniaka. Zapiera mi oddech w piersiach. Czy to normalny siniak, jakie dzieciaki nabijają sobie codziennie, czy też ktoś jej to zrobił? Wchodzi do wanny i ze skupieniem zrywa papier z małej kostki mydła. Siadam na skraju wanny i podaję jej myjkę, przy okazji sprawdzając, czy nie ma innych sińców.

– Kochanie, jak często się myjesz?

Zanurza myjkę w wodzie i zaczyna mydlić sobie ramiona. Brud spływa z niej strużkami.

– Teddy mówił, że nie musimy się myć, bo codziennie pływamy w oceanie.

– Pływasz? Nie boisz się?

– Na początku się bałam, ale teraz już nie. Teddy kupił mi małą deskę, żebym mogła nauczyć się surfowania. Fajne to było.

– Lubisz Teddy’ego, kochanie?

– Jest w porządku. Ale Jane jest niedobra.

– W jakim sensie?

Wzrusza ramionami.

– Po prostu niedobra. Zawsze krzyczała na mnie o wszystko. Czasami nawet dawała mi klapsa.

Ogarnia mnie złość, nie chcę myśleć o tysiącach sposobów, w jakie mogli ją źle traktować. Zamiast tego próbuję skoncentrować się na jej twarzy, małych bańkach mydlanych gromadzących się na jej ramionach, na jej rękach.

– Chcesz, żebym umyła ci włosy? – pytam.

– Tak.

Wyciąga nogi do końca wanny, kładzie się, zamyka oczy i zanurza głowę. Zostaje pod wodą o kilka sekund za długo – pamiętam, jak bała się zanurzać głowę, jak nie potrafiła wstrzymać oddechu. Gdy już mam zamiar pochylić się i wyciągnąć ją, unosi głowę i łapie oddech. Woda spływa jej z ramion, a włosy przylegają do pleców. Wylewam na dłoń trochę szamponu, a później palcami bardzo ostrożnie wcieram go w jej włosy. W pierwszym momencie odrzuca głowę do tyłu – instynktowna, nieświadoma reakcja – ale równie szybko odpręża się.

Gdy Emma odchyła się do tyłu i pozwala moim dłoniom zajmować się jej głową, powraca do mnie wspomnienie z dzieciństwa: Annabel jest malutka, a moja matka kąpie ją w plastikowej waniencie. Matka bierze moją dłoń i kładzie ją na namydlonej głowie Annabel. Pod palcami czuję delikatne włosy i równie delikatną skórę. Nie mogłam mieć wtedy więcej niż trzy lata, a jednak wspomnienie jest tak wyraźne, jakby to działo się wczoraj.

Dzwoni telefon. To Jake, podniecony, przedstawia szczegóły swojego przylotu. Znowu wymusza na mnie, bym zabrała telefon do łazienki i pozwoliła mu porozmawiać z Emmą.

To jest to. Koniec poszukiwań. Koniec koszmaru. Chcę wierzyć, że to także swego rodzaju nowy początek – dla mnie i Jake’a, dla Emmy, dla rodziny, którą kiedyś chcieliśmy się stać.

W wannie Emma znowu trzyma głowę pod wodą i wypuszcza powietrze, robiąc bańki. Patrząc na nią, zdaję sobie sprawę, że jest tak wiele rzeczy, które znowu musimy w sobie poznać.

– Skóra zaczyna ci się marszczyć – mówię. – Gotowa do wyjścia?

Wstaje i podnosi ręce do góry. Okręcam ją ręcznikiem.

– Chce ci się spać? – pytam.

– Tak.

– Nie mamy nocnej koszuli, więc będziemy musiały coś wymyślić.

Robię sobie z sarongu sukienkę, a Emmie daję swoją koszulkę z krótkim rękawem. Nie jest zupełnie czysta, ale wystarczy. Podnosi ręce do góry, bym mogła jej włożyć koszulkę przez głowę, a potem wchodzi do łóżka. Przykrywam ją, kładę się na kołdrze obok niej i przyglądam się, jak śpi. Dotykam jej włosów, ramion, pięknej twarzy. Wciąż nie potrafię uwierzyć. Wciąż staram się przyzwyczaić. Jestem potwornie zmęczona, ale nie zamykam oczu – nie mogę przestać na nią patrzeć.

O drugiej w nocy dzwoni telefon.

– Abby Mason? – odzywa się nieznajomy głos.

– Tak.

– Mówi Wiggins. Właśnie odebrałem pani wiadomość. Przepraszam, że dzwonię tak późno.

– Nie wie pan, jak bardzo się cieszę, że pan dzwoni – mówię. Podchodzę do krzesła stojącego przy oknie i mówię tak cicho, jak to tylko możliwe.

– Proszę się jeszcze zbyt nie ekscytować. W tej chwili jestem jeszcze w Hondurasie, ale zaplanowałem już powrót do Kostaryki na jutrzejszy wieczór. Jakiś czas temu Nick opowiedział mi pani historię. Szczerze mówiąc, nie myślałem, że ją pani znajdzie. Różne rzeczy jednak się zdarzają, prawda? Skontaktowałem się już z ludźmi w San Francisco i przefaksowali mi portrety pamięciowe. Rozmawiali z ojcem Emmy, a teraz zajmują się jego byłą żoną. Teraz muszę dowiedzieć się, jak ją pani znalazła. Widziała pani porywaczy?

– Nie, ale znam ich imiona. Teddy i Jane.

Opowiadam mu całą historię. Mówię pospiesznie, chaotycznie, urywanymi zdaniemami.

– Jeżdżą żółtą furgonetką – mówię.

– Gdzie pani zdaniem mogę ją znaleźć?

– Byli dzisiaj w Playa Espadilla, ale to było wiele godzin temu.

– Od razu wyślę ludzi do Manuel Antonio. Będzie pani jutro dostępna pod tym numerem?

– O siódmej rano zabieram Emmę na lotnisko, by spotkać się z jej ojcem. Dalszych planów jeszcze nie robiłam.

– Przyślę kogoś, by towarzyszył pani w drodze na lotnisko. Zajmie się wszystkimi niezbędnymi rzeczami. Emma może jechać do domu, ale pani będzie musiała tu zostać przez kilka dni, może dłużej. Gdy znajdziemy tę dwójkę, będzie pani musiała ich zidentyfikować.

Nie „jeśli”, tylko „gdy”. Jego pewność dodaje mi otuchy.

– Dziękuję panu – mówię. – Bardzo dziękuję.

ROZDZIAŁ 78

Budzi mnie nieludzki okrzyk, po nim następują kolejne, kakofonia okrzyków tuż za oknem.

– To wyjce – mówi Emma, otwierając oczy i przeciągając się. Jej brązowa skóra jest wilgotna od potu. Mimo klimatyzacji powietrze jest duszne. Ubiegłej nocy przez wiele godzin leżałam, wpatrując się w Emmę, delektując się jej cudownym powrotem. W pewnym momencie zasnęłam. Teraz także uderza mnie piękne nieprawdopodobieństwo jej obecności.

Zegarek wskazuje szóstą piętnaście.

– Czas wstawać – mówię. – Jedziemy na lotnisko.

– Teraz? – pyta.

– Za chwilę.

– I tatuś tam będzie?

– Tak.

Patrzy na mnie ostrożnie, tak jakby nie była pewna, czy może mi uwierzyć.

Dwadzieścia minut później ktoś puka do drzwi. Wyglądam zza zasłonki i widzę młodego mężczyznę o włoskich rysach twarzy, wygląda na mniej niż dwadzieścia siedem lat.

– Kto tam? – pytam przez drzwi.

– Wiggins mnie przysłał.

Otwieram drzwi.

– Nazywam się Panico – mówi mężczyzna, wyciągając dłoń na powitanie. – Mike Panico. – Spogląda ponad moim ramieniem do środka pokoju, gdzie Emma stoi boso w tej samej brudnej żółtej sukience, którą miała wczoraj. – Ty pewnie jesteś Emma.

Twierdząco kiwa głową.

Mężczyzna uśmiecha się do niej.

– Rozumiem, że tak dużo ludzi cię szukało.

Na lotnisku kupuję Emmie nową sukienkę i sandały. Sukienka jest trochę za duża, sandały ciut za małe, ale Emma okręca się wokół własnej osi, sprawiając wrażenie, jakby to były najpiękniejsze rzeczy, jakie do tej pory nosiła.

Później Panico zabiera nas do małego pokoju na pierwszym piętrze. W pokoju jest tylko stół i cztery krzesła, wszystkie przykręcone do podłogi. Dwa krzesła mają metalowe obręcze na bocznych oparciach z miejscami na klucze. Domyślałam się, że służą do przesłuchiwania przestępców. Ze ścian odpada beżowa farba.

Panico zamyka drzwi i klęka przed Emmą tak, że jego oczy są na poziomie jej oczu.

– No to w końcu wracasz do domu. Jaka będzie pierwsza rzecz, którą zrobisz po powrocie?

– Chcę hamburgera i koktajl czekoladowy z Cable Car Joe's.

– Nie dziwię się – mówi. – W tym kraju nie można znaleźć dobrych hamburgerów.

Emma uśmiecha się, a ja czuję się zrelaksowana. Panico sięga do kurtki i wyciąga książeczkę do kolorowania i kredki, które kładzie na stole.

– Lubisz kolorować?

Nieśmiało kiwa głową.

– Ja uwielbiałem kolorować, gdy byłem mały – mówi Panico. – Nigdy jednak nie miałem do tego talentu.

Emma siada przy stole i zaczyna przeglądać książeczkę. Siadam naprzeciwko niej.

– *El gato* – mówi, wskazując na kota. Wyciąga z pudełka żółtą kredkę i zaczyna kolorować. – Znasz hiszpański? – pyta mnie.

– Trochę – odpowiadam.

Odwraca się w kierunku Panico.

– A ty znasz?

– *Sí, señorita* – mówi.

Wymieniają kilka zdań po hiszpańsku, a on mówi coś, co sprawia, że Emma wybucha śmiechem. Wyłapuję tylko słowo „ciastko”, ale i to może być źle przetłumaczone.

Emma wkłada kredkę w kolorze indygo do temperówki znajdującej się na końcu pudełka i ostrzy rysik. Dmucha na naostrzoną kredkę, pochyla głowę nad książeczką i zaczyna pracować nad miseczką *el gato*. Woskowy zapach kredek miesza się z czymś jeszcze. Woń pochodzi od Emmy; mimo że kąpała się wczoraj, nabrała nieco dzikiego, słono-słodkiego zapachu dziecka, którym nie zajmowano się w odpowiedni sposób.

Panico przysuwa swoje krzesło do Emmy.

– Emmo, mogę zadać ci kilka pytań?

– Chyba tak.

– Gdzie mieszkałaś?

– Czasami na plaży, czasami w samochodzie. Czasami mieszkaliśmy u przyjaciół Teddy’ego i Jane.

– Wiesz, gdzie mieszkają ich przyjaciele?

- W różnych miejscach.
- Mówili ci, skąd wiedzą, jak się nazywasz?
- Teddy jest kuzynem mamusi – odpowiada. – Mogę dalej kolorować?

Emma skubie ucho, a ja jestem wdzięczna za ten mały, rozpoznawalny gest, ten nerwowy nawyk, który miała, odkąd ją znam. Patrzy na mnie, potem na Panico i pyta:

- Czy Teddy i Jane będą mieć kłopoty?
- Musimy ich znaleźć, by zadać im kilka pytań – odpowiada Panico.

Emma wraca do kolorowania. Siedząc tu z nią, czuję zarówno radość, jak i zdenerwowanie. Przyjacielska atmosfera, która rozwinęła się między nami przed jej zniknięciem, wyparowała, a ja wciąż staram się dostrzec, co w jej usposobieniu uległo zmianie. Co w tej nowej Emmie związane jest ze zwykłym dorastaniem, a co jest wynikiem wielomiesięcznego przebywania z porywaczami?

Z głośników rozlega się głos zapowiadający przyloty i odloty. Za każdym razem, gdy głośnik umieszczony w rogu włącza się, wstrzymuję oddech. Niech samolot się spóźni. Niech Jake straci trochę czasu na odprawie celnej. Chcę trochę więcej czasu z nią, kilka godzin więcej, kilka minut więcej. Oczywiście chcę, by Emma spotkała się z Jakiem. Oczywiście jestem podekscytowana perspektywą ponownego spotkania, ale chciałabym odsunąć moment, w którym wsiądą na pokład samolotu i rozpoczną beze mnie powrotną podróż do domu.

W końcu rozlega się pukanie do drzwi. Trzy uderzenia.

Emma podskakuje na krześle, podobnie jak ja. Ona siedzi plecami do drzwi. Głowę wciąż ma pochyloną, ale ręce zamarły nagle bez ruchu. Wpatruje się w książeczkę do kolorowania i ściska kredkę tak mocno, że jej palce są białe. Panico otwiera drzwi i za progiem ukazuje się Jake. Nie ma ze sobą bagażu z wyjątkiem małej torby przerzuconej przez ramię. W jednej

ręce trzyma olbrzymią lalkę z kasztanowymi włosami, ubraną w haftowaną sukienkę i czarne buciki z fantazyjnymi sprzączkami. Stoi tak przez chwilę i patrzy na tył głowy Emmy, tak jakby nie wierzył, że to ona. Przytył trochę, ma dłuższe włosy.

Dotykam dłonią ręki Emmy.

– Zobacz, kto przyszedł.

Patrzy na mnie i wciąż ściska kredkę, ale nie rusza się. Jake podchodzi do stołu i przykłęka obok niej. Na jego widok coś się zmienia w jej wyglądzie, jej twarz łagodnieje, a na ustach pojawia się słaby uśmiech. Jake upuszcza lalkę i bierze Emmę w ramiona. Przez dłuższy czas płacze w jej włosy. W końcu odsuwa ją na odległość ramienia i mówi:

– To ty. Nie mogę uwierzyć, że to ty.

– Oczywiście, że to ja, tatusiu.

Panico odwraca wzrok. Podobnie jak ja, pewnie czuje się jak intruz psujący swą obecnością tę intymną scenę.

Jake patrzy na mnie.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Wiem.

Podnosi Emmę, robi krok w moją stronę i tuli mnie mocno. Pachnie tak przyjemnie, wygląda tak dobrze, czuje się tak dobrze.

– Cały czas miałaś rację – mówi. – Przepraszam, że w ciebie wątpiłem.

Emma patrzy na lalkę leżącą na podłodze i na jej twarzy pojawia się szeroki uśmiech. Wyrywa się z ramion Jake'a.

– Poznaj Felicity – mówi Jake. Klęka i stawia Emmę na ziemi.

Emma dotyka włosów lalki, przesuwa palce po koronce znajdującej się na rąbku sukienki.

– Jest ładna.

Jake wpatruje się w córkę tak, jakby wciąż nie wierzył, że ona tu naprawdę jest. Tak jakby spodziewał się, że wkrótce obudzi się z tego cudownego snu.

– Do odlotu mamy jeszcze co najmniej dwie godziny – mówi do mnie. – Masz trochę czasu na kawę?

Nie mogę powstrzymać śmiechu.

– Żartujesz?

Panico robi krok do przodu.

– Jestem z ambasady – mówi do Jake’a. – Będę czekał przy odprawie, by upewnić się, że nie będziecie mieli żadnych kłopotów. Ma pan jej paszport?

– Tak – odpowiada Jake, klepiąc dłonią w kieszeń kurtki. – Dziękuję za pomoc.

– To nie moja zasługa – mówi. – Abby pociągała za wszystkie sznurki.

– Co już udało się ustalić? – pyta Jake.

Emma jest zajęta rozpinaniem i zapinaniem pasków w butach lalki.

– Facet z żółtej furgonetki jest kuzynem Lisbeth – mówię cicho. – Przynajmniej tak powiedzieli Emmie.

Jake z niedowierzaniem kręci głową.

Ja niosę lalkę, Jake niesie Emmę i schodzimy na dół do kawiarni. Panico podąża za nami. Emma wpatruje się w Jake’a, a Jake wpatruje się w nią. Ja wpatruję się w nich. To tak dziwne uczucie, tak niemożliwe, że cała nasza trójka idzie przez lotnisko jak zupełnie normalna rodzina.

– Powinieneś obciąć włosy – mówi Emma, przesuwając palcami po długich kędziorach Jake’a.

– No to chyba będziesz musiała je obciąć, gdy już wrócimy do domu – odpowiada Jake głosem przepełnionym emocjami.

W kawiarni zamawiamy kawę, koktajl owocowy dla Emmy i trochę

ciasta z owocami.

Zajmujemy najbardziej odosobniony stół, tuż przy oknie. Jake przysuwa do siebie krzesło Emmy. Zaczyna kroić jej ciasto na małe kawałeczki, tak jak zawsze zwykł to robić, ale Emma przysuwa je blisko siebie i mówi:

– Mogę to zrobić.

– Przepraszam – mówi Jake z uśmiechem. – Chyba wydorostałaś, prawda? Boże, wyglądasz na dużo bardziej dorosłą. Urosłaś.

Emma uśmiecha się. Sprawia wrażenie, jakby chciała coś powiedzieć, jednak wkłada do ust kawałek ciasta.

– Co? – pyta Jake.

– Ja jestem wyższa, a ty jesteś grubszy.

Wszyscy się z tego śmieją, nawet Emma.

– Tak bardzo za tobą tęskniłem – mówi Jake. – Tak bardzo. Nie wiesz nawet jak bardzo.

Emma ociera usta dłonią i wpatruje się w talerz, przeżuując kawałki ciasta.

Wiem, że Jake ze wszystkich sił stara się nie zadawać tych wszystkich pytań – oczywistych, przerażających pytań. Wpatruje się w nią jak zahipnotyzowany.

– Twój pokój wygląda dokładnie tak samo, jak go zostawiłaś – mówi. – Nawet prezenty świąteczne czekają na ciebie.

Emma szeroko otwiera oczy.

– Kiedy będę mogła je otworzyć?

– Jak tylko wrócimy do domu.

– I prezenty urodzinowe – mówię.

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Moje urodziny?

– Są w listopadzie, pamiętasz? – mówi Jake. – Masz już siedem lat.

Podnosi wzrok.

– Mam siedem lat?

W głośnikach rozlega się głos zapowiadający odlot samolotu do San Francisco.

– To nasz – mówi Jake. – Kochanie, jesteś gotowa na powrót do domu?

– Tak.

Jake wyciąga rękę i przez stół dotyka mojej dłoni.

– Kiedy będziesz mogła wrócić?

– Nie wiem. Mam nadzieję, że już niedługo. Ciągłe jest jeszcze trochę do zrobienia.

Moja rozmowa z Jakiem wygląda jak niezdarnie zaplanowane przedstawienie. Choreografia nie współgra, muzyka fałszuje, a my mówimy swoje kwestie głośniej, niż to konieczne. Zastanawiam się, jakie możliwości rysują się teraz przed nami. Gdy wyjeżdżałam do Kostaryki, Jake jasno określił, że między nami wszystko skończone. Ale czy to wszystko nie zmienia sytuacji? Czy nie zrobiłam najważniejszej rzeczy, by go odzyskać, by przywrócić nasze życie do normalności?

Nie ma jednak sposobu, by zadać mu te pytania. Sytuacja w ogóle nie przypomina sceny ponownego połączenia, którą sobie wyobrażałam, odkąd przyjechałam do Kostaryki. Wyobrażałam sobie, że wszyscy razem wrócimy do domu jak rodzina. Ale prawda jest taka, że Jake i Emma są rodziną, tylko oni oboje.

Podchodzę do Emmy, pochylam się i przytulam się do niej. Nie chcę jej wypuścić z rąk.

– Do zobaczenia, kochanie.

- Nie lecisz z nami?
- Muszę tu jeszcze zostać na chwilę, ale niedługo wrócę.
- Dobrze.
- Do zobaczenia, Jake.
- Tak bardzo ci dziękuję – mówi. – To cud.

Dłonią odgarnia mi włosy i przerzuca je nad moim ramieniem, dokładnie tak, jak zrobił to na pierwszej randce. Ten prosty gest wystarczy, by rozniecić moje nadzieje, wystarczy, bym pomyślała, że jest dla nas jakaś szansa.

Jake podnosi Emmę, a gdy odchodzą, Emma odwraca się i macha mi na pożegnanie.

– *Adiós* – mówi.

– *Adiós*.

Patrzę, jak oddalają się w kierunku punktu odpraw – Jake idzie szybko, tak jakby nie mógł doczekać się, kiedy stąd odleci. Wyglądają jak zwyczajny ojciec i zwyczajna córka wracający z wakacji. Ja mogłabym być zwyczajną dziewczyną, niepotrzebną częścią matematycznego równania, po której odrzuceniu otrzymamy właściwe rozwiązanie.

ROZDZIAŁ 79

Popołudnie. Czekam w pokoju hotelowym w San José. Dzień trzysta trzydziesty piąty. Gdy w umyśle notuję tę liczbę, zdaję sobie sprawę, że kalendarz, na którego punkcie miałam obsesję, teraz już nie ma żadnego znaczenia. Muszę zacząć od początku, bo choć jest trzysta trzydziesty piąty dzień od jej zniknięcia, jest to także drugi dzień od momentu, w którym ją odnalazłam.

Siedzę na balkonie. W sąsiednim pokoju ktoś słucha głośnej hiszpańskiej muzyki, jednak nie na tyle głośnej, by zagłuszyć parę uprawiającą seks. Widziałam ich wcześniej, odbierając klucz do pokoju. On był chudy, ona gruba, nie mieli żadnego bagażu. Powinnam coś robić – pisać listy z podziękowaniami, wysłać maile, dzwonić do wszystkich, których znam. Ale do kogo mam napisać? Cały poranek spędziłam na rozmowach telefonicznych. Poinformowałam już Annabel, Nell i Nicka Eliota. Podobnie jak w wypadku Franco Magnaniego, malarza mającego obsesję na punkcie wioski, w której spędził dzieciństwo, mój ograniczony horyzont sprawił, że krąg moich znajomych znacznie zmalał – nie mam już do kogo zadzwonić.

Jake i Emma wrócili do domu wczoraj wieczorem, a na lotnisku witał ich tłum przyjaciół i znajomych uzbrojonych w transparenty i pluszowe zwierzątka. Jake zadzwonił z domu, by poinformować mnie, że już wrócili.

– Mogę porozmawiać z Emmą? – zapytałam, gdy już mieliśmy się rozłączyć.

– Już zasnęła.

– A jutro?

– Oczywiście – powiedział. Chwila pauzy, po czym dodał: – Nie mogę uwierzyć, że to jest prawda.

Przez tak długi czas każda minuta poświęcona była poszukiwaniu Emmy. Teraz nie jestem pewna, co powinnam ze sobą zrobić. Włączam telewizor – *Poszukiwacze zaginionej arki*. Z trudem trzymam oczy otwarte. Myślę o Emmie, która jest w domu, we własnym łóżku. Wyobrażam sobie Jake’a siedzącego przy niej i czekającego, aż zaśnie. W pewnym momencie, powodowany zmęczeniem, postanawia pójść do swojego pokoju. Zatrzymuje się w progu. Nie jest w stanie jej opuścić. Stoi tam całą noc, obserwując, jak jego córka, jego piękne dziecko, oddycha. Może w pewnym momencie Emma budzi się i płacze, a Jake szybko podbiega do łóżka. Przez chwilę, zaskoczona, nie rozpoznaje go. Nie rozpoznaje łóżka, pokoju, pluszowych zwierzątek. „Gdzie jest Teddy? – pyta. – Gdzie jest Jane?” I zastanawiam się, jak Jake odpowiedziałby na te pytania.

W telewizji są eksplozje, węże, Kate Capshaw w skórzanym kostiumie kąpielowym pływa w błotnistej rzece. Para w sąsiednim pokoju uspokoiła się, na korytarzu słychać śmiechy. Nadchodzi sen.

Wstrząs. Pukanie do drzwi. Rytmiczne, pełne energii pukanie, w taki sposób, w jaki Annabel zawsze pukała do mojego pokoju, gdy byliśmy dziećmi, nasz sekretny kod. Przez chwilę dochodzę do siebie, myśląc, że pukanie mi się śni, jednak słyszę je ponownie. Rozprostowuję sukienkę – jedną z kilku rzeczy, które kupiłam dziś rano na otwartym targowisku nieopodal hotelu – i otwieram drzwi. Widzę mężczyznę średniego wzrostu, mocno zbudowanego, ubranego w kubańską koszulę, słomkowy kapelusz i luźne spodnie w kolorze khaki. Na pewno jest Amerykaninem, ale jest w nim coś dziwnego. Zupełnie nie wygląda jak turysta przemierzający ulice

San José, oglądający się przez ramię i kurczowo ściskający portfel.

– Wiggins – mówi, wchodząc do pokoju. – Ładne miejsce.

– Dziękuję.

– Nie mówiłem poważnie – dodaje.

– Proszę?

– Na temat pokoju. Żartowałem.

– Aha. No tak.

Nie jestem przygotowana na promienne usposobienie Wigginsa. Wyobrażałam sobie faceta w kamizelce kuloodpornej i wojskowych butach, krzyczącego coś przez krótkofalówkę. Para w sąsiednim pokoju znowu zaczyna.

– Przepraszam za efekty dźwiękowe – mówię.

– Proszę nie przeproszać. Przecież nie planowała pani tego – odpowiada. Dzwoni czymś w kieszeni i wyciąga solidne kółko z kluczami. – Gotowa?

– Dokąd jedziemy?

– Na posterunek policji. Chodzi o identyfikację.

– Proszę?

– Musi pani zidentyfikować tych dwoje.

– Chce mi pan powiedzieć, że ich złapaliście? – Zbyt piękne, by było prawdziwe.

– Tak. Jestem całkiem pewny, że ich mamy.

Ubiegłej nocy przez telefon wyjaśniałam Wigginsowi wszystkie szczegóły. Wyobrażałam sobie, że poszukiwanie Teddy’ego i Jane zajmie tygodnie, a może nawet miesiące. A teraz coś się wyjaśnia. Zastanawiam się, czy to tylko tyle. On łapie złych ludzi, a ja ich identyfikuję. Po tych wszystkich miesiącach poszukiwań wydaje się to zbyt łatwe. Jakaś część mnie chciałaby być obecna przy aresztowaniu, chciałaby widzieć tych ludzi

zatrzymywanych przez grupę uzbrojonych policjantów. Może nawet chciałabym, by dokonało się to przy użyciu grupy antyterrorystycznej, w obecności ekip telewizyjnych, wśród wystrzałów z broni palnej. Chciałam, by choć przez chwilę poczuli strach, jaki musiała czuć Emma, gdy ją zabierali. Chciałam, by poznali uczucie przygniatającego przerażenia.

Przed hotelem stoi opancerzony jeep z kilkoma antenami. Ma wysokie zawieszenie i jest mocno pochłapany błotem. Wiggins otwiera drzwi od strony pasażera. Wewnątrz widzę mnóstwo rozmaitych gadżetów. Siada za kierownicą i włącza silnik. Nie warczy, tak jak się tego spodziewałam, tylko wydaje cichy pomruk, taki jak niewielka toyota.

– Co to jest? – pytam. – Czy jakiś satelita umieszczony w kosmosie przekazuje naszą rozmowę prosto do Waszyngtonu?

– Coś w tym rodzaju – odpowiada. Pochyla się i mówi w kierunku dźwigni zmiany biegów: – Biały śnieg zbiera się przy czerwonych drzwiach. – Prostuje się i płynnie, jednym ruchem wyjeżdża z nieprawdopodobnie ciasnego miejsca parkingowego.

Lubię tego faceta. Wyobrażam sobie, że w innym życiu moglibyśmy być przyjaciółmi. Zaprosiłabym go na przyjęcie, a on opowiadałby pasjonujące historie o międzynarodowych intrygach, wypełnione czarnymi charakterami i skomplikowanymi, niewiarygodnymi zwrotami akcji.

– Gdzie oni byli? – pytam. – Jak ich złapano?

– Kostarykanie zatrzymali ich kilka godzin temu. Spali w furgonetce, takiej, jaką pani opisała. Pasowali do portretów pamięciowych. Parkowali na polnej drodze przy plaży, zaledwie kilka kilometrów od Manuel Antonio.

– Żartuje pan.

– Nie. Przeciętny przestępca nie jest zbyt inteligentny.

– Rozmawiał pan z nimi?

– Cóż, może „rozmowa” to niezbyt dobre słowo. Ale odpowiedź brzmi

„tak”. Przyznali się. Identyfikacja to tylko formalność.

– A co z Lisbeth? Mówili coś o niej?

– Zapłaciła im dziesięć tysięcy dolarów.

– Nie rozumiem. Jakie mieli plany? Zamierzali już na zawsze zamieszkać tu z Emmą?

– Wygląda na to, że nie wybiegali zbyt daleko w przyszłość. Lisbeth powiedziała policji w San Francisco, że po prostu chciała spędzić z Emmą trochę czasu. Twierdziła, że Jake nie pozwalał się z nią spotykać i nie wiedziała, co ma zrobić. Według niej po prostu sprawy wymknęły się spod kontroli.

– To nie ma żadnego sensu.

– Takie rzeczy rzadko kiedy mają sens. Właśnie to mam na myśli, mówiąc, że przestępcy zwykle nie są zbyt inteligentni. Większość z nich nie potrafi dopracować planu do końca. Mają w głowie jeden pomysł, jedną możliwość: idealny scenariusz, w którym wszystko idzie po ich myśli i zakończenie jest perfekcyjne. Ale kiedy jedna mała rzecz idzie źle, gdy fragmenty układanki nie pasują do siebie, nie potrafią przebudować planu tak, by znaleźć jakieś sensowne rozwiązanie.

Jedziemy krętymi drogami przez Quepos – mijamy boisko szkolne, na którym dzieci grają w piłkę, dworzec autobusowy, sklep z warzywami, białe kościoły, zniszczone budynki i nieliczne hotele. Wkrótce miasto ustępuje miejsca dżungli i tłuczemy się samotnie przez dziurawą polną drogę, a gałęzie drzew smagają naszego jeepa.

– Więc – mówię, łapiąc oddech – od kiedy pan się tym zajmuje?

– To nie jest moja codzienna praca. Bardziej jestem, jak by to nazwać, strażnikiem pokoju.

Sposób, w jaki wymawia słowa „strażnik pokoju”, z pewnością nie ma w sobie ani odrobiny pacyfizmu.

Nagle dżungla przejaśnia się i wyjeżdżamy na odsłonięty fragment terenu, gdzie ostro skręcamy na niedawno wybrukowaną drogę. Zapach smoły unosi się w rozgrzanym powietrzu. Wielki ręcznie malowany znak drogowy dużymi czerwonymi literami ogłasza „*Bienvenida*”. Wygląda na to, że to bardzo ważna sprawa dla miejscowości, która jest zlepkiem drewnianych domów, straganu z owocami, kaplicy i parterowego budynku z cegły ustawionych po obu stronach nowej drogi. Wiggins parkuje jeepa przed wejściem do kaplicy, gdzie starsza kobieta sprzedaje różne rzeczy rozłożone na małym stoliku: trzy plastikowe grzebienie, kilka ciepłych oranżad w plastikowych butelkach i kostarykańskie krajobrazy namalowane na drewnie.

– Tędy – mówi Wiggins, wskazując kierunek. – Nie pytałem jeszcze, skąd zna pani Nicka.

– Jestem fotografem. On był moim klientem. A pan skąd go zna?

– Pracowaliśmy kiedyś razem w ONZ czy jakoś tak.

– Nigdy nie wspominał, że pracował w ONZ.

– Założę się, że o wielu rzeczach pani nie wspominał.

Zatrzymujemy się przed budynkiem z cegły. Nic specjalnego, zwykły, parterowy budynek z drewnianymi, niemalowanymi drzwiami i kilkoma brudnymi oknami. Na budynku rośnie dzika bugenwilla.

– Jest pani gotowa? – pyta Wiggins.

– Niezupełnie.

Patrzę w ziemię i głęboko wciągam powietrze, dodając sobie odwagi. Moje stopy mają jasne paski skóry – pozostałość po klapkach, które nosiłam po przylocie do Kostaryki. Teraz, w nowych skórzanych sandałach, które kupiłam dziś rano, czuję się jakby nie na miejscu.

Wiggins otwiera drzwi i gestem zaprasza mnie do środka. Wewnątrz działa klimatyzacja, a pokój pachnie gazetami i tanią wodą kolońską. Trzech

mężczyzn w mundurach gra w warcaby i popija piwo przy stoliku ustawionym w rogu.

– *Hola!* – mówią.

Wygląda na to, że wszyscy znają Wigginsa. Ogromny mężczyzna wstaje, by się z nami przywitać. Uśmiecha się szeroko, odsłaniając przy tym błyszczący srebrem aparat ortodontyczny. Przez kilka minut Wiggins rozmawia z nimi po hiszpańsku, po czym mężczyzna z aparatem wyprowadza nas z pokoju.

Przechodzimy przez metalowe drzwi i idziemy korytarzem, w którym znajdują się puste cele, po trzy z każdej strony. W korytarzu unosi się zapach przypalonej kawy i odór ludzkiego ciała zmieszany z mdłym smrodem uryny. Mój żołądek wywraca się na drugą stronę: strach, złość, zdenerwowanie, wszystko się w nim kotłuje. Oficer przekręca wielki klucz i otwiera drzwi. W ustach mam sucho, a dłonie chowam do kieszeni, by ukryć to, jak bardzo się trzęsą. Przez ostatnie jedenaście miesięcy ciągle przygotowywałam się na coś, wyobrażałam sobie różne wydarzenia i próbowałam dodać sobie siły, by się z nimi zmierzyć. Za każdym razem jednak takie zdarzenie było niespodzianką, której nie mogłam przewidzieć, i żadne moje przygotowania nie zdawały egzaminu.

Wchodzimy do małego pokoju. Drzwi zamykają się za nami. Kraty rozciągają się na całej szerokości pomieszczenia, a za nimi znajduje się tuzin mężczyzn i kobiet ubranych w zwykłe, codzienne ubrania, wyglądających na znudzonych i spoconych. Nie ma tu klimatyzacji, jedynie kilka wiatraków ustawionych po tej stronie krat, dmuchających do środka celi.

Człowiek z pękiem kluczy potrząsa nimi nieznacznie. Wentylatory wirują z delikatnym szumem.

– No i? – pyta Wiggins.

Nie muszę przyglądać się twarzom, nie muszę się zastanawiać. Są tam,

siedzą na ławce w tylnym rzędzie. Jej włosy są ciasno spięte w kucyk, dokładnie tak, jak to zapamiętałam. On przybrał trochę na wadze, twarz stała się pulchniejsza, ale to na pewno on. Jestem zdziwiona, że nie wyglądają przerażająco, nawet nie wyglądają na przestępców. Szukam jakichś rodzinnych cech, które mogą łączyć Teddy'ego i Lisbeth, ale nic nie znajduję. Teddy i Jane siedzą blisko siebie, prawie przytuleni, trzymają się za ręce, tak jak pary, które czasami widywałam w kościele, gdy byłam dzieckiem, pary, które bez wątpienia tam nie pasowały, a zostały zapędzone w zamian za świątecznego indyka lub używane ubrania.

Oboje patrzą w podłogę. Teddy przytupuje stopą i obgryza paznokcie. Zachowuje się całkiem inaczej niż tamtego dnia na Ocean Beach – brak mu te przesadnej pewności siebie, charakterystycznej dla mężczyzny przekonanego o swym wdzięku. Kilka dni temu, widząc, jak chuda jest Emma, chciałam go zabić. Teraz złość pozostała, ale nie ma już tak wielkiej wściekłości. Jej miejsce zajął nieprzyjemny ucisk w żołądku.

– To oni – mówię, pokazując w kierunku końca celi.

– Którzy?

– Na ławce – tłumaczę. – Blondyni.

Kobieta unosi głowę, tak jakby ktoś wywołał jej imię. Szukam jej wzroku, staram się ocenić wyraz jej twarzy. Czy wypisane są tam wyrzuty sumienia? Złość? Strach? Nie widzę. Jej twarz jest pusta, wzrok otępiały. Szukam jej spojrzenia, zdeterminowana, by się z nią zmierzyć, choćby tylko w taki sposób, ale szybko patrzy w inną stronę.

– Jest pani pewna? – pyta Wiggins.

– W stu procentach – potwierdzam.

Setki razy przechodziłam przez ten moment w myślach. Wyobrażałam sobie właściwe zdania, właściwy ton, który sprawiłby, że porywacze Emmy zrozumieliby okrucieństwo swojego czynu. W wyobraźni zawsze

znajdowałam sposób, by zemścić się na nich za pomocą najbardziej ostrych i szczerych słów. Teraz gardło mam ściśnięte, usta suche tak, że nie jestem w stanie wydusić słowa.

Wychodzimy z pokoju, idziemy korytarzem i wchodzimy do klimatyzowanego pomieszczenia, w którym bardzo głośno pracuje przestarzała lodówka.

– I co teraz? – pytam.

– Odwiozę panią do hotelu – mówi Wiggins. – Zdaje się, że jest pani gotowa do powrotu do Kalifornii.

– A oni? Teddy i Jane?

– Postawimy im zarzuty, a potem dokonamy ekstradycji. Zadzwonię do pani ze wszystkim szczegółami.

Na zewnątrz zaczął padać drobny deszcz. Słyszę, jak uderza w drzewa, chodnik i ulicę. Jesteśmy na kompletnym odludziu, na hektarze ziemi otoczonym dżunglą, która zdaje się zamykać nad nami. W oddali majaczą góry, ciemnym brązem odcinające się od jasnego nieba.

Wiggins otwiera drzwi jeepa od strony pasażera, po czym idzie na swoją stronę i wsiada do środka.

– Delta 687 – mówi, wkładając kluczyk do stacyjki.

Brzmi to jak jakiś tajny kod i wyobrażam sobie, że kilku agentów siedzących w dalekim rządowym pomieszczeniu pochyla się nad głośnikiem, nasłuchuje i podejmuje ważne decyzje w oparciu o ten strzępek informacji. Ten świat międzynarodowych wpływów, w którym Wiggins – i pewnie także Nick – przebywa, jest tak bardzo oddalony od mojego życia, jak surferska społeczność jeszcze kilka miesięcy temu. Ponownie przypominam sobie, jak wiele zmienił ten jeden moment nieuwagi na Ocean Beach, jak przekształcił moje życie w nieodwracalny już sposób.

– Słucham? – mówię.

– Delta 687. To dla pani najlepsze połączenie lotnicze. Samolot odlatuje jutro o dziewiątej rano.

– Oczywiście. Myślałam, że...

Wiggins włącza silnik i patrzy na mnie.

– Tak?

– Nie, już nic.

Oglądam przesuający się za oknem krajobraz – góry, ogromne, dziko rosnące rośliny, małe domki z brązowymi, zakurzonymi podwórkami. Dociera do mnie, że będzie mi ich brakowało. Będzie mi brakowało wielu rzeczy związanych z tym krajem.

Jutro jest 22 czerwca. Jutro wracam do domu.

ROZDZIAŁ 80

Chłodne popołudnie nad Zatoką Meksykańską, zbierało się na burzę. Trzecia po południu, niebo ciemne jak wieczorem. Zbliżał się huragan Berta, a matka wysłała mnie i Annabel do sklepu po zakupy. Nasz koszyk był wypełniony dużymi butelkami z wodą destylowaną, puszkami zup Campbella, tuńczykiem, butelkami gatorade, dwiema nowymi latarkami i tuzinem baterii. Półki były opustoszałe, a przejścia między nimi wypełnione klientami w przedhuraganowym stanie emocjonalnym. Kolejka do kasy ciągnęła się aż do stoiska z mięsem, które znajdowało się w drugim końcu sklepu. Facet stojący przed nami, którego koszyk wypełniony był makaronem, kilkoma rolkami srebrnej taśmy klejącej, heinekenem i pudełkiem białych świec, odwrócił się i uśmiechnął do mnie. Miał czarne, króciutko przystrzyżone włosy i koszulkę z emblematem Uniwersytetu Arizona.

– Podekscytowana? – zapytał.

– Czym?

– Huraganem.

Annabel przewróciła oczami i uszczypnęła mnie w łokieć. Wzruszyłam ramionami.

– Nie bardzo.

– To mój pierwszy – powiedział. – Dopiero co przeprowadziłem się z pustyni – dodał. Patrzył na moje nogi, a ja wiedziałam, że jest

wystarczająco dorosły, by nie powinien patrzeć na mnie w taki sposób. – Dasz mi jakieś rady?

– Płyty – powiedziałam. – Nie taśma klejąca.

Popatrzył lekko zdziwiony.

– Do okien – wtrąciła Annabel tonem, który miał wskazywać, że jest najgłupszym facetem na świecie.

– Zasłaniasz okna płytami pilśniowymi – wyjaśniłam. – Taśma klejąca to tylko półśrodek.

Oparł ciężar ciała na jednej nodze, a gdy to zrobił, koszulka uniosła się, ukazując linię włosów poniżej brzucha. Zauważył, że tam patrzę, i powiedział:

– Coś jeszcze?

Poczułam rumieńce na twarzy, ale nie przejęłam się tym – dobrze się bawiłam. Wyjęłam pudełko świeczek z jego koszyka.

– A to po co? Na romantyczną kolację?

Puścił do mnie oko.

– Czekasz na zaproszenie?

– A zapraszasz?

Annabel założyła ręce na piersiach.

– Błagam – powiedziała, strzelając gumą.

– A tak poważnie – rzekł, nachylając się w moją stronę. – Co złego jest w świeczkach?

– To nie piknik, gdy nie będzie światła. Potrzebujesz lamp huraganowych i latarek – wyjaśniłam. Wyrzuciłam świeczki i wyjęłam jedyną butelkę wody.

– Będziesz potrzebował więcej tego, chyba że zamierzasz pić prosto z basenu sąsiada. Ostatnio nie mieliśmy wody przez dziewięć dni.

Kolejka posunęła się do przodu. Biodrem popchnął koszyk.

– Jestem zupełnie nieprzygotowany – powiedział. – Potrzebuję własnego doradcy huraganowego.

– Ile płacisz?

– Możemy negocjować – odparł, kładąc ciepłą dłoń na moim ramieniu i wsuwając palec pod ramiączko mojej bluzki.

– Boże – wtrąciła się Annabel. – Ona przecież jeszcze nawet nie może się legalnie pieprzyć.

– Nie zwracaj uwagi na moją siostrę – powiedziałam. – Ona wielbi Szatana.

Kilka minut później stał przy naszym kombi i pomagał mi załadować zakupy do bagażnika. Annabel stała z boku z założonymi rękami i przyglądała się nam. Nad parkingiem ptaki z trudem fruwały, a światła drogowe na Hillcrest Road kołysały się targane podmuchami wiatru. Gdy wszystkie torby były już w samochodzie, zamknął drzwi i wyciągnął do mnie dłoń.

– Ramon.

– Abigail – odpowiedziałam.

Jego dłoń była ciepła i całkowicie pochłonęła moją. Trzymał mocno przez kilka sekund, zanim wypuścił ją z uścisku.

– A zatem – powiedział – czy pójdę do więzienia, jeśli poproszę cię o numer telefonu?

Annabel złapała się za brzuch, zgięła w pół i udawała, że wymiotuje.

– A może to ty dasz mi swój numer? – Wiedziałam, że jeśli on zadzwoni do mnie, rodzice będą mieli mnóstwo pytań, na które nie będę mogła odpowiedzieć.

Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wyjął skórzany portfel, z którego wyciągnął wizytówkę. „Ramon Gutierrez. Portrety i fotografia”. Wsunęłam kartonik do portmonetki i otworzyłam drzwi od strony kierowcy.

– Wsiadaj – powiedziałam do Annabel, która wyglądała tak, jakby chciała podejść i trzasnąć Ramona.

Po raz ostatni zmierzyła go wzrokiem i powiedziała:

– Mam dla ciebie dwa słowa, mój panie. Skończysz w więzieniu.

Ramon zignorował ją. Poczekał, aż Annabel wsiądzie do samochodu, roztarł czubkiem buta płamę oleju na asfalcie i cichutko spytał:

– Zadzwonisz?

– Tak.

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy, że byłam na początku czegoś, że każdy wybór prowadzi do kolejnego, ten do następnego i następnego, tak że pojedyncza decyzja, sprawiająca wrażenie nic nieznaczącej, odciska piętno na całym życiu. Nie wiedziałam, że ten moment pomoże mi ukształtować moje życie, że po śmierci Ramona spędzę kilkanaście lat na poszukiwaniu kogoś, kto pokocha mnie tak mocno jak on. Dopiero teraz rozumiem, że to poszukiwanie doprowadzi mnie do Jake'a, a potem także do Emmy.

„Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki” – mówił Heraklit z Efezu. Rzeka zmienia się w każdym momencie, dlatego nigdy nie będzie to taka sama rzeka. Wszystko we wszechświecie jest w stanie ciągłej zmiany. Wszystko się zmienia. Nic nie pozostaje takie samo.

Gdy jakiś moment przeminie, nie powtórzy się już nigdy więcej. Każdy wybór, którego mogłaś dokonać, już się dokonał. Ja chcę wejść ponownie do rzeki. Chcę to odzyskać – czas, wybór, małe, bezpowrotnie stracone sekundy.

ROZDZIAŁ 81

Wspólna zabawa. Tak właśnie nazywa to Jake. Jest na drugim końcu linii telefonicznej i po jego stronie słysząc spory hałas: telewizor, stukanie naczyń, głos Emmy w tle.

– Pomyślałam, że mogłabym ją gdzieś zabrać – mówię. – Może na zakupy albo do zoo.

Od dwóch tygodni po powrocie z Kostaryki codziennie starałam się z nimi spotkać. Dwa razy byłam u nich na kolacji. Emma jadła w milczeniu, a Jake i ja prowadziliśmy niezgrabną rozmowę na temat pracy. Uderzyło mnie to, że podobne rozmowy prowadzili moi rodzice, kiedy już ich związek rozpadł się, gdy już nic ich nie łączyło, gdy jedynie udawali. Kiedy byłam tam ostatnim razem, Jake wyszedł ze mną na zewnątrz. Drzwi wejściowe były lekko uchylone, a on ciągle spoglądał do środka, tak jakby Emma w każdej chwili mogła zniknąć.

Staliśmy przy samochodzie, a z jednego z domów dobiegała głośna muzyka – prawdopodobnie impreza licealistów pod nieobecność rodziców. Otuliłam się szczelniej kurtką. Uliczne światła odbijały się we mgle. Podeszłam do niego i położyłam głowę na jego piersiach.

– Brakuje mi ciebie.

Nic nie odpowiedział.

Objęłam go.

– Może moglibyśmy spróbować jeszcze raz.

Długa pauza. Jego ciało rozluźniło się nieco. Przez chwilę poczułam nadzieję, rysującą się możliwość.

– Abby – powiedział.

Moje imię. To wszystko. W sposobie, w jaki to powiedział, czuć było ciężar, rezygnację. Wsiadłam do samochodu i odjechałam.

To było pięć dni temu. Teraz staram się brzmieć radośnie, tak jak szczęśliwa platoniczna przyjaciółka, która chce zabrać jego córkę na spacer.

– Z przyjemnością wzięłabym Emmę, żebyśmy się rozerwały. Tak rzadko ją widuję, odkąd... wróciła.

Pauza. Wyobrażam sobie, że oddała się z zasięgu słuchu Emmy.

– Na wspólną zabawę? – pyta cicho.

– Ty też jesteś zaproszony – dodaję.

Nagle czuję, że coś śmierdzi, i zdaję sobie sprawę, że na kuchence przypalają się jajka. Biegnę do kuchni, wyłączam palnik, wrzucam szerniałe jajka do zlewu i otwieram okno.

– Wszystko w porządku? – pyta.

– Tak. Mały wypadek w kuchni – mówię i od razu żałuję tych słów. Każdy taki mały wypadek jest kolejnym dowodem na moją niekompetencję i brak odpowiedzialności. Każdy taki wypadek dopisuje się w jego umyśle do długiej listy dowodów wskazujących, że nie powinnam spędzać czasu z Emmą.

Słyszę, że chodzi.

– Kiedy chciałabyś ją zabrać?

– Może w ten weekend? Kiedy wam pasuje.

– Zgoda.

W umówionym dniu dwie godziny spędzam na przygotowaniach. Cztery razy zmieniam wygląd. Upinam włosy, to znowu je rozpuszczam. Dzwonię

do Annabel, która za tydzień ma rodzić. W środę wylatuję, by się z nią zobaczyć, i zostanę u niej do momentu narodzin dziecka.

– Pomóż mi – mówię. – Zaraz zwariuję. Próbowałam już trzech odcieni szminki.

– Weź głęboki oddech – uspokaja mnie. – To nie wybory Miss Ameryki. Idziesz do zoo.

Zoo. Nie myślę o tygrysach i żyrafach, gadach i pingwinach. Myślę o tym, ile metrów kwadratowych powierzchni ma zoo. Ile ma różnych zakamarków, ile łazienek, ile niebezpiecznych miejsc.

– Jestem przerażona.

– Dasz sobie radę.

Chcę jej wierzyć. Przypominam sobie, że to ja przecież odnalazłam Emmę. Mój instynkt nie mylił się, moja determinacja się opłaciła. To na pewno coś znaczy dla Jake'a.

Dzwonię do drzwi jego domu. Przez mniej więcej minutę nic się nie dzieje, więc dzwonię ponownie. Słyszę jakiś ruch w środku, kroki na schodach. Drzwi się otwierają.

– Cześć – mówi Jake.

Zerkam w stronę salonu.

– Jest już gotowa? – pytam.

Telewizor ustawiony jest na stację TV Land. Właśnie leci serial *Ożeniłem się z czarownicą*, jeden z pierwszych, czarno-białych odcinków.

– Słuchaj, Abby... – mówi.

Nie musi kończyć. Wiem już, o co chodzi. Czuję, jak moje serce się zapada. Jake przestępuje z nogi na nogę. Jedną rękę trzyma na klamce i wygląda na to, że nie zamierza mnie wpuścić do środka.

– Emma nie jest... nie czuje się najlepiej.

Zaglądam na korytarz i widzę Emmę stojącą w progu swojego pokoju. Z tej odległości wygląda całkiem dobrze.

– Cześć, kochanie – wołam do niej.

Uśmiecha się i macha ręką. Jake wychodzi na zewnątrz, zamykając za sobą drzwi.

– Co jej jest? – pytam, starając się kontrolować emocje.

– Proszę?

– Co to jest? Grypa? Gorączka?

– Brzuch ją bolał. Prawdopodobnie zjadła coś nieświeżego.

– Mogłabym zostać tutaj i pomóc.

Schyla się, by podnieść ulotkę jakiejś pizzerii, którą ktoś zostawił na wycieracze.

– Widzisz, to nie jest najlepsza pora.

– Jutro. Może przyjdę jutro?

Wkłada ręce do kieszeni. Unika mojego wzroku.

– Nie wiem.

– Proszę, nie rób tego.

– Przykro mi – mówi. – Potrzebuję trochę czasu. Potrzebujemy trochę czasu, tylko Emma i ja.

– Ile czasu?

– Nie wiem. Jest taka zdezorientowana: Lisbeth, Teddym, Jane, wszystkim.

Klepie mnie jeden raz w ramię, niezdarnie, a potem wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi.

Wewnątrz słysząc jego kroki, wchodzi po schodach. Odwracam się, by odejść, ale nie potrafię. Wracam do drzwi i naciskam dzwonek. Żadnej odpowiedzi. Potem walę w drzwi, niczym jakaś lunatyczna wersja samej

siebie. Wiem, że nawet gdy zawołam go po imieniu, i tak nie otworzy.

Zdaję sobie sprawę z tego, jak absurdalnie muszę wyglądać, jak desperacko. Opierając się o drzwi, odczuwam starą, znajomą panikę. Nie mam jednak planu ataku, żadnej systematycznej metody, dzięki której mogłabym nadać sprawom właściwy bieg. Jake podjął decyzję – tym razem nie mam na nią wpływu.

Chciałabym myśleć, że po kilku miesiącach Jake będzie wspominał mnie jako tę, która nigdy się nie poddała, która nie ustała, gdy poszukiwania utknęły w miejscu, gdy zlikwidowano sztab, gdy policja zamknęła śledztwo, a pustą trumnę pochowano w ziemi. Chciałabym myśleć, że w końcu Jake znajdzie dla mnie miejsce w swoim życiu. Ale tak naprawdę wiem, że to tylko złudna nadzieja. Moment uniesienia, w którym dzwoniłam do Jake'a i mówiłam mu, że Emma jest bezpieczna, zawsze będzie przytłoczony miesiącami udręki i strachu. Dla niego zawsze będę nie tą, która znalazła Emmę, ale tą, która ją zgubiła. Tą, która odwróciła wzrok.

Nie wiem, jak długo stoję na małym kawałku trawnika, wpatrując się w okno pokoju Emmy. Ziemia wydaje mi się niepewna, tak jakby trawa pod moimi stopami w każdej chwili mogła się przesunąć. I nagle, przez krótką chwilę, przesuwa się. Nie więcej niż dreszcz, szept wewnątrz Ziemi. Tak łagodny, tak delikatny, że nawet nie wspomną o nim w wiadomościach lub w gazetach. Ale gdzieś, w jasnym budynku wypełnionym sprzętem, poruszyła się igła odnotowująca drganie. Być może seismolog siedzący samotnie w pokoju zapadł w drzemkę. Być może odgłos maszyny budzi go. Wstaje z krzesła i podchodzi do seismografu. Może sporządza notatki i czci w swym naukowym sercu złożoność płyt tektonicznych.

Po chwili wsiadam do samochodu i jadę przez Lincoln w kierunku oceanu. Skręcam w prawo na Great Highway i przejeżdżam obok Beach Chalet, później przez wzgórze, mijam Cliff House i wjeżdżam na parking

przy Land's End. We mgle idę w dół skalistą ścieżką do dawnych Sutro Baths. Jest odpływ i w starym zbiorniku widzę bajoro mętnej wody, w której pływają różne rzeczy – puszki po piwie, piłka, popsuta boja oblepiona wodorostami. Spacerując pośród ruin, rozmyślam o utonięciu na plaży w Gulf Shores, którego byłam świadkiem, gdy miałam dziewięć lat. Pamiętam, że w drodze powrotnej do domu matka płakała cicho na przednim siedzeniu, co kilka sekund odwracając się i patrząc na nas. Annabel spała, a jej opalone nogi opierały się na moich kolanach. Czułam się bardzo odsłonięta, tak jakby nasi rodzice widzieli nas – zauważali – po raz pierwszy. Byłam świadoma jakiejś niewygodnej zmiany w naszych wzajemnych relacjach. W tamtym momencie czułam, że rodzice kochają nas zbyt mocno, a ja nie byłam w stanie unieść ciężaru tej miłości.

Oczywiście miałam tylko dziewięć lat. Jak wiele z tego uświadamiałam sobie w tamtym momencie i jak wiele dodaję teraz, z perspektywy dwudziestu czterech lat? Dwadzieścia cztery lata, a ja nie mogę wyrzucić z siebie tego wspomnienia. Nie tylko obrazy – martwy chłopiec leżący na piasku, płacząca matka z ogromnymi piersiami, mała jasna kropka kremu przeciwsłonecznego na nosie chłopca, tłum kobiet stojących wokół zniszczonej rodziny – ale też i emocje. Wszystko to jest dla mnie idealnie jasne, tak jakbym doświadczyła tego przed kilkoma chwilami.

I zastanawiam się, jakie wspomnienia będzie miała Emma po dwudziestu latach od tej chwili, co zostanie w niej z tych jedenastu miesięcy nieobecności. Czy będzie pamiętała strach, czy tylko zamieszanie? Czy będzie patrzyła na klatkę piersiową swojego chłopaka i będzie myślała o Teddym, o tatuażu zakręcającym się delikatnie niczym fala? Czy będzie pamiętała wnętrze furgonetki, zapach sera, który porywacze zawsze trzymali w turystycznej lodówce? Czy ocean będzie dla niej zdradzieckim miejscem, w którym mogą przydarzyć się nieprzewidziane rzeczy? Czy może kiedyś

wyberze się na wycieczkę do Kostaryki z własnymi dziećmi i dozna tam uczucia spokoju, przynależności? Może poszuka małej restauracji, w której siedziała z Teddym i Jane i popijała koktajl z mango.

Oczywiście są też inne rzeczy, które może zapamiętać. Rzeczy, które będą ukazywały się powoli, o których powie Jake'owi terapeuta. Czasem Teddy i Jane wszczynali potworne kłótnie, awantury, które kończyły się biciem, i raz nawet trzeba było jechać do szpitala, gdzie Jane nałożono gips na złamaną rękę. To musiało być przerażające dla Emmy przyzwyczajonej do spokoju Jake'a, do jego łagodnego temperamentu. Raz, by ją ukarać za małe przewinienie, zostawili ją na całą noc i cały dzień w domu przyjaciela, bez jedzenia, tylko z paczką makaronu i kawałkiem sera. Emma powie terapeutce, że mieszała makaron i ser z wodą z kranu, ponieważ wiedziała, że nie wolno jej korzystać z kuchenki. To była jedna z reguł wprowadzonych przez Jake'a, której zawsze przestrzegała: nigdy nie używała kuchenki bez nadzoru kogoś dorosłego.

Kilka razy pojawiała się Lisbeth i opowiadała Emmie własną wersję historii – że nigdy nie chciała opuścić Emmy, że Jake ją wygonił, gdy poznał mnie. Z czasem Emma musiała uwierzyć w jej kłamstwa.

To jest to, co wiem: wszystkie wspomnienia, z którymi musi zmagać się Emma, są moją winą. Spacerowałyśmy po plaży. Był letni poranek, mglisty i bardzo chłodny. Odwróciłam wzrok i popatrzyłam na martwą fokę. W tym momencie zegar zaczął pracować, a mentalna mapa Emmy zaczęła się zmieniać. Taka jest prawda. Nie ma od tego żadnej ucieczki. Myślę o „S”, człowieku, który nie potrafił zapomnieć. W pewnym sensie wszyscy niesiemy jego brzemię. Pamięć jest ceną, jaką płacimy za indywidualne osobowości, za przywilej poznania intymnych samych siebie. To cena, jaką płacimy zarówno za nasze zwycięstwa, jak i porażki.

Wyobrażam sobie swoją pamięć z całego poprzedniego roku jako

nowotwór zagnieżdżony głęboko w hipokampie. Mała, czarna rzecz, która nigdy nie urośnie, ale także nigdy mnie nie opuści, twarde guz na wdzięcznym labiryncie mózgu. Malutki niczym migdał, ale wywierający ciągły nacisk.

Kilka dni temu poszłam do biblioteki publicznej i zwróciłam książki na temat pamięci, które przyniosła dla mnie Nell. Było już kilka miesięcy po terminie. Taniej wyszłoby je prolongować, niż zapłacić karę, ale nie chciałam trzymać ich w domu. Chciałam po prostu zapomnieć o wszystkim, czego dowiedziałam się na temat pamięci, ponieważ żaden fragment tej wiedzy nie jest bezosobowy w taki sposób, w jaki znamy stolice obcych państw, liczbę pierścieni otaczających Saturna czy datę lądowania człowieka na Księżycu. Nie, to jest zasób wiedzy i informacji, który zawsze w moim umyśle będzie łączył się z tymi długimi miesiącami nieobecności Emmy – to przeklęta wiedza.

Jeśli to możliwe, wyczyściłabym swój umysł z Arystotelesa i Symonidesa, Szerieszewskiego i anonimowego N., i wszystkich rzeczy, które wydarzyły się od tamtego dnia na Ocean Beach. W ciągu ostatnich kilku lat naukowcy odkryli, że pamięć jest powiązana z konkretnymi genami. Manipulowanie owymi genami może być kluczem do kontrolowania tego, co pamiętamy, i tego, co zapominamy. W przyszłości może się okazać, że tuż po traumatycznych przeżyciach zażyjemy lekarstwo – coś w stylu tabletki „dzień po” – i wyeliminujemy z pamięci całe to wydarzenie. Nie będziemy musieli pamiętać gwałtu lub napadu rabunkowego, wypadków samochodowych lub porwań. Umysł dziecka mógłby być farmakologicznie zmuszony do tego, by zapomnieć dzień, w którym porwano je od rodziców, moment, w którym złamało rękę, lub chwilę, w której jego pies wpadł pod samochód. I niby dlaczego nie iść dalej? Być może całe jednostki pamięci mogłyby zostać usunięte – bolesny rozwód, upokarzająca praca, problemy na

studiach. Ta dobrowolna amnezja nie musiałaby ograniczać się do indywidualnego smutku. Wyobrażam sobie tysiące ofiar kataklizmów lub tragedii narodowych – trzęsienia ziemi lub terroryzm, tornado lub zabójstwo prezydenta – stojących w kolejce w szpitalach, oczekujących na swoją pigułkę na zapomnienie. Wtedy moglibyśmy stać się narodem zapominających, kulturą bez pamięci, bez smutku, bez żalu.

Na prawo od ruin polna ścieżka prowadzi do platformy widokowej, która niepewnie wychyla się ponad oceanem. Na początku dwudziestego wieku można było tu stać i obserwować Pacyfik lub pływaków skaczących z drewnianych platform do siedmiu basenów wypełnionych morską wodą. Cała struktura była zamknięta w gmachu z lśniącego szkła. Dziś Pacyfik spowity jest mgłą. Na wschodnim krańcu platformy znajdują się wąskie schody z zardzewiałą barierką, której brakuje kilku sporych fragmentów. Schody prowadzą stromo w dół, gdzie w cemencie wykuto dwie ogromne prostokątne dziury. Ze szczytu zaglądam do dziur, w ciemną wodę i ostre skały. Gdy byłam tu po raz ostatni, zeszłam schodami na sam dół i we wszystkich zakamarkach szukałam Emmy.

„S” nie miał wyboru, musiał pamiętać wszystko. Reszta ludzi pamięta tylko skrajne wydarzenia – momenty wielkiego szczęścia i rzeczy, które bolały nas najbardziej. Codzienne wspomnienia zanikają, twarze stają się rozmazane, a pokoje, w których mieszkaliśmy, tracą kształty i kolory. Nie możemy jednak uciec od najgorszych wspomnień. Miasto zawsze będzie pełne pułapek przypominających mi o poszukiwaniach Emmy. Metalowe śmietniki, ciemne alejki, sklepy, bary, biblioteki. Nie ma sposobu, by podczas ponownego odwiedzenia tych miejsc nie przypominały mi się te straszne rzeczy. W każdej dzielnicy, na każdej ulicy szukałam Emmy. Chciałabym myśleć, że te wspomnienia kiedyś przeminą. Ale nawet teraz w każdej chwili – w ciemni, w sklepie, w autobusie – mój umysł we własnym

rytmie będzie powracał do tamtego dnia. Niezmiennie powraca uczucie paniki, mój umysł zaczyna się nakręcać, żołądek przewraca się na drugą stronę. Umysł znów ze mną igra.

Z Sutro Baths kieruję się ścieżką w stronę restauracji Louis's, gdzie zaczyna się brukowany chodnik. Schodząc w dół, mijam Cliff House i Camera Obscura. Mgła jest tak gęsta, że Seal Rock jest praktycznie niewidoczne, z szarej wody wystaje jedynie niewyraźny kontur. Przy płatnym teleskopie zgromadziła się drżąca z zimna rodzina turystów ubranych w krótkie spodenki i sandały. Nie mam pojęcia, co chcą w taką pogodę zobaczyć. Pamiętam, gdy pierwszy raz jako nastolatka przyjechałam do San Francisco z rodzicami. Wycieczka była jedną z kolejnych matczynych prób „ocalenia rodziny”, ogólnikową frazą rzucaną przez nią za każdym razem, gdy napięcia pomiędzy nią i ojcem sięgały zenitu, a rozwód wydawał się nieuchronny. Rok po roku urządzaliśmy te ponure wycieczki – San Francisco, Chicago, Nowy Jork, Montreal.

Podczas wycieczki do San Francisco popłynęliśmy promem na Alcatraz. Na pamiątkę mieliśmy zdjęcia z wyjazdu: byłam ubrana w dżinsową minispódniczkę, nieprzyzwoicie krótką, a Annabel wyglądała pogrzebowo w gotyckim ubraniu i z czarnym eyelinerem wokół oczu. Jest też zdjęcie, na którym we dwie znajdujemy się w jednej z malutkich cel, które służyły jako izolatki. Stoimy z rękami wspartymi na biodrach, dotykamy się łokciami i nie uśmiechamy się. Obca osoba oglądająca to zdjęcie mogłaby dojść do wniosku, że jesteśmy siostrami, które zmuszono do ustawienia się obok siebie, że nie lubimy się, a do zdjęcia pozujemy po jakiejś okropnej kłótni. Pamiętam jednak, że było zupełnie inaczej. Pamiętam, że gdy płynęliśmy promem na wyspę, rodzice siedzieli wewnątrz, a Annabel i ja stałyśmy na pokładzie. Tuliłyśmy się do siebie, by się ogrzać, a łódź przedzierała się przez mgłę.

– Chciałabym, że się jakoś dogadali i przeszli przez to wszystko – powiedziała Annabel.

Mówiła o wspólnym życiu rodziców i o ich beznadziejnym małżeństwie.

– Ja też.

To był pierwszy raz od miesiący, gdy rozmawialiśmy o czymś sensownym. To długie, melancholijne lato wypełnione było ciszą, która zdawała się nie mieć końca. Rodzice prawie wcale nie rozmawiali ze sobą, a Annabel i ja również pograżyłyśmy się w dorosłym milczeniu, odzywając się tylko po to, by oznajmić najbardziej przyziemne rzeczy: „proszę, podaj mi sól”, „o której odlatuje samolot”, „spotkamy się przy Coit Tower o czwartej trzydzieści pięć”. Zupełnie nie czuliśmy się jak rodzina. Czuliśmy się jak czworo obcych sobie ludzi przypadkowo usadzonych w jednym przedziale pociągu, oczekujących, aż pozostali opuszczą pomieszczenie. W mrocznej celi więzienia Alcatraz to nie złość malowała się na naszych twarzach – to była nuda i poczucie bycia w niewłaściwym miejscu, w niewłaściwym czasie i w towarzystwie niewłaściwych osób.

Podczas rejsu promem z Alcatraz do przystani Annabel została w środku, jedząc hot doga i długie frytki wraz ze studentem, którego poznała w sklepie z pamiątkami. Stałam sama przy burcie i obserwowałam zbliżające się miasto. Skąpane we mgle San Francisco wyglądało jak miejsce ze snu, jak coś nierzeczywistego. To było piękne miasto, w przeciwieństwie do miejsc, w których byłam wcześniej. Myślałam o rodzicach siedzących w środku tak daleko od siebie, jak na to pozwalała długość ławki. Każde z nich pograżało się we własnym nieszczęściu, a cała złość dotychczasowych kłótni układała się na stosie pomiędzy nimi, tworząc niewidzialną, niemożliwą do sforsowania barierę.

Lata później, gdy rodzice byli w trakcie gorzkiego rozvodu, matka powiedziała mi:

– W każdym związku jest linia, po której przekroczeniu nie będzie już powrotu. W każdym związku ta linia jest w innym miejscu. Ojciec i ja przekroczyliśmy naszą dwadzieścia lat temu.

Przysięgałam sobie, że jeśli będę miała rodzinę, to zupełnie inaczej pokieruję tymi sprawami. Wyobrażałam sobie męża, dziecko, szczęśliwy i spokojny dom. Troje ludzi tak mocno związanych ze sobą, że nic nie mogło osłabić ich związku. W tamtych dniach nie wyobrażałam sobie swojej ogromnej zdolności do popełniania błędów. Wtedy nie rozumiałam, że jedna chwila, źle dokonany wybór, wzrok skierowany w złą stronę, może spowodować rysę w związku. Rysę, która z dnia na dzień będzie się powiększać, aż do momentu, gdy przepaść będzie nie do przeskoczenia.

Schodzę w stronę plaży. Mdły odór ryb unosi się w powietrzu. Brązowawy piasek upstrzony jest małymi niebieskimi meduzami, na których się ślizgam. Woda jest dziwnie spokojna. Po drugiej stronie Great Highway niczym jakaś prehistoryczna bestia nad parkiem Golden Gate wznosi się zepsuty wiatrak. Świeży zapach eukaliptusa miesza się z oceanicznym powietrzem. Zrzucam buty i pod stopami czuję zimny piasek. Mgła osiada na zachodnim krańcu lądu. Nie widać horyzontu, jedynie biel przechodzącą w szarość. Znow jestem pod wrażeniem wspaniałości tego miasta, jego niemożliwego i niebezpiecznego piękna.

Jakiś kształt porusza się plażą w moim kierunku. Surferka trzymająca deskę pod pachą, w kombinezonie do nurkowania połyskującym kropelkami wody. Niebieski pasek rozciąga się od ramion aż do kostki. Kobieta podnosi rękę i macha w moim kierunku. Oglądam się, by zobaczyć, komu może machać, ale nie ma tam nikogo. Gdy dystans między nami się zmniejsza, dostrzegam długie ciemne włosy i drobną figurę. Goofy.

– Wróciłaś – uśmiecha się szeroko, ukazując uroczy krzywy ząb.

– Dobrze cię widzieć.

– Ciebie też – mówi i ściska mnie. – Przepraszam, teraz jesteś cała mokra. Hej, gratulacje. Widziałam wiadomości. Odnalazłaś ją.

Potakująco kiwam głową.

– To zadziwiające – mówi. Przeszępuje z nogi na nogę. Długa pauza. – Naprawdę. Mówiłam o tym wszystkim znajomym. Całkowicie zadziwiające. Jak cud czy coś. Ciągle o tym myślę. To takie fajne – dodaje. Wyciąga rękę i łapie mnie za ramię. – Chyba przybrałaś na wadze.

– Staralam się.

– Jesteś gotowa na lekcje surfingu, tak jak obiecałaś?

– Pewnie. Kiedy?

– Może teraz?

Goofy kładzie mi rękę na ramieniu i nachyla się w moją stronę. Czuję wosk z jej deski, lekki grejpfrutowy zapach. Podcięła włosy, najpewniej sama – ma grzywkę, bardzo krótką, trochę nierówną.

– Ostatnia szansa. Pojutrze wyjeżdżam. Będę studiować, tak jak mówiłam.

– Gdzie?

– Fayetteville w Arkansas. Możesz w to uwierzyć? Mam tam znajomego, który załatwi mi niższe czesne. Poza tym jest tam tanio jak diabli. Żadnych plaż, żadnego surfingu, żadnych pokus.

– To wspaniale. Gratuluję.

– Więc? Co z lekcją?

Prawda jest taka, że nie mam dokąd pójść. Nie mam się z kim spotkać. Nie mam powodu, by odmówić. Kilka ostatnich miesięcy spędziłam w towarzystwie surferów, a jednak ani razu nie surfowałam. Przemierzyłam kilometry wybrzeża, ale nie pamiętam, kiedy ostatnio weszłam do wody.

– Dlaczego nie.

– Wspaniale. Chodźmy do mnie. Zorganizuję ci jakąś piankę i deskę.

Wkładam buty i idę plażą za Goofy, aż dochodzimy do parkingu. Wsiadam do jej samochodu, starego volvo kombi z usuniętym tylnym siedzeniem. Wkłada tam deskę i spokojnie dojeżdżamy do Great Highway. Szyby są opuszczone, z radia płynie muzyka – „każda piosenka jest powrotem, każdy moment jest chwilę później”.

– Boże – mówi Goofy, zmieniając stację. – Mam już dość tej piosenki – dodaje.

Omija stacje, w których akurat nadają jakieś wywiady, muzykę z lat osiemdziesiątych i w końcu zatrzymuje się na piosence Chrisa Isaaka *San Francisco Days*.

Mieszka na Czterdziestej Szóstej. To mały różowy bungalow usytuowany kilka kroków od ulicy.

– Moi współlokatorzy są teraz w Vegas – mówi, otwierając drzwi. – Przez tydzień mam cały dom dla siebie. Coś wspaniałego.

Jej pokój jest na samym początku korytarza. Niewielka przestrzeń z granatowymi ścianami, dużą liczbą kwitnących roślin. Na podłodze pod oknem leży dwuosobowy materac i kilka pudełek, opakowanych i zaklejonych taśmą, gotowych do drogi, z ładnymi etykietkami: „płyty”, „ubrania”, „kuchnia”. Jedno pudełko nie zostało jeszcze zaklejone, obok niego na podłodze leży mieszanina rozmaitych przedmiotów.

– A gdzie reszta twoich rzeczy?

– To wszystko. Zabieram tylko to, co niezbędne – odpowiada i wskazuje na otwarte pudełko. – Przez całe życie trzymam to pudełko wspomnień. Wiesz, zdjęcia, stare listy, moja pierwsza gra wideo, takie tam śmieci. Prawie wcale go nie otwieram. Ale teraz, gdy przeglądam jego zawartość, zastanawiam się, czy nie powinnam wyrzucić tego wszystkiego. – Kopie nogą stosik ułożony na podłodze. – No, popatrz, do czego mi się to jeszcze

może przydać?

Podnoszę puchar przewrócony na bok. To jeden z tych ogólnodostępnych pucharów z plastikową podstawą i figurką umieszczoną na górze – też plastikową, ale pomalowaną na złoty kolor. Figurka przedstawia dziewczynkę z warkoczykami, z opuszczonymi rękami, pustymi oczami i otwartymi ustami. Tabliczka z inskrypcją odpadła, zostawiając po sobie jedynie wyblakły prostokąt.

– Za co ten puchar?

– Za konkurs literowania wyrazów w piątej klasie. Zająłem trzecie miejsce – wyjaśnia. Wyciąga rękę i odbiera mi puchar, przyglądając mu się uważnie. – Nawet nie wiem, po co go trzymam. Może dlatego, że to jedyna rzecz, jaką zdobyłem.

– Jakie słowo przeliterowałeś?

– „Przychylać się”. P-R-Z-Y-C-H-Y-L-A-Ć S-I-Ę. I jeszcze to – mówi, pokazując białą-czerwono-niebieską rękawicę kuchenną. – Moja przybrana matka Judy miała talent do robienia takich rzeczy. Tamtego roku cały 4 Lipca spędziłyśmy na wyrabianiu patriotycznych akcesoriów kuchennych.

Wrzuca rękawicę do kosza na śmieci, a potem podnosi pudełko i trzyma je nad koszem, wyrzucając wszystko, co było w środku – zdjęcia, kartki papieru, mały czerwony dziennik z popsutym zamknięciem. Jestem pod wrażeniem chęci i szybkości, z jaką Goofy zostawia wszystko za sobą i przechodzi do czegoś nowego.

– Nie jest ci smutno, że się przeprowadzasz?

Stoi przez chwilę z rękami wspartymi na biodrach i myśli.

– Pewnie, że tak, ale nadszedł czas na zmiany.

Wyciąga z szafy piankę.

– Masz, włóż to – mówi, mierząc mnie wzrokiem. – Powinno pasować.

Ciągle gada, a ja orientuję się, że nie ma zamiaru wychodzić z pokoju.

Najpierw staram się być skromna i wciągam kombinezon pod spódnicą. Trudno jednak wcisnąć się w ciasny, rozciągliwy materiał. Po chwili Goofy stoi przy mnie i naciąga piankę na moje biodra.

– Pomogę ci – mówi.

Później zajmuje się moimi piersiami i wciska je w duży neoprenowy kombinezon, a ja przypominam sobie pewną sobotę w sklepie odzieżowym Gayfers. Miałam wtedy dwanaście lat i kobieta w czerwonym kostiumie dopasowywała mi pierwszy biustonosz. Nie wiem dlaczego, ale zaczynam płakać.

– Hej – mówi Goofy, obejmując moją twarz dłońmi i kciukami ocierając płynące łzy. – Co się dzieje? Chcesz o tym porozmawiać?

– Raczej nie.

– W wodzie poczujesz się lepiej – mówi i odwraca mnie plecami do siebie. – W moim wypadku zawsze tak jest – dodaje i zatacza palcem nieregularne koło na moich plecach. – Znamię?

– Nie. Poważnie poparzyłam się podczas opalania, gdy miałam trzynaście lat. Zeszła mi skóra z całych pleców, z wyjątkiem tego miejsca. Co roku ten punkt robi się coraz ciemniejszy.

– Taka skórna pamięć – mówi.

Zamek błyskawiczny dotykający moich pleców jest zimny i całym ciałem wstrząsa dreszcz.

– Sposób, w który twoje ciało przypomina ci, jaka byłaś głupia. Ja też mam takie miejsce.

Podciąga prawą nogawkę pianki, ukazując ciemnoczerwoną bliznę wokół łydki.

– Gdy surfowałam po raz pierwszy, fala mnie zmyła i zaplątałam się nogą w linkę łączącą mnie z deską. Pod wodą miałam to szalone uczucie, że nie wiedziałam, gdzie jest góra, a gdzie dół. Kręciłam się wewnątrz fali, a linka

wcinała się w moją skórę. Zobaczyłam własną krew i przysięgam, to był najspokojniejszy moment mojego życia. Nie miałam żadnej kontroli nad tą sytuacją. Byłam całkowicie zdana na łaskę fali i to było naprawdę zajebiste uczucie.

W milczeniu wracamy na plażę. Stajemy na piasku dokładnie na wysokości parkingu i rozciągamy się. Ocean wygląda ogromnie i nieprawdopodobnie. Zdaję sobie sprawę, że jestem zupełnie nieprzygotowana na coś takiego, i już zbieram się, by powiedzieć Goofy, że jestem przerażona. Nie ma jednak czasu na rozmowę, ponieważ Goofy kończy rozciąganie i truchtem biegnie w stronę wody.

– Chodź za mną! – krzyczy w moją stronę.

To ten wolny, podniecony bieg, który jest charakterystyczny dla surferów. Tak jakby każdy mięsień jej ciała cieszył się na spotkanie z oceanem. Biegnę za nią, dopóki piasek nie ustępuje miejsca pianie i wtedy zaczynamy zмагаć się z wodą. Ocean jest zimny jak lód, wstrząs zdaje się wysyłać impuls elektryczny do mojego mózgu.

– Po prostu rób to co ja – mówi.

Po chwili leżymy na brzuchach, wiosłujemy rękami i oddalamy się od brzegu. Ramiona mnie bołą, palce są zdrętwiałe, usta wypełnione słoną wodą – ale jest w tym wszystkim coś, co sprawia, że czuję się dobrze. Mocno wiosłujemy przez dziesięć minut, a potem Goofy siada na swojej desce. Po kilku próbach, dopingowana przez Goofy, ja też siedzę okrakiem, z trudem łapiąc powietrze.

– I co teraz? – pytam.

– Czekamy.

– Jak długo?

– Może minutę, może godzinę. Po prostu się rozluźnij.

– Jestem śmiertelnie przerażona.

– Nie bój się. Gdy dam sygnał, zacznij szybko wiosłować. Potem po prostu się wychyl. Daj się ponieść.

– W twoich ustach brzmi to bardzo łatwo.

Stopniowo moje ciało przyzwyczaja się do temperatury. Goofy jest blisko mnie, ale nic nie mówi. Chmury rozstępują się na moment, ukazując pomarańczową tarczę słońca, które jednak po chwili ponownie znika. Słyszę, jak fale rozbijają się o brzeg. Ocean pod nami porusza się delikatnie, to podnosząc się, to opadając, podnosząc, opadając. Czuję się senna, ale nie tracę świadomości.

– Mogłabyś jechać ze mną – mówi Goofy po jakimś czasie.

Siedzi na desce, jej nogi swobodnie zwisają w wodzie, a ręce ma z wdziękiem oparte przed sobą, jakby była dziewczynką, która właśnie kończy szkołę. Wygląda jak przeznaczona właśnie do tego miejsca. Z trudem wyobrażam ją sobie w głębi lądu, siedzącą przy biurku w jakiejś zatęchłej sali wyższej uczelni.

– Co?

– Wybierz się w podróż. Wynajęłam duży samochód. Mam sporo miejsca.

– Kusząca oferta, ale nie wydaje mi się, bym pasowała do Arkansas.

Fale kołyszą się w górę i w dół, w górę i w dół.

– Co cię tutaj trzyma?

– Dużo rzeczy – mówię, ale nie potrafię wymyślić czegoś konkretnego. – Chcesz wiedzieć, jak stuknięta była moja rodzina?

Goofy uśmiecha się.

– Jak stuknięta?

– Gdy byłam dzieckiem, moja matka kupiła mnie i mojej siostrze notesy, w których musiałyśmy pisać raz w roku. 31 grudnia rano po śniadaniu

wysłała nas do swoich pokoi, ojca do jego gabinetu, a sama szła do kuchni. Mieliśmy spędzić całe rano, oceniając nasze życie, jakich znaczących rzeczy dokonaliśmy, a co nam się nie udało w ciągu poprzednich trzystu sześćdziesięciu czterech dni. W południe matka zwoływała spotkanie rodzinne przy dużym stole i każdy po kolei miał odczytać swoją listę.

– Nieźle.

– Potem kazała nam powiedzieć, co byśmy zmieniły, gdybyśmy mogły cofnąć się w czasie i zrobić to jeszcze raz. Byłyśmy dziećmi, więc nie było to zbyt interesujące. Na przykład: „Nie ukradłabym Cindy Novak piórnika z Hello Kitty” albo „Lepiej opiekowałabym się słonaczką”. Gdy siostra i ja chodziłyśmy już do szkoły średniej, zaczęłyśmy grać matce na nerwach. Na przykład: „Nie spałabym z całą drużyną futbolową”.

Goofy nic nie mówi. Patrzy gdzieś za horyzont.

– Brzmi fajnie – mówi. – Podobałyby mi się takie spotkania rodzinne.

– Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że nie mogę zerwać z tamtym przyzwyczajeniem. Raz w roku robię podsumowanie. Myślałam o tym ubiegłej nocy. Czuję się, jakby rok mojego życia został wciągnięty przez ogromną, bezkresną czarną dziurę. Koszmarny rok, który wydaje się nieprawdopodobny. Zgubiłam Emmę, znalazłam Emmę, koniec historii. A teraz utknęłam. Nie wiem, dokąd mam dalej pójść. Nie mam pojęcia, co stanie się później.

Przez kilka minut Goofy nic nie mówi, tylko zanurza dłoń w wodzie, przesuując ją w przód i w tył, rozpraszając ławicę małych rybek. Rybki odpływają szybko, migocząc srebrnymi ciałami.

– Chciałabym być taka jak ty – mówię. – Chciałabym mieć tyle siły, by pozbierać się do kupy i zacząć wszystko od początku.

Prawda jest taka, że nie mam pojęcia, jak zacząć, a przecież muszę. Przez tak długi czas tylko jedna rzecz miała dla mnie znaczenie: odnalezienie

Emmy. Teraz, gdy już ją odnalazłam, po raz pierwszy w życiu czuję się kompletnie zagubiona. Zaczęłam nawet sporządzać listę, by dojść do tego, co powinnam teraz zrobić. W domu w lodówce mam mnóstwo niewywołanych rolek filmu, zdjęcia, które zrobiłam lata temu, a których do dziś nie wywołałam. Może mogłabym zacząć od tego, od pracy. Jest też moja nowa siostrzenica, Margaret, która ma przyjść na świat za tydzień. Nie mogę doczekać się, by ją zobaczyć, wziąć na ręce, patrzeć, jak dorasta.

Jest też Nick, który wciąż jest dla mnie tajemnicą, możliwością, której nie potrafię dokładnie zdefiniować. Widzę siebie w jego kuchni. On mógłby zrobić francuskie tosty, ja przygotowałabym bekon. Siedzielibyśmy na przeciwległych końcach jego długiej sofy, twarzą w twarz, czytając w milczeniu. To byłoby miłe.

Dzwonił do mnie, ale jeszcze się z nim nie spotkałam. Pierwszy raz skontaktował się kilka dni po powrocie z Kostaryki. Telefon odezwał się w środku nocy. Siedziałam na kanapie i oglądałam film, nie byłam w stanie zasnąć. Pomiędzy pierwszym dzwonkiem a podniesieniem słuchawki przygotowałam już całą historię, że to Jake jest po drugiej stronie linii. Miał dzwonić po to, by powiedzieć mi, że przemyślał wszystko i doszedł do wniosku, że nie wyobraża sobie życia beze mnie. Miał powiedzieć, że mnie potrzebuje, że Emma mnie potrzebuje i jak szybko mogę się u nich zjawić.

Ale to nie był Jake. To był Nick.

– Pomyślałem, że nie będziesz spała – powiedział.

– Nie śpię.

– Mogę przyjechać?

– Przepraszam – odparłam – ale to chyba nie jest najlepszy pomysł.

Część mnie chciała się z nim zobaczyć, pójść z nim do łóżka, pozwolić się ponieść pokusie, która nie dawała mi spokoju od momentu, w którym pierwszy raz go ujrzałam. Większa część mnie jednak chciała pozostać

w zgodzie z przekonaniem, które podtrzymywało mnie przy życiu przez te wszystkie miesiące: że mogę być żoną Jake'a i matką Emmy, że jeśli będę szukała wystarczająco dokładnie i wystarczająco długo, wszystkie elementy układanki wrócą na właściwe miejsce.

– Słyszałaś o *confabulatores nocturni*? – zapytał Nick.

– O kim?

– *Confabulatores nocturni*, ludziach, którzy w nocy opowiadają różne historie. Aleksander Macedoński zwykł zatrudniać takich ludzi, by opowiadali mu historie i pomagali w ten sposób łagodzić jego bezsenność. Jeśli nie mogę cię zobaczyć, to przynajmniej pozwól mi opowiedzieć kilka historii. Możesz mnie słuchać, dopóki nie zaśniesz.

– Zgoda – odpowiedziałam.

Zabrałam telefon do łóżka, wsunęłam się pod kołdrę i słuchałam. Jego opowieść dotyczyła odległej miejscowości w Danii – Wolne Miasto Christiania – i wielkiego rudobrodego Islandczyka, który zwabił go do dziwnego baru, gdzie musiał wymienić portfel na peruwiańską fletnię Pana.

– Zmyślasz – powiedziałam.

– Nie – przekonywał mnie Nick. – To prawda.

Historia trwała bardzo długo. Gdy się zakończyła, Nick zapytał:

– Zaśniesz teraz?

– Chyba tak.

I zasnęłam. Odłożyłam słuchawkę i spałam bardzo dobrze. Od tego czasu Nick jeszcze dwukrotnie dzwonił do mnie w środku nocy i opowiadał różne historie. Traktuję to jako najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymałam. Może miał rację, gdy mówił, że związki – te ważne, które zmieniają twoje życie – w wielu wypadkach sprowadzają się do odpowiedniego umiejscowienia w czasie. Gdybym spotkała Nicka, zanim spotkałam Jake'a, byłoby możliwe, że wydarzenia ubiegłych dwóch lat nigdy

nie miałyby miejsca. Mogłabym mieszkać w domu Nicka na Harrison, czytać jego książki, słuchać jego opowieści – w ogóle nie wiedziałabym, jak to jest kochać dziecko i stracić je.

– Miałam taki szalony pomysł – mówi Goofy.

– Jaki?

– Nieważne. Nie powinnam...

– Powiedz.

– Myślałam, że mogłybyśmy być jak rodzina, wiesz, mogłabyś być kimś w rodzaju mojej siostry, której nigdy nie miałam. – Zawstydzona spuszcza wzrok. – Nic wielkiego. Wiesz, mogłybyśmy rozmawiać przez telefon raz w miesiącu. Wysyłałybyśmy sobie kartki z życzeniami urodzinowymi, coś w tym stylu.

Jestem kompletnie zaskoczona. Ze sposobu, w jaki to mówi, wnioskuje, że myśli nad tym od dłuższego czasu.

– Jasne. Podoba mi się ten pomysł.

– Fajnie.

Ocean porusza się pod nami, wolno, hipnotyzująco. Czuję, jakby moje nogi nic nie ważyły. Doktor Swayze, dziewiąta klasa, na temat anatomii fali: „Fala nie jest wodą w ruchu, to po prostu stojąca woda, przez którą przechodzi energia”.

Wydaje mi się, że upłynęło już sporo czasu, gdy Goofy kiwa głową w kierunku horyzontu.

– To jest to – mówi i zaczyna wiosłować w kierunku zbliżającej się fali.

Fala nabiera rozpędu. Moje serce zatrzymuje się na jedno, może dwa uderzenia. Mięśnie rąk mam napięte, oczy skoncentrowane. Każdy nerw w moim ciele jest w stanie pobudzenia. Myślę o Emmie, o chwili, w której pierwszy raz ją spotkałam – o małej żółtej torebce, którą miała ze sobą, o sposobie, w jaki stała w kolejce po bilety na Four Stars, z jedną ręką na

biodrze niczym miniaturowy dorosły. Myślę o tym, jak po raz pierwszy kochałam się z Jakiem, o jego zapachu mydła i gumki do ścierania. Myślę o Ramonie i zdaję sobie sprawę z tego, że jestem starsza niż on w momencie śmierci – zawsze sprawiał wrażenie takiego dojrzałego, żyjącego z taką łatwością, a ja już przeżyłam go o pięć lat. Myślę o Gulf Shores, o mojej matce na plaży, machającej do mnie ze swego czerwonego ręcznika, gdy stałam po kolana w wodzie, a piasek uciekał mi spod stóp. Pamiętam ją wiele lat później, gdy zupełnie nie przypominała kobiety, którą znałam, patrzyła na mnie z twarzą zniszczoną przez chorobę. „Obiecuj mi jedną rzecz – powiedziała. – Obiecuj mi, że znajdziesz sobie kogoś, ustatkujesz się i założysz rodzinę”. A gdy odpowiedziałam: „Obiecuję”, niemal naprawdę tak myślałam. Wierzyłam, że to może być rzecz, którą jestem w stanie zrobić.

Żadne z tych wspomnień nie wygląda na całkowicie prawdziwe – w pewnym sensie każde sprawia wrażenie, jakby było życiem innej osoby, fotografią z albumu kogoś obcego. Myślę o Annabel, jedynej stałej w moim życiu, o jedynym związku, który naprawdę mi się udał. Annabel na tylnym siedzeniu samochodu leży z nogami wyciągniętymi na moich kolanach, równomierny świst jej oddechu. Annabel obecnie, na zdjęciu, które mi niedawno przysłała – z okrągłym brzuszkiem, z krótkimi włosami, na kilka dni przed porodem.

Wczoraj znalazłam rolkę niewywołanego filmu, opisanego „Crescent City, Kalifornia”. W ciemni wyjęłam kliszę z pudełka, nawinęłam na koreks i opuściłam do pojemnika z wywoływaczem. Po przetworzeniu poczekałam, aż wyschnie, pocięłam negatyw na krótsze paski, położyłam je na kawałku papieru fotograficznego i wydrukowałam wszystkie na jednej kartce. Przejrzałam ją i wybrałam kilka negatywów, z których chciałam wywołać zdjęcia. Dobrze było znów spędzać czas w ciemni, przechodząc przez równy, rytmiczny proces: powiększalnik, wywoływacz, utrwalacz, płukanie,

zanurzenie w wodzie.

Gdy zdjęcia wyschły, zabrałam je na dół i położyłam na podłodze jedno obok drugiego – scena uchwycona w odpowiedniej sekwencji, opowiedziana historia, bardzo zwyczajna. Jake, Emma i ja razem w małym nadmorskim miasteczku nieopodal granicy z Oregonem.

Aparat fotograficzny uchwycił nasz przyjazd do hotelu położonego w sąsiedztwie plaży. Emma stoi nocą pod szyldem hotelu, wskazując jarzący się neon w kształcie delfina. Na następnym zdjęciu siedzi na plaży obok wielkiej skały, nogi przysypane ma piaskiem, twarz skierowaną ku słońcu. Na następnym ona i Jake zjeżdżają na wodnej zjeżdżalni w Tsunami Town, w chylącym się ku upadkowi parku utworzonym w celu upamiętnienia wielkiej fali z roku 1964. Zjeżdżalnia ma sześć metrów wysokości, a zjazd odbywa się ponad miniaturową repliką dwudziestu dziewięciu miejskich budynków, które zostały wtedy zniszczone. Emma w kostiumie kąpielowym, z warkoczami, na kolanach Jake'a siedzącego na plastikowej macie. Na jednym zdjęciu są malutcy, dwie kropki w górnej części fotografii, a na następnym zjeżdżają prosto w kierunku aparatu, stopami rozbryzgując wodę.

W trakcie weekendu kilka razy pozwoliłam, by Emma spróbowała zrobić zdjęcie. Łatwo jest odgadnąć, które są jej dziełem: zbyt duże zbliżenia, często robione z małej wysokości, z perspektywy dziecka. Jest pudełko lodów waniliowo-migdałowych Häagen-Dazs, które kupiliśmy w jakimś dużym sklepie spożywczym. Sfotografowana jest też umywalka w łazience, mokra maszynka do golenia Jake'a, leżąca obok małego hotelowego mydła. Jest niewyraźne wnętrze zaniedbanego akwarium: opływowy brzuch rekina, piękna dolna część meduzy, kilka zdjęć konika morskiego – jego zakręcony ogon, wielokolorowe stworzenie samotnie, jakby magicznie zawieszona w mętym zbiorniku.

Ostatnie zdjęcie zrobione jest przeze mnie na hotelowym parkingu, gdy

wyjeżdżaliśmy. Jake pomaga Emmie wsiąść do samochodu. Jej ramiona są ciemne, stopy białe, ustawiona jest bokiem do aparatu. Uśmiecha się do Jake'a, który trzyma jedną rękę na jej plecach, ale patrzy na samochód, który parkuje na sąsiednim miejscu. Pamiętam ten samochód – poobijany, jadący zbyt szybko chevrolet. Na zdjęciu, jeśli ktoś jest skłonny do wyszukiwania takich rzeczy, może dostrzec ojca, który ma wszystko pod kontrolą. Jednocześnie jest świadomy tego, gdzie jest jego córka i gdzie jest samochód. Nie zdejmuje ręki z dziecka, nie spuszcza też oka z samochodu, w każdym momencie jest przygotowany na ewentualne zagrożenie. W profilu Emmy jest natomiast kolejny fragment opowieści: ona jest świadoma tylko jednej rzeczy – ojca, którego darzy bezgranicznym zaufaniem.

Ostatniej nocy godzinami siedziałam na podłodze i wpatrywałam się w te zdjęcia. Nie potrafiłam zmusić się do tego, by nie patrzeć. Oto jest prawda: był czerwiec, lato w Crescent City. Emma miała sześć lat, Jake i ja byliśmy w sobie zakochani, zaczynaliśmy być rodziną.

Zapominamy, pamiętamy, umysł ma własną nieugiętą wolę.

Teraz, gdy fala zbliża się do nas, odnotowuję, by zapamiętać ten szczególny moment. Postanawiam zapisać to, gdy wrócę do domu: dziwny pomarańczowy odcień mgły podświetlanej przez słońce, plecy Goofy wygięte w łuk podczas wiosłowania; wystrzępiona linia Seal Rock mająca bliżej niż kiedykolwiek, chłód i słodki zapach Pacyfiku.

Myślę o Crescent City, o tsunami, które zniszczyło miasto. Myślę o tych dwudziestu dziewięciu budynkach, które tętniły codziennym życiem – kasjerzy bankowi liczyli pieniądze, pracownicy poczty sortowali listy, uczniowie maszerowali na lunch. Tysiące kilometrów stąd, na odległej Alasce, trzęsienie ziemi poruszyło góry i sprawiło, że płyty tektoniczne przemieściły się. Ocean zagrział w głębinach. Pochłonięci swoim codziennym życiem mieszkańcy Crescent City nie wyczuli tej zmiany. Nie

wyczuli energii, która spowodowała falę tak wielką, że dosłownie zmiotła ich spokojne miasteczko.

Nawet jeśli naukowcy mieliby rozwiązać problem pamięci, to i tak wciąż będziemy na tym stratni. Pamięć z natury działa tylko wstecz, jest niczym innym jak tylko rozpoznaniem tego, w jaki sposób znaleźliśmy się tu, gdzie jesteśmy. Nigdy nie będziemy w stanie usłyszeć atomu cezu, jego gwałtownej oscylacji, każdej milionowej części sekundy przybliżającej nas do jakiejś znaczącej zmiany. Nawet jeśli ułożymy jakieś idealne równanie matematyczne, za pomocą którego oszacujemy przeszłość, nigdy nie będziemy w stanie wymyślić równie dobrego równania, które pomoże nam rozwikłać przyszłość.

Goofy daje mi znak gestem. Fala jest już dużo bliżej, wygląda niczym szara ściana, wciąż rośnie. Czuję, jak moje ciało unosi się, trochę bardziej niż korek na fali. Czuję, jak fala za moimi plecami nabiera mocy.

– To jest to! – krzyczy Goofy.

Jednym płynnym ruchem wstaje, nogi w kolanach ugięte, ręce rozłożone. Wygląda jak ptak szykujący się do lotu.

Biorę głęboki wdech, szaleńczo wiosłuję rękami i czekam, aż fala zanieś mnie na stały ląd. Woda kotłuje się wokół mnie, deska się kołysze. Nic nie widzę, ale czuję, że poruszam się do przodu.

PODZIĘKOWANIA

W zgłębianiu tematu nieodzowne były dla mnie następujące książki: *Sztuka pamięci* autorstwa Frances A. Yates; *Memories Are Made of This* Rusiko Bourtchouladze; *Searching for Memory. The Brain, the Mind, and the Past* Daniela L. Schacter; *The Girl's Guide to Surfing* Andrei McCloud; nieoceniony portal internetowy Surflin; a także *San Francisco's Richmond District* Lorri Ungaretti. Na *confabulatores nocturni* natknęłam się w eseju Jorge Luisa Borgesa *Tysiąc i jedna noc*.

Dziękuję mojej wspaniałej agentce, Valerie Borchardt, za jej wiarę w tę książkę; mojej cudownej wydawczynie, Caitlin Alexander, za jej cierpliwość i dbałość o szczegóły; Anne Borchardt i Billowi U'Renowi za ich wnikliwą opinię o wczesnych planach książki; Misty Richmond za jej wiedzę w dziedzinie fotografii; Erin Enderlin i Jayowi Phelanowi za przeczytanie wstępnej wersji książki; oraz Jiri Kajane za niesamowite souvlaki. Pragnę również podziękować Bay Area Word of Mouth oraz ludziom z Simple Pleasures w San Francisco za wsparcie moralne, a także za wszelkie dodatki zawierające kofeinę.

Jestem wdzięczna świętej pamięci Billowi White'owi, który zapewnił mi cudowne miejsce do pisania w Kostaryce. Dziękuję także Lawrence'owi Coatesowi, Wendellowi Mayo oraz Uniwersytetowi Stanowemu Bowling Green za czas i przestrzeń, których potrzebowałam do ukończenia książki, wtedy gdy prowadziłam tam zajęcia dla studentów.

Książka ta nie mogłaby powstać bez pomocy Kathie Phelan i Purevsuren Sukhbaatar, które zapewniły mi czas na pracę, opiekując się moim synkiem. A przede wszystkim dziękuję Kevinowi.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

ROZDZIAŁ 38

ROZDZIAŁ 39

ROZDZIAŁ 40

ROZDZIAŁ 41

ROZDZIAŁ 42

ROZDZIAŁ 43

ROZDZIAŁ 44

ROZDZIAŁ 45

ROZDZIAŁ 46

ROZDZIAŁ 47

ROZDZIAŁ 48

ROZDZIAŁ 49

ROZDZIAŁ 50

ROZDZIAŁ 51

ROZDZIAŁ 52

ROZDZIAŁ 53

ROZDZIAŁ 54

ROZDZIAŁ 55

ROZDZIAŁ 56

ROZDZIAŁ 57

ROZDZIAŁ 58

ROZDZIAŁ 59

ROZDZIAŁ 60

ROZDZIAŁ 61

ROZDZIAŁ 62

ROZDZIAŁ 63

ROZDZIAŁ 64

ROZDZIAŁ 65

ROZDZIAŁ 66

ROZDZIAŁ 67

ROZDZIAŁ 68

ROZDZIAŁ 69

ROZDZIAŁ 70

ROZDZIAŁ 71

ROZDZIAŁ 72

ROZDZIAŁ 73

ROZDZIAŁ 74

ROZDZIAŁ 75

ROZDZIAŁ 76

ROZDZIAŁ 77

ROZDZIAŁ 78

ROZDZIAŁ 79

ROZDZIAŁ 80

ROZDZIAŁ 81

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *The Year of Fog*

Copyright © 2007 by Michelle Richmond.

All rights reserved

Copyright © for the translation by Krzysztof Uliszewski

Wydawca prowadzący: Olga Orzeł-Wargskog

Redaktor prowadzący: Anna Małocha

Korekta: Pracownia 12A

Projekt okładki: Eliza Luty

Fotografia na okładce: © Amanda Voelker / Stocksy.com

ISBN 978-83-7515-613-3



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek